Kazimierz Brodziński
Prof. Sekr. Kr. A. U.

PISMA
KAZIMIRZA
BRODZIŃSKIEGO.

WYDANIE ZUPEŁNE
POPRAWNE I DOPEŁNIONE Z NIEOGŁOSZONYCH RĘKOPISMOW
STARANIEM
J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Z WIZERUNKIEM I ŻYCIORYSEM POETY.)

TOM VIII.

PROZA.

ROZPRAWY. PRZEMÓWIENIA, ODCZYTY, ROZMAITOŚCI.

POZNAŃ.
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI GEBETHNERA I WOLFFA
W WARSZAWIE.
1874.

GIMNAZJUM

99064
884-1-9(081) Kh

Drukiem J. I. Kraszewskiego (Dr. W. Łebiński) w Poznaniu.

ROZPRAWY, PRZEMÓWIENIA,

ODCZYTY i t. p.

O EXALTACYI I ENTUZYAZMIE.

Sieh! was dein Werk für einen Eindruck macht,
Was du in deinen reinsten Stunden,
An deinem innersten Selbst erfunden,
Mit Maas und Weisheit durchgedacht,
Mit stillem, treuem Fleiss vollbracht.
Herder.

Nie potrzebuję tu mówić o zaletach nad pospolitość wzniesionego umysłu, o zbawiennych skutkach zapału do wszystkiego, co jest dobre i piękne. Te przymioty najzacniejsze, gdy są prawdziwe i czyste, oznaczają coś boskiego w człowieku, co przez rozbiory rozumu ani nabyć, ani wytłumaczyć się daje. Lecz nie bez korzyści zastanowić się można nad nadużyciem, fałszywym kierunkiem, lub udawaniem Exaltacyi i Entuzjazmu; gdyż w tym razie zrządzają one złe, równie w krainie prawdy, jak w krainie cnoty i piękności.

Do wyrazów Entuzjasta i Exaltowany inne języki różne przywięzują wyobrażenia. W naszym mamy wyrazy: natchnienie, zapał, unoszenie się, uniesienie; lecz nie mamy żadnego, któryby charakter im odpowiedni wyrażał; mamy za to wiele wyrażeń charakter Exaltanta i Entuzjasty oznaczających, lecz tylko wtenczas, gdy chcemy wyrazić przesadę, opaczność lub ostateczność; i w tém nawet znaczeniu w poważnym stylu mało są używane, n. p. zagorzalec, zapaleniec, szaleniec itp. Nie chcąc rozstrzygać wątpliwości, co do tych dwóch obcych wyrazów w innych językach; zważmy tylko, jakie znaczenie do nich u nas przywięzujemy.

Entuzjazmowanym, (lubo podług źródła wyrazu nie właściwie) zowiemy „człowieka oddanego ze szczególném zajęciem jakowym wyobrażeniom, pomysłom i czynom, których przyczyna prawie zwykle zewnątrz pochodzi.“ Entuzjazm więc nie jest charakterem, lecz stanem, natchnieniem przemijającém, które według starożytnych pochodziło od bogów. Zaród jego przypisujemy i dziś szczególnym, najwyższym darom, albo śledzić go musimy w saméj duszy człowieka, to jest w jéj sile najwyższéj, czyli w tém, co ze względu i wewnętrznych i zewnętrznych pobudek, usposobieniem zowiemy. Właściwie: wyraz entuzyazm służy tylko do rzeczy wznioślejszych, lubo przyjęliśmy zwyczaj mówienia: entuzyazmowany do tańca, do kart itp. Człowiek mocno chwytający się wrażeń, zwłaszcza na imaginacyę i namiętności skutkujących, nazywany bywa entuzyastą; źródło działań i uczuć jego zawsze chwalebne: naganne iest tylko w nieprzyzwoitym kierunku lub mierze.

Exaltant może obudzać w innych entuzyazm, lecz sam nie zewnątrz go nabywa i nie jest narzędziem chwilowego natchnienia. Wszelkie jego wyobrażenia, wychodzące ze sfery pospolitości, mają swoję zasadę i cel pewny; postępowanie jego jest stałe i jednakowe, wynosi się nad zwykłość, ale nie za naturę; uczucia jego są najczęściéj pogodne i spokojne, osowliwie, gdy się gruntują na poświęcającéj się miłości, na przeświadczeniu religijném lub przekonaniu filozoficzném. W potocznéj jednak mowie polskiéj nie zowiemy szlachetnych i wielkich uczuć exaltacyą. Charaktery podobne albo nie były rozważane, albo jako wyższe, fałszywie pojęte; brak przytém badań filozoficznych w języku własnym stał się powodem do przejmowania obcych wyrażeń w sprzeczném znaczeniu. U nas zowiemy najpowszechniéj exaltantem człowieka, którzy rzadko naturalném okiem patrzy na rzeczy, ale zawsze przez szkło ulubionego koloru, albo przez takie, które je zdrabnia, powiększa, krzywo lub opacznie wystawia; człowieka, którym sama rządzi imaginacya, który przeto w uczuciach przesadza, na ich karb dziwaczności popełnia, złe sobie i ludziom zrządza, a przynajmniéj unudza. Takim służą przymiotniki „urojony, obłędny, próżniaczy, dziwaczny, fantastyczny“ itp. Takie naganne są w człowieku i w utworach poetycznych, są zgubą czerstwych uczuć, cnót towarzyskich, rozsądku i smaku.

W tém pojęciu entuzyasta i exaltant tém chyba od siebie się różnią, że tamten ślepo się unosi, ten unieść się daje, że źródło pierwszego może być szlachetniejsze, ale skutki obudwu zawodne.

Lecz nie zatrzymujmy się nad znaczeniem tych wyrazów, lub nad tém, jakieśmy im nadali, ale śledźmy im podobne we własnym języku, lubo jeszcze nie oznaczone. Rozbiór wyrazów, chociaż to praca drobiazgowa, daje często napomknienia o uczuciach narodu i o sposobie, w jaki się na nie zapatruje.

Od słów gorzeć i palić mamy wyrazy gorliwość i zapał. Rzecz goreje z siebie, zapala się zewnątrz. Różnica ta odpowiada wielu innym wyrazom, np. kochać i kochać się. Gorliwość więc, nawet według zakończenia samego, jest przymiotem, zapał stanem. Pierwsze ma związek z exaltacyą, drugie z entuzyazmem. Gorliwość to ma przed sobą, iż się w dążeniach i czynach objawia; że gorliwy usiłuje urzeczywiścić w innych, przez innych i dla innych to, co raz uznał za prawdziwe, dobre lub piękne. To przeświadczenie zajmuje jego czucie, oświeca drogę rozumowi i bierze w pomoc podwładną imaginacyę. Człowiek gorliwy w tém dążeniu choćby w szczupłym zakresie zdolności i działania, wyniesie się nad pospolitość i prędzéj, niż najczynniejszy egoizm, dojdzie doskonałości. Czując w sobie iskrę niebieską, czysty i staranny hodować ją pragnie, ożywia nią siebie i drugich, staje się pochodnią dla ludzi gorejącą; przeciwności nie mogą jéj zgasić, ale owszem wzmagają jéj światło. Jest on istotą czynną z siebie rozumem, sercem i wolą. Szczęśliwy, kiedy w nich zgodę i miarę zachowa: miarę, nie przez samolubną rachubę, ale przez możność i pożytek wytkniętą; jeżeli się uznaje powołanym, ażeby oświecał, nie zaślepiał, zagrzewał, nie zapalał; ażeby był sługą, nie panem, dodatkiem, nie głową społeczności, dla któréj działa.

Jeżeli gorliwy więcéj przejmuje się rzeczą w imaginacyi

aniżeli ją pojmie i obejmie rozumem, wtedy służyć mu będzie mocniejszy wyraz: żarliwy. Żarliwiec podobny jest do ognia, który na dowolność wiatrów wystawiony, zamienia się w pożar, wszystko zajmuje gdzie za wiatrem dosięgnie. Ale żarliwego najpowszechniéj żywiołem są słowa czyli wiatr. Jest to pośrednik gorliwości i zapału, zagorzalców i zapaleńców, najgłośniejszy wśród przesądów i uporu; donośna trąba, która według danego natchnienia daje hasło do hołdu albo do boju. Na dawnych sejmach polskich widoczniejszą była od gorliwości żarliwość, która pożerała czas drogi, na któréj wszystko przestawało i która zawsze kończyła słowami Krasickiego:

„Niechaj Pan robi, co mu się podoba.“

Gorliwy, nie szukający środków w rozwadze i uniesiony za granice przez nią zakreślone, otrzymał w naszym języku nieco za mocny wyraz: zagorzalec. Być na umyśle zagorzałym jest to samo, co zagorzeć w fizycznem znaczeniu tego wyrazu. Już to nie jest czysty ogień, ale dym z ognia, który zawrotu głowy nabawia. Źródłem działań zagorzalca jest najczęściéj ciemne uczucie prawdy i dobra, i poddanie się namiętne własnym o nich wyobrażeniom. Cele i środki jego nie dość jasno pojęte lub krzywo widziane, zdają mu się być zarówno ważne, prawne i skuteczne. Wszystko, co jego wyobrażeń nie dosięga, lub je przechodzi, jest podług niego złe, niedołężne, albo fałszywe. Zajęty jedną myślą, jéj tylko uskutecznieniem, nic innego nie widzi, nie zważa: w ogólności zaś więcéj bywa zajęty tém, co jego wyobrażeniom jest nieprzyjazne, niżeli tém, aby swoje rozwinął i urzeczywiścił. Hasłem jego jest wyłączność. Nie ma dla niego środka: jest zawsze albo stronnikiem, albo nieprzyjacielem. Jest to człowiek zawsze cierpiący i zawsze usiłujący mieć się czynnie; własną siłą oślepiony i ogłuszony, a razem zewnątrz zarówno lód, jak ogień na niego działa.

Zapał nie jest to samo, co natchnienie, inspiracya. Ta może tylko oznaczać stan duszy nadzwyczajny, uroczysty, raczéj nad zmysłowość i rzeczy zewnętrzne wzniesiony, niżeli przez nie wzbudzony. Służy tylko uczuciom religijnym i poe-

tycznym, jest iskrą z nieba zesłaną, niepojętą, która zajmuje tylko umysły czystą i wzniosłą miłością gorejące, i te do wielkich objawień, albo przedsięwzięć obudza. My w naszém życiu rachującém, roztargnioném, w wielu względach wynaturzoném, tak właściwie często ten wyraz wspominamy, jak właściwie pisarzów szumnych ód i piosnek wieszczami zowiemy. Zapał jest skutkiem zamiłowania się w rzeczy, któréj się przeto duszą i sercem poświęcamy, bez tego nie można nic odznaczającego się działać i tworzyć. Z zapałem dążymy najczęściéj do celu, jak ogień i światło zawsze dąży do góry; sposobimy się czując naszą niemoc i ograniczenie. Bez tego ślepo zapałowi czekanemu oddający się, bylibyśmy tylko bezczynnemi z siebie narzędziami. Gorliwe sposobienie się stawia nas w możności usposobienia, w którém szczególna zdolność umysłu, albo zewnętrzne wpływy, tém mocniéj ożywić w nas mogą siłę działalną lub twórczą. Jeżeli źródłem zapału są namiętności tłumiące rozwagę, lub sama bezrządna i chorowita imaginacya, wtenczas odbiera człowiekowi w działaniu wolę, a w tworzeniu rzeczy umysłu, wybór i sztukę. Zapał przejmuje nasze serce, zajmuje umysł. Rzeczą wielką jesteśmy zawsze razem zajęci i przejęci*). Przejęcie się rzeczą obudza zapał, który nas unosi i skutkiem zapału jest uniesienie. Lecz uniesienie się jest tylko chwilowe, oznacza stan podległy, jest tylko popędem bez celu i kresu. Człowiek unoszący się, unieść może tylko podległych temu stanowi. Wzniesienie się dopiero jest oznaką, uzupełnieniem wielkich uczuć i myśli. Unoszący się Kato nie jest jeszcze wzniesionym i wzniosłym charakterem, ani dzieło poetyczne, w uniesieniu wydane, wzniosłym geniuszu utworem. Cechą wzniosłego charakteru i ge-

*) Widok tragedyi zajmuje naszę ciekawość i przejmuje uczucie. Poeta i artysta pracujący, w szczęśliwém usposobieniu zajęty, jest i przejęty; ztąd zapomina o świecie, jest roztargniony i dla rzeczy zewnętrznych nieprzytomny. Rzemieślnik jest tylko zajęty. Ostatni odpowie na zapytanie, że nie ma czasu, pierwszy pytania nie usłyszy, nie zrozumie, lub da niedorzeczną odpowiedź. Ciekawość jest najwyższym stopniem zajęcia, spółczucie przejęcia. Kto jest przejęty rzeczą dobrą i piękną, z zapałem się zajmuje, aby ją objawił i uskutecznił.

niuszu jest panowanie nad sobą, wyniesienie się nad poziomość i jéj burze; prawda, spokojność i prostota jest to, co nie właściwie górnością, albo szczytnością zowiemy. Nie idzie tu o same tylko frazy szczytne i górne, które w retorykach przytaczane bywają, o szczęśliwe, uderzające porównania, ale rozumiemy przez to owego ducha, który bądź w działaniu, lub objawianiu uczuć i woli, bądź w utworach imaginacyi, tak nami włada, że w nas wielkie i pokojące budzi wyobrażenia o godności człowieka, o myśli jego, która świat ogarniać i przenikać się zdaje, któréj uderzające wyrazy są błyskiem niebo rozjaśniającém, albo piorunem, jako pogłosem władzy niepojętéj. Wzniosłość nie jest w rzeczach, ale tylko w myśli i w czuciu człowieka. Zjawienia wielkie, nadzwyczajne przerażają nas, dziwią, zdumiewają, pokonywają naszą spokojną rozwagę; ale myśli i uczucie wzniosłe budzą nas i wynoszą, napełniają szlachetną dumą, pokój i świętość uroczystą nadają. Nie dla wszystkich ludzi myśl i czucie nasze tak się wyrażać może, tak jak zjawiska natury nie we wszystkich wzniosłe obudzają pojęcia, témbardziéj poeta, samym chwilowym zapałem prowadzony, bez pojęć wzniosłych nie zdoła ich obudzić.

Bez zapału charakter nie będzie dzielnym, ani geniusz twórczym, i wzajem ich tylko zapał do dzieł i czynów znamienitych pobudza. Tak one na siebie działają, jak wesołość, która jest skutkiem zdrowia i razem na zdrowie zbawiennie wpływa. Tylko wielkie charaktery i wielkie gieniusze są w swoim zapale wzniosłe i piękne: w nich czucie chwilowo wzmocnione i usposobione nie niszczy władzy rozumu i woli, nie staje w ich miejscu; są one w nich jedną rzeczą jak moc i siła, jak ogień i światło. Dają się porywać, lecz wiedzą, gdzie są porywane; patrzą w cel świetny, jak orzeł w słońce, wznoszą się, nie mierząc drogi, ani się oglądając, bo są pewni tak jéj, jak swojéj siły.

Ludzi podlegających łatwo i ślepo zapałowi i uniesieniom, nazywamy zbyt mocnymi wyrazy, to jest zapaleńcami, tak jak exaltanta w złém znaczeniu zowiemy zagorzalcem. Ta skłonnność, żywiona okolicznościami, zamienia się w nałóg,

który czyni istotę nieszczęśliwą dla siebie, szkodliwą dla innych. Zapaleniec podobny jest do oddających się grze hazardownéj, w któréj zysk lub strata nie zależą od spólnictwa rozwagi z losem, ale od namiętności i losu. Jest to człowiek zawsze od zewnętrznych pobudek zależący, na którą zagorzalcy największy wpływ mają. Każda nowość gwałtownie go zajmuje przeto, że działając wprost na jego wyobraźnię, nie dozwala rozumowi jasno jéj poznać i uznać. Będzie on ślepym nieprzyjacielem tego, czego wprzód ślepym był miłośnikiem. Stosownie do godła, jakie mu zdarzenie przyczepi, odwróci się w prawo lub w lewo; będzie walczył z równą zaciętością przeciw sprawie, którą porzucił, jak za tą, którą wkrótce porzuci; każdego, kto ma zdanie swoje, odmienne, a nawet tego, kto w równém zdaniu jego tylko zapału nie dzieli, uważa za wroga; nie widzi jak zagorzalec, nic pośredniego, tylko stronników i nieprzyjaciół. Jeżeli służy dobréj sprawie, wystawi ją najczęściéj na szwank, podejrzenie albo ohydę; jeżeli do panujących namiętności przystanie, co jest najpowszechniejsza, będzie narzędziem, aby je szerzyć i gwałtowniejszemi uczynić. Taki bywa najczęściéj narzędziem zimnego egoizmu, lub dumy cudzéj, którym ślepo nasługuje. Ducha, jakim bywa natchniony, możnaby przyrównać do zapalającego spirytusu, po prostu do gorzałki, któréj lud najtrzeźwiejszy i rachujący, po karczmach odurzonym chłopom dolewa. Szczęściem, jeżeli tacy tylko śmieszność w rozumnych, a litość w czujących obudzają; jeżeli ich Opatrzność przeznaczy, utrudzać jedynie w dysputach i w szczupłym zakresie niepokój czynić, lecz gdy ten przestąpią, są świadectwem i karą nie odgadnionych surowych wyroków.

Zagorzalcy i zapaleńcy mają swoje odcienia i stopnie, którym w języku naszym trafne służą nazwiska. Zamącony rozum oznacza obłąkańca; zupełnie od gwałtownéj przewagi fizyczności cierpiący, szaleńca, którego rozum jest istotnie pod gwałtem rozkiełznanych sił fizycznych. Ztąd często marzenia metafizyków bywają po prostu obłąkaniem, a zapał poetyczny szałem, który sam z siebie może uderzać, ale nic doskonałego nie wyda. Każde dzieło, szczególniéj poetyczne,

oryginalnością porywające, w szał wprawia naśladowców. Obłąkany romansami Donkiszot, uległszy szałowi miłosnemu i rycerskiemu, został błąkającym się rycerzem. Religijny zapał wojen krzyżowych w szał się przerodził. Uprzedzenia wydają zarozumiałość, upór zuchwałość, ślepe żądze zapamiętałość, drobne namiętnostki zaciętość, przesąd z namiętną nienawiścią złączony, zaciekłość itp.

Jak lód na zagorzenie, tak zdrowy, zimny rozsądek najlepszém jest lekarstwem przeciw zapaleńcom i zagorzalcom; i dobrze to mądrość najwyższa opatrzyła, że stokroć większą liczbę śmiertelnych uposażyła prostym, najpotrzebniejszym każdemu rozsądkiem, że ten jakkolwiek chwilowo zaburzany, trzyma sukcessyjnie najwyższe rządy społeczności, że stopniowo i zwolna, ale zawsze postępuje, zawsze wyżéj i szerzéj widzi. Co bystrość rozumu, co uniesienia ludzkie odsłonią i wzniosą, to on miarkuje, przez nie do działania się wzniesie, wprowadzi w użycie i pod swój bierze kierunek. Jest to wspaniały, cierpliwy rządca, umiejący wyrozumieć ducha w objawiających się charakterach i uczuciach; a nawet z zaburzeń chwilowych, jeśli doznać ich musi, korzyść rozwinąć. Rada i czynność rozsądnego rozwija, ożywia wszystko, jak deszcz majowy.

Lecz jak ludzie głębszém czuciem i bystrzejszym obdarzeni dowcipem, zwykli przestępować granice przez rozsądek wskazane, tak on wzajemnie tylko w obrębie swojego pojęcia, granice umysłu i dążeń ludzkich najczęściéj upatruje; a tak ze zbawiennéj sporności wyradzają się przeciwieństwa i walki. Stąd umysły gorliwe są najczęściéj pastwą samolubów, a wszelkie wyższe uniesienia igraszką tak zwanego zimnego rozsądku. On najczęściéj bardzo ściśle z samolubstwem się łączy i wtenczas, mimo mniemanéj zimności, ma swoich zagorzalców i zapaleńców. Egoista najwięcéj zwykł mówić o zimnym rozsądku, ale najwięcéj ukrywa pod nim poziome, kobiece namiętnostki: próżność, upór, złośliwość niedołężną, mściwość w drobiazgach lub zazdrość. — Kiedy tak zwani genialni ludzie mówią: że wszystkiego sami z siebie dobywają, że są ogniskiem, z którego się promienie w nieskończoność rozchodzą; oni chcieliby wszystko w siebie zagarnąć, siebie

uważają za punkt środkowy, koło którego wszystko się obracać powinno. Co ich nie dosięga, to nie jest, albo jest niepotrzebne, albo nawet szkodliwe; bo o swoje drobiazgowe korzyści są tylko troskliwi, bo niemi otoczeni, nic daléj nie widzą; a że nie widzą lub nie patrzą, wołają, że w koło nich noc się rozpościera; czego nie pojmą, tego innym nie dopuszczą i nie odpuszczą; chcieliby, żeby wiatr nie zawiał tam, gdzie rozpostarli swe siatki na połów lichy. Sam dotykalny, dzisiejszy pożytek jest im hasłem, jak pieniądz gotowy. Jak ów zimny filozof słysząc piękną poezyę, pytał: co to dowodzi? tak oni, zimni rachmistrze, pytają tylko: ile to i rychło przyniesie? Jeśli jakowym przypadkiem ocuceni, kredkę z rąk wypuszczą, albo oderwani od powszednich roztargnień, u filozofii lub religii dopytują trwalszego szczęścia w przyszłości, chcieliby z rachunkową pewnością o niéj przekonać, jak wędrowiec wywiaduje się o zamorskiéj osadzie: czy warto na nią trudy poświęcić i pieniądz okrągły wyłożyć. Nieszczęśni! nic nie mają we własném uczuciu, coby ufność lub rezygnacyę budziło; ich czynność jest uśpieniem, a gdy przebudzeni, na świat popatrzą, wszędzie widzą tylko wątpliwość. W całéj natnrze widzą tylko warstat, a w usiłowaniach uczonych ku jéj zbadaniu, tylko pańszczyznę swoję, dla ich skrzyni i stołu pracującą. Wszystko u nich i człowiek, i dni jego i siły są odważone, ocenione.

Inni chcieliby wszystko uduchownić i uogólnić, samemi żyć i częstować abstrakcyami. Abstrakcye są istotnie owe wyniosłe góry, nagie i zimne, które przecież z łona swojego najdroższe kruszce i rzeźwiące źródła wydają i są punktami położenie miejsca wskazującemi; ale jakże po ciemnych i zawodnych przepaściach trzeba szukać tych kruszców, jak w nich ostrożnie obywać się trzeba słabém, ziemskiém światełkiem, jakże ono często słabych wędrowców daremnie utrudzają, uwodzą i niebezpieczeństwa nabawiają; jak zwykle mgła je osiada, a nawet jak nieraz mgłę za górę bierzemy! Te widoki uwodzą i zawodzą najczęściéj młodzież, pełną zwykle zaufania w swych siłach. Przeciw temu pisarze nasi najsurowiéj od dawna powstawali, i pod tym względem tyle przyznać można

polskiéj literaturze, iż nie mając własnéj, rozwiniętéj filozofii, gorliwie broniła przystępu fałszywéj i wyraźnie bezpożytecznéj. Między innemi mówi o tém Dantiscus: „Napotykać się zdarza młodzieńca pełnego przymiotów, lecz z głową do zapału skłonną, który czyni, pisze i mówi w zawichrzeniu nie rozplątanych swych marzeń, chluby szuka z przesady w zdaniach najdzikszych, gubi się w upatrywaniu rzeczy mianych przez niego, za tak niepospolite, iż ufa, że on pierwszy wpadł na nie; lub ginie w subtylizacyach rzeczy już nieraz powiedzianych: gdy obok niego drugi, choć z głową mniéj dołężną, a ufnością porządnie nabrzmiałą, mędrkuje, wyrywa się i utrzymuje pozaczepiane niezgrabnie, mylne zdania, a jemu podobni słuchacze, zaduchem słów bez sensu w zawrót wprawieni, rozchodzą się i nierozum cudzy, w ich głowy świeżo nalany, z nierozumem własnym skłóciwszy, szynkują tym bełtem po stronach.“ *

Inni wiecznie rozprawiają o praktycznym rozumie i są nieprzyjaciołmi wszelkich nowych wyobrażeń dlatego tylko, że są nowe, że w ich ramki albo rubryki nie dadzą się pomieścić. Nie chcą pamiętać, że i doświadczenie musiało kiedyś doświadczaniem być poprzedzone. Doświadczenie jest niezawodnie najdroższym skarbem ludzkiego rozumu, który wiek wiekowi podaje, hasłem, które po ciemnych i niebezpiecznych bezdrożach wszystkich ostrzega. Ale to hasło najczęściéj wtenczas dochodzić nas zwykło, gdy już za późno i zawsze szkodą naszą opłacać je trzeba. Nauki doświadczenia nietylko zewnątrz, ale i wewnątrz nas szukać należy, trzeba nietylko iść za doświadczeniem, ale i doświadczać. Obce i nasze doświadczenie powinno uczynić nas świadomymi, stać się naszém przeświadczeniem, które tém jest w rozumném, czém sumienie w moralném postępowaniu. Wielbiciele samych zmysłowych i rachunkowych doświadczeń nie opłacają ich szkodą, bo naturalnie mało na nie odważają. Dobrzy to, szczęśliwi i użyteczni ludzie są wtenczas, gdy nie usiłują innych w swój tylko zakres zasięgać, gdy nie każą wszystkim wierzyć w jedyny, czysty swój rozum: bo wtenczas są to w swoim rodzaju za-

* Myśli o pismach polskich str. 107.

paleńcy, fanatycy, śmieszni w swém samowładztwie. Mało istotnie się różnią od owych romantycznych rycerzów, którzy jedynie na damę swojego serca wszystkim przysięgać każą; a ta dama jest także najczęściéj tylko utworem ich uwidzenia.

Z drugiéj strony są mniemani genialni ludzie, którzy nie już po arystokracku ród swój z odwiecznego czystego rozumu, ale prosto od nieba wywodzą, o których wieść niesie, iż są półbogami, którzy raczyli się wcielić w ludzką materyę. Dla nich nie dosyć jest na zaszczycie być człowiekiem w całém znaczeniu tego wyrazu, zwyciężać trudności, doskonalić dane siły w sobie i dla drugich. Ci są jeszcze od powyższych dumniejsi, zwłaszcza, gdy nietylko w siebie, ale i w drugich to przekonanie wmówić potrafią. Oni pogardzają rzeczą najoczywistszą dla tego tylko, że ją wieki i ogół społeczności za taką uznały. Chcieliby wypuścić z pacierza prośbę o chleb powszedni dla tego tylko, że to jest chleb powszedni, wszystkim potrzebny; a co powszechnie uznane, to nie dobre, bo pospolite. Podobni do owéj powiastki o kaznodziei, który mówił: „Że księżyc większym jest cudem niż słońce: bo ten w nocy przyświeca, gdy słońce mniéj jest potrzebne, bo we dnie i tak widać.“ W ich rozumie, wszystko, co jest nowe, jest ważne i prawdziwe, a wszystko, co nadzwyczajne, to zaraz i wielkie. Głosząc się uprzywilejowanemi dziećmi natury, powstają przeciw temu, co przez samą prostotę swoję jest w ludziach i w naturze najciekawsze; tak biorą wyjątek, albo ułamek za całość i doskonałość najwyższą. Zagorzali chcieliby wyprzeć się rozumu dla tego tylko, że inni prostą drogą za nim postępują i wolą się błąkać po drogach nie znanych za uwodzącém zjawiskiem.

Lecz nadto, oni najgwałtowniejsi są w narzucaniu innym swoich uwidzeń i najzdolniejsi pociągnąć za sobą młodych naśladowców, do których zwykle prędzéj przemawia zuchwałość, niżeli baczenie, prędzéj nowość, niż powszechne uznanie. Prawda, iż nie o wszystkiém należy sądzić według mniemań powszechnych, przecież potrzeba zawsze w nich szukać prawdy, przekonywać się o ich zgodzie albo sprzeczności, nie zaś stawać przeciw nim dla tego prawie, ażeby nowe sprzeczności

wprowadzać. Każda prawda i każde dobro, które się gwałtownie narzuca, jest podejrzane, przynajmniéj gwałtowność żadna nie przyniesie owocu organicznie i dojrzale rozwiniętego, ale tylko zmienną nowość, przesąd za przesąd i modę za modę. Jest to po prostu tylko żądza oryginalności, w swoim rodzaju żywy egoizm. Dodać tu można, co mówi Kant o podobnych geniuszach: „Nie chcę rozstrzygać, czyli świat szczególne odnosi korzyści z geniuszów, które nowe torują drogi i nowe wskazują widoki, czyli téż z głów mechanicznych, które chociaż nie stanowią epoki, przecież powszednim, o lasce doświadczenia postępującym rozumem, przyczyniły się najwięcej do wzrostu nauk i wiadomości, które nie wzbudziwszy zadziwienia, żadnego nieporządku nie wzniosły. Ale jest rodzaj ludzi, niby genialnych, którzy się wcisnęli pod godło umysłów, szczególnie od natury obdarzonych, którzy trudzące badania i nauki za udział mierności uważają. Ci dla postępu nauk i obyczajów bardzo są szkodliwi, gdy o przedmiotach najważniejszych, jako poświęceni ze stanowiska mądrości, stanowczym tonem rozprawiają i tém ubóstwo swojego ducha pokryć umieją. Nie ma przeciw temu innéj rady, jak śmiać się, a samemu z pilnością, porządkiem i jasnością cierpliwie się doskonalić, nie mając względu na podobne kuglarstwa.“ *

Obiedwie te strony lubią sobie najwięcéj nie tylko krainę filozofii, ale sztuki przywłaszczać i w ich sprawie, z ich szkodą zacięte boje prowadzić. Jest to istotnie tylko walka między przesądem a modą, między abstrakcyami rozumu i czucia, między formami bez ducha i duchem bez formy.

Obiedwie nie chcą nic pośredniego pojmować i owszem każde umiarkowanie okrzykują za niedołęztwo, obojętność, a siebie nawzajem za zgubę smaku, nie pomnąc, że w tym ostatnim przypadku mają najwięcéj słuszności za sobą i że każdy upór, każdą przesadę sam czas zwykle miarkuje i w ręku umiarkowanych ludzi udoskonalenie wszystkiego zostawia. Obiedwie ujmują się za naturą i prawdą, cel chwalebny, byle go widzieć i drogę do niego zgadnąć. Lecz obiedwie każą najczęściéj i usuwają naturę, odbierają zdrowe o niéj pojęcia jéj uczniom i wołają, aby ją naśladowali:

* Anthropologie str. 163.

„Natura błaga, prosząc się za swymi.“

Źródłem urojeńców i zapaleńców, jest zawsze owa wyłączność, jaką albo samemu czuciu, albo samemu rozumowi przyznajemy. Człowiek przeto myśli, że czuje i czuje tém zdrowiéj, im zdrowiéj myśli. One się nawzajem wspierają i wznoszą, zgoda i porządek stanowią ich siłę spokojną i wolę.

W wielkich charakterach i gieniuszach nie idzie nigdy o przewagę jednéj lub drugiéj, ale tylko o stopień i zgodę obudwu. Samo tak zwane czyste, czy oderwane myślenie jest najczęściéj mamidłem lub igraszką; są to cyfry i zera, z których tylko urojoną summę wyrachujemy. Tém tylko się zajmujący jest mniemanym panem niezmiernych napowietrznych krain, które jemu i innym w zastosowaniu żadnéj nie przynoszą korzyści; powodujący się zaś samém czuciem jest tylko istotnym niewolnikiem. „Człowiek, mówi Herder, który tylko chce być głową, jest równie potworem, jak ten, który samém sercem chce zostać; cały zdrowy człowiek jest jedném i drugiém. — A że w nim wszystko jest na swojém miejscu, to jest: serce nie w głowie i głowa nie w sercu, to właśnie czyni go człowiekiem.“

Czém jest wielki charakter w moralném działaniu, tém jest geniusz w krainie myśli. Ze względu na doskonałość, charakter nie jest ten lub ów przymiot, ale dzielna wola ze zgody pojęć i uczuć wynikła; to samo geniusz nie jest tém lub owém usposobieniem, ale siłą twórczą, z bystrości pojęcia i przenikliwości czucia wynikłą. Charakter objawia się dzielnym, geniusz twórczym. Wzniosły charakter i geniusz wykonywają wielkie dzieła, i są rzeczą prawie jedną, przynajmniéj wzajem się zajmującą; w zapale spełnia takiż charakter wielkie czyny, geniusz objawia wielkie myśli. Szczególnie czyny i myśli uważali starożytni za natchnione od bogów, a wzniosłe charaktery i geniusze nazywali bardzo oszczędnie boskiemi: boski Homer, Platon i Kato.

Dawni Polacy nic o geniuszu, ani nawet o talencie nie wiedzieli i skromnie nazywali je darem, one istotnie są darem po ludzku hodowanym i objawionym. Nie rozróżniali rodzaju charakterów i zdolności, ale tylko ze względu na doskonałość objawianą zwali je dzielnemi. U Rzymian „ingenium, vis animae, charakter“ były rzeczą jedną. Jan Kochanowski mówi: „iż dowcipem wsławił swe imię na Północy“; dziś, gdy dowcip w znaczeniu francuzkiego esprit uważamy, nieprzyzwoicie byłoby dowcip sobie przyznawać, chętniéj za to przyznajemy, szczególniéj poetom, zaszczyt geniuszu. Nazwiskiem tém, zwyczajem Niemców, hojnie zaczynamy szafować, a przecież przyznajemy mu władzę prawie nadludzką. Wielkie zaś i wzniosłe charaktery rzadko tym oznaczamy przymiotem. Nie mamy, jak starożytni, geniuszów i charakterów boskich, prostych w swojéj wzniosłości, ale mamy je więcéj indywidualne i te powszechnie oryginalnemi zowiemy; tę oryginalność samą bierzemy za ideał doskonałości poetycznéj. I takie charaktery są główną cechą tegoczesnych utworów poezyi i samych geniuszów poetycznych, których doskonałość jest przeto trudniejszą. Ztąd w malowaniu wzniosłych charakterów widzimy przesadę, w charakterach rozmaitych dziwaczność; albo poeta tym, jakie wystawia, własną nadaje indywidualność, co jest najgorsze dla naśladowców, ponieważ nietylko wystawiane w poezyi charaktery, ale siebie samych z obcego wzoru fałszują.

Początki cywilizacyi znamionują namiętności silne i surowe charaktery; w jéj najwyższém rozwinięciu są spokojne i umiarkowane; w czasach zepsucia wracają do przeciwnéj ostateczności: namiętność jest wynaturzoną, charakter najwięcéj dziwaczny i przesadzony. Równie we wszystkich wiekach utwory olbrzymie, mistyczne poprzedzały epokę dobrego smaku, który zawsze jest miarkowaniem sił i skutecznem ich użyciem; wzajem schyłek jego oznaczały zawsze dziwaczność i przesada, które bywały najwięcéj skutkiem rozmyślnéj oryginalności. W każdém tém położeniu geniusz poetyczny jest najwydatniejszém wyobrażeniem charakteru, wieku i narodu swojego.

Na tém polega najwięcéj istotna jego oryginalność; i dla

tego jak czasy geniuszu, tak i on nigdy się właściwie powtórzyć nie dadzą; tak jak oryginalność nie da się nabyć, ani wymyślić; dlatego geniusze z prawdą i prostotą wieki prostoty malujące, nie naśladując się wzajem, mają najwięcéj podobieństwa do siebie, gdy przeciwnie, obcych niewolniczo naśladujący, mimo wiedzy i woli, wyda się zawsze ze znamieniem wieku swojego.

Pomijając wszystkie uroki, jakiemi podoba się dzisiejszym pisarzom naturę i działanie geniuszu poetycznego oznaczać, uznajmy to za pierwszą jego cechę, iż obdarzony bystrością pojęć i przenikliwością do wrażeń, umie je z twórczą imaginacyą kunsztownie wyrażać, iż umie, że tak powiem, to, co wczuł w siebie, wczuć w innych. Ciekawość, czynne udzielające się życie, głębokie uczucie prawdy, postrzegająca towarzyskość, czynna samotność, trafność i trzeźwość w obiorze przedmiotu, energia i dziecinna ufność w wykonywaniu, staranność i wytrwanie w wykończeniu: to jest, co go czyni nie czémś wyłącznem od ludzi, ale żywém wyobrażeniem ich pojęć i uczuć; prawdą natury w danym szczególe. Prawdziwy geniusz przejęty jest zawsze uczuciem moralnéj godności i szczęścia człowieka, i przeto najwięcéj czyni wrażenia, gdy wielkość lub nicość, łagodne uczucia lub namiętności, cnoty lub zbrodnie wystawia.

Ale są krytycy, którzy wołają, że geniusz nie ma nic z ludźmi spólnego, a przecież mówią oraz, że go sama imaginacya i gwałtowne namiętności stanowią; że nawet obce są dla niego względy moralne i że tylko dla imaginacyi i uczuć przemawia. A tak czynią go czémś nadludzkiém i razem niżéj ludzi stawiają.

Ztąd mamy od końca dopiero zeszłego wieku nie znanych dawniéj zagorzalców i zapaleńców, którzy geniusz sobie przyznają, bo takich natura nigdy nie tworzy; jest to owszem wynaturzenie i dzieło samych ludzi. Ztąd najwięcéj cenne poezye, które exaltowane malują umysły i które gardząc celami, mają przecież za cel namiętności obudzać, cel geniuszu najniegodniejszy. Te exaltacye są owocem zużycia sił fizycznych, przesycenia i nudów, a namiętności nie są objawie-

niem silnéj natury, wystawieniem ich zgrozy, gdy rozum tłumią, ale raczéj mają swe źródło w niespokojnym, szperającym rozumie i najczęściéj są tylko mylném jego wyrachowaniem.

Jak filozofia, któraby tylko uczyła nas rozumować, dowodzić, a nie działać, byłaby martwą dla nas rzeczą, tak poezya saméj imaginacyi i namiętności bez wodzy rozumu, byłaby tylko gminném widowiskiem szaleństwa albo pijaństwa. Wiedzieć bez umiejętności, a chcieć bez woli, jest to być tylko w połowie człowiekiem, a raczéj, sprzeczną sobie, nieszczęśliwą istotą. Takie wyszukane namiętności dręczą duszę, nic jéj nie nagradzając; one równie jak rozpusta niszczą wolę. Człowieka ze zdrowém czuciem nie wzniosą, nie wzbudzą spółczującéj litości, ale tylko rozumu politowanie, albo uczynią wrażenie, dręczącą nieprzyjemność budzące, jaką sprawia dla ucha niezgodność mocnych dwóch instrumentów. Dzieło poetyczne winno zaspakajać nasz umysł i woli pochlebiać. Obalony w niém boleścią, jest tylko zwierzęciem dręczoném, nie cierpiącym człowiekiem; ponieważ po człowieku moralnego oporu przeciw nieszczęściu, po poecie wyniesienia się nad namiętności żądamy, bo przez to jedynie w charakterze wola, w poecie twórcza siła czynnie i godnie objawiać się mogą.

Wszystkie wielkie gieniusze aż do naszych czasów nie inne miały przekonanie o sztuce, i z nich filozofia i krytyka wyższe o niéj wyczerpały pojęcia. Przytoczę jedynie kilku krytyków niemieckich, a czytelnik wyrozumieć raczy, dla czego niemieckich.

Schelling mówiąc o geniuszu, jako niewidzialnym darze natury i o sztuce, jako nabytéj od woli i rozwagi natchnionego, dodaje:

„Chociaż to, czego wprawą nie nazywamy, ale co z nami się rodzi, powszechnie za najlepsze uważane bywa, jednak Opatrzność do wykonania téj wrodzonéj siły pracę, pilność i rozwagę tak przywiązała, że poezya, nawet wrodzona, bez nich martwe niejako płody wydaje, które nie mogą zająć rozumu i które przez ślepą siłę w człowieku działającą, wszelki sąd i zapatrywanie się na niego odstręczają.“

GIMNAZJUM
ŚW. ANTONIEGO
w Nowem Mieście n/B.

Kant mówi: „Uwolnić imaginacyę od wszelkich więzów i prawideł, dozwolić wrodzonemu talentowi wbrew nawet przyrodzeniu postępować i dziwaczyć, byłoby to może oryginalném szaleństwem, ale nigdy wzorowém, które przeto z geniuszem żadnego mieć spólnictwa mieć nie może.“

„Ci, co się za samą fantazyą ubiegać zwykli, (są słowa Goldsmidta), podobni są do owych ciał w Indyi, którym głowę ziołami napełniają, mózg zaś uszami wyjmują.“

Jan Paweł Richter, któremu uczucie poezyi w najwyższym stopniu przyznać należy, uznaje rozwagę za najpierwszy przymiot geniuszu. Otóż niektóre jego odrębne myśli:

„Poeta wznosi się jak płomień, wolny, lecz nie rzutem namiętnie wyskakującéj miny.

„Tylko nierozsądny młodzik utrzymywać może, iż ogień geniuszu gore tak, jak namiętność, tak, jako niegdyś popiersie trzeźwo poetycznego Platona, za popiersie Bachusa udawane bywało.

„Rozwaga poety, którą najchętniéj filozofom przypisujemy, ustala powinowactwo obudwu.

„Gdyby rozwaga jako takowa zbytnią była dla geniuszu, wtenczas człowiek rozważny byłby niższy od dzieci i zwierząt.“

„Jak mało poezya jest samą kopią natury, widać to w młodzieńcach, którzy wtedy właśnie najgorzéj mówią językiem uczuć, gdy te niemi władają i za nich krzyczą; są oni jak owe koła młyńskie, które właśnie zbytek wody tamuje, a przecież podług fałszywéj niektórych zasady, powinniby tylko przepisywać to, co im jest dyktowane.“

„Żadna ręka nie zdoła utrzymać pendzla lirycznego i nim kierować, skoro w niéj bije febryczny puls namiętności.“

W imieniu rozszerzanego światła i nowszych estetyków, głoszą niektórzy nietylko, że rozsądek niebezpiecznym jest dla poezyi, ale nadto, że użytek i cele moralne obce są dla niéj. Sztuka jest wyższą nad to wszystko, i dla tego że jest wyższą, ma tylko nas bawić i zaślepiać. Kto inne cele i pożytki w niej upatruje, ten myśli poziomo. Tak jest! Poezya nie powinna służyć ani samolubnym rachubom, ani próżności, ani panującym namiętnościom i narzucającym się opiniom: ale jeżeli we-

dług nich z innnego świata na ziemię zstępuje, choćby to była i Muza we własnéj osobie, mają dla niéj być obce i obojętne najwznioślejsze starania i dążenia ludzi? Jest powszechny święty interes, który i dla geniuszu, choćby i z nieba widzialnie zstąpił, musi być drogim i zajmującym: tém jest starożytne jéj godło, godło samych pogan: emollit mores, nec sinit esse feros. Ono służyło równie surowym niegdyś społeczeństwom, jak dziś zepsutéj cywilizacyi: mamże powtarzać dowody od zawiązku dziejów powszechnie uznane? Czemże ty byłeś istotnie Apollinie, któryś ziemię Grecyi oświecił, z potworów ją oczyszczał, i wy z bajecznych podań znajomi, Orfeuszu i Amfionie? Cóż jest treścią najpierwszych poetów we wszystkich z dzikości wyszłych narodach? Gdzież nie byli pierwsi poeci piastunami uczuć i podań religijnych, tudzież zaszczepcami praw i obyczajów? Który jest wiersz w całéj poezyi Hebreów, żeby tego nie przypominał? Ale dalece bądźmy od porównania jakiegokolwiek w tym względzie. Pierwsi byli tylko filozofowie, drudzy religijnie natchnieni; tych natchnień jak tamtych zasad, poezya była tylko objawieniem dla wieku stosownym i środkiem. Poezya była zawsze w sercu człowieka, chociaż bez sztuki i bez celu objawiana. Przy rozszerzonych wyobrażeniach i sztuce, pożytek i wyobrażenia moralne, były nie już celem, ale środkiem podobania się i piękności. Czemże byli pospolici poeci na dworach perskich i innych wschodnich monarchów, którzy nicość wielkości, sprawiedliwość i ludzkość w serca panów wrażali? Zrozumianoż pod tym względem Homera, o którego się miasta greckie kłóciły, a dziś stronnictwa dawnej i nowej poezyi? Więc poetą nie był Hezjod ani Wirgili, który namiętnym łupieżcom świata ziemiaństwo opiewał? W wiekach zepsucia Dante otworzył piekło, do którego obrazy wynalazł, zapatrując się na męki sumienia. Żaden prawdziwy tragik, czy Eurypides, czy Szekspir, nie przerażali serca na próżno widokiem nieszczęść i walk człowieka, jak zwierząt dzikich i osobliwych, a tém mniéj, malując namiętności, do namiętności wzbudzali. Nie sądzi inaczéj filozofia, ani prawdziwa poezya; ci tylko tak twierdzą, którzy filozofii nie rozumieją, a poezyi nie czują.

Te same wyobrażenia panują o namiętności w poezyi. Poeta sam nie może być ślepem narzędziem uniesień, które nie zawsze z nieba pochodzą, tém mniéj może czynić słuchaczów ich narzędziami. Od Bajrona począwszy, rozszerza się najzgubniejsze dla pojęć moralnych i poetycznych wyobrażenie, że człowiek mocném czuciem obdarzony, tylko w gwałtownych żądzach znaleść może swój żywioł. Wszelki postęp prawdziwéj cywilizacyi jest łagodzeniem gwałtownych namiętności, inaczéj niebezpiecznym byłby darem. Odkąd człowiek dzikie skoki i okrzyki radości poddał prawu taktu i melodyi, odtąd zaczął się łagodzić i miarkować. Cała Iliada jest ostrzegającym obrazem okropnych skutków namiętności i niezgody. Homer spokojnie zaburzonych bogów i ludzi malując, wraża wszędzie miłość i błogość pokoju. Wszędzie przyznaje tryumf męztwu rozważnemu, nad ślepemi zapędy niedoświadczenia młodzieńców i szałem niesfornym niższych w cywilizacyi Trojan. Poeta tragiczny, którego przedmiotem najwięcéj są namiętności, nie inném powoduje się czuciem: on namiętności, nie dla namiętności maluje. Prawdziwy tragik jako mistrz z różnych tonów, tylko wznoszące uczucie z zaburzenia wydaje. Owa spokojąca zgoda z sobą samymi, jakie w nas poetyczne wystawienie namiętności wzbudzać powinno, jest istotnie ową czystą i rzeźwą pogodą, jaka zwykła następować po burzy. Wrażająca zagadka przeznaczenia człowieka i tajemnice serca jego, cierpienie jego i godność: są to tony przeciwne, z których pod jego ręką ostatecznie harmonia wyniknąć powinna. Jeżeli tego przedmiot, lub zdolność poety dokazać nie mogą, dzieło jego nie będzie całością, dojrzałym i rzeźwiącym owocem. Pokój, ukojenie, które tylko po nieszczęściach, trwodze i żalu następują, są najwłaściwszym w naszym języku wyrazem, oznaczającym tę wynikłość poezyi tragicznéj. Walki z namiętnościami w tragedyi wystawiane, są jak walki z nieprzyjacielem, tylko dla pokoju; i namiętności przez namiętności pokonywa poeta, tak jak wódz wojnę przez wojnę. Godność działającego człowieka, cierpieniami wzniesiona, nigdy burzą nie pokonana, mocą zwycięzką, lub spokojną, uroczystą wolą się poddająca, jest w tragedyi same nieba, zajmującym

widokiem. Stąd doskonała tragedya jest najtrudniejszym, oraz najwspanialszym poezyi utworem.

Lecz niechby poezya trudniła się samém powtarzaniem natury, bez względu na skutki moralne, na prawdziwie poetyczne wrażenie: może je zajmować, tak jako sama natura i ludzie, ale nie jako obraz poetyczny ich doskonałości, według ideału. Te nie udoskonalone, ale przez prawdę zajmujące kopie natury, są cechą najznakomitszych pisarzów dzisiejszych w Europie. Rozmaitość charakterów indywidualnych z rzeczywistości branych, jest pięknością naszéj dramatyki i romansów, o jakich wyobrażenia nie mieli starożytni, u których człowiek, albo jeszcze nosił piętno natury spolne innym, albo był tylko niewyzwoloną cząstką swego społeczeństwa. — Inny przecież jest stan rzeczy, co do samego czucia i namiętności. W dzisiejszéj cywilizacyi czucie nasze mało ma czerstwéj, a zatém poetycznéj prawdy; obok delikatności bywa pieściwe, przesadzone, a nawet według mody przemienne, rafinacyą i nudami drażnione. Dla tego rzadko poeta, który najczęściéj i sam jest takim, wyprowadza nas w krainę orzeźwiającéj natury, tak jak starożytni, malując ideały charakterów i uczuć, unosili do wyobrażeń doskonałości według prawdy. Wzajem namiętności są dzisiaj, albo łagodzone, albo pokrywane, albo wyradzają się w błahe namiętnostki. Gdy rzadko pisarz silne i gwałtowne namiętności z natury czerpa, wystawia je fałszywie w tragedyach i z przesadą, osobliwie wtedy, gdy własne swoje namiętności, lub siebie w innych osobach, jak Bajron, wystawia. Dla tego ten poeta unoszący we wszystkich innych swych płodach, dalekim jest od doskonałości w tragedyach, których przedmiotem są namiętne uczucia: bo namiętnie czujący nie patrzy zdrowo na namiętności innych. Wystawienie namiętności na scenie, dla zmysłów naszych jest nierównie trudniejsze od malowania ich dla czytelnika. Francuzi, którzy tyle mieli delikatnego smaku przyzwoitości, którzy słusznie usuwali ze sceny widoki fizycznych cierpień i tyle wytwornéj ogłady bohaterom swoim nadali, z jakiém natomiast wyszukaniem i przesadą malują w długich i grzmiących tyradach namiętne uniesienia! Owe wyrachowane wrażenia, ciągłe krzyki

i szarpania się, zwłaszcza bohaterek scenicznych, sprawiają raczéj uczucie poniżenia istoty ludzkiéj; zamiast zajęcia, odstręczają, i oczy od tego widoku odwracać każą, a razem obrażają uczucie prawdy: bo prawda uczucia nie równie jest delikatniejszą od prawdy rozumu. Fałszywie rozumujący znudzi nas, albo rozśmieszy: ale fałsz uczucia budzi w nas oburzenie, jakby za obrażoną w nas samych naturę. Prawdy rozumu w poezyi mamy nie rzeczywiste, lecz ugodzone, pozorne; nie obraża nas w poezyi człowiek rymami mówiący lub śpiewający; są to dozwolenia, na które rozum nasz przystał przez cześć dla czucia; ale czucie samo; nigdy nie może być zmyślone, ani fałszywe. Rozum nasz zniesie istoty zmyślone, czyste fantazyi utwory, chętnie pójdzie za nimi w świat nadziemski i podziemny, byle tylko objawiały prawdę ludzkiego uczucia, lub go nie obrażały.

Starożytni mieli zadziwiające, silne charaktery, wielkie i wyraźnie się objawiające namiętności, ale nie widać w nim śladu takich, któreby uderzały tém, co dziś oryginalnością zowiemy. Oryginalność była u nich jeszcze w źródle swojém czystą naturą. U nich charakter nie oznaczał rodzaju téj lub owéj skłonności, nałogów i dziwactw, ale czynną i mocną wolę. Zajęci ciągle obywatelskiemi czynnościami, religią zmysłową, żyjąc w prostocie, bez rozróżnienia rozmaitych stanów i wymyślnych potrzeb życia, nie mieli skrzywionych i fałszywych eksaltacyi. W bohaterach pod Troją widzimy namiętności, srogość i surowość, ale żadnego od natury zboczenia. W czasach cywilizacyi zapał do chwały w każdym rodzaju sekty filozofów, niezgody, ale nigdy rozbratu z samym sobą ani dziwaków od powszechności się wyłączających. Ich miłość do sztuk, szczególniej do rzeźby, których zasadą była spokojność i harmonia, doskonałość człowieka duszą i ciałem, nie dozwolała im innéj różnicy, nad stopień doskonałości. Na wzór jednego, że tak powiem, ideału doskonałości, jakby Apollina belwederskiego, kształciła się cała Grecya; stąd w porównaniu z naszemi czasami, owa prostota i brak odszczególniających się charakterów w dziejach i geniuszów w sztuce, brak tego, co dziś w złém znaczeniu exaltacyą zowiemy,

brak odstrzelenia się i przebujałości. Ich poeci nie malowali swojéj odrębnéj indywidualności, ale powszechne, ludzkie uczucia i greckie obyczaje. Nawet w poetach lirycznych, Anakreoncie i Pindarze, widzimy tylko jasne odbicie życia poetycznego Greków. Za to, do ożywienia téj w pospolitém dziś rozumieniu jednostajności, mieli bogaty, czarujący świat Mytologii, który wyobrażenia nieskończoności tak mile ograniczał, jak owe jasne zorza, zdające się ziemię z niebem połączać. Z tym światem imaginacyi, który już nigdy powtórzyć się nie da, tak byli spoufaleni, jak ze swojemi grody i wyspami; ich Olymp był razem ziemski i niebieski, ich bogowie byli to ludzie ubóstwieni, udoskonaleni i szczęśliwi według zmysłowych pojęć. Równie cała ich przeszłość narodowa opierała się o bogów i półbogów; ród znakomity, jak miasta, od nich wywodziły początek, a ich losy i dzieła, ludzkie i nadludzkie, były jedyną skarbnicą poezyi, ziemię do nieba i niebo do ziemi zbliżającą. Nad ich narodem jak nad bogami, unosiło się nie dojrzane a wszystko widzące fatum, trzymające od wieków wyroki na bogów, ludzi i całe pokolenia. To fatum jest duszą całéj ich tragicznéj poezyi. Ich smak najdelikatniejszy, szanując godność człowieka, kazał im raczéj wystawiać ludzi dopuszczających się zbrodni z przeznaczenia, niżeli z własnego popędu, walczących z nieszczęściem, ale nie z sobą samymi. To jedynie wyprowadzało ich z zakresu dziecinnéj rzeczywistości ku rzeczom wyższym i niepojętym, tak jako piorunna chmura obudza w polu wędrownika, kiedy w spoczynku przyjemnie marzy.

Pisarze teraźniejsi, nie mogąc powtórzyć owéj harmonijnéj doskonałości w ograniczeniu i całéj mytologii Greków, usiłowali przejąć od nich samo fatum od tragedii z chrześcijańskiéj religii i dziejów czerpanéj: gdyż to fatum zdawało się najwięcéj odpowiadać dzisiejszemu kierunkowi imaginacyi, pragnącéj nadzwyczajną przerażać okropnością. Lecz jak fatum Greków było tylko ciemném przeczuciem woli najwyższéj i konieczności, tak owe, jakie Werner, Müllner i Grillparcer wprowadzili, jest przeciwne pojęciom chrześciańskim o konieczności, i o woli człowieka. Fatum greckie jest mściwe, nieprzeparte,

czyniące człowieka narzędziem, popełniającém cnoty, lub występki, bez zasług i winy, którego widok tylko przeraża i litość obudza. Według chrześciańskich wyobrażeń, człowiek może być nieszczęśliwym bez winy, ale nie może być bez własnéj winy przez występek poniżonym. Jest on chętną ofiarą konieczności, ale nie igraszką, ani narzędziem. Ofiara ta jest wzniosłą, gdy ma wykształconą swą wolę, to jest: podległą moralnym wyobrażeniom, godzącą swoję powinność z koniecznością. Czyli się téj konieczności poddaje, czy walczy z sumieniem swojem, czy z namiętnościami, czy im ulega, ma wybór swojego losu; a moralnéj swojéj godności jest sam utwórcą. Takie pojęcie o człowieku powinno być przynajmniéj zasadą tragedyi, jako poezyi najpoważniejszéj.

W tragedyach powyższych, zamiast niewidomego najwyższego wyroku, któremu i bogi podlegały, czynią ludzi ofiarami, istoty samą igraszką imaginacyi potworzone; albo przyczyny nie wyższe nad rozum, ale jemu przeciwne.

Upior, lub czarownica, duch, nie zesłaniec przeznaczenia, ale błąkający się w pewnych godzinach do pewnego czasu, wybierają sobie ofiary. Przekleństwo staréj ciotki, nawarzenie pewnych ziół, kostek i racic, samo nawet wybicie pewnéj godziny, jest pułapką dla bohatera. W powieściach gminu, człowiek przynajmniéj ma wolą, zawiera kontrakt z djabłem, którego nietylko Twardowski jako szlachcic, ale i sam djabeł uczciwie dotrzymywali. Tu człowiek jest niczém, a nasłana przeciw niemu istota, jest jedynie czynną, i to nie według pojęć sprawiedliwości, ale według dziwactwa. Los człowieka w jéj ręku jest pewny, nie ma walki; jest tylko przedłużane dręczenie, mniéj godne widoku od niewolnika w Rzymie na pastwę zwierzom skazanego: bo ten, nim skona, przynajmniéj ma wolność walczyć fizyczną siłą. Wszelkie uroki stylu, i uboczne piękności, żywe nawet obrazy, lubo nie cierpiącéj, ale dręczonéj natury ludzkiéj, nie nagrodzą nigdy téj fałszywéj tragedji zasady. Brak koniecznéj godności człowieka i przeto się w niéj okazuje, iż nie osoby w dziejach znakomite, ale przestępców z aktów kryminalnych wybiera. U Greków przynajmniéj były ofiarami wyroku, nietylko znane z dziejów, ale

nawet z mytologii wzięte osoby, mające ważne allegoryczne znaczenie, jak Prometeusz, Herkules i Edyp; równie istoty, jakie na nich wpływać mogły, nie były próżnym fantazyi utworem. Nie działały bez przyczyny i celu; tak Eumenidy, Medea i t. p.; wyobrażały lub namiętności, albo wykonawców pomsty wyroków.

Takie pojęcia o przeznaczeniu i cudowności, u Greków i Chrześcian zważając, wyznać potrzeba, że Szyller w Dziewicy orleańskiéj wystawił pod temi względami, najpiękniejszy pomnik nowożytnéj tragedyi z wyższością moralną naprzeciw greckiéj, a tém bardziéj naprzeciw tragedyom hiszpańskim, czego rozbiór byłby ważnym, gdyby tu było miejsce po temu.

Więcéj nierównie i skuteczniéj skłonni są nowsi poeci do wystawiania charakterów eksaltowanych, w tém pojęciu, o jakiém już wyżéj mówiłem, które podług mnie nie zdumiewają, lecz tylko dziwią, które czynią mocne, przejmujące, lecz nie poetyczne wrażenie. Poeta powinien wynieść się na stanowisko, aby nie tylko czujący, ale i myślący człowiek mógł z nim uczucia podzielać. Jeżeli wystawia unoszących się, w ich malowaniu powinien być wzniosłym, w ich pojęciu nad nie wzniesionym, aby uczynił wrażenie, nie przez samą nowość, wyłączność od ludzkiéj natury, ale przez ich skutki, przez pochop, ażeby człowiek wejrzał w siebie samego, ażeby w człowieku ludzką poznawał naturę. Tak w eksaltowanych charakterach Szekspira widzimy tajniki natury ludzkiéj, które na nas czynią nie zatarte wrażenia, i do dumania nad naturą ludzką wzbudzają. Seid w tragedyi Woltera wzbudzi w nas boleśne wrażenie, lecz żadnych wzniosłych uczuć, bo pisarz w wystawieniu tego eksaltowanego charakteru tak był ubocznemi od poezyi celami zajęty, jak Mahomet jego utworu, którego nie entuzyastą w swoim rodzaju, ale zimnym, obrzydłym oszustem wystawił. Obadwa te charaktery prawdziwe czucie poezyi zawsze potępiać będzie, nie tylko jako przeciwne godności tragedyi, ale jako dążące do tego, aby święte religijne uczucie wystawiać jako skutek rachuby z jednéj, a obłąkania z drugiéj strony.

Byli poeci, którzy nie z rachuby ale ze szczerego natchnienia malowali charaktery eksaltowane. Werther Goethego jest utwór naiwny, serdeczny, ducha wieku najprościéj wyobrażający, który przeto powszechne sprawił wrażenie. Z całą przebujałością siły poetycznéj wystąpił za nim Szyller w tragedyi Rozbójnicy. Pisma te szczególniéj młode umysły eksaltowały. Pogardzać stosunkami towarzystwa, nosić żółte kamizelki, a nawet życie jak Werther zakończyć: to było z początku modą i wyższych uczuć oznaką. Wstręt bierze wspomnieć, do czego przywiodła eksaltowaną młodzież tragedya młodego poety Rozbójnicy. Na domiar tego trzeba było, ażeby upowszechniona tragedya Hamlet, tak pełna poetycznéj wartości, wzbudziła jeszcze w Niemczech upodobanie w posępnych humorystycznych uczuciach blizkich obłąkania. Ileż pisma podobne powszechnie naśladowane natworzyły nieznośnych zapaleńców, nudnych melancholików, tworzących sobie nieszczęścia, wyobrażających sobie swą wyższość nad wszystko, co ich otacza, że tu nie śmiem policzyć biednych dam eksaltowanych, u których mąż i dzieci zimną są prozą.

Lecz przypominam sobie, że aby sądzić o poezyi, nie dosyć jest być moralistą. Dla czegoż jednak mówi za mną pocieszające świadectwo od filozofów, aż do najprostszych ludzi? mówią zasady sztuki i doświadczenie: że zawsze w poezyi to najwięcéj zajmuje, co moralne zaspakaja uczucia? O tém przekonywają najlepsze płody poezyi. Czyliż dzieła podobne wyżéj wspomnionym, długo były modnemi? czyliż je dotąd zdanie powszechne za najlepsze między płodami tych poetów uważa? Jako płody młodzieńczych eksaltacyi, silne, lecz przemijające uczyniły wrażenie. Eksaltowanie młodzieży, któréj wiek sam przez się, aż do zazdrości jest poetyczny, uważam za nadużycie sztuki, za chwałę prędko przemijającą. Wiek męzki innéj poezyi wymaga: trzeba mu oprócz rzewności i mocy uczuć czerstwych, wzniesionych nad pospolitość, lecz nie za ludzką naturę, zgodnych ze zdrowym rozumem. Nigdy (jakby to chcieli już nawet teoretycy niektórzy) człowiek nie uśpi w sobie władzy rozumu, aby płodów imaginacyi używał: bo to byłoby jedno, co iść spać dla tego, ażeby marzyć. Poeta,

któryby tego wymagał, dowodziłby słabości swéj sprawy. Jeżeli na kim piękna poezya wrażenia nie czyni, to przecię nie dla tego, że ma rozum, ale że mu zbywa na czuciu.

Sam więc Goethe i Szyller tworzyli późniéj dzieła mogące zająć męzkie umysły, i te zajmować będą potomność. Jakiż to odskok od Werthera w późniejszych pismach Goethego, że nie wspomnę o romansie Meister's Lehrjahre, którym poeta pragnął powściągnąć eksaltacye przez pierwsze swe dzieło wzniecone. Czemże są późniejsze tragedye Szyllera, obok Rozbójników? kto nawet w rozprawach estetycznych silniéj mówił o prawdziwéj wzniosłości, jak Szyller? może to przyznają niektórzy oziębieniu poetycznego zapału? lecz jakże to pogodzić z trwałym powszechnym sądem, który właśnie te tylko późniejsze dzieła uwielbia? Jakże o nich sądzili celniejsi krytycy niemieccy, i sam Szlegel?

Czemuż to przypisać, że zdanie wszystkich narodów i wieków, doskonałość starożytnych uwielbia; mimo że wcale w nich nie widzimy tego, co dziś eksaltacyą zowiemy? Oto: że się nie spuszczali na natchnienie Muzy, w którą wierzyli, ale do natchnień zbierali zapasy, z nich sobie sprawę zdawali; że mieli na pamięci, nie modę czasową, ale potomność, co samo do wyższych uczuć pobudza; że przez męzką poezyę chcieli zawsze do rozumu przemawiać. Oni malując namiętności, przypominali zawsze wyższą władzę nad niemi. Achilla miarkuje Hermes, albo Minerwa; karcą pastwiącego się nad ciałem zabitego, który nie żyjąc, jest już tylko bratem. Jeszcze zacny Plutarch uważał, że w Iliadzie nigdy namiętność pięknie nie mówi.

Są charaktery osobliwością swoją uderzające, które zdają się do innego świata należeć, i takie zowią Niemcy blizko od wieku romantycznemi, dla tego może, iż wieki tego nazwiska, szczególnością odznaczone, najwięcéj ich wydały. Tworzą ich zawsze okoliczności, a więcéj jeszcze przykłady i żywa chęć naśladowania. Dla tego romanse są na wzajem ich skutkiem i przyczyną. Bardzo naturalną jest rzeczą, że takie charaktery w mocnych zarysach oddane, na młodzieży czynią wrażenia, gdyż pierwotne ich źródło jest zwykle szlachetne;

ich obrazy nęcą i zajmują jeszcze w krainach imaginacyi szczęśliwie żyjących.

Na inne miejsce odkładam sobie mówić obszernie o charakterze wieków romantycznych i jego poetach, które jak najmniéj mają związku z dziejami i charakterem narodu polskiego.

W naszych czasach zjawił się nadzwyczajny geniusz Bajron, który tak jest reprezentantem wieku, jak swojego był niegdyś Szekspir. Ten całą mocą swego geniuszu przejął się na wskroś swoim wiekiem, którego stronę wynaturzoną najnaturalniéj malował, i to wynaturzenie, zdaniem mojém, czuł może najmocniéj. Jak tragedye nasze wystawują walkę namiętności z obowiązkiem, tak wszędzie Szekspir walczy między prawdziwą naturą, a między zepsuciem człowieka i fałszywą sztuką. Dowcipny przy prostocie, szorstki i smutny przy wielkości; depcący fantastycznie najmilsze kwiaty, które czarodziejską swą laską z pod ziemi wywodzi; wśród rzewnéj melodyi nagłém uderzeniem o strony, disharmonią przerażając, wystawiać się zdaje nie uzupełnioną nigdy tragedyę winnie i niewinnie potępionego rodu ludzkiego, który w gorzkich parodyach i uderzających przeciwieństwach maluje. Dzieląc zarwsze swą scenę między świat śmierci i życia, łącząc w niéj kwitnące dziewice i duchy z grobu występujące, wielkość i błazeństwo, uczony bezrozum i gminną prostotę, dręczone zarówno cnoty i przestępstwa, otwierając przyszłość zawsze ciemną i trwożącą: raczéj w nas wzbudzi chęć do nicości, aniżeli spokojną rezygnacyę. Reprezentuje istotnie naród skłonny do czarnéj melancholii i obojętnéj pogardy życia.

Kto tego geniuszu nie umie pojąć w jego naturze i prawdzie, kto nie jego twórczą siłę, ale wrażenia powtarzać usiłuje, wystawi tylko zfałszowaną naturę ludzką bez prawdy poetycznéj.

Szekspir jest największym malarzem wyszłych z natury charakterów, Bajron zaś najdzielniejszym obrazem namiętności wieku naszego, unudzeniem, lub szperaniem rozumu budzonéj. Jak tamten przyjmował na siebie wszystkie kolory, i ku podziwieniu każdego serce roztwierał, tak ten wszystkiemu je-

den i swój własny nadawał kolor i drażnieniami rozbolałe własne swe serce pragnął wywnętrzać; jest bez wyjątku we wszystkich swoich utworach tylko lirycznym poetą. Bajron czyni smutniejsze wrażenie, niż Szekspir, bo gdy ten szuka złego i boleści tylko w sercu ludzkiém, on widzi złe w całym świecie, w tém i w przyszłém życiu; nie już czyściec tylko, lecz piekło samo upatruje. Pędzlem najwięcéj poetycznym zaciera wszelką poezyę tego i przyszłego świata. W owéj nieśmiertelności i nieskończoności samą tylko nicość pokazuje, i chciałby, żeby człowiek do niczego nie przywiązany, niczemu nie ufający, w około boleścią i nicością zagrożony, sam w sobie piekło wzniecił i w niém się strawił. Nie Wirgiliusz, jak Dante, nie Muza, jak wszystkim poetom, ale zły duch otwiera mu równie, jak jego Kainowi i serce ludzkie i światy nadziemskie, kryjąc we wszystkiém rządzącego Boga. Nadto umiał słabościom ludzkim nadać nie tylko powab, ale i pewny pozór wyższości, któréj źródłem i celem jest tylko namiętność, w sobie ograniczająca człowieka i z sobą samym kłócąca.

Wystąpił na scenę jakby duch przepowiedziany, wśród umysłów przez P. Stael i Szleglów przygotowanych; po wypadkach, które nicością wielkości ludzkiéj wszystkie umysły przejęły i do dumania skłoniły. Zagadką na pół odsłanianych tajemnic, nęcił ciekawość samą dam we Francyi. Dla największéj części czytelników widzialną Muzą jego była miłość nieszczęśliwa i dama jakowaś, która go intrygami dręczyła; dla innych był to istotnie wielki człowiek, ale chcący dopiero swoją wielkość odgadnąć i osięgnąć, którym władało przynajmniéj namiętne uczucie sprawiedliwości. Bajron z tak delikatném i szlachetném skąd inąd czuciem, wystawia razem upadłego i szukającego swojéj ojczyzny anioła. Gdyby czas dozwolił mu był przeżyć burze serdeczne, duch greckiego pokoju i wyższe pojęcie chrześciaństwa, co oboje tak cenił, że za nie życie poświęcił, byłby go wyniósł uroczyście nad burze serca i wątpliwości rozumu; krążyłby jak orzeł równym lotem w krainie światła, jak nad przepaściami ziemskiemi.

Człowiek z żywém jeszcze uczuciem w ten świat się wpatrując, widzi niezmienny i niepojęty porządek rzeczy, który szydzić się zdaje z najczystszéj rachuby i uniesień ludzkich; im więcéj wielkość świata ogarnia, tém boleśniéj czuje swą nicość. Nie wzniósłszy się jeszcze do harmonii wszystkiego, czuje w sobie i we wszystkiém disharmonię, ale jaśniéj się rozpatrzywszy, widzi we wszystkiém cel, a przynajmniéj konieczność. W przepaści uspokojonego morza dostrzega niebo odbite, zgodny z sobą, pogodniéj świat widzi, wolę swoję przygadza do woli ogólnéj; uważa konieczność za obowiązek, jest wzniosłym przez to samo, że słabość i czasowe ograniczenie swoje rozpatruje, jest czynnym i cieszącym na téj ziemi wysłańcem. Lutnia nieszczęśliwego Bajrona już w niektórych tonach takiego człowieka i poetę w nim zapowiadała.

Czuję, jak na wiele się ważę, czyniąc podobne uwagi o geniuszach tak słusznie wsławionych. Przecież zważając na pochop do naśladowania poetów, którzy tak oddzielném byli zjawiskiem, godzi się w sprawie prawdziwéj poezyi przemówić. Jak Szekspir w swoim wieku, tak Bajron sam tylko mógł być takim, jakim był poetą. Próżno usiłuje każdy trafić jego drogą do celu. Od niego poczęli młodzi poeci gwałcić swoje pogodne uczucia, nosić w sercu, sami nie wiedząc, jakie tajemnice i gorzko marzyć; szukać tego, co właśnie w pełności mają. Niknie w nich poetyczna naiwność, wiosnę życia szpecą nie naturalnie, ale od zarazy pożółkłym liściem jesiennym; miasto tkliwego udziału ze światem, który ich nęci do siebie, kłócą się z nim, wyszukują starannie, aby tęsknić do czegoś, rozbierają swoje uczucia, jak bohaterowie sceny francuzkiéj swe położenia i w przeciwieństwie z własną naturą poezyę chcą znaleść. Inni same dary przyrodzone marnują w nieładzie i rozrzutności. Owa przebujałość, wyrachowana żądza nowości, która się tém samém prędko starzeje, pierwsze uniesienia ku nowo zjawionemu światu ideałów, wszystko to stanie z czasem w mierze właściwéj, a płody smaku, równie jak inne dzieła dziś umysł ludzki zdobiące, wyjdą na drogę przeznaczenia swojego. Muza będzie jak była niebios posłanką.

Ale właściwiéj zapewne przemówi pisarz znakomity i cu-

dzoziemiec Jan Paweł Rychter, który już przy schyłku życia swojego te skreślił wyrazy:

„Jest w nas władza, która nam może piekło lub niebo budować, to fantazya. Ona nam może dni najpiękniejsze przez odstrzelone cienie przeszłości i zbliżone cienie przyszłości zamroczyć; wesele jasném, a boleści grubemi, nie przezroczystemi uczynić. Dajcie téj bogini krainę poezyi, aby nietylko zwiększała wesele i zmniejszała boleści, lecz aby je oczyściła i rozjaśniła. Ale biada jéj! gdyby łagodne, ruchome obłoki poetycznego nieba w olbrzymie potwory i maski furyi zmieniła, zamiast, żeby łagodne rzucała światło na góry, nad ciemną ziemię wzniesione, nad ziemię, która i tak straszące żywi potwory. Czemuż ty biedny, wielki poeto Bajronie! i życie twoje i poezyę razem na wklęsłém tylko zwierciadle twojéj fantazyi skupiłeś i rozstrzeliłeś, czemuś te gwiazdy, jak na globie niebo wyobrażającym, liniami podzielił i w dziwaczne potwory zamienił? I do siebie samego muszę niestety powiedzieć: „i ty dawniéj grzeszyłeś, za często groby, a nie samo niebo pokazywałeś.“ Człowiek w późniejszym wieku i w tém podobny jest jedno-dziennym owadom, że swoje lata równie jak one, nad gliną i wodą strawiwszy parę ostatnich godzin, w krzepiącym blasku zachodzącego słońca pokrąży. Niech poeta nietylko rozpogadza jak Goethe, ale wznosi, jak Klopsztok. Niech nie maluje tylko jak tamten, blizkiéj zieloności ziemi, ale jak ten, głęboki błękit niebieski, który zawsze trwa dłużéj, niż blednąca zieloność. A tak czyń wszystko, mówię do siebie, co jeszcze możesz w uchodzących dniach twoich, dla owéj wspaniałéj poezyi, która ubogich i ubożących się ludzi, mogłaby pocieszyć i natchnąć.“ *

Ośmielam się jeszcze dołączyć niektóre spostrzeżenia, które naturalnie tylko do zaczynających dopiero pisarzów stosuję.

Tak zwane geniusze poetyczne zwykły pogardzać przepisami dobrego smaku; a natomiast ludzie przypisujący sobie delikatne jego uczucie, stronią od wszelkiéj nauki, jako

* Kleine Bücherschau.

toż uczucie tępiącéj. Pierwsze zdanie dawniéj nieco, a drugie teraz upowszechnione w Europie, bardzo trafiło do przekonania Polaków, bo pochlebia nietylko wstrętowi od pracy, ale i miłości własnéj, że nas natura ze szczególnéj swéj łaski jedném lub drugiém obdarzyła. Często atoli natura świadczy dary mniemaniu naszemu, ale nie nam; często daje nam tylko zarody, które według naszego przyłożenia się płonny lub dobry owoc wydadzą.

Dobry smak nie może być nigdy geniuszowi przeciwnym. Pierwszy jest zbiorem najwyższym sił duszy i darów natury, drugi nadaje tym siłom porządek i miarę i przeto stworzone są wzajem dla siebie. We wszystkich dawnych i nowych narodach musiały wprzód być doświadczenia sił surowych, nim do porządku przyszły, nim się smak zjawił. Zapaśnik dopiero po długiém ćwiczeniu siły wrodzonéj, nauczy się z równowagą walczyć i zwyciężać, nauczy się owéj zręczności, która często więcéj stanowi, niż siła. Bez wrodzonych sił i bez własnego doświadczenia, wszystko będzie niepewne i przypadkowe. Sam geniusz, albo smak, podobnie jak siła i zręczność, nie zapewnią zwycięztwa. Niektórzy uwielbiając surowy geniusz, uznają wady jego za nieoddzielne od piękności i zowią je przywilejem; inni obeznani z wytworem smaku, pogardzają naturalnemi geniuszu siłami; tak czyniąc rozbrat między geniuszem a smakiem, prowadzą je na wsteczne drogi od doskonałości. Niczém jest dobra taktyka bez męztwa, tak jak męztwo bez taktyki nie jest pewne zwycięztwa; szał marsowy, jak poetyczny, sam przez się najczęściéj przywodzi do dziwiącéj niedorzeczności. Dobry wódz śledzi dzieje wielkich bohaterów, przejmuje się nietylko ich uczuciami, ale poznaje sposób ich wojowania, ich wady i zalety, sam zaś przez się zgłębia lud, z którym i przeciw któremu walczy; tak i geniusz postępować winien i co do wzorów, i co do prac swojego zawodu.

Nie tworzmy sobie o nim błogich marzeń, jakoby on zbrojny zaraz i silny jak Minerwa, nadzwyczajnym cudem się zjawił. Jest on iskrą niebieską, która palne ciało zajmuje, ale która, jak mówi Wolter, ciągłego podsycania potrzebuje,

aby nie zgasła. Nie przyznajemy mu owego stanu cierpienia, w którym tylko zdolny jest oddawać twory w siebie natchnione. Geniusz nie może być porywczym, szalonym i uprzedzonym Ikarem, spokojnym być powinien, świadomym świata i drogi, jak Apollo, który po niéj swój wóz prowadzi. Ów tak zwany szał poetyczny, obok perły szczęśliwie zdarzonéj, wydaje tysiące fałszywych błyskotek, które nikną przed światłem, tworzy ową nadętość, owe wyrażenia i obrazy, które przeciwiąc się niby pospolitości, sprzeciwiają się naturze i prawdzie. Dla tego pisarze tacy wzdychają tylko do krytyków, przez jedno szkło z nimi patrzących, tak chcą unikać wszelkiéj pochodni rozumu, jak nocne ich mary przed światłem dziennem pierzchają. Wierzę ja w natchnienia, bez których nicby nadziemskiego poezya nie miała, ale nie mogę wierzyć każdemu, kto się za natchnionego ogłasza, bo chcę, aby był wyższy nad mój rozum, nie zaś jemu sprzeczny. Bogactwo umysłu potrzebuje ekonomii, ażeby go nietylko utrzymać i powiększyć, ale nadto porządnie i ze smakiem używać; inaczéj, tak jako wszelki zbytek, zuboży tylko i poniży.

Geniusz byłby nadto smutnym darem nieba, gdyby człowiek nim obdarzony, nic nie był winien sobie samemu. Owszem, im więcéj sił wlała w niego natura, tém bardziéj własną pracą wydoskonalać je winien.

Geniusz żywo czuje, wszystko obejmuje, przenika; powinien więc w naukach i czynném pożyciu śledzić wszystko, co dowcip zaostrza, pamięć wzbogaca, co czucie uszlachetnia i wyobraźnię podsyca. Natchnienie nie da nam tego, czegośmy nie czuli, nie przypomni tego, czegośmy nie wiedzieli, nie doświadczali. Poetom tylko i artystom przyznajemy chlubny wyraz, że tworzą, ale ci, jako ludzie, nie mogą tworzyć z niczego. Imaginacya wynajduje, ale smak i rozsądek wybiera, sztuka tworzy. *

* Ego porro ne invenisse quidem credo eum, qui non judicavit: nec enim contraria, communia stulta invenisse dicitur quisquam, sed non vitasse. (Quint. Inst. Orat. lib. III. cap. 3.)

Powszechnym dziś zwyczajem biorących się do poezyi, jest czytać tylko same wzory niektórych ulubionych pisarzów i w saméj rzeczy, że dla czerpania wzorów, nie ma i nie potrzeba ich wielu. Lecz jak geniusze wszelkimi wzorami pogardzać zwykli, tak powolni ludzie ze smakiem, im tylko ulegając, na nich tylko swój byt zasadzać zwykli. Jeżeli dobrych pisarzów jedynie z ich pism naśladować będziemy, zdołamy tylko słabe ich kopie powtórzyć, i to jest prawdą doświadczeniem stwierdzoną.

Więcéj daleko w czém inném naśladować ich trzeba. Wszyscy wielcy pisarze winni doskonałość dzieł swoich poszukiwaniu tego, co własnym ich utworom za potrzebne zapasy służyło. Trzeba więc uciekać się nietylko do tych, którzy smak nasz ukształcą, ale i do tych, którzy wiadomości nasze wzbogacą. Odłączmy same imaginacyjne utwory najlepszych pisarzów od tego, co ze znajomości ludzi, dziejów i różnych nauk przejęli, a poznamy, że wiadomościom swoim równie tyle, co natchnieniu są winni. Patrzmy na najlepszych tancerzów, będziemy się dziwili ich sztuce, być nawet możemy dobrymi ich krytykami, ale na tém tylko skończymy. Nie trzeba sądzić, iż przez samo zapatrywanie się na dobrego mistrza, naśladować go zdołamy, bo niedołężną tylko parodyę zrobimy, ale naśladować go należy w sposobach i ćwiczeniu, z jakiemi do téj się doskonałości posuwał. Dopiero zgłębienie, przez jakie wiadomości, przez jaką sztukę doszli ci pisarze do tego, że wzorami się stali, wyprowadzić nas może na drogę, na któréj w równi z nimi iść możemy, nie zaś niewolniczo ich ścigać. Jak więc myślący poeta nie powtarza rzeczy przez naturę stworzonych, ale naturę tworzącą naśladuje, tak tém bardziéj naśladując innych poetów, nie ich dzieła, ale ich sposób tworzenia naśladować powinien; zgłębiać, tak jak oni sztukę, szukać, tak jak oni wiadomości. Oprócz dzieł wzorowych, z których sztukę wyczerpujemy, są pisma obojętne i nieznośne dla sztuki i smaku, lecz potrzebne dla wiadomości. Miłośnik sztuki nie może być dziecięciem, w pieszczotach wychowaném, któremu z pod oka dozorczyni za próg wyjść nie wolno, aby go zły wiatr nie zawiał, aby gdzie

gminnego nie posłyszał wyrazu. Jak fizyczne nasze wychowanie nie zależy na saméj powabnéj powierzchowności, ale na rozwinięciu siły i męzkiéj zręczności, tak do moralnego usposobienia pisarza nie samego smaku i wytworności potrzeba, ale wiadomości, któreby smak mogły wydatnemi i zajmującemi uczynić. Kto ma smak i rozsądek, ten ich żadném czytaniem zepsuć nie może. Smak w literaturze nie może być owym delikatnym żołądkiem, któremu tylko lekkie potrawy są dozwolone. Najzawołańsi mistrze z prostych brył, przez pracę i smak obrobionych, utworzyli posągi, którym hołdujemy. Zapatrując się na piękne ich wzory, mniemamy w uniesieniu, że jak czuć piękność, tak łatwo zdołamy ją stworzyć. Myślimy, że wdzięczny za to Rassyn, czy Szekspir, do ucha będzie nam szeptał; tak tworzymy tragedye, które równie prędko giną, jak prędko się w płód zawięzują; nie jeden przypadkowo w dziełku historyczném, a może nawet w dykcyonarzu sławnych ludzi wyczytawszy, że któryś rycerz się kochał, że był zabity, albo otruty, już ma grunt tanio nabyty, na którym tragedyę zbuduje. Doda powiernicę, wymyśli tyrana, jakiego natura, ani dzieje nie znają, wznieci rozruch pomiędzy ludem, otóż plan skończony! daléj nastąpią tirady podobne do tych, jakie improwizatorowie włoscy od dawna przez tradycye umieją, kilkadziesiąt sentencyi, którym cnotliwy, ale mniéj wymagający widz poklaskuje, otóż cała budowa wykończona w swojéj mocy i ozdobie. Lecz znajomość natury ludzkiéj, głos uczucia, obraz dziejów i obyczajów, wyższe pojęcie sztuki nad zawiązanie intrygi, wszystko to jest obce dziełu takiemu. Jest to automat mogący się ruszać i krzyczeć, ale nie zdoła nigdy ułudzić, ani do czucia przemówić.

Niektórzy nowsi nasi pisarze ogłaszają się za duchem literatury niemieckiéj, naśladują Niemców i naśladować radzą. Lecz właśnie tego po nich nie widać, czémby się w niemieckiéj literaturze przejmować należało. Niemców zaleca w najwyższym stopniu pracowitość, jeżeli mniéj łożą czasu na obrabianie materyałów, poświęcają go więcéj ich nabyciu. Tak prace Szyllera w estetyce i historyi są tylko ćwiczeniem się w tém, co go jako poetę zajmowało.

Te są proste, lubo nie mile przypominające się środki, aby zachować zgodę pojęć i uczuć, aby pierwsze nie gubiły się w czczości, drugie w przesadzie; ażeby sztuka była wyrazem ujmującéj i wznoszącéj prawdy, a smak porządkiem i miarą sił danych.

Wszystkie przesady i zboczenia w charakterach ludzi i geniuszach, powstałych po upadku starożytnéj literatury, są tylko skutkiem wynaturzenia się, zabytkiem zepsucia, nie zaś koniecznym owocem bądź chrześciaństwa, bądź późniejszéj cywilizacyi, a zatém i skutkiem geniuszu. Niech jak chcą teoretycy rozprawiają o zupełnéj metamorfozie człowieka po zniknięciu starożytnych, podług których miał się na wywrot przemienić; my przyznajmy, że mu tylko wyższych wyobrażeń i więcéj godności przybyło. Są to wszystko zabytki mistycyzmu i przebujałości wschodniéj, napuszystości, zbytku i zepsucia Rzymian, sofistów greckich, barbarzyńców północnych, połączonych z wynaturzonym ludem starożytności, sektarzów i szkólników późniejszych, exaltacyi samotników i szału ogłupionych rycerzy. Spaczone uczucie, krzywe wyobrażenia, sztuka sprzeczna naturze, nie mogły wydać czynów, ani utworów prawdziwie wzniosłych i pięknych. Całe późniejsze dążenie było tylko wydobywaniem się z tego stanu; największe więc charaktery i geniusze nie mogły być bez znamion tych lub owych. Starożytni w ograniczeniu do najpiękniejszéj swojéj epoki doskonalili czysto od natury dane im siły, mogli przeto więcéj mieć niedoskonałości, niżeli wad przeciw naturze, późniejsi musieli pozbywać się fałszu i razem ku wyższéj dążyć doskonałości. Tamci będą zawsze doskonałym wzorem, ci wielkimi przykładami. Jak Danta Wirgiliusz, tak starożytni zawsze poetów w świat nowy poezyi wprowadzać będą. Anglicy, naród najoryginalniejszy w charakterach i geniuszach, najwyżéj cenią klassyków i na nich się kształcą.

Chrześciaństwo, które wiarę, nadzieję i miłość, owe jedyne zasady szczęścia, za powinność ogłasza, wskazało przez nie najpiękniejszą zgodę rozumu i czucia i pogodę wyobrażeń. Są to, śmiałbym powiedzieć, trzy chrześciańskie Gracye, którym poeta, równie jak filozof ofiarę składać powinien.

Ku prostocie, nie wiedzącéj o sobie, wzniosłości i uroczystéj pogodzie, ze wszystkich bezdroży, kiedyś zdążymy.

Ludy słowiańskie, a w szczególności Polacy, nigdy nie dzieliły szału i obłąkań, jakie od zepsucia Rzymian tak długo smak i moralne uczucia kaziły; obok z innemi ludy dążyły ku ukształceniu, lecz wydobywały się jak starożytne ludy z ciemnoty, przecież nie z zepsucia. Dziś jeszcze mimo tylu przemożnych wpływów cudzoziemczyzny, którym jako niższe w oświeceniu, muszą hołdować, dochowały odrębną swą cechę: miłość natury, umysł pogodny i wesołą rezygnacyę, jedyny entuzyazm: miłość swéj ziemi; wrodzoną skromność i obyczajność, zdolne jedynie do prawdziwego wykształcenia. Z tego własnego gruntu ciągnąc soki ożywne ku rozkwitnieniu swojemu, niech się żywią powszechném światłem wszystkim ludom przyświecającém, lecz niech się strzegą zarazy przelotnéj ze str. n obcych. Obok tych bowiem, wszystko piękne rokujących przymiotów, najskłonniejsi są do naśladowania, szczególniéj tego, co im jest najmniéj wrodzone i przyzwoite. W literaturze może zasłużyłyby na to smutne znaczenie, jakie do ich nazwiska cudzoziemcy przywiązali. Oby przynajmniéj obce szkoły smaku w uprawie nauk nie mnożyły między niemi niezgody, bo ludzie z prawdziwym smakiem najmniéj się w nim różnią; ale niech własne siły poznają i kształcą. Niezepsuta ufność w dobroczynnych darach natury, czyste zamiłowanie dobra i piękności, wzmagają talenta. Ta, że tak powiem, dziecinna ufność, rozwinęła wszystkie piękne zarody Greków; ta wykształciła właściwy smak Francuzów za Ludwika XIV., ta przytłumiła dawny pedantski smak Niemców, lub naśladowanie Francuzów; wskazała im przynajmniéj właściwsze im źródło: literaturę angielską. Jeżeli my w naszéj Piastów nie mamy i mieć wyłącznie nie chcemy, strzeżmy się przynajmniéj w obcych, zupełnie nam przeciwnego charakteru i smaku.

Pedantyzm szkolny i smak romantyczny zawitał do Polski dopiero w XVII. wieku; ten wiek w narodzie gorliwym, szlachetnie entuzyazmowanym, wydał najwięcéj zapaleńców, zagorzalców; ślepego szału swobód, buty i zbytków, wyrodzonych z uczuć wolności, szlachetnego rycerstwa i gościnności, Smak

w tym wieku, jako zwyczajnie naśladowany, przeszedł jeszcze w przesadzie fałszywe swe wzory. Pisarze jednak, lubo wady spółczesne dzielić musieli, czuli przecież złe ich skutki i trafnie ich przyczyny w ówczesnym charakterze narodu śledzili.

Dla tego, mutatis mutandis, niech każdy do obecnego stanu tylko literatury polskiéj zastosuje, co w tym czasie mówił do narodu jeden z kaznodziejów:

„Polska nie choleryczna: bo nie łatwo się rozgniewa, krzywdy siostrom, państwom sąsiednim nie czyni, uczynione snadnie condonuje; nie sanguinea, to jest wesoła, zda się być taką, bo huczy, skacze, stroi się i rada bankietuje, ale to nie z przyrodzonéj jakiéj skłonności czyni, ale z Boskiego dopuszczenia i na karanie innych występków; przeto zawsześmy w potrzebie i niesławie u postronnych, stąd mówią o nas: „Polonis quantum intus desit, foris ostendunt.“ Nie flegmatyczna: w suchych polach mieszka, od wód, lubo bogatemi portami zasłodzonych, zawsze stroniła i stroni. Melancholia Polsce naszéj wrodzona, i wszystka, która w niéj znajduje się bieda, z tego humoru pochodzi. Tego nie ztąd dochodzę, że Polak rad trunkiem smutek wewnętrzny rozbija, ani ztąd, że w sprawach i zamysłach swoich naród jest ociężały i nie porywczy; ale stąd, że jako w głowie melancholicznéj, w narodzie naszym, pełno jest niesprawiedliwych suspicyi. Nie wysiedzi się król, senator i szlachcic, biskup i zakonnik w murach zamkniony; z domysłów gadać, zabawa codzienna, stąd zwady i gniewy nie utulone.“ *

* „Expedycya Zborowska,“ kazanie przez Cieciszewskiego, kaznodzieję królewskiego, 1649 r.

ODPOWIEDŹ

P. J. B. OSTROWSKIEMU.

Pan J. B. Ostrowski w uwagach nad moją rozprawą o eksaltacyi i entuzyazmie bierze widać za jedno uczucia wzniosłe i eksaltowane, przecież w potocznéj mowie polskiéj, szlachetnych, wielkich, wspaniałych uczuć nie zowiemy eksaltacyą; lecz eksaltowanym zowiemy tego, który w nich przesadza, który na ich karb dziwaczności popełnia, złe sobie i ludziom zrządza. Ponieważ na to nie mamy osobnego wyrazu, przeto gdzie mi się w tym przedmiocie mówić zdarzyło, dodawałem przymiotniki: urojone, szukane, obłędne, przesadzone, próżniacze, i takie uważam za naganne, jeżeli nie w poezyi która je maluje, to w poecie, który jest takim. Charaktery, które eksaltowanemi zowiemy, mają zwykle swe źródło w szlachetnych uczuciach; lecz te albo nie są w nich ustalone, albo wspaczny biorą kierunek. Człowiek unoszący się, dalekim jest od tego, abyśmy uczucia jego wzniosłemi nazywali, ponieważ nie zawsze on się wznosi z mocną wolą, zgodnie z rozumem i czuciem, nad pospolitém, ale raczéj unosi go przesąd, uprzedzenie, imaginacya, nowość nie dobrze objęta, a nawet moda. Ludzie tak eksaltowani są najczęściéj narzędziami przez niższe władze swoje miotanemi, są narzędziami rachuby innych, niezdolnemi nigdy do stałego oporu lub dążeń, lecz zwykle do zapędów szkodliwych im i społeczeństwu. Nie przeczę, że charaktery takie mają najczęściéj zaród szlachetny, zdolny do rzeczy wzniosłych, lecz opaczny ich kierunek, litość tylko w myślących obudza.

Poeci najwięcéj podlegają uniesieniom, lecz unoszący się, nie zawsze jest wzniosłym, nie zawsze jego obrazy są wznoszące; bo trzeba, ażeby poeta wznosił nas na stanowisko, z którego świat widzi, ażeby nietylko myślący, ale i czujący człowiek mógł dzielić jego uczucia. Jeżeli wystawia charaktery eksaltowane, sam w ich malowaniu powinien być wzniosłym. Tak Seid w Mahomecie Woltera wzbudzi w nas oburzenie, lecz żadnych wzniosłych uczuć. Autor bowiem w wystawieniu tego eksaltowanego charakteru, tak był w téj sztuce zajęty ubocznemi od poezyi celami, jak Mahomet, którego nie entuzyastą w swoim rodzaju, ale zimnym, obrzydłym oszustem wystawił. Obadwa te charaktery prawdziwe czucie poezyi zawsze potępiać będzie, nietylko jako najprzeciwniejsze sztuce, ale jako dążące do podkopania najświętszych uczuć człowieka.

Lecz byli poeci, nie z rachuby Wolterowskiéj, ale z szczerego natchnienia eksaltowane charaktery wystawujący, zwykle siebie w nich wyobrażali. Werther Goethego, Rozbójnicy Szyllera, tą tego dowodem. Dzieła te, różnież na młodych tylko umysłach czyniły wrażenie. Pogardzać stosunkami towarzystwa, nosić żółte kamizelki, a nawet życie jak Werther zakończyć, to było z początku modą i wyższych uczuć oznaką. Wstręt bierze wspomnieć to, do czego przywiodła eksaltowaną młodzież tragedya młodego poety Rózbójnicy. Prócz tego, ileż dzieła podobne nie natworzyły nieznośnych zapaleńców, nudnych melancholików, tworzących sobie nieszczęścia, wyobrażających sobie swą wyższość. Że tu nie śmiem policzyć dam eksaltowanych, u których mąż i dzieci zimną są prozą.

Wchodzę w słuszność zarzutu, że aby sądzić o Poezyi nie dość jest być moralistą, lecz mówi za mną świadectwo, od filozofów aż do najprostszych ludzi, że właśnie w poezyi to zawsze zajmuje, co moralne zaspakaja uczucia? Między moralistą a poetą ta jest tylko różnica, że u tamtego moralność jest celem, u tego środkiem. Tego najlepsze płody poezyi dowodzą. Czyliż powyższe podobne dzieła długo były modnemi, czyliż je dotąd zdanie powszechne za najlepsze z tych pisarzów uważa. Jako płody młodzieńczych eksaltacyi, silne lecz krótkie uczyniły wrażenie i z wiekiem ostygły w tych, którzy nie przestali uwielbiać dzieł doskonalszych. Exaltowanie młodzieży, któréj wiek sam przez się aż do zazdrości jest poetycznym, uważam za nadużycie poezyi, za chwałę prędko przemijającą. Wiek męzki innéj poezyi wymaga. Prócz uczuć rzewnych potrzebuje prawdziwie wzniosłych, zgodnych ze zdrowym rozumem i czuciem. Bo nigdy, jak to niektórzy teorytycy życzą, człowiek nie uśpi w sobie władzy rozumu, aby

płodów imaginacyi używał; byłoby to jedno co iść spać dla tego, ażeby marzyć. W poezyi czucie, imaginacya i rozum zgodnie być zajęte powinny. Jeżeli zaś na kim piękna poezya wrażenia nie czyni, to przecie nie dla tego, że ma rozum, ale że nie ma czucia. Sam więc Goethe i Szyller, tworzyli późniéj dzieła mogące, zająć męzkie umysły i te dzieła będzie potomność powtarzać. Jakiż to odskok od Werthera w dziełach późniejszych, że nie wspomnę o romansie Wilhelm Meister's Lehrjahre, którém poeta pragnął pohamować eksaltacye przez pierwsze swe dzieło wzniecone? Czemże są późniejsze tragedye Szyllera obok Rozbójników; któż nawet w rozprawach teoretycznych o sztuce, silniéj mówił o prawdziwej wniosłości przeciwnéj eksaltacyom jak Szyller? Może to autor przypisze oziębieniu poetycznego zapału, lecz jakże to pogodzi z trwałym powszechnym sądem, który właśnie te późniejsze dzieła ocenia, cóż mówi Szlegel o tych płodach. Czemuż to przypisać, że sąd wszystkich narodów i wieków doskonałość dzieł starożytnych uwielbia? —

O POWOŁANIU I OBOWIĄZKACH MŁODZIEŻY AKADEMICKIEJ.

RZECZ CZYTANA NA PUBLICZNEM POSIEDZENIU

KRÓLEWSKIEGO UNIWERSYTETU

dnia 15 Lipca 1826 roku.

Non scholae sed vitae discendum.

Wrodzone są ludziom życzenia, aby potomność była od nich szczęśliwszą i doskonalszą. To czuje każdy ojciec, obywatel, uczony i rządzący. Wszyscy, według ducha wieku, mylić się mogą w środkach ku temu i widokach, ale chęci są niemal zawsze te same. Wspiera je zawsze owa niezawodna wiara: że przeznaczeniem rodu ludzkiego jest dążyć ku doskonałości, że, czy wolniéj, czy spieszniéj, prostą czy krętą drogą przechodzi, zawsze ku niéj się zbliża. Ta wiara jest rękojmią cnót obywatelskich, ta jest bodźcem dla mędrców niepojmowanych przez swoję społeczność, ta jest oraz hamulcem dla ludzi złéj chęci. Pierwsi mówią: „potomność odda mi sprawiedliwość;“ w drugich odzywa się jeszcze godność człowieka i ostrzega: „potomność sądzić cię będzie.“ Obadwaj wierzą, że sąd ten jest sprawiedliwy.

Ztąd o wychowanie młodzieży, w miarę postępu wieku, coraz wyższa i powszechniejsza troskliwość. Za czasów patryarchalnych, ojciec liczne potomstwo uważał jako pomoc w pracach rolniczych, a późniéj jako obronę przeciw napaści;

ograniczał się tylko na uzbieraniu dla dzieci dorobku z pracy lub z łupów wojennych. Dziś święte troski rodziców zajmują całe ich życie, nie już w widokach pomocy na starość, mniéj w chęci zostawienia puścizny, jak w tém szlachetném dla ludzkości dążeniu, by jéj w dzieciach zdatnych członków zostawić. Dziś w ojcu bije serce ojcowskie, nietylko dla własnych synów, ale dla wszystkich potomków. W tém stopniowém dążeniu wieków do lepszości, wychowanie młodzieży zostawało najprzód przy ojcach, daléj przy pojedyńczych mędrcach, późniéj przy dobrowolnych stowarzyszeniach, — aż nakoniec, zaczęło być sprawą całego narodu.

Pierwszy naród polski, błędami i nieszczęściem znękany, jakby w natchnieniu przedzgonném, przekazał Europie tę prawdę, a co większa w skutkach jéj dowiódł: że wychowanie być powinnno w narodach jedno i publiczne; że jak wychowanie domowe od ojców rodzin, tak publiczne od ojców narodu zależy; że pierwsze jest ciepłem macierzyńskiém ziemi, drugie ciepłem słońca z jednego ogniska wypływającém, którego promienie, według najwyższych widoków, stopniowo, różnéj doskonałości płody rozwijają.

Temi uczuciami przejęte, dostojne władze i szanowna publiczność, dziś tu przybyć raczyły; w téj albowiem młodzieży akademickiéj pragną widzieć dojrzewający już owoc ojcowskich życzeń i starań, tudzież najdroższy zakład przyszłości. Nie będzie więc dalekim od celu, który tu wszystkich zgromadza, głos mój, wyłącznie téj młodzieży poświęcony, w którym wyłuszczyć pragnę jéj powołanie i obowiązki.

* * *

Trudne, zaiste, jest powołanie twoje, zacna młodzieży akademicka! — Wiek dzisiejszy, mylną rachubą rozumu zawiedziony, namiętnościami zakłócony, chciałby tobie, przez wychowanie, spokojniejszą zapewnić przyszłość; ojczyzna tylu skołatana burzami, w tobie chciałaby nagrodzić dawne nieszczęścia i błędy; rodziny za tobą w domach tęskniące, z ciebie się spodziewają podpory i pociech. Jeżeli takie uczucia oceniając, w tym przybytku nauk staniecie, cóż się w duszy waszéj nie dzieje! — Ci z sercem do wszystkiego bijącém wahają się nad wyborem nauk, — innych przestrasza ich ogrom; jednym surowe ubóstwo stawia przed niemi zapory, — drugich fortuna płocho od nich odnęca: ci w szczęściu, jak owi w niedoli, bez doświadczenia, a często i bez przyjaciół, puszczają się w drogę zarówno stanowczą, jak niebezpieczną. A co najwięcéj, wszyscy na tym przechodzie do wieku męzkiego odbyć muszą walkę z wewnętrznym wrogiem, walkę rozumu z żądzami, które w zdradzie i natarczywości mają broń przeważającą, — a przecież biada każdemu, jeżeli z téj walki bez wieńca wróci. Każdy z was jest tu żeglarzem, który na dobrze opatrzonym okręcie odpływa, lecz nie wie, jaka burza go spotka; — albo ze skarbami szczęśliwy wróci, albo zarazę z nimi przyniesie, lub jako rozbitek na desce przypłynie. Godna więc rozpatrzyć się w tém przedsięwzięciu waszém i w środkach, jakie wesprzeć je mogą.

Bliski uczestnik i świadek waszych usiłowań, czuję w sercu potrzebę podać wam niejakie z méj strony wskazówki. Znam to, iż często łatwiéj jest nauczać, niż dobrze się uczyć, — jednakże ufam, że głos mój uważać będziecie tylko za głos więcéj doświadczonego przyjaciela.

Według mądrego planu wychowania w kraju naszym, dziecię, z rąk rodziców rządowéj powierzone opiece, przechodzi stopniowo szkoły do wojewódzkiéj, w których nauki tak są dawane, że młodzieniec, według swoich zdolności lub stanu, może albo odpowiednio przeznaczeniu swojemu na nich poprzestać, lub w nich usposobić się do uniwersytetu. W tych szkołach nabywa ogólnych wiadomości i moralnego usposobienia. Mający chęć do nauk akademickich, winien w tychże szkołach złożyć osobny examen i uzyskać świadectwo dojrzałości do tychże nauk, równie pod względem naukowym, jak i moralnym. Jak takowy examen jest warunkiem wejścia do uniwersytetu, tak podobny examen magistrowski, w tymże złożony, jest warunkiem do wejścia w zawód urzędniczy, lub do wolnego wykonywania umiejętności. Świadectwo na tymże

examinie otrzymane, jest znowu świadectwem dojrzałości do posług obywatelskich. Uważane jest także pod względem naukowym i moralnym, albowiem młodzieniec świadectwo dobrych skłonności w szkołach otrzymane, winien dozupełnić świadectwem, że je w uniwersytecie w zasady i wolą zamienił; świadectwo zaś naukowe oznacza, iż się ugruntował w teoryi nauk swojego zawodu. Z takiém świadectwem, opuszczając teoretyków, doskonali się jeszcze jako magister przez dwa lata, pod wodzą magistratur lub mistrzów w praktyce.

Tak przyszły nauczyciel kościelny lub szkolny doświadcza sił swoich pod okiem starszych; prawnik i administrator w biurach rządowych, oddający się naukom matematycznym i przyrodzonym, na których przemysł i rólnictwo polega, doskonalą się przy różnych czynnościach administracyi krajowéj; — zwiedzają zakłady zagraniczne, albo zajęci są w tworzącym się instytucie politechnicznym, który razem jest szkołą główną przemysłu i rólnictwa, oraz szkołą praktyczną dla ugruntowanych przez uniwersytet w teoryi. Lekarze prócz nauk teoretycznych, mają w uniwersytecie osobne nauki praktyczne; po otrzymaniu zaś magisteryum, sposobią się, lub sposobić powinni, pod kierunkiem biegłych, w szpitalach, gdzie, ratując nieszczęśliwych ubogich, przez cierpliwość, ludzkość i bezinteresowność, wdrażają się w obwiązki pocieszycieli cierpiących bliźnich. — Jak, kończąc szkołę, młodzian udowodnił wiadomości potrzebne do oddania się w uniwersytecie w teoryi, tak tu, wysługując się, udowodnić winien, iż teoryą powziętą rozwinął w praktyce. Jak usposobienie moralne zamienia w uniwersytecie w zasady i wolą, tak w praktyce okazać winien, iż według tychże zasad już działać jest zdolny.

Po tych dopiero dowodach kolejnego wykształcenia w wiadomościach teoryi i w praktyce, tudzież w usposobieniu, w zasadach i woli moralnéj, młodzież zyskuje prawo do posad urzędniczych i wolnego wykonywania umiejętności. Urzędnicy sami, podzieleni na stopnie, do osiągnięcia wyższych jeszcze urzędów, składać są obowiązani examina i dowody zdatnego i nieskazitelnego pełnienia obowiązków. Tak sama tylko doświadczona i wszechstronnie wypróbowana zdatność i prawość,

podług tego urządzenia, przeznaczoną jest do steru posług krajowych. Ten porządek odpowiada téj niezawodnéj prawdzie, że i człowiek i towarzystwo ludzkie dąży, lub dążyć powinno do coraz wyższéj doskonałości, że życie człowieka i narodu ciągłą jest szkołą. — Inni, którzy po dwóch latach praktyki czują w sobie nie już zdatność samą do tych lub owych posług, ale zdolność i powołanie przykładania się do powszechnéj oświaty, do udzielania publicznego rad i wiadomości, wracają jeszcze do téj szkoły głównéj, aby tę zdatność i powołanie publicznie udowodnili; poczém, otrzymując stopień doktoratu, zaślubiają się z gronem gruntownie uczyć, oświecać i rady dawać mogących. Do tych należą profesorowie i lekarze wyżsi, obrońcy publiczni i t. d. Tym sposobem szkoły sposobią młodzież w wiadomościach, uniwersytet w teoryi, aplikacya zaś w praktyczném nauk zastosowaniu. Tym sposobem wybór tylko przypuszczony jest do teoryi w szkole głównéj i z niéj wzajem, wybór tylko pod względem obyczajów i zdolności do wyższych posług w kraju przypuszczony być może.

Ten porządek otwierając wszystkim pole do doskonalenia się i służenia ojczyznie, zapewnia razem, lub zapewniać powinien pierwsze miejsca dla zdatności z moralnymi przymioty złączonéj.

Otóż plan wychowania w kraju naszym, który w porządku i prostocie swojéj zdaje się być z saméj natury wyczerpanym; odpowiada on najskuteczniéj tak naturze umysłu ludzkiego, jak i potrzebie społeczności; on jedynie doprowadzić może naród do stopnia prawdziwéj cywilizacyi. Stałe i niewzruszone jego wykonywanie byćby mogło rękojmią coraz świetniejszéj przyszłości. *

* Życzyć tylko należy, ażeby rodzice, urzędnicy i wszyscy mogący mieć wpływ na młodzież kończącą nauki, ducha tego planu mieli zawsze w pamięci, że jego zasadą jest natura i przeznaczenie człowieka, to jest ciągłe doskonalenie się. Żeby zwłaszcza urzędnicy i mecenasi, młodzieńców dopiero w teoryi ugruntowanych, zechcieli wszyscy z ojcowskiém uczuciem i wyrozumieniem doskonalić w praktyce, jako przyszłych swoich następców. Oby wszyscy mecenasi byli prawdziwymi mecenasami dla młodych! Może z czasem aplikacye po ma-

To jest stanowisko, z którego powołanie młodzieży akademickiéj w szczegółach rozpoznać i wyłuszczyć można, ile od niéj zależy, by go zbawiennie urzeczywiścić.

W szkołach wojewódzkich wykładane bywają wiadomości i nauki ogólne kształcące człowieka jako człowieka, bez względu jeszcze na jego szczególne powołanie. Z takiemi wiadomościami przybywa młodzieniec do uniwersytetu w podwójnym celu: najprzód, ażeby wiadomości ogólne uzupełnił i one sobie jako zasady przyswoił; powtóre, żeby tak ugruntowany, sposobił się w szczególnych umiejętnościach do pewnego stanu. Pod obudwoma względami sposób doskonalenia się w uniwersytecie różny jest od porządku naukowego w szkołach niższych. — W szkole wojewódzkiéj, czyli w gimnazyum, rozwija w sobie młodzieniec dary natury i nabywa wiadomości danych (cognitiones ex datis), nabywa ich historycznie; w uniwersytecie dopiero, rozwinięte już dary natury i wiadomości dane, uzupełnia przez przyswojenie sobie nauk i umiejętności zasadnych (cognitiones ex principiis). W takich się zasadach gruntując, sposobi się oraz według nich do stanu obranego. I ten jest naturalny postęp, jakim się władze człowieka doskonalić powinny. Ztąd szkoły wojewódzkie gimnazyami są zwane, które, według samego wyrazu, były niegdyś ćwiczeniem

gistraturach odpowiednie temu planowi urządzone zostaną, ażeby znaczna część magistrów, albo bez zatrudnień z tytułem tylko aplikantów, albo przy czynnościach, jéj usposobieniu nie odpowiednich, nie zapominała nauk i nie traciła drogiego czasu. — Jak ze szkół wojewódzkich przesyłane bywają do uniwersytetu polecenia uczniów, szczególną zdatnością i wzorowem postępowaniem zaleconych, tak celujący w uniwersytecie magistrowie, zasługują na szczególne polecenia do władz rządowych. Najczęściéj prawdziwa zdatność nie chce i nie śmie szukać dla siebie poleceń, i najczęściéj dla tego jest nie poznaną, że, (jak zwykle), sama się nie zna na sobie. Początkowe chrześciaństwo wiele zakładało na użyciu zdatności i na jéj wyszukiwaniu; to wszyscy wielcy rządzcy naśladowali. Wynaleść zdatność, wykształcić ją, wskazać jéj zbawienne przeznaczenie i na swojém postawić miejscu, jest to jeden z wielkich środków ku osiągnięciu celu chrześciańsko-moralnego wychowania. Do tego celu plan powyższy zmierza w zasadach swoich.

zdolności fizycznych, dziś są ćwiczeniem władz umysłowych. Ztąd uniwersytet nie przeto tak się nazywa, ażeby uniwersalne nauki obejmował, lub tworzył ludzi uniwersalnych i był (jak go niezręcznie nazwano) wszechnicą, — ale że obejmując nauki kształcące ludzi w ogóle i sposobiące do pewnego powołania, wykłada je z głównego stanowiska w związku pomiędzy sobą, i dla tego szkołą główną się zowie.

Do szkoły głównéj nietylko przychodzimy po nabycie zasad w obranych naukach, ale po nabycie w ogólności zasad gruntownego myślenia i postępowania; przychodzimy tu zamienić usposobienie nasze w umiejętność, a skłonności nasze w charakter i wolą. Cel stanowczy i ważny, do którego z należytym zapasem wiadomości z czystą i żywą chęcią, oraz ze stałém przedsięwzięciem przystępować potrzeba. Niech więc żaden, wstępując do szkoły głównéj, nie sądzi, że przychodzi wprost po pieczęć na prawnika, lekarza, geometrę itd. Gdyby wychowanie publiczne miało za cel kształcić tylko ludzi do tego lub owego stanu, uniwersytet, w ogóle swoim, nie byłby potrzebny, — dośćby było na specyalnych szkołach różnych umiejętności.

Trzeba więc najprzód powziąść wyobrażenie, że do uniwersytetu po to przychodzimy, abyśmy, odpowiadając powołaniu gruntownie oświeconych, kształcili się najprzód jako ludzie myślący i działający według zasad, i w tém dopiero ukształceniu nabywali obranéj umiejętności.

Pod pierwszym tylko względem rozwinę moje uwagi, gdyż te jedynie wszystkich zarówno dotyczyć mogą. Celem ich będzie wykazać, jakie jest powołanie młodzieży akademickiéj na przyszłość i jakie toż powołanie wskazuje im obowiązki na teraz.

Powołaniem akademika jest, aby najgodniéj odpowiedział przeznaczeniu człowieka gruntownie oświeconego. — Człowiek jest ograniczoną, myślącą i czującą istotą; te wszystkie względy wskazują, iż powinien poznać istotne swe ograniczenie, a w tym zakresie swe powołanie. Przeto winien się doskonalić religijnie, umysłowo i obyczajowo. Każde z tych trzech powołań

w Bielsku-Podlaskim

wspierają się wzajem i jednoczą ku zupełnemu udoskonaleniu człowieka.

Człowiek jest ograniczony fizycznie, moralnie i umysłowo; lecz we wszystkiem ograniczony jest Bogiem, jako cząstka w nim zawarta, i ku niemu dążąca. W dolegliwościach fizycznych w nim ostateczną upatruje pociechę; w najwyższem czuciu radości lub smutku, ku niemu się wznosi; w najszlachetniejszych dążeniach moralnych, jego za cel obiera; — a w działaniu na najwyższym szczeblu rozumowania stanąwszy, w nim przyczynę wszystkich przyczyn dostrzega. Wystawmy sobie na chwilę człowieka bez tego ograniczenia; wtedy będzie on w oczach naszych jako żeglarz wśród nocy na skołatanym okręcie, miotany po morzu wzburzonem.

Tę najwyższą Istotę, którą opiekuńczo zewsząd jest ograniczony, pojmuje człowiek czuciem, śledzi rozumem, a w działaniu jako wynikłości rozumu i czucia, pragnie ku niéj się zbliżać. Zgodne tylko ku temu celowi dążenie uczuć i rozumu, jest ostatecznem dla działań naszych zadaniem. Gdy te władze rozdzielone zostaną, nigdy granic swoich nie znajdą, i zaślepione, zawsze przekraczać je będą. Błogie uczucia wyrodzą się wtedy w namiętność, rozum w dumę, który niemi kierowany upornie, mniema że widzi, że sam prosto idzie do celu. Nieszczęściem, że ludzie za nadto zakochani w swoim rozumie, takiemu najłatwiéj wierzą i nato są dumni. „Przyszedłem w imię Ojca (powiedział Chrystus Pan) nie przyjęliście mię; ale kto przyjdzie w własnem imieniu tego przyjmiecie.“ — Chciał Bóg nietylko zwrócić, lecz i stale zbliżyć do siebie zbłąkany a drogi swój utwór. Dał w Synu swoim, w człowieczeństwie objawionym, wybawcę i przykład jak i my dziećmi Bożemi być możem. Ten czucie ludzkie nową do Boga dążącą iskrą przeniknął; ten rozumowi przyszedł w pomoc na jego granicy; ten nakoniec w działaniu swojem na ziemi, zostawił najwyższy ideał, do jakiego człowiek dążyć powinien. — Otoż zakres, droga i cel zawodu naszego! otóż zbawienne pogodzenie władz naszych.

Nie mówmy więc w prostém znaczeniu, że religia jest, lub być może ograniczeniem naszem; jest ona przeciwnie, gra-

niczeniem z najwyższą Istotą, jako cząstki z całością, do któréj czucie, rozum i wola nasza zmierzać są przeznaczone. Nigdy więc duma bezrozumniéj przeciw sobie nie mówi jak twierdząc, że religia jest dla gminu tylko potrzebną, bo nigdy nie dowodzi wyższego upokorzenia, jak sama przyznając, że nie onéj to dano do Bóstwa się zbliżać. Gdybyśmy się tego ograniczenia ślepo zaparli, na cóżby zresztą mógł być dumnym zewsząd upokorzony ród ludzki?

Jeżeli tylu mędrców, lub mianych za takowych, śledziwszy samym tylko rozumem przeznaczenie wszystkiego, rychléj czy późniéj na łono religii wracają; my, idąc za wrodzoną skłonnością i korzystając z doświadczenia, z nią zaczynajmy, z nią żyjmy. Niech się rozum nasz nie błąka tak, by późniéj po rozgrzeszenie tylko do niéj przychodził; ale niech pod jéj błogosławieństwem szuka prawd użytecznych, niech używa drogiego daru rozumu, który nią kierowany, tyle godności i szczęściu doczesnemu odpowiada. Jak zaślepieni rozumem, tak i ci, któremi zmysłowość i namiętności miotały, wracają na łono religii, — jak marnotrawni synowie do macierzystego ogniska. Przyjmuje ich ona, kocha i cieszy jak matka, ale w nich samych nie masz już rysów owéj dziecinnéj, niczém niezakłóconéj miłości: rzewne łzy leją, ale już to nie są łzy rozkoszy; bo w pojednaniu. chociażby z ludźmi tylko obrażonymi, obok słodyczy, zawsze coś gorzkiego zostaje. Ona nie mówi nikomu „niewdzięczny!“ ale serce nasze nie przestaje tak mówić. Co gorsza! ludzie namiętnościami zużyci, we wszystkich nadziejach świata zdradzeni i Boga jeszcze samego namiętnie tylko kochają; nie widać w nich ducha pobłażania, rzewnego czucia, pogodnéj rezygnacyi i harmonii wszystkich władz duszy Boga dla Boga kochającéj.

A zatém czerstwa i czysta w swojéj porze, w pogodnéj wiośnie zaszczepiona, będzie dla nas religia prawdziwem drzewem oliwnem, drzewem pokoju i mądrości, drzewem niosącem posiłek, ochłodę i uchronę, tak w szczęściu młodzieńczem, jak w męzkich trudach i w przykréj starości.

Poznawszy nasze granice, w nich świetność i cel zbawienny, winniśmy jako myślące istoty używać daru rozumu, dosko-

nalić go w granicach wskazanych, i uważać owoce prac jego za ziemskie powołanie nasze. Zabezpieczywszy sobie w religii port w razie przeciwności i gwiazdę w razie zabłąkania, rozum nasz może i powinien śledzić i gromadzić wszystko, co jest użyteczne i piękne; niech wynajduje nowe krainy i wyspy, niech zapobiega potrzebom ludzi fizycznym i umysłowym, niechaj społeczność zatrudnia, jednoczy i uzacnia. Obok tego, rozum uzupełnia swe przeznaczenie gdy sam religią ograniczony, namiętności ograniczać umie. Rozum tylko jako sługa religii, panem namiętności być może.

Ale w rzeczy rozumu zawód nasz jest trudny. Z uczuciami przychodzimy, lecz wiadomości zastajemy na ziemi. Zasady religii są dla wszystkich łatwe, pojętne, prowadzące w tém co do wykonania należy; wiadomości z pracą musiemy szukać i są naszym nabytkiem. Zastajemy je w massie przez wieki nagromadzone, w ciągłem porządkowaniu i doskonaleniu i tak je ku dalszemu postępowi zostawiamy następcom. — Wszyscy coś z tego wspólnego skarbu bierzemy i obowiązani jesteśmy w miarę możności, z czynszem część naszą do niego odnieść. Ten skarb w miarę pomnażania się swego ułatwia do siebie przystęp. Bitym torem dążymy wprost do wielu jego części, do których ojcowie nasi po śliskich i nużących opokach drzeć się musieli. Lecz razem, jedni odnoszą do tego skarbu nieczysty i fałszywy kruszec; inni zamiast dróg prostych, krzyżują do niego przystęp; ci niebaczni, używają go na własną szkodę, owi na szkodę bliźnich; — tak dalece, że wielu nazwało prace umysłowe nietylko karą Danaid, ale rzeczą dla szczęścia spólnego niebezpieczną.

Istotnie, nadużycie nauk tyle przyniosło wstrząśnień, że i mędrcy w nich zakochani i rządcy na nich sławę zakładający, nie mogli często znaleźć wagi złego i dobra, jakie przynoszą. Przecież każdy bez uprzedzenia ludzkości życzliwy za stroną nauk przemówi. Trzeba tylko do nich z czystem przystępować sercem, tak jak czystym tylko rękom święty ogień Westy pod straż był powierzony. Trzeba je pojmować gruntownie, bo nauki są jako te owoce, których łupina jest przykra i trująca, lecz ziarno słodkiem lekarstwem. O nich można powiedzieć, co Pope o saméj rzekł poezyi: „Albo kielich ze źródła Hypokreny do dna wypełnij, lub go się wcale nie tykaj. Spełniony, boskiem cię ożywi natchnieniem, — skosztowany, tylko upoi.“ Trzeba nakoniec z tém cośmy czysto i gruntownie pojęli dążyć do pewnego celu, którym jest pożytek i godność spół-bliźnich. Ten cel wskaże nam zawsze miłość ludzi, bez któréj nie masz światła rozumu, tak jak nie masz dnia bez słońca. Tylko działając razem jako myślące i jako czujące istoty, działamy prawdziwie dobrze. „Najmniejsza część ludzi (mówi Bakon) poświęca się naukom z miłości rodu ludzkiego. Owszem w naukach szukamy łoża, na któremby umysł rozgrzany, niespokojny mógł spocząć; uważamy je albo za miejsce przechadzki, aby się swobodnie przechodził i rozpatrywał, albo za zamek i twierdzę do turniejów i walki, albo za wysoką wieżę z którejby dumny tylko daleko patrzył, albo nakoniec za warsztat do handlu i zysku; gdy przeciwnie, one powinny być skarbcem i zbrojownią na chwałę Utwórcy wszech rzeczy i na pociechę rodowi ludzkiemu.“

Pierwszem więc powołaniem akademika, z czystem sercem dy świątyni nauk wstępującego, jest gruntowne przejęcie się naukami i onych celem, aby się nauczył myśleć i działać, aby się kształcił umysłowo i moralnie. Plato był pierwszy, który wykładając nauki swoje w Akadema ogrodzie, usiłował wpajać zasady łącznego w obudwu względach dążenia. Ztąd zachowane aż dotąd nazwisko akademików dla tych, którzy tak się doskonalą.

Prawdziwe oświecenie akademika, aby było zupełnem, polega nie na saméj władzy myślenia i dążeniu ku prawdzie, ale oraz na czuciu i miłości tego, co jest szlachetne i piękne.

W tym celu obowięzują (mniéj więcéj) każdego, jakikolwiek zawód obiera, nauki w ogóle kształcące, z których dopiero rozpływają się szczególne umiejętności. Na pierwszych gruntuje się umiejętność życia, na drugich umiejętność stanu lub powołania. Te główne nauki do tego dążą, abyśmy myśleli i działali według pryncypiów, bo sądzę, iż od wiadomości postępujemy do zasad, przez zasady zaś nabywamy umiejętno-

ści. Te więc główne nauki są: właściwa filozofia, nauki przyrodzone i matematyczne, historya i literatura.

Ogniskiem tych wszystkich jest filozofia, która z danych postrzeżeń w świecie i człowieku, prawdy fizyczne i moralne śledzi, rozbiera i łączy, wskazując środki własnego myślenia i działania. Postrzegając w świecie fizycznym mądrość i dobroć, a tém samem wlaną w człowieka skłonność ku temu, co jest prawdziwe i dobre, dąży do wyjaśnienia obudwu. Najistotniejsza a niezawodna korzyść ta z niéj wypływa, że nas uczy samych przez się postrzegać i sądzić. Tak n. p. logika, która wstęp do niéj otwiera, nic nam właściwie nie daje, ale nas uczy porządnie i po gospodarsku używać tego, co już mamy, lub nabywać będziemy.

Filozofia, powołana stać w środku między fizycznym a moralnym światem, nie mogła równowagi utrzymać; albo ją fałszywe systemata w jednym, albo obłędna imaginacya w drugim mieszała. Tak często, raz oderwana od ziemi, błąka się w krainach marzeń, lub do niéj nakłoniona nurza się w prochu materyalizmu, i właśnie wtenczas jest najdumniejszą. W pierwszym razie, mniéj niebezpieczna dla szczęścia, ale szkodlwa dla rozumu, kończy na zużyciu sił jego w locie zawodnym: raz chce czynić z człowieka istotę tylko zmysłową, drugi raz czysto moralną, gdy on na ziemi jest jedną i drugą. Lecz dzięki Opatrzności, że w pierwszym razie otworzyła dla niéj księgę natury, w drugim księgę religii. Rychléj czy późniéj metafizyk do pierwszéj wróci, materyalista do drugiéj się wzniesie. Przy tych boskich pomocach, widzimy w filozofii prawdziwe pośrednictwo między nami a światem, między rozumem a czuciem, — i wtenczas tylko umiemy pokornie się wznosić i wzniośle upokarzać. Jak niebo i ziemia na życie ludzkie wpływają, tak filozofia zarówno być powinna celem moralnych i fizycznych nauk. Biada gdzie jest tylko sługą potrzeb i zbytków zmysłowych, albo tylko narzędziem lub igraszką umysłowych zamarzeń. W obudwu razach rozum za nadto zakocha się w sobie, ażeby słuchał głosu natury i doświadczenia.

Szczęściem więc, że wzrost nauk przyrodzonych nie tylko

do naszych potrzeb stosowanych, ale uważanych za żywioł do badań filozoficznych, będzie zawsze stanowczą przewagą przeciw wylotom abstrakcyjnym.

Niechby wszystkie zapasy ludzkich wiadomości (gdyby to być mogło) zginęły, ta święta księga natury na zawsze zostanie. Ona uczyła pierwszych pasterzów, jak dziś prawdziwych mędrców jedynie uczy; w niéj wszyscy zarówno jak dzieci czytamy; ona każdemu według sił i zdolności jego dostępna, ale nigdy wyczytana nie będzie.

Na tę księgę niech akademik zawsze zwraca swe oczy, a z niéj się uczy myśleć gruntownie i wszechstronnie. Nauka rzeczy przyrodzonych, dążąc do zaspokojenia wszystkich potrzeb fizycznych, dąży razem do rozwinięcia wszystkich władz umysłowych na pewnych zasadach. Najdzielniéj je zatrudnia: bo natura tylko odgadywać się każe, bo w danych szczegółach każe szukać ogólnych prawideł i wzajem przez prawidła ogólne, śledzenie szczegółów ułatwia. Daremnie się jéj naucza, kto ją tylko historycznie w szczegółach odrębnych pojmuje, — przegląda on tylko drukarskie litery ale nie dzieło. W niéj wszystkie środki przyczynie i celowi odpowiadają. U niéj jeden plan do każdego szczegółu zastosowany, a wszystkie szczegóły są razem całością i ciągiem całości ogólnéj. Natura wszędzie prosta, czynna, przewidująca, niezmienna, oszczędna, zamierzająca, — takim chce mieć prawdziwego ucznia swojego. Jeżeli skłania rozum do porządku i gruntowności, tém samem najskuteczniéj go uczy, znać granice, jakie mu zakreśliła. Tylko doskonały badacz natury powiedzieć może, iż doskonale nic nie wie, ale że we wszystkiem postrzega doskonałość, a w niéj Boga.

Odpowiadając potrzebie rozumu, opowiada także najdzielniéj potrzebie serca swych uczniów. Z niewyczerpanych źródeł dostarcza im uczuć przyjemnych i wzniosłych. Wszędzie widzą w niéj niezmordowaną, przewidującą, macierzyńską troskliwość i na jéj łonie przenikają się miłością wszystkiego. Wszędzie oraz postrzegają nieprzepartą konieczność i surowość jéj prawa, i uczą się znosić spokojnie wypadki, które oni rachubą Opatrzności, gmin zaś ślepym trafem nazywa. Oni

przeto najprędzéj być mogą ufającemi dziećmi i spokojnie rezygnującymi mężami.

Nie mogę jeszcze pominąć, ile znajomość fizyczności człowieka i rzeczy do jego życia należących, na zdrowie nasze ma wpływu. Żyjącym w wyższym stanie, pracującym umysłowo i wystawionym na ponęty zbytku, jest ona więcéj niż sądzimy potrzebną. Ona zapobiega wykroczeniom przeciw nam samym, czego natura nigdy nie zostawia bezkarnie, uczy nawet wybaczać moralnym słabościom bliźnich, gdy nam często w fizyczności przyczyny onych wskazuje.

Lecz w ogólności, aby w księdze natury korzystnie czytać, nie trzeba jéj samym rozumem liczyć i mierzyć, nie trzeba z zimnem sercem wpatrywać się w nią jakby w umarłą, ale czuć w niéj życie, — swojego jéj udzielać. Nawet i wtenczas, gdy nam się martwą być zdaje, szukać w niéj tchnienia, lub ją swym duchem jak Pigmalion, ożywiać. Słusznie mówi Apostół, że wiadomość nadyma, lecz miłość zdrowiem umysł napełnia. Dusza zawsze jest silniejsza będąc czułą, niżeli gdy jest tylko rozumującą.

Dzieje ludzkie jak i dzieje natury podają nam zdarzenia i czyny, z których wnioski tworzymy, i wtenczas stanowią one umiejętność życia. Dzieje ludzi świadczą ich słabość i znikomość, gdy dzieje natury oznaczają wszędzie jéj potęgę i mądrość. Są one i być uważane powinny, jako cząstka dziejów natury, z tą różnicą, że w naturze widzimy wszędzie doskonałość, w nich dążenie ku doskonałości; że natura w środkach swoich niezmienna i pewna, ludzie zaś w usiłowaniach niejednostajni i błędni, jednakże w ogóle postępują. Że przeto dzieje są ludzką dla ludzi nauką, która z nad granic przeszłości ostrzega i pociesza. Szkodliwą chyba być może przeto, że ludzkie świadczy słabości, że je słaba ludzka ręka podaje albo odbiera. Trzeba więc w dziejach umieć być sędzią historyka i ludzi, trzeba całą społeczność pojmować w stosunku z naturą i Bogiem, — cały naród w stosunku z innemi, — jednego zaś człowieka z narodem, oraz z czasem, w którym żył, który go poprzedzał i po nim nastał.

Wszelkie dzieje tak uważane, te nam wnioski najogólniejsze wskazują: że na téj ziemi trwa zawsze odporna walka dobrego naprzeciw złemu, że to złe jest obcą, zaczepną stroną, które czasem cząstkowe zwycięztwa odnosi, lecz w ogóle się cofa; powtóre, że tą walką kieruje zawsze ręka Opatrzności, któréj dobrzy są pomocnikami, a źli najczęściéj ślepem narzędziem; że żaden czyn dobry nie ginie, lecz żyje i rozmnaża owoce; że gdy ludzie błądzą, słabieją i nikną, ludzkość się doskonali i żyje; że nakoniec w dziejach człowieczeństwa, tak jak w naturze, trzeba uznawać konieczności wyroki dla nas nie pojęte.

Do dziejów zdarzeń i czynności ludzkich, zawsze łączyć potrzeba dzieje kultury i nauk. One są zwierciadłem wewnętrznych uczuć i skłonności narodu, jak tamte obrazem zewnętrznych czynów. „Jeżeli w historyi narodu (mówi Bakon) dzieje nauk będą zaniedbane, wtedy można ją uważać za posąg Polifema z wykłutem okiem, któremu właśnie na tém zbywa, co naturę i przymioty osoby szczególniéj rozpoznać daje.“ Starożytni przechowując w pamięci zasługi czynów bohaterskich i nauk, czuli to dobrze, gdy bohaterów półbogami tylko czynili, wynalazców zaś sztuk i rzeczy pożytecznych, za bogów uznali. Ztąd wyższą jest Minerwa i Ceres od bohaterów Romula i Tezeusza.

Nauka pięknéj literatury nigdy w uniwersytecie bezpośrednio nie zamierza, aby talenta tworzyła. Do niéj natura sama przeznacza swoje ofiary, i wskazała geniuszom drogi osobne, jak kometom, których bieg mniéj się rachubie postrzegaczów poddaje. Najwięcéj, jeżeli ta nauka zdoła na talenta z dobrym skutkiem odpornie działać, ażeby mierność z zawodnéj drogi zwróciła, ażeby wuczyła trzymać w karności imaginacyą, która bez wodzy rozsądku i smaku, zgubnym jest darem; ażeby szczególniéj zdolności poetyczne ku pięknym celom skłaniała.

Ale głównym i stanowczym jéj celem jest: rozszerzać zasady dobrego smaku i w nim powszechne oświeceńszéj społeczności zamiłowanie. Jak talenta są darem natury, tak dobry smak jest owocem oświeconéj społeczności, jest sztuką ukształcenia. Prawdziwie dobry smak jest zawsze ogniskiem towa-

rzyskiéj obyczajności. Nauka onego w uniwersytecie pośrednio najwięcéj dąży do kształcenia obyczajowego.

W dziełach Twórcy widzimy wszędzie nietylko mądrość i dobroć ale i piękność. Do téj jak do tamtych, niedaremnie wlała natura skłonność w człowieka. Piękność polega na prawdzie rozumu i czucia, jest ich zjednoczeniem tak dalece, że we wszystkich językach mądre rozumowanie, dobre i szlachetne czyny, pięknemi się zowią. Nauka piękności i smaku połącza zawsze wzajemną szkodą z sobą walczące czucie i rozum, uczy we wszystkiem przyzwoitości i miary, — a ogólnem zadaniem śmiertelnych nie jest najwyższość, lecz środek.

Powszechnym jest wyrzut przeciw utworom literatury, że same kwiaty wydaje. Przecież natura sama pośród zbóż i owoców rozsiewa kwiaty dla człowieka, który nietylko po żywność, jak owe zwierzęta w Psalmiście, do niéj przychodzi. Niechby literatura same wydawała kwiaty, przecież te kwiaty radują oko, wśród nich oddychamy czystem powietrzem i wonią przyjemną. Wydają one czasem truciznę, lecz częściéj lekarstwa, trzeba je tylko umieć rozróżniać i złe wytępiać.

Jednę tylko potrzebną chcę tu dodać uwagę, którą doświadczenie wskazuje. Poświęcający się umiejętnościom, zaniedbują zupełnie zaznajomić się z naukami pięknemi, czciciele zaś literatury ze wstrętem odwracają się od innych nauk, pracy i zgłębienia wymagających. Ztąd jednym zbywa na zapasach wiadomości, drugim na sztuce ich udzielenia, ztąd często wyrzucany pedantyzm uczonym, a płytkość tak zwanym belletrystom. Obadwa wzajem z siebie nie korzystając, tracą na swoim zawodzie. Najzbawienniejszych zatém owoców spodziewać się można po tych, którzy do obranego zawodu przybierają jaką naukę pomocniczą, literaturę lub umiętności; — obadwaj z wyższą korzyścią nie tylko dla siebie, ale i dla społeczności pracować będą.

Te są nauki ogólne, służyć mogące za podstawę do wszystkich innych szczególnych. One ułatwiają nie tylko gruntowne ich objęcie, lecz nadto wykonywanie. Bez nich ukończenie nauk obranego zawodu nie jest ściśle akademicznem. One prowadzą do myślenia przez się, do zapatrywania się z wyższego

stanowiska na życie, nauki, obowiązki i przyszłe zatrudnienia nasze; one kształcą rozum, czucie i smak, które łącznie dopiero, moralne oświecenie stanowią.

Te wreszcie nauki uzupełniają oświecenie bez względu na przyszłe powołanie w obowiązkach publicznych i one jedynie czas wolny godnie zatrudniać mogą. W obojętności ku nim zasypia wieksza część władz moralnych człowieka, wśród którego uśpienia namiętności dobrowolnie rządzić nim mogą. Obywatel oddany samotnemu rolnictwu, kapitalista bezczynne życie wiodący, szukają pociech w nałogach, które się w bezczynność zmieniają. Te to nudy tworzą najczęściéj spory sąsiedzkie i pieniactwo, które się zmieniło w poniżającą namiętność. One tworzą niesnaski rodzinne, nęcą do miast i stolicy dla zepsucia, które (nie mówię to z przesadą) więcéj w bezczynności wiejskiéj, niż w saméj stolicy panuje. Rozwijający się dziś przemysł, jedyne wsparcie rolnictwa, wszystko znajomości nauk przyrodzonych jest winien, i oprócz korzyści, godne zapełnienie czasu, wiejskiemu pożyciu zapewnia. Przecież i naród, nawet głównie przemysłem zajęty, innych sił umysłowych nie zaniedbuje i nie może nauk do samych potrzeb przemysłu poniżać. Przemysł z fizycznych potrzeb wynikły, rodzi wzajem potrzeby zbytku, którego szkodliwym skutkom, tylko wyższe umysłowe potrzeby zapobieżyć są w stanie. Narody najsławniejsze z przemysłu wydawały razem najwyższe geniusze w filozofii i poezyi; — narody takie są oraz najciekawsze do wszystkiego, co umysł ludzki zajmuje, i taka wszechstronna czynność umysłowa jest prawdziwem ich życiem. — W posiedzeniach brak zasobów umysłowych, i szlachetniejszych zabaw, zmusza do gier, do obudzania śpiącego umysłu przez trunki, co często ozdabia się imieniem dawnéj narodowéj gościnności. — Wszelkie zmysłowe nałogi i sama niemoralność nie tak jest skutkiem złych wrodzonych przymiotów, jak bezczynnéj mało widzącéj duszy. Nie jeden zaprzeda honor, spokojność domową w tym dziecinnym widoku, aby go w pięknéj karecie widziano. Gdyby dusza tych wszystkich nawykała za młodu do umysłowych zatrudnień, do wyższych, godniejszych o szczęściu wyobrażeń, nie zaspaliby darów

i uczuć prawdziwie do szczęścia wiodących. Młodzieniec z pięknem czuciem znałby wyższe szczęście wieku swojego nad zmysłowość; inny sposób podobania się by obrał, nad ów dowcip, wyszydzający to, czego nie pojmuje, nad drobnostki mody, nad oddanie się saméj sztuce powierzchowności, którą się dobrym tonem nazwać upodobało.

Takie powołanie akademików na przyszłość, wskazuje im najprzód w obowiązkach teraźniejszych ten złoty przepis: non scholae, sed vitae discendum. Z tego przepisu wypływają ustawy uniwersyteckie, które ze względu na sposób kształcenia inne są od przepisów szkolnych. Akademik jest na wstępie rządzenia się samym sobą, i jako taki, w stosownym zakresie, wzwyczajać się powinien do tego stanowczego przeznaczenia. Ma więc ogólne przepisy postępowania, w których już więcéj musi być pilnowanym, niż prowadzonym. Jak w naukach tak w postępowaniu, powinien się najwięcéj sam przez się doskonalić. Ztąd, jeżeli ustawy uniwersyteckie więcéj zostawują każdego własnéj woli i rozeznaniu, są za to surowe i niewzruszone. Przez nie zamierza zwierzchność, ażeby każdy sam z siebie czuł potrzebę i obowiązek chętnego wykonywania prawa. Nie potrzebuję tu dodawać, co się samo przez się rozumie, że żadne liczne zebranie ludzi bez ścisłego porządku i karności nie mogłoby celowi swojemu odpowiedzieć.

Według tego, obowiązki akademika wskazują mu: jak ma postępować w tém, w czém samemu sobie jest zostawiony, i jak się winien stosować do przepisów swéj władzy.

Czyjem powołaniem jest według zasad myśleć i działać ten powinien gruntownie się uczyć, wszystkie zdolności razem wydoskonalać. Gruntowne uczenie się wymaga porządnego rozkładu przedmiotów i środków ich nabywania.

Pierwsze stara się zwierzchność uniwersytecka tak urządzać, iżby każdy akademik mógł do rozkładu przedmiotów własne swoje zdolności i chęci stosować.

Uniwersytet królewsko-warszawski podzielony jest na fakultety, z których żaden nie stanowi sam przez się oddzielnéj szkoły, lecz wszystkie są tylko oddziałami ściśle z sobą połączonemi. Nauka filozofii, historyi i t. d. obowięzuje uczniów

wszystkich wydziałów; równie nauki rzeczy przyrodzonych, matematyczne i filozoficzne, obowięzują niektórych uczniów z obcych wydziałów, według obranego oddziału kursów. Każdy wydział przepisane ma lata nauk, a w roku każdym nauki, których słuchać jest akademik obowiązany. W tym rozkładzie nauk, miany jest wzgląd na ich następstwo i związek z innemi, tudzież na możność pojęcia onych w pewnym przeciągu czasu. Złożone roczne examina stanowią o postępie na rok wyższy, i o pozwoleniu słuchania innych przedmiotów, porównanie zaś examinów rocznych z lat wszystkich o przypuszczeniu do examinu na magistra. Następstwo nauk tak jest rozłożone, że uczniowie zaczynają uniwersytet od głównych, o których wyżéj mówiłem i razem od nauk zasadniczych tego wydziału, do którego się zapisują. — Porządek ten zastępuje w tym względzie, przepisany dla niektórych zagranicznych uniwersytetów wydział filozoficzny, który wszyscy uczniowie przechodzą, nim się do pewnego fakultetu zapiszą.

Wolno każdemu uczęszczać na wszystkie prelekcye nieobowiązujące, z ostrzeżeniem, aby wprzód naukom obranego wydziału zadość uczynił; dla tego słuchanie nauk nad przepis, nie nadaje prawa do examinu i stopni.

Temi i tym podobnemi urządzeniami, o których przybywający bywają uwiadomieni, wytknięta jest dla młodzieży droga którą w swoim zawodzie najpewniéj postępować może: potrzeba tylko, ażeby do tego własne chęci i siły skutecznie zastosowała. Uczyni to: 1) przez porządne słuchanie prelekcyj, 2) przez własne rozmyślanie i czytanie, 3) przez ćwiczenie się ustne i piśmienne.

Prelekcye nietylko podają wiadomości, ale są oraz głównym środkiem rozwijania pojęcia i ćwiczenia pamięci nie słów, lecz rzeczy. W prelekcyach uniwersyteckich, nie tak idzie o nabycie znajomości téj lub owéj nauki, jak o sposób onéj objęcia. W szkołach niższych młodzież wszystko jest winna swoim nauczycielom, w akademii więcéj jest winna saméj sobie. Nie przychodzi tu na prelekce po to, aby z ust profesora całą naukę w jéj obszerności przejęła (bo to jest

niepodobieństwem), ale przychodzi tylko po wskazanie jéj zasad, źródeł i sposobów, w jaki ją sama przez się ma nabyć.

Wykład nauk w prelekcyach uniwersyteckich jest, lub powinien być ściśle metodyczny, który ułatwiając objęcie i spamiętanie rzeczy, dąży razem do rozwijania w każdym własnego rozsądku, i wprawia do ciągłéj uwagi i bystrego pojmowania. Jak każdy metodyczny wykład, tak i zrozumienie onego powinno być gruntowne i ścisłe, — inaczéj nie stanie się własnością słuchającego; powinno być objęte w związku wszystkich części, — inaczéj będzie niepewne; powinno być nakoniec zupełne, albowiem bez tego nie będzie dostateczne do zastosowania w szczególnych przypadkach.

Jest wielka różnica między teoretyczną a praktyczną nauką. Teoretyk wie najprzód od czego zaczyna, do czego dąży; praktyk wstępuje tylko w ślady niepewne; mniéj on daleko zdoła się znaleźć w szczególnych przypadkach niżeli teoretyk. Teorya sama jest tylko zbiorem i uporządkowaniem doświadczeń; jak wszystkie w siebie wciągnęła, tak się na wszystkie rozpływa. Od czegóżby były doświadczenia wieków, gdyby w teoryą skupione, nie miały przyświecać i prowadzić następnych? Niedokładne tylko poznanie teoryi, albo objęcie onéj pamięcią tylko, nie własnem utwierdzeniem, może zastosowanie onéj w praktyce wikłać, i ztąd to chyba przeciw teoryom niektórzy powstają. Gruntownie uczony, nic bez teoryi w praktyce nie działa, praktyka jego tyle jest pewną, o ile jasno, gruntownie i zupełnie teoryą pojął.

Taki wykład i taki cel prelekcyi wymaga odpowiedniego słuchania, to jest: aby ich nie obejmować pamięcią, ale własną rozwagą. Nie po akademicku uczą się owi skoropisowie, którzy każde słowo profesora chwytają na papier. Żadna prelekcya nie może być dyktowaniem, ani wprawą skorego pisania, bo wtenczas nie potrzebneby były prelekcye, dośćby było na książkach, — tak czyniący, powierza rzecz papierowi, nie przywłaszcza jéj sobie.

Jedne prelekcye polegają więcéj na pamięci, drugie na własnem badaniu; w obudwu rozsądne notowanie nie jest naganne, lecz owszem bardzo pożyteczne. Wspierając pamięć

uczy bystrego pojmowania, przytomności umysłu, które zawsze są cechą męzkiego i zdrowego rozsądku. Uczymy się przytem pojmować logiczny ciąg rzeczy, oznaczać zawsze główne jéj punkta i treść myśli w najkrótszych wyrazach zamykać. Tak przyswajamy sobie rysunek dzieła, któremu sami własną barwę nadajemy. Tak wytykamy dla pamięci naszéj główne stanowiska, by się nie obłąkała. Tak spuszczając się na obcą pomoc, wiele razem własnym naszym siłom zostawujemy. Szczęśliwy jednak, kto w lekcyach polegających na rozumowaniu tak potrafi się włożyć, aby rzecz bystro pojętą, w domu zwięźle własnemi oddał słowami. Początek w tém usiłowaniu będzie mu najtrudniejszy, ale z czasem przez wprawę zdoła z coraz większą łatwością objąć, spamiętać i przyswoić sobie rzecz dobrze słuchaną. Ta wielka wypłynie ztąd korzyść, że przy jednéj pracy doskonalić będzie razem pojęcie, pamięć i sztukę pisania. Wszystkie te zdolności wspierają się wzajem i doskonalą, gdy są razem czynnie zajęte.

Nie można dosyć zalecać ile podobna wprawa potrzebną jest szczególniéj przyszłym urzędnikom.

Uczenie się dosłowne rzeczy, szczególniéj zasadzających się na metodzie i rozumowaniu, jest dla akademików nie tylko bez korzyści ale i szkodliwe. Kto się uczy na pamięć dla tego tylko, by to co w niéj dochował, przy examinie oddał, bierze martwy kapitał i martwy powraca, — nic nim nie zarobiwszy. Z prawdziwego kapitału pamięci, nie oddajemy tych samych pożyczonych kruszczów, — ale to cośmy niemi własną pracą zarobili; oddajemy zarobek z czynszem, a reszta naszą własnością zostaje.

Kto aż do słów przyswoił sobie lekbyą, nie odda jéj nigdy z śmiałą pewnością; w głosie jego będzie zawsze coś szkolnego, znać będzie że rzeczą, nie jako swoją własnością rozrządza: będzie wszystko wybierał z zawodnéj pamięci, nie zaś z myśli i z serca; zmiesza go mimowolne zboczenie od wyrazów, których jak ślepy poręczy trzymać się musi. Zmieniony porządek, zastosowanie do jakiego przykładu, potrzeba znalezienia się w każdym przypadku, — wszystko to są tamy,

których sama pamięć w słowach najpłynniejsza, nie zdoła przebyć.

Sama natura prelekcyi uniwersyteckich wskazuje, że przerywane onych słuchanie nie może być bez przeszkody. Ścisły ciąg rzeczy i rozkład przedmiotów, składa łańcuch spojony, w którym przerwanie jednego ogniwa wszystko niweczy. Ztąd słuchanie dalsze jest bezkorzystne. Ztąd ustaje coraz więcéj chęć do nauki i wdrażamy się w powierzchowne i fałszywe o niéj sądzenie, gdy właśnie celem prelekcyi jest poznawać przedmiot w zasadach, ciągu i związku. Opuszczonych prelekcyj nie można nigdy nagrodzić cudzych skryptów przepisywaniem, w tych bowiem nikną objaśnienia ustne i rzeczy poboczne nie przez ustny wykład powzięte nie mają dla nas równéj jasności i życia. Przeto nakoniec tracimy nader korzystną sposobność zastanawiania się z profesorem nad przedmiotem i nabywania wprawy w porządnem myśleniu.

Wszelkie domowe prace w ścisłym być winny związku z prelekcyami. Profesor nie może prelekcyą objąć wszystkiego, lecz wiele wskazuje tylko, wykłada rzecz swoją — nie podług wskazanych tylko, albo każdemu dostępnych książek ale obowiązany jest postępować z wiekiem i wskazywać najnowszy stan swojéj nauki, lub najnowsze o niéj wyobrażenia. Nie narzuca, lub nie powinien narzucać zdania własnego, lecz godząc i wyjaśniając obce, swoje tylko objawia, zostawując rzecz własnemu rozbiorowi słuchaczów.

Ztąd lekcye wskazują plan domowych zatrudnień. Między temi, trzyma najpierwsze miejsce zgłębiane słuchanych przedmiotów. To tylko jest prawdziwie naszą własnością cośmy sami badaniem i ćwiczeniem wypracowali. Sama pamięć niewiernym jest składem. Prawdziwy słuchacz nie jest nosicielem cudzéj własności, nauki nie są powiastkami, które się przez tradycye, coraz mniéj wierne w pokoleniach przechowują; — powinny być tylko materyałem do własnego obrobienia.

Pszczoła nie znosi gotowego miodu, lecz go wyrabia. Kto tylko to wie co z lekcyi słyszał, nabiera tylko historycznie wiadomości, — tak je zna mało, tak go mało obchodzą, jak ludzie, o których z daleka coś słyszał. Może się niemi do czasu zastawiać odpornie tylko, ale nie czynnie. Każdy ze zdrowym rozsądkiem, mniéj wiadomości mający, zawstydzić go może. Ztąd to, powtarzam, pochodzą tak częste, a niesłuszne wyrzuty przeciw naukom teoretycznym, że na nich czas daremnie stracony, że w praktyce dopiero na nowo doskonalić się trzeba. Jest to wina uczących się, lecz nie nauki.

Kto pojął plan całego kursu profesora, albo wskazane ma dzieło którego się trzyma, dobrze czyni, gdy się na lekcyą następującą gotuje. W tym celu zwykli profesorowie nadmieniać, jaka materya na następującą godzinę przypada. Przygotowanie się takie, mile zajmuje umysł, i wielką odnosi korzyść. Wtenczas słuchamy wykładu z żywym interesem, świadomi już rzeczy, łatwo ją pojmujemy; wyświecają się nam rzeczy dotąd ciemne albo wątpliwe; potwierdzamy lub prostujemy własne zdanie, a rzecz trwale wraża się w pamięć. Ale nadto, ważniejsze jest jeszcze powtarzanie słuchanych lekcyj. Główny ten obowiązek nie może być do czasu odkładany; łatwiéj i pewniéj dopełniamy go wtedy, gdy wykład profesora żywo jeszcze tkwi w naszéj pamięci; potrzeba powtarzać tak, ażebyśmy rzeczy słuchanych już pewni, z większą łatwością słuchać mogli następnjących. Dobrze jest także co miesiąc przypomnić sobie całe wysłuchane przedmioty i główne ich punkta w pamięci odświeżyć. Nieodzowne pracowanie w domu nad rzeczą słuchaną ma za cel, aby się w niéj utwierdzić i onę uzupełnić. Utwierdzamy się w rzeczy, obejmując ją całą, to jest: w jéj zasadach, przyczynach, skutkach i celach. Dla tego w rzeczach z samego rozumu czerpanych i do niego się tylko odnoszących, trzeba niejako być sceptykiem, wątpić wprzód by się przeświadczyć. Ta walka odbyta z sobą samym, uzbroi każdego do odporu w examinach i zarzutach; — trzeba wyprobować każdą myśl, tak jak obcego człowieka, w którym mamy przyjaciela pozyskać. Ile można, starać się należy, nie zostawiać nigdy wątpliwości nierozwiązanych, — trzeba się pytać książek lub uczącego. Każdy uczący, szczególniéj w uniwersytecie, więcéj się przekonywa o słuchaczach przez pytania, które odbiera, niżeli przez te, które sam za-

daje; — w ostatnich słyszy tylko echo swoje, mniéj więcéj dokładnie odbite, w pierwszém zaś poznaje współpracownika w swoim zawodzie. Poznaje nadto jego usposobienie, czy zadaje pytanie błahe czy rozmyślne, czyli ciekawość jest rozumowa czy tylko próżna, czy téż tylko (jak czasem bywa) rządzi nią chęć podchwytywania. Dotąd wyłuszczone przestrogi względem słuchania kursów, wskazują, iż w obieraniu ich liczby i rodzaju trzeba się mierzyć z swym czasem i zdolnościami; dla tego przepisy uniwersyteckie wskazują każdemu w latach właściwych pewną liczbę prelekcyj. Wiele słuchający nic należycie nie obejmą, a będąc wszystkowiedzami, zostaną zawsze bez użytku dla społeczności miernymi.

Tak utwierdzając się w naukach słuchanych, uzupełniamy je przez czytanie dzieł stycznych, szczególniéj przez profesora w jego materyi przytoczonych. Są którzy ani pomyślą, że bez czytania dzieł nie można się w naukach po akademicznemu sposobić, nic nad powinność nie czynią, a biblioteka publiczna wtenczas ich dopiero widzi, gdy z obowiązku potrzeba pisać magistrowską rozprawę.

Tacy sami zakreślają sobie szczupły obręb wiadomości, zawsze tylko obojętnie, biernie, i naśladowanym torem, pełnić będą dalsze swe powołanie. Każdy uczący przebaczy niejakie uronienie kapitału powierzonego uczniowi, jeżeli widzi, że przecież tym kapitałem pracował i na jaki procent zdobyć się może. Są i tacy, lecz w mniejszéj liczbie, którzy w źle kierowanym zapale, czytaniem nasycić się nie mogą, i zawsze pragną nowości. Trzeba z roztropnem umiarkowaniem, mały dokładny wybór dzieł uczynić i z temi z gruntu się poznać. Kilka książek niech nam towarzyszy, jak kilku przy obiedzie przyjaciół. Wielka liczba sprawi tylko roztargnienie, wrzawy i spory; są to tylko znajomi, lecz nie są przyjaciele.

Licznych dzieł nie można czytać porządnie; jest to najprostsza droga do nieładu, do potłumienia wszelkich wrodzonych darów. Trujemy wtedy własne zdanie, nie nabywając cudzego. Chwiejemy się na wszystkie szarpani strony. Z wyobrażeń niesfornie nagromadzonych, tworzą się tylko zasoby fantazyi, umysł nasz jest jak dom zajezdny, w którym pełno

zgiełku, w którym każdy gość uprzejmie przejęty z chęcią jest pożegnany, gdy nowy jego miejsce zajmować przychodzi

Bywa fałszywa chciwość czytania tak jak apetyt z choroby pochodzący. Wielu dla tego tylko czyta, że sami myśleć nie mogą, a więcéj jeszcze dla tego, że nie chcą. Jest to łatwy ratunek tak przeciw pracy jak nudom, albowiem brak pracy tak muszą nudy zastępować, jak ciemność brak światła, Ci téż biorą się tylko do łakotków, które łatwo trawione posiłku nie dając, trują wnętrzności. Pewna jest że ci, którzy z nałogu tylko czytają książki łatwe, by sami nie pracowali, skazują się dobrowolnie na większą, poniżającą pracę, to jest na nudy, w których nigdy zaspokającego roztargnienia nie znajdą. Nadto, nieporządek w wiadomościach, choćby i licznych, prowadzi do nieładu w czynach, tak ich nie będziemy umieli użyć, jak i licznych pieniędzy: zawsze nam będą napływać, a zawsze będziem w potrzebie. Rozsądna ekonomia zawsze ma więcéj, niż chciwe bez niéj nabywanie.

Kto rozsądnie czyta, nabywa wiadomości i razem sam rozumuje jeżeli autora nietylko czyta, ale i z nim się rozprawia. Kto z przyjaciołmi w naukowych przedmiotach obcuje, sposobi się do czytania i rozmyślania, tak jak czytanie i obcowanie jest materyą do rozmów. Ważne jest nader rozmawianie z drugiemi o naukach, które nas zajmują. W samotnem czytaniu lub rozmyślaniu, pomysły przechodzą tylko obojętnie, niewykończone, albo téż rządzi niemi (osobliwie w młodym wieku) sama fantazya. Kiedy wolni od wszelkich pobudek rozmyślamy, umysł buja bez żadnéj zapory, lub uporczywie staje przy swojem i przywiedzenie bierze za prawdę; czci fałszywe bogi i jest zwykle fanatykiem w ich obronie. Tacy są najczęściéj upornymi pedantami lub zapaleńcami. Każdy z nich jest w samem obcowaniu przykry, zarozumiały i lubo nigdy nie przekona, nigdy nie ustąpi. Przeciwnie, gdy zasoby czytania i rozmyślania zwykliśmy w ustnem obcowaniu rozwijać, wtenczas pomysły obojętne i niewykończone nabywają wagi i pewności, zarzuty przeciwne okazują nam rzecz z innéj zupełnie strony, skłaniają nas bronić z czuciem naszego zdania i cudze odpierać. Wtenczas obudza się w nas szybkość obję-

cia i dowcip, który jedynie z starcia się wzajemnego wypływać może. To czucie i ten dowcip przelewa się później nieznacznie w nasz sposób pisania, a w rozmyślaniu uczy nas samym sobie czynić zarzuty i trzymać się zawsze na wodzy. Jeżeli więcéj kochamy prawdę niż siebie, — przekonani, odwrócimy się od naszych urojonych bogów, stracimy zarozumiałość, owę nieszczęśliwą zasłonę, dzielącą nas od światła i ludzi, i będziemy postępować w dalszem doskonaleniu. Sami rozmyślając, strzelamy najczęściéj na wiatr, a przynajmniéj tylko do celu upatrzonego; ale z innymi rozumując, jesteśmy prawdziwymi myśliwcami.

Nadto, naukowe obcowanie ma jeszcze inne korzyści. Przez nie obudzamy w sobie uśpione zdolności, lub się o stopniu naszych wiadomości przekonywamy. Często w kochanym przyjacielu pokochamy i naukę, w któréj celuje, a wzajem przez miłość jakowéj nauki, stajemy się przyjaciołmi tych, których jeden smak z nami połącza.

Tak do rzeczy umysłu łączy się serce, przez co ona dwoistéj nabiera wartości. Kochamy przyjaciela w nauce i naukę w przyjacielu. Radziłbym jeszcze zabierać przyjaźń i z kolegami innych wydziałów. Poufałe rozmowy o naukach nam obcych, a które zawsze z naszą mają jakowyś związek, wielce służą do powszechniejszego oświecenia. Oddający się umiejętnościom, pokocha w uczniu nauk pięknych, smak zawsze potrzebny i wiadomości bliżéj do praktycznego życia należące; ten wzajem skłoni się do tych wiadomości, w których sama gruntowność popłaca: i obadwa połączą w sobie wewnętrzną wartość i piękność zewnętrzną. Szczególniéj jest to zbawienne dla skłonnych do saméj literatury, bo rozumowanie oddającego się naukom ścisłym zawsze jest gruntowniejsze.

Nadewszystko, obcowanie naukowe uczy prawdziwéj przyzwoitéj wymowy. Kto ma przyzwoity dar obcowania, nie będzie nigdy napuszonym krasomówcą, albo rozprawiaczem bez czucia i taktu. Prawdziwie towarzyskie narody, Grecy i Francuzi, widocznie tego dowodzą. Jest pewną wadą w systemie uczenia się, iż z młodszych lat wprawiamy się raczéj w uroczyste mowy, aniżeli w styl prosty i poufały. Ztąd téż po-

chodzi, że gdy wszystkie inne nauki w praktyczném życiu rozwijamy, — ze szkolnego krasomówstwa, w miarę kształcenia się, musimy się otrząsać. Przecież rządowe, obywatelskie i uczone obrady, są więcéj naszém powołaniem na przyszłość. Tu objęcie naturalne, względne, trafne tłómaczenie się, jest wszystkiém; ztąd krasomówstwo wygnane, straci powoli przystęp i do obrad publicznych. Do takiéj najprzód wymowy, trzeba się kształcić i naukowe obcowanie jest jéj szkołą. One uczy tłómaczenia się szczerego, umiarkowanego i bez przysady; przez miłość ku przyjacielowi, chciałbyś jak najlepszemi środkami przelać w niego twe przekonanie, uczysz się myśleć bez uprzedzeń, czuć szlachetnie, i trafnie myśl i czucie wyrażać. Gdzie mówimy bez szczeréj miłości prawdy i osoby, tam spór jest tylko namiętny. Namiętność rozumować nie umie. Te łagodne spory z przyjaciołmi, włożą nas w ową zdobiącą delikatność, że nawet z przeciwnikami, jak z przyjaciołmi o rzecz, nie o siebie spierać się będziem. Ten sposób tłómaczenia się przyjaciołom, przeniesiemy do pism i obrad. Cnoty przyjacielskie przejdą w obywatelskie; wszyscy wzorowi mężowie w dziejach starożytności byli wprzód wzorowymi przyjaciołmi. I dla tego natura młodemu wiekowi najwięcéj wlala ku niéj skłonności.

Jednakże i w tém trzeba postępować z ostrożnością i miarą. Spory naukowe, szczególniéj w wieku młodszym, wśród większéj liczby prowadzone, zamiast korzyści, szkodę odnoszą. Z smutnego doświadczenia powiedział był Lubomirski, a za nim Krasicki:

Niech tylko razem czterech, pięciu radzą,
I nic nie zrobią i pewno się zwadzą.

Dla tego ustawy uniwersyteckie nie bez przyczyny i pod tym względem schadzek zabraniają. Dysputy liczne uczą kłótliwości, daremnie piersi zrywają, bo któż ma słuchać gdzie wszyscy mówią? Nikt wtedy prawdziwie nie walczy, a tém samém, że na wiatr bronią swą miotał, jako dumny zwycięzca z swojem uprzedzeniem odchodzi.

Śmiesznym równie i nienawidzonym jest kto w każde zgromadzenie z żądzą dysput, jak ów junak wieków romantycznych przychodzi, i każdego w zapasy wyzywa. Zapał młodzieńczy i nowość jego wiadomości. może u rozsądnych zyskać pobłażenie, ale biada jeżeli przeto ta wada w nałóg się zmieni.

Samo obcowanie naukowe z przyjaciołmi jak jest zbawienne, tak biernie tylko rozumować nas uczy. Zdania z żywością wyrzeczone, stosowane zwykle do zdania obcego i przeciwnego, ani mogą mieć porządku, ani należytego zgłębienia; tą jedynie drogą postępując, nabylibyśmy saméj gadatliwości. Od tego uchroni nas, i dar obcowania wesprze, ćwiczenie się na piśmie. Odnoszenie się wzajemne do tych dwóch ćwiczeń, najzbawienniejsze wyda owoce. Rozmowa jest rozumowaniem w praktyce, pismo w teoryi. Pisząc, gruntowniéj dowodzimy, — mówiąc, głębiéj przeświadczamy; pisząc, uczymy się logiczniéj rozmawiać, a rozmawiając, uczymy się tłómaczyć z większem uczuciem i precyzyą. W piśmie rozmawiamy się równie z czytelnikiem jak z przyjacielem, (bo tym być nam powinien każdy czytelnik), ale rozmawiamy z przyjacielem, który nie pobłaża i nie każdą poufałość chce znosić. W piśmie rozmawiamy sami przez się, wybieramy rzecz sami, nie jesteśmy ograniczani czasem, a to wszystko nakazuje nam zachować wybór, porządek, poprawność, połączoną ze smakiem. Trzeba tu pamiętać, że w samotności naszéj mówimy publicznie, a słowa nasze nie ulecą z wiatrem, jak w zwykłéj rozmowie; że mówimy do sędziów, którzy równie jak my do pisania, będą mieli czas swobodny i zimną rozwagę do sądzenia.

Zatém dokładne ćwiczenie się piśmienne jest niezbędnym warunkiem rozwijania wszystkich władz umysłowych.

Ćwiczenia te mogą i powinny być wielorakie. Przedmioty słyszane lub czytane, nasuwają nam liczne materye do własnych usiłowań. Wybrać należy tę, która albo najwięcéj nas zajęła, albo smakowi i wiadomości naszéj odpowiada. Mając rzecz do pisania napiętą, z żywszym interesem i łatwiejszem pojęciem czytamy o niéj dzieła lub rozmawiamy; w miarę na-

bywania w niéj światła, przejmujemy się ku niéj przywiązaniem i piszemy z przeświadczenia, to jest z pewnością i czuciem; wtenczas nietylko zajmuje nas prawda, ale jéj potrzeba. Przez pisanie tylko uczymy się pojmować i wyrażać rzeczy gruntownie, nadawać wszystkiemu przyzwoity porządek, miarę i obręb.

Mimo to, pisanie mało przyniesie skutku, jeżeli w niém według tychże zasad, co w czytaniu nie postąpimy. Wiele zaczynać a nic z stałością do końca nie doprowadzić, jest to zaczynać różne podróże, a za wrota wyszedłszy, powracać. Skończyć pismo, i na zawsze w tekę je zamknąć, jest to zasiać i o nic więcéj się nie troszczyć. Dzieło napisane od ręki musi mieć wiele niedokładności, trzeba je wykończać, spajać i gładzić. Wziąwszy je do ręki po znacznym przeciągu czasu, w inném usposobieniu umysłu, po nowém doświadczeniu, z zapasem nowych wyobrażeń, gdy ojcowskie przywiązanie nieco ostygnie, uważać je będziemy jakó obce, i staniemy się surowymi onego sędziami.

Wielu znakomitych mężów już w uniwersytecie plany do dzieł ważnych układało. Kto sobie w młodości już ważny jakowy cel zamierzy, poweźmie go z prawdziwem zajęciem, wiekowi młodemu właściwem, wszystkie nadal postrzeżenia jego, wiadomości i doświadczenia, ku temu celowi zmierzać będą.

Rozsądne wyciągi z dzieł ważnych, są nietylko zabezpieczeniem ich dla pamięci, ale i ważnym środkiem do dalszego rozwijania umysłu. Przodkowie nasi od młodości aż do późnego wieku ten rodzaj zatrudnienia lubili. Pełne są zbiory pism takich po wszystkich archiwach domowych. Mieć z dobrych ksiąg celniejsze myśli i treść wynotowaną, podzielić je na pewne oddziały, jest to droga na czas późniejszy pamiątka; jest to oszczędzać i gromadzić lepsze kruszce na starość. Są one na późniejsze czasy niejako historyą naszego postępu z wiekiem, naszych pojęć i smaku. Odczytywanie takowéj pracy jest zawsze miłym zasiłkiem. Z kilku wyjątków przypominamy sobie całego autora, rozważamy jakie myśli w nas niegdyś obudzał, jak o nich dziś znowu, po czytaniu innych pism, i po własném doświadczeniu sądzimy. Sarbiewski zo-

stawił ogromny rękopism wyciągów celniejszych miejsc ze starożytnych pisarzów, w porządku właściwym zapisanych. Jan Zamojski po trudach kanclerskich i hetmańskich, lubił przeglądać i uzupełniać takowe Collectanea swoje we włoskiéj akademii pisane. Tak czynił i wielki Leibnitz.

Dawni Polacy orężem zajęci, nigdy pióra nie zaniedbali. Za obozami Zamojskiego toczyły się drukarnie, w obozach rycerstwo czytało i rozsyłało myśli i wiadomości do rodzin. Pospolity nawet towarzysz, obok łupów wojennych, przywoził do domu pamiętniki swych wypraw, a w komnacie, w któréj zbroje błyszczały, mieściły się rękopisma i były przechowywane jako droga rodzin pamiątka. W naszym wieku, ta pilność w pracach piśmiennych zupełnie jest zaniedbana, i nikt nie pisze kto nie drukuje, a mało kto rzeczy własne lub ojczyste drukuje.

Gdy albo nieufność w siłach naszych, lub zajęcie umysłu innemi pracami, nie czyni nas zdolnymi do ćwiczenia się piśmiennego, wtenczas ekonomicznie użyjemy zbywającego czasu, łożąc go na tłómaczenie autorów, najwięcéj skłonnościom naszych odpowiadających a szczególniéj starożytnych klassyków. Nie dość jest pisarza znakomitego przeczytać i odczytać, weźmy niektóre części jego do tłómaczenia, a poznamy, ile to piękności jego w czytaniu wymknęło się naszéj uwadze, ile to co nam się podobało. na mocy i piękności wyrazu polega. Praca taka powinna być sumienną, staranną, pod każdym względem wykończoną, i wtedy przynosi wielkie korzyści. Probujemy razem z autorem sił naszych, jego pomysły przechodzą w nas, na zawsze stają się naszą własnością; bo nie można dosyć powtarzać, że pamięć to tylko zachowuje, co własna wyrobiła rozwaga. Przy téj pracy poznajemy razem ducha obudwu języków. Jaka pociecha dla kochającego swój język, gdy w nim najdostdjniejszéj wymowie Rzymian i Greków wyrównać może, jaka pociecha tłómaczyć z nowych języków, gdy nasz niemal wszystko zwięźléj oddać potrafi. Taka praca w wyjątkach zaczęta, wzbudzi w nas chęć do całkowitego przekładu; a jakże to literatura nasza ubogą jest w tłómaczenia klassyków, szczególniéj prozaicznych! Taka praca najprędzéj da powód

do doświadczania sił własnych, — nie łudźmy się bowiem tak powszechnym w dzisiejszym wieku okrzykiem za oryginalnością. Człowiek jest i będzie zawsze istotą naśladującą, zaczém zdoła sam przez się sądzić i tworzyć. Wezmę z autora miejsce jakowe uderzające, zdarzenie ważne, charakter, odczytam z uwagą, zamknę książkę i staram się oddać to własnemi wyrazy. Porównywam potém rzecz moją z mojemi pisarzami: jak je opisał Plutarch, jak Liwiusz; każdy widział ją z innego stanowiska, z inném uczuciem i smakiem opisał. Sądzę ich i siebie. Zawstydzam się, poprawiam; a jeżeli trafiłem na równie szczęśliwy porządek i myśli, jeżeli imaginacya moja przeniosła mię rzeczywiście na miejsce zdarzenia, jeżelim się potrafił przeniknąć charakterem osoby, — doznaję radości, czuję w sobie otuchę i chęć do dalszéj pracy. Jestem razem naśladowcą, rywalem i sędzią mojego wzoru, jestem sprawiedliwym samego siebie krytykiem. Tym sposobem doświadczamy sił naszych, tworzymy sobie smak własny, nie puszczamy się za przesadą i obłędami imaginacyi, nie będziemy ślepymi naśladowcami, a najwięcéj uchronimy się uprzedzenia o sobie, które jest tamą wszelkiego postępu. W tém dążeniu ośmielmy się także powierzyć prace nasze obcemu sądowi; kochając prawdę i własną korzyść, szukajmy sędziego, który równie kocha się w prawdzie, jest nam i naukom życzliwy. Umiejmy krytykę znosić i w radach rozsądny czynić wybór. Najpewniejszą próbą młodzieńca jest, uważać jak się przy surowéj krytyce zachowuje. Jeżeli upornie broni wszystkiego, jeżeli po radę przyszedłszy, za prawdę się gniewa, już on nie kocha nauk, lecz siebie. Słusznie powiedziano, że prawdziwa skromność, okazuje się nie przy pochwałach, ale przy naganie. Najznakomitsi pisarze potrzebowali pomocy krytyki i surową umieli znosić.

Wszystkich dotąd wymienionych ćwiczeń umysłowych radziłbym szczególniéj tym, których obowiązkowe nauki najwięcéj na pamięci polegają. Niech tacy, bez rozwinięcia innych władz duszy, wejdą potém w czynne życie z największemi ich zapasami; będą do czasu nosicielami cudzéj własności, która jak towar surowy bez użytku zniszczeje. Ztąd to pochodzą

tak częste a tak niesłuszne żale: „Com się nauczył, napracował, gdzie się to wszystko podziało, lub na co teraz zdać mi się może!“ Takie skargi na nauki są zawsze skargą na siebie samego

Lecz z drugiéj strony są, którzy zupełnie zaniedbują pamięci, myśląc że geniusz wszystko do ucha szeptać im będzie, że ogień sam z siebie palić się zdoła. Jest nawet powszechna, że nikt nie wyzna, iż nie ma daru objęcia, a tém bardziéj rozsądku, — ale bez zawstydzenia każdy powie, iż nie ma pamięci, bo ją uważa tylko za dar prosty natury, którego ona według przywidzenia użycza albo odmawia. Przeciwnie, natura dała każdemu jéj zaród, jak wszelkich władz innych; ale ten zaród starannego potrzebuje pielęgnowania tak dalece, że on jest więcéj niż wszystkie władze duszy przez ćwiczenie, naszem własnem nabyciem. Stopień tego ćwiczenia, stanowi stopień pamięci. Nie sądźmy nigdy, że nauki pamięciowe więcéj do dzieci należą. „Pamięć, mówi Gedike,* nie zaraz się w dzieciach objawia. Każde ją sobie tworzy z wiedzą lub mimo wiedzy, przez doświadczenie. Dopiero z nagromadzeniem i ze zdolnością łączenia pojęć, powstaje pamięć i wzrasta z własnych zapasów.“ Zatém wiek rozwiniętéj młodości, wiek naukom akademickim poświęcony, najzdolniejszym jest do porządnego gromadzenia zapasów pamięci, przeto szczególniéj że się nabywają z postępami innych władz duszy. Kiedy rzeczy słyszane obejmujemy w należytym ciągu pomysłów, kiedy każdą z żywem przyjmujemy zajęciem i każdą dobrze rozwagą naszą rozpoznamy, wtenczas i nabywamy gruntownie wiadomości, i ćwiczymy się w onych nabywaniu. Jedynym ku temu warunkiem jest, aby pamięć nie była nigdy doskonaloną kosztem innych władz umysłu. Rzeczy nie dobrze pojęte, porozrywane, niesmaczne, a szczególniéj bez czucia, bez żywéj ciekawości nabyte, lepiéj żeby wcale w pamięci naszéj miejsca nie miały. Strzeżmy się więc (ile wiem z doświadczenia) bardzo zwykłych uprzedzeń w młodzieży akademickiéj, że nie należy obciążać pamięci. Nie ilość materyałów pamięci, ale niepo-

* Ueber die Gedächtnissübung.

rządek, nieprzerobienie onych, sprawia mozół i nieład. Bystre pojmowanie i trafny rozsądek żyją zawsze w miarę wiadomości i dobréj pamięci. Cóż bowiem najbystrzejszy rozum dokaże, kiedy przez mgłę tylko i niepewnie widzi to, o czém ma sądzić? Dla tego to pospolicie w pożyciu, kto słabą okazuje pamięć, wznieca podejrzenie o innych władzach swego umysłu. — Kiedy już mamy pewny zapas jakiéj wiadomości nabyty, w miarę onego przyjmujemy z niewypowiedzianą łatwością wszelki nowy przybytek, przeto: że nas wtenczas interesuje, że go mamy do czego odnieść, i że najczęściéj nie jest dla nas zupełnie nowy. Ztąd to w miarę wieku nabywamy niezliczonych szczegółów pamięci, jeśli tylko nasz umysł ciągle jest czynny. Przypatrzmy się czynnym urzędnikom, szczególniéj gałęzi sądowniczéj, zkądże ta często zadziwiająca pamięć i szczegółowe objęcie spraw tylu tak zawikłanych, które przez samo podobieństwo jednych do drugich powinnyby pamięć zawikłać? Oto wprawa, owa najdoskonalsza mistrzyni i ciągła czynność (bo w ludziach podeszłych, z ustaniem czynności, ciekawość i pamięć ustaje); o to ztąd, że te wiadomości są wszystkie przybywające, że zapas podobnych, jakie już mamy, łatwo je rozjaśnia, i że tylko małe szczegóły są dla nas nowe, że ich nabywamy lub z porównywaniem do dawnych, lub zastosowaniem zaraz naszego zdania, — zgoła, że wszystkie władze duszy są czynne, że jedna sprawa ułatwia spamiętanie drugiéj, a bystra na szczegóły uwaga, objęcie każdéj. Tak i każda lekcya, każde dzieło dobrze pojęte, ułatwia bezpośrednio pojęcie drugiego, choćby nawet w nauce wcale odmiennej.

Nie mogę tu jeszcze pominąć niezbędnego ćwiczenia niższych władz naszych: imaginacyi i czucia, w młodym szczególniéj wieku. Konieczność i otarcie się z ludźmi, mogą nadal (lubo już późno) uzupełniać nasze władze umysłowe, bo z wiekiem się rozwijają i rosną, ale czucie, imaginacya, już (i często w nadmiar) w młodości są rozwinięte, — mogą więc w zaniedbaniu być nadal zgubą darów duszy i serca; gdy przeciwnie bacznie kierowane, uzupełniają człowieka i tworzą charakter jego na zawsze. Żałować należy często najszlachetniejszych uczuć, które bez ćwiczeń rozumowych przekrzywiają nasze

wyobrażenia, tworzą szkodliwych zapaleńców, a najczęściéj ludzi bez męzkiéj stałości, bez charakteru nieszczęśliwych dla siebie, szkodliwych dla drugich, którzy całe życie bez woli, na wszystkie strony miotani, jak meteor dla gminu tylko tajemnicze zjawisko, pokazują się na scenę świata i nikną bez śladu. A przecież jest to sprawiedliwe zdanie mędrców dawnéj starożytności, że młodzieniec, nie mający w swojem czuciu nic poetycznego, przynajmniéj ze względu charakteru, mało dobrego rokuje. Bóg mię uchowaj! bym to mówił w chęci tworzenia poetów, lub dawania im pierwszeństwa nad ludźmi użyteczniejszymi społeczeństwu; mówię tylko o łatwości wrażeń na czucie działających, które niedaremnie natura wlała w serce młodzieńcze. Zaiste! jeżeli czyn szlachetny, widok nieszczęścia, myśl wzniosła, uczucie przyjaźni, wdzięczności, do gruntu serca młodzieńca nie przeniknie, jeżeli łza takiéj rozkoszy nigdy w oku jego nie błyska, — można go żałować i słusznie o nim wątpić.

Zaiste powtarzam, jeżeli młodzieniec opuszczając ten nauk przybytek, nigdy ze strony podobnych uczuć nie dał się poznać, choćby obowiązkom względem nauk najlepiéj odpowiedział, słuszna i bolesna wątpliwość każe się pytać: jak użyje broni, którą otrzymał, czy to będzie zimny tylko świadek usiłowań społeczności, twardy egoista i przebiegły w rachubach dla siebie samego? Będzie on najczęściéj obojętnym dla cierpiącego lekarzem, prawnikiem wiedzącym tylko co wolno i można, będzie spekulacyjnym tylko znawcą nauk przyrodzonych, lub filologiem, pojmującym wyrazy ale nie ducha klassyków. Może on wreszcie być zdatnym wykonywaczem, lecz nad powinność nic się nie spodziewaj od niego; może być w domowem pożyciu rządnym, ale nie sprawi serdecznego szczęścia sobie, rodzinie i przyjaciołom. Jest nadto rzeczą niezawodną, że przy oświecaniu umysłu, zaniedbanie pięknych uczuć wyda rychléj czy późniéj szkodliwe namiętności, jak słońce na zaniedbanem polu, chwasty albo nawet potwory ożywia. Gruba zmysłowość, duma i chciwość, zajmują najczęściéj miejsce tkliwych uczuć, szlachetności i chęci dobrze czynienia.

Nie miejmy więc za zmarnowanie chwil wolnych, przenikać się czasem uczuciami wielkich poetów, moralnych filozofów, a nawet myślących artystów. Choćby z tych wrażeń nic nie zostało w pamięci, jednakże dla uczucia nie zostaną bez śladu i w sercu lepiéj będą umieszczone. W nich najpewniéj poznamy siebie i ludzi. i przez nich obudzimy w sobie na zawsze te uczucia, które w pożyciu szczęście wewnętrzne i ozdobę zewnętrzną stanowią. Jak filozofia wskazuje nam principia postępowania, tak poezya najczęściéj wystawia ideały do naśladowania. Jednych jak drugich może nikt zupełnie osiągnąć i zastosować nie zdoła, ale dążyć do nich zbawiennem jest przeznaczeniem.

Przecież, jak w doskonaleniu umysłu, tak i uczuć, potrzeba być czynnie zajętym, — trzeba nietylko z dzieł przejmować uczucie, ale je z siebie dobywać.

Pięknyż to widok młodzieńca, który nie tylko z nożykiem i ze szpilkami exkursye naukowe odbywa, ale który w widokach natury pięknéj i wzniosłéj rozpatrywać się umie, który nie zimnemi syllogizmami zapuszcza się w badania o Bogu, ale czuje byt jego w sobie i w naturze. Nie wyrachujesz rzeczy nadziemskich, jeżeli nadziemskiego nie masz nic w sobie, — i ze szkłem powiększającem nie przejrzysz nigdy ciemności, bez światła z góry.

W całem pożyciu potrzeba być bacznym na wszystko, co się serca ludzkiego dotycze. We wszystkiem powinna wiek młody oznaczać ciekawość, do któréj i serce nas woła. Trzeba już wdrażać się w życie czynne. trzeba już umieć dzielić losy z bliźniemi. Wypadki, sceny zajmujące, charaktery i skłonności ludzi śledzone, poznawane w udzielaniu się, w obcowaniu, kształcą nasze serce i uczą sztuki pożycia. Rozwaga tego, co się nam w ludziach nie podoba, co nas do nich przywięzuje, — owa nierachowana, lecz z serca pochodząca uprzejmość, względność i skromność, — jakże to wszystko jest piękne w młodzieńcu, jak taka nauka praktyczna zajmuje, jak prace umysłowe osładza, jak często bez téj miłéj sztuki, wiadomość i zdatność deptaną bywa jak drogi kruszec nieokrzesany.

Są prawda pomiędzy młodzieżą akademicką szczęśliwsi, którym tę sztukę los fortuny prawie przyrodzoną uczynił. Im nawet i nauki łatwiéj przychodzą, im nadało obcowanie z wykształconymi wprawę przytomności umysłu, taktu i pewności; wuczeni są w przyzwoite tłómaczenie się: co wszystko mniéj od losu obdarzonym tak trudno przychodzi. Lecz za to (czemuż tego nie powiedzieć) dalszymi są od gruntowności, od chęci do pracy i wytrwałości, — i przy wielkich zdatnościach, przy najszlachetniejszych skłonnościach, często miernymi zostają ludźmi, w tém tylko od innych wyżsi, że znają sztukę pokrywania tego, na czém im zbywa. Mają może więcéj smaku, przeto że nigdy głęboko nie rozumowali, i że czuć głęboko nie dało im roztargnienie albo pomyślność. Ztąd i ciekawość sama nie bywa u nich potrzebą myślenia i serca; wiedzą najczęściéj to tylko, co słyszą — i wiedzą dla tego tylko, by znowu powiedzieć.

Oby więc znikły między młodzieżą uprzedzenia stanu, oby się wszyscy tém przejęli, że każdy ma swoje przymioty i wady, że każdemu stan jego coś daje i odbiera. Niech będą dla siebie wzajem wyrozumiali, wzajem się szacujący, i niech sobie udzielają tego, w czém który jest wyższy. Przyjaźń z uboższym, wdroży w bezinteresowność i pobłażanie; może szlachetny młodzieniec udzielić mu przymiotów towarzyskich, a wzajem zyskać więcéj gruntowności, więcéj pobudki do myślenia przez się i do pracy. Niech miłość wzajemna, chęć doskonalenia, nietylko siebie, ale i wszystkich jako przyjaciół, będzie duchem uniwersytetu; niech nigdy nie mają przystępu wszelkie stronnictwa wydziałów przeciw wydziałom; czynność i obyczajność niech wszędzie panują; niech to nie będzie szkoła saméj nauki, lecz oraz szkoła życia, szkoła świata, — świata nie jakim jest, ale jakim być może i powinien. Przodkowie nasi w hodowaniu nauk przeto na pochwałę zasługują, że wszelkie nauki odnosili do praktycznego życia, że nie byli pomiędzy nimi uczeni, którzyby piśmiennictwo za stan obierali, ale że wszyscy dzielili życie między nauki i powinności obywatelskie, co zawsze zbawiennie i na oświatę i na dobro kraju wpływało.

Otóż wskazówka głównych zatrudnień umysłu i serca, które są środkiem i celem głównego wykształcenia. Może kogo odrazi ich rozmaitość; lecz właśnie zachowany porządek, założenie sobie pewnego celu, uczyni je prostemi, łatwemi jednem prawie zatrudnieniem. Umysł nasz zawsze czynny, nie tak spoczynku, jak odmiany potrzebuje; wszystkie gry są tego dowodem. Czytając, pisząc, tłómacząc, obcując i rozmyślając, w czasie kiedy skłonność lub sposobność wzywa, zawsze z nowszem i żywszem usposobieniem przejdziemy od jednéj do drugiéj pracy lub zabawy. Trzeba zawsze ćwiczyć wszystkie władze umysłu, bo zawsze jedna drugą wspiera, w każdéj łatwiejszą jest praca, gdy inne nie są zaniedbane i przytłumione. Zawsze być czynnym, zawsze dla celu, to jest żyć prawdziwie, żyć równie w miłych wspomnieniach jak i nadziejach. Pierwszy przełamany wstręt i trudności, czynią nadal pracę nietylko łatwą, ale oraz niezbędną potrzebą i zabawą. Przez pracę tylko można się wyprobować: co w nas jest uśpione lub zaniedbane, czy mamy może w sobie dar jaki natury, o którym nie wiemy. Nudy są dla starszych jedną z największych dolegliwości, pokutą za lata młode; ale dla młodych są najczęściéj źródłem nieszczęść i występków. Wprawa w zatrudnienia umysłowe, tak nas od nich na teraz jak i na przyszłość zasłoni. Jest coś Boskiego w czuwającym umyśle, że gdy on prawdziwie, szlachetnie zajęty, milczą wszystkie namiętności; lecz gdy śpi, one napadać go zwykły, i na zawsze sługą swoim go czyniąc, prowadzą do występków i rozpaczy. Trzeba używać świętego daru rozumu, nie tylko jako miecza zdobywczego, lecz jako tarczy przeciw ich dzikim napaściom. Jest, powtarzam, coś Boskiego w czuwającym umyśle, bo jego rozkosze coraz wzrastają, coraz jaśniejszą pogodę i pokój rozpościerają, — gdy przeciwnie, rozkosze zmysłowe coraz tępieją, żal i niemoc sprowadzają; a przecież myśli i wyobraźni z swoich więzów nie puszczą.

* * *

Przepisy uniwersyteckie dążąc do tych wszystkich wymienionych tu celów, zamierzają w szczególności: 1) aby porządek zewnętrzny ułatwiał porządne doskonalenie się w naukach; 2) aby utwierdził w obyczajnem postępowaniu; 3) aby wzwyczaił młodzież do porządku i posłuszeństwa prawu w przyszłem życiu obywatelskiem.

Porządek jest duszą wszystkiego; a co najlepszego młodzież praktycznie w szkołach publicznych nauczyć się może, jest porządek. Gdy wiemy w naukach, iż natura we wszystkiem zachowuje porządek i karność nieubłaganą, że nauki w ścisłym porządku łączą się z sobą i rozwijają, że tylko przez ścisły porządek wiadomości nabywać i władze umysłu rozwijać możemy, — któryż instytut te prawidła wpajając, mógłby niepomnieć, że przy porządnem oddawaniu się naukom, ścisłe wykonywanie przepisów wewnętrznego porządku jest nieodzowne?

Najmniejsze towarzystwo nie zdoła się obejść bez porządku, bez zjednoczenia woli i czynności wszystkich pod jednem prawem: tak być musi w boju, na okręcie, przy każdéj fizycznéj i umysłowéj pracy, w towarzystwie. Porządek wymaga surowego posłuszeństwa prawom, bez którego byłoby chaos. Każdy choćby tylko sam dla siebie działał, musi sobie założyć pewne prawidła postępowania i tych się trzymać, — tém bardziéj każdy na łono społeczności przyjęty, gdy w niéj ze swoim jéj cel połącza; powinien słuchać jéj prawa. Cóż dopiero ten, dla którego dane prawidła głównie jego dobra się tyczą, któremu w miejsce doświadczenia dobroczynnie są dane? Posłuszeństwo więc ustawom akademickim jest obowiązkiem sumienia, rozumu i miłości dobra własnego. Obowiązani żyć pod prawami, powołani do posług rządu, w porządek i posłuszeństwo wprawiać się winni. Kto sam się dobrze nie rządził, innymi rządzić nie zdoła, — tak jak nie może rozkazywać, kto być posłusznym nie umiał.

Ledwie więc dowodzić potrzeba, iż przepisom takie dążenie mającym, najściśléj ulegać należy. Idzie więcéj o to, ażeby je pełnić z przekonania i chęci. Człowiek rozumny, gdy raz ulegać musi, woli to raczéj czynić z chęci, niż z przynaglenia, — w ostatnim razie jest zawsze niewolnikiem, ciągnionym na wodzy. Pozorne tylko posłuszeństwo więcéj daleko szpeci, niżeli pozorne oświecenie. Trzeba równie prawa jak nauki szanować z zasad i wewnętrznego przeświadczenia, inaczéj nie możemy sobie przyznać wewnętrznéj godności. Dopełnianie saméj tylko formy przepisów, nie ich ducha i celu, podejście i wyszydzenie ufności przełożonych, jest niewdzięcznem oszukaństwem, zdradą i poniżeniem samego siebie. Ktoby tak od młodości zaczynał, już na zawsze przywdzieje maskę pozoru, i będzie się formami prawa przeciw prawu zasłaniał. Młodzież nie ma występków, ale błędy, lecz te staną się występkami gdy są ukryte, są one bowiem tajeniem się z niebezpieczną chorobą. Szczerość, otwartość w każdem postępowaniu, jest wrodzonym młodego przymiotem. Chciała tego sama natura, nadając mu żywość, która ze złém swojém i dobrém nie może się ukryć i przez to tylko może być doskonalonym. Dała licom rumieniec, świadczący o winie jego ukrytéj. Świadek ten dobroczynny. oskarzając jeszcze niezepsute serce, rozbraja razem sędziego; kto tego świadka w młodym wieku już nie ma, tego natura na zawsze ciężko skarała.

Jest wadą dość powszechną oddających się naukom, że do potocznych czynności życia są opieszali i na nie obojętni; téj wady nabywamy w młodym wieku przez źle zrozumiany entuzyazm do nauk, ale najczęściéj przez nałóg lenistwa i spuszczanie się we wszystkiem na czas, na ludzi, lub nawet na Bożą tylko Opatrzność. Praktyczne wykonywanie wszystkiego, co do towarzyskiego porządku należy, uczy nas i w pracy naukowéj zdrowego i prostego rozsądku, który wszystkiem rządzić powinien. Pewne nierozgarnięcie, ospałość, źle zrozumiana obawa, nieufność w udaniu się do przełożonych, wreszcie obojętność w wywiadywaniu się o wszystkiem, co do porządku należy, czyni nas tępymi na całe życie, — stajemy się ofiarą przebiegłych a politowanie tylko wzbudzamy w uczciwych ludziach. Dla tego uniwersytet ma swoje formalności dla saméj wprawy młodzieży, i stoi przy nich surowo tak, że ich zaniedbanie, nawet dobrym zkąd inąd uczniom szkodę, a przynajmniéj utrudzenia przynosi. Te formalności nie tylko że

są warunkiem wewnętrznego porządku, ale nadto, wprawiają do czuwania i ostrożnośel w zawikłańszych jeszcze stosunkach towarzystwa na przyszłość. Wymówka choćby szczera płochości, niedoświadczenia lub niewiadomości, małe nader względy pozyska, gdyż właśnie uczący się przez się, tych wad mieć nie powinien. Doświadczenia równie jak nauki wtedy się nabywa, gdy nieco kosztuje. I w życiu obywatelskiem niedopilnowanie się w rzeczach porządkowych, nie tylko stratę, ale i karę przynosi; nie tylko urzędnik, ale i obywatel baczny być powinien na wszelkie urządzenia krajowe; ztąd znajomość i pilnowanie przepisów uniwersyteckich choćby tylko saméj formalności dotyczących, uważane jest za praktyczną naukę porządnego pełnienia obowiązków społeczeńskich. Jest to większe, niż mniemamy dobrodziejstwo, gdy w wieku młodym włożymy się w obowiązki, do jakich dalsze stosunki społeczeńskie koniecznie nas wezwą, — ponieważ bez własnéj szkody nie możem nadal być na nie obojętnymi: zamieńmy je w nawyknienie lub przekonanie, tym sposobem drobne nawet formy i żmudne powinności wypełniać będziemy z pewną godnością i bez uprzykrzenia.

Nad wszystkich więcéj kary i zawstydzenia zasługuje, kto ustawy i świętość obowiązku omijając, ubocznemi drogami i szukaną protekcyą chce zyskać to, co tylko prawo i zasługa może nadawać. Wstrząsa on najlepsze zasady i zamiary władzy uniwersyteckiéj, krzyżuje szlachetne wyobrażenie kolegów swoich o prawie i słuszności, i z nich się natrząsa. Już taki na zawsze polubi boczne swe ścieżki, zawsze na nie spuszczać się będzie, wuczy się dostępować nieprawemi środkami zaszczytów i urzędów, i bez prawości pełnić je będzie. Pracuj, dopełniaj wszelkich powinności, szukaj najprzód wewnątrz nagrody, nie będąc uprzedzonym o sobie, sam się szanuj, a wtenczas łatwiéj zniesiesz, jeżeli od losu pominiony zostaniesz.

MYŚLI O JĘZYKU POLSKIM.*

„W porządku nauk umiejętność języka na ich czele stać powinna, jeżeli mają być przydatne narodowi," mówi Kopczyński — od języka więc zacznijmy.

Mowę ojczystą śmiało uważać możemy za najznakomitszą gałęź słowiańskich języków, bo lubo późniéj nieco od czeskiego stał się w średnich wiekach piśmiennym, przecież w XVIym wieku prześcignął wszystkie inne we wszelkich gałęziach udoskonalenia. Zbieg tylko nieprzyjaźnych politycznych okoliczności sprawił, iż wkrótce przyjdzie mu może walczyć o pierwszeństwo z językiem rosyjskim. Nader znaczny postęp, jaki dotąd od niedawnego czasu nasz język w umiejętnościach uczynił, stał się nowym dowodem jego obfitości i niejakiém zapewnieniem pierwszeństwa. Już prawie nie ma rodzaju nauk przyrodzonych i umiejętności, w któréjby słowa nowo użyte nie były jasnemi, pewnemi. Tę nader znakomitą korzyść naszego języka zyskaliśmy szczególniéj w krótkiéj epoce, o któréj piszę. Wykładanie wszelkich umiejętności po szkołach publicznych w języku ojczystym ten zysk przyniosło. Co do pięknéj literatury, mało się język zbogacił, ale wiele nabrał czystości.

* Myśli o języku polskim pod rozmaitymi tytułami rozrzucone w wydaniu wileńskiém, w pewną całość, być może wedle rękopismów autora, ułożył śp. Dmóchowski. — Zostawiamy je wedle téj redakcyi, chociaż i tu wiele rzeczy się znajdzie powtórzonych.

J. I. K.

Straciła Polska prawodawcę swojego języka w Kopczyńskim. Dzieło jego pozgonne, Grammatyka Języka Polskiego, nie tyle zwróciła uwagi ziomków, ile na to zasługuje. Szkoda szczególniéj, iż tak ważne pismo nie doczekało się dotąd rozbioru znawcy języka. Przebija tu często słabość starości i sił zmordowanych; nie jest to już owe dzieło tak czerstwe, jak grammatyka polskiego języka dotąd w szkołach używana, ale logiczny i odrębny sposób rozkładu grammatycznego, nowe i ważne spostrzeżenia staną się wieczystą zasadą, na któréj nauka języka polskiego daléj rozwijać się będzie. Jeżeli kiedyś znawca starożytnego języka Słowian na niéj grammatykę swą oprze, ten dowiedzie, ileby jeszcze więcéj Kopczyński był dla mowy ojczystéj uczynił, gdyby był grammatykę swoją tyle do słowiańskiego, ile do języka Rzymian stosował. W tém ostatniém swém piśmie wiele usiłowań łoży Kopczyński, chcąc ziomków o potrzebie znamionowania samogłosek przekonać. Widać, że wewnętrzne czuł przekonanie, lecz go raczéj z zapałem niż z oczywistością dowodzi. Jeżeli wszędzie, to w języku wola i zdanie powszechności jest sędzią najwyższym. — Zostawił podobno Kopczyński liczne rękopisma o języku polskim, które dotąd na widok publiczny nie wyszły.

Stanisław Potocki w kilku rozprawach o języku polskim i stylu w téj epoce wydanych, umieścił ważne uwagi potrzebne każdemu równie do poznania, jak do zamiłowania ojczystego języka. Mianowicie rozprawa o styczności mowy naszéj z językiem łacińskim, lubo nie wchodząca w szczegółowy grammatyczny rozbiór, zawiera przecież trafne i gruntowne spostrzeżenia. Rozprawy o początku i wzroście języków, z Blaira wyjęte, szkoda iż są skrócone. Gruntowne zastanawianie się nad mową ludzką jest jedną z najważniejszych gałęzi logiki, a ta mianowicie część pracy Blaira i we Francyi od dawna za klassyczną uchodzi. Pierwszy nasz matematyk Jan Śniadecki, prócz właściwych swéj nauce zatrudnień, z wielkim dla ojczystego języka użytkiem poświęca gałęzi literatury wolne swe chwile. Kocha, bo zna swój język, jest nieprzyjacielem płochéj nowości, stałym obrońcą przeciw zarazie cudzoziemczyzny. W trzecim tomie pism swoich rozmaitych umieścił tyle

korzystnych rad i przestróg o języku, ile go pismami swemi zbogacił. Pragnąć należy, aby poważne zdanie jego, iż nam piękności języka w pisarzach naszych XVI. wieku odszukiwać trzeba, naśladowane było. Zachęcił ku temu Śniadecki, przytaczając piękniejsze wysłowienia Skargi. Ktokolwiek w tym mówcy zasmakować umie, jest to jego zdanie, ten czuje piękność polskiego języka.

Rakowiecki w ważném swém dziele, „Prawda Ruska“, ciekawe i użyteczne umieścił przypiski o dawnym słowiańskim i naszym języku.

X. Aloizy Osiński ogłosił wyjątki i plan ogromnego dzieła swojego, a pochwała na cześć Kopczyńskiego dowodzi rozległéj znajomości języka. Już to od wieku XV. uczeni różnych narodów znajdują podobieństwo wielu starożytnych i nowych języków do języka Słowian. Obok naciąganych etymologii i śmiesznych poniekąd domysłów, trudno nie zwrócić uwagi na wiele nader ważnych rozpraw w tym przedmiocie. Prócz tych, którzy hebrajski, grecki i łaciński język od tak zwanego późniéj słowiańskiego wywodzą, najśmielszym, a razem najgruntowniejszym być mi się zdaje Apendyni, który dowodzi, iż nazwiska bogów, obrządków i narzędzi religijnych, miast, gór, rzek, królów i wodzów najdawniejszych Traków, tylko przez słowiański język wytłomaczyć się dają, że wszystkie wyrazy, które Grecy od Phrygów przejęli, które za starożytne uważają, są Słowianom zrozumiałe.

Te jego uwagi tak są mocnymi dowodami z historyi i gramatyki poparte, iż trudno mu się oprzeć w rzeczy tak na pozór trudnéj do dowiedzenia. Upowszechniająca się coraz bardziéj w Europie nauka języka sanskryckiego, nowe dla filozofii i historyi, a szczególniéj dla badaczów języka otwiera pole. I tu język Słowian rości słuszne prawo do sędziwéj starożytności. Oby usiłowania Kol. Majewskiego przez Polaków rozważane i wyjaśniane były! Założona w Petersburgu katedra języka słowiańskiego stanie się pobratymczym narodom nowym pochopem do zgłębiania ich dawnego języka.

Pisownia polska doznała w tym lat przeciągu licznych wstrząśnień, zyskała wiele uwag i objaśnień, które z czasem

porównane i rozebrane nadadzą jéj tak pożądaną jedność. — Ważniejsze co do pisowni pisma z tych lat wydał Staszic, Potocki, Feliński, Śniadecki. Za powagą znakomitych pisarzy idą młodzi i mierni, zwykle śmielsi i więcéj uprzedzeni. Głębokiego znawcy Słowiańszczyzny potrzeba, aby w zmianach pisowni nie tylko zezwolenie powszechne zyskał, ale i rzecz gruntownie oparł. Przedmiot ten nie może być rzeczą jednéj osoby. Trzeba powagi, towarzystwa uczonego, lub magistratury, aby po zważeniu wszelkich pism w téj mierze wyszłych, za poradą i zebraniem zdań uczonych, pisownię polską na pewnéj już stopie postawić. Jeszcze ten język nie może zwać się uczonym, którego pisownia nie jest wykończoną. Przyjąwszy litery łacińskie, trzeba nam się usilnie starać, abyśmy niemi równie z pewnością pisali, jak te narody Słowian, które w części słowiańskie zatrzymały, częścią greckie przejęły. — Prawidło nasze na pozór piękne, że jak się mówi, tak się pisze, zawsze mylne w zastosowaniu, mięsza ustalenie pisowni.

Ilekroć zadumany nad dziejami ojców naszych siedziałem, byłem naprzemian smutkiem i radością, przywiązaniem i odrazą przejęty, cnoty i występki, pomyślność i niedole, widziałem spólne tylu sławnym ludom; wzrastała i stygła we mnie duma narodowa, lecz kiedy starożytność, porządek i bogactwo naszego języka śledziłem, radością i dumą uniesiony, tu dopiero cieszyłem się, że jestem Polakiem. Wyższą i pewniejszą nad wszystko chwałę narodową widzę w naszym języku. To jest skarb, którego wartości żaden nieprzyjazny cudzoziemiec wyśledzić nie zdoła; w czuciu on tylko i pojęciu Polaka widzialnym być może. Z męzką godnością niech się uśmiecha Polak, gdy zniewieściały mieszkaniec Tybru i Sekwany, twardym jego język nazywa, gdy się mu jak męztwo jego strasznym i niedostępnym wydaje. Z przyjemnością, a razem z dumą słucha Polak cudzoziemca, gdy jako dziecię łamie sobie język nad jego wyrazami, gdy je jako dziecię pieściwym tylko językiem oddać jest w stanie. Żaden język nie ma tego przymiotu, aby mówiący nim cudzoziemiec nie już obcym, ale dziecięciem się zdawał. Niech go słucha, jakby słuchał rzymski Kato dzisiejszego Soprana. Język francuzki jest równie

barbarzyński w twardości wyrażeń, które tylko wyrzutniami i połykaniem słów do połowy pokryć usiłują. Jest to równie barbarzyniec, powierzchownie tylko starający się wygładzić.

O czystości języka. Są ważne pobudki, dla których nam Polakom na czystość języka szczególną baczność zwracać należy. Języki innych oświeconych narodów na tym już stopniu stanęły, że pisać u nich dobrym stylem, nie jest już zaletą pisarza, ale powinnością. I nie sztuka pisać dobrze w języku, który przez mnóstwo dzieł klassycznych w każdym rodzaju już jest wykończony, tak że piszący w wyszukiwaniu wyrazów żadnych nie znajduje trudności. Nie można powiedzieć, aby język polski już tę zaletę osięgnął. Przechodził on razem z narodem różne niepomyślne koleje. Oczyścił się pod Stanisławem Augustem i w prozie szczególniéj stanął na równi z językami oświeconych narodów. Kopczyński wyszukał i wskazał jego zasady. Ale wnet oddanie się wyłączne bądź francuzkiemu, bądź niemieckiemu językowi, zaczęło zacierać jego właściwość, tak że ledwie kilku mianowicie prozaicznych mamy pisarzów, których styl zupełnie jest czystym i polskim. W żadnym kraju ludzie naukowi nie uczą się tylu obcych języków, co w naszym. Jest to u nas koniecznością dopóty, póki nasz język nie będzie zamożniejszym w pisma do ukształcenia w każdéj nauk gałęzi. To czytanie, a nawet mówienie w obcych językach, musi mieć koniecznie szkodliwy wpływ na własny. Przecież sprawiedliwie powiedzieć można, że w czasie niniejszym w przeciągu lat nie wielu zaczął postępować tyle, iż dziś w każdém piśmie śmiało można wymagać wszystkiego, co czystość języka i dobry styl wymaga. Mamy już dzieła i wykłady uniwersyteckie w języku naszym takich nauk i umiejętności, do których przed kilkudziesiąt laty ledwo zdawał się być zdolnym.

Podwójmy więc wszyscy usiłowania, abyśmy przekonani już o jego bogactwie, starali się w nim czerpać, abyśmy język ojczysty, ile być może wydoskonalony, potomkom jako najdroższe dziedzictwo przekazać mogli.

Czystym jest wówczas nasz język, kiedy używamy wyrazów i składni prawdziwie polskich, naturze i zwyczajowi narodowemu właściwych.

Najprzód co do samych wyrazów, chronić się należy wyrazów dawnych, zarzuconych, prowincyonalnych, cudzoziemskich i nie powszechnie znanych.

Każdy język żyjący podlega odmianom, w miarę jak naród postępuje w wyobrażeniach, wiadomościach, smaku i stosunkach z innymi ludźmi. Wśród tego postępu pozbywa się słów i znaczeń już obecnéj kulturze nie przystępnych, albo znaczenie onych odmienia. Dawni Polacy, a dziś wszystkie jeszcze narody słowiańskie lubiły zdrobniać imiona i nazwiska osób, co oznaczało nie jak dziś poufałość, ale uszanowanie z miłości pochodzące, jak np. Jaśko z Mielsztyna, Bolko zamiast Bolesław, Leszek zamiast Lech. Rzeczowniki i przymiotniki polskie zdrobniane być mogą w trzecim i czwartym stopniu i zwyczaj ten jest szczególną cechą poezyi gminnych słowiańskich i litewskich. Ten lud dziecinny zdrabnia nazwisko słońca, nawet Boga samego. Nazwisko zdrobniałe matka utrzymało się powszechnie we wszystkich językach słowiańskich, jako powszechne godło czci i miłości. Przy niedawno obudzoném zamiłowaniu w poezyi ludu, a mianowicie słowiańskiego, wyrazy zdrobniałe stały się powszechnemi w balladach i piosnkach. Są one nieprzyjemne przez zbyt częste używanie, tém więcéj, że nieszczęściem zdrobniałe wyrazy nie tyle sprzyjają harmonii w polskim, ile we włoskim języku. Stosownie i przyjemnie mówi pasterka Szymonowicza:

„Słoneczko! śliczne oko, dnia oko pięknego,
Nie jesteś ty zwyczajów starosty naszego.“

Ale odrażającą przesycają słodyczą, bez wszelkiéj potrzeby w balladach naszych piszczałeczki, duszeczki, ziareczka.

Wiele wyrazów dawniéj używanych dziś albo są nieprzyzwoite, albo dwuznaczne. Przyzwoiciéj było dawniéj mówić białogłowa, niżeli późniéj upowszechniony wyraz kobieta.

GIMNAZJUM
S. ANTONIEGO
w Nowem Mieście n./P

Ze zmianą obyczajów zarzucają się razem i wyrażenia, które je oznaczały. Służby swe polecam, używane było przy końcu listu przez szlachtę do panów, jako przez klientów, dziś jesteśmy „najniższymi sługami“ każdego, i panowie zamiast „polecać się miłości braterskiéj,“ wolą pisać się „najniższymi sługami“ biedaków. — Nie mogę dziś oznaczać rodziny ojca i matki wyrazem po mieczu i kądzieli, bo mieczem nie wszyscy mężowie się trudnią, ani damy kądzielą. Słodki a powszechny niegdyś wyraz równości szlacheckiéj „Mości panie i bracie!“ przeszedł dziś na biedaków, których nie wiemy, jak nazwać inaczéj.

Są wyrazy dawne, dotąd używane, które jednak inne już mają znaczenie; nie można więc używać ich w tém rozumieniu, jakie dawniéj do nich przywięzywano; np. wyraz osoba nie oznaczał dawniéj jak dziś człowieka, ale jego przymiot lub własność, stąd: „Chrystus Pan utajony pod osobami (lub przymiotami) chleba i wina.“ — Ojczyzna znaczyło dawniéj tylko własność spadkową. Górnicki jeszcze bardzo się skarzy, że za jego czasów porzucono wyraz patria, a zaczęto używać ojczyzna. Rok znaczył dawniéj termin stawienia się, wyraz dziś inne znaczenie mający.

Przymiot oznaczał dawniéj przyrzut, chorobę. Bezpieczny od baczności; pieczy znaczyło nieuwagę, obojętność na złe wyniknąć mogące, dziś oznacza pewność od złego. Tak Polska po dawnemu bezpieczna, przyszła do tego, że późniéj nierząd w mniemaniu Polaków i znaczeniu późniejszém wyrazu, był dla niéj bezpieczeństwem.

Bez potrzeby więc zrobiłby niezrozumiałém swe pismo, ktoby chciał takich wyrazów w znaczeniu dawném używać. Bohusz ułożył z takich słów konstrukcyą następującą: „Rodzic w ojczyznie na brata mojego spadłéj nie dotrzymał roku, ponieważ napadł nań przymiot, którego osoba była pomięszanie zmysłów.“ Czyżby mię kto (mówi) zrozumiał? a przecież byłby to język Orzechowskiego i Górnickiego.

Jest wiele wyrazów prawdziwie polskich, w znaczeniu nie zmienionych, które przecież innymi, a nawet obcymi za-

stąpione być muszą, bo albo są twarde, albo już niezrozumiałe, albo sam zwyczaj nie chce ich więcéj używać.*

Te wyrazy zarzucone są zwykle twarde, niezrozumiałe, nacóż je wskrzeszać, kiedy je gładszymi i zrozumiałymi zastąpić można? Pięknie powiedział Horacy: „że słowa jak liście na drzewie odmieniają się, a na miejsce starych nowe następują.“

Z tego atoli nie wypływa, ażeby dawne polskie wyrazy zupełnie na zapomnienie skazywać; owszem nietylko poezya i wymowa, ale nawet sztuki i umiejętności nakazują pilnie je wyszukiwać i przywracać. Każdy język w naturalném przerabianiu się swojém traci oraz wiele wyrażeń dobrych i potrzebnych, a szczególniéj nasz, który tak nagle i wyłącznie od pism łacińskich do francuzkich się rzucił; który przez wiek cały był w letargu naukowym i niedawno powtórnie wyrabiać się zaczął. Ale nadewszystko, na wskrzeszeniu dawnych wyrazów zyskać może język poetyczny; a to nietylko przeto, że poezyi język starożytny bardzo przystoi, ale szczególniéj dla tego, że każdy język w miarę, jak prozę swą wydoskonala, ubożeje w poezyi. Pisarze dawni z XVI. wieku tak nas przewyższają w dzielności poetycznych wyrażeń, jako my onych w porządnym szyku mowy nie wiązanéj. Są nazwy wyobrażeń i rzeczy prawie zarzucone, które daleko lepiéj wskrzesić, niżeli tworzyć zupełnie nowe, najczęściéj z duchem języka nie zgodne. Długi byłby szereg takich słów, które dziś trafnie

* Tenże Bohusz znalazł wszystkie wyrazy do następującego wyjątku w polskich słownikach:

„Jątrew moja, która jakmiarz zawsze z chocholem na głowie chadzała, czwarzyła się jednemu szybale. Gdy lepali tęgać jęła, przybrała sobie storzypięte, którego podarzyła prócz rozmaitego czechła i wielorakich czączków w gieradzie krasnym z brantu antwasem i tureckim drygantem.“

Dawni Polacy rozumieliby tę powieść, ale dla dzisiejszych trzeba ją tłomaczyć.

„Bratowa moja, która zawsze z czubem na głowie chodziła, odmawiała swéj ręki jednemu jednookiemu szalbierzowi. Lecz potém przybrała sobie samochwała, któremu prócz rozmaitéj bielizny i sprzętów, w wyprawie darowała z czystego srebra nalewkę i tureckiego konia.“

użyte, cudzoziemskie, albo źle przez tłomaczów potworzone, zastąpićby mogły. Włodek, Dudziński i inni zebrali spisy takich wyrazów, które w zupełności i z krytyką ułożone, pożyteczniejsze być mogą, aniżeli dykcyonarze wyrazów nowych, mających zastąpić latynizmy lub gallicyzmy. Nie jeden trudzi się dziś nad przełożeniem albo utworzeniem nowego wyrazu, co się rzadko szczęśliwie udaje, gdy tenże wyraz bardzo trafny znajduje się w pismach już zapomnianych.

W ogólności co do przywracania starych wyrazów, pomnieć trzeba, iż rzadko wyraz dawny wskrzeszony jest dobry. Jeżeli w nowszym języku nie znasz lepszego, jeżeli nie ma więcéj harmonii albo dobitności, lub jeżeli do imaginacyi więcéj nie przemawia; że potrzeba jasnego oddania myśli jest pierwszym warunkiem pisma, piękność zaś jest tylko warunkiem poślednim. Chociażby więc wyraz mniéj był przyjemnym, lepiéj go użyć, gdy myśl wyraźnie i mocno oddaje.

Prowincyonalizmem zowiemy wyraz używany tylko w szczególnych prowincyach, a nie należący ani do całego narodu, ani do języka piśmiennego. Nie ubliża się przeto prowincyi żadnego narodu, gdyż ten używa w pismach swoich języka wybornego, zrozumiałego dla ogółu, a zastosowanego do najoświeceńszéj części publiczności. Gdyby tego wyboru nie było, nigdyby się język nie mógł ani ustalić, ani nabyć grammatycznéj pewności, każda bowiem prowincya mieć może swoje dziwactwa, swoję miejscowość, dla reszty nie zrozumiałą i nie przyjemną. Tém bardziéj stosuje się to do języka polskiego; bo dziś większa nierównie część ludu nim mówiącego żyje pod rządami, w których albo niemiecki, albo rosyjski język jest panującym, a zatém łatwo się może cudzoziemczyzną zarazić. Jak samo wymawianie Litwinów, albo Wielkopolan obraża ucho dobrze mówiącego Polaka, tak nieprzyjemne są wyrazy obce ogółowi narodu. Niektórzy nowsi poeci myślą, iż będą więcéj oryginalni i język zbogacą, używając wyrażeń prowincyonalnych, które w przypiskach tłomaczyć muszą. Wielcy tylko pisarze przez trafny wybór mogą wyrazom prowincyonalnym nadać obywatelstwo w całym narodzie. Lecz i w obrazach miejscowości przez takie wyrazy malujących, potrzeba miarę zacho-

wać, aby obraz mający być wiernym, nie stał się raczéj zaciemnionym lub zagwazdanym.

Com dotąd powiedział, ściągało się do samych wyrazów. Pozostaje nam zwrócić uwagę na składnią i na błędy przeciw niéj popełniane. Rozdział o czystości języka jest dla nas daleko pożyteczniejszy, bo w naszym wieku pozbyliśmy się, to prawda, wyrazów obcych, ale pozostaje nam jeszcze wykorzenić składnię obcą.

Składnia cudzoziemska jest z duchem naszego języka nie zgodna. Błędy takie nazywamy po szkolnemu solecyzmami.

Składni cudzoziemskich bardziéj jeszcze chronić się potrzeba, niżeli wyrazów; tamte bowiem, jakośmy widzieli, usprawiedliwia potrzeba, one nie zmienią, że tak powiem, indywidualności języka. Najistotniejsza własność każdego języka polega na szyku i łączeniu się z sobą pomysłów; w tém się odzywa duch każdego narodu, który go od innych rozróżnia, i tego bez wyraźnego barbarzyństwa nie można na obcy zamieniać. Gorzéj się jeszcze dzieje, gdy już nie tylko szyk obcy przejmujemy, ale gdy nadto wyrazów polskich, już raz ustalonych, używamy nie w tém znaczeniu, jakie od dawna już mają, ale je stosujemy do języków, z których tłomaczymy. Zmieniać znaczenie wyrazów w języku już raz ustalonym, jest to samo, co psuć wartość monety krajowéj, jest to tworzyć nieufność i zamięszanie narzędziami porządku, bezpieczeństwa i wiary publicznéj. Kiedy poprzestawiamy sprzęty w mieszkaniu ciemnego na oczy, zmuszony jest błąkać się i tworzyć sobie nową pamięć.

Jeżeli wyrazy prowincyonalne do pisma nie powinny należeć, tém staranniéj unikać potrzeba wyrażeń wziętych z obcych języków. Polski szczególniéj język nie znosi w wyższym stylu żadnych obcych wyrazów, osobliwie zaś nowoczesnych języków. Wszystko co obce, szpetne jest w języku polskim wtenczas, gdy jest bez potrzeby użyte; bez potrzeby mówię, gdyż rozszerzenie wzajemne wiadomości pomiędzy ludami, czyni je koniecznemi.

Kultura w Polsce doskonaliła się naprzód przez rzymską, późniéj przez francuzką i niemiecką, przejęła zatém obce wyo-

brażenia i sztuki razem z ich wyrazami. I tak: wiadomości naukowe przejęliśmy od Greków i Rzymian; niektóre wyrazy do towarzyskości należące od Francuzów; od Niemców nazwiska do przemysłu i rzemiosł; od Włochów do sztuk pięknych. Do takich więc przedmiotów, gdy słów narodowych mieć nie możemy, potrzeba koniecznie przypuścić wyrazy obce, zwłaszcza takie, których równie jasno i zrozumiale polskiemi zastąpić nie można. Tak i Rzymianie przejmując nauki od Greków, zatrzymali i wyrazy do nich należące; a Rzymian naśladowały w tém wszystkie późniejsze języki. Wyrazów logika, fizyka, żaden naród nie przetłomaczył, ani przyjąć chciał wyrazów przez Purystów podanych. Podobne francuzkie wyrazy modą naiwności we wszystkich językach, do których weszły, pozostaną. Stosuje się to szczególniéj do wszystkich wyrazów technicznych, znanych we wszystkich oświeconych narodach. Gdy się Polacy w końcu XVIII. wieku z makaronizmów otrząsnęli, zdało się późniéj jednym potrzebą wrócić do języka, jakim w XVI. wieku mówiono, innym wykluczyć wszystkie wyrazy nie polskie; co jak jedno, tak drugie jest niepodobieństwem. Zjawili się tak zwani Puryści, wydający spisy wyrazów na urząd tworzonych. Jak w Niemczech, tak i u nas na niczém spełzły podobne usiłowania, bo nie tym sposobem zbogaca się język albo oczyszcza. Takie przymioty mogą mu tylko nadać wielcy pisarze, których wyrazy wraz z pomysłami utwierdzają się w pamięci ludzkiéj. Po największéj części tak narzuconych wyrazów zaraz poznać można, że nie należą do szczepu, do którego są przyczepione.

Ważniejszemi są dla nas cudzoziemskie konstrukcye, niżeli pojedyńcze wyrazy, ponieważ w dzisiejszym stanie języka pozbyliśmy się wielu słów obcych, ale trudniéj nam wykorzenić składnie z innych języków przejęte. Tych jednak bardziéj chronić się potrzeba, niżeli obcych wyrazów, te bowiem, jakośmy widzieli, usprawiedliwić potrzeba, i one przez się nie są w stanie zmienić właściwości języka, jak jéj nie zmieniają w angielskim. Używanie zaś składni obcéj odbiera mu jego narodową fizyognomią.

Obce konstrukcye przejmujem zwykle z łacińskiego, francuzkiego, mniéj daleko z niemieckiego języka.

Latynizmy najmniéj nas rażą, a dzisiejsi pisarze nasi bardzo rzadko w tym względzie grzeszą. Nie pochodzi to z cnoty, ale z niewinności; dziś bowiem nikt prawie po łacinie nie myśli i nie mówi, jak to przeciwnie czynili dawni Polacy. Język polski nie tylko z natury swojéj w składni do łacińskiego się zbliża, ale nadto jemu jest winien swoje rozwinięcie i literaturę. Dla tego mnóstwo wyrażeń łacińskich weszło w jego naturę. Można powiedzieć, że Polacy tak sobie przyswoili składnie Rzymian, jak Anglicy i Francuzi przywłaszczyli sobie wyrazy ich jezyka. Pisarze nasi wieku XVI., szczególniéj poeci, nadali językowi moc, zwięzłość i potoczystość łacińską. Późniejsi, im więcéj na sławę szkolności liczyli, tém sprzeczniejsze z duchem języka wprowadzali latynizmy. Dla tego jak z jednéj strony warto zalecać, abyśmy w tym względzie korzystali z pism Kochanowskich, Błażowskich, Petrycych, tak z drugiéj dalecy bądźmy od naśladowania w tém późniejszych pisarzów, nie wyłączając wielu z czasów Stanisława Augusta. Wszelkie tłomaczenia klassyków z tych czasów pełne są latynizmów, przez które styl skąpy jest w słowa bez precyzyi i obfity w inwersye bez jasności, najeżony peryodami długimi bez harmonii, która była ich celem w oryginale. Dla tego nie mogę być zdania większéj części naszych pisarzy, którzy dawnych prozaików polskich za jedyne wzory do naśladowania wskazują, bo proza dawna polska nie może się bynajmniéj mierzyć z dzisiejszą pod względem jasności i precyzyi. Wyłączam od tego niektórych dawnych mówców kościelnych, bo ci nie trzymali się wzorów wymowy starożytnych, ale szli za prostotą Pisma św.; mówili do prostego ludu językiem wiécéj narodowym.

Chciano u nas nawet muzyczne wyrazy przepolszczyć, czego najoświeceńsze narody nie czyniły, zostawując w nich Włochom pierwszeństwo. Po polsku prawda powiem dwójśpiew, trój-śpiew, zamiast duetto, tercetto, ale ta polszczyzna nie oddaje rzeczy właściwie. Duetto ściąga się nie tylko do śpiewu, ale i do instrumentów muzycznych; nie mogę

więc powiedzieć, że grano dwójśpiew na skrzypcach. Presto, andante, można nazwać w każdym języku, ale muzyka, jak sama jest powszechnym językiem uczuć, tak ma swoje powszechne wyrazy techniczne od Włochów wprowadzone i dla tego najprzyzwoiciéj przy nich pozostać. Kopią nazywają niektórzy odpisem albo przepisem; wyrazy te byłyby właściwe, gdyby wprzód innego już nie otrzymały znaczenia; lecz odpis znaczy odpowiedź na list, przepis, prawidło postępowania w jakowéj rzeczy. Deklamacyą nazwali niektórzy wygłosem, wyrzeczeniem; obadwa wyrazy nie stosowne, bo przez deklamacyą rozumiemy stosowanie tonu i gestu do myśli mową wyrażonéj, wygłos zaś oznacza tylko samą czynność głosu; przez wyrzeczenie zaś rozumiemy objawienie wyroku, rozkazu. Prócz tego żaden wyraz, chociażby polski, w miejsce obcego użyty, nie jest dobry, jeżeli pozostać musi bezpotomnym. Od deklamacyi np. pochodzą: deklamować, deklamator, od wygłosu, albo wyrzeczenia, nie mogę wyprowadzić wyrażeń odpowiednich, n. p. wygłośnik, wygłosować, wyrzecznik itp.

Z tych więc względów wiele wyrazów technicznych, prawnych, administracyjnych, z obcego języka wziętych, długo jeszcze pozostać musi.*

W ogólności co do pojedyńczych wyrazów, te jeszcze pozwolę sobie napomknienia:

1, Zatrzymać należy te obce wyrazy, które już w języku naszym zyskały prawo obywatelstwa, a których nowe w zupełności zastąpić nie mogą, albo które są twarde i za długie, co najczęściéj się zdarza, gdy przepolszczamy obce składane wyrazy. Wolę geografią, geometryą, niż ziemio-pisarstwo i ziemio-mierstwo.

2, Obce słowa od dawna już w języku używane zatrzymać należy w téj saméj postaci, w któréj już raz ustalone zostało. Lepiéj pisać po dawnemu Scytowie, Sceptycyzm, niżeli Skitowie, Skieptycyzm. Niektórzy chcą nawet wyrazy wschodnie już dawno przyswojone zbliżać znowu do oryginału,

* Królikowski w piśmie swojém o stylu wiele szczegółowych postrzeżeń w tym przedmiocie uczynił, do których czytelnika odsyłam.

a tém samém ich rozumienie dla ogółu utrudzać. Wezyr, Osman, China, są już niemal wyrazami polskimi, a mało kto zrozumie, co jest Wissir, Oszman, Tsina. Każdy obcy wyraz, choćby najbardziéj językowi przeciwny, spolszczy się z czasem, gdy będzie często używany. Tak polskimi się stały Msza, Nieszpór, Biskup i wiele podobnych.

3, Mniéj potrzebnie używamy w męzkim rodzaju wyrazy kometa, planeta, gdy te zupełnie już przyswojone należeć powinny do praw grammatyki polskiéj i według tych należą do żeńskiego rodzaju.

4, Adam Czartoryski, a za nim niektóre pisma peryodyczne, przez źle zrozumianą gorliwość, wprowadzili zwyczaj pisania obcych nazwisk zupełnie po polsku, w mniemaniu, że Polak nie umiejący n. p. języka francuzkiego, nie będzie ich mógł przeczytać, n. p. Szatobriand, Katrmerkęsy, nie zważając, że tak pisanych nikt właściwie nie wymówi, a nawet znający język francuzki często nie domyślili się istotnego nazwiska.

Na tém wyliczeniu poprzestając tymczasem, wyznać muszę, że język nasz, mimo wielu wad, znacznie winien udoskonalenie swéj prozy językowi francuzkiemu. Dopóki tenże nie był u nas znanym, proza nasza naśladując często nie właściwie łacińskie przekładnie, nie miała należytéj jasności i pewnéj stałéj formy. Szyk logiczny języka francuzkiego, jasność, o którą się wszyscy nim piszący starają, weszła z francuzczyzną do naszego języka. Gdybyśmy tylko w naszych pismach umieli łączyć zwięzłość łacińską z francuzką jasnością, byłby nasz język jednym z najdoskonalszych do energicznego tłomaczenia wszelkich płodów rozumu ludzkiego. I dla tego to pisarze nasi, którzy samych Niemców naśladowali, mało zbogacili naszą prozę, a więcéj ją przyćmili nowymi i nie właściwymi wyrazy. Szczęściem, że te wady nie tak łatwo w nasz język się wkorzeniają i wszyscy lepsi pisarze nasi od nich są dalecy. Dla tego nie widzę potrzeby mówić w tém miejscu o germanizmach, które u nas tylko do języka filozoficznego się wkradły, o czém późniéj mówić znajdę sposobność.

Gallicyzmy. Jak dla dawnych Polaków niebezpieczne były wyrażenia łacińskie, tak dziś zgubne są dla języka gallicyzmy. Nie tylko przez to, że najwięcéj czytają dzieła francuzkie, zatém i po francuzku myślą, ale złe z tego języka tłomaczenia sprawiły, iż na nie obojętni niejako jesteśmy, iż nawet mimo szczeréj chęci pisania czystą polszczyzną, w gallicyzmy popadamy. Na dowód, jak trudno jest podobne wady wykorzenić, dosyć jest przytoczyć naszego Knapskiego, który w przedmowie do dykcyonarza swego, z zapałem przeciw latynizmom powstając, sam téj wady uchronić się nie może.

Stanisław Potocki z żalem wspominając o téj śmieszności w Knapskim, surowo przeciw dzisiejszym gallicyzmom powstaje, lubo wiemy, że ten pisarz aż nadto oszpecił nimi swe pisma skąd inąd dobre i pożyteczne. Tak to i najlepsi pisarze ulegać muszą wadom swojego wieku.

Gallicyzmów dla tego więcéj jeszcze, niż latynizmów chronić się potrzeba w naszym języku, że w porównaniu z łacińskim i naszym, język francuzki nader jest rozwlekły.

Pewna jest, że każde tłomaczenie z francuzkiego może być o trzecią część mniejszą liczbą słów powiedziane, dla tego tłomacze nieumiejętni trzymając się słów oryginału, nie bacząc na zwięzłość swojego języka, nadają mu nie znaną dawniéj rozwlekłość, w któréj wszelką swoją energią utraca. Ta wielość słów w stylu francuzkim może wiele przyczyniać się do jasności; w naszym języku nie tylko styl osłabia, ale go jeszcze zaciemnia.

Abyśmy mowę ojczystą od téj zarazy ratować mogli trzeba:

1, Czytać pod tym względem najlepszych naszych pisarzy i należycie ich stylem się przejąć. Pisarze lepsi z czasów Stanisława Augusta są mianowicie: Naruszewicz, Kołłątaj, Krasicki, lubo ostatni od téj wady nie jest zupełnie wolny, z późniejszych Jan Śniadecki.

2, Żeby poznać znaczną różnicę obudwu języków, wziąść cokolwiek z francuzkiego do tłomaczenia i to starać się oddać zwięzłą i właściwą polszczyzną; dobrzeby było najprzód dosłownie przełożyć, potém zamknąć oryginał, zacząć poprawę i od-

dawać już nie wyrazy, ale myśli autora tak, jakby je sobie tłomacz zupełnie przyswoił. Kto mojéj rady wysłucha i tę pracę wykona, zobaczy, o ile to w naszym języku można wszystko równie jasno, a daleko zwięźléj powiedzieć. Wielką szkodą jest dla nas, że nauczyciele języka francuzkiego zwykle mało polskiego znają, że przeto bez miłosierdzia już w młodych umysłach polszczyznę do francuzkiego języka skłaniają, że niemal wszystkie nasze grammatyki francuzkie tak polski język nakręcają, aby francuzki dosłownie dał się tłomaczyć.

3, Radziłbym czytać tych dawnych pisarzy naszych, którzy żadnego obcego języka nie umieli; ci zachowali właściwość języka godną uwagi i naśladowania. Dla tego, mimo pochwał dawanych Górnickiemu, bogatszy jest pod tym względem Rey z Nagłowic, który nie wiele w obcych językach uczony, zachował tok prawdziwie słowiański, lubo w prozie jeszcze za jego czasów nie utartéj.

Starzy nasi pisarze pełni są tak zwanych idyotyzmów, które się u nas coraz więcéj zacierają. Idyotyzm, to jest sposób wyrażenia się narodowy, jest duszą każdego języka. Każdy też naród ceni i zachowuje swoje idyotyzmy, tak jako charakter narodowy.

U Francuzów Paskal, Molier, pani de Sévigné i Wolter mają ich pełno na każdéj karcie. U Niemców Goethe szczególniéj i Wieland; u nas Rey i Skarga. Z tych to powodów najwyżsi geniusze w Niemczech, Szyller i Herder, nie przestawali czytać pism Lutra, bo każdy dobry pisarz tak się powinien uczyć swojego, jak obcych języków.

W tych to idyotyzmach czuje każdy naród wdzięki i narodowość, jak je czuli Grecy w swoich hellenizmach, Francuzi w gallicyzmach. Jednak w wyborze i użyciu idyotyzmów smak zawsze powinien być przewodnikiem. Ten to smak stanowił ową urbanitas u Łacinników i attycyzm u Greków. Wyrażenia gminne i prowincyonalizmy dalekie są od zalet idyotyzmów. Nigdzie więcéj nie daje się czuć brak dzisiejszego tego przy-

miotu, jak w miernych tłomaczeniach komedyi i romansów francuzkich. Tłomacz nie znając swoich idyotyzmów, nie może przełożyć obcych, a tak odbiera dziełu jedyną jego zaletę, suchość i ubóstwo wszędzie się okazuje, a czytelnicy z pisarzem razem skarżą się na ubóstwo języka polskiego, dla tego tylko, że tłómacz skarbów jego nie jest świadomy. Kto chce poznać jak trzeba tłómaczyć prawdziwie po polsku, niech czyta Amfitryona Zabłockiego.

Z mnóstwa galicyzmów, przytaczam niektóre dotąd jeszcze używane: Oddać komu niegrzeczność, zamiast oddać wet za wet, odpłacić niegrzecznością.

Nie mówi się po polsku: starać się o dobro stanu, ale o dobro państwa.

Nie jestem w stanie, zamiast nie mogę, nie stać mię na to, to nad moje siły, nie potrafię. Po polsku mówi się tylko właściwie, jestem w stanie duchownym, wolnym, albo w stanie okropnym, smutnym, który oznacza moje położenie.

Mniemam cię zdrowym, mniemam go zadziwić, nie rozumieją dojść do celu, zdawano się zezwalać, jestem pewny nie ubliżać godności jego.

Wszędzie powinien być dołączony spójnik, że i tryb oznajmujący.

Nakoniec w tłómaczeniach z obcych języków, potrzeba znajomości obudwu, szczególniej abyśmy idyotyzmy i przysłowia właściwie i po narodowemu oddali.

N. p. wilk wilka nie pożre, kruk krukowi oka nie wykole. — Przy jednym ogniu dwie pieczenie upiec i t. d.

Od kilkunastu lat zwracają krytycy uwagę na galicyzmy a wytykając je w rozbiorach pism, już wiele wytępić ich zdołali. Najlepiéj można tą drogą ciągle postępować, a z czasem składnia polska odzyska zupełnie swoję właściwość. Dla tego nie będzie może rzeczą zbyteczną wymienić i tu niektóre galicyzmy, które dotąd w nowych pismach nie znikły.

1) Przyjęliśmy z francuzkiego sposób mówienia przez dwa przeczenia, n. p.: Taki czyn nie może, jak tylko poniżać.

Ten sposób nie jest niegodny uwagi artysty. Rasyn nie jest mniéj godnym pochwał jak Kornel. Nie myślę jak tylko o tém. Mowa z Marcellim, nie jest jak pochwałą Cezara. Taki sposób mówienia możnaby nazwać algebraicznym.

2) Słowo posiadać służy u nas tylko do własności gruntowéj, nie można w Polsce, jak we Francyi posiadać ręki kochanki, posiadać czyjego zaufania.

Są dziś w nasz język wprowadzone tak zwane przypadki uboczne, to jest wyrażenia, w których przymiotnik nie zgadza się z rzeczownikiem, ale drugiego rzeczownika domyślać się każe, n. p.: ta mowa jest zajmującą, te cnoty są rzadkiemi i t. p. zamiast: ta cnota zajmuje, te cnoty są rzadkie. Zważmy, że w ustnéj mowie nikt się tak nie wyraża.

4) Słowo istnieć, używane jest powszechnie, jak w języku francuzkim: nie istnie żadna róznica; poezya długo istniała bez rymów. Śniadecki napisał obszerny artykuł przeciw temu wyrazowi, chcąc go zupełnie z języka wykluczyć, ja sądzę, że dobrze użyty, potrzebny jest i językowi właściwy, n. p. póki pamięć ojców istnieć będzie.

Częsty jest u nas a wielki błąd, bo logikę i jasność obrażający, gdy sposobem francuzkim pierwszą część okresu od czynnego wyrazu zaczynamy, a drugą na biernym kończymy, n p. historya mając za główny cel wskazanie ludziom prawdy, oczywistem jest, że bezstronność jest komicznym obowiązkiem historyka, zamiast: historyk mając za główny cel prawdę, powinien być bezstronnym.

6) Wyrazy moje, twoje, dodawane zwykle do rzeczowników, gdy tego myśl nie wymaga, są także z francuzkiego niepotrzebnym nabytkiem.

7) Nieznośnie rozwlekamy nasz język, gdy zamiast słów, używamy według francuzkiego rzeczowników, i gdy zwyczajem tego języka, zamiast czynnie, biernie wyrazy kładniemy; to odejmuje najwięcéj życie i zwięzłość stylowi, n. p.: Zgubiony jestem, zamiast zginąłem. Wszystko przez niego stracone, zamiast wszystko utracił. Talenta rzadko bywają przez publiczność nagradzanemi, zamiast publiczność rzadko talenta nagradza. Miłość moja własna jest pochlebioną, zamiast głaszcze to moję miłość własną.*

Na tém, co do galicyzmów poprzestając, wyznać muszę, że język nasz mimo wad powyższych, znaczne winien jest udoskonalenie swoje prozie francuzkiéj. Dopóki tenże nie był u nas znanym, proza nasza, najczęściéj niewolniczo łacinę naśladując, nie miała należytéj jasności i toku śmiałego. Szyk logiczny języka francuzkiego, jasność z jaką się wszyscy nim piszący tłómaczyć muszą, weszła do naszego języka. Gdybyśmy tylko w naszych pismach starali się łączyć zwięzłość łacińską z francuzką jasnością, byłby nasz język jednym z najdoskonalszych do tłómaczenia wszelkich płodów umysłu ludzkiego. — Dla tego to pisarze nasi, którzy samych Niemców wartowali, mało zbogaciwszy naszą prozę, więcéj ją przyćmili nowemi i niewłaściwemi wyrazy. Szczęściem, że te wady nie łatwo się w nasz język zakorzeniają, i wszyscy lepsi pisarze nasi od nich są dalecy. Dla tego nie widzę potrzeby mówić tu o germanizmach, które u nas tylko do języka filozoficznego się wkradły, i w używanie nie weszły.

Przekładnie. Przekładnią, (inwersyą) zowiemy wolność szykowania wyrazów, nie według ścisłych przepisów logiki i grammatyki, ale według czucia i smaku piszącego. Każdy język ma swój oddzielny sposób mieszczenia wyrazów, i każdy ma mniéj lub więcéj wolności szykować je bez obrazy jasności stylu i natury języka. Mogę n. p. powiedzieć według listu Sobieskiego: Obszerny obwód jego namiotów, nakształt małego miasta, zamykał w sobie łaźnie, kanały, ogród i zbiór rozmaitych zwierząt. Albo nakształt małego miasta, obszerny obwód jego namiotów, łaźnie, ogród, kanały i zbiór zwierząt rozmaitych zamykał. I tak mógłbym w szyku wyrazów bardzo wiele odmian tego peryodu uczynić, bynajmniéj zrozumieniu nie szkodząc. Nie mogę atoli czynić przekładni z obrazą szyku grammatycznego, jaki językowi jest właściwy, n. p. na-

* Wiele szczegółów tu należących, znaleźć można w piśmie Królikowskiego o stylu.

miotów obszerny jego obwód, małego miasta nakształt. Tak gdy łacińskim pisarzom wolno było czynić przekładnie najswobodniejsze, aby tylko harmonii peryodu lub wiersza zadość uczynić, nie wolno ich Polakowi w tém naśladować, jak to czynili nasi n. p. poeci wieku XVII., mianowicie: Twardowski i Gawiński. Twardowski n. p. mówi do orła polskiego:

. . . . O ty! coś z téj góry
Daleko upatrywał twe nieprzyjaciele,
Jako między baltyckiem a czarnem jest wiele,
Morzem ziemi . . . .

Jestto niepospolita zaleta języka, gdy pisarz ma wolność władania nim według woli, lecz za to pisarz w tym języku, nierównie winien mieć więcéj baczności, aby używając tego prawa, nie gwałcił praw języka.

Téj wolności winni niektórzy łacińscy pisarze wiele miejsc ciemnych, lecz za to wiele piękności, jakiemi późniejsze języki nie mogą się szczycić. Żywość, moc i harmonia stylu, jéj najwięcéj są winne. Inwersye są źródłem niewyczerpanem rozmaitości i zwracając uwagę na wyrazy główne, nadają konstrukcyi tok niespodziewany, niezwykły, czyniąc wrażenie na umyśle i sercu.

Z żyjących języków żaden nie ma tyle dowolności w przekładni co polski, chociaż ona bowiem właściwą jest wszystkim dyalektom słowiańskim, atoli polski, który się wyłącznie na łacińskim ukształcił, najwięcéj ją sobie przyswoił. Przyrodzone językowi przekładnie ustalili dopiero pisarze z czasu Stanisława Augusta. Poznanie głębsze grammatyki języka, a nadto powszechne przejęcie się logicznością szyku w pismach francuzkich, sprawiły: iż język polski ani jest tak dowolny i zawiły w przekładniach jak łaciński, ani tak niewolniczym w szykowaniu wyrazów jak francuzki.

Condilliak trafnie porównywa przekładnie z światłocieniem w malarstwie. „Malarstwo ma trzy sposoby, (mówi on) rysunek, kolory i światłocienie. Trzy równie ma pisarz: konstrukcyą grammatyczną, przenośnie i przekładnie. Doskonałość

konstrukcyi odpowiada rysunkowi, wyrażenia przenośne kolorom, a szyk wyrazów światło-cieniowi.“

Szyk wyrazów zawisł najwięcéj od stanu, w jakim piszemy. Człowiek uniesiony wcale innym porządkiem wyraża swe myśli, niżeli spokojny, pierwszy wyraża najprzód to, co go najwięcéj zajmuje, a drugi szykuje swe myśli według porządku jaki logika wskazuje. Mowa pierwszego jest wyrażeniem związku rzeczy z jego sposobem myślenia i czucia, mowa zaś drugiego jest wyrażeniem związku rzeczy pomiędzy sobą. Wyrażenie jednéj myśli może być w obudwu wcale odmienne, co do samego szyku wyrazów. Spokojny rozum, mówiąc tylko do równie spokojnego rozumu, idzie zwykłą drogą kojarzenia się pomysłów, okazuje najpierwéj przedmiot, a potem sąd o tymże. W tym razie każde słowo konstrukcyi, będzie według logiki i grammatyki na swojem miejscu. Lecz mowy ludzkiéj nie utworzyło rozumowanie, ale imaginacya i czucie. Gdyby który język był utworem filozofów, dla samych filozofów, wtenczas nie wiedzielibyśmy o przekładniach; lecz gdy ludzie są istotami myślącemi i razem czującemi, przeto i przekładnie w języku być muszą. We wszystkich dobrych przekładniach jest logika, ale logika czucia, która w tym względzie różną jest od logiki rozumu. Mieścimy naprzód to, co nas najprzód i najmocniéj uderza. Jeśli kto niespodziewanie spostrzeże węża, zawoła na towarzysza, wąż! uciekaj! Gdyby spostrzegł, tegoż towarzysza w niebezpieczeństwie ukąszenia, zawołałby, uciekaj wąż! Tu widzimy logikę samego czucia. Lecz i dla saméj jasności wyrażenia się, kładziemy ten wyraz, który jest główniejszym; n. p. ukradł moje papiery (ja mu ich nie dałem), moje ukradł papiery (a nie inne), papiery moje ukradł, (nie co innego), n. p. w konstrukcyi. Zaraz mówić należało, lub mówić zaraz należało, lub należało zaraz mówić, zmienia się zupełnie myśl, stosownie do wyrazu najprzód położonego.

Gdy powiem: Orzeł którego lot śmiały, najprzód nasze strony przestraszył, już skrzydła wznosił, aby się w góry ukrył, dam tylko po prostu obraz zdarzenia, lecz mówiąc według Sletzera: Już podniósł skrzydła, aby się w góry ukrył ten orzeł,

którego lot śmiały strony nasze przestraszał, tu maluję rzecz z większą żywością i stosowniéj do ciągu méj mowy.

„Gdybyśmy własnemi nie widzieli oczyma, niktby nie wierzył, że grubsza lub cieńsza suknia tyle pomiędzy ludźmi czyni różnicy.“

Gdyby ta konstrukcya na tém się kończyła od czego się zaczyna, myśl jéj mniejby uderzała.

Użycie przekładni czyni szczególniéj przeciwieństwa wybitnemi.

Następującą myśl n. p. można powiedzieć w szyku zwyczajnym: „Rybacy świadkowie zmartwychwstania Chrystusa, przez niego wysłani dopełnili tego, na co się filozofowie ważyć nie śmieli, czego prorocy i lud żydowski, gdy łask Boga doznawał, dokazać nie mógł.“ Tę myśl jednak daleko mocniéj wyrażę, gdy wprzód zwrócę uwagę na wielkość zamiaru, na proroków i filozofów, a potém na tych co go spełnili: „Wtenczas to, na co się filozofowie ważyć nie śmieli, czego prorocy i lud żydowski, gdy łask Boga doznawał, dokazać nie mógł; spełnili przez Chrystusa wysłani rybacy.“

W pismach lekkich i żartobliwych przekładnie powabne są przez samą naturalność, n. p.:

Coby to była za szkoda,
O mało nie zginęła jedna myszka młoda.

Każdy wiersz w poezyi i każdy peryod w prozie, ma jedno słowo główne, którego stosowne umieszczenie stanowi moc. jasność lub dowcip wyrażenia.

Gdzie pisarz tylko rozumuje lub opowiada, gdzie potrzeba uwagę czytelnika do końca okresu zawiesić, tam wyraz główny bardzo przyzwoicie mieści się na samym końcu: lecz gdy przejęty czuciem, wrażenie chce sprawić, wtedy samo czucie wskaże, gdzie ten wyraz główny umieścić. Zimne n. p. byłoby wyrażenie Alwaresa. „My naśladujemy tylko niebios gromy“, ale uczuje każdy moc myśli, gdy tenże powie:

Tak, gromy tylko niebios naśladujem.

W stylu historycznym dobrze powiem „nadzieje jego zginęły“, ale wyrażając to z czuciem powiem: „nazawsze zginęły jego nadzieje“.

Nie jest w stylu polskim obojętna, czyli przymiotniki i imiesłowy, po rzeczowniku, czyli przed nim kładziemy. — W ogólności, przymiotniki i imiesłowy, główną myśl stanowiące, zawsze kładziemy przed rzeczownikami.

Obojętnie mówię Kazimierz wielki, ale z uczuciem wyrażam wielki Chrobry, wielki Newton. Największą przysługę czynią inwersye harmonii stylu, dla któréj starożytni w peryodach swoich często jasność i moc wyrażeń poświęcali. O inwersyach pod tym względem w inném miejscu powiemy, tu tylko zwrócę uwagę, iż dla harmonii stylu nie należy nigdy poświęcać mocy, wyrazistości i natury języka.

W ogólności niepodobna o tym przedmiocie wyczerpać wszelkie postrzeżenie. Sam Cycero długo o tym przedmiocie rozprawiając, oświadczył, że to samemu smakowi, czuciu każdego zostawić trzeba.

N o w o ś ć. Przystępujemy do innéj własności stylu, to jest do nowości. Jest to najdelikatniejsza z uwag naszych, bo źle zrozumiana, może więcéj przynieść szkody niżeli pożytku, dla tego obszerniéj nieco zastanowimy się nad tym przedmiotem.

Nowość wymagana po dobrym stylu wypływa z tych samych powodów co rozmaitość. Chcąc odmiany, tém samém chcemy coś nowego. Ta żądza nowości jest jedną z najważniejszych cech duszy naszéj. Ta to żądza skazuje nas na prace i niebezpieczeństwa, ta w żadnym stanie szczęścia lub wiadomości naszych nie dozwala nam długo spoczywać, zawsze nas woła do odmian, to jest przyczyną owego smutnego stanu duszy naszéj, jakiego w nudach doznajemy. Najwyższe trwałe szczęście jest niczém, gdy mu już nie pozostaje nadziei żadnéj nowości. Ta nieustanna czynność, to ciągłe szukanie nasze czegoś nowego po téj ziemi, może być uważane za dowód, że życie to doczesne nie jest dla nas dostateczne. Sama piękność w naturze, w naukach i sztukach, traci dla nas całą wartość,

skoro już w niéj nie ma dla nas nic nowego. Mieszkajmy w najpiękniejszéj okolicy, a czuć będziemy tęschność do nowéj. W piękności rzucamy się często do tego, co jest mniéj piękne, dla tego tylko że nowe.

Młody dla tego jest najszczęśliwszy, że wszystko na świecie jest dla niego nowością; aby jéj używał, nadała mu natura odpowiadającą jej skłonność, to jest ciekawość, ztąd każdego bez ciekawości nazywamy martwym, nieżywym.

Skłonność tę nie daremnie dała nam natura, jéj winniśmy wszystkie nasze wynalazki i stopniowe udoskonalenie. Ale że wszystko dobre musi się ważyć ze złém, zatém i ta skłonność nie kierowana rozumem, wielu szkód stać się może przyczyną. Ograniczając się tylko do literatury, któż nie zna, ile chęć nowości postępowi dobrego smaku na zawadzie stawała. Gdy który naród stanął na punkcie dobrego smaku, żądza nowości prowadzi go za kres, a tam błędy, przesada, podobają się dla tego że są nowe. Ztąd nieumiarkowana żądza nowości jest zawsze przepowiednią złego smaku. I tak wszystko od téj skłonności jak od złego wroga ścigane, przebieżeć musi całe pole błędów i dziwactw, aż nareszcie przestanie być nowém i ludzie wracają się do dawnéj naturalnéj i prawdziwéj piękności, która wtenczas tém mocniéj się podoba, że niegdyś zapomniana, teraz nową się staje.

Tak ostrzegłszy o nadużyciu nowości, powiedzieć mogę, że w naukach pięknych jest niewinny sposób nowości, która nie tylko z najlepszym smakiem się zgadza, ale nawet na nim polega, i że pisarz pragnący wydoskonalić swój styl o tę starać się powinien. Na tém ona zależy, ażeby tam, gdzie to jest potrzebne i stosowne, używał pisarz nowych słów, zwrotów i wyobrażeń, na miejsce znanych i zużywanych.

Powód do tego jest w naturze duszy naszéj. Cała piękność przenośni na tém polega, iż słowa mówiące do rozumu, mówią razem do zmysłów i imaginacyi. Ztąd wyrażenia zmysłowe czyli przenośnie, piękniejsze są nad abstrakcyjne, tak jak milsza nam jest moralność wystawiona w powieści, lub na scenie, niżeli jéj suche filozoficzne dowodzenie. Z tego to naturalnego bardzo powodu, tak wiele mamy wyrazów umysłowych, które zmysłowo przedstawiamy n. p. zdradził go, jest wyrazem umysłowym, ale podszedł go, jest zmysłowym, bo nam razem wystawia obraz. Ale jak wszystko, tak i piękność przenośni, póty tylko jest taką, póki ma wdzięki nowości. Gdy się zestarzeje przestaje nas zajmować, i dla tego to dobrze w przenośném znaczeniu wyrażamy tę nieprzyjemność przez wyraz s t a r e r z e c z y. Wolimy często pismo, gdzie obok złego smaku i dziwactwa, jest jaka nowość, niżeli takie, które powtarza myśli dawno już znane, a zamiast świeżości stylu, pospolitemi miejscami mowę chce krasić. Te przenośnie choćby najpiękniejsze przez długie i częste używanie przestają byc obrazami, i tak są dla nas obojętne jak same abstrakcye, to jest nic już do imagacyi nie mówią, n. p. koło szczęścia, blada śmierć, zapęd gniewu itp., były bardzo pięknemi obrazami, póki były nowemi. Ale teraz już dla nas są zupełnie obojętne. Wiele takich przenośni zimniejszemi się teraz zdają niżeli abstrakcye, ponieważ brzmienie ich świadczy, że mają być zmysłowe, a do zmysłów nie mogą żywo przemówić. Są one tak jak wino zwietrzałe, nad które zawsze jest lepsza świeża woda. To więc zmusza dobrych pisarzów, ażeby zamiast tych zużywanych wyobrażeń nowemi je zastąpili.

Ale dobrze potrzeba się zastanowić, co to są wyrazy nowe, gdyż inaczéj to twierdzenie byłoby dla smaku bardzo niebezpieczne. Nowe niekoniecznie jest to, co jeszcze nigdy powiedziane nie było, inaczéj bowiem upoważniłyby się wszystkie dziwactwa i wymysły. Nowość w stylu nie wymaga tworzenia zupełnie nowych wyrazów, ale umieszczenia takich, które nie były używane tyle, iżby już dla imaginacyi świeżość swoją straciły. Tą uwagą zaspokoić można wszystkich troskliwych o zachowanie właściwości i czystości języka ojczystego, i tym sposobem można stanąć w ich sprawie. Kiedy się Polacy rzucili do obcych języków, tworzenie nowych wyrazów tak się wkradło, że język Zygmuntów poszedł w zaniedbanie, a język polski tak się miał zupełnie, jak Polacy wyrodzić. Prócz wielu baczniejszych, Śniadecki najmocniéj przeciw temu powstał i rozsądne w téj mierze uwagi ogłosił, które odczytać radzę.

Słuszne jest bardzo powstawanie przeciw nowym wyrazom, a szczególniéj w języku naszym, który w wieku XVIym już był tyle wydoskonalonym, że gdy dziś żyjące języki o większą połowę od tego czasu postać swoją zmieniły, Polak dzisiejszy tak samo rozumie Reya, jakby jego Rey zrozumiał, gdyby dziś powstał. Ale któż zaprzeczy, że co do umiejętności, język nasz za czasów Zygmuntów mało jest obrobionym, ażebyśmy się dziś bez nowych wyrazów obeszli. Dla tego to Kopczyński, Śniadecki i wszyscy, którzy pisali dotąd w nowych dla Polaków przedmiotach, musieli tworzyć nowe wyrazy.

Mówię tylko o tworzeniu wyrazów nie z koniecznéj potrzeby, ale w celu upięknienia stylu. Pod względem wymowy i poezyi daleko mniéj potrzebujemy tworzyć nowych wyrazów, niżeli pod względem umiejętności. W wymowie zaś i poezyi, ledwie nie można powiedzieć, że język nasz poetyczny daleko jest bogatszy w dawnéj naszéj literaturze, niżeli w nowéj. I to jest bardzo naturalnie, gdyż każdy język pierwéj się wydoskonala przez poezyą, a dopiero przez umiejętność. Ktokolwiek miernych nawet czyta poetów naszych, z wieku Zygmuntów, przekona się łatwo, ile w nich jest skarbów dla piękności języka, ile szczęśliwych przymiotników, wyrazów składanych, ile szczęśliwie łączących się przedimków, przez które tyle nowości każdemu wyrazowi dodawać można. Te zaniedbane zupełnie słowa, byłyby dla dzisiejszego stylu, który nie wiem przez jaką dziwaczną skłonność z oschłością francuzką się zbratał, byłyby mówię, prawdziwém wynalezieniem skarbów ojczystych. Z tych to zapasów najlepiéj między późniejszemi pisarzami korzystać umiał Trembecki w poezyi, a Woronicz w wymowie.

Dla przykładu przytaczam niektóre piękne wyrazy starożytnych pisarzów naszych, które umyślnie z miernych dzieł, to jest z metamorfoz Otwinowskiego i z Argienidy Potockiego wypisuję. Są one wszystkie takie, które oprócz tego że mówią do imaginacyi, tę mają zaletę, iż są jedynie polskiemu językowi właściwe. I tak np. pokłosie zamiast ścierznie, — naśmiewca zaborca, — stawić pole, zamiast wyzwać do bitwy, — niegościem złe w tym

domu, zam. ten dom często nieszczęść doznaje, wznowić rany, mocniéj jest niżeli odnowić, — niedrożny zamiast nietorowany. — Przy własnym domu zastała go starość, zamiast w domu się zestarzał, — przy dumaniu zorzy dosiadał. — Czeka śmierci jak iskra. Już mieszka nad słońcem, już powietrzem nie żyje. — Podziemne prządki zamiast parki, któż przepłacze tę boleść, kto się wydziękuje za twoje łaski. — Nadęta pycha w ludzi łakomstwo, — zroszone skrzydła Nota, wygniewało się morze, — nieprzejednane morze, rada mądrego posila jak deszcz majowy itp.

Wszystko to są wyrazy dawne, a przecież dla nas nowe, a przecież piękne i poetyczne. Tak, zamiast tworzenia nowych wyrazów, często pozostaje nam tylko otworzyć ten zardzewiały skarbiec starożytności naszej.

Ale nie dosyć jest, jeżeli pisarz zaszczyca się pięknemi nowemi wyrazami, potrzeba ażeby i myśli jego były nowe. I to tylko właściwą stanowi jego oryginalność, gdyż jego dowcip, imaginacya, smak i sąd w tém się najwięcéj wydadzą. Ten przymiot ma swoje stopnie i służy tylko wyższemu poetycznemu stylowi, bo tu wszystko jest słabém, co naprzykład w prozie potocznéj bardzo przyzwoitém być może. Jednak potrzebném jest w każdym stylu, który ma być pięknym.

Jeżeli nowość używamy szczególniéj dla imaginacyi, widoczna jest, że słowo nowe powinno być malowniejsze od starego, inaczéj wracając się do wyżéj rzuconego przyrównania, lepsze jest wino stare, niżeli świeże a kwaśne.

Nowość jest ostatnią własnością i potrzebą stylu, a zatém potrzeba wprzód wszystkie te przymioty zachować, o których mówiłem i nie nabyć jéj ich kosztem. Nowość powinna wypływać ze smaku narodowego i z ducha języka, ale nie z wzorów obcych, które się z temi nie zgodzą, nie z rozpasanéj imaginacyi samego pisarza, a zwłaszcza nie powinna być owocem namysłu i usilnego wyszukania. Nowe wyrażenia cisną się same pod pióro natchnionego, a zwodzą zawsze tych co za

niemi polują. Przekonywając się, ileśmy nasz rozłożysty język obcięli, chcąc go gwałtem zrównać z francuzkim, pełną za to ręką chwytamy nowości Anglików i Niemców. Lecz bierzemy często fałszywe błyskotki za kruszce, lub to co w nich samych jest nienaturalne, chcemy w nasz język przeszczepić. Chwytamy z nich najłakomiéj nadzwyczajność i przez nią wspaniałą prostotę naszego języka zdziwaczyć chcemy. I tu przypominam że Grecy i Rzymianie mają w językach swoich skarby. które do innych narodów nie przylgną, a w mowie słowiańskiéj najwięcéj przystoją. Tego nie zaniedbujmy i prowadźmy świetną budowę naszego języka, tak jak ją ojcowie nasi zaczęli. Jak język francuzki nie może być dosyć bogatym dla poezyi, tak wielu angielskich i niemieckich pisarzy, przez chęć nowości nadużywają bogactw swoich języków. Daj Boże, aby ci z młodych pisarzów, którzy tak słusznie polubili poezyą tych dwóch narodów, zechcieli się chronić téj ostateczności.

Ich malowania osobliwie są nowe, ale nie są naturalne. Któż nie żałuje n. p. sławnego Rychtera, który przy takiéj obfitości imaginacyi, nadużywa prawdy i natury, jedynie przez chęć nowości. Czytając i w angielskich poetach te tak piękne i bogate obrazy, uczuje w nich przymus i ozdoby mniéj naturalne każdy, kto zna klassycznych pisarzy. Ossyan jest prawie cały w obrazach, ale nigdy w tak szczegółowych i często naciąganych, jak późniejsi angielscy pisarze. Grecy i Rzymianie są najlepszemi źródłami, z których naturalne i piękne obrazy czerpać można.

Rey jest ubogi w poezyi, bo nie znał Rzymian i Gallów języka, ale Kochanowskiego poezya jest piękną, bo ten rozsądnie czerpał wzory ze starożytnych. Ciemnym, nadętym i błędnym stał się późniéj Gawiński i Twardowski, gdy gwałtem, bez wyboru chcieli wprowadzać nowości, z łacińskiego języka przejęte, lecz ci błądzili najwięcéj przez to. że już nie język Wirgilich i Horacych, ale Lukana i Seneki chcieli przyswajać.

W podobne wady wpadały kolejno wszystkie narody, a nawet Grecy i Rzymianie. Tak Longin świadczy jeszcze o błędném ubieganiu się za nowością, a gdy mówi o nadętości stylu dodaje:

„Wszystkie te błędy jeden mają początek z żądzy nowości, która jest najwyższém szaleństwem naszego wieku. Bo z tego samego źródła, z którego dobre otrzymujemy, i złe wypływa.

Idąc za Longinem pamiętajmy, że chęć nowości w stylu więcéj złego niż dobrego sprowadzić może, ale któżby chciał w milczeniu pomijać istotne własności sztuki dla tego, że nieumiejętni nadużyć ich mogą. Zakończmyż ten oddział jedną jeszcze uwagą. Styl jest tém dla myśli, czém szata dla ciała. Między sukniami rozróżniamy odzież, ubiór i strój. Na odzieży przestaje styl prosty, listowy, naukowy. Prosta odzież jeżeli nie jest bogatą, powinna być chędogą, kształtnie wyrobioną i przyjemną dla oka. Ubiór jest czemsiś więcéj i takiego używamy do oddania myśli bogatych i dostojnych. Strój nakoniec jest więc ozdobą do okazałości zbliżony, służy tylko wyższéj wymowie i poezyi i rzadko być używanym powinien. Bo inaczéj stałby się samą próżnością. Ale jakiegokolwiek z tych trzech używamy, zachowajmy zawsze ten ogólny przepis, że styl jest to samo co ubiór, że najprzyzwoitszém jest takie ubranie, które nie jest ani zbyt staroświeckie, ani zbyt modne, inaczéj nie będzie przyzwoitą oryginalnością, ale karykaturą.

Uwagi pojedyńcze o stylu polskim. Cokolwiek aż do czasów Konarskiego o stylu i wymowie przez Polaków wydano, to już zasłużonemu uległo zapomnieniu. Były to dzieła szkolnictwem rażące, zdolne bardziéj obłąkać wrodzone zdolności, niżeli niemi zbawiennie kierować. Pisane były najwięcéj w łacińskim języku, a co późniéj w tym rodzaju po polsku wychodziło, było tylko zakałą języka, rozsądku i smaku. Narodowi praktycznemu, rządzącemu się najwięcéj mocą przeświadczenia, teorye wymowy dla samych szkolnych zwyczajów podane, najgorzéj służyły. Były to utwory osob klasztornych szczególniéj w wieku XVII., które nad tém pracować się zdały, jak przytłumić i spaczyć rozsądek i pro-

stotę obradom potrzebną. Opłakane ztąd skutki widzimy w największéj części pism i obrad owego wieku.

Konarski uważał za potrzebę najpilniejszą powstać przeciw skażonemu smakowi w szkołach i dla tego po łacinie wydał w tym celu dzieło: De emendandis Eloquentiae vitiis. Bohomolec w pismie Zabawki oratoryczne, szydził z nadętości i makaronizmów, sam pisząc prostą i czystą polszczyzną.

Z czasów Stanisława Augusta najznamienitszym pisarzem o stylu i wymowie jest Piramowicz. Jednakże uważał więcéj mówcę pod względem prawego i oświeconego obywatelstwa, niżeli pod względem sztuki. Przejęty gruntownie literaturą Rzymian, uczuciem ich cnót i godności, pod tym szczególniéj względem wskazywał ich do naśladowania narodowi upadłemu, lecz mierzącemu przepaść nad którą stanął, i usiłującemu ratować się przez światło i cnoty obywatelskie. Wady upadłego Rzymu w cnotach i smaku tém więcéj czuł, im bliżéj mógł je do swoich ziomków stosować. Dzieło jego i dziś wielce jest szacowne, zwłaszcza dla uczących.

W pismie Golańskiego o Wymowie, styl ciężki i brak porządnego rozkładu, natomiast zaleca się dobrze wybranemi przykłady, postrzeżeniami nad językiem ojczystym, na czém dziełu Piramowicza zupełnie zbywa.

Xiędza Chrzanowskiego Zasady wymowy, wzięte są z Eschenburga, godniejsze są za to wspomnienia przykłady, pierwszy raz z ojczystych pisarzów do pisma elementarnego użyte.

W roku 1817 wyszłe Zasady wymowy świętéj z francuzkiego przełożone, lubo tylko dla kaznodziejów służące, zawierają jednak zupełniejszy zbiór przepisów, wymowy i stylu, z tego względu mogłoby być użyteczne, gdyby nie raziło skazami stylu, mianowicie w przykładach tłumaczonych z kaznodziejów francuzkich.

W dziełach pośmiertnych Euzebiusza Słowackiego, są ważne rozprawy o stylu, wymowie i poezyi, pisane po raz pierwszy w polskim języku w duchu filozoficznym, a czerpane z niemieckich pisarzy, mianowicie zaś Sultzera.

Najobszerniéj pisał o tym przedmiocie Stanisław Potocki, w dziele w czterech tomach wydanem, O stylu i wymowie. Sam mówca znakomity, do wszelkich ważnych spraw narodu należący, mógł z własnego doświadczenia wyczerpać rady o sztuce, któréj się w rozmaitych kolejach narodu ciągle poświęcał. Dzieło to, jako przez ministra oświecenia i przez męża słynącego z wymowy wydane, dla szkół przeznaczone, pod niektóremi względami z korzyścią między młodzieżą upowszechnione było. Ma jednak liczne przeciw sobie zarzuty, między któremi ta najgłówniejsza: iż mówca nic prawie nie czerpał z siebie, z swojego języka i z mówców narodowych, ale wyłącznie starożytnych i francuzkich krasomówców, miał na pamięci. Co do saméj teoryi, czerpał najwięcéj z retora angielskiego Blaira, i żałować należy, że go raczéj zupełnie nie przetłómaczył, lecz rozdziały jego wyjątkami z Laharpa przeplatał. Tym sposobem wyniknął nieporządek w układzie, powtarzanie jednych przedmiotów, a często zupełne nawet sprzeczności obudwu tych pisarzów. Nakoniec zbyt częste galicyzmy, pewna rozwlekłość i niedbałość w stylu, rażą czytelnika na każdéj karcie. — W osobnych rozprawach Potockiego o języku i literaturze polskiéj, więcéj znaleźć można uwag do stylu i języka polskiego należących.

Dziełko Królikowskiego O Stylu, zaleca się porządkiem jasnością, szczególniéj zaś praktycznem wyłuszczeniam wad panujących teraz w języku i stylu. Dla szkół początkowych z korzyścią użyte być może.

O miękości i twardości języka polskiego. Z męzką godnością niech się uśmiecha Polak, gdy mieszkaniec Tybru albo Sekwany twardym jego język nazywa. Ze wnętrzną przyjemnością i z powagą dojrzałemu mężowi przyzwoitą niech słucha cudzoziemca, gdy się nad jego wyrazami, jak niewieściuch nad podniesieniem starożytnéj zbroi mocuje, gdy języka jego jak dziecię pieściwie tylko wymawiać się uczy. Żaden z żyjących języków nie ma tego przymiotu, aby mówiący nim cudzoziemiec nie już obcym, ale dziecięciem się zdawał, niech Polak uważa się członkiem starożytnego narodu,

którego mocy, nowe w miękkości wychowane ludy, pojąć nie mogą, dziećmi się przed nim wydają, niechaj ich słucha, jakby słuchał Rzymski Kato, włoskiego Soprana.

Dopóki męztwo w narodzie nie wygaśnie, dopóki obyczaje nie znikczemnieją, póty nie zapierajmy się owéj twardości języka. Ma on i w niéj swoję harmonię i śpiewność, ale jest to szum odwiecznego i rozłożystego dębu, nie poświst chwastu, który za każdym polotem wiatru zgina się lub łamie, i cienkim tylko odgłosem jęczenia wydaje.

Język francuzki nie jest mniéj jak nasz barbarzyńskim w pierwotnym swym składzie, niemniéj wielką ma liczbę spółgłosek w pisaniu, które mówiący elizyami i połykaniem połowy liter pokryć usiłują. Polski język zachował otwartość w wymawianiu wyrazów swoich tak, jakiemi są istotnie i być powinny. Przeto ma wymierzony i pewny ton, pełne brzmienie i wyrazistość, słychać go jak rycerza, w chrzęszczącéj zbroi, nie tai barbarzyństwa twardych swych zgłosek, a gdy kiedyś przestanie być żyjącym, prędzéj niż francuzki w piśmie wymawianie swoje dochowa.

Atoli ten przymiot języka polskiego, byłby jego najgłówniejszą wadą, gdyby obok niego nie miał miękkości rzadkiéj w innych narodach. Nie będzie on ani mógł być greckim, śpiewnym językiem. Chociaż z innych względów zachował z nim wiele spólności, atoli ten delikatny instrument przeniesiony pod ostrzejsze północne klima, utracił łagodność swojego dźwięku. Mówię tu ogólnie o duchu słowiańskich dyalektów, który w polskim najwięcéj się co do wymawiania od innych oddalił. Gdybyśmy dziś mieli Homera i szczęśliwsze w naukach krainy słowiańskie, różniące się dyalektem, możeby między niemi umiało ucho jego obrać najdźwięczniejszy dyalekt. Mówiąc tylko o polskim języku, pewna jest, że tenże ma twardość i miękkość, ale taką, jaką wierne naśladowanie natury wskazuje. Jest we Francyi zdanie, że Polacy są Francuzami północnymi co do obyczajów i smaku, równie język polski ma pewną miękkość, jedynie południowym narodom przyznaną, a w któréj nad germańskiemi języki celuje. Południowe zaś narody nigdy mu nie wyrównają w energii i mocy, nie wiele

go przechodząc w miękkości i śpiewności, do jakiéj nie tak już doszedł, jak jeszcze dojść może. Język polski jest jak ten, który nim mówi twardy, ostry i chrzęszczący na polu Marsa, ale miękki i łagodny na roli i w domowem pożyciu. W języku Polaków, jak na ich polu grzmiała trąba Marsowa i fletnie pasterskie ton rozwodziły pieściwy. Język nasz tony obudwu tych instrumentów, z takiem odznaczeniem wydaje, jak tego trudno śladu dostrzedz w innych żyjących językach.

Gdy się na polu Marsa oba wojska znidą,
Wnet się puklerz z puklerzem, dzida mięsza z dzidą.
Mąż na męża uderza, tarcza prze o tarczą.
Zgiełk się szerzy, pociski na powietrzu warczą.

Z Iliady.

Pod moję się obronę Kastylja ciśnie,
Arragon drży z Grenadą gdy ten oręż błyśnie.

Z Cyda.

Jakże obok tego miękkim jest w stylu łagodną naturę malującym, n. p. w sielance Szymonowicza:

Tu lasy, tu po lesiech słowicy śpiewają,
Tu łąki a po łąkach piękne stada grają,
Tu byśmy z sobą poranki pędzili,
Tu byśmy do starości lata przetrawili,
Tu jamy w liść odziane, tu gaje, tu cienie,
Tu polem uciekają wędrowne strumienie,
Tu wyniosłe topole i lipy cieniste,
Tu jawory, tu dęby stoją wiekuiste.

Język nasz naśladując wiernie naturę, dochował jéj dzikie i miłe obrazy, i umie je dla samego ucha malować. Jak natura śród ryku morz i szumu wichrów przeraża ucho nasze, i razem je śród potoku zefirów między kwiatami, śród lekkiego kołysania gałązek słodyczą napawa, tak język wiernie tę okropną i miłą, wojenną i spokojną naturę wyobraża; o nim

można powiedzieć, co o tejże naturze Dmochowski z właściwym doborem zgłosek powiedział:

W nim się zielenią lasy, w nim się łąki śmieją,
Grzmią pioruny, wrą morza, dmą wiatry, dżdże leją.

Grzmot, gwar, szum, łoskot, tentent, świst, ryk, skrzypieć, chrzęst, szczęk, wrzask i t. d. tak są naśladowaniem groźnéj i przerażającéj natury, jak spokojną i miłą wiernie wyobrażają dla ucha liście, zieloność, cienie, gaik, zdrój, cichość polot i t. p.

Człowiek uważając zewnętrzne odgłosy natury, starał się one w swéj mowie naśladować, a doświadczając w sobie równie miłych jak nieprzyjemnych uczuć, usiłował je według tychże zewnętrznych odgłosów natury wyrazić. Ztąd w polskim języku wszystkie niemal miłe i odrażające wyobrażenia umysłowego świata, na téż dwie części co wyżéj podzielić się dają.

Trwoga, zbrodnia, zgroza, srogość, rozpacz, śmierć, morderstwo, krzywda, równie nieprzyjemnie brzmią w ustach, tak jak przyjemny stan duszy malują usta dla ucha w wyrazach: pociecha, nadzieja, lubość, kochanie, podziwienie, spokojność i t. d.

Tak uważając naturę, coraz się wiecéj z języka naszego przekonamy, że zmysły i namiętności więcéj niżeli filozofowie język utworzyły, ale że do filozofii należy udoskonalenie onego, jak do rozumu kierowanie zmysłami i namiętnością. Język nasz tak jak inne północne szumi, trzeszczy i piszczy. Dobrzy pisarze roztropnie go w tém używają, źli aż do przesady. Twardość tę winien organom i klimatowi swojemu, im daléj ku południowi tém języki łagodniéj naśladują naturę, bo i ona jest łagodniejszą.

Ale i u nas, chociaż się klima nie zmienia, przecież się dzika i wspaniała natura coraz więcéj przez kulturę łagodzi, i innego rodzaju piękności niebiera. Równie umysł mocny i surowy z natury, nabiera przez cywilizacyą delikatniejszych uczuć. Za tém ułagodzeniem postępuje i język, gdy się coraz więcéj jak instrument ogrywa. Ogrywajmy ten instrument

starajmy się go coraz lepiéj rozpoznać, a z czasem wyda nam czarującą harmonią, będzie się do nas odzywał jak lutnia Orfeja, na głos któréj kłody i dzikie głazy same się zgodnie w mur szykowały.

Język polski zachował dotąd wiele przytwardych tak jak i miękkich wyrażeń, które z natury naśladował, ale także wkradła się do niego twardość, którą błędny zwyczaj i zła pisownia uprawniły, tak jak ma miękkość, którą sztuce i wzmagającemu się smakowi jest winien.

Zastanówmy się nad tém pokrótce. Prócz twardych zgłosek, używanych i w innych językach, stwardzamy jeszcze litery *c*, *l*, *s*, *z*, i na tych to literach (można powiedzieć), zasadza się największa część ostrości naszego języka, jakiéj inne narody nie mają. Wyrażają one wierniéj naśladowanie odgłosów natury, ale przez niebaczne i częste użycie, zbyt ją dziko malują. Jednakże daleko więcéj liczymy liter miękkich, któremi ledwo język włoski pochlubić się może To samo *c*, *s*, *z*, dopiero tak stwardzone, zmiękczamy znowu najdelikatniéj na *ć*, *ś*, *ź*, c z a r n y, o s z c z e r c a, z i m n o, c i e m n y, s i a n o, z i e l e. Prócz tego, wszystkie inne spółgłoski podlegają zmiękczeniu tak dalece, że więcéj miękko niż twardo są używane *b'* *dź*, *k*, *m'*, *ń*, *p'*, *w'*, b i e l i ć, d z i e c, k i e d y, m i a s t o, k a m i e ń, p i ó r o, w i a r a. *T*, zmiękczamy na *ć*, b r a t, b r a c i e. Wyznać jednakże należy, że nasze ć, ś, lubo jest nader miękkie, nie ma jednak tego wdzięku co owe dodane pół *i* w naszym g o ł ą b', k a r p', p a w', i t. d. lub jak w innych słowiańskich językach na końcu wyrazów d a w a t i, m i ł o s t i i t. p. które mniéj syczenia zawiera i mowie więcéj dodaje śpiewności, niż nasze: d a w a ć, m i ł o ś ć.*

* Wyrzucenie tego pół *i* na końcu słowa w naszym języku. przyniosło mojem zdaniem wielką rewolucyą w jego prozodyi i szkody już prawie niepodobne do nagrodzenia. Ztąd to powoli wynikło owe nieszczęśliwe jednostajne przedłużanie przedostatniéj zgłoski, które poezyą naszą z największéj części śpiewności obnażyło. To despotyczne prawidło ogłuszyło nas na melodyą języka tak dalece, że nie tylko się nad nią wcale nie chcemy zastanawiać, ale najuczeńsi mężo-

Większa część wyrazów naszych miękko zakończonych, jest tylko ich skróceniem, czyli odcięciem samogłoski na końcu słowa, n. p. kaźń, przyjaźń, dań, jabłoń zamiast kaźnia etc. co także do uwag nad prozodyą odkładamy.

Największą liczbę wyrazów, a osobliwie spadkowanie i czasowanie na samogłosce kończymy, co nasz język wiele do włoskiego przybliża. Bez tego krótkie u nas zakończenie każdego słowa dłuższego nad jednosylabne, miałoby odrażające syczenie. Prócz tego, większa część wyrazów chociaż na spółgłoskę zakończonych, miękko się na końcu wymawia n. p. miłość, dawać, cień, gołąb', gęś etc. Byłoby to wielką naszego języka ozdobą, gdybyśmy w tych wyrazach tak chcieli uważać, miękcząc pół *i* jak je w środku słowa wymawiamy.

Spoczywanie i dzielenie wyrazów powszechnie się u nas na samogłosce wykonywa, co językowi śpiewność i miękkość nadaje, wyjąwszy tylko, gdy wyrazy złączone są z przyimkami na samogłoskę zakończonemi, n. p. roz-prawa, podległość, bez-boźny. Przez to spoczywanie na samogłosce, skupione spółgłoski gładko się wymawiają, i cudzoziemiec słysząc dobrze mówiącego Polaka, zapomina o tych groźnosterczących spółgłoskach, które go w piśmie przestraszają.

Baczne wymawianie i dzielenie tych wyrazów z przedimków złożonych, mogłoby wiele naszą prozodyą poprawić, i w części uwolniłoby nasz język od nudnéj monotonii w przeciąganiu jedynie przedostatniéj zgłoski; mówimy, a nawet dzielemy w pisaniu najczęściéj: ro-zum, po-dnosić, o-braza, gdy być powinno: roz-um, pod-nosić, ob-raza, co w wymawianiu inne i właściwsze brzmienie nadaje.

To jest miękkość, którąśmy naturze języka winni, a któréj ślady w każdym wierszu można dostrzegać.

wie uważają pracę około prozodyi naszéj za daremną. Gdybyśmy małe *i* na końcu słowa tak byli zatrzymali, jakośmy je w środku słowa dochowali, mielibyśmy najpiękniejszą prozodyą tak składane jamby, jak mamy daktyle, i nie tylko by nie trudno było pisać hexametry, ale nawet trudnoby było pisać zle i niemelodyjne. Będziemy o tém obszerniéj mówić w uwagach nad prozodyą polską.

Obaczmy ile Polacy zrobili, ażeby jeszcze swój język z twardości oczyścić, i co jeszcze bez obrażenia jego natury w tym celu zrobićby można.

Język polski nabrał wiele nienaturalnéj twardości przez wprowadzenie pisma łącińskiego, które na wyrażenie wszystkich liter słowiańskich, dostatecznych liter nie miało.

Pomijam te wyrazy, w których przez niepewność liter, różnie się mocowano nad oddaniem brzmień polskich przez łacińskie litery, że n. p. na oddanie brzmienia *sz*, używano *sz*, *ss*, lub *zz* i t. d. ale mówię tylko o tych, które zapewnie tak wymawiano jak i pisano i które się w większéj części dotąd przechowały. W psałterzu znanym pod nazwiskiem Królowéj Jadwigi, pisanym przy końcu XIV. wieku, czytamy n. p. takie wyrazy:

Pyrzwy. Psalm. mąsz. myloszczywy na stoylczu szyedzyał, myślicz. owocz. czokoły uczyny zdarzy szyę. oblycze. Przetosz. wsądze i w radze prawych.

W psałterzu Wróbla, wydanym w roku 1539 widzimy, ile język przez częstsze używanie w miękkości postąpił. Te same wyżéj przytoczoue wyrazy są tu już tak zmiękczone: piérwszy, mąż siedział, rozmyślał, owoc, w sądzie, w radzie. Psałterz Jadwigi mówi n. p. ale będą jako proch yen (który) rzuca wyatr od oblycza zyemye. Wróbel zaś tak się gładziéj tłómaczy: ale będą jako proch, który wiatr od ziemi podnosi. W tymże Wróblu czytamy wiele jeszcze twardych wyrazów: złostnicy, ziemsczi. więcz. dziedzicztwo które po nim, na złośnicy, ziemscy, więc, dziedzictwo, zmieniono.

I tak w szczególności bądź już w XVI. wieku, bądź późniéj, poczyniono zmiękczenia; z tych niektóre przytaczam.

Czynię to szczególniéj dla tego, abym choć w części okazał, że dawni Polacy nie byli obojętni na miękkość języka swojego, że dla niéj nawet grammatyczną pewność i wyrazistość poświęcali, a przecież dla tego język nie oddalił się od pierwotnego składu swojego. Porównajmy to z tém ile inne języki

dla miękkości od grammatyki odstąpiły, a znaczna wyższość przy naszym języku zostanie.

1) Mamy słowa, ktorym dla pełniejszego wymówienia głoskę *y* dodajemy, co bynajmniéj zrozumienia źródła wyrazu nie psuje. Piękniéj mówić: m i e j s c e, o j c i e c, o j c z y z n a, d o j z r z a ł y, p o d e j r z l i w y, niżeli m i e s c e, o c i e c, o c z y z n a, d o z r z a ł y, p o d e y z l i w y, lubo to *y* wypuszczamy tam gdzie przez następujące zgłoski ta sylaba miękko się stapia: m i e ś c i ć m i e s z k a n i e.

2) Używamy tegoż *y* zamiast innych twardych wyrazów wbrew pierwiastkowi słowa n. p. z d r a j c a, w i n o w a j c a, r a i ć, zamiast: z d r a d z c a, w i n o w a t c a, r a d z i ć, mniéj potrzebnie używali jeszcze dawni Polacy r a y c a, z w a y c a, zamiast r a d c a, z w a n i e c.

3) Dla miękkości wyrzucamy lub odmieniamy właściwą literę, np. m i ę k o ś ć, l e k o ś ć, m u l a r z, zamiast m i ę t k o ś ć, l e t k o ś ć, m u r a r z.

4) Dodajemy jednozgłoskowym przedimkom literę *e* gdy twardy następuje wyraz, lub gdy się od takiejże litery zaczyna: o d e z w a, z e L w o w a, w e w t o r e k, r o z e z n a w a ć, p o d e j r z a n y, zamiast o d z w a, z L w o w a, w w t o r e k, r o z - z n a w a ć, p o d - z r z a n y.

5) Często przedimek przeciw naturze jego dla miękkości zmieniamy. Zamiast z - w i a d e k, z - r ó d ł o, z - l e p o t a, z - ś m i e r ć, piszemy ś w i a d e k, ź r ó d ł o, ś l e p o t a,* chociaż te wyrazy pochodzą od z - w i a d a, z - l e p, z - m o r.

6) Wyrzucamy dla miękkości litery, które znaczenie pierwiastkowe wyrazu kłaść nakazuje, n. p. wyrazy od m i ł o ś ć, z ł o ś ć, pisaćby się powinny z ł o s t l i w y, m i ł o s t l i w y, jak starzy pisali, R a d c a zamiast r a d z c a.

7) Dodajemy jednéj samogłosce drugą dla pełniejszego wysłowienia, chociaż przeciw pierwiastkowi grzeszymy, n. p. s e y m, r o z e y m, z e y ś c i e, p o d e j m o w a ć zamiast

* Na to odważył się pierwszy Grzegorz z Zarnowca, za nim poszli wszyscy.

z - i m, z - j ę c i e (dawni niektórzy pisali s y e m zamiast s e j m) r o z - i m, z - i ś c i e, p o d - i m o w a ć.

8) Według Stoińskiego, pierwszego grammatyka naszego w XVI. wieku, wymawiali a nawet pisali niektórzy *l*, jeszcze akcentem zmiękczone, n. p. l ' a s, l ' u d, l i a s, l i u d zamiast l a s, l u d; ślady tego są jeszcze w wielu dawnych księgach. *

Pomijam dalsze, i tak już może nudne wyliczenie przykładów. Dosyć zdaje mi się przytoczyłem na dowód, ile nasz język dla miękkości z obrazą nawet źródłosłowa i wyrazistości swojéj pracował.

Tém śmieléj za to będę mógł wymienić błędy naszéj pisowni, które z równą, jeżeli nie z większą obrazą języka, bez wszelkiéj potrzeby barbarzyńską twardość w nim przechowują.

1) Niepotrzebnie wcale pisze wielu z r z e n i c a, d o y z r z a ł y, s z r z o d a, s p o y r z e n i e, p o ś r z ó d, z r z o d ł o, s z r z o d e k, zamiast ź r e n i c a, d o y ź r a ł y, ś r o d a, p o y ź r e n i e, p o ś r ó d, ź r ó d ł o, gdy te wyrazy pochodzą od z ó r, r ó d, z r o k, ż e r tak jak mówimy p o z ó r, p o z i e r a ć, r o d z i ć. Z a y z r o ś ć pisali starzy, pochodzącą od z a z ó r, z a z i e r a n i e, myśmy zamiast miękkiego *i* twarde *d* przydali z a z d r o ś ć. Z w i e r c i a d ł o, byćby powinno z i e r a d ł o; od z a z i é r a ć jak u innych Słowian z e r k a d ł o; s u m i e n i e, nie zaś s u m n i e n i e, gdyż pochodzi od z - u m, z - u m i e ć jak łacińskie con-

* Świadczy tenże Stoiński, iż nie tylko w Mazowszu, ale wszystkie Polki za czasów jego, dla pieszczoty mówiły m a s, d a j e s, zamiast m a s z, d a j e s z; tak, co wówczas było wdziękiem mowy, dziśby było najgrubszą prostotą. Teraz często zdarza nam się słyszeć osobliwie na scenie mówiących, d a w a c, k o c h a c, zamiast d a w a ć, k o c h a ć. Gorzéj to jest jeszcze jak wymawiać dobitnie owe miękkie *ć*. Powinno one być wymawiane jak środek między przytłumionem *t i ć*, ażeby go nieznacznie odbite pół *i* zakończało. Dobre pojęcie wymawiania tych ostatnich miękkich liter, uwolniłoby nas od zwykłego połykania ostatnich sylab, i powoli dałoby nam czuć prozodyą języka więcéj, niż owę p e n u l t i m ę, na którą każdy badacz języka narzekać musi.

scientia niemieckie Ge-wissen. Wziąć nie wziąść gdyż piszemy wzięty, wziątek i wiele podobnych.

2) Nasze *rz* jest bez wątpienia zmiękczeniem litery *r*, najczęstszéj w północnych językach. Przecież potrafiwszy przeto uniknąć jéj powtarzania, która niemieckiemu językowi tyle ostrości dodaje, nabyliśmy przez *rz* (zwłaszcza źle wymawiane) nieprzyjemnego syczenia. Unikać go należy tam gdzie można, i gdzie sam duch języka o to się prosi. Gdzie *rz* poprzedza głoska zmiękczona, tam *r* może samo pozostać, przeciwnie zmienione na *rz* dodaje jeszcze większéj twardości. Co popiera moje uwagi pod liczbą 1) względem wyrazów spoyrzenie, zrzenica, źródło i t. d.

3) Zbyt często stwardzamy bez celu inne wyrazy, zatracając ich pierwiastek. Skromny pochodzi od sromu, sromny być powinno. Niszczyć niepotrzebnie piszemy, gdy to słowo nie pochodzi od nisko, ale równie od nic, niczyć, niweczyć, niczemność i t. d.

4) Dowiedziono już, jak trudno usprawiedliwić tych, którzy chcąc się pozbyć często u nas *sz* zmieniają je na *s* gdy po nim *rz* następuje, osobliwie na początku słowa. Mogliby oni mieć słuszność według grammatyki, gdy nie mamy żadnego przedimka *sz* ale tylko *s* a każde prawie słowo u nas na *szcz* zaczynające się, złożone jest z tegoż przedimku s-czesny od czasu, s-czątki etc. Ale język nasz z trudnością i nieprzyjemnie przechodzi od *s* do *cz* gdy owe pośrednie *z* nie ułagodzi. Ta twardość dla oka, jest miękkością dla ucha. Ta jednak uwaga, nie wiem czy nas może usprawiedliwić, gdy piszemy spłaczony, przywłaczony, zamiast spłaszczony, przywłaszczony, gdy te wyrazy od płaski, własny pochodzą.

5) Nadto jesteśmy rozrzutni w obciążaniu jednego wyrazu dwoma, lub trzema przyimkami, które acz odcieniają najdelikatniejsze oznaczenie w jedném słowie, przecież czasem mało je objaśniając, są powodem, że często raczéj z nałogu, niż z namysłu i potrzeby wyrazy stwardzamy, n. p. wspomnienie, spomnienie, spaniały, społczucie, spólność, gdy mówimy społeczność nie wspołeczność, pospolity, nie powspolity, wśród, śród, znajduję, najduję.* Wskroś powinno być ale lepiéj na skroś niżeli na wskroś, i wiele tym podobnych. Powtórzyć tu jeszcze winienem, że ktoby chciał przez ujmowanie tych skupionych przyimków styl łagodzić, powinien się wzwyczaić w pilną baczność na onych znaczenie, ażeby dla miękkości nie poświęcił mocy i właściwości języka. Przyimki grają w naszym języku ważniejszą rolę, niżeli we wszelkich innych.

6) Mamy wyrazy przez błędy w zwyczaj zmienione, które chociaż nie dodają twardości, zacierają jednak pierwiastek słowa i przenośne znaczenie. Piszemy nie wiedzieć zkąd? obfitość zamiast okwitość od kwlatu okwitły. Przeto tracimy i pierwiastki i piękną przenośnię, a słowo takie nie ma rodziny w swoim języku, zgon zamiast skon, gdy mówimy skonanie, koniec, konać, przyzwoicie, zamiast przyswoicie, od swóy, swoyski przez takie zatracenie pierwiastku, używamy często za jedno wyrazów przyzwoitość i przystojność, które są synonymami, i nader od siebie się różnią. W samogłoskach także czynimy przez nałóg zmiany, przeciwnie pierwiastkom, a nawet brzmieniu wyrazu: szczęście, smutek, pochlebstwo etc.**

Wstrzymując się od dalszego wyliczania, które i tak już może za nudne, a surowym krytykom za niedorzeczne zdawać się będzie Sam to powtarzam, bądźmy zawsze ostrożni i baczni w doskonaleniu tym sposobem języka naszego. To co

* Kołłątaj nigdy inaczéj tego wyrazu nie pisał.

** Kopczyński wyczytawszy w Opalińskim, który w satyrycznéj ronii powiedział: że pochlebstwo od chodzenia za chlebem pochodzi, wbrew pierwiastkowi, chce ten wyraz od chleba wywodzić. Król odpowiadający pochlebnemi wyrazy na życzenia poddanych, nie czyni tego dla chleba, wyraz ten pochodzi od chluby którego późniéj w znaczeniu próżności używać zaczęto. Gorzéj daleko wywodzi ten wyraz jeden niemiecki dziejopis Karyntyi, który mniema, iż pochodzi od chlewu, przez którego nizkie drzwi chyłkiem potrzeba wchodzić.

zwyczaj i czas uświęcił, jest często w językach równym prawem jak sama natura. Atoli, gdy język jest sam z siebie ubogim, albo tylko zepsuciem pierwotnego, jakim jest francuzki względem rzymskiego, tam sztuka, ugoda, zastępuje naturę, tam prawidła choćby nie na naturze języka, ale tylko na zwyczaju i pierwszem widzi mi się oparte, są święte, ale w naszym języku, którego cała budowa opiera się na zasadach natury, który nie jest zepsuciem innego, tam uważanie onego według jego pierwiastków, powinno mieć pierwszeństwo nad nałóg i zwyczaj. W tém tylko rozumieniu doskonalmy nasz język. W wyrazach, które zwyczaj już zupełnie opanował, i który naturze języka mniéj szkodzi, zostawmy mu jego panowanie, tam zaś, gdzie nie zyskał jeszcze prawa obywatelstwa, gdzie go niczém nie udowodni, oddajmy go pod sąd grammatyki, ona niechaj da wyrok, czyli z obrębu praw ojczystych nie wystąpił, lub czyli może być tolerowanym.

Nadewszystko zaś uważam za potrzebną tę uwagę. Radźmy się i korzystajmy ile możności z pobratnich słowiańskich języków, aie i w tém bądźmy bardzo ostrożni. W początkach chrześciaństwa na ziemi naszéj, język polski gdy bliższe miał stosunki ze starosłowiańskim i czeskim, dyalekt nasz mało się od nich rozróżniał, gdy się zaś od nich przez zbieg okoliczności odłączył, utwierdził się na samym sobie, stał się odrębnym i ze wszystkich dyalektów najwięcéj wypracowanym, przybrał sobie oddzielny kształt, charakter, prozodyą, twardość i miękkość, i tak jak naród polski w rządzie i obyczajach, odróżnił się od bratnich języków. Gdybyśmy się dziś znowu z temi językami ściśléj łączyli, i według nich nasz język do pierwotnéj natury cofali, moglibyśmy go z czasem łatwo przywieśdź do tego, czém był w początkach u nas chrześciaństwa. Korzystajmy z nich o tyle tylko, ile koniecznie potrzeba. Czyńmy tu jak Rzymianie, którzy cudze bogi do swoich świątyń przyjmując, swoim najpierwszą cześć i ofiary składali.

Tymczasem powyższe uwagi o miękkości i twardości języka polskiego na tém zakończam.

A. Nie traćmy, ani się wstydźmy jego twardości tam,

Ś. ANTONIEGO
— 125 Nowem Mieście n./P

gdzie jéj natura wymaga, bo to stanowi moc, piękność i zewnętrzną poezyą języka.

B. Pozbywajmy się twardości, która się albo przez nałóg niczém nieusprawiedliwiony, albo przez złą pisownią do języka wkradła.

C. Gdy na to trudno się odważyć, bo lepiéj zły zwyczaj niż płoche nowości cierpieć, używajmy do tego dwóch łatwych, a najlepszych środków.

Po pierwsze. Nawykajmy w pisaniu do chronienia się słów twardych, które łatwo miększemi zastąpić się dają. Nie masz nic łatwiejszego. jak w to się wprawić, a gdy nad tém raz popracujemy, już na zawsze ucho nasze samo o prawa swoje domagać się będzie. Mamy niezliczone, wolne sposoby zmiękczania naszego języka, tak jak łatwo twardo się możemy wyrazić. Może on być barbarzyńskim pod piórem jednego, włoskim w stylu innego. *

* Dla przekonania się o tém, niechaj czytelnik z słodkiemi sielankami Szymonowicza porówna niniejszy wyjątek z tragedyi Jurkowskiego, który w tymże samym żył wieku. Jest to Intermedium między dwoma sługami w tragedyi o polskim Scilurusie, którzy piją po śmierci pana swojego, Chciał tu Jurkowski naśladować styl nieobyczajnego gminu, i w innych miejscach jest w stanie pisać śpiewną i gładką polszczyzną.

Ktoś.

Matyś pijmy dzisia.

Matyś.

Dobrze Ktosiu bzdandarzowie,
Miły brachu! ja téż tobie.
Naléy, rozléy, niech się sypie.
Na krasnego Pana stypie.

Ktoś.

Naszać téż to spasna giełda,
Gdy posługa Pana siedła.

Matyś.

Mam trzesca, blesca, rogietkę,
Przykłosnę w ranek swą biedkę

Powtóre. Korzystajmy z dowolności przekładni wyrazów, które twarde same z siebie, przez zręczny szyk, stają się miękkiemi, stapiają się mile przez akcent oratoryczny, i czynią język, jak muzykę harmonijnym z grubych i miękkich tonów złożonym, „o czém na swojem miejscu mówić będziemy.

Nakoniec, wszelkie usiłowania pisarzy będą daremne, jeżeli się język przez śpiewy, potoczne rozmowy, nie będzie w gładkości swojéj wydoskonalał. Dopóki damy nasze będą pogardzać rodzinnym językiem, póty nie może im służyć uspra-

Ktoś.

A ja téż tam mam kierstrąga,
Półtora skornego wasąga:

Matyś.

A glyczałżeś one jatrznice,
Co ono, była sak z wilczyce.

Ktoś.

Nogieć ci ją dał, widał ty to,
Kropihę mi od niej zszyto.

Ktoś.

Ha, ha! ażem się uchychnął.

Matyś.

Ktosiu zwalmy dziś co z grzędy,
Gdzie co leży ty glądź wszędy.

Ktoś.

Dobrzeć ja, toć mój cepak to grzeblisko w świecie,
Brać w dzienek, kraśdź w nockę, skrzybać ziemię, lecie,
A gdy ten spodyń skwira, jam Pan u swych Lachów,
W Pandolach i w Mezurkach naskrę gdusce strachów.
Ktoś tu był, Ktoś wziął rzekną, Ktoś sprysnął geld z sklepów,
Wszak na mnie nie wrzępoli zła fortuga slepiów,
Bać téż się wnet przewierzgnę zawszeki inaczéy,
Maci mię zielskiem ściosła, tak mię nikt niebaczy.
Téż na zły raz nie jeżdżę, a mijam cierpiączkę,
Bo dla niéj miał od zaźgi mój Staniek gorączkę.

wiedliwienie, że dla tego polskich książek nie czytają, iż we francuzkich lepszych mają pisarzy. Od nich w połowie zależy postęp narodowego języka, niech nim mówią, niech go uczynią językiem serca i posiedzeń, niech słyszymy ich głosem dumy narodowe śpiewane, a wtenczas z językiem polubią naszych pisarzy, a dobrych zachęcą a nawet utworzą. Jeżeli modlitwy do Boga, listy do matek, mężów i córek, pieśni przy arfie i fortepiano nie będą w ojczystym języku, któż się zadziwi, że polski język nie jest jeszcze tém, czém być powinien i może? Cudzoziemiec uczący śpiewu wydobędzie głos, ale nie wydobędzie brzmienia narodowego, tak powoli w samém śpiewaniu, które jest arką piękności języka, znikną najdelikatniejsze odcienia naszych dyftongów i topienia spółgłosek; wtenczas nie dziw, że nawet francuzki język, lepszym się zda, do śpiewu, niż polski. Póki język narodowy nie będzie wyłącznie odbierał w posiedzeniach czci bogów domowych, póty mało dla niego nadziei. Jeżeli się posunie wyżéj jego literatura, zachowa postać jedynie męzką i ostrość północną. Pomni na dawnę puściznę opiewać będą pisarze rycerskie dzieła. przeniosą się w czasy dawnego nieokrzesania, a pieściwy, serdeczny język umilknie. Ale ten żal, jaki jeszcze miłośnik języka do płci pięknéj mieć może, już dziś, do mniejszéj się daleko liczby rozciąga. Oby te które ustną i pisaną mową zachwycają swych ziomków, były przykładem dla innych, co jeszcze wierzą w przedawnioną modę, że dobre wychowanie, każe gardzić ojczystym językiem. Na pociechę dla dobrych Polek, i dla przekonania, jak mało te wyrzuty dziś zastosować się mogą, przytaczam słowa przez X. Czartoryskiego przed czterdziestu laty pisane. * „Poglądając na kobiety nasze, chciałoby mi się rozumieć, iż nie pod jedném z nami urodziły się niebem, lecz że z daleka dla rozmnożenia ludności kraju przybyły, tę odbywszy powinność, do innych żadnych nie czują się obowiązków. Tak trzeba myśleć, słysząc nie jednę z nich uroczyście oświadczającą, że nie wie wcale, co się w kraju dzieje, drugą dokładnie informowaną, kto siadywał do kolacyi

* Listy o wychowaniu córek.

w małych apartamentach z królami francuzkimi, począwszy od Henryka IV-go aż do dziś panującego Ludwika XVI-go i trzymającą regestr wszystkich bonmot, które odbyły na tych biesiadach, a nie wiedząc kto stolicy dobył, co Polskę gubiło, kto ją znieważa, trzecią szczycącą się z tego, że dosyć gładko konwersacyą polską utrzymała, że listu żadnym sposobem po polsku wymęczyć nie mogła; owę w nudności wpadającą na wszystko co się pod kształtem narodowym jéj oczom nawija, a cokolwiek ich jest, żadna nieopuszcza sposobności oświadczenia się że gardzi swoim językiem.

Z tego łatwo rozumieć, że ta część najmilsza społeczności jest tylko krzewem przywoźnym na naszéj ziemi, w któréj ani przyjąć się ani kwitnąć nie chce. Te które bez sromu głoszą, że język w którym pierwsze wydały brzmienia, przykry jest dla nich, nie idą na pośmiech, niech się im przynajmniéj nie godzi nigdy być matkami, jakich bowiem synów po takich matkach kraj spodziewać się może?“

O łagodzeniu języka polskiego. Łagodzenie języka należy raczéj do stylu i smaku, aniżeli do grammatyki lub ortografii; nawet miękkość większéj części języków zwykle kosztem grammatyki osięganą bywa. Klassy wyższe w obcowaniu, poeci i śpiewacy, tak język dla miękkości zmieniają, że późniejsi grammatycy do tychże zmiękczeń, częstokroć najdowolniejszych, przepisy swoje stosować muszą. Chcieć przez teoryę tę częstokroć szkodliwą dla języka skłonność uprawiać, a nawet uprzedzać, byłoby to jedno, co ogłaszać zasady miękkości obyczajów, które same przez się, są nieszczęsnym cywilizacyi owocem. Miękkość języka nabywaną bywa zwykle kosztem mocy i precyzyi onego, tak jak ułagodzenie obyczajów kosztem dzielności narodu. Dla tego, co do téj części ortografii, postępować trzeba z największą ostrożnością, zwłaszcza gdy wymagania smaku w tym względzie są dowolne, wyłączające się od prawideł grammatyki, i gdy raz obudzona chęć nowatorów niebacznie i fałszywym smakiem prowadzonych, tu najłatwiéj może język kaleczyć i osłabiać. Ta obawa tém jest słuszniejszą, gdy język z natury swojéj jest giętki, a takiémi

są języki słowiańskie, z których np. serbski, chociaż piśmiennie mało ukształcony, stał się przez sąsiedztwo dyalektem może największym, nie więcéj przeto dobitnym i miłym.

Stosownie do klimatu, zatém narzędzi mowy, rozwinięcia sił fizycznych i dzielności umysłu, języki są więcéj miękkie lub twarde, więcéj w nich panują samogłoski niż spółgłoski; lecz język twardy z natury, pewniéj z czasem ogładzić się może, a jeżeli miękki, nabrać męzkiéj energii. W klimacie surowszym, surowszy umysł, silniejsze ciało, a zatém głos i uczucia, tłómaczą się silnie i twardo; ztąd zbieg spółgłosek, tony chrapliwe lub syczące, i skłonność do samogłosek głębokich. Z czasem gdy przez stosunki towarzyskie rozwaga bierze górę nad imaginacyą i namiętnościami, gdy człowiek czuć zaczyna nową potrzebę podobania się przez ułagodzenie swojéj postaci, uczuć i głosu; język nabiera w wyrażaniu się więcéj jasności, w brzmieniu więcéj ogładzenia. Szczęśliwy język, który z natury swojéj zdolny jest zachować potrzebny w téj mierze środek; w którym natura i sztuka podają sobie ręce, aby wyszedłszy z jednéj ostateczności, w drugą nie popadł.

Zdaje mi się, że język polski w dzisiejszym stanie jest na tym szczęśliwym stopniu, że jest ogranym instrumentem, który miękkie i ostre brzmienia, nizkie i wysokie tony, pod ręką umiejętną, harmonijnie i według natury uczuć wydawać może, Chcieć go pozbawić mocnych i brzmiących tonów, byłoby to zamienić go na inny, pieściwy instrument; byłoby to chcieć fletu za skrzypce.

Mowa ludzka w ogólności, jest takim instrumentem zawierającym twarde i miękkie brzmienia, niskie i wysokie tony, który, nieograny jeszcze, może być brzęczącym i chrapliwym, a który różne narody po swojemu ogrywają, to jest, według wprawy, siły, uczuć i smaku, tworzą język mniéj lub więcéj śpiewny, energiczny, łagodny. Niektóre brzmienia i tony, bywają w wykonaniu zarzucone, jakby ich w instrumencie zupełnie nie było; inne zdają się więcéj wydatnemi przez kunsztowne przejścia, stapianie brzmień, szczęśliwy ich związek następstwo itd.

Nie wiem, czy uprzedzenie za mową macierzyńską, czyli to, że ją najlepiéj znam i czuję, twierdzić mi każe, że język polski zachował najwięcéj odcieniów między twardém i miękkiém brzmieniem; że ma twardość i miękkość nieznaną innym językom: że więc jest instrumentem, który tylko ogrania i ręki mistrzowskiéj potrzebuje, aby zachwycał brzmieniem mocnych i łagodnych swych tonów.

Ponieważ wiele na tém zależy ażeby oznaczyć granice, o ile język polski jeszcze zmiękczany być może, nawet w saméj tylko ortografii, niech mi wolno będzie zwrócić pokrótce uwagę na naturę mowy ludzkiéj, którą przykłady języka polskiego objaśnią, a od któréj to natury, bez szkody dla języka i harmonii onego, oddalać się nie można.

Powiedzieli niektórzy grammatycy, i to zdanie jest powszechne, że samogłoski są odgłosem uczuć, spółgłoski zaś naśladowaniem natury zewnątrz słyszanéj. Ja odważyłbym się powiedzieć, że jedne i drugie są w ludzkiéj naturze, jedne i drugie w przedmiotach natury głos wydających. Człowiek i natura nie mogą być rzeczą oddzielną; natura, jak on, wydaje dla jego ucha tony i brzmienia; on ją w koło siebie uważa jako czującą; w stanie natury jednako z nią mówi, a przynajmniéj swojego jéj uczucia udziela. W przedmiotach natury, słyszymy jéj tony wysokie i nizkie; w odgłosie uczuć człowieka słyszymy równie spółgłoski, które nie są żadném naśladowaniem, lecz prostém objawieniem natury człowieka, np. w brzmieniach, z których pochodzą wyrazy harczeć, chrapać, świstać, stękać, drżeć, trwoga, chuchać, dmuchać, wiać, dygotać i wiele podobnych. Lecz do tych brzmień dopiero silniejsza natura ludzka dochodzi, a gdy z tą razem mnożą się po trzeżenia i wyobrażenia, przeto do tonów i brzmień, do jakich już z natury nawykł, a których analogią znajduje w zewnątrz słyszanéj naturze, łączy brzmienia naśladownicze, na oznaczenie nie tylko wrażeń, ale i pojęć. Takich brzmień naturalnie większa jest liczba, i dla tego może nazwano spółgłoski naśladowaniem rzeczy słyszanych. Tak powoli powstała mowa, którą zmysłową, a jeżeli się wreszcie podoba, naśladowczą zowiemy.

Dziecię objawia swój byt przez samogłoski czyli wykrzykniki, i z tych nawet nie wszystkie wyraża. Zdolne późniéj wydawać brzmienia z własnéj wiedzy, które przez słuch pojęte, z siebie i z zewnętrznych przedmiotów naśladuje, tworzy sobie pierwiastkowe wyrazy już ze spółgłoskami łagodnemi. To samo postrzegamy u ludów, które nie dzikiemi lub barbarzyńskiemi, lecz niewinnemi zowiemy; to samo u ludów łagodnych klimatów, jakiéjbądź są cywilizacyi. Jak każde dziecię tworzy sobie brzmienia swoje właściwe na oznaczenie tego, czego jeszcze nazwać nie umié, tak ludy podług właściwéj sobie organizacyi, uczuć i natury ich otaczającéj, tworzą sobie brzmienia szczególne, które są naśladowaniem natury, a jednakże tyle różnią się w brzmieniach, że jedne tak, drugie inaczéj naturę słyszeć się zdają. Tak np. nie mamy bezstronnych sędziów, którzyby powiedzieć mogli, czy Niemcy czy Polacy wierniéj naśladują naturę w wyrazach:

Donner, Schall, rauschen, pfeifen,
grzmot, dźwięk, szumieć, świstać, itd.

Pod tym względem wszystkie ludy są dziećmi natury, mającemi jednakże swoją indywidualność, bo natura wszędzie mieć chciała jedność i rozmaitość.

W samogłoskach, mianowicie pierwotnych *a*, *e*, *i*, *o*, *u*, jako malujących odgłos uczuć, nie wyobrażeń, języki więcéj są sobie podobne, gdyż uczucia nasze są jedne, i natura chciała, aby ludzie, jako czujące istoty, wszędzie się rozumieli, tak jęk, śmiech, wołanie itp. wszędzie się jednako wyrażają. — W ogólności, wszelkie samogłoski wyrażają głównie uczucie, spółgłoski wyobrażenia zmysłami pojęte. Bez spółgłosek nie masz mowy, lecz tylko odgłos, tak jak bez zmysłów nie masz pojęcia. Jak ciało z duszą, tak spółgłoski i samogłoski są nierozdzielne, i tak te, wzajem działają na siebie.

Co do spółgłosek, te mogły być samém naśladowaniem natury w języku bardzo jeszcze ubogim, u ludu surowego, gdy jeszcze nie czuł potrzeby, albo nie umiał oznaczać umysłowych pojęć; lecz im więcéj siebie i język umysłowo kształcił, tém

bardziéj zatracał brzmienia, które naśladowczemi są zwane. Takowe brzmienia zachował był jeszcze język grecki i rzymski, nawet w czasie najwyższego udoskonalenia, jako u ludu więcéj zmysłowego; lecz te znikły prawie w językach dzisiejszych, równie jak śpiewność starożytnych języków. Są dotąd pisarze tak obcy jak polscy, usiłujący wyjaśnić początek i naturę każdéj spółgłoski, które to usiłowanie jest tak daremne, jak poetów dzisiejszych w jakimkolwiek języku chcących na wzór Homera lub Wirgilego odgłosy natury dla ucha malować. Jednakże zabytki tego naśladowania, są i dziś niezaprzeczone. Tak np, brzmienie *t*, które wydajemy wypuszczoném powietrzem z zetknięcia się języka z podniebieniem, lub które słyszymy tupnąwszy nogą o ziemię, wydało mnóstwo wyrazów toż brzmienie naśladujących: tupać, stąpać, stopa, stać, stanowisko, ostatni; daléj postać, dostojny, rozstanie się, stolik, stolica, stopień; daléj stan, ustawa, stanowić, zastanowienie się i wiele podobnych, któreto brzmienia mniéj więcéj, prawie wszystkie języki w takowych wyrazach zachowały.

Języki wykształcone przestają na tém, gdy do wyrażenia, dla ucha, uczuć albo obrazów mocnych i łagodnych, mają w ogólności dostatek brzmień twardych i miękkich. Język polski ma ich podostatkiem, gdy wszystkie prawie spółgłoski może stwardzać lub zmiękczać. Ma brzmienia najostrzejsze i najmiększe. Języki z łacińskiego pochodzące, nigdy mu nie wyrównają w energii, nie wiele go przechodząc w miękkości; przeciwnie germańskie, z któremi twarde brzmienia podziela, nie mogą nigdy mierzyć się z jego miękkością. Jest on jak ten, który nim mówi, ostry, twardy, chrzęszczący wśród wrzawy Marsa, ale miękki i łagodny na roli, i przy śpiewach godowych. Słychać w nim i grzmiącą trąbę marsową i flet pieściwy. Wydaje on brzmienia obudwu tych instrumentów z takiém oznaczeniem, jak tego żaden żyjący język nie zdoła.

Gdy się na polu Marsa oba wojska znidą,
Wnet się puklerż z puklerzem, dzida mięsza z dzidą,
Mąż na męża uderza, tarcza prze o tarczą,
Zgiełk się szerzy, pociski po powietrzu warczą.

Dmóchowski.

Jakże obok tego jest miękkim, gdy łagodną maluje naturę, np. w sielance Szymonowicza:

Tu lasy, a po lesiech słowicy śpiewają;
Tu łąki, a po łąkach piękne stada grają;
Tu byśmy z sobę lube poranki pędzili
I do późnéj starości lata przetrawili;
Tu jamy w liść odziane, tu gaje i cienie,
A polem uciekają wędrowne strumienie.

Zgoła, jak natura wśród ryku morza i szumu wichrów przeraża ucho, i razem wśród kołysania gałązek miłą je słodyczą napawa; tak język polski wiernie tę okropną i miłą, wojenną i spokojną naturę maluje. O nim można powiedzieć, co o téjże naturze Dmochowski z tak właściwym doborem zgłosek powiedział:

W nim się zielenią lasy, w nim się łąki śmieją,
Grzmią pioruny, wrą morza, dmą wiatry, dżdże leją.

Grzmot, gwar, szum, łoskot, tentent, świst, ryk, skrzypieć, szczęk, wrzask itd., tak wyrażają dla ucha groźną i przerażającą naturę, jak spokojną i miłą wiernie oddają wyrazy liście, gaik, cienie, zieloność, zdrój, cichość, polot itp.

Według tych zewnętrznych wrażeń fizycznego świata, maluje słowianin dla ucha uczucia zewnętrzne i świat umysłowy. Trwoga, zbrodnia, zgroza, srogość, rozpacz, śmierć, morderstwo itp. równie mają pewną odrazę dla uczucia naszego; przeciwnie jak przyjemne są w samém wymawianiu wyrazy nadzieja, pociecha, lubość, spokojność, cichość itp.

Dobrzy pisarze roztropnie używają téj własności języka, inni uczynić go mogą barbarzyńskim, albo niewieścim. Większa jest obawa o drugie niż o pierwsze. *

* Autor w tém miejscu kładnie w przypisku za przykład wyjątek z tragedyi Jurkowskiego pod tytułem: Polski Scillurus. Cała

Jak ostre klima łagodzi się przez kulturę, jako z nią razem umysł surowy nabiera delikatniejszych uczuć, tak równie język, chociaż twardy z natury, w miarę rozwijania się kultury dąży zawsze do łagodności. W tém jednak dążeniu trzeba go nakoniec miarkować i starać się aby nie na saméj miękkości piękność wyrażenia zasadzał.

Polski język, dążąc do podobnego udoskonalenia, ma do tego środki:

1. Zmiękczanie, lub stwardzanie spółgłosek.
2. Dodawanie lub wypuszczanie tychże spółgłosek, lub samogłosek.
3. Zmiany wszelkich głosek podług potrzeby na inne.
4. Wyrzucanie lub dodawanie do wyrazu całych syllab na początku, lub na końcu onego.
5. Inwersye wolniejsze w języku polskim niż w innych żyjących europejskich; i te dla harmonii mowy są najważniejsze.

Z tych środków niektóre już się zupełnie ustaliły; niektóre zostawione być muszą uchu każdego, jako prawidłami, ani jednostajnym zwyczajem nieuświęcone. Ostatnie, mało do grammatyki, a tém mniéj do ortografii należą.

Prócz twardych zgłosek, które są spólne innym językom, stwardzamy jeszcze spółgłoski *c*, *l*, *s*, *z*. Jednakże prócz słabych, czyli miękkich, daleko więcéj liczymy zmiękczonych, jakiemi i włoski język pochlubić się nie może; to samo *c*, *s*, *z*, zmienione na przyciskowe CZarny, oSZczerca, Żniwo zmiękczamy na CIemny, SIano, ZIele. Prócz tego wszystkie inne spółgłoski podlegają zmiękczeniu tak dalece, że częściéj miękko, niż twardo są używane: BieLić, DZieLić, Kiedy, Miasto, kaMieŃ, Pióro, Wiara.

Spoczywanie i dzielenie syllab odbywa się powszechnie na samogłosce; największa także liczba wyrazów i zakończeń

a rozmowa między sługami po śmierci pana pijącemi, znajduje się w tomie VIII. stronnica 56. o miękości i twardości języka polskiego .P. W.

cechowych przypada na samogłoskę albo na spółgłoskę zmiękczoną. Dodawszy do tego środki wspomniane wyżéj, to jest wyrzucanie lub zamianę twardych; przybieranie miękkich głosek; nakoniec, przy ustaleniu brzmień pojedyńczych, obszerna wolność używania inwersyj; przyznać należy, iż język polski zdolny jest do ułagodzenia takiego, jakie oznacza najmiększe języki. Jednakże południowe narody, które męzkiéj mocy języka polskiego pojąć nie mogą, i w uszach naszych są dziećmi, gdy go wymawiać usiłują, nie są równie zdolne czuć delikatnych jego piękności; przestając na postrzeżeniu, że wszystkie północne języki skłonne są do spółgłosek, wszystkie zarówno twardemi uznają.

Rozważając atoli bliżéj budowę języka polskiego, przyznać należy iż pod względem skupiania spółgłosek i stosownego przedzielania ich samogłoskami, łagodniejszym jest od języka niemieckiego, mimo, że tenże od wieków przez Minnesängerów i teraz przez grammatyków i poetow tyle jest wykształcony. Prawda, iż trudno jest o własnym języku bezstronnie sądzić; jednakże następujące postrzeżenia może w części moje zdanie usprawiedliwią. Polacy mają więcéj brzmień syczących, Niemcy istotnie twardych, n. p. zima, wiosna, lato, jesień; Winter, Frühjar, Somer, Herbst.* Niemiec mówiąc po polsku stwardza zawsze miękkie *b*, *d*, *w*, *p*, *t*, *f*; nie jest w stanie wymówić głosek zmiękczonych *ń*, *ś*, *ć*. Polacy łagodzą najwięcéj brzmienia przez dodawanie zakończeń grammatycznych; Niemcy je przeciwnie stwardzają: ich sterbe, du stirbst, er stirbt, umiéram, umiérasz, umiéra; — ich stehe, du stehest, er steht; stoję, stoisz, stoi; — grzésznik, grzéśnika; der Sünder, des Sünders, — ich merke, du merkst; — miarkuję, miarkujesz. Wyrzucanie samogłosek służy u nas

* Wiem, że kilka wyrazów, rzeczy nie udowodnią, że Niemiec mógłby równie miękko niektóre polskie wyrazy tłumaczyć: lecz znający obadwa języki, musi być o téj prawdzie przekonanym. Od czasów najdawniejszych język niemiecki wydawał się Polakom, równie jak południowym ludom, twardym i nie miłym. Mówią zatém przysłowia, np. że Adam po upadku w raju, po niemiecku był łajany.

powszechnie mocnemu i gładkiemu wysłowieniu, gdy u Niemców ustępuje tylko dla umniejszenia syllab, co styl najczęściéj stwardza, np. dacht ich doch, schneid'st die Zeichen. Polacy skupiając spółgłoski, miękczą je razem albo stwardzają, przez co w jedno brzmienie spływają, gdy mnożą postacie dla oka, ujmują brzmień dla ucha. Nie znajdzie w polskim języku brzmień równie twardych, jak n. p. vorwärts, graenzt, Kopfschmerz, ernst, jetzt strebt der Ritter, eilends sprang er itd. Są to brzmienia, z których każde oddzielnie wymówione być musi, gdy w polskim najtwardsze n. p. chrząszcz, ośm postaci spółgłoskowych zawierające, ma istotnie brzmień cztéry. — U Niemców prócz *e*, które się dodaje, lub zmienia, nie kończą się prawie nigdy wyrazy na samogłoskę; gdy w polskim języku twardy zbieg spółgłosek na nie przyjemnie spływa, i to nie tylko w słowach, ale i w szczególnych syllabach. Prawda, iż wyrazy tylko na samogłoski spływające, nawet i do śpiewu mniéj są dobre, dla tego słusznie niektórzy przyznają pod tym względem pierwszeństwo językowi hiszpańskiemu nad włoskim, lecz język polski stoi tu w środku między ostatecznościami Niemców i Włochów. Gdy śpiewacy wrócą do tego, że piękność, nie na zwyciężaniu trudności w skokach nadnaturalnych i szybkości zależeć będzie, ale na zastosowaniu śpiewu do natury wyrazów; wtenczas poznamy, ile i spółgłoski pod względem muzycznym są ważne. Częste u Niemców dyftongi, mimo swojéj rozmaitości, nie nadają przyjemnego brzmienia wymowie, czynią spółgłoski wydatniejszemi; gdy przeciwnie w polskim języku, otwarte wymawianie samogłosek, spoczywanie tonu na tychże, nadaje im w mówieniu równą wartość ze spółgłoskami. Z tego powodu język polski, lubo nie mający oznaczonego trwania samogłosek, jest w wymawianiu rozciąglejszy od innych żyjących. Równa liczba wierszy, da się prędzéj odczytać głośno w języku francuzkim niż w polskim, co pewnie z pełniejszego wymawiania samogłosek pochodzi, i co dało powód do ich częstszego wyrzucania, niż w innych dyalektach słowiańskich; i dla tego w mowach uroczystych, w recytatywach, brzmi poważnie i pięknie. Samogłoski, chociaż zwykle spółgłoskom uległe, ten mają przywilej, że najczęściéj zakończają syllabę, i że na takie tylko przypada akcent oratoryczny, że zawsze pełno i otwarto są wymawiane: nie-szczę-śli-wy, un-glück-lich, nie-zró wna-ny, un-er-reich-bar. Gdy zaś syllab nie zakończają i spływać muszą na spółgłoski po nich następujące, wtenczas albo nie mają akcentu oratorycznego, lub jeżeli go mają, muszą mieć brzmienie ściśnione: podział, stanął, całość, otworzyć, otwór, moje, mojém, lubo ta reguła nie jest bez wyjątków. Polak pewny najczęściéj spoczynku na samogłosce, lubi spółgłoski skupiać, szczególniéj na początku wyrazów; lub dodaje przyimki: w-s-pomnieć; lub wyrzuca samogłoski u innych Słowian zachowywane: (czołowik), gród (horod), co nadaje moc wysłowieniu, a twardość łagodzi. Ztąd bardzo rzadko zaczyna wyrazy od samogłosek. *I*, tudzież *u*, są tylko powszechniejsze, z przyczyn, o których niżéj się powie. Nie ma na *e* żadnego zaczęcia wyrazu, ta bowiem samogłoska, jest tylko potrącaną sługą spółgłosek, nie ma z siebie żadnego charakteru, najmniéj zdolna wydać ton mocny bez spółgłoski; jest tylko niezbędnym środkiem do wymówienia syllaby, jako najłatwiejsze przejście od jednéj spółgłoski do drugiéj. Ztąd Czechowie tę samogłoskę w pismie wyrzucać zwykli: prstn, smrt. Na *a* ma tylko kilka wyrazow: ani, albo, ale, które rzadko na początku okresu stać mogą, a zatém mniéj wymagają dobitnego brzmienia. *O* jest tylko przyimkiem i mieści się jedynie w słowach z tego przyimka złożonych, parę może wyrazów wyjąwszy, jak ojciec, orać, osika, i te wyrazy w innych dyalektach słowiańskich zwykle *w* poprzedza. Tém bardziéj nie zaczyna się żadne słowo polskie od samogłosek ściśnionych *ó*, *é*, (a nawet u gminu od *á*), tudzież od *y*, ani od *ą* i *ę*, które tak przez spółgłoski poprzednie urobione bez nich nic znaczyć nie mogą.

Ten język zawsze zdolniejszym jest do śpiewu płynnego i energicznego, w którym raczéj mocne spółgłoski na samogłoski spływają, niżeli ten, w którym syllaby i słowa, zbiegiem spółgłosek są zakończane. Pierwsze bowiem nadaje moc tonowi i trwanie onego czyni w śpiewie nieograniczoném, zo-

stawia wolne pole uczuciu i smakowi; drugie nagle go ogranicza. Pierwsze jest własnością polskiego języka, które główną część jego śpiewności stanowi; każdy przyzna, że wyrazy twardy, serce, środki, stary, śpiewniejsze są, niżeli mniéj twardo się zaczynające niemieckie hart, Herz, Mittel, alt. Ztąd téż najwięcéj pochodzi, skłonność języka polskiego do miary — ⏑; innych przeciwnie języków żyjących do ⏑ —; tak dalece, że język polski nie ma żadnego wyrazu jamb stanowiącego.

Jak Polacy ton samogłosek na końcu zniżają, tak miękczą najpospoliciéj w tém miejscu spółgłoski przez formacye grammatyczne; a gdzie tego czynić nie mogą, tam twardą od twardéj przedzielają przez *e* podręczne. Tym sposobem przez zakończenia grammatyczne pozbywają się wyrazów jednosyllabnych: most, moście, mostu: czas, czasie: matką, matek. A jeżeli niektóre przypadki formują się przez odcięcie samogłoski, i spółgłoskę twardą na końcu zostawują, jak łaska, łask, miara, miar, to językowi żadnéj nie dodaje twardości, gdy słowa jednosyllabne, nigdy się na końcu wyrazów nie mieszczą, a w środku konstrukcyi umieszczone, spływać mogą na samogłoski lub na miękkie spółgłoski wyrazu następującego.

Zakończenia grammatyczne w języku polskim, są oraz najpierwszém bogactwem do jego ułagodnienia, i do urozmaicecenia samogłosek, np. ze słowa źródłowego zarzuconego mił, formują się spadki na wszystkie samogłoski: mili, miły, miłe, mile, miła, miło, miłemu, miłę, miłą, tudzież na spółgłoski miękkie: miłéj, miłych, miłym; też same spadki obejmują imiesłowy ztąd pochodzące miłujący, miłosierny, miłościwy, miłowany; podobnież zakończają się czasowniki: miłuje, miłuję, miłujcie, miłujmy, miłuj, miłować; toż samo rzeczowniki z różném zakończeniem cechownem wzgląd oznaczającém: miłość, miłowanie, miłosierdzie, umilenie, które znowu w dalszych przypadkach przybierają wszelkie samogłoski i miękkie spółgłoski. Przełóżmy te spadki na język niemiecki, a zobaczymy jaka ztąd łagodność i rozmaitość tonów wyniknie.

Jednakże mimo tych własności, czujemy potrzebę, by język polski jeszcze złagodzić i dążymy do tego. Wiele przyczyn wpływało na to, że w miarę o ile mu natura i zdolność pozwala, jeszcze na pożądanym stopniu nie stanął.

Nie mieli Polacy w średnich wiekach poetów śpiewających, którym nowe języki tyle ogładzenia są winne, którym i starożytne winne są swoję dźwięczność i śpiewność. Ich język kształcił się tylko w obozach, i na sejmach przez rozkazy i spory, nie przez łagodne uczucia, nigdy przynajmniéj stan wyższy nie godził brzmień jego z tonami lutni. Szlachta polska była stanem w narodzie najmniéj muzykalnym. Śpiewacy i muzycy włoscy, pochlebiali zbytkowi i okazałości panów, lecz na śpiewność języka polskiego najmniejszego nie mieli wpływu, chyba ten, iż Polacy tak późno się ośmielili własnego języka do śpiewu wyższego użyć, i że ten, przymuszony giąć się pod ich muzykę, wcale jeszcze dźwięku własnego rozwinąć nie mógł.

Opera polska, czyli śpiewy wyższe, rozwijać się dopiero poczęły wtenczas, gdy już włoscy kompozytorowie w obawie, aby przez Mozartów i Glucków zrównani albo przewyższeni nie byli, zaczęli się oddalać od śpiewu zastosowanego do deklamacyi i uczuć, a sztukę zasadzali na trudnościach, na brawurach, które ich język tylko przezwyciężyć był w stanie. Tym, można powiedzieć podstępnym sposobem, utrzymawszy się jak dotąd, przy pierwszeństwie, zrządzili szkody i dla saméj sztuki i dla innych języków. Mniéj bowiem myślący artyści, naśladują w tém Włochów, bez względu, czy na tém prawdziwa sztuka zależy, a bardziéj jeszcze bez względu, czy temu ich język ojczysty podoła. Ztąd i w publiczności pogarda dla języka, do takiéj włoskiéj muzyki niestosownego; ztąd stało się przywilejem wszystkich polskich śpiewaków, wypuszczać prawie zupełnie spółgłoski w śpiewie tak, że nie śpiewają, lecz tylko nieartykulowany głos powszechnie wydają. Tym sposobem język w śpiewie nic nie znaczący, udoskonalić się nie zdołał; i śpiewacy nasi w operach dowodzą tylko głosu i znajomości metody, ale nie sztuki śpiewu, kóry nie tylko

ucho głaskać, ale i do pojęcia i do wyobraźni mówić powinien.

Jak mowa wiązana, tak proza cierpiała pod przemożnym wpływem obcych języków. Łaciński nie dozwolił jéj w samych zawiązkach rozwinąć się według słowiańszczyzny, francuzki ogładzić się w posiedzeniach wyższego społeczeństwa.

Oprócz Zygmunta i Stanisława, Augustów, żaden monarcha językowi polskiemu nie sprzyjał; ci nawet mało mieli środków, i mało, zwłaszcza pierwszy, dla niego uczynili. I pisarze ówcześni, oprócz dwóch lub trzech poetów dawnych, dwóch lub trzech mówców kościelnych, nie wiele go ogładzili. Kilku tylko uczonych naliczyć możemy istotnie o język troskliwych, a ci wszyscy narzekają na obojętność narodu w téj mierze, i ci wszyscy nie tylko na grammatykę, ale i na porządną ortografią nie byli w stanie się złożyć, jak to Bohusz uważa.

Ci kilku postrzegali delikatne odcienia brzmień w różnych prowincyach, i chcieli wszystkie przepisy objąć, głoskami i znamionami oznaczyć, niebacząc, że brzmienia nie mogą wszystkie dla oka być malowane, i że nie wszystkie te ich odcienia są potrzebne i piękne. W narodzie prawie bez stolicy, którego wyższa klassa po odległych włościach żyła rozproszoną, którego dwór rzadko był szkołą narodowości i języka, nie mogli grammatycy brać sobie za wzór dobrego wysłowienia oświeconych społeczeństw, gdyż te wcale języka nie kształciły jak w innych narodach. Nie dziw więc, że ogładzenie języka polskiego, do jakiego jest zdolny, nie mogło tak prędko nastąpić.

Łatwo było miękczyć i ogładzać słowa w innych językach, które po większéj części grammatycznym zakończeniom nie podlegają; w polskim trzeba je różnie przekształcać, i słowo najdźwięczniejsze w jednym przypadku, stwardzać w drugim dla zbiegu spółgłosek. Tę niedogodność pomnażają jeszcze litery łacińskie brzmieniom polskim nie wystarczające, które jeżeli nie dla ucha, to dla oka twardość pomnażają. Gdy Niemiec często nie kładzie brzmienia, które wymawia: S p r a c h e, s t a n d; gdy Rosyanin dwa nawet brzmienia jedną literą pisze: *szcz*; my przeciwnie, blizko połowę brzmień dwoma literami oznaczamy, ztąd i pismo nasze ma dla cudzoziemców odrażającą fizyonomią, dla któréj sam język niesłusznie jest posądzany.

Czyli ogładzenie języka wiele od dobréj ortografii zawisło, czyli ona więcéj do zwyczaju, czy zwyczaj do niéj zastosować się winien: jest to zagadnienie trudne do rozwiązania. Ortografia może się trzymać długo zastarzałego zwyczaju, zwyczaj może się zmieniać na szkodę języka, i tym sposobem mogą z sobą być w sporze, i nieprzyjaznie wpływać na siebie. Lecz oboje mogą działać dla języka korzystnie z właściwych swoich stanowisk, jeżeli im przewodniczyć będzie smak dobry, który we wszystkiém żąda pewnéj miary. Wymawianie dąży do pozbywania się dawnych błędów i nieogładzenia; ortografia wzajem, nie dopuszcza błędów nowych, chroni od nałogów prowincyi i indywiduów, i dąży do ideału należytego wymawiania. Jak wymowa tak i ortografia nieukształconego jeszcze języka jest zawsze nie pewną, jedna dla ucha, druga dla oka nie przyjemną. Ludzie mający smak i czucie, doskonalą pierwszą; umiejący się zastanawiać ulepszają drugą; a lubo w tém zwyczajowi ulegać muszą, oznaczają przecież granice, aby zwyczaj, albo się od udoskonalenia nie cofał, lub nie przechodził kresu, założonego nie tylko pięknemu, ale i właściwemu wysłowieniu. Bardzo źle czyniłaby ortografia, gdyby zwyczajowi zupełnie ulegać miała. Byłoby to jedno, co wystawiać uczniowi malarstwa zwierciadło zamiast ideału do naśladowania. Jak do prawodawstwa śledzenie obyczajów, tak do niéj należy badanie zwyczaju, i stosowanie do niego swoich przepisów, dozwalających albo broniących. Ona powinna upatrywać w zwyczaju dążenie języka od natury mu wskazane, w tém go popierać, bronić od nałogów, nadużycia i mody. Popierając go, nie może nagle nowości jego przejmować; a stając przy dawném, nie powinna zostawiać go na drodze sobie przeciwnéj, aby pismo nie stało się rzeczą, zupełnie od wymowy oddzielną. Muszą więc, ortografia i zwyczaj wzajem się znosić, wzajem sobie coś ustępować, ażeby na siebie zbawiennie wpływały. Wymowa powinna uznawać w ortografii swój ideał, w gło-

wnych tylko zarysach wskazany; ortografia zaś powinna odpowiadać zwyczajowi, ile uzna za słuszne i malować wymowę o ile może, przez postacie liter. Nigdy bowiem nie należy sądzić, ażeby pismo mogło być zupełném mowy wyobrażeniem; wtenczas nie byłoby nawet ortografii, lecz tylko dowolne naśladowanie mowy przez pismo; naśladowanie niedokładne, bo w żadnym języku postacie liter brzmień wszystkich nie objęły, a tém bardziéj w językach, które tych postaci od innych nabyły.

Mowa i pismo, można powiedzieć, są dwie oddzielne sztuki, chociaż ściśle z sobą spowinowacone. Mówimy i piszemy, aby naz rozumiano, lecz mówimy dla ucha, piszemy dla oka. — W mówieniu niknie to, co jest malowane tylko dla oka; w pisaniu nie można pomieścić tego, co dla ucha głos tylko wyrazić może. Pismo samo ma przywiléj zachowania zgłosek w wymawianiu opuszczanych, ale których zatracać nie należy, bądź dla etymologii, bądź dla oznaczenia cech grammatycznych. Wzajem mowa przechowuje w tonowaniu wyrazów indywidualność języka, których żadne litery, ani ich znamiona objąć nie potrafią, a na których często największa część piękności języka polega. Pismo nadaje językowi główne rysy, mowa koloryt i cienie. Jak żaden malarz nie użyje wypukłości do odmalowania jakowéj postaci, tak żaden rzeźbiarz nie zechce pociągać kolorami posągu; bo obadwa mają swoje osobne powołanie i granice, chociaż jeden cel główny. Słuchając, więcéj czujemy, czytając, więcéj rozumujemy; brzmienie więc do czucia mówiące, w zimnéj figurze zamknąć się nie da. Dla tego pismo i mowa mogą być wzajem siebie dopełnieniem, ale nigdy nie zdołają być rzeczą jedną i tą samą. Znający dobrze grammatykę obcego języka, nie będzie łamał konstrukcyi, ale dobrze wymawiać tylko się przez słuchanie nauczy.

U starożytnych, gdzie wymowa i poezya nie były tylko do czytania przeznaczone, ale gdzie obiedwie deklamowano, nakształt może dzisiejszych recitatiwów, języki miały daleko więcéj śpiewności; w dzisiejszych czasach, gdy więcéj piszemy i czytamy, mają mniéj wdzięków dla ucha, lecz więcéj jasności dla pojęcia. Ortografia przyczynia się wiele do jego jasności,

chociaż dla ucha nie może go zupełnie malować. Dla doprowadzenia języka do gładkości z poprawnością grammatyczną połączonéj, pragnąć nam trzeba grammatyków ostrożnych w zaprowadzaniu prędkiém nowości, cierpliwych w znoszeniu powszechniejszych zwyczajów, nie upornych jedynie za tém, co ich systematom dogadza, a najwięcéj grammatyków, którzyby równie o języku rozumować, jak czuć go umieli, dla których wdzięki poezyi i muzyki nie są obcemi.

Piękny w teoryi przepis: „pisz jak mówisz, nie mniéj, nie więcéj, nie inaczéj,“ jest, jak tyle maxym moralnych, tylko ideałem, do którego dążyć należy, ale który osięgnąć się nie da. Polacy, chlubiący się niesłusznie zachowywaniem tego przepisu, więcéj może na nim stracili, niżeli zyskali. Ten bowiem przepis tam tylko wskazywanym być może, gdzie język grammatycznie jest ustalony, gdzie do języka piśmiennego nie mogą już wpływać nałogi i uwidzenia szczególnych osób i dyalekty prowincyi. Jeżeli z pisma żadnego narodu nie można powziąść wyobrażenia jak je wymawia, tém mniéj z pisma, którego język nie był jeszcze grammatycznie ustalony. Są jednakże w dawnéj ortografii ślady, są napomknienia niektórych pisarzów, z których pewnym być można w ogólności, że wymawianie dawnych Polaków wcale (przynajmniéj według naszego ucha), nie mogło być piękne, a ślady tego są w akcentach nad samogłoskami i w stwardzaniu albo przyciskaniu spółgłosek. Nie podobna, aby tak wymawiano jak teraz, wyrazy tak dawniéj pisane: P y r z w y P s a l m, m ą s z m y l o s z c z y w y, n a s z t o y l c z u s z y e d z y a ł, m y ś l i c z, o w o c z, c z o k o ł y u c z y n y z d a r z y s z y ę, p r z e t o s z w s ą d z i e w r a d z e p r a w y c h, z w o l ę n i k, m ą m r ę n k a, d z i e ń i t. d. Brzmienia podobne słyszymy dziś jeszcze pomiędzy gminem, a mianowicie sadzenie spółgłosek syczących w małych miasteczkach.

W ogólności nieprzyjemność brzmienia w polskim języku polega 1ód, na sadzeniu spółgłosek syczących, które najczęściéj się zbiegają; 2re, na częstém pochylaniu samogłosek do tonu niższego, czyli na tak zwanych samogłoskach ściśnionych. Obiedwie te niedogodności są jego własnością, których prze-

cież smak wzrastający ile możności umniejszał. Głoski syczące *c*, *ć*, *cz*, *dz*, *dź*, *dż*, *rz*, *s*, *ś*, *sz*, *z*, *ź*, *ż*, tak często przypadają, z sobą się łączą, zakończenia cechowe stanowią, z innych głosek się urabiają, (młot młócić, mógł może itd.), że językowi naszemu można przyznać przymiot języka syczącego. — Zaniedbanie zaś samogłosek, a stąd może częste onych pochylanie, nadało mu wiele tonów nizkich i uczyniło go mniéj śpiewnym, niż do tego jest zdolnym.

Mroziński pierwszy zwrócił uwagę na system spółgłoskowy w języku polskim, przez co dopiero grammatyka stanęła na pewnéj drodze. Postrzeżenia jego i pod względem harmonii języka bardzo są ważne. Zaniedbanie samogłosek zupełnie spółgłoskom poświęconych, przyczyniło się do zbiegu wielu spółgłosek, nadało początek samogłoskom ściśnionym, zatraciło prozodyą, jeżeli jaką ze słowiańszczyzny Polacy odziedziczyli. Późniejsi Polacy zastawszy system spółgłoskowy już ustalony, nie mogli nie zwrócić uwagi na samogłoski, na których śpiewność języka, a nawet gładkie onego brzmienie, znacznie polega. Usiłowania względem prozodyi były i będą daremne; atoli badania pod względem pełnego lub ściśnionego wymawiania samogłosek, ich wyrzucania lub dodawania, nie mogą już dzisiaj być obojętnemi. Brzmienia przez spółgłoski ustalone, przez samogłoski być upięknione powinny. Samogłoski w towarzystwie głosek są tém, czém kobiety w towarzystwie ludzkiém. One wyobrażają uczucia i są węzłem harmonią stanowiącym. Bez nich spółgłoski są niczém, i gdzie, jak u dawnych Polaków, nie mają praw żadnych, gdzie się przed spółgłoskami wschodnim zwyczajem niewolniczo pochylać muszą, tam i spółgłoski są dzikie i twarde. Powinny więc samogłoski, obok uległości spółgłoskom mocniejszym, mieć swoje pewne prawa i poszanowanie.

We względzie ortografii samogłoski ważne są tylko z powodu znamion. Lubo rzecz o tychże już przez członków deputacyi dostatecznie jest rozebrana, niech mi wolno będzie przełożyć niektóre postrzeżenia i zwrócić uwagę na szczegóły, jeszcze pod względem harmonii na uwagę zasługujące.

Ktokolwiek rzuci okiem na pismo Słowian, dostrzeże, iż język ich najskłonniejszym jest do samogłosek *i* tudzież *u*; ktokolwiek zaś zastanowi się nad historyą polskiéj pisowni, przekona się, iż Polacy starali się gdzie mogli obudwu tych brzmień unikać. Pozna razem, iż jak u innych Słowian, tak i u nas Polaków samogłoski *a*, *e*, *o*, były obojętne. Zobaczmy tego przyczynę.

Natura samogłosek najlepiéj daje się poznać w odgłosie samych uczuć, to jest w wykrzyknikach, które powszechniéj wymawiamy łącznie z głoską *h*, przed albo po nich położoną. Te samogłoski różnią się tylko przez ton wyższy lub niższy, dla tego pod tym względem kładą je grammmatycy w porządku *u*, *o*, *a*, *e*, *i*, bo wtenczas stanowią naturalną skalę ludzkiego głosu w mówieniu, od najniższego do najwyższego tonu. *U*, *hu!* ma ton najgłębszy, wyraża przeto uczucia najwięcéj głos tłumiące. Nagle n. p. przerażenie odejmuje siłę, przy czém krew zatrzymuje się, ustępuje z części zewnętrznych, czujemy jakby dreszcz zimny, a to zwykle głos zniża; tak jak przejęci zimnem, zwykle ten odgłos oddajemy: *t-h-u*.

I, tudzież wykrzyknik *hi!* jest tonem najwyższym, właściwym przeto uczuciom, które najwięcéj głos wznoszą. Jestto odgłos śmiejącéj się wesołości, bo ta ożywia siły, a zatém i narzędzia głosu, jednakże bez téj mocy i gwałtowności jak inne uczucia, dla tego tym tonem śmieją się zwykle dzieci, a nawet kobiety, gdyż ich głos z natury jest wyższym; dla tego, prócz wesołości i śmiechu, należy ta głoska do innych uczuć temu wiekowi i téj płci najwłaściwszych. Tak *i* albo *hi* wydajemy będąc zniecierpliwieni, unudzeni; w uczuciu lekkiéj zmysłowéj przyjemności, drażniąc kogo itp.

Te odgłosy wydaje człowiek nie wiedząc o tém, z wewnętrznego popędu; zdaje się słyszeć je w odpowiedniéj zewnętrznéj naturze, lub jéj sam onych udziela.

Ptaki nocne, zwierzęta, ponure ciało ciężkie w głębię spadające, ogień, woda, wiatr z dala w utłumieniu słyszany, ton *u* wydają.

Przeciwnie do tonu *i* skłaniają się wszystkie drobne stworzenia, wszystko co ma głos ściśniony lub wzniesiony, ciała

w górę lecące i t. p. Małe ptaszki i zwierzęta śpiewają, skwierczą, piszczą, świszczą, wiatr świszczy w cienkie krzewy, szumi w dęby (duby). Strona najcieńsza, instrument krzykliwy, dzwonek mały, ten odgłos wydawać się zdają, tak jak tonem *u* brzmią struny grube, duże dzwony. Ztąd naśladowcze najprzód wyrazy: tłum, huk, rum, szum, mruk, sztuk, puk; świst, pisk, kwik, sik, cisk, smyk, krzyk, ryk, z których mnóstwo wyrazów pochodnych: śmigać, ciskać, chichotać, ściskać, tryskać; rzucać, tłumić, dusić, szumieć, głuszyć i t. p.

Lubo podobne naśladowcze wyrazy w mowie ukształconéj powszechnie giną, lub się zmieniają, jednakże polski język zachował ich jeszcze wiele w słowach od nich pochodzących i cechach grammatycznych, i tych stale się trzyma. Krótkie tego przykłady, może tu będą na swojém miejscu.

I miękkie, lub twarde *y* mieści się zwykle we wszystkich wyrazach oznaczających wynoszenie z nizkości do góry, działanie z wewnętrza na zewnątrz; *u* oznacza rzeczy w treść ułożyć, skupić, ująć, uzupełnić. W wyrazach oznaczających działanie wewnątrz nas, panuje *u*, oznaczających zaś działanie zewnątrz nas, panuje *i:*

Imam, tklIwość, chcIwość, mIłość. sIła.

Umiem, czUcie, chUć, lUbość, moc (słowiańskie mUc.)

Mówimy dychać, dyszeć, dychanie, jako działanie powietrza z wewnętrza; dusić, duszność, zaduch jako działanie powietrza z zewnętrza wewnątrz nas. Z tego względu przyczynę tego fizycznego działania w człowieku będącą, nazwano dechem, duchem, duszą; duchem i duszą, nazwano moralną władzę w człowieku, tudzież wyobrażenie o władzy moralnéj w człowieku. Tak te dwie samogłoski są w naszym języku źródłem wszelkich wyrazów wprost do duszy, istoty myślącéj należących, te chyba wyjąwszy, które przez przenośnie oznaczamy, tak dalece, że od wyrazów: ja, ją́ć, imać, um, tysiące pochodzi wyrazów oznaczających oderwane pojęcia. Postrzeżenie powyższe jasno jeszcze popierają przedimki wy (słowiańskie iz), tudzież *u:* wykrzyk, wydymać, wybuch, wytwór, wyskok, wykład, wykryć itp. uchwycić, ułożyć, ująć, umieć, ukryć itp., łączą się one z sobą jak przyczyna ze skutkiem, jak wewnętrze z zewnętrznością, początek z końcem: wyjść, ujść, imać, umieć, wyskoczyć, upaść, wylać, wlać, wyraz, uraza. Dwie te samogłoski tę mają jeszcze własność, że wtenczas, gdy są źródłowemi zmieniają się jedna na drugą: imać. umieć, ale nigdy na samogłoski pośrednie *a*, *o*, *e*; powtóre, że obiedwie są przejściem do spółgłosek; i tak *i*, spólne jest najsłabszéj spółgłosce *j*, *u* spólne spółgłosce *w*. Obie nie zakończają nigdy rzeczowników, lecz za to do odmian grammatycznych w dawnym i nowych słowiańskich dyalektach, najwięcéj są używane, co także dowodzi, że wyłącznie do abstrakcyjnych pojęć należą. One nakoniec stanowią najliczniéj używane przyimki *iz*, *u*, *wy*, z wyrazami spojone. Tym sposobom rzeczone samogłoski, najpowszechniéj towarzyszą na początku i na końcu wyrazom, tak są czynne między samogłoskami, jak *z* pośród spółgłosek. Stanowiąc najwyższy i najniższy ton głosu, one same i pochodzące z nich wyrazy oderwane, zdają się mieć swe źródło w czuciu ludu silnego i blizkiego natury, należą jedynie do dUszy i mYśli, i człowiek przeto myśli że czuje.

Tych tonów, jako najwyższego i najniższego, które zatém pięknemu wysłowieniu sprzyjać nie mogą, unikają ile możności wszystkie wykształcone języki, w których także są liczne, lubo nie tak jak w językach słowiańskich; albo je zastępują przez różne pośrednie tony, albo zmieniają zupełnie na inne samogłoski, albo przynajmniéj wymawiają je krótko, nie kładą na nie akcentu, i chronią się przeciągać je w śpiewie.

Polacy, którzy język swój przynajmniéj piśmiennie, najwięcéj ze sławiańskich narodów obrobili, starali się tam, gdzie *i* lub *u* nie było wyraźnie źródłowém, zastępować je albo łagodzić przez inne samogłoski: mira, miara, wira, wiara; najpowszechniéj jednak zastępowali pierwsze przez *e* otwarte lub ściśnione, drugie przez *ą* lub *ę*, rzadziéj daleko, przez *o* ściśnione: dąb dub, ręka ruka, moc muc, ruku

muku, rękę mękę, daju moju, daję twoję, wirch, wierzch.

Samogłoski *a*, *e*, *o*, mniéj ważne dla grammatyki, obojętne dla etymologii, tém więcéj znaczą w harmonii języka. Są to głoski, na których ton mowy chętnie spoczywa, które przedłużać lubi, które przeto w śpiewnych językach panują. Pomijam zbyt subtelne, a raczéj naciągane tłumaczenia tych tonów i wykrzykników, nadmieniając to tylko, co do naszéj rzeczy należy.

Trzy te samogłoski zmieniają się zwykle pomiędzy sobą: wianie, wietrzy, wionie, mieść, zamiatać, miotła, kłaść, leże, łoże, las leśny, przód przedni, itd. Obojętność tych tonów dla znaczenia wyrazów, dozwoliła tworzyć z nich półtony, czyli tony pośrednie, samogłoski znamionowane, do których należą jeszcze samogłoski nosowe *ą*, *ę*. Niektóre z tych znamion stały się niepozbędną naturą języka polskiego, posłużyły do oznaczenia cech grammatycznych, i te właśnie nie były harmonii języka przeciwne.

Nim do tych samogłosek w szczególności przystąpię, niech mi wolno będzie poprzedzić je uwagami w ogólności, co do samogłosek znamionowanych.

Z najdawniejszych pism i druków polskich okazuje się, że Polacy skłonni byli wszystkie tony wyższe na niższe zamieniać. Najwyższe *i* na następujące po niém *e*; *a* na *o*, *o* na *u*; *u* jako najniższe, na samogłoski zbliżające się już, według Mrozińskiego, do spółgłosek *ą*, *ę*. W zniżeniu tych tonów, nie wiele zważano na wyraźne oznaczenie ich zmiany jeden na drugi, czego ślady widzimy w dawnych drukach przed wprowadzeniem znamion, a nawet dziś słyszymy w mowie ludu prostego. Ztąd utworzyć się mogły tony tak zwane pośrednie, późniéj w piśmie akcentem rozróżniane. Jedne z tych tonów zupełnie upadły, inne były zwyczajem niektórych tylko prowincyj, inne stały się już niewzruszoną własnością języka.

I tak, upadły brzmienia, do postrzeżenia których grammatycy i słownikarze mieli delikatność ucha, lecz nie mieli dosyć smaku, aby je uznać za niepotrzebne w piśmie, a nieprzyjemne w wymawianiu. Knapski np. wspomina o trzeciém

o zbliżoném do *ó*, ale brzmiącém przez nos w wyrazach słoń, słońce, słoma, śledziona, dzwonią. Inni oznaczali nadto *o* poprzedzone tonem *u*, którego ślady są jeszcze w Wielkiéjpolsce, np. otwuorzyć; a Górnicki, nieszczęśliwy w całém swém pismie o ortografii, radzi same *o* ściśnione pisać przez *uo*. Kładli inne znamiona np. od lewéj do prawéj, których brzmienia dziś już wcale nie wiemy. Dołączmyż do tego *a* ściśnione wielkopolskie, doiączmy *ą*, *ę*, pisane bardzo często przed *m*, *n*: rękna, kląntwa, a nie bez powodów sądzić możemy, że jak przez skłonność do głosek syczących, tak przez skłonność do samogłosek nizkich, i przez niedbałość w ich oznaczaniu, dawni Polacy nie mogli pięknie mówić; że może dziś słyszani Zamojski i Orzechowski, zdawaliby się nam pod względem wymawiania ludźmi nieokrzesanymi. Prawda, iż nie jesteśmy w stanie sądzić z pisma dawnego, jak je wymawiano, lecz możem się tego domyślać z napomknień grammatyków, n. p. z Górnickiego otwuorzyć; z rymów dziś już z sobą nierymujących, i z zabytków pomiędzy prostym ludem, odpowiednich często dawnéj ortotografii.

Jakkolwiek wielu i z gruntownych powodów przeciwko znamionowaniu samogłosek powstaje, powiedzieć jednakże można, iż one są epoką, w któréj język pod względem harmonii udoskonalać się zaczął. Za tém mniemaniem mówi szczególniéj to, że *a* i *e* otwarte, nie ściśnione znamionowano. *

* Kopczyński w zaczęciu słownika polskiego, którego tylko parę arkuszy w rękopiśmie zostawił, mówi pod literą *A*.

„Czy dawać znamię nad otwartém, czy nad ściśnioném *a*, spor ten dopiero za komisyi edukacyjnéj zakończony. W dawnéj książeczce Januszowskiego pod napisem Charakter nowy, czytamy, że Jan Kochanowski, radził pisać znamię nie nad otwartém, ale nad ściśnioném *a*, np. nasza wolá, a nie naszá wola: dając za prawdziwą przyczynę, że to tylko powinno się różnić w pisaniu, co się różni w wymawianiu. A ponieważ jedno *a*, zwyczajem wszystkich narodów, wymawiamy wysoko i otwarcie, piszemy je tedy, zwyczajem tychże narodów, otwarcie i bez znamienia. Drugie *a* wymawiamy po naszemu, to jest niżéj i ściśnione: dajmy mu tedy znamię dla okazania téjże różnicy. Widziano prawdę płynącą z natury języka naszego, ale nie

Ściśnione *á*, utworzyło się zapewne razem ze skłonności narodu do tonów nizkich i z niedbałego wymawiania samogłosek; a chociaż *é* i *ó* powstało bardzo naturalnie i koniecznie ze zbiegu spółgłosek, tak jak *i*, lub *y*, przecież i tu, mianowicie co do *e*, wiele się zły nałóg przyczynił. Gdy baczniejsi postrzegali, iż ta dążność daleko już posunięta, szpeci wymowę, że to zniżanie powszechniéj przy pewnym zbiegu spółgłosek ma miejsce, czuli potrzebę ratować samogłoski otwarte *e* i *a* przez znamiona ostrzegające, że te otwarto wymawiać należy. Inne woleli zostawić pochylonemi do niższych tonów, niż je na zupełnie niższe zamienić, czego i sama grammatyka wymagała. Według tego utworzyło się następstwo tonów i półtonów następujące, od najwyższego do najniższego:

śmiano poprawić pospolitego już zwyczaju, kreskowania otwartego *a*. Knapski nawet, wskrzesiciel pisowni czyli ortografii polskiéj, wiele potrzebnych odmian poczyniwszy, zostawił znamię nad *a* otwartém. Komisya dopiero edukacyjna, jako najwyższa języka i nauk wszystkich urzędniczka, idąc za radą Kochanowskiego, a bardziej jeszcze za logiką, przeniosła znamię górne z otwartego *a* na ściśnione, tak, jako z niższemi samogłoskami *e*, *o*, zrobiła, tworząc to powszechne, jednostajne prawidło: samogłoski polskie *e*, *o*, piszą się ze znamieniem u góry, kiedy są w wymawianiu ściśnione, np. sám ten król. Zły był dawniéj nałóg pisać kreskę nad *a* otwartém, gorszy teraz nie pisać nad żadném, a najgorszy nie wydawać nawet w wymawianiu téj różnice. Baczność na wymawianie prostego ludu, przywrócenie w druku rozróżniających znamion, wskrzesi i uwieczni w całym narodzie, polski prawdziwie zwyczaj mówienia i pisania".

Widzimy tu, że *e*, lub *é* zniżając ton *i*, już się daléj nie zniża, że przeciwnie *o*, *á*, *o*, *ó*, *u*, aż do *ą* i *ę* ciągle się zniżają, tak dalece, że *a* otwarte mogło być zniżoném nie tylko na ton *á*, *o*, *ó*, *u*, ale nawet na *ą*, nie wiele bowiem różnicy *a* ściśnionego m á m od m o m, m ó m, m u͡o m, m u m i m ą m, przy najmniéj w ustach ludu niepismiennego. Widzimy, że zamiana tonu najwyższego na niższe *e*, jest zupełnie eufoniczną, zamiany zaś na tony niższe od *a*, aż do ostatniéj, takiemi nie są; że przeciwnie kształcące się w harmonii języki, dążą od tonów nizkich do wyższych, a mianowicie do *a*, który ze wszystkich jest najpiękniejszy. Samogłoskę *e* nazywa Mroziński podręczną, właśnie dla tego, że jest eufoniczną, do wymawiania najłatwiejszą; dla tego we wszystkich językach dla harmonii zmieniana lub dodawana, w polskim języku nadto najpowszechniéj *i* zastępuje. Że jednak w wielu wyrazach przejście od *i* do *e* otwartego sprzeciwiało się nałogowi ucha, że nawet w niektórych wyrazach z powodu zbiegu spółgłosek, piękném i naturalném być nie mogło, a najwięcéj, że *e* otwarte, zły nałog na ściśnione, lub wcale na *i* mógł często zamieniać; uznano potrzebę *e* otwarte oznaczyć znamieniem, które przez swoją obojętność *e* i *i* dogodziło potrzebie. Podobny zapewne był powód znamionowania *a*, które się zniżało do tonu niższego *o*, lecz nie do piękniejszego, jakim jest *i*, *é*, w porównaniu z *a*, *á*. Ztąd postęp smaku, kazał wszelkie *a* otwarcie wymawiać, i w tém już się ustalił, dotąd zaś ciągle do tego się skłania, ażeby *i* na *é*, na *è* otwarte *e* zamieniał, gdzie tego panowanie właściwych spółgłosek, albo inne względy na harmonią nie zabraniają.

Znośniejszém było dla ucha *o* do *u* zniżone, dla tego że *o* same już nie jest tak pełném i otwartém jak *a*, i w że zbiegu niektórych spółgłosek brzmi daleko piękniéj i łagodniéj niżeli same *o*, ponieważ *o* otwarte, spływając na słabe spółgłoski, albo je stwardza, np. c z a s o f, k r ó l o f, albo przy zostawieniu spółgłoski miękkiéj same przeciągło wymawiane być musi, jak: p a n o o w, i dla tego mieli je niektórzy za długie, i kazali przeto pisać je niewłaściwie przez dwa *oo*. Francuzi sami

w wielu zdarzeniach *o* na *ou* zamienili; o b l i t u s, o u b l i é; o u r d i r, o r d i r i; itp. Ściślejsze coraz stosunki z obywatelami Litwy, którzy znamienia tego nie zachowując, wprowadzali lub twarde wymawianie głosek słabych, albo ton śpiewający, radziły potrzebę znamionowania ciągle *o* nie otwartego, ale ściśnioneggo, gdyż ta harmonia *o* ściśnione ratować kazała.

Z tych postrzeżeń te można wyprowadzić wnioski względem *a*, *e*, ściśnionych.

A, jako harmonii przeciwne upadło zupełnie, *ó* jako téjże pomocne, zatrzymało się dotąd; i prawdziwi Polacy nigdy się w znamionowaniu onego nie różnią; względem *é* są dotąd wątpliwości, to jednak pewna, że język dąży ciągle do tego, aby przemieniać *i* na *e* ściśnione, gdy takiego tylko zbieg spółgłosek dopuszcza, *é* zaś ściśnione, rad na otwarte zamienia.

Zdaniem mojém postępują w téj mierze z korzyścią dla harmonii, i ci grammatycy przeniknieni są duchem języka, którzy mu w tém tamy nie kładą. Sądzę nawet, że ortografia w niektórych względach, tą dążenie wspierać powinna, że jéj należy przynajmniéj dotąd zachodzące wątpliwości względem *i*, *y*, *é*, na korzyść harmonii rozstrzygać.

E, É, I, Y.

Te samogłoski pod względem eufonicznym ściśle z sobą są połączone, dla tego razem o nich wypada mi mówić. Nie czynię tu żadnéj różnicy między *i*, *y*. *Y*, jako samogłoska, jest już w naszym języku zupełnie ustalone gdy w służbie którą dotąd jako spółgłoska czyniło, przez *j* wyręczone zostało. Kto rzuci okiem nie tylko na księgi innych Słowian, lecz i na dawne polskie, przekona się, ile było dążeniem Polaków pozbywać się *i*, *y*, które w słówiańszczyznie jest najpospolitsze, a dla ucha nieprzyjemne. Serbowie i Dalmatowie najmiękciéj ze Słowian mówiący, za świadectwem Dobrowskiego, wszędzie gdzie my północni *y* wymawiamy, *e* przyjęli, np. w o d a, w o d y, u nich w o d e. Wyrzucano je, zmieniano na inne litery lub łagodzono. Dotąd jeszcze nie stanął język co do téj głoski na tak pewnéj granicy, jak z innemi samogłoskami.

1. Wyrzucone zostało *i* z większéj części wyrazów słowiańskich od niéj się zaczynających, a mianowicie z przedimka *iz* (*z*) I z w o l t i e, I z b a w i t i, (z b a w i ć); to samo z zakończeń, które znamiona miękczące zastąpiły: i z b a w i t I, (z b a w i ć) s p a t j, d a t I, m a t I. Takowe zakończenia i w dawnych polskich drukach postrzegać się dają. Budny pisze k a r z y m i ę, n a m a ż y m i ę i t. p.
2. Wyrzucano je z imiesłowów więcéj syllabnych na końcu wyrazu, według upodobania: p o ś l u b i o n, z a p o z w a n, r ó w i e n, m o c e n i t. d. to samo w czasownikach: c z u j e m, d a j e m, n i e s i e m itp. zamiast r ó w n y, d a j e m y i t. p.
3. Zmieniano je na inne samogłoski, np. dawniéj pisano z ł o m i ć, z ł a p i ć, m y ś l i ć, późniéj zaś z ł a m a ć z ł a p a ć, m y ś l e ć.
4. Zmieniano je na spółgłoskę *j*, aby się nie łączyło z drugą samogłoską n. p. p o j m u j ę, p r z y j ś c i e, u j d ę, r ę k o j m i a.
5. Najwięcéj jednak zmieniano *i* na samogłoskę *e* otwarte, albo łagodzono przez *e* ściśnione. W dawnych książkach polskich czytamy s z y r o k i, c z y r w o n y, c y l, c y r k i e w, r o z t y r k i, k r y s, k r y s a, w s t r z y m i ę ź l i w o ś ć, r o z s z y r z a ć, s z c z y r y, p i r w s z y i wiele podobnych, które późniéj na *e* lub *é* zamieniono, a które dotąd przez *i* wymawia ten sam lud, który *a* ściśnione zachował.
6. Samogłoska *i* na *j* zmieniona, przybiera *e* dla oznaczenia syllaby bądź z prawéj bądź z lewéj strony: s e j m od z-i m, p r z y j e m n y od p r z y i m n y, p o d e j m o w a ć, p o d e j ś c i e i t. d.
7. Często bardzo samogłoska *i* nie niknie zupełnie, lecz zamienia się tylko w brzmienie poprzednią samogłoskę łagodzące, sama zaś zastąpioną jest przez *e* najczęściéj znamionowane: z w i é r z, d o p i é r o, w i é r z c h, p i é r w s z y.
8. Gdzie dawniéj w zakończeniach cechowych pisano *ij*

lub *yy:* gorzyy, kompanij, dodano później *e* ściśnione, gorzéj, Turcyey, itp. rwij, drzyj, rwiéj, drzéj, lubo w tych ostatnich, prawie nie jest słyszane.

Z tych i podobnych przykładów, przekona się każdy. że dążeniem języka było: 1mo, pozbywać się samogłoski *i*, gdzie tego natura języka dozwalała; 2do, że do tego użyto prawie wyłącznie głoski *e* tak dalece, że w tém dążeniu łamano przepisy i saméj grammatyki i saméj harmonii języka.

W Postylli Reja czytam: z człowieczymi syny, będą wszystkI rozkosz Y moje; w któréjto krótkiéj konstrukcyi teraz trzy *i* przez *e* są zastąpione. Lecz razem czytam we spółczesnych Rejowi, a więcéj jeszcze w późniejszych: nie wzgardzaj dusze, podbił ludzie, on jest król ziemie, nie trać nadzieje itp. Piotr Kochanowski w pierwszéj edycyi Jerozolimy pisze: beł, beła, beły. Bardzo często skłaniają się pisarze nasi do pisania: wsie, płcie, koście, wiadomoście i t. p. Tém *e* tak się posługiwano, że nawet bez potrzeby inne samogłoski zastępować musiało, n. p. siestrze, żenie, na ledzie, pietrze (świętopietrze); zamiast w czasach, miastach, w czasiech, mieściech, niewieściech itp. Później i położyli tamę podobnemu pisaniu, lubo *e* do zastąpienia *i* używać nie przestali.

Widząc to dążenie, które jeszcze daleko posuwać się może, zobaczmy, ile z korzyścią dla harmonii, a bez obrazy natury języka, *i* na *e* lub *é* ściśnione, zamieniane być może. Jestto przedmiot dla mnie za trudny, na który tylko w połowie odpowiedzieć potrafię.

Samogłoska *e*, którą Mroziński podręczną, wielu eufoniczną nazwa, jest pod względem harmonii najważniejszą we wszystkich językach. „Dla oddania samogłoski *e*, mówi Mroziński, zostawiamy organy wmowne w zwykłém ich położeniu: jest to samogłoska, jeżeli tak można powiedzieć, od wszelkiéj artykulacyi najbardziéj oddalona“. Tę więc głoskę według dogodności organu i harmonii, najłatwiéj przybierać i odrzucać można. Ona w innych językach, skłonnych do zakończeń na

spółgłoski, dodawaną bywa na końcu wyrazu; w polskim języku, skłonnym więcéj do zakończeń na samogłoski, a zbiegu spółgłosek w środku, dodawaną lub wyrzucaną bywa w środku wyrazów; ona oddziela nie tylko twarde, ale i jednakie spółgłoski, których polski język nie znosi, np. zezwalam; ona najpowszechniéj zastępuje lub łagodzi wysoką samogłoskę *i*, tak jak *j* zastępuje lub łagodzi niektóre twarde spółgłoski; a najzwykléj *i* zastępując, brzmienia jego połowę zatrzymuje, i wtenczas zowie się *e* ściśnioném.

Godna uwagi, że właśnie, gdy różnica między a otwartém i ściśnioném znikać zaczęła, poczęto staranniéj *e* od *é* oddzielać. Według Bandtkiego pierwszy to uczynił wyraźnie Ursinus. Gdy *a* skłaniające się przez znamię do *u*, jako nieprzyjemne zarzucano, starano się odróżnić *e* otwarte przez znamię od ściśnionego, którego brzmienie zbliża się do *i*, mniéj pięknie brzmiącego.

Kopczyński zastawszy przeciwne dążenie od *á* do *a*, od *é* do *e*, przeciwnie postąpił, przenosząc obadwa ta znamiona. Ten grammatyk radząc się raczéj martwych liter, niżeli ucha żyjących, więcéj zawikłał znamionowanie *e*, niżeli dawni. Prócz wyrazów, gdzie na to ucho nasze się zgadza, kréskować każe ten, nié, ziémia, zaléta, ciémny, méta, mógłém, śmiérć i t. d., a troskliwy w rozróżnianiu przez kréski słów podobnych, i to kładąc za ważny powód znamion, np. lata, látá (volat); panie, panié (dominae); nie zważa jak w mówieniu trudno odznaczyć dobré, tylé sén, od dobry, tyli syn. Prócz tego dosyć liczne wyjątki od reguł, gdy jednych i drugich ucho nie czuje, wątpliwość o ich potrzebie wzbudzają; tak np. znamionować każe tylé, wiélé, wyłącza od tego dwoje, troje. Niepodobna, aby tych różnic nie czuł Kopczyński, a przynajmniéj, aby się niemi z pism dawnych nie przejął, gdy o ich zachowanie naród zaklina (O duchu języka polskiego); lecz nie zważał na to, że iść należy za postępem czasu, który nie zawsze na szkodę działa, że język żyjący, nie zaś umarły doskonalić potrzeba, i że ten nigdyby się udoskonalić nie mógł, gdyby narodowi

całemu narzncały indywidua albo prowincye, swoje szczególne własności mówienia.

Dotąd, względem kréskowania téj głoski, panuje w ortografii niepewność. Jedni idą za Kopczyńskim, inni całkiem znamiona opuszczają, inni radzą się samego ucha. Lecz ucho może nas mylić i różnić; naród cały uznał potrzebę tego znamienia, lubo w całości przepisów Kopczyńskiego nie przyjął, potrzeba więc stałych zasad wyczerpanych z dzisiejszéj mowy polskiéj.

Te mamy zebrane troskliwie przez Szwejkowskiego, już przez deputacyą przyjęte, którym jednak według mnie zbywa na oznaczeniu przypadków, w których *e* lub *é* powinno być używane w miejscu *i* lub *y*. Wypuszczoną może została ta część dla tego, że należy więcéj do grammatyki; lecz gdy ją Feliński w swojém późniejszém pismie umieścił, deputacya przemilczeć o niéj nie może.

Można jednak przewidzieć, że te przepisy służyć tylko będą na czas ograniczony, szczególniéj co do *e* ściśnionego. Zwyczaj bowiem nie ustaje go się pozbywać; a jak stopniowo *i*, *y*, przez *e* ściśnione zastępuje, tak wzajem *é* w wyrazach, w których dawno ustalone było, na *e* zamienia. Oddawna nie razi nikogo, że s t r z e c h a od słowiańskiego s t r i c h a nazywamy przez *e* otwarte s t r z e c h a; nie razi i dziś, gdy mówimy ś m i e m, u m i e m, l e j c e, l e k a r z zamiast ś m i é m u m i é m. Lecz są wyrazy na *é*, które się zupełnie do *i* skłaniają, i których według dzisiejszego ucha, w żaden sposób na *e* zmienić nie można, np. k o b i é t a, s é r, ś m i é c h, z j é, w i é i t. p.; na te szczególniéj wyrazy wzgląd mieć należy, i wypada zostawić im *é* pochylone, gdy już trudno do litery *i* lub *y* powracać. Gdzie zaś dla ucha obojętną jest rzeczą *e* ściśnione albo otwarte, lub gdzie pierwsze wyraźniéj do *e* się skłania, tam byłbym za zostawieniem *e* otwartego, z powodu, iż ten ton jest piękniejszy, i że język ciągle do niego dąży.

Według mojego ucha, byłbym za przyjęciem wielu twierdzeń Szwejkowskiego, co do kréskowania litery *e*; na niektóre zgodzić się nie mogę: lecz gdy do tego samo tylko ucho mię skłania, czego przeto objaśnić nie umiem, wolę moje widzi-mi-

się przemilczeć. Mam atoli jaśniejszą wątpliwość względem pisania *i*, *y*, lub *é*, w niektórych zakończeniach cechowych.

Co do liczby mnogiéj osoby pierwszéj w czasownikach s ł y s z y m y, w i d z i m y, pisarze poprawni nie są w zgodzie z mówiącymi, którzy wszędzie, jeżeli nie otwarte to ściśnione *e* wymawiają. Zbieg ten dwu syllab, mających dwa *i*, nie jest istotnie dla ucha przyjemny, przeto, że na jednę z nich przypada akcent; że jednak zbieg taki bardzo jest częsty w polskim języku w różnych zakończeniach grammatycznych: d z i w i, c n o t l i w i, u s z c z ę ś l i w i, j e d y n y, p r z y c z y n y, s y n y; godna uwagi, dla czego jedynie w powyższym przypadku zwyczaj nie stosuje się do grammatycznych przepisów. Pytania tego nie umiem rozstrzygnąć. Zdaje mi się tylko, iż tu wpływa ten sam powód, który wbrew powszechnemu prawidłu, w wyrazie r z e c z p o s p o l i t a, nie dozwala przedostatniéj akcentować syllaby. Zakończenia d z i w i, c n o t l i w i, j e d y n y, od najdawniejszych czasów stale są używane i być zmieniane nie mogły; przeciwnie, co do zakończeń n o s i m y, d z i e l i m y, d z i w i m y, widać w dawnych pismach wahanie się między *e* lub *i*, *y*, przedostatniéj syllaby. Później było *e* coraz powszechniejsze, i dziś najmniejsza liczba z ludzi starannie mówiących zachowuje pod tym względem przepisy grammatyki. W pisaniu nawet ta poprawność nie jest powszechną. Przeciwnie upowszechnione od Kopczyńskiego pisanie m o j É M, s m u t n É M, zamiast od dawna i stale używanego m o I M, t w o I M (sercem), dziś zupełnie się ustaliło. Jestto jeden z dowodów, iż język naturalnie dąży ku piękniejszemu wysłowieniu.

O z a k o ń c z e n i a c e c h o w y c h EMI, IMI, YMI.

Podobnie co do zakończeń e m i, i m i, y m i, grammatycy dotąd się nie zgodzili pomiędzy sobą i ze zwyczajem narodowym.

Feliński wymienia cztéry zdarzenia, w których e m i, również cztery, w których według niego i m i, y m i, pisać na-

sać należy. Nie mając nic przeciw zakończeniom na *e*, wspomnę tylko o ostatnich na i m i, y m i, które pisać każe.

1. „Jeżeli zwierzęta, do których przymiotniki się odnoszą, położone są w przypadkach oznaczających wyraźnie rodzaj ich męzki nieprzemieniony, n. p. w i l c y, z k t ó r y m i t y g r y s i l u b p s i b y l i t a k d z i k i m i“. Dodaje wprawdzie Feliński, iż sposób ten mówienia jest już zarzucony, lecz nie zapomina przestrogi „c h y b a k i e d y p r z e z t e z w i e r z ę t a r o z u m i e m y l u d z i“.

Ponieważ zwyczaj zarzucony, choćby i dobry, trudny jest do wskrzeszenia, za którym tu Feliński słusznie nie obstaje, uważmy więc tylko jego powyższe ostrzeżenie:

W jakichże zdarzeniach rozumiemy przez zwierzęta ludzi? Jeżeli poeta mówiąc przenośnie o okrutnikach, musi użyć zakończenia: z a j a d l i t y g r y s i, nie z a j a d ł e t y g r y s y; powinienby mówić: Ż y d z i s ą p i j a w c y P o l s k i, aby dał poznać, że tu mowa o Żydach mężczyznach; a nawet, takby powinien oznaczać przenośnie z rzeczy nieżywotnych: t y m i k o l u m n a m i b y l i w s e n a c i e T a r n o w s k i i K m i t a. Jeżeli zaimek t y m i ostrzegać ma, że nazwiska Z a j ą c z k a m i, W i l c z k a m i, O d y ń c a m i, nie co innego, tylko ludzi oznaczają, jakże o tém ostrzeże, gdy mu te nazwiska bez zaimków i przymiotników wspomnieć wypadnie? Jestto dziecinne usiłowanie, chcieć wynajdywać bogactwo i precyzyą w formach języka, gdzie ich nie ma i nie potrzebuje. Języki najmniéj urobione i najmniéj bogate, mają często obfitość nazwisk i sposobów mówienia bez żadnéj rzetelnéj korzyści. Jestto tylko wybujałość, która z czasem ustąpić winna plonom użytecznym i onych uprawie. Wszak kiedy mówię: W i l c z e k b y ł o d w a ż n y m, O d y n i e c w y d a ł p o e z y e, nie zostawiam słuchacza w wątpliwości, czy nie mówię jakiéj bajki Ezopa.

2. Jeżeli mówimy o mężczyznach, używając imion chrzesnych, rodowych i urzędowych, np. W i n c e n t y m i, K r a s i c k i m i, w o j s k i m i; albo używając wyrazu zbiorowego (c o l l e c t i v u m), np. b r a c i a, k s i ę ż a z k t ó r y m i; jeśli nawet mówimy o mężczyznie i kobiécie razem, n. p. m ą ż i ż o n a, albo r o d z i c e b y l i p r z e c i w n y m i“.

W żadnym z tych przypadków nie widzę potrzeby pisać i m i czy w zaimkach, czy w przymiotnikach, czy nawet w samych rzeczownikach.

Rzeczowniki osobowe męzkie (c i S z u j s c y) oznaczamy tylko w pierwszym przypadku liczby mnogiéj; w następujących zaś przypadkach (wyjąwszy piąty) tracą cechę rodzaju i mówimy bez różnicy tym m ę ż o m, ż o n o m, d z i e c i o m, a nawet t y m Z a m o j s k i m, bez względu czy tu mowa o samych braciach, czy o siostrach, czy téż c o l l e c t i v e o mężu i żonie. Czyż to tak wiele język na dobitności zyska, że w tym jednym przypadku powiem t y m i M i r s k i m i, dla oznaczenia mężczyzn, którą dogodność zaraz tracę, gdy mi wypada powiedzieć t y m M i r s k i m? lub gdy mam mówić Z a b ł o c k i m, czemuż nie Z a b ł o c k i m u, Z a b ł o c k i g o, jak często mówi pospólstwo? Nadto, mówiąc t y m i M i r s k i m i, nie zupełnie wyraźności myśli pomogę, gdyż przeto nie oznaczę jeszcze, czy mówię o samych mężczyznach, czy téż razem i o kobiétach. Precyzya do połowy tylko doprowadzająca, nie jest precyzyą. Jeżeli powiem, jak zwyczajnie wszyscy Polacy mówią: m i ę d z y t e m i M i r s k i e m i n i e m a z g o d y, po którymże Polaku śmiałbym wymagać, aby rozumiał, że tu mówię o samych kobietach, nie zaś o mężczyznach? lub gdyby nas od dzieciństwa do takiego rozumienia przyuczono, jak oznaczę, gdy przeciwnie mówiąc t y m i M i r s k i m i, rozumiem przeto nie braci samych, ale braci i siostry, lub téż małżeństwo?

To samo rozumie się i o przymiotnikach. Kiedy mówię m i ę d z y b i a ł e m i i c z a r n e m i n i e b y ł o ż a d n é j z g o d y, wtenczas to, co ten wyraz poprzedza, lub po nim następuje, ostrzega, czy mówię o ludziach, czy o baranach czy tylko o samcach, lub samicach, lub c o l l e c t i v e.

Wreszcie co do samych nazwisk, dla czegóż tylko w kończących się na *ski* miałbym oznaczać płeć męzką lub obojętną, gdy téj różnicy nie oddam w mnóstwie nazwisk innych;

mających tak rozmaite cechowe zakończenia, np. na *wicz*, nie wspominając urzędów, stanów i t. d. Hetman, stolnik, pieczętarz, które nawet w piérwszym przypadku liczby mnogiéj nie mają zakończeń osobowych, n. p. żołnierze, pieczętarze. Wszak tu przynajmniéj nie ma wątpliwości, czy o ludziach i o jakiéj płci mówię. Nie masz i w tém wielkiéj precyzyi, gdy mówiąc zbiorowo o osobach, podciągam kobiety pod rodzaj męzki: ci rodzice dobroczyńcy; a mówiąc o całych narodach i ludach, znowu nie wiem, podług jakiéj precyzyi podciągać je muszę pod rodzaj żeński, czyli obojętny: te ludy, te narody, a nie ci ludowie, narodowie; w innych zaś przypadkach nie rozróżniam dzikich narodów od dzikich gęsi, aż popiero gdy mi przypadnie użyć zaimku lub przymiotnika: tymi, dzikimi.

3. „Jeżeli bogowie, aniołowie i ludzie mężczyzni, położeni są w przypadkach nawet obojętnych, z których nie można poznać, że przemienili swój rodzaj, np. bogów sądził głuchymi, z panami ziemskimi w aniołach z którymi...“

Wszak Bóg, anioł i ludzie (mężczyzni), są w liczbie pojedyńczéj rodzaju męzkiego; w mnogiéj, prócz pierwszego przypadku, ulegają rodzajowi obojętnemu. Na cóż mi oznaczać, czy przemienili swój rodzaj? W liczbie mnogiéj przemienić go musieli, lecz samo znaczenie wyrazów wskazuje mi ich rodzaj: na coż mam sądzić bogów głuchymi, boginie głuchemi, a Jowisza z Junoną także głuchymi? na co mówić którymi aniołami, kiedy w liczbie pojedyńczéj nie wiemy o aniołach żeńskiego rodzaju, tak jak nie wiemy o ich płci w innych przypadkach liczby mnogiéj. Wszak, bez względu na obojętność, dawni Polacy częściéj niż teraźniejsi kładli pierwszy przypadek liczby mnogiéj w rodzaju obojętnym: te anioły, te bogi, nawet te ludzie, wodze.

4. „Tém bardziéj, jeśli położeni są w przypadkach, z których wyraźnie się poznaje, że męzkiego rodzaju nie przemienili, np. samiż niebianie są tak

srogimi; są to nieszczęśliwi, nie miałżeby ś litości nad nimi?“

Cóż mi po tém odróżnieniu w jednym przypadku, gdy w innych tworzy mi się ztąd zawikłanie: albowiem mówiąc: dajcie IM pomoc, weźcie ICH w opiekę, już podług tego nie mówię z pewnością o samych mężczyznach.

Sam Feliński dodaje, że te jego przepisy przykro czytać, a tém bardziéj pamiętać, lecz nie sądzi, aby od nich sumiennie uwolnić można.

„Rozróżnienia tego, mówi daléj Feliński, (które słusznie Kopczyński zalecił) znajdujemy ślady we wszystkich dawnych książkach polskich; byłobyto pozbawić nasz język jednéj z jego zalet, to rozróżnianie zagubić. Dodaje przecież, iż są przypadki, gdzie pisanie emi lub imi jest obojętne, a nawet, że Albertrandy był temu rozróżnianiu przeciwny“.

Możnaby dodać, iż temu przeciwną jest większa część narodu, i nie znam żadnego Polaka, któryby te prawidła w mówieniu ściśle zachowywał. Na dawne książki polskie trudno się i w tém zdarzeniu, jak w wielu innych, odwoływać, w nich bowiem ślady pisania *iwi*, *imi*, są bardzo obłędne, bo tam czytamy te męże, ci wilkowie, człowiekowie, nawet ci narodowie, ludzie pobożne, wszystki rozkoszy, wszystkimi rozkoszami, ty osoby i wiele podobnych. Właśnie późniejsi, aż do ustalenia się grammatyki Kopczyńskiego, dążyli w tym względzie do jednostajności i do piękniejszego wysłowienia, i coraz więcéj *imi* i *ymi* znikało. Kopczyński, chcąc tym zakończeniom stałe nadać prawidła, uniesiony mniemaném bogactwem języka, nadał niedostateczne, nie dość ugruntowane, tak dalece, że zwolennicy jego źle go pojmując wnieśli z tego powodu błędy do polskiéj ortografii.

Wielu dotąd wszelkie rzeczowniki rodzaju męzkiego nieosobowe z ich zaimkami i przymiotnikami piszą w tym przypadku przez *imi*, *ymi*: tymi owocami i t. p., chociaż tak

samo nigdy nie mówią.* Feliński, któremu ortografia polska wiele jest winna, nie mógł nie czuć nie tylko zawisłości tych przepisów, ale szkody, jakie ich zachowanie harmonii języka przynieśćby mogło, np. między tymi Kicińskimi Ilińskimi itp. Wstrzymywała Felińskiego powaga autora grammatyki narodowéj, który w tém rozróżnieniu bogactwo języka upatrywał. Lecz gdyby i było bogactwem dziś zatraconém, już nie odkwitnie to, co kwitnąć przestało. Wszak liczba podwójna, odróżnienie przyimków *z* i *s* i wiele innych pięknych własności języka, są już zatracone, i trudno je wskrzesić. Język, chociażby ciągle kształcony, traci jedne zalety nabywając innych. Chcąc go kształcić, nie ubiegajmy się za jego drobiazgowemi bogactwy, a raczéj giętkości onego w naciąganiu do naszych uwidzeń, nie bierzmy za bogactwo. Nie miejmy na celu drobiazgowych i łudzących tylko zalet, lecz starajmy się o pewne i proste wyjaśnienie jego budowy, choćby z poświęceniem niektórych szczegółów. Tym sposobem język francuzki, tyle od naszego uboższy, stanął na najwyższym stopniu ukształcenia.

A Á.

Stały opór narodu przeciw *a* ściśnionemu, gruntowne wywody najlepszych pisarzów za tym oporem mówiące, szczególniéj zaś zgoda jednomyślna deputacyi w téj mierze, niepotrzebnemi czynią wszelkie dalsze uwagi przeciw temu wywołanemu znamieniu. Pod względem piękności wysłowienia, to tylko ważę się dodać, że zwyczaj wykluczywszy to znamię z mowy i pisma, nie uczynił tego przez zaniedbanie lub uwidzenie, jak często bywa, ale w skutek postępu smaku i ogładzenia języka. Nie wiemy z pewnością, czém się różniło u dawnych Polaków *a* ściśnione i *a* otwarte, lecz jeżeli zwolennicy Kopczyńskiego ślad téjże różnicy w wymawianiu gminu w Wielkiéj Polsce wskazują, przyznać muszą, że na zarzuceniu *a* ściśnionego język polski, przynajmniéj pod względem pięknego wysłowienia, nie wiele stracił. Ton *a* piękniejszy jest od tonu *e*, tém bar-

* Obacz pisma Siarczyńskiego i innych.

dziéj od *o*, nakształt *u* lub *ą* wymawianego. Że dawni Polacy istotnie tak je wymawiali, możemy tego znaleźć wskazówki w rymach, w niektórych wyrazach dawniéj zupełnie przez *o* lub *ą* pisanych, tudzież w analogii obcych języków.

Tak czytamy w Chrościńskim:

O naznaczony niech oprze KRONIEC
Aż będzie światłu i ciemności KONIEC.
Job.

Spuść ogień na ten ołtarz, niech go nie PODKŁADAM,
Tego znaku pewnego od ciebie POŻĄDAM.
Dyalog Abel.

I me wiersze że podłe przeto są na KOŃCU,
Naśladują przedniejsi pośledniejszych w TOŃCU.
Wacł Pol. Jovial. 79.

Przepraszając, braterskie napomnienie PRZYDAM,
Obrzydłym i nikczemnym równając się ŻYDOM.
Tenże str. 153.

Kochanowski i Szymonowicz nigdy podobnie nie rymują; musiało więc takie wymawianie być nie piękne już wtenczas i tylko z nałogu przez ludzi bez smaku używane. Często znajdujemy w dawnych pismach kożdy lub kóżdy, mąm, możno, lub z cudzoziemskich do dziś pozostałe sztrof, ląd, przejęte z wyrazów Strafe, Land.

Lubo w innych językach postrzegamy, iż *o* i *a* często mają między sobą związek, widzimy jednak, iż wszystkie starały się raczéj utrzymać brzmienie *a* tam, gdzie wybór był wolny. Polski język nie rychło na to bacznym być zaczął, i mamy wiele wyrazów, które już nie pisane przez *a* ściśnione, *o* na zawsze przybrały. Częściéj on, niż inne słowiańskie języki *a* na *o* zamieniał: plamień (flamma), płomień, parucznik, wlast, włość, i wszystkie prawie złożone z przedimka *pa*, kilka wyjąwszy, padół, parobek; wszystkie z przedimkiem *roz*, a nawet cudzoziemskie arator,

oraz, Armenia, Ormianie, latro łotr, Albert Olbrycht, Olech, Alexander, obiecadło abecadło i t. p.

Lecz kiedy naród troskliwie zaradzał nieprzyjemnym tonom *u* tudzież *i*, wiedziony później tymże samym smakiem, zaczął zagładzać i *a* ściśnione, na czém w piękności mowy wiele bardzo korzystał, i w tym właśnie czasie, kiedy *a* ściśnione upadało, zaczął czuć różnicę między *e* ściśnionem i *e* otwartém. A jak nie wróci do mówienia muka, dub, zamiast męka, dąb; zwirz czyrwony, zamiast zwiérz, czerwony, tak pewno nie zechce już mówić Pon Jon, zamiast Pan Jan. I Niemcy mieli kiedyś podobne *a* ściśnione, lecz zapewne nie będą już pisać np. Odem zamiast Athem, Gloube za Glaube, mimo że niektóre prowincye niemieckie, tak jeszcze wymawiać zwykły. Gdy nie było stałych przepisów języka, ani klassy towarzystwa, smakiem nad inne górującéj, usiłowano wszelkie różnice i odcienia wymawiania różnych prowincyj w pismie wyrażać; i dla tego w drukach wielkopolskich i prowincyach pruskich najdłużéj się *a* ściśnione utrzymało. Jerzy Szlag mówi w grammatyce swojéj r. 1734, iż dopiero za jego czasów *a* kreślić przestano, a pierwsza książka tak drukowana może jest r. 1728. W pół wieku zatém chciał ją wskrzesić Kopczyński, i po staraniach drugie pół wieku trwających, okazuje się, iż nie ma nadziei, aby odżyła.

Kopczyński, ratując wszelkiemi sposobami *a* i *e* ściśnione (tak jak dawniéj przeciwnie otwarte ratowano); chciał przez akcenta oznaczyć słowa jednakie brzmienie a różne znaczenia mające, np. sám (imię), sam (przysł), Polska (reczownik) i polská (przymiotnik). Jeszcze w wieku XVItym i XVIIym układali grammatycy listy podobnych wyrazów, które późniéj słusznie zarzucono. Mogą one mieć różne źródło, mogą się nawet odmiennie wymawiać; lecz to wszystko do odróżnienia ich w pismie przez znamiona nie upoważnia. Pismo jest znakiem mowy, ale nie pojęć, a zatém nie może więcéj wyobrażać jak sama mowa Prawda np. że lata (anni) i lata (volat) inne mają źródło, że może inaczéj nawet wymawiam

jeden wyraz niż drugi, ale wymawianiem obudwu rządzi imaginacya nasza i czucie, rządzi wreszcie ciąg wyobrażeń, do których wchodzą, a te w żaden sposób nie dadzą się znakami ortograficznemi oznaczyć, chyba, żebyśmy chcieli każdy akcent oratoryczny, prędsze lub wolniejsze wymówienie jak w muzyce oznaczać.

Więc ani z tego względu *a* ściśnionego w dzisiejszéj mowie polskiéj usprawiedliwić nie można.

U.

Samogłoska *u*, jako najniższa i nie mogąca się pochylać, jako tém samém od spółgłosek nie zawisła, ze wszystkich samogłosek najmocniéj ustalona jest w języku polskim. W początkach zamieniała się ze spółgłoską *w*, tak jak samogłoska najwyższa *i* ze spółgłoską *j*. Oddawna także w wielu bardzo wyrazach, w początkach odróżniania się dyalektu polskiego od słowiańszczyzny, zamienioną była na *ą* lub *ę*: n. p. dąb, ręka, i zamiana ta, dotąd ściśle jest odgraniczoną. Inne języki łagodzą *u* przez *i* lub *e*, w polskim jest raczéj przez *ą* lub *ę* wzmocnione. Na *o* ściśnione bywa także zmieniane, lecz zamiana ta zależy tylko od zbiegu pewnych spółgłosek, i *o* od tychże uwolnione, przestaje być pochyloném; gdy przeciwnie zamiana na *ą* lub *ę* jest stałą i niezmienną. I tak, nie pisze się przez *u* żaden wyraz, który w zmianach grammatycznych *o* otwarte przybiera. Pod tym względem mała tylko liczba wyrazów nie ma w ortografii ustalenia, takiemi są np. półka', półk, i od nich pochodzące. Linde przytacza, jakoby wyraz pułk, miał jedno źródło z Volk, populus, z kroackiém puk, (plebs, vulgus), odwołuje się nawet do pałki. Ja sądzę, że wyraz półk, spólny jest: półka, połać, połeć, płeć, pochodzącym od pół, do których należy spólność i pospólstwo. Dawniéj pisano połek i pod tém słowem Linde pułk mieścił. Półk znaczył rząd ludzi, jak połać rząd domów, albo jednę połowę.

Tłomok, Linde pisze przez *u*, wywodząc źródło jego pod słowem tłumić, wyraźniéj jednak zdaje się pochodzić od tło, tłoczyć; lubo i tłumić, jest tylko wzmocnieniem

słowa t ł o c z y ć, przez głębsze *u*, jak t ł o k i t ł u m. Dawni Naruszewicz piszą t ł o m o k.

Adelung i Wachler przypisują pochodzenie wyrazu t ł u m a c z językowi słowiańskiemu, który, przynajmniéj w języku polskim, nie zdaje mi się być rodowitym. Zkądkolwiek pochodzi, w wielu językach przez Lindego i Adelunga przytoczonych, nie ma nigdzie *u*, wyjąwszy parę słowiańskich dyalektów skłonnych do téjże głoski. Polacy piszą go przez *u* i *ó*. *O* ściśnione nie zdaje mi się właściwe. Rosyanie i niektóre języki słowiańskie piszą t o l k, t o l k i. w germańskich D o l m e t m e t s c h e r, i Sakowski w rozprawie o duszy, używa wyrazu t o l k o w a ć zamiast t ł u m a c z y ć; nie byłoby przeciwne ani etymologii ani harmonii, pisać t ł o m a c z, lecz więcéj upowszechniło się t ł u m a c z.

Sądzę, iż reszta tu należących wyrazów, k ł u ć, k ł ó d k a, p ł u t n o, k ł ó d k a, k ł ó t n i a, o k r u t n y, nie potrzebuje rozbioru; nadmienić tylko wypada, że wszelkie wyrazy z obcych języków, mające *u*, a mianowicie na *unek* zakończone, nie powinny się pisać przez *o* ściśnione: g r u n t, g a t u n e k, f r a s u n e k; wyrazy zaś polskie zawsze mają *o* otwarte: k o r z o n e k, t r z o n e k. Nowsi pisarze używają powszechniéj n o t a (znak muzyczny) zamiast dawnego n ó t a, n ó c i ć. Ten tylko jest jeden wyraz na *o* ściśnione w słowniku Knapskiego, który je każe wyrażać (v a s t o q u a s i o) n o u c ę. Sądzę, że tak zwane znaki piśmienne mowy lub muzyki, pisane być powinny według obcych: n o t y, n o t a; ale śpiewanie bez słów, jako wyraz polski: n u t a, n u c i ć, przez *u* pisać należy.

P r o b a, wyraz obcy, przez *o* się pisze.

Nie widzę słusznego powodu pisać s t r u n a (muzyczna) za s t r o n a i t. d.

Ą. Ę.

Używaniem tych samogłosek, różni się język polski od wszystkich dyalektów słowiańskich. „Im więcéj, mówi Mroziński, system spółgłoskowy Polacy doskonalili, tém niedostateczniejszemi głoskami dla mechanizmu polskiego języka stawały się samogłoski. Zamieniając samogłoski nienosowe, na nosowe, zbliżono je do brzmień artykulowanych, nadano im więc w systemacie spółgłoskowym większą wartość, a tém samém zrobiono z nich nauki zdolniejsze do wyrażenia grammatycznych odmian: ż o n ę, m ó w i ę, t w o j ą, b o j ą.

Samogłoski te pod względem harmonii są ważne, jako nadające wysłowieniu pewną energią i dobitność. Jeżeli przeciągłemu śpiewowi sprzyjać nie mogą, pożądane są za to w recitatiwach i deklamacyi. Jak już wiadomo, Polacy najpowszechniéj słowiańskie *u* na *ą* lub *ę* zmieniają, lecz zmieniają je także na inne samogłoski, na czém najpowszechniéj moc wyrażenia zyskuje. Piękniéj mówię s ą d niż s u d, d ą b niż d u b, m ę ż e niż m u ż e, m ę s t w o niż m u ż n o s t, g ł ą b' niż h l u b; a nawet piękniéj n i e s z c z ę s n y zamiast n e s z c z a s t n y, d z i e k i zamiast d i e k i, p o g l ą d a ć, zamiast p o h l e d a t.

Dodać tu jednak należy uwagę, że samogłoska *ę* na końcu wyrazów więcéj-syllabnych, szczególniéj zaś czasowników, nie brzmi przyjemnie, dla tego najczęściéj wymawiamy ją albo bardzo krótko, lub usuwamy brzmienie nosowe; przyczynę tego wytłómaczył Mroziński str. 292.* Niektórzy, mianowicie zaś aktorowie, chcąc się niewolniczo do pisma stosować, przedłużają *ę* w wyrazach, np. c z u j ę, t r u j ę, m ó w i ę itd. Gdy *ę* w tych przypadkach jest w piśmie nieodzowne, przepisem deklamacyi być powinno, ażeby na tę głoskę nie kłaść akcentu oratorycznego.

Obie te głoski zamieniają się z sobą: r ę k a, r ą k, z r ę c z n y, r ą c z y, c i ą ł, c i ę l i, m i ą s z y, m i ę s o, c h c ę, c h c ą, i nie masz żadnego dowodu, czyli *ą* od *a*, *ę* od *e* pochodzi, gdyż same tylko postaci liter ślad tego wskazują.

Nieprzyjaciele samogłosek nosowych chcieli je w środku wyrazów zastąpić przez odpowiadające brzmienie *on*, *om*, *en*, *em*, zostawując je atoli na końcu wyrazów, gdzie cechy grammatyczne oznaczają. Tym sposobem ani się grammatyce, ani ortografii przysłużyli, a nie miłemu w ich uszach wymawianiu

* Odpowiedź na recenzyę.

ą, *ę*, zapobiedz nie mogli, nikt bowiem nie zechce mówić: nieszczensny, klenska, ani też nosowego brzmienia nie uniknie mówiąc: porzondny, majontek itd. Niepodobna, by przy tém było dobrze wymawiać bondźcie, rzondźcie. Wreszcie co innego jest brzmienie *on* francuzkie, a co innego polskie *ą*, jak to czuć można np. w wyrazach: sonder, sądzić; sont, są; cinq (pięć), sęk na drzewie, co innego nawet niemieckie *ung*, *ank*, gdy nawet Polacy przejmując niektóre słowa niemieckie, nie zostawili im tego brzmienia, lecz woleli je łagodzić przez *e* eufoniczne: Gattung gatunek, Trank trunek, Rettung ratunek itp. Świadczą jeszcze dawni grammatycy, że Niemcy drukarze w Polsce, nie pojmując brzmienia *ą*, *ę*, oznaczali je przez *am*, *an*, *em*, *en*, czego ślady są w dawnych drukach. Ztąd powstał błąd nie znających grammatyki, dotąd nie znikły, pisania nawet rękа, klęnska.

Twardowski ma rym następujący:

To przed świtaniém do jéj okna pukam,
To jéj też czasem chciałem zażyć sztukam.

Twierdzenie Lindego, że *m* i *n* tkwią w głoskach *ą* i *ę*, jąć, miąć, jeństwo, jeniec, zdaje się popierać zwyczaj Polaków nie piszących ortograficznie, którzy często piszą majontek, sprzenty itp. To twierdzenie służy tylko niektórym wyrazom, mającym istotnie za źródło *j*, lecz tego nie można powiedzieć o słowach zacząć, mąka, dzięki i t. d. Pospólstwo kładzie często przy *ą* lub *ę* spółgłoskę *n*, lecz wtenczas zamienia tylko spółgłoskę *l* na *n:* wzięni, ścięni, za wzięli, ścięli.

Ponieważ pisania *om*, *on*, *em*, *en*, zamiast *ą*, *ę*, naród wcale nie przyjął i tylko parę pisarzów z przekonania, a czasem nie umiejętni w ortografii tak piszą, nie zachodzi już żaden spór o te litery w ortografii, prócz niektórych przypadków. Względem zakończeń plemię, siemię, już Deputacya się zgodziła. Niektórzy piszą mieszkanie, szczesny itp,

bynajmniéj przeto nie czyniąc wyrazu więcéj dobitnym lub pięknym.

B́, F́, Ḿ, Ṕ, Ẃ.

Mimo, że grammatycy mają słuszne powody znamionowania tych spółgłosek przez (') na końcu wyrazów, mimo że ślady tych znamion są w dawnych drukach polskich, jednakże oprócz dzieł o języku mówiących, nie ma przykładu, aby wydawcy i drukarze najstaranniejsi stale te znamiona zachowywali. Rzadko także słyszymy, aby mówiący te zmiękczenia czynili, szczególniéj w mowach uroczystych, w którychby istotnie być słyszane nie mogły. Jedni ograniczają je tylko do rzeczowników (ołów'), inni dodają tryby rozkazujące liczby pojedyńczéj (traf'), inni jeszcze też tryby w liczbie mnogiéj (karm'my).

Polacy nie mając stałych znaków miękczących, jak inni Słowianie, którzy łacińskich liter nie przyjęli, miękczą spółgłoski przez znamię ('), przez *i* przez *z* i *ź*, nie licząc zupełnéj zmiany litery, np. *g* na *ź*, *t* na *ć*, które już do ortografii nie należą.

Znamię (') służy właściwie głoskom *ć*, *dź*, *ń*, *ś*, *ź*, które równie jak *l*, tak w środku, jak na końcu wyrazów, z łatwością wymówione być mogą; które istotnie brzmienie spółgłoski w miękkie zmieniają i pewne trwanie mieć mogą; z tego powodu kładzie się to znamię nad spółgłoskami, gdy stoją przed innemi spółgłoskami lub na końcu wyrazów: pański, pień, cień, ślub, dość.

Znamię *i* służy właściwie tym spółgłoskom, które się w istocie same nie zmiękczają, lecz tylko przybierają miękkie brzmienie przez łączenie się z należącą do nich samogłoską; takiemi są *b*, *f*, *m*, *p*, tudzież *g* i *k*, któreto ostatnie nigdy się na końcu słowa nie miękczą. — Używane jest przecież w środku wyrazów do wszystkich brzmień miękko na samogłoskę spływających, to jest nie tylko do *b*, *f*, *m*, *p*, *g*, *k*, lecz i do tych, które przed spółgłoskami lub na końcu słowa się miękczą, to jest do *ć*, *dź*, *ń*, *ś*, *ź*.

Ponieważ to znamię ma postać tę samą co samogłoska *i*, (siła), przeto nie może się mieścić na końcu słowa, gdyż wtenczas mogłoby być brane za osobną syllabę, n. p. p r z y j a z I n I (przyjaźń) d r o b I (drob'); z tegoż powodu nie mieści się równie w środku wyrazów przed spółgłoskami *dź*, *ń*, *ś*, *ź*, które same przez się miękko brzmieć mogą. Wyrzuca się jedno lub drugie znamię zupełnie, gdy ma przypadać na samogłoskę *i*, która sama przez się miękczy wszystkie spółgłoski na nią spływające: n a s - i (nasi).

To znamię tak często przypadające, mogące się mylnie brać za samogłoskę albo za jotę, gdyż téj tak długo nie odróżniano w piśmie, miało swoich nieprzyjaciół, którzy od dawna radzili używać do wszelkich zmiękczeń tylko jednego znamienia (ʻ); lecz to aniby oszczędziło czasu w pisaniu, aniby druku nie ozdobiło i byćby mogło powodem do częstych myłek ortograficznych, od których znamię, ciągnące się razem z innemi literami w pisaniu, łatwo uchrania. Lecz nadto był, mojém zdaniem, inny powód do miękczenia przez *i* wszystkich brzmień spływających na samogłoski. Głoski *b*, *f*, *m*, *p*, *w*, a bardziéj jeszcze *g*, *k*, jako wargowe nie płynne, nie mogły przyjąć znamienia (ʻ), gdyż istotnie stapiają się z samogłoskami za pośrednictwem *i*, — i nie miękczą się same, lecz tylko to brzmienie przybierają. Brzmienie to jest łatwe, dobitne i dla ucha przyjemne. Dla tego może przybierają *i* te nawet spółgłoski, które się na końcu słowa albo przed spółgłoską przez (ʻ) zmiękczają. Istotnie nie tylko cudzoziemiec, ale i Polak mniéj dobitnie i miękko wymawiałby słowa: ś m' e c h, d ź e l n o ś ć p o w' e t r z e, ś p' e w, gdyby przez znak *i* nie był naprowadzony na brzmienie pełniejsze.

Utrzymała się więc zasada, że znamię *i* miękczy spółgłoski przed samogłoskami, znamię zaś (ʻ) przed spółgłoskami i na końcu wyrazów.

Na końcu wyrazów brzmienie *c*, *dz*, *n*, *s*, *z*, miękkie przez się, łatwo się wymawia, nie potrzebując do pomocy brzmienia *i*: s p o w i e d ź, o d n i e ś, c i e ń, p o s t a ć; dla tego miękczenie to każdy piszący i mówiący zachowuje. Brzmienia wargowe i zębowe *b'*, *f'*, *m'*, *p'*, *w'*, które się nigdy przed spółgłoską nie miękczą, i w środku wyrazów przez *i* znamionowane być muszą, musiały doznać wyjątku i przyjąć na końcu wyrazów znamię sobie nie właściwe (ʻ), i o te zachodzi niezgoda między grammatykami a publicznością. Wymawianie tych brzmień bez samogłosek trudne jest dla narzędzi mowy, potrzeba się albowiem silić na wydanie półtonu *i*, a strzedz się, aby nie utworzyć samogłoski czyli całéj syllaby; albo po przedłużeniu samogłoski poprzedzającéj, tak potrzeba ton spuścić na spółgłoskę, ażeby wymówić coś pośredniego między *p*, *m*, a *pie*, *mie*, przez co zmuszeni jesteśmy ostatnią głoskę cicho wymówić: k a r m', p a w', d r o p'.

W pierwszym razie wysłowienie jest trudne i nienaturalne, w drugim niedokładne, zwłaszcza w deklamacyi. Dla podobnéj może przyczyny zbieg głoski podniebiennéj nieodbitéj z odbitą, gdy na samogłoskę nie spływają, nie jest korzystny dla deklamacyi, tém bardziéj dla śpiewu i w nich powszechnie słabieją lub zupełnie nikną, n. p. b o j a ź ń, k a ź ń, p r z y j a ź ń.

Ta trudność tém więcéj czuć się daje, gdy się na tych słowach sens nie zakończa, a zakończenie takie bardzo jest rzadkie, jako harmonii polskiego języka przeciwne, n. p. g o ł ą b' s i w y k a r m' z p i e s z c z o n é j r ę k i o d b i e r a. A l b o t r a f w t e n c e l, l u b t r a f j ą w s k r z y d ł o. Widoczniejsza jeszcze zachodzi trudność, jeżeli podług pozgonnéj grammatyki Kopczyńskiego i jego zwolenników, wypadnie podobnie zmiękczać słowa ł a m' m y, ł a m' c i e, ł a p' m y, ł a p' c i e. Wtenczas nie tylko uczący się języka, ale i dobrze mówiący Polak, albo zrobi z tych wyrazów miarę — ⌒ — (a m p h i m a c e r), albo wcale przejdzie na ł a p i m y, ł a p i c i e, albo musi ustami naśladować szybkość błyskawicy, jeżeli zechce sumiennie tak wymawiać jak pisze, i musi łapać istotnie brzmienie *i*, skoro go tylko z ust wypuści, aby nie miało czasu wzrość w samogłoskę.

Według Kopczyńskiego tak się powinny miękczyć: 1) Rzeczowniki, które się przed zakończeniem 2go przypadku miękko wymawiają: p a w', p a w i a. 2) Tryby rozkazujące słów, które się w trzeciéj osobie czasu teraźniejszego lub przyszłego na *i*

kończyły, lub przed zakończeniem téj osoby miękką spółgłoskę miały: r o b i, r ó b', ł a m i e, ł a m', r ó b' m y, ł a m' m y.

Gdybyśmy chcieli przez zakończenia oznaczać formy, lub rodzaje rzeczowników, musielibyśmy wiele jeszcze znamion przyczynić. Nie ze znamion ortograficznych dowiem się n. p. dla czego t e ś ć i t r e ś ć, o l é j i k o l é j, s i e ń i c i e ń, k l o c i n o c, do różnych rodzajów należą; dla czego s m a k, s m a k u, r a k, r a k a, k r z y ż, k r z y ż a, r y ż, r y ż u, l a s, l a s u, p a s, p a s a i t. p. Co do zmiękczenia trybów rozkazujących, miękczenie głosek końcowych przeciw naturze mowy, chyba przez wzgląd na dwuznaczność usprawiedliwićby można, ażeby rozumieć t r a f, od t r a f', s t a w, od s t a w'; lecz podobne wypadki grammatyki, a tém mniéj ortografii, zatrudniać nie mogą: do stylu bowiem należy, aby takie wyrazy dwójznacznie rozumiane nie były: nie ma różnicy między czasownikiem a rzeczownikiem: b ó j, b ó j, r ó j, r ó j, z a k r ó j, z a k r ó j, nigdy przecież zrozumienia nie mylą; rozróżnianie podobnych wyrazów za pomocą ortografii, już od dawna słusznie jest zarzucone we wszystkich językach.

Z tych powodów byłbym za zupełném zniesieniem znamion (') nad *b'*. *f'*, *m'*, *p'*, *w'*, mianowicie, że te w środku wyrazów nigdy się tym znakiem nie miękczą, a właściwego sobie znaku *i* na końcu wyrazów przyjąć nie mogą bez wyjątku w przepisach ortograficznych, i bez utrudzenia wymowy; że tych zmiękczeń nikt prawie w mówieniu, a mało kto w pisaniu zachowuje; że pismo szpecą i do mylek prowadzą, co jest własnością wszystkich akcentów. *

C, Ć, CZ.

Względem pisania *c* lub *cz* w kilku tylko wyrazach nie masz jednostajności.

K r ó l e w i c z, k r ó l e w i c. Język polski bogaty w ce-

* Kopczyński sam miał trudność dać znamię przyzwoite literze f, dla tego że jéj postać jest długą; radzi przeto w grammatyce pozgonnéj dawać jéj znamię z prawego boku, coby znowu było wyjątkiem.

chowe zakończenia nazwisk osobowych, podług rodu, stanu, własności, zatrudnienia, a nawet przymiotów, nadaje cechowe zakończenie *wicz* od nazwiska ojca, które nie miało innego zakończenia wzgląd oznaczającego. Zakończenie *ic* pochodzi zapewne od urzędu ojca, jak s ę d z i c, k a s z t e l a n i c, s t a r o ś c i c, wyjąwszy takie urzędy i dostojeństwa, które mają już swoje względne zakończenia, n. p. s t o l n i k, p i e c z ę t a r z. Według tego pisaćby należało k r ó l e w i c nie k r ó l e w i c z, bo król jest dostojnością nie imieniem własném. Przytém *wicz* nie oznacza już syna, ale potomka jednego nazwiska, rodu, tak jak *ski* dziedzica jakowéj ziemi. Lecz królowie zowią się tylko podług imion chrzestnych, a ich następcy jednego imienia, nie przybierają nazwisk cechowych *wicz*, ale liczbę: Z y g m u n t Iszy, IIgi. Synom zaś królów pozostaje nazwisko k r ó l e w i c z, oznaczające ich dostojność i zastępujące nazwisko. Przytém, gdy podług innych dostojeństw, córki zowią się k a s z t e l a n k i, s ę d z i a n k i, córki królów zowią się k r ó l e w n a m i jakby od imienia P i o t r ó w n a m i, C h o d k i e w i c z ó w n a m i. Zatém król spólne jest imionom własnym, i na synów królewskich spływają zaszczyty i przywileje, tak jak na dziedziców imienia *wiczów*, spływa zaszczyt szlachectwa.

Brzmienie k r ó l e w i c z jest powszechnie przyjęte, jako harmonijne, i ci, którzy tak dotąd piszą i wymawiają, chcą tylko okazać, że stare kroniki czytali. Nadto ze zmianą zwyczajów narodowych, gdy synowie według urzędu ojców już nie są nazywani, zakończenie na *ic* ten wzgląd oznaczające, coraz się bardziéj zacierać będzie; mamy jeszcze wojewodów, nie mamy już w o j e w o d z i c ó w, tak, jak nie mamy p o d c z a s z y c ó w, a tém bardziéj godności nowych: g e n e r a ł o w i c z ó w, d y r e k t o r o w i c z ó w, m i n i s t r z a n e k.

Zakończenie nazwiska Polski na *sce*, w P o l s c e, P o l s c e, gorliwie niegdyś zalecane, nie ma za sobą żadnéj pewnéj grammatycznéj zasady, tak jak jéj nie ma pisanie w P o l s z c z e, P o l s z c z e, i nie masz wyrazu, w którymby te przypadki kończyły się na *szcze*. Nie można także brać tu analogii z wyrazów m a t k a, ł a t k a, p u ł k a, k o s t k a, gdyż w tych

wszystkich *k* jest zakończeniem oznaczającém zdrobniałość: macierz, łata, poła, polica, kość, co do Polska w żaden sposób zastosować się nie da. Taką nawet analogią przyjmując wypadałoby mieć wzgląd na drugą bliższą, i pisać polscyzna, spolscony, co przecież wysłowienia nie mogłoby upiększić. Nie mając pewności czy Polska od poła czy od Lecha pochodzi, czy *ska* jest zakończeniem własności, jak ziemia podolska, czy wreszcie jest collectivum zgrubiałém Polska jak bagniska, nie można żadnéj ustanowić zasady w przypadkowaniu tego wyrazu. Zgadzając się, że Polska jest przymiotnikiem oznaczającym należność, każącym się domyślać rzeczownika ziemia, dziedzina, należałoby pisać i mówić te przypadki w polskiéj, polskiéj, jak dawni czynili, jak czynimy w imionach własnych kobiet. „Lecz gdy zwyczaj przemógł (mówi Bohusz), piszmyż tak, jak wszyscy piszą: w Polszcze, a jeśli excepcyą robim dla Włochów, Niemców, Węgrów, i przypadkując ich w liczbie mnogiéj, nie mówimy dla analogii we Włochach, w Niemcach, ale we Włoszech, w Niemczech; zróbmyż i dla tego imienia od powszechnéj reguły excepcyą". Zakończenie to w piśmie wydaje się twardém, ale w mówieniu łagodniejsze jest od ostro syczącego *sce*. Tém gorsze jest do wymówienia, jak niektórzy pośrednicy pisali, Polszcze lub w polscze; w zbiegu nawet miękkiéj spółgłoski przy dwóch sadzonych, nie podobna tak łatwo wymówić Polska, Polszce, jak flaszka, flaszce.

Czucić, piszą niektórzy zamiast cucić, pobudzać do czucia, orzeźwiać, które przecież tak zostawić potrzeba, jako mające swoje pochodnie: ocknąć się, ocknienie, (czucie, tkliwość, ciało, tykanie).

Czuch i cuch, biorą niektórzy za jedno, co rozróżnić należy: cuch, cuchnienie, jest smród zgnilizny, czuch wietrzenie psa.

Kacper pisze wielu niepotrzebnie zamiast gładszego Kasper; w małéj liczbie wyrazów, zaczęto późniéj zmieniać *c* na *s*, np. ptastwo dawniéj pisane przez ptactwo. — W potocznéj mowie Polak skłonny jest zmieniać *c* na *s* przed

zakończeniem *two*, już to dla gładszego wysłowienia, już przez nałóg do większéj liczby zakończeń na *stwo*. Robactwo, prostactwo, świadectwo, czego jednak unikać należy. Powszechnie piszemy ptastwo, zamiast dawnego ptactwo, co można tém usprawiedliwić, iż w pochodnich tego wyrazu *k* na *s* się zmienia, ptasi, ptaszyna, itp., co w innych wyrazach na *ak* zakończonych nie zachodzi.

DZ, D, Ć.

Prócz zakończeń trybu bezokolicznego, względem których już się deputacya zgodziła, nie masz względem brzmienia *dź* i *ć* żadnego sporu.

Nieprzyjemne, a z wyrzutni wynikające dżgać, czy dźgać, od podżegać, dożegać nie powinno mieć miejsca w języku. Wyraz ten bez przedimka przez *ź* być pisany powinien.

F.

Brzmienie *f* nie słowiańskie weszło w rząd polskich z wyrazami obcemi. Polacy dążąc do tego, aby tak pisać jak się mówi, w późniejszych dopiero czasach zaczęli pisać przez f, tak jak Włochy, wyrazy przyswojone: fizyka, fenomen, które się przez *ph* piszą w innych językach. Słowianie używają często brzmienia *p* w wyrazach wspólnych obcym za *f*, np. płomień, flamen, fluo, płynę, fleo, płaczę, flavus, płowy.

Nie mogą cudzoziemcy, a tém bardziéj nasi grammatycy, mieć nam za złe, że obce wyrazy staramy się w piśmie do wymawiania naszego stosować. Inne języki, mogą zachować litery języka, z którego biorą wyrazy, bo ich nie zmieniają na końcu, a przynajmniéj zakończeń swoich nie miękczą jak my, ani stwardzają. Moglibyśmy równie jak oni pisać n. p. Voltaire, Rousseau; ale trudno dać tu zakończenia w dalszych przypadkach, n. p. Rousseau—a; moglibyśmy pisać Physica, ale tu prawie wszystkie litery inaczéj się

wymawiają w naszym języku. Nie wiele przeto zaradzimy, pisząc n. p. Philosoph, Caesar, gdzie i *s* jak nasze *z* wymawiamy.

W niektóre wyrazy prawdziwie polskie wkradła się litera *f* w środku umieszczona, z powodu że miękkie *w* trudne jest do wymówienia po głosce mocnéj, dla tego mówimy właściwie kfiat, sfat, sfor. Lecz pisanie *f* w tym przypadku utrzymało się tylko w wyrazach: obfitość, sforność i od nich pochodzących.

Dawni pisali równie obfitość jak okwitość. Wyraz okwitość przyjemny równie dla ucha, mający polskie znaczenie, mówiący do imaginacyi, jako przenośnia od kwiatu, miećby powinien pierwszeństwo przed obfitością, która mając oznaczać pełność, jest tylko czczym i przez ugodę przyjętym wyrazem: dla tego chcą niektórzy dawniejsze okwitość przywrócić. Jednakże to pochodzenie bardzo jest wątpliwe, gdyż w żadnym słowiańskim języku podobnego źródła w tym wyrazie nie widać. Podobniéj do prawdy, że źródłem jego jest *wit*, wyraz w słowiańszczyznie bardzo ważny i rozgałęziony, a mający niezawodnie związek z polskim sowity, na co naprowadzają wyrazy wić, wieniec. To przypuściwszy, wypadałoby pisać obwitość, gdyż tu zbieg spółgłosek nie każe stwardzać *w* na *f*, równie jak w wyrazach obdarzyć, obdzielić, obwiesić, obwinąć; w analogicznym wyrazie od-wierać, raczéj dla dobitniejszego brzmienia, *d* zamienia się na *t*, aniżeli źródłowy wyraz *w* na *f* (otwierać, odfierać). Lecz zwyczaj ma zawsze swoje przyczyny. Nie mogło pozostać dawne okwitość, okwity, z powodu że od tych pochodzące mają swoje oddzielne zakończenia, okwitły, okwitający, okwitniony, kwitnienie, rozkwitanie, czego nie mają wcale wyrazy pochodzące od obfitość, i mają wzajem swoje osobne a potrzebne: obfitość, obficie, obfitować, obfitujący, tak, że naciągniony wyraz okwicie itd. nie będzie miał znaczenia, jakie ma obficie itd.

Równie niedogodnościom podlegałby wyraz obwitość, obwity, który prawda więcéj odpowiada obfitości, lecz pociąga za sobą dwuznaczność obwicie i t. d. Dla tego zapewne przyjęty był wyraz obfitość, chociaż na literze źródłowéj cudzoziemczyzną oznaczony, i przeciw temu zwyczajowi walczyć nie należy.

Sfora (zwora), sforzeń, sforność i t. d. pochodzą od ważnego źródłosłowa *wor* z którym przedimki zupełnie się zrosły, stwor, twór i t. d. Gdybyśmy zachowywali równie między przedimkami *z* i *s*, łatwoby było stałe pisanie tych wyrazów oznaczyć. Linde, idąc za dawnemi pismami, kładzie swora, sworność, bez względu na następstwa głosek, jak piszemy dotąd swar, swój, coby przyjąć należało. Sforność dawni pisali stworność, wytworność, potém przez wysunięcie *t*, *w* na *f*, zmienić się musiało. Czyli ten wyraz tak zostawić, czyli mu przywrócić *t* nie zbyt twarde, rozstrzygać nie śmiem; lecz wnosząc, że *t* weszło u dawnych tylko dla następstwa głoski *w* po *s*, i tę niemal przysługę czyniło, co zamiana *w* na *f*, że zatém oznacza z(wor)ność, swornność, zgodę, jak roztworzyć; byłbym za wyrzuceniem *f* i pisaniem swornność.

G.

G w polskim języku przed spółgłoskami i samogłoskami brzmi twardo, przed samogłoską *e* lub *i* w polskich wyrazach brzmi jak zmiękczone: giermek, giętki, ogień, gibki, ginę, tudzież w niektórych przyswojonych: Gierwazy, Giertruda. Zachodzi więc trudność co do obcych wyrażeń, w których *g* przed *e*, a czasem przed *i*, jak *j* wymawiamy: generał, logika; czasem także brzmi zupełnie po polsku: teologia, teologiem. Grammatykom najtrudniéj stanowić przepisy co do obcych wyrazów. Mówią powszechnie, że wyrazy już w polskim języku utarte i niejako przyswojone, pisać należy według ortografii polskiéj, a mniéj przyswojone, według ortografii języka, z którego są przejęte. Przepis ten jest prawie żadnym, i służyć może chyba na krótki przeciąg czasu; bo wyrazy obce z nowemi wyobrażeniami od obcych przejętemi, mogą się za rok, za dwa, zupełnie przy-

swoić, i gdy przed czasem pisano Voltaire, Rousseau, Shakespeare, dziś piszemy te nazwiska po polsku: tym więc sposobem nigdy nie będziemy mieli w piśmie jednostajności, bo trudno naznaczyć, kiedy nowy wyraz obcy prawo obywatelstwa zyskać może.

Lecz gdy ten przedmiot mojemu zadaniu jest obcym, i przez Bentkowskiego był już rozbieranym, wspomnę tylko pod względem gładkości wysłowienia, że proponowane przez Felińskiego pisanie obcych wyrazów na *ge* przez *gie*, odpowiadałoby prawda brzmieniu polskiemu, lecz nie byłoby pięknem, i nikt nie mówi gienerał, gienealogia, ale jenerał, jenealogia, jeometrya: właściwiéjby więc było pisać te wyrazy tak jak się piszą w obcych językach przez *g*. Chociaż bowiem wielu pisze jenerał, i każdy *ge* jak *je* wymawia, to jednak przyjąwszy, byłaby niejednostajność, w pisaniu téj syllaby w środku wyrazów, np. algebra, loika, tudzież genealogia, psychologia i t. d. Przyzwoiciéj więc pozostać stale przy literze *g* zwłaszcza, że wszystkie wyrazy tu należące są takie, iż nigdy nie będą mogły wejść w rząd spolszczonych, jak np. biskup, msza, nieszpór i t. p.; zawsze więc jako obce pozostać muszą. Tu należy tylko jeden wyjątek anioł któryto wyraz wszystkie języki po swojemu piszą i wymawiają, i który u nas, równie jak powyższe, do przyswojonych należy.

Język polski zmieniając słowiańskie *je* i *h* na *g*, łagodzi często *k* na *g*, np. gwoli, grzeczny, granica, mgnienie, miganie, i t. d. w podobnych wyrazach nie zachodzi już żadna wątpliwość grammatyczna, wyjąwszy zgon, które Trębecki, a za nim i inni chcą wyłącznie przerobić na skon, z powodu, że ten wyraz ma swoje wspólne konać, kończyć i t. d. W dawnych pismach nie ma śladu, kiedy skon przemienił się na zgon, lecz owszem obadwa te wyrazy wspólnie używane były, aż późniéj skon zupełnie przez zgon zastąpiony został, i ze skonu pozostały tylko jego pochodne, jak tylu innych zatraconych wyrazów, np. *um*, *leg* i t. p. Sądzę iż obadwa te wyrazy mają oddzielne źródło i należą do blizkoznacznych. Zgon od gon, spólne jest pojęciu

zgonienie; odpowiada greckiemu agon, gonitwy, zapasy, zkąd agonia, konanie, zagony, gony w dawnéj polszczyznie bitwy, turnieje. Wyraz zgon przystoi raczéj rycerzom na polu walki, gonitw umierającym. W poważnym stylu, używamy tego wyrazu powszechnie za śmierć, i mało kto używa go do śmierci pospolitego człowieka, tém mniéj pospolitéj kobiéty lub dziécięcia. Konanie ma wcale inne znaczenie. Szczególniéj pochodne od obudwu wyrazów wcale są inne: od kon mamy konać, konanie, konający, których zgon, nie ma; od zgon mamy dozgonny, pozgonny, które od konu wyprowadzić się nie dadzą. Przeto byłbym za utrzymaniem słowa zgon, a skon pozostaje tylko w swoich pochodnich, lubo w stylu poetycznym, zamiast skonanie, śmierć, używany być może. Taką różnicę uważał zapewne w obudwu tych wyrazach Trembecki, który mówi:

Umié przez twe staranie Polak już nie ciemny,
Zgon przekładać chwalebny nad żywot nikczemny.

List do St. Augusta.

Gdy ciał naszych budowla niszczejąca zwolna,
Niebieskiego brać ognia już nie będzie zdolna,
Zwać to zwykliśmy skoném.

Zofiówka.

L, *Ł*.

Głoska *ł* niesłusznie za tatarską uważana, jest przyrodzoną językowi polskiemu i dla niego niezbędną. Górnicki radził ją pisać przez *ll* nawet na początku wyrazu llaska (łaska). Myśl tę podała mu zapewne pisownia niemiecka. Gdybyśmy, jak Niemcy w niektórych prowincyach, brzmienie nasze *ł*, jak podwójne *ll* wymawiali, np. gestallt byłoby to jeszcze twardziéj. Takiego brzmienia na początku wyrazu wymówić niepodobna; w środku, zmieniłoby się właściwie wymawianie na kollatać, kllamać, na końcu zaś, musia-

noby zmienić ton samogłosek, podziall, dall, zakall. Nadto, pociągnęłoby za sobą ważne niedogodności w odmianach grammatycznych, szczególniéj co do samogłoski *y*, np. był, bił, cały, cali.

Wnoszą jeszcze niektórzy grammatycy dzisiejsi, ażeby przywrócić miękczenie głoski *l*, na wzór pism najdawniejszych polskich, w których czytamy lias, liùd, o czém i Stojeński nadmienia. Wymawiają i dziś niektórzy Poliésie, liedwo, liuby. Brzmienie to jest jedno z najpiękniejszych; jednakże jak tyle innych brzmień w piśmie być wyrażone nie może, i od połowy XVIgo wieku już w drukach zupełnie znikło.

Języki bratnie, które *ł* wyrzucają, straciły wiele na energii; w naszym nieprzyjemne jest w rymach *ała*, *ały* tém bardziéj łały: pałały.

Ks, *X*.

Polski język nie ma żadnego wyrazu zaczynającego się na *ks*, wyjąwszy słowo naśladowcze ksykać, tudzież parę ledwo wyrazów, gdzie to brzmienie w środku przypada: płaksa. Powszechne, a językowi przyrodzone brzmienia, są *kś*, *ksz*.

Z przyjętemi obcemi wyrazami, przyswojono razem polskiemu alfabetowi literę *x*, którą brzmienie *ks* i *gz* w tychże obcych wyrazach zastępujemy. Brzmienie *gz* czyli *gs* także nie jest przyrodzone polskiemu językowi, mamy go w jedném tylko słowie polskiém nieużywaném gzło. Litera *x* przez Łacinników z greckiego przyswojona, nie czyniła tak ważnéj posługi, jakiéj się spodziewać należy po literze do któréj przyjęcia naród się ujrzał skłonionym. Oznacza bowiem dwa różne brzmienia, o których różnicy nie ostrzega, jak np. regs, gregs, exkuza, lux, maxyma, Mexyk. Tém mniéj przysługi czyni w polskim języku, ponieważ używana stale, obowiązaną jest cztery różne brzmienia zastępować, to jest, *gz*, *ks*, *kś*, *ksz*: egzegetyka, eksklamacya, kśęga, większa. Alfabet polski, nietylko dąży do zgodności pisma

z wymawianiem, ale nadto nie cierpi żadnych liter pojedynczych oznaczających dwa brzmienia, i raczéj jedno brzmienie dwiema literami wyraża, jak *sz*, *cz*, *dz*. Gdyby więc podług Kopczyńskiego literę *x*, dla zastąpienia dwóch liter *ks*, przyjął, powinienby raczéj na téj zasadzie przyjąć od tylu projektowane *sz*, *cz*, *dz*, przez pojedyńczą literę; tém bardziéj powinienby przyjąć rossyjskie *szcz*, które równie jak *x* dwa brzmienia oznacza, a na którém możnaby w piśmie trzy litery oszczędzić. Lecz to przyjąwszy łatwą rzeczaby było, inne brzmienia podwójne częściéj się z sobą stykające, jedną literą oznaczać, tym sposobem moglibyśmy wrócić do dawnych skróceń słusznie zarzuconych. Polski język szczególniéj, nie może dwóch brzmień jedną literą oznaczać, bo jedno z tych brzmień, zmienia się często w dalszych formacyach, np. mieszczę mieści, więksi większy, coby sprawiło zawikłanie grammatyczne. Tém bardziéj gdybyśmy pisali, np. większy, więksi przez więxy, więxi, musielibyśmy do *x* w słowie większy, lekszy, upiększy, dodać albo trzecie brzmienie *ż*, albo *x* znamionować, które to znamię oznaczałoby dwójkę *sz*, połączoną z brzmieniem *k*. Dla téj niedogodności Polacy piszą równie *x*, jak *ks*, to jest najczęściéj *x* w wyrazach obcych, *ks* w wyrazach polskich. Niemiałbym nic przeciw pisaniu wyrazów obcych przes *x*; pomijam bowiem mniéj ważną niedogodność, że inaczéj się wymawia examen, a inaczéj expedycya, gdyż w należytym wymawianiu takich wyrazów, nie mylimy się i w łacińskim języku; lecz trudność zachodzi wtenczas, gdy obce wyrazy na *x* zakończone, podlegać muszą odmianom zakończeń polskich. Obojętna jest np. pisać lub mówić kodex, lecz pisząc, w kodexie, taxie, Jaxie, nie oznaczam że tu druga połowa *x* przybiera brzmienie *ś*; podług takiego pisania wypadałoby mówić w kodexje; toż samo w imionach własnych Alexjejowicz, Alexjo. Nadto, w wyrazach obcych, w których po *x* następuje *i*, zmuszeni jesteśmy pisać *y* zamiast *i*, np. maxyma, ażeby nie umiejący tego języka nie czytał makśima, Makśimilian, bacząc że przed *i* brzmienia są miękkie. Kiedy więc pozwalamy sobie jednę literę *i* w obcym wyrazie zmieniać, czemuż

nie mamy zmienić drugiéj, gdy tego większa jeszcze zachodzi potrzeba, wszak dla podobnéj przyczyny piszemy Kurcyusz, nie Curcyusz, Horacyusz za Horatius, Cicero i wiele innych. Nie widzę nawet, na jakiéj zasadzie pisalibyśmy obce nazwiska tych języków, które przez *x*, *ch* wyrażają, np. imiona hiszpańskie Xymena i dla czego mielibyśmy je zmieniać na *ks*?

Polskich wyrazów równie na *ks* jak *ksz* zaczynających się, mamy bardzo mało. Na *ksz* jest tylko jeden, kształt z niemieckiego gestalt. Na *ks* mamy tylko kilka wyrazów z jednego zapewnie źródła pochodzących: ksiądz, książę, książka, księżyc, które przez *ks*, lub *x* piszemy. Już namieniłem, że łacińskie *x* przez *i* zmiękczone, nie może odpowiadać polskiemu brzmieniu *ś*; należałoby więc czytać xjąże, xjądz. Nie lepiejże trzymać się wyraźnego polskiego brzmienia i pisać stale: ksiądz, książę?

Jeżeli tu idzie o skrócone pisanie: Xiądz, W. X. Mość, nie wiem czemuby dla skróceń, zmieniać naturę ortografii polskiéj, zwłaszcza gdy po upowszechnieniu druku i papieru, mało są używane. Lecz kto chce wyrazy skracać, może je skrócić przez napisanie dwóch początkowych liter *kś*; lub wreszcie niech pisze *x*, tak jak się pisze etc, dito, i tym podobne ugodne znaki.

W ogólności litera ta, jako znacząca brzmienie *ks*, prócz języka łacińskiego, bardzo mało w którym jest używaną, inne języki piszą ją w obcych wyrazach, bo jéj przez spadkowanie zmieniać nie potrzebują, tak jak my, np. na *kś* i *ksz*. Niemcy nie mają żadnego brzmienia na *ks*; *x* jest im tylko podręczną literą, w wyrazach w których są niepewni, czy pisać *ks*, czy *gs*, czy *chs*, jak np. Axt, Hexe. Jestto posługa dogodna, ale ukształconemu językowi nie bardzo przyzwoita.

Byłbym więc za stałem pisaniem w polskich wyrazach *gz*, *ks*, *kś* i *ksz* w miejscu *x*.

R, *RZ*.

Litera *r*, którą Cicero caninam zowie, według Vossiusza właściwa dyalektowi spartańskiemu, odpowiadała surowym tego ludu obyczajom. To brzmienie skupione zwykle z innemi spółgłoskami, właściwe jest językowi niemieckiemu, co szczególniéj jest przyczyną jego twardości. *R* wymagające drżącego poruszenia języka, zatém trudne do wymówienia, które dzieci przez *l*, źle wymawiający przez charczenie niejakie zastępować zwykli, przybiéra gdy jest na początku wyrazu w greckim języku *h*, w słowiańskich znamię miękczące: *ri*.

Niemcy nie łagodzą go nigdy, wyjąwszy jeden wyraz Rhein (rennen, rinnen) co według Adelunga z greckich zapewne pisarzów przyjęto. Polacy łagodzą je przez dodane brzmienie syczące *z*, *rz*, co należy do szczególnych własności języka.

Łączenie z głoską *r*, brzmienia przydechowego *h*, lub syczącego *z*, jest bardzo naturalne, gdy przy wymawianiu rozciąglejszém *r*, odgłos *h*, przy mocniejszym zaś oporze języka w wypuszczaniu powietrza, brzmienie syczące *ź* słyszeć się daje, zaczém mówią naśladujące wyrazy: chrapać, chrypka, rżyć, drżéć, grzmot, skrzypieć.

Języki skłonniejsze do brzmień gardłowych miękczą zwykle *r* przez *h*, skłonniejsze zaś do syczenia, przez *z*.

H, lub *ch*, kładą niektóre języki przed *r*, czego są ślady i w polskim, np. dawne: chrobak, chrobot, chrust, chrząszcz albo chrzabąszcz, (od rózga) chrust, chrzan, które w słowiańskich językach w *r* mają źródło; niektóre przeszły na *g* i *h*, jak widać, w odgłosach chrząkać, krząkać, rzechotać, grzechotać, skrzeczyć, ryk, krzyk i t. p. tudzież na *g*: grzebać. Adelung mówi, iż w wielu językach, nawet w niemieckim i łacińskim, pospolitą jest zamiana *r* na *z*, łagodne *s*, czego przykłady wymienia. Język polski nie zmienia go zupełnie na brzmienie syczące w pisaniu, jak *g* na *z*, *ch* na *sz*: (mogę możesz, duch dusza), lecz je zamienia prawie zupeł-

nie w mówieniu, np. nierządne żądze, żyje z rzemiosła. Brzmienie to nosi na sobie cechę wszystkich innych gałązek miękczących, lubo same z siebie, ani jest miękkie ani przyjemne, zwłaszcza w zbiegu innych syczących. Inne głoski miękczą się przez brzmienie *i*: *bie*, *cie* i t. p.; *r* przez samo naturalne tchnienie w przeciągnieniu mocniejszém téj zgłoski, przybiéra *z* przyciskowe, jak w podobnym przypadku *d* przybiéra syczące *z*, lub *t*, *s*.

Serbowie w Luzacyi, nawet w piśmie wyrzucają zupełnie źródłowe *r*, i tylko brzmienie syczące zostawują. Czechy mają także *r* syczące; Hanka mówi: „Pisywało się za starych czasów Borziwoy nie Boriwoy, nie snadno jest zgadnąć, kiedy właśnie BRIZGAWE *r* albo *rz*, u Czechów a Polaków powstało.“ *

Brzmienie to, tak jest w polskim języku upowszechnione, że ani w mówieniu, ani w pisaniu onego dobrze mówiący i piszący w niczém się nie różnią; jest tylko spór względem wyrazów środek, źrodło, źrenica, które mają liczne rodzeństwa, a które oddawna nigdy stale pisane nie były.

Choćby wątpliwość być mogła, czyli piérwiastkiem wyrazów źródło, środek i t. d. jest RÓD, wyrazów zaś pójrzenie, źrenica, zór, o czém jednak rozpatrzenie się w Słownikach widocznie przekona; to przecież nie byłoby jeszcze dowodem pisać *rz* źrzodło, źrzenica, zamiast źródło, źrenica; bo słowo zrzeć, przez Lindego nawiasowo tylko wspomniane, a przez Felińskiego za jedyne przyjęte, nie może być także pewnym źródłem; powodem do tego, jest gładsze wysłowienie, w niczém nie zacieniające pochodzenia tych wyrazów, i w niczém naturze języka nieprzeciwne.

W słowach źrzódło, źrzenica, *r* miękczone jest z obudwu stron, i to przez głoski syczące, wśród którego rozmiękczenia stapia się zupełnie, traci dla ucha pierwiastek bez żadnego zysku dla harmonii. Zbiegające się dwa syczące

* Starobyła składanié.

S. ANTONIEGO
w Nowem Mieście n/W.

razem zmiękczenia, z których jedno *z*, możnaby nazwać razem eufoniczném, a drugie *rz* tylko grammatyczném, czynią gorsze złe niżeli brzmienie *r* które miały złagodzić. Lubo więc głoski przybiérają brzmienie mocne lub słabe, według zetknienia się z sobą, nie można jednak *rz* brać za jedno z miękkiemi głoskami, gdyż nikt nie przyzna, że łatwiéj jest mówić: wsrzód, śrzoda, źrzódło, niżeli wśród, środa, źródło. Przytem, *rz* ma przed sobą i po sobie równie mocne jak słabe głoski, lecz nie ma nigdzie zmiękczonych, jak to widzimy w wyrazach zrzec, zrządzić, wrzeszczyć, skrzesać, sprzeczka, sprzączka (raczéj sprzążka), opatrzny, trznadel, gorzko, chrztu, krzyż, brzeg, przeczyć, drewno, żre, skrzypce.

Nie może także służyć za powód pisanie źrzenica, uwaga, iż *r*, nie zwykło spływać na głoskę *e*. Na początku wyrazów, głoski pojedyncze wszystkie bardzo rzadko na *e* spływają, i te albo są mniéj foremne, albo naśladujące; przeciwnie *e* po głosce zmiękczonéj, albo po dwu głoskach, bardzo jest pospolite, cierpieć siérp, krew', kres i t. d. Wreszcie, ta uwaga nie może się stosować do źrodła, środy i t. d., lecz tylko do średni, źrenica. Również *r* samo przyjmuje po sobie bezpośrednio inne miękkie i słabe głoski, śmierć, sierć, ćwierć, pierś, pasiérb. Zgoła nie ma wyraźnych powodów, dla którychby *r* w pomienionych wyrazach nie mogło spływać wprost na samogłoskę.

Kiedy więc w pomienionych słowach *r* już z prawéj strony zmiękczone jest przez *ś* lub *ź*, nie ma potrzeby miękczyć go powtórnie przez mniéj przyjemne *rz*, zwłaszcza w zbiegu głosek syczących.

Z głoski *z* mogę przejść do *ź* lub *ż*, np. z-żymać się, z-ziębnąć, z-żółkły, z-zielenić, ale nigdy od *ż* do *ź*, albo od *ż* do *ź*, gdyż to byłby skok trudny, cóż dopiéro wtenczas, gdy te dwie głoski przedziela brzmienie najtwardsze, *r*. Tém trudniejsze jest takie przejście z mocniéj syczącego *ś* na *ż*; zbieg taki w żadnym się innym razie nie zdarza.

Przeciwność takiego brzmienia czuli dawni Polacy i woleli tych wyrazów wcale nie zmiękczać.

Pozrzał na dół, smok k'niemu się ściąga,
Uzrzał, jabłka nędzny nieboraczek.

Rey.

Lecz gdy to miało brzmienie tak niemiłe, woleli źródłowe *z* zupełnie wypuścić, jak n. p. dojrzały, przerzenie pańskie. Gdy i to harmonii nie wiele pomogło, zamienili *s* czy *z* na miękczące *j*, tam gdzie to brzmienie połączone jest z jakim przedimkiem, dojrzały, pojrzenie, jak to czynimy z innemi głoskami: zdrajca, ogrojec itd. Ten sposób utrzymał się najpowszechniéj, zostało w nim brzmienie *rz*, nie zbiegające się z drugą syczącą samogłoską zmiękczoną.

Byłbym więc zdania:

1) Że wyrazy nie powinny mieć zbiegu *śrz* wychodzącego na jedno co *źź*, którego w żadnym wyrazie nie ma i być nie może. Należy więc pisać śród, środa, toż samo co do przedimków wśród, pośród, pośredni, ośródka.
2) Wyrazy zaczynające się na *źr*, mające przedimki, a zatém mogące mieć zastępcze brzmienie *j*, powinny zachować brzmienie *rz*, jako łatwe i nie sprawujące przykrego brzmienia: doj-rzały, poj-rzenia, zajrzę, pod-ej-rzenie itd.

Lubo niepewne jest pochodzenie wyrazu źrebię, dla analogii jednakże pisaćby go wypadało źrebię. Ponieważ w wyrazie szron, *sz* nie jest zmiękczeniem, należy pisać szron, tak jak srogi, sromota, lub jak obce szruba, szrót, lubo ten jeden tylko jest polski wyraz szron, zaczynający się na *szr*.

Słowo Śrzeniawa nie może służyć za powód pisania wszystkich podobnych przez *śrz*. Lubo zapewne pochodzi od szron, i w herbie rzekę oznacza, atoli jako nazwisko zostać powinno nietykalne, jak tyle innych; bo jeżeli się brzmienia z postępem wieku zmieniają, mniéj temu podlegać winny nazwiska. One prócz tego nie powinny nigdy wchodzić w dowody grammatyczne, ponieważ mogą być zupełnie dowolne, z innych wyrazów wymyślone lub przerobione. Nawet narody

całe nie są pewne względem swych nazwisk. Nieforemny jest dotąd wyraz Polska, Polszcze, i Niemcy nie zgodzili się jeszcze, czy się mają zwać die Deutschen, czyli die Teutschen; różnimy się nawet w pisaniu Sławianie i Słowianie.

O spółgłoskach syczących.

Brzmienia syczące, jak już namieniłem, są w polskim języku panujące; te najwięcéj zbiegają się z sobą, te wymowę i pismo szpecą. Głoska *z* najłagodniejsza, odpowiadająca francuzkiemu raison, rozum, niemieckiemu Seele, zelżyć, jest najpospolitszą. Zmiękczona na *ź* jest równie jak *ś* piękną i wyłączną własnością języka; najprzyjemniéj na samogłoskę spada, i *d* na końcu wyrazów zmiękcza. *Ź* nie zdaje mi się mieć spólnictwa z *z* i *ź*, gdyż się z sobą nie zamieniają; mówią za tém osobne postacie liter nadawane mu w cerkiewnym, raguzańskim i w indyjskim dyalekcie. Nadto *ź* jest najpowszechniéj zmiękczeniem głoski g; *sz* odpowiadające obcym: chaste, Schatten, nie jest równie gładkości przeciwne, nieprzyjemne tylko na końcu wyrazów, gdzie częściéj w polskim, niż w innych językach przypada. Nadto *s* połączone z brzmieniem *c*, *r*, *s*, przybiera brzmienie przyciskowe, które połączone z inną spółgłoską lub z syllabą, także przyciskową, jest nieprzyjemne, np. cztery, przyrzecz, rzeczy itp, tém bardziéj tam, gdzie brzmienie *szcz*, przypada: wrzeszczysz, plaszczesz. Głoska *z*, taką gra rolę w alfabecie między spółgłoskami, jak między samogłoskami *i*; obiedwie najwięcéj zapełniają karty pisma polskiego: *i* oprócz miejsc gdzie samo za siebie stawa, czyni służbę dziesięciu spółgłoskom, które daleko częściéj z niém, niżeli same występują; *z* służy tylko trzem literom *c*, *r*, *s*, ale przeto nie mniéj ma do czynienia.

Nadto *z* będąc przedimkiem trzy względy oznaczającym, zakończając przyimki przez, roz, występując to z kropką to z kréską, miękcząc i stwardzając litery, jest jak sługa wiele obowiązków pełniący. Oprócz przyczyn, o których Szwejko-

wski i Mroziński dość już powiedzieli, wielu było i jest zatém, aby połowę tych obowiązków przez *z* pełnionych, głosce *s* narzucić. Lecz dla uniknienia powtarzanych znaków piśmiennych nie można stwardzać wymowy. Z jest spółgłoską bardzo łagodną, mogącą się łączyć z wszelkiemi miękkiemi i twarmi brzmieniami, gdy *s* tylko ostrości dodaje. Niedogodność czystego używania jednych brzmień liter i znamion, znosić muszą wszystkie języki, jak of, the, le, la, der, die, das, jak w rosyjskim języku, znaki miękczące i stwardzające.

Częste brzmienia *z*, *ź*, i *s*, *ś*, *sz*, oznaczają we wszystkich językach ruch z szumem, szelestem, łoskotem połączony.

..... Świszczą wiatrow dmuchy
I snują po posadzce z szelestem liść suchy.

Tymieniecki.

Adelung czyni postrzeżenie, że w słowach zaczynających się od dwóch i więcéj spółgłosek, druga lub ostatnia jest zwykle źródłową, i że to służy osobliwie wyrazom od *s* się zaczynającym. W wielu językach dodawano tę głoskę tylko ze skłonności do tego brzmienia. Są nawet języki, w których prawie żadnéj spółgłoski bez *s* wymówić nie chcą. Postrzeżenie to winni zapewnie jesteśmy przedimkom, które jak w naszym tak w innych językach mają brzmienie syczące ex-, es, dis, aus-, iz-, z których samogłoski odcięto. Przeglądając słownik Lindego pod głoskami *s*, *z*, *sz*, bardzo małą liczbę znajdziemy wyrazów, w którychby te brzmienia nie były przedimkami, chociaż często już zatraconemi. Polacy wyrzucili *i* z przedimka słowiańskiego *iz*. Włochy *e* z przedimka *es*, (*ex*), jak stinare, svellere, struccare i sbarcare (sbarkować), scalcare (zżuć).

S, Ś, Z, Ż.

Są wyrazy, w których nie jednostajnie *s* lub *ś*, *z* lub *ź* piszemy. To zdarza się najpowszechniéj przed zmiękczonemi głoskami *p*, *m*, *n*. Nie różnimy się nigdy w wyrazach spiąć,

spieka, wyspie, jaśnie, właśnie, trzaśnie, śmieszny, taśmie, weźmie. Ale jest niezgoda w mówieniu i pisaniu, spi, śpi, spieszy, śpieszy, pasmie, paśmie, ojczyznie, ojczyźnie, przyjaznie lub przyjaźnie wpływać.

Przyczyna téj różnicy co do *p* polega, według zasad Mrozińskiego, na tém, że *s* jako podniebienne, przed *p* zmiękczoném jako wargowém, może być twarde lub miękkie. Tę dogodnoşć zamienił zwyczaj na stałe używanie brzmienia *s* w niektórych wyrazach spiknąć, ospie, wyspie. Niezgodność więc co do *s* lub *ś* przed *p* zmiękczoném, zachodzi tylko na początku wyrazów, gdy nie jesteśmy pewni, czyli *s* jest w tym wyrazie przedimkiem: spi, spieszy, śpi, śpieszy, bo gdy przedimek jest wyraźny, wtenczas wątpliwość upada, mówimy i piszemy wspiérać, wspinać się, spisek. Zwyczaj bardzo już powszechny, nie przestanie w tym razie na zastosowaniu się do brzmień wspólnych, wargowych lub niewargowych śnieg, śmiéch, moście, poście, ciśnie. Dobitniejsze wysłowienie, do którego język na początku wyrazów jest skłonny, co w głośnych deklamacyach najlepiéj czuć się daje, wzgląd na to, że *ś* i *pie* są różno-organne, że to *pie* jest brzmieniem mocném chociaż zmiękczoném, radzą kłaść w tych wyrazach *s* niezmiękczone. W wyrazach przyswojonych nie mieścimy *ś* przed *pie:* szpieg, szpinak; spiritus, aspirant. W podobnych zdarzeniach przed wargowém *b* kładziemy odpowiednie słabe *z*, lecz go nigdy nie zmiękczamy zbić, zbierać. Podobnie przed *k* nie ma nigdy *s* zmiękczonego skinąć, skisłe, skiba, skir. W jednym tylko wyrazie śpiéw, powszechniejsze jest *s* zmiękczone dla tego zapewne, iż w nim tylko po miękkiém *p* następuje *e* pochylone, gdzie przeto mocniejsze brzmienie nie ma na czém się oprzeć.

W zakończeniu wyrazów nigdy się *ś* przed miękkiém *p* nie zdarza, a zbieg samych nieściśnionych jest tylko w kilku wyrazach wyspie, ospie, kryspie.

Podobnie piszemy *s* lub *ś* przed *m* zmiękczoném, z powodu że jest wargowe: pismie, piśmie. Stale jednak wymawiają i piszą wszyscy miękcząc obadwa te brzmienia na po-

czątku wyrazów śmiech, śmiało, uśmierzyć, śmigać, dla tego, że głoska *m'* oprócz zmiękczenia jest słabą, a spadek z mocnego brzmienia na słabe osłabione jest nie piękny i trudny, tak jak łatwy jest zmienić, zmięszać. W zakończeniach tylko, równie jak co do *s p* bywa niezgodność: pasmie, pismie, paśmie, piśmie, i tych wyrazów, także mała jest liczba. Taśmie, piszemy stale przez *ś* jak taśma, taśmy, pismie pisaćby należało, jak pisać, pisarz.

S przed literą *ń* jako słabą, zmiękczoną i podniebienną, może być zmiękczane lub nie. Na początku wyrazów, z téjże przyczyny, jak *m*, bez wyjątku bywa zmiękczane i takie wysłowienie zawsze jest piękne: śniég, śniedź, śniady, śnie. Przy zakończeniu wyrazów, w jednych piszemy zgodnie *ś:* jaśnie, baśnie, głośnie, donośnie, pieśni, w innych wahamy się w zmiękczeniu: sprośni, zazdrośni, litośni, boleśni. Należałoby wszędzie *s* przed *ń* zmiękczać jak je zmiękczamy przed płynnemi: wiośle, wieźli.

Brzmienie *z*, jako z każdém inném łączyć się mogące, i jako przedimek, nigdy się na początku wyrazów przed *m* i *n* nie zmiękcza: zmierzyć, zniżyć, znieść. Gdzie nie jest przedimkiem, tam inne ma brzmienie: żniwo, żmija. W końcu wyrazów, a mianowicie w zbiegu zakończeń grammatycznych, ulega téjże naturze, co *ś́n*: przyjaźni, drażni, raźni, łaźni. Zachodzi tylko niezgodność wymawiania przed zakończeniem wzgląd oznaczającém zna, znie, źnie, ojczyzna, ojczyznie lub ojczyźnie. Niezgodność ta częściéj się trafia niżeli przy *ś́n*, ponieważ *z* jest miększe od *s* i w wymawianiu małą czyni różnicę. Przed syllabą *nić* wzgląd oznaczającą, *z* urabia się według zwykłéj zamiany głosek na miększe w grammatycznych formacyach: powróz, powrożnik, róg, narożnik, groza, groźni, wysoko, niz-ko, wyż, niż, wyżnik, niżnik. Lecz ponieważ tu syllaba zna, znie jest wzgląd oznaczająca, równie ważna, jak stwo, stwie, która według mnie, tak jak przedimek syllabę stanowiący, nieodmienną być winna; ponieważ w téj syllabie *z* jest głoską do oznaczenia względu potrzebną, nie zdaje mi się rzeczą stosowną, aby było zmieniane, tém bardziéj, iż tu nie

ma żadnych powodów przez organ mówienia wymaganych. Dobitniéj, a razem gładziéj wydaje się uchu mojemu mieliznie, siwiznie niżeli mieliźnie, siwiźnie, gotowiźnie, włoszczyźnie.

O przedimku *roz.*

Szwejkowski w pismie swojém o przedimku *s* i *z* jest za stałém pisaniem przedimka *roz* i miał do tego powody:

1. Że przypadek *ob* w podobném następstwie spółgłosek nie zmienia się na *op.*
2. Że na wyrazy zaczynające się od litery *s*, nie potrzeba robić wyjątku.
3. Że syllaby jako części wyrazów dające się osobno uważać, mogą mieć postać ustaloną blizko jak całe wyrazy.

Późniéj wniesioną została kwestya mówiąca za pisaniem *s* lub *z*, lub *sz*, według następstwa głosek: rossiekać, roszczynić, rozczesać i t. d.

Obowiązany bronić miększego wysłowienia jestem za zdaniem Szwejkowskiego i do przytoczonych jego powodów mam jeszcze następujące:

1) Że nie tylko *ob* ale wszystkie przyimki stanowiące syllaby rozłączne, czy nierozłączne, nigdy zmianie nie ulegają, kończąc się bowiem albo na samogłosce: do, po, prze, przy, albo na słabéj spółgłosce: pod, przed, roz, od, łatwo przybiérają wszelkie brzmienia, z któremi łączyć się muszą: obstrzygać, obszarpać, obrażać i t. d. w zbiegu zaś trudniejszym do wysłowienia, przybierają podręczne *e:* rozeprzeć, lub równie w ich zakończeniach cechowych znoszą zbieg jednakich głosek: oddać, panna, co w środku wyrazów nadzwyczaj rzadko się zdarza.

Chce więc język polski mieć wszystkie takowe przyimki ustalone, jako bardzo ważne, bo często połączone z wyrazem, zupełnie znaczenie jego zmieniają.

2) Nie wątpię, że wszystkie wyrazy zaczynające się na *roz*, składają się z tego przyimka, nawet rozkosz, czego

wywód znaleźć można u Lindego pod wyrazami k o s z t o w a ć, k ą s a ć, g u s t, r o z k o s z, u Adelunga k a u e n, k o s t itd. zkąd dowód, iż ten wyraz we wszystkich językach znany, bardzo jest starożytny, przypominający jeszcze zupełną zmysłowość, gdy jedzenie było największą rozkoszą, od któréj wzięły nazwisko wszystkie inne. Również dowodzą słowniki pochodzenia wyrazu r o z p a c z, czego wywód byłby tu zbyteczny; r ó z g a, r o s n ą ć, r o ś c i ć itd. mają swoje oddzielne znaczenie, pochodzą z jednego źródła r o ś ć, i piszą się lub przez *o* znamionowane: r ó z g a, lub przez *s* r o s n ą ć; r ó z g a jest nawet przerobionym wyrazem z r o s t k a, r ó s z c z k a. Gdyby nawet wywód słowa r o z k o s z i r o z p a c z mógł wątpliwości ulegać dla dwóch wyrazów, nie można psuć jednostajności pisania, i przyzwoiciéj jest parę wyrazów do większości dołączyć.

3) Przyimek *z* nie stanowiąc syllaby, musi łączyć się ściśle z głoskami, które spływają na swoją syllabę: głoska *z* z przedimka *roz* tego nie potrzebuje, bo ma swoją własną samogłoskę, do któréj tak ściśle należy, jakby było słowem zupełnie osobném; jest z nim połączoną tytułem unii, nie hołdownictwa.

4) Zwyczaj dawnych i nowych pisarzów do niczego nie może być w tym przedmiocie skazówką, bo ten bardzo jest różny. Przed literą *c, k, p, t*, piszą niektórzy *ros*, nawet przed miękkiém *ć:* r o z c i ą g n ą ć, inni opuszczają *z* przed *sm, szw, si, st*: r o ś m i e s z y ć, r o s t a ć (czego już w nowszych pismach nie widać); inni piszą *ś* przed *ć:* r o ś c i e r a ć, r o ś c i ą ć itd.

Linde więc słusznie mówi: „że jednostajność wywodu źródłosłowego wymaga pisać wszystko podług liter pierwiastkowych, boby się nie bardzo zgadzało pisać: r o z e p c h n ą ć, a r o s p y c h a ć, r o z e p r z e ć a r o s p i e r a ć, r o z e j ś ć a r o s c h o d z i ć, r o ś c i e r a ć a r o z e t r z e ć".

5) Zmiękczone *roś* przed miękkiém r o ś c i e r a ć, r o ś c i e k a ć, lubo mniéj gładkości przeciwne, nie powinno mém zdaniem mieć miejsca, gdyż język polski nie jest skłonny do głosek podwójnych mocnych, ani syczących, gdyż wtedy wypadałoby także miękczyć *z* przed *ź* r o ź ź i ę b i ć, r o ź ź i e l e n i ć, co przynajmniéj dla dobitności mówienia nie jest korzystne; a co większa, wypadałoby według téjże zasady pisać r o ź r z ą d z a ć, r o ź r z e w n i ć, tak jak się pisze ź r z ó d ł o, ź r z e n i c a, na coby zapewnie publiczność nie przystała.

6) Rzadko bardzo w polskim języku schodzą się trzy spółgłoski przyciskowe, albo zmiękczone. Gdybyśmy je pisali, musiałaby jedna w wymawianiu zniknąć: gdybyśmy przyjęli np. r o ś ś m i a ć s i ę, zam. r o z ś m i a ć s i ę, albo r o z e ś m i a ć musielibyśmy mówić r o ś m i a ć s i ę. Wyrzucamy *ść* np. w wyrazie s z e ś c i e n n y dla zbiegu trzech zmiękczonych, i tubyśmy je z czasem wyrzucić musieli.

7) Rozdrobnienie tego przyimka na *roz*, *roś*, *noź*, *rosz*, zrodziłoby trudność dla uczących się w poznawaniu wyrazów w rozkładzie słowników, a mianowicie w dzieleniu syllab, np. w słowach r o s z c z ę, r o s z c z e s a ć, r o ś c i e k, r o s z c z y n (r o z c z y n) i t. p.; wtenczas potrzebneby może było używane przez Śniadeckiego odłączanie przedimków przez linijkę.

To samo zastosować można do przyimka *bez*, który także pisany jest niejednostajnie, b e z p i e c z n y, b e s p i e c z n y, b e ś p i e c z n y, tak jak w rozłączoném mówią niektórzy b e ś c i e b i e, a które nieprzyjemnieby brzmiało w słowach n. p. b e s c z y n n y, b e s z c z e s n y, z b e s z c z e ś ć i ć.

Z tych powodów byłbym za jednostajném pisaniem przedimków *bez* i *roz*, tak jak są w Słowniku Lindego; zwłaszcza, że gładsze to wysłowienie nie sprzeciwia się żadnym przepisom grammatyki, lecz je owszem ułatwia, dając poznać, że wszystkie przedimki składające syllaby, są niezmienne, i uważać się powinny jak całkowite wyrazy, bez względu, czy są połączone z innemi lub nie. *Z* przybierając *e*, np. z e b r a n y, nie może tu należeć, ponieważ *e* stanowiące syllabę, jest tu tylko tymczasowe, mogące się według woli wypuścić; równie o b e t k a ć, o d e p c h a ć, r o z e p c h a ć, b e z e d n o.

szcz.

Połączenie tych dwóch brzmień syczących, a czterech liter, szpeci wymowę jak pismo. Zbieg ten jednak jest przyrodzony językowi naszemu i słowiańskiemu, a w pismie już mu teraz zaradzić niepodobna. Na początku wyrazów, składa je powszechniéj przyimek nierozdzielny. Gdyby różnice przyimka *z* i *s*, *cum* i *ex*, nie musiały w naszym języku uledz co do brzmienia następstwu spółgłosek, moglibyśmy pisać z-częśliwy, s-czep lub z-czepit. d. Lecz gdy wymawianie tych przedimków przed spółgłoskami, zwłaszcza twardemi, mało odróżnione być może, przeto je Polacy zaniechali, a dążąc do tego, aby tak pisać jak mówią, woleli się i w pismie trzymać jedynie zasady następstwa głosek, woleli oraz przykrzejsze pisanie, łatwiejszemu wymówieniu poświęcić. Przy tém nie mogłoby się tego brzmienia uniknąć w środku wyrazów, w których *sz*, dwójkę *cz* poprzedzając, w żaden sposób być przedimkiem nie może. Pisząc zaszczyt, jeszcze, jak pisał Wujek i co wznowił Kopczyński, nie piszemy tak jak mówimy. Kiedy przedimek nierozdzielny *z* zmieniać się musi na *s* przed twardą spółgłoską: skupić, na *ś* przed miękką: ścinać, musi być zmieniane na *s* przyciskowe pod takiémże brzmieniem, szczaw, szczęk. Znośnyby był wyjątek dla piękności wysłowienia, lecz tu wysłowienie jest tylko utrudzone, i zaradzając cokolwiek pismu, szkodziłoby się wymawianiu. Myślę zatém, że rozsądne w tym przedmiocie zdanie Felińskiego (str. CXXXVII.) przyjęte będzie.

Odważam się jednak wymienić parę wypadków, w których nie widzę potrzeby pisania całéj téj czwórki; np. w wyrazach szczkawka, za czkawka, nieboszczka za nieboszka, roz-szczepiać za roz-czepiać, szeleszczy za szeleści. Polacy zmienili już niektóre *szcz* słowiańskie na inne brzmienia, np. szczo na co.

Późniéj, przy większéj uprawie języka przez obcowanie, znajdą się może sposoby zaradzenia temu istotnie przykremu zbiegowi. Jeżeli n p. w wielu wyrazach ostatnią spółgłoskę syllaby, przed spółgłoską następującą, a czasem i dwie wyrzucamy, np. sześcienny, może da się kiedy w tych przypadkach *sz* przed *cz* pomijać. Już je nawet, chociaż w niewielu wyrazach wypuszczamy; np. cudzoziemczyzna, deska, zamiast cudzoziemszczyzna, deszczka itd. albo może być nawet złagodzone przez zostawienie właściwéj spółgłoski, np. staroświetczyzna, jak matczyzna, Wołoszyzna (Wołochy), zamiast Wołoszczyzna, Pomorczyzna, zamiast Pomorszczyzna, jak mówimy Wołoch, Pomorczyk. W dawnych drukach jeden tylko znalazłem wyraz, to jest oczyszczenie, pisany wszędzie oczyścienie (Postilla Wujka Kaz. o oczyścieniu P. Maryi). Knapski nawet, i wszyscy bez wyjątku dawni kaznodzieje, jakich przeglądać mi się zdarzyło, piszą stale oczyściać, oczyścienie.

ś, sz.

Na poczatku wyrazów polskich piszemy pospolicie *s* lub *ś* przed spółgłoskami *l*, *p*, t, w tém zdarzeniu *s* lub *ś* jest przedimkiem. W wyrazach cudzoziemskich piszemy przed temiż spółgłoskami *sz*, stosując je do cudzoziemskiego wymawiania: szlaban, szpada, szturmy.* Brzmienie *sz* nie podpada w tém zdarzeniu wątpliwości; pozostają tylko niektóre niepewne jeszcze wyrazy, które należy podciągać pod *ś* albo pod *sz* przyswojone.

Ślad. Januszowski radzi pisać przez *sz* od szedł. Gdy jednak wyrazy pochodnie śledzić, śledztwo, poślednik, naśladowca, już są stale przez ś pisane, należy więc ten wyraz zastosować do przyjętéj zasady miękczenia spółgłosek według następstwa.

Ślak, znaczące brzeg wązki, równie przez *ś* pisać wypada, jako należące zapewne do ślad, jako będące w polskim i niemieckim języku źródłem wyrazów (schleichen, prze-

* Nieprzyjemny i nie bardzo potrzebny jest wyraz szlochać od schluchzen, łkać, łykać, schlucken.

ślizgać się). Wzięte z niemieckiego szlag, apoplexya, albo potrzask, Taubenschlag, nie jest w używaniu, i nie do tego źródła należy.

Słóza. Nie masz powodów pisać ten wyraz przez *sz* w mniemaniu, że pochodzi od Schleuse. Wyraz ten, oznacza w niemieckim języku tylko kanał, i narzędzie tokarskie, w polskim, znaczy prócz tego ukos, spadzistość, tudzież zamulenie wnętrzności, i zdaje się miéć piérwiastek złóg, zlegać, leż, łoże; albo raczéj spólne jest wyrazowi śliźkie, prześlizgnąć się, odpowiednie wyrazom claudere, ciusa, schleissen, zamek, przesmyk, zmykać.

Ślaz. Czyli oznacza ziele, czy czwarty żołądek zwierząt przeżuwających, wszędzie w dawnych książkach pisane jest przez *ś*. Pochodzenie tego wyrazu trudno oznaczyć, lubo przynajmniéj w drugiém znaczeniu (anatomiczném), jedno zdaje się miéć źródło z wyrazem poprzednim ślóza. Linde przytacza pod tymże słowa z Mag. mskr.: „Ślaz łączy się z żołądkiem, i od niego zaczynają się cienkie kiszki.“ W obudwu znaczeniach pisałbym *śl.*

Szlachcic. W najdawniejszych pismach, jakie mi się czytać zdarzyło, znalazłem ślachcic, nawet często śliachcic. W tłumaczeniu statutów Wiślickich roku 1449, przez Lelewela wydanych, częściéj jest ślachcic, niżeli szlachcic. Górnicki każe pisać szlachta, z powodu, że ma pochodzić z niemieckiego Schlacht, i od XVI wieku, aż dotąd, tak się powszechniéj pisze. Jak wielu innych, tak i tego wyrazu źródło, dziedziczymy zapewnie spólnie z Niemcami, po dawnéj nieznanéj już matce języków, lubo ich używamy na oznaczenie różnych pomysłów. Według Adelunga w niemieckim języku edel, dawne aedel, spólne jest wyrazowi Geschlecht, które oznaczało wolne urodzenie. Schlacht, od którego Geschlecht pochodzi, oznaczało istotnie, nie tylko bój, ale i rodzaj, pisane było u Otfrieda Slhachta; zkąd, aus der Acht schlachten, aus der Art schlagen (wyrodzić się). Geschlaechter Knabe, znaczyło dobrze urodzony. Nadto, Geschlecht w tymże języku znaczy osobę z rodu patrycyuszów, zdolną do rady (w miastach Wyższych

Niemiec). Zatém ślachcic spólne jest zupełnie niemieckiemu Geschlecht. Statut Wiślicki r. 1449 (wyd. Lelewel) mówi: Śliachetności pokolenia s porodzicielów gych początek zawsdy... Tenże z r. 1503: Rodzaj śliachecki od rodzaju pochodzi. W tłumaczeniu Łaskiego tamże (Lelew.): Śliachetności rodzaje, z pierworodnych ich biorą początek. W języku luzackowendejskim, ślachta znaczy pokrewieństwo. Ślachtą zowią się w tymże przysięgli przyjaciele (die Blutsfreunde). Zatém Lach, z Lacha, ślachcic, oznacza męża rodu wyższego. Wywód źródłowego wyrazu Lach, Lech, jest trudny, dla rozmaitości znaczeń niepewny, i tu mniéj potrzebny. Ma zapewne tę samę spólność z wyrazem ród, jaką ma edel z Geschlecht, Schlacht, odpowiada łacińskiemu generosus. Mimo jednak wielkiego podobieństwa, że ten wyraz prawdziwie jest polski, w czasach dzisiejszych przyjęte jest powszechnie szlachcic; dla tego zapewnie, iż brzmienie to jest dobitniejsze, i wyrazy szlachetność i t. d. w wyższym stylu często używane, niby na tém zmiękczeniu nie zyskały. Byłbym więc za pisaniem szlachcic. Z téj saméj przyczyny: Szląsk*, szkło, szpik, lubo są słowiańskie, przez *sz* pisaćbym wolał.

Przez *sz* pisać należy wszystkie przyswojone: szpieg**, szpital i własne niektóre: szpara, szpony. Śpilka, śpiżarnia przez *ś* najpowszechniéj się piszą. W polskich wyrazach przed *r* pisze się *ś, ź*, np. środa, źródło, o czém była już mowa; w przyswojonych *sz*: szruba, szranki.

* Szląsk, Silesia, w dawnych polskich drukach Zlesia pochodzi według Naruszewicza od małej krajny: pagus silensis. Nie wchodząc w wywód kronikarzy od ślęzenia, Zlezaków czyli Zchodników, nadmieniam tylko, iż inne narody słowiańskie nie mają w tym wyrazie brzmienia *sz*, przynajmniéj w piśmie.

** Wyraz ten przybył do Polski zapewne z włoskiego języka, należy więc zostawić na nim to obce piętno i pisać: szpieg.

O dwojeniu, dodawaniu, wyrzucaniu i zamianie głosek.

Dodawanie, wyrzucanie, lub zmiana głosek pojedynczych, ważném jest bardzo dla harmonii stylu, chociaż pod względem ortografii, mało w tym przedmiocie zostaje do powiedzenia. Ta własność wszystkich języków, a tém bardziéj już ukształconych, wyniknęła najpiérwéj z potrzeby, gdy pewnego zbiegu głosek, narzędzia mowy dokładnie oddać nie mogły. Zbieg taki, zdarzył się naturalnie dopiero wtenczas, gdy się zakończenia grammatyczne w całéj swéj rozmaitości ustalać zaczęły, które potrzeba spajać z pierwiastkowémi wyrazy, i ostatnie ich głoski dla niezmienności cech grammatycznych poświęcać kazała. To samo dziać się musiało z początkowemi głoskami, gdy z rozszerzeniem pojęć, łączyć się zaczęły z różnemi przedimkami. Późniéj pochodziła ta własność z uczucia piękności, a zatém z potrzeby względnéj, piękniejszego wysłowienia. Pod drugim względem, wolność ta przy smaku zepsutym, pieściwym, mogłaby się stać szkodliwém nadużyciem, jak to bywa i teraz, nie już w piśmie, ale w saméem mówieniu. Szczęśliwy więc język, który w ortografii, idąc za upowszechnionym zwyczajem, ustala dodatnie, wyrzutnie i zamiany z mechanizmu mowy i czucia piękności wynikłe, a razem, kłaść może tamę nadużyciu. W polskiéj ortografii, jest już pod tym względem prawie zupełna pewność i zgoda ze zwyczajem mówiących. Przyjąwszy to, o czém się na początku téj rozprawy mówiło, że pismo zachować powinno niektóre brzmienia nie obowiązujące do wymawiania; i że się nie da wszystko wypisać tak jak się wymawia, mała tylko liczba pozostanie takich, na które jeszcze nie ma powszechnéj zgody.

I. O głoskach podwójnych.

Język polski nigdy samogłosek nie podwaja. W najdawniejszych pismach polskich mamy ślady, bardzo częstego ich podwajania; lecz to w początkowych usiłowaniach ortografii

chciano tylko oznaczyć, bądź długie wtenczas, bądź znamionowane późniéj samogłoski. Mamy je dotąd podwójne wtenczas tylko, gdy przedimek na samogłoskę zakończony, łączy się z wyrazem od téjże samogłoski zaczętym, i to zdarza się tylko przy samogłosce *o*, np. po przyimku *po*; poobiedni, poobchodzić. Przedimek *o* przybiéra *b*: obostrzyć (omdlewać), obumierać: inne przyimki kończące się na samogłoski: *za*, *prze*, *u*, *wy*, nie mogą się łączyć z podobnemi samogłoskami, gdyż nie ma żadnego w polskim języku wyrazu mogącego się zrastać z takiemiż przedimkami.

Jak na samogłoski tak i na spółgłoski podwójne, żaden się wyraz polski nie zaczyna, parę tylko wyjąwszy; a nigdy tak nie kończy. Pod tym ostatnim szczególniéj względem, wyższy jest nad inne języki, w których najczęściéj wyrazy na podwójne twarde spółgłoski się kończą: Herr, matt, Schluss, Stoff i t. d. Przecież spółgłoski podwójne w środku wyrazów, przyczyniają się wiele do piękności i mocy brzmienia, w śpiewie szczególniéj dzielny miewają skutek, jak terra Arragon, posso, prometto, donna, bellezza i t. d. Tą zaletą nie może się język polski pochlubić. Unika on zbiegu podwójnych spółgłosek tak dalece, że w obcych wyrazach, nie znający innych języków, zwykle głoski podwójne na jednę stapiają, np. sesya, komisya, gramatyka, kolega. Dwie tylko spółgłoski podwójne są upowszechnione w polskim języku, i te są do wymówienia łatwe i przyjemne, to jest *dd* i *nn*. Piérwsze powstają z połączenia wyrazów z przedimkami zakończonemi na od, pod, przed; druga ze zbiegu z zakończeniem grammatyczném *na*, *nę*, *ni*, *ny*, *no*, *nu*. Obie podlegają jeszcze urozmaiceniu, gdy *d* po przedimku na *d* zakończonym, a *n* w skutku formacyi grammatycznych, miękczyć się zwykło, np. nad-dziady, od-dzielić, pan-na, zmien-nie, staran-nie. W innym razie *d* spływa na samogłoski: oddalić, oddech; a po *nn* nigdy spółgłoska nie następuje.

Względem *nn*, najpospolitszego w polskim języku, w kilku tylko nazwach niezgodność zachodzi. Jak w obcych wyrazach zatracamy podwójne głoski, tak *n* lubimy w nich po-

dwajać, np. Dyanna, a nawet i w słowiańskiém Dziewanna, Marzanna. Gdy zwyczaj za tém wyraźnie mówi, gdy to czyni wysłowienie dobitniejszém, byłbym za pisaniem jednostajném podobnych wyrazów przez *nn*. W jednym obcym wyrazie tyran nigdy dwóch *nn* nie używamy. Dawni Polacy mniéj czuli piękności w dwojeniu téj głoski, pisali płony, iny, rany, za płonny, inny, ranny.

Inne spółgłoski podwójne bardzo są rzadkie.

kk.

Głoski te w kilku tylko wyrazach używane: miękki, lekki. Zamiana głoski *t* na *k*, zdawałaby się niepotrzebną, gdy mówimy giętki, prędki, giętcy, prędcy. Nie zmieniali jéj dawni Polacy, nawet jeszcze pod Stanisławem Augustem, szczególniéj Naruszewicz. Lecz gdy *k* drugie w zakończeniach grammatycznych zmienia się na miękcy, miękczy, miękśi, miększy, które przy zachowaniu źródłowego *t* miałoby brzmienie mniéj dobitne i przyjemne, np. zmiętczenie, letcy, letsi, miętsi, miętczy, piszemy sprawiedliwie literę podwójną, jak to częściéj daleko czynią w podobnych wypadkach inne języki, mianowicie łaciński i włoski.

ll.

Podwójne *l* w trzech tylko słowach jest używane: cełł, spełła, zmełła. Cło, cełł, niepotrzebnie na podwójną twardą spółgłoskę kończymy. Gdy mówimy szkło szkieł, igła igieł, źdźbło (raczéj zdziebło) zdziebeł, nie widzę konieczności tego wyjątku. W zakończeniu innych przypadków niknie wszędzie *l* drugie, tak, jak w odpowiednich wyrazach dzieło, dzieł, dzielny, cło, ceł, celny. Brzmienia zmełł, spełł, zmełła; spełła, od mléć, plewić, mléwo, pielenie, nieznający grammatyki zmieniają jak mogą, unikając nienaturalnéj twardości. I gdyby te wyrazy więcéj w piśmiennéj mowie były używane, zapewne grammatycy musieliby przystać na inne ich zakończenie. Właściwie podwójne *l*, zostaje tylko w imionach własnych narodu litewskiego: Radziwiłł, Jagiełło, Zabiełło i t. d.

mm.

Głoski *mm* przypadają tylko w czasownikach karmmy, łammy, w których według Kopczyńskiego piérwsze *m* należy zmiękczać. Takie zmiękczenie nie byłoby żadném ułatwieniem ani pięknością. Brzmienie to, byłoby równie piękne jak *nn*, lub jak w innych językach Emma, immer, gdyby nie łączyło się jedynie z grubém *y*.

ss.

SS używane jest w jedném tylko słowie ssać utworzoném przez wyrzucenie samogłoski z wyrazu sysać, cycać. Wyrazy sstąpić, sstępić w niektórych pismach używane, zawiérają dwa przedimki *z* i *s*, które osobne względy oznaczają, pisać się więc powinny z-s-tępić, z-stąpić jak tupać, s-tąpać i z-s-tępować.

Nadając nasze zakończenia obcym wyrazom, nie piszemy w nich podwójnego *s* na końcu: sukces, proces, kongres (successus), lubo je zachowujemy w środku wyrazów.

zz.

Te spółgłoski w polskim języku schodzić się nie powinny, gdyż w tenczas zbliżają się do mocnego *s*, przy czém ginie wyraźność mająca wydać obecny zawsze w tym zbiegu przedimek; w tenczas tylko obok siebie stać mogą, litera *z* po przedimku *z*, znamię otrzymuje: z-ziębły, z-ziająć, z-żuć z-żymać. W innych zdarzeniach przedziela je zwykle *e* podręczne: ze-zwolić, tak jak ze-stawić. Jeżeli po *zz* bezpośrednio samogłoska następuje, wtedy brzmienie to nie jest harmonii przeciwne: z-zuć, z-zuchwalić. Częściéj

jednak i tego zbiegu unikamy przez zamianę przedimka, np. o-zuć, o-zuchwalić.

II. O dodawaniu głosek.

Język polski, który o większą połowę spółgłoski stwardza, lub zmiękcza, który przeto najwięcéj miéć może brzmień energicznych i pieściwych, przez tę samę własność skłonny jest dodawać lub wyrzucać, nietylko pojedyńcze głoski, lecz i całe syllaby, według potrzeby dobitności, albo miększego wysłowienia. Dodawanie samogłosek nadaje mu łagodność, dodawanie spółgłosek przyczynia mu mocy: jedno i drugie sprawia szczególniéj wyrazistość, dźwięczność i płynność wysłowienia.

O dodawanéj eufonicznéj samogłosce *e* już była mowa. W téj posłudze tak już jest ustalona, że pod względem ortograficznym nic o niéj powiedzieć nie pozostaje.

W wyrazach ośm', siedm', nie kładziemy niezbędnie potrzebnego *e*, dla tego, że tu *m* powinno być zmiękczone, chociaż spółgłoski poprzedzające, *s* i *m*, *d* i *m* są różno-organne; czynimy to nawet w dalszych: ośm'naście, ośm'set, siedm'dziesiąt, czego nikt nie wymawia. Czesi skłonni do opuszczenia w piśmie samogłoski *e*, tu ją zachowują, nie miękcząc otaczających ją spółgłosek: osem. Bez ubliżenia formom grammatycznym, moglibyśmy pisać tak, jak mówimy, osiém, osiémnaście, jak piszemy jeden, jedenaście, jedni, jednych, albo równien, równi, osiém, ósmy i taśma, tasiem, tasiemka. Prawda, iżby to był wyjątek; że znaki ortograficzne do wymawiania nie obowiązują, ale dla czegoż mają być wyjątkiem te tylko dwa wyrazy, w których samogłoskę *e* niepisaną wymawiać należy. Co innego jest wypuszczać w mówieniu pisaną spółgłoskę, co innego, głoskę jakąkolwiek dodawać. Wszak tym sposobem *e* podręczne, moglibyśmy w innych wyrazach opuszczać: panna pańn panien, panństwo, panieństwo, pismo piśmienne albo pisemne taśma, taśm tasiemek.

Prócz *e*, rzadko dodajemy w polskim języku inne samogłoski eufoniczne, i te już są ustalone: połUdnie, chociaż piszemy północ, zUpełnie; zadma, zadYmka, jednać, pojedYnek i t. p.

Dla zmiękczenia, albo lepszéj wyrazistości, dodajemy miękkie, słabe spółgłoski *d*, *j*, *n*, *ś*.

Stosownie do mojego zakresu, namienię o tych tylko wyrazach, względem których są jeszcze wątpliwości.

Dawni Polacy pisali powszechnie barzo, późniéj dla dobitności, i otrzebnéj samemu znaczeniu słowa, piszą i mówią bardzo. Linde i Śniadecki, za nimi wielu innych, piszą po dawnemu. Mówi zatém to może postrzeżenie, że żaden słowiański dyalekt nie ma w tym wyrazie głoski *d*; lecz w tych dyalektach barzo znaczy nasze szybko, skoro. Sądzę, iż w tym wyrazie brzmienie dodatkowe pozostać winno. Wszak i w wyrazie zdrada (który ma pochodzić od rady), nie ma żaden słowiański dyalekt brzmienia *d*; dodać go jednak kazało to samo ucho, które go w trudniejszém zbiegu spółgłosek na miększe *j* zamienia, albo je dodaje w ustalonych już wyrazach: zdjąć, zdejmować, zdrajca i t. p.

Wyrzucanie brzmienia *d*, w wyrazie poszedł, postrzegać się daje w małéj liczbie pism najnowszych. Jak nikt nie mówi poszedła od poszedł, tak nie będzie mówił poszełem, i poszłem i poszeł. Brzmienie *d* uznał tu cały naród za potrzebne dla dobitności, nawet niektórych przyswojonych, np. pendzel (Pinsel), rodzenki. Mniéj potrzebnie dodajemy je w słowie rdzeń drdzeń. Spółgłoska *j* jako najmiększa, nie tylko staje na miejscu brzmień twardych, ale bywa dodawaną dla przyjemnéj pełności szczególniéj w środku wyrazów. Ściśle połączona z samogłoską *i*, często jéj miejsce zajmuje, i przez nią jest wzajem zastępowana: jimać, imać; podiście, podejście; wyiść, wyjść.

Mało bardzo mając wyrazów zaczynających się od samogłosek, wyjąwszy najniższe w przedimkach *ob*, *od*, *u*, dodawali dawni *j* przed wyrazami cudzoziemskiemi: Ewa, Jewa, Ję-

drzéj, Andrzéj; zmieniamy ją i w polskich: ażali, jeżeli, jeśli, lub odrzucamy i: iskra, skra.

W wyrazie abo dodajemy *l*: albo, któréjto głoski lud prosty nie wymawia, i która w dawniejszych pismach nie była kładzioną.

Głoskę *n* dodajemy w wyrazie obcym rynsztunek, tudzież w wyrazie garniec, które w zmiękczeniu przyjemne utrudza wymówienie bez niego: garnca, i tu powszechnie jest wyrzucane. Często używano dawniéj *n* w wyrazie sumienie, i dziś niektórzy tak piszą sumNienie. N jest tu niepotrzebne, ani ze względu na źródło, ani na dobitność. Wszak ten wyraz znaczy dosłownie to co con-scientia, Ge-wissen, z-umienie, z-um, s-umienie.

Że głoska *ś* w wyrazach wziąść i t. p. być wyrzucaną nie może, już dowiódł Mroziński. *

III. O wyrzucaniu głosek.

Samogłoska *e* wtedy się tylko wyrzucać może, gdy jest podręczną, co zależy od smaku, a na co najczęściéj sam zbieg spółgłosek naprowadza, i tu pod względem ortograficznym nie masz nic do powiedzenia. Wyrzucanie innych samogłosek, przy formacyach grammatycznych jest już zupełnie ustalone; to samo i w największéj części spółgłosek. Naruszewicz staranny w prozie, lecz nie dość gładki w budowie wiérsza, czynił natomiast w pisowni wyrzutnie, których nikt nie naśladował. W nieprzyjemném zakończeniu czasowników na *szy* gdy *l* na *w* być zmienioném nie może, powszechnie tę spółgłoskę wyrzuca: wypadszy, wprzęgszy i t. p.: wyrzuca *t* w wyrazach zawistny, korzystny; zawisny, korzysny. Wyrzuca *d* w słowach, np najezdnik: najeznik; śmierdzący: śmierzący i t. p.; *l* z wyrazów rzemieślnik, pomyślnie: rzemieśnik, pomyśnie. Te i tym podobne głoski w piśmie się mieścić nie powinny, chociażby ściśle do wymawiania nie zmuszały. Podobnych mniéj daleko mamy

* Odpowiedź na recenzyą.

niżeli Francuzi. Rzadko kto wymawia jabłko, gardło, jednak każdy tak pisze.

W zamianie samogłosek i spółgłosek nie masz w teraźniejszéj ortografii polskiéj żadnéj niezgodności.

Szczególne własności i znamiona języka polskiego.

Światły i świątobliwy z jednego źródła mają nazwisko. Światłemu powinien być świat i wszystko w nim święte i świątobliwe. Świątobliwy szlak światłem świątobliwość utwierdza.

Dostojność była niegdyś cnotą wytrwałością w niebezpieczeństwie i złéj fortunie. Dziś jest zaszczytem zewnętrznym i ten zaszczyt był kiedyś nagrodą.

Umrzeć i marzyć jedno ma źródło. Umrzeć a może i marzyć mówi Szekspir.

Kochankowie przynajmniéj powinniby zachować straconą w języku ojczystym liczbę podwójną.

Wyraz dobre obejście się, mówić się zdaje jakoby w czasach nieokrzesanych ludzie spotkawszy się, nie zawsze chcieli jedni drugim ustępować i grzeczni tylko, dobrze obchodzili się z sobą. W przenośném znaczeniu mówimy o obchodzeniu się wyższych, a sprawowaniu niższych. Jak na ulicy, ludzie chcący się dobrze obchodzić, powinniby jedni drugim usuwać się na prawo, tak w moralném znaczeniu dziać się powinno. Byłoby to prawe obejście się wszystkich i należyte sprawowanie.

Bogaty i ubogi jedno mają źródło w Bogu. Czy dla tego, aby pomnieli, że w Bogu są braćmi. Czy dla tego, że bogaty Boga naśladować powinien, czy też, że tenże ma wszystko od Boga, a ubogi jeszcze wszystko u Boga?

Pokój jest u nas tylko ukojeniem z cierpień i smutku. Wyraz mir, głębokie znaczenie mający, zarzuciliśmy. Mir jest dla wyobraźni naszéj wiekiem złotym, lub rajem utraconym i spodziewanym.

Toż samo odpoczynek, którego codziennie tylko po czynnościj, a w grobie po czynach kosztować mamy.

Wszędzie wolność prowadzi za sobą ruch. Czemu u nas mówić wolno znaczy razem (lente i libere), czemu powolność tak się ma do wolności, jak powolność do myśli? Mądrości narodu więcéj trzeba szukać w języku, niżeli w działaniach.

Czemu mierność tak jest chwalebną w rzeczach rozsądku, a tak naganną w rzeczach smaku? kiedy u nas o smaku nie rozprawiano, mierność była cnotą.

Nasi panujący ustąpili tytułu księdza, książęcia duchownym: nasi duchowni szczycą się nim aż dotąd. Gdy szlachta polska gorliwie broniła, aby żaden z niéj w kraju lub za granicą tytułu księcia nie dostępował, a niektórzy księża biskupi, tytułu książąt prawnie używali.

Sławianie i wiele innych w Europie języków nie mają właściwego wyrazu tylko w sposobie przeczenia na oznaczenie niewoli, za to do ich nazwiska obce języki przywiązały znaczenie niewolnika, esclave, slave, shlavs.

U dawnych Polaków, gdzie duchowieństwo tyle miało wpływu na obyczaje i stosunki domowe, upowszechniły się przecież przysłowia, bardzo tchnące krytyką XVIII. wieku n. p. potrzebny jak Piłat w credo; wstąpił do piekłów, po drodze mu było; prorokowi.... w zęby, i t. p.

Przetrząsajmy dawne prawdziwe i fałszywe świadectwa, szukając powinowactwa naszego języka z hebrajskim, greckim i sanskryckim; tak zajęci jego przeszłością pomnijmy przecież na jego przyszłość; aby choć w części żył tak długo po nas, jak myślimy, żo żył przed nami.

Jakże to wszędzie objawia się charakter narodu, nawet w brzmieniu języka! — Wyrazy polskie zaczynają się z mocą i pewnością powszechnie od spółgłosek i to skupionych, jak polonezy nasze, jak to mówią od ucha, to jest szumny i mocny mają początek, w następnych syllabach ta dobitność w zmiękczaniu spółgłosek i pochylaniu się samogłosek, maleje. Końcowe syllaby wyrazów, są najpowszechniéj miękkie, słabe i krótkie. W tonowaniu syllab więcéj baczymy na względy, jakie przedimki, lub cechowe zakończenia wskazują, niżeli na źródło wyrazów. W trybach rozkazujących jest Polak zawsze energiczny, jednosyllabny, ale w zakończeniu onych zawsze jednak mięknie, gdy te w połączeniu z przedimkiem są dwusyllabne, samym przedimkom ton mocny nadaje. Różni się tém zupełnie od żyjących języków, które akćent i brzmienie mocne zwykle na końcu kładą. Wszystkie inne narody zowią swój język macierzyńskim, on jeden zowie go ojczystym, jakby chciał przez to mieć na pamięci panowanie spółgłosek, wyobrażających męzką stronę w jego języku.

My przez obcy wyraz winszować, rozumiemy pomyślność dostąpioną, Niemcy to, czego dostąpić pragną (wünschen) a co my przez życzyć nazywamy. Życzyć mamy sobie wszystkiego, winszować prawie nic. Życzliwość ma jedno źródło z życiem. Filozofia naszego języka mówi, że życzliwość ludzka jest życiem.

Niemiec się kładzie na jaką naukę, sztukę, (sich auf die Kunst legen), Polak tylko się do nich przykłada.

Czytelnicy przekładają zawsze oryginał nad przekłady z obcych języków. U nas wiele ludzie ze smakiem przekładają, tłumaczą i przelewają różne piękne rzeczy; ale mnie się zdaje, że najwięcéj smaku mają ci, którzy dzieła węgierskie in quarto, przelewają na język ojczysty.

Czemu rozsądek używany jest tylko zdrobniale, gdy mamy cały rozum? i występując z granic rozsądku popełniamy nie występy, ale tylko zawsze występki? Czasem język mówi w imieniu swego ludu, bardzo skromnie i grzecznie.

Niemcy się szczycą czcią starożytnych Germanów dla kobiet, nasz język jak wypiętnował swój pobyt na górach i rzekach z których dziś ustąpił, tak téj czci dla kobiet zostawił ślad pewniejszy nad inne podania. Dawni zwali panny dziewami (diva dziw). Za co ten piękny wyraz zarzucony i tylko w najrubaszniejszém pospólstwie używany, a gorzéj jeszcze czemu zachowali przecie zgrubiałe dziéwka, zdrobniałe dziewczynka, omijając starannie dziéwę?

Chcąc użyć świeżości powietrza i widoków natury, wyjdź w pole; chcąc słyszeć język prawdziwy i poetyczny, przysłuchaj się ochoczym wieśniakom polskim, a więcéj jeszcze, gdy mówią przejęci żalem, lub krzywdą.

Czyli mędrcy, czy głupcy szczerze się kłócą, zawsze tę

mieć trzeba pociechę, że przez to język obrobią i zbogacą. Płacz i kłótnie są tém dla wzrostu języka, czém deszcze i grzmoty dla plonów.

Na oznaczenie podziału dnia (24 godzin) pospólstwo nasze ma piętnaście wyrazów:

Przedednie	Południe	Odwieczór
Świtanie	Przedpołudnie	Wieczór
Wschód	Środpołudnie	Zachód
Rano	Popołudnie	Zmierzch
Zaranie		Przedpółnoc
		Północ

Narzekamy, że nam wielu zbywa wyrazów; tymczasem nasze własne po obcemu przestrojone pożyczamy, nie wiedząc nawet że są nasze. Bierzemy: toast za cześć; brawo za prawo; loża za łoże; przywilej za przyzwolenie; statut za ustawę. Szpital był kiedyś gospodą, Polonez był tańcem wolnym. Nasze pospólstwo rzecz pospolita. Matena mać maciora.

Myśli miały niegdyś rysy. Wyrazy któremi do wyobraźni mówiły, miały swoje brzmienie któremi wstrząsały duszę, i dźwięki któremi do ucha mile dzwoniły. Dziś mają słowa czyli pismo, i znaki umówione. Wyrazy wyrażały się z serca i wrażały w duszę; prawa same brzmiały i opiewały. Dotąd zachowaliśmy ślady mówienia prawo brzmi, prawo opiewa. Wyraz piać oznaczający głos koguta, służył niegdyś jemu tylko i poetom piewcom, śpiewakom. Ten ptak zwiastun światła, światowida, Apollina, wzywający do pracy, czujny na dzień zbliżający się, był sprawiedliwie symbolem piewców poetów. Jest według podań ukraińskich, gatunek kogutów mających w skrzydle jedno anielskie pióro. Śpiew ich odpowiada anielskim chórom, które dochodzić ich mają za pomocą tego pióra.

Kiedy honor z nad Sekwany przybył do Polski, tak był zarozumiały i szczebiotliwy, że sława, cześć, poczciwość zamilknąć przy nim musiały. — Człowiek honoru szydzi z prostéj poczciwości.

Wyrazy Sławianin i słowik z jednego rodu zdają

się pochodzić. Słowiki są to ptaszki jak wiadomo mające głos najpiękniejszy, ale tak skromne, że dopiero po zajściu słońca z nim się odzywają; są najweselsze, ale obcy osobliwie Niemcy słyszą w nim melancholię i dla tego zamykać go lubią w klatki dobrze ocienione, aby w ciemności zawsze być mogli, którą, jak mówią, lubią i w niéj najmiléj śpiewają. Język słowiczy byłby dopiero rozkosznym gdyby nim i samiczki śpiewały, ale ta płeć już wcale słowiczego, i sławiańskiego języka unikać lubi.

Najgorzéj jest gdy język sam swoje wyrazy fałszywie tłumaczy. Odwagę np. mamy za jedno co popęd młodości, i powtarzamy często ślepa odwaga. Gdy przecież odwaga jest skutkiem rozwagi, wrażenia rzeczy na tę i owę stronę, a zatém jest tylko rozmysłem i prawdziwie męzkiém postanowieniem.

Przodkowie nasi dawali sobie nazwy najprzód według przymiotów moralnych jakie w kim upatrywano, lub jakich mu życzono; późniéj nazywali się tylko według wsi dziedzicznych. A tak miano oznaczało, najprzód właściwość, późniéj własność osoby. Kto miał mienie, z niém i imię; dziedzictwo zalet moralnych, zastąpiło dziedzictwo majątkowe.

Gniezno nie pochodzi od gniazda orląt które Lech miał spostrzedz, i dla tego w tém miejscu siedlisko obrać, ale jest istotnie nazwiskiem znaczącém obranie a raczéj założenie siedliska. Jako ptak nie tylko obiera, ale sztuką urządza sobie swe gniazdo, dla tego u nas dom i gniazdo jest synonimą. Miejsce pierwotne rodzaju jakiego i pierwszych jego przodków podobnież gniazdem zowiemy. Z gniazda sławiańskiego jak tyle innych wzięte są i umiękczone wyrazy obce: szwedzkie Naesta, Irlandskie Nead, niemieckie Nest, łacińskie Nidus i t. d.

Życie jest bojowaniem, mówi Job; i bardzo właściwie w języku naszym, bojaźń i bój, z jednego źródła są wzięte. Bojaźń najwięcéj nas wyzywa do boju. Życie jest bojaźnią i bojowaniem. Dziecię boi się rodziców i starszych. Mąż boi się prawa odmian i wypadków; starzec boi się niedostatku, wzgardy, choroby i śmierci. Cnotliwi boją się Boga, a źli boją

się dobrych. Bojący się Boga samego najśmielszym jest w bojowaniu i to jest męztwo najprawdziwsze. Potężni bojują ciągle siłą fizyczną, słabi fizycznie siłą moralną. Odwaga jest najczęściéj skutkiem największéj bojaźni.

Piękny jest sposób mówienia zarobić na imię; przodkowie nasi dawali imiona według obeznanych przymiotów i zasług; dawali dzieciom imiona oznaczające zalety, jakiemi chcieli, aby późniéj słynęli ci nawet, którzy późniéj nosili tylko imiona swych ojców, powinni byli zarobić na nie. Imie i imienie ojca, było jedném i témże samém dziedzictwem. Między wielu poświęceniami matek i ta jest tkliwą, że jéj dzieci jéj imienia nie noszą.

Prawda jest największą radością. Brawo woła Włoch w uniesieniu; prawo skazał, mówi Sławianin przyznając myśl czyją, Prawda, prawo, prawość i sprawiedliwość są sobie spólne.

Prosty lud nie zna choroby, lecz tylko niemoc.

Nad wszystkie historyczne wywody dowodzi starożytności sławiańskiego języka to, iż pierwiastki jego noszą znamię znaczenia umysłowego i moralnego, nie zaś fizycznego; tak jak sanskrycki i po części hebrajski.

Słuchać, służyć, zasługa. — Apostoł mówi iż wiara jest słuch.

Zmysły które człowiek ze zwierzętami ma spólne, zrobiły z niego tylko zwierze doskonalsze, przez względy doskonalsze jego organów; słowo tylko czyni go istotą rozumną i moralną, tj. człowiekiem. Słowo więc jest zupełnym człowiekiem. Ballanche.

Po zmianie obyczajów, dziwnie wyglądają pozostałe stare wyrazy. Sędziami byli ludzie sędziwi, dziś widzimy walcujących młodziutkich sędziów. Mamy wojewodów co nigdy nie siedzieli na koniu. Dawniéj żegnano się znakiem krzyża przy rozstawaniu, dziś żegnamy się nogą. Poniżający dziś wyraz Wacpan, przypomina dawne, wasza miłość.

Francuzi tyle dla kobiet grzeczni, nie mają zbiorowego wyrazu człowiek, homo, Mensch. Człowiek jest u nich homme, mąż vir.

Jakim sposobem Polacy z czasu przyszłego zrobili czas teraźniejszy buduczy znaczyło mający być, nie nasze będący. Buda budować się myśleć o przyszłości i porządku; brać przykład, być skruszonym, są to synonimy.

Jakże znaczenie przywiązane do wyrazów, wskazuje obyczaje ludów. Od dworu wzięli Niemcy wyraz Höfflich, Hofrath; Francuzi zalotność, faire la cour! Rossyanie od dworu dworaństwo, szlachectwo wywodzą. Polacy żartobliwość i śmieszność lubiąby, dwóznacznego człowieka czyli filuta dworakiem zwykle mianują.

Polak się pyta, jak się masz? rozumiejąc przez to mienie i zdrowie. Francuz zawsze czynny i dążący, jak ci idzie? Niemiec i Anglik pyta się coś wart.

Becames utrzymywał, że Bóg z Adamem po niemiecku rozmawiał, Sławianie zaś mówią że po niemiecku łając z raju go wypędzał.

Trudno pojąć, dla czego piękny wyraz exspiravit stał się nieprzyzwoitym do oznaczenia śmierci człowieka, mówiąc o umarłym.

Jak to właściwie że miłość nie ma liczby mnogiéj.

Nie masz bardzo niezaprzeczonéj ludu własności jak język, on go od Boga odebrał i po swojemu rozwinął. Ale jak może we wszystkiem tak i tu klassa wykształcona piśmienna zachowuje mu ten skarb i nim rozrządza, gdy lud zawsze panuje.

Jedno mają nazwisko: wyprawa ślubna dziewicy; i wyprawa wojenna młodzieńca. Oboje czynią ślub poświęcenia, stawiają życie na kartę niepewną. Obojgu życie jest bojowaniem.

Nie masz języka, któryby był przykrzejszym nad język rozkaziciela. Ztąd u niektórych narodów pewne języki aż do późnych pokoleń, nawet po ustaniu przyczyny są nienawidzone.

O zmianach w stylu.

1. Mamy w naszym języku szczególną wolność dodawania, lub ujmowania albo zmiany brzmień, według potrzeby

dobitności albo harmonji, bądź na początku, bądź na końcu wyrazów. Na początku ujmujemy, lub dodajemy .przedimki: np wspomnieć, spomnieć, pomnieć; znajdować, najdować; strata, utrata, przestrzedz, ostrzedz i b. w. i.

Ta wolność jest pierwszém i obfitem źródłem równie dobitności jak harmonji języka, czucie smak i wprawa nastręczą tu wszędzie sposoby właściwego wyrażenia się; często odjęcie, dodanie lub zamiana przedimka nierozumienia nie psuje a harmonią ułatwia. Stosownie do następstwa brzmień, powiem przestrzegać lub ostrzegać; szkodliwe przestępstwo, przeszły występek; twojemu zmartwieniu, nie twojemu umartwieniu nie zaraz znajdę, ale zaraz najdę i t. p.

Lubo wiele wyrazów niepotrzebnemi przedimkami obciążamy np. wspolnik, współczucie; wiele jednak zmniejszylibyśmy moc języka, gdybyśmy takowe zupełnie rugowali. Zostawmy w tém raczéj dowolność smakowi i rozumieniu pisarzów.

2. W zakończeniu rzeczowników mamy niemniéj korzystną wolność: Zmiana zmienianie; dumni panowie, dumne pany; temi groźbami orężami, orężmi, tych rycerzy, tych rycerzów, temi rękami, temi rękoma; jeńcy jeńce.

Liczne podobne zmiany, dowodziłyby nieukształcenia i nieforemności języka, gdybyśmy ich używali, bez względu na korzyść harmonji.

3. Równie częste są zmiany przymiotników i imiesłowów. Zbrojny, uzbrojony; korny, pokorny; ukorzony, upokorzony; zbawienne, zbawiające.

4. Imiesłowy męzkiego rodzaju więcéj zgłoskowe dozwalają odjęcia samogłoski końcowéj, czego dobry smak radzi wtedy używać gdy słowo następujące zaczyna się od samogłoski, i w takich też tylko zdarzeniach, używają podobnéj wolności inne języki np. Zgromnion ustąpił; mocen ile chciał czynił; mocny, niezdołał się zachować; strzeżony wszędzie, strzeżon od

wszystkich. Podobnie zakończeniu pierwszéj osoby w liczbie mnogiéj: czujem czujemy; widzim, widzimy i t. p.

5. Że, iż; albo, lub; gdyż, ponieważ; chociaż, lubo; mogą być używane na przemian, ze względu na samogłoski które je otaczają: że tyś winny, iż on winny; iż niewidziałeś, że niewidziałeś.

6. Przenoszenie zakończenia *eś*, *em*, służy równie precyzyi, jak harmoni: dobrześ uczynił; dobrze służyłeś; mnieś winien; mnie winieneś; jam winien, ja winienem.

7. Przyrostki *ż*, *żeś*, *li*, prawie zarzucone są w dzisiejszym języku, z powodu, że tworzą niezwyczajny daktyl w jednym wyrazie, i że zwykle tworzą zbieg jednako brzmiących dwóch syllab: jednakże w pewnych razach używane są właściwie: czyliż widzieli, widzieliż? pięknyli widok?

8. Zaimek się tak często przypadający, może się mieścić wszędzie, gdzie jasność, lub harmonja, miejsce mu wskaże.

O CZYNNOŚCIACH DELEGACYI

WYZNACZONÉJ PRZEZ

TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ NAUK

DO USTALENIA PISOWNI POLSKIEJ.

Towarzystwo królewskie przyjaciół nauk, obrawszy sobie za główny przedmiot prac swoich język ojczysty, nie mogło pominąć ortografji, owéj tak ważnéj części ukształcenia onego. Zasłużony Kopczyński pragnął w niém widzieć nie tylko ocalenie języka ale i swojéj ortografji, którą naród po większéj części od dawna odrzucał, a która nie miała już żadnéj urzędowéj powagi. Po reformie szkół, mianowicie w krajach pod pruskie panowanie przypadłych, po zniesieniu kommissyi edukacyjnéj i towarzystwa elementarnego, bolał nad smutną przyszłością mowy ojczystéj, któréj cios boleśny i w odstąpieniu od jego ortografji dostrzegał. Obawa jego tém była większą, gdy same towarzystwo, jako zachowawcze, i co do języka jedyną mieć powagę mogące, ortografji jego, mianowicie co do znamion, o które najwięcéj nalegał, nie przyjmowało; gdy nadto w temże towarzystwie, znalazł najwięcéj zaczepnych przeciwników. Ci występowali przeciw zasadom Kopczyńskiego, nawet przed publicznością, któréj głos za sobą zyskali. W ciągu sporów tak w towarzystwie jak publicznie prowadzonych, przyjmowano niektóre ulepszenia Kopczyńskiego, nie-

które zupełnie odrzucano. Najpowszechniejsza i wzorowa dla innych była ortografja w dziełach Krasickiego i Karpińskiego, które Dmochowski wydał, i w słowniku Lindego. W własnych pismach tegoż autora ortografja ta, strzegła się wszelkich nowości, zachowując jednak niektóre, wprowadzone przez Kopczyńskiego, a razem postąpiła za upowszechnionym zwyczajem. Pisma polskie pod panowaniem Rossyjskiém wychodzące, pod którém utrzymała się w szkołach grammatyka Kopczyńskiego, trzymały się ściśléj jego ortografji, lecz nie jednostajnie i wprowadziły różne nowości. Nie obeszło się bez nich i w Warszawie i między członkami samegoż Towarzystwa przyjaciół nauk. Najmocniejszego przeciwnika znalazł tenże szanowny grammatyk w Prezesie Towarzystwa Staszicu, utrzymującym swoje własne i odrębne prawidła ortografji, które bynajmniéj nie trafiły do przekonania Towarzystwa, ani publiczności. Jak Kopczyński wszelkiemi sposoby, popierał te znamiona nad samogłoskami, których potrzeby naród już nie czuł, tak Staszic, oprócz nowości, jakie w swych pismach zaprowadzał, odrzucał wszelkie znamiona nad samogłoskami, te nawet, które zwyczaj powszechny dotąd za niezbędne uważa. Towarzystwo widząc, że publiczność ani jednéj ani drugiéj ostateczności nie przyjmie, oczekiwało dalszego rzeczy rozjaśnienia i w Rocznikach swoich, trzymało się ortografji ze zwyczajem najzgodniejszéj.

Dopiéro na posiedzeniu publiczném Towarzystwa dnia 10. Stycznia 1814 r., Prezes Stanisław Staszic, zdając sprawę z czteroletnich prac zgromadzenia, ogłosił w imieniu onegoż, iż postanowiło:

„By nad jednogłoskami nie kłaść akcentów. Wszystkie jak w mówieniu, tak w pisaniu zachować mają otwartość, swoje właściwe brzmienie i dźwięk.

„Nad dwugłoskami zachowujemy wszelkie oznaki, jakie dotąd używanemi były.

„Gdzie zachodzi prepozycya, nie piszemy *s*, ale *z*.

„Gdzie zbieg jest czterech lub pięciu dwugłosek *czcz* albo *szcze*, tam tylko jedno *cz* albo *scz* wyrażano będzie.

„Infinitiwa wszystkie, jak się wymawiają, tak pisanemi będą; zamiast b y d ź, d a d ź, w y y ś d ź, o b e y ś d ź, my kładziemy b y ć, d a ć, w y y ś ć, o b e y ś ć.“*

Ogłoszenie tego postanowienia ani w Towarzystwie ani w publiczności żadnego skutku nie wzięło. Roczniki Towarzystwa, a nawet umieszczane w nich pisma samegoż Staszica, drukowały się podług zwyczajnéj ortografji. Niektórzy grammatycy i pisarze ozwali się po krótce przeciw takowym prawidłom, bo jak były co do głównych punktów nowe i niespodziewane, tak nie poparte żadném rozumowaniem. Sam tylko Stanisław Staszic, zaczął wydawać edycyą dzieł swoich w roku 1819, według prawideł ortografji przez siebie ogłoszonych, gdzie i inne jeszcze nowości wprowadził.

Akta Towarzystwa nie okazują żadnego śladu nietylko uchwały ale i dyskussyi co do zasad powyżéj przytoczonych. To powszechne o nich milczenie przekonywa, iż nie były dziełem Towarzystwa; i łatwo domyślić się można, że czcigodny Prezes, żywo swojem zdaniem przejęty, zapragnął aby je z nim dzieliło towarzystwo i publiczność; i że powszechny szacunek dla tak zasłużonego męża. doradzał ten krok pośpieszny, w skutkach nic istotnie złego nie przynoszący, milczeniem pokryć.

W tymto 1814 roku wyznaczoną została z grona Towarzystwa deputacya do ułożenia stałych ortografji zasad. Pierwszym jéj czynności owocem była rozprawa X. Szwejkowskiego o kreskowaniu samogłosek w zbiorze niniejszym pierwsze zajmująca miejsce. Nie dokonała jednakże owa deputacya poruczonego sobie dzieła, gdy wkrótce po rozpoczęciu onego ujrzała przeszkody. Rzecz przeto całą zostawiono czasowi.

Deputacya teraźniejsza obowiązaną się widziała, ten punkt delikatny wyjaśnić, ażeby się nie zdawało, iż Towarzystwo raz wystąpiwszy z zasadami ortografji, które nie były przyjęte od publiczności, i których się samo nie trzyma; zamierza wystąpić z innemi, których przyjęcie tem samem, bardzo by mogło stać się wątpliwém.

* Roczników Tow. Przy: nauk Tom X-ty str. 66.

Pewną jest oraz, iż tem wyjaśnieniem do historyi ortografji polskiéj koniecznie potrzebném, nie ubliży bynajmniéj pamięci Staszica, owszem znający zasługi tego męża i tu poznają, ile wśród ważnych prac dla dobra kraju i nauk, drobne nawet szczegóły gorliwość jego zajmowały. Zajęty rozlicznemi sprawami swych urzędowań, i oddany pracom naukowym innego wcale rodzaju, więcéj czuł potrzebę udoskonalenia polskiéj ortografji, niżeli miał czas zgłębić jéj właściwe zasady, a tém bardziéj rozważyć środki mogące skłonić naród do ich przyjęcia.

W parę lat po ogłoszeniu powyższém wydrukował Feliński pierwszy tom dzieł swoich, ortografją przez siebie projektowaną, którą usprawiedliwił rozprawą, najgruntowniejszą ze wszystkich, jakie dotąd w podobnym przedmiocie pisano. Ta praca jego była owocem wieloletnich poszukiwań, narad z uczonymi, śledzenia zwyczaju, szczególniéj zaś owocem delikatnego smaku. Jasny przekonywający wykład, połączony z uprzejmością dla osób przeciwnego zdania, a powszechną za sobą powagę mających, zwrócił powszechną uwagę i zyskał stronników. Poparł i usprawiedliwił Feliński zwyczaj co do znamion nad samogłoskami, tudzież nowości mało dotąd upowszechnione, mianowicie względem spółgłoski *j*, któréj Joachim Lelewel już w roku 1811 i późniéj, w pismach przez siebie ogłoszonych używał, a któréj potrzebę Józef Szopowicz w rękopiśmie swoim o pisowni polskiéj, król Towarzystwa przyjaciół nauk, roku 1814 przesłanem, udowodnić się starał.

Mimo iż najznakomitsi pisarze, używaniu litery *j* przeciwni byli, zyskała przecież coraz więcéj zwolenników w samém zastosowaniu, a w sporach piśmiennych, ani przez Felińskiego ani przez innych popieraną nie była.

W tychże czasach, r. 1817, wyszłą grammatykę pozgonną Kopczyńskiego, przyjął naród z uszanowaniem, jako dzieło tchnące żywą miłością narodowego języka, przejęciem się jego zaletami i wyjaśniające jego budowę. Popiéra w niém Kopczyński, mocniéj niż gdzie indziéj swoje zasady ortografii, szczególniéj co do znamionowania samogłosek, lecz naród uwielbiając zasługi i gorliwość zgasłego grammatyka, nie mógł

przyjąć tego, czego w języku już nie czuł, a przeto i z Kopczyńskiego nauczyć się nie mógł. Przecież Kopczyński miał zawsze i ma dotąd, lubo szczupłą liczbę, wiernych swych zwolenników.

Do wyjścia pisma Felińskiego, ortografja polska miała wiele niedokładności, lecz nie było w niéj tak znacznego rozróżnienia, jakiego to pismo było powodem. Już odtąd niektórzy autorowie i pisma peryodyczne obierali sobie szczególną ortografją, przyczem nie obeszło się bez wprowadzenia nowości. Niezgodność, brak stałych prawideł, stały się w drukach coraz powszechniejszemi.

W r. 1821, Józef Mroziński ogłosił: Pierwsze zasady grammatyki języka polskiego, a w następnym, rozwinięcie i wyjaśnienie tychże zasad, w Odpowiedzi na recenzyą, dzieła jego w ówczesnéj gazecie literackiéj umieszczoną. Oba te pisma rzuciły nowe zupełnie światło i badaniom nad tymże, inny, nierównie pewniejszy nadały kierunek. Jak każde dzieło ważniejsze, tak i to z czasem dopiero głębiéj poznane i upowszechnione zostało. Mroziński pierwszy zgłębił zasady języka polskiego, oznaczył budowę jego piękną i wielką przez swoję prostotę, wyjaśnił język żyjący jaki w swym wieku zastał, odgadł dzisiejsze dążenie zwyczaju, nie zaś usiłował uczynić go takim, jakim był kiedyś, lub jakim chcieliby go mieć niektórzy grammatycy. W odpowiedzi na recenzyą, wyjaśnił Mroziński najważniejsze części ortografii, a to w sposób dotąd w grammatykach polskich nieznany, poparł przeważnie niektóre zasady Felińskiego, innych niedostateczność udowodnił.

W tym stanie ortografii polskiéj, Towarzystwo królewskie przyjaciół nauk czuło, że względem zmian albo nowości przez szczególne osoby zaprowadzonych, nie może u siebie rozstrzygać, aż po zbliżeniu zgody do tego stopnia, iżby przyjęciu tych albo owych, nadać mogło stanowczą przewagę.

W ostatnich kilku latach, uznało porę do tego stosowną. Dotąd bowiem ważniejsza część niezgodności wyjaśnioną, chociaż w skutku jeszcze nie usuniętą została. Nadto powszechniejsza czynność w literaturze, liczniéj wychodzące pisma,

wydawania dawnych dzieł ważnych, wskazały nieodzowną potrzebę zbliżenia ortografii, do pewnych zasad i jednostajności.

Uznało więc Towarzystwo za rzecz stosowną, wyznaczyć do przygotowania projektu zasad ortografji polskiéj, z grona swojego deputacyą, do któréj na sessyi centralnéj d. 4. Marca 1827 r. wyznaczeni zostali.

X. Wojciech Szwejkowski.
Ludwik Osiński.
Felix Bentkowski.
Jan Kruszyński.
Kazimierz Brodziński.

Towarzystwo liczy w gronie swoim mężów, których prace i zasługi około języka polskiego powszechnie są znane, lecz w wyborze osób do powyższéj deputacyi, powodowało się tą myślą, iż tamci będą najwłaściwszemi sędziami projektu, jaki wniesie deputacya; i że tym sposobem, uchwała Towarzystwa w tym przedmiocie, będzie owocem powtórnych badań i wyższego sądu.

Jednakże deputacya, pragnąc ile być może, projekt sobie poruczony do doskonałości przybliżyć, przed rozpoczęciem swoich czynności upraszała Józefa Mrozińskiego, ażeby dzielić zechciał jéj prace. Gorliwość tego męża nie dozwoliła mu odmówić wezwaniu. Był on ciągle najczynniejszym spółpracownikiem deputacyi, a o skutku tego udziału, przekona się publiczność, nietylko z rozpraw jego szczegółowych, na swojem miejscu umieszczonych, ale z zasad na jakie się deputacya zgodziła, a które w znacznéj części są rezultatem lub tychże rozpraw albo myśli Mrozińskiego już poprzednio drukiem ogłoszonych.

Deputacya nie otrzymała od Towarzystwa żadnéj instrukcyi, obowiązaną więc była przepisać sobie ogólne zasady i plan swoich czynności.

Główną zasadą jéj było, ażeby do projektu nie wprowadzać żadnych nowości, lecz tylko wziąść pod ścisłą rozwagę te szczegóły pisowni, względem których w dzisiejszych pismach niezgodność zachodzi; następnie śledzić historyą każdego szcze-

gółu ortograficznego w drukach dawnych i późniejszych, tudzież w rękopismach i ustnéj mowie, mieszkańców różnych prowincyi, rozważyć co w obecnym czasie wprowadzone zostało do ortografji przez przepisy grammatyczne, a co było skutkiem samego dążenia języka, jakie są powody takowego dążenia, częstokroć wyraźnie opierającego się prawidłom przez wszystkich grammatyków powtarzanym; mieć szczególny wzgląd na to dążenie zwyczaju, który i w dowolnościach swoich ma słuszność za sobą; zresztą sądziła deputacya, iż należało mieć wzgląd na łatwość wykładu form grammatycznych i na łagodzenie języka, o ile takowe od pisowni zależeć może, i o ile nie pozbawi języka, przyrodzonéj mu męzkiéj dobitności.

Deputacya roztrząsnęła różne dawne i nowe pisma o ortografji polskiéj mówiące. Zapatrzywszy się szczególniéj na rozprawę Felińskiego, podług jego układu prace pomiędzy swych członków podzieliła; ten bowiem pisarz objął największą liczbę szczegółów ortograficznych i te właśnie pozbierał, względem których teraźniejsi pisarze dotąd się nie zgodzili. Gdy jednak Feliński nie objął wszystkiego, co dotąd w pisowni wątpliwości ulega, wypadło deputacyi dodać jeszcze pozostałe szczegóły, ograniczając się wszakże do tych jedynie względem których dziś w ortografii niezgodność zachodzi, a których rozstrzyganie nie do saméj tylko grammatyki należy.

Według tego członkowie deputacyi przygotowali wnioski, jak to spis przedmiotów na swojém miejscu znajdujący się objaśnia.

W ciągu swoich czynności odebrała deputacya udzielony sobie reskrypt komisyi rządowéj wyznań religijnych i oświecenia publicznego do Towarzystwa królewskiego Przyjaciół nauk z dnia 28 lutego 1828. N. 2320|550 w osnowie następującéj.

„Ustalenie zasad i z nich wyprowadzenie jednostajnych prawideł pisowni polskiéj, dotąd tak zmiennych i takiéj różnicy mniemań podległych, chlubném jest staraniem i godném Towarzystwa Królewskiego przyjaciół nauk, w celu szczególniéj doskonalenia mowy ojczystéj zawiązanego.

„Wybór do dzieła tego osób, zaszczytnie znanych w literaturze polskiéj, i sąd całego Towarzystwa w zawodzie naukowym osób w kraju złożonego, zaręcza komisyi rządowéj wyznań religijnych i oświecenia publicznego, iż praca ta pomyślnym skutkiem uwieńczoną zostanie, i najsprawiedliwszą w mniemaniu publicznem pozyska powagę, przez co do zgodności powszechnéj i do udoskonalenia saméj mowy ojczystéj, ważny krok uczyni.

„Komisya rządowa wyznań religijnych i oświecenia publicznego, uwielbiając zamiary Towarzystwa Królewskiego przyjaciół nauk, uznając swoj obowiązek wspierania w téj mierze jego usiłowań, zajęta tąż samą chęcią służenia mowie ojczystéj, a przekonania, iż w rzeczy, któréj zgodność jest tak trudna a przecież konieczna, ona sama, jako magistratura nad wychowaniem przełożona, ma najdzielniejsze jeżeli nie jedyne środki do upowszechnienia jednakowych w téj mierze przepisów, oczekuje ukończenia chwalebnéj pracy dla korzystania z niéj, aby przez podanie szkołom dzieł elementarnych w przepisanéj i jednéj pisowni, nie tylko teraźniejszemu pokoleniu ale i następnym, stałe mogła podać prawidła.

„Dzieło to tak potrzebne, im wcześniéj dokonane zostanie, tém spieszniéj przez wydanie nowych dzieł elementarnych i nowe edycye wydanych, do powszechnego przejdzie użycia i zniesie tę nieprzyzwoitą różność, która w pisowni tego rodzaju dzieł od komisyi rządowéj szkołom przepisanych, zachodzi.

„Z tego powodu Kommissya rządowa wyznań religijnych i oświecenia publicznego, ma zaszczyt upraszać szanowne Towarzystwo królewskie przyjaciół nauk o przyśpieszenie skutków tak chwalebnéj i oczekiwanéj pracy.“

Minister prezydujący (podpisano)
Stanisław Grabowski.

Naczelnik wydziału (podpisano) Radomiński.

Sekretarz Jeneralny (podpisano) Rakiety.

Deputacya tak zaszczytném i stanowczém wezwaniem powodowana, tem troskliwszą była, ażeby zasady pisowni polskiéj przez Towarzystwo przyjąć się mające, były owocem

gruntowego zgłębienia rzeczy i zbliżeniem, ile możności, mniemań dotąd przeciwnych. Lubo więc nie przyjmowała niczego, coby się wyraźnie zwyczajowi narodowemu sprzeciwiało, a to co przyjęła, na naturze języka i na tymże zwyczaju oprzeć się starała, jednakże składając Towarzystwu owoce swych narad wniosła, ażeby do ostatecznego przyjęcia zasad deputacyi nie przystępowało, dopóki przez sąd publiczny roztrząśnione nie będą.

Inne jeszcze do tego przyczyny znajdzie czytelnik w przymówieniu się Józefa Mrozińskiego na czele dzieła umieszczoném. W skutku przyjęcia takiego wniosku, ogłasza deputacya swą pracę, nie jako dzieło Towarzystwa, lecz jako swe własne.

Towarzystwo upoważniło deputacyę do zaproszenia wszystkich badaczów i miłośników języka polskiego, ażeby postrzeżenia swoje nad niniejszą jéj pracą, bądź drukiem ogłaszać, bądź piśmiennie na ręce Sekretarza Towarzystwa nadsyłać zechcieli. Sądzi deputacya, iż szczególniéj Towarzystwo do ksiąg elementarnych, i Professorowie wszelkich szkół publicznych, raczą Towarzystwu uwagi swoje nadsyłać. Po roztrząśnieniu dopiero tychże, Towarzystwo zdanie swoje oświadczy.

Do zdania sprawy publicznie z czynności poruczonéj, służyły deputacyi dwa środki, to jest: albo podać wyrozumowane zasady ortografi polskiéj, na jakie się jéj członki pomiędzy sobą zgodziły, albo tylko ogólne zasady wyczerpane z rozpraw pojedynczych i dyskucyi, z dołączeniem tychże rozpraw. Środek drugi zdał się deputacyi z wielu względów stosowniejszym.

W zdaniu sprawy, na swojem miejscu wykazanem, znajdzie czytelnik przy każdém prawidle odwołanie się do szczególnych rozpraw obejmujących nietylko powody prawidła, ale i zdania przeciwne, przez co zyska obszerniejsze pole do własnych postrzeżeń, albo powód do przyjęcia z tém większą pewnością jednego zdania.

W rozprawach są szczegóły, względem których deputacya w zdaniu sprawy nic nie wyrzekła, bo te zdawały się albo do saméj grammatyki należącemi, albo wykraczały za obręb jaki sobie zakreśliła, to jest: aby niewprowadzając nowości, to tylko rozstrzygać, w czém obecnie ortografja polska jest niejednostajną. Te jednak szczegóły mogą następnym, a może i dzisiejszym badaczom ojczystego języka dać powód do innych postrzeżeń, i dalszego znowu ulepszenia ortografii, któréj zupełne ustalenie jeszcze zapewne znacznego przeciągu czasu wymagać będzie.

Autorowie rozpraw, którzy co do szczegółów w skutku dyskussyi inne powzięli przekonanie, i do zdania większości deputacyi przystąpili, nie usunęli od druku swych wniosków, chociaż odstąpionych, w mniemaniu że z różności zdań choćby i mylnych, inni badacze korzystać mogą; a najwięcéj zostawili je przeto, że ich myśli dały powód samym członkom deputacyi do badań, które zasady jéj ugruntowały i wszechstronnie wyjaśniły. Są wreszcie w tychże rozprawach napomknienia wyłącznie do ortografii nie należące, których przecież nie wypadało opuszczać ze względu, iż posłużyć mogą w ogólności do poznania budowy języka polskiego, który w miarę swojego bogactwa i potrzeby, mało jeszcze był roztrząsany.

Deputacya odbiérała dowody troskliwości ziomków o dzieło sobie poruczone, którzy wnioski swoje względem ortografii nadsyłać jéj raczyli, za co składa tymże winne podziękowanie. Pisma te złożone zostały w bibliotece Towarzystwa Królewskiego Przyjaciół nauk.

Po ogłoszeniu niniejszego pisma, deputacya zostaje zupełnie rozwiązaną, zostawia tylko prywatnéj woli swych członków, udział, jaki w dalszym ciągu tego przedmiotu bądź w publiczności, bądź w Towarzystwie Królewskiem Przyjaciół nauk, mieć zechcą.

Gdy natura rzeczy niniejszéj jest taką, iż ostateczne względem niéj wyrzeczenie trudne jest do przewidzenia, gdy nawet wytoczone względem niéj spory, mogą łatwo dać powód do wprowadzenia nowych różnic i niezgody w ortografii; niech będzie wolno deputacyi oświadczyć życzenie, ażeby wydawcy wszelkich dzieł, zasady najpowszechniéj przyjęte, lub uznać się mające, zachowywać i przez druk upowszechniać zechcieli. Tym sposobem ortografia nabyć może najprędzéj ustalenia i pewnego stopnia doskonałości.

Winna się jeszcze deputacya usprawiedliwić, iż jéj praca kilkakrotnie w zagajeniach Prezesa Towarzystwa przyjaciół nauk ogłaszana, aż dotąd opóźnić się musiała. Deputacya od zawiązku swojego zajmowała się nieprzerwanie swoją czynnością. Ale przedmioty ortografii podlegają szczególniéj wielostronnym widokom, trudnościom i sporom. Samo rozbieranie grammatyk i pism o ortografii mówiących, uwagi nad temiż ustne i piśmienne, przeglądania dzieł starych i nowych jedynie pod względem ortografii, porównywanie edycyi dzieł w znacznym przeciągu czasu drukowanych, wiele czasu zabrać musiało. Trudność nakoniec wydrukowania dzieła, w kraju naszym tak pospolita, o rok blisko cały spóźniła ogłoszenie pracy niniejszéj.

Spis abecadłowy rzeczy i wyrazów przy końcu dzieła umieszczony, służący do wynalezienia strony dzieła, gdzie o samym wyrazie jest mowa, jest oraz słownikiem przyjętéj przez deputacyą pisowni, wymienionego wyrazu. Że zaś rozdwojone niekiedy bywały zdania członków, nim stanowcza nastąpiła decyzya; zwraca się zatem i na to uwagę czytelnika przez dodany wyraz por: porównaj.

Nakoniec nie może deputacya pominąć pisma współczłonka Bentkowskiego, O znakach przecinkowych, które, lubo do pracy jéj nie należało, jednakże jéj natchnieniu byt swój jest winne. Pismo to zyskało zasłużone przyjęcie w publiczności i życzyć należy, ażeby drukarnie polskie, starały się z niego więcéj korzystać.

ZDANIE SPRAWY
DEPUTACYI

PRZY ZŁOŻENIU

TOWARZYSTWU KRÓLEWSKO-WARSZAWSKIEMU

PRZYJACIÓŁ NAUK

ROZPRAW I WNIOSKÓW DOTYCZĄCYCH SIĘ USTALENIA

PISOWNI POLSKIEJ.*

Wyznaczeni z grona Towarzystwa do przejrzenia zasad pisowni polskiéj, chcąc odpowiedzieć chlubnemu wezwaniu, zaczęliśmy prace nasze od rozpoznania celniejszych grammatyk i licznych pism, które się kiedykolwiek w całości lub części tym ważnym przedmiotem zajmowały. Porównanie tylu przepisów jednych z drugiemi, jako też z ortografią znakomitszych dzieł wydanych w różnych miejscach i w różnych epokach literatury ojczystéj, wskazało nam długi szereg sprzeczności, dotąd nie rozwiązanych równie w teoryi jak we zwyczaju narodowym. Nie zdołały zaprowadzić stałych prawideł usiłowania autora Grammatyki dla szkół publicznych, chociaż dzieło

* Zdanie sprawy Deputacyi; z rozpraw i wniosków tyczących się ustalenia pisowni polskiéj, napisał Brodziński, jako jeden z pięciu członków Deputacyi, która wydała w r. 1830 rzecz: O pisowni polskiéj. (P. W.)

to od pół wieku zatwierdzone przez władzę edukacyjną, stanowiło początkową naukę młodzieży krajowéj. Sam autor czuł niedostateczność swoich przepisów, gdy niektóre z nich tak często poprawiał i zmieniał.

Myśl utworzenia jednostajnéj pisowni, powzięta od lat przeszło dwudziestu przez Towarzystwo Przyjaciół nauk, jeżeli dla wielu przyczyn dotąd uskutecznioną być nie mogła, stała się jednak powodem, dla uczonych badaczów do nowych w téj rzeczy poszukiwań. W r. 1811 Franciszek Szopowicz przesłał Towarzystwu szacowne uwagi swoje nad samogłoskami i spółgłoskami, późniéj w r. 1827 drukiem ogłoszone. Udzielali i inni pisarze swoich postrzeżeń, bądź przez pisma publiczne, bądź przez nadsyłane zgromadzeniu rozprawy. W r. 1816 Aloizy Feliński na czele zbioru dzieł swoich umieścił obszerniejsze w tém przedmiocie badania.

Pisma te, wsparte powszechniejszém przyjęciem niektórych zasad ortograficznych, posłużyły deputacyi za pierwszą przewodnią w porównanéj jéj pracy. Zapatrując się szczególniéj na rozprawę Felińskiego, zawierającą staranny wykaz najgłówniejszych wątpliwości, będącą już od lat kilkunastu pod sądem publicznym, i mającą po sobie słuszną powagę pisarza, dokładnie obeznanego z przedsięwziętym zawodem, starała się jedynie deputacya wyjaśnić i udowodnić co w téj rozprawie dobrem, sprostować co mniéj dostateczném, uzupełnić co opuszczoném uznała.

Wykonanie jednak zamiaru naszego nie mogło tak rychło postępować, jakeśmy z początku sami mniemali. Pisarz myślący, jakim był Feliński, w uchybieniach nawet swoich nie jest bez powodów: jeżeli przeto znajdował w deputacyi przeciwników, znajdował także i obrońców. Przedmioty sporne często małéj wagi na pozór, otwierając pole do rozleglejszych badań, nie zawsze mogły być załatwione ustnym na obradach rozbiorem. Popierano różniące się zdania osobnemi rozprawami; rozprawy pociągnęły za sobą równie obszerne odpowiedzi: tym sposobem obrady ustne zamieniły się w piśmienne, a ztąd każdy szczegół dłuższego potrzebował czasu, nim deputacya

w rzeczy różnostronnie wyjaśnionéj i dostatecznie przygotowanéj, przystąpić mogła do uznania wniosku.

Zbiór takowych rozpraw, z przydaniem ogólnego wykazu ostatecznych roztrzygnień, przynosimy teraz pod sąd Towarzystwa jako owoc ukończonéj pracy, do któréj nas rozkaz jego powołał. Jakąśmy drogą postępowali w poszukiwaniu przepisów któreby jeżeli nie zupełnie ustalić, tedy przynajmniéj znacznie zbliżyć mogły pisownią polską do pożądanéj jednostajności; okażą tu przyłączone pisma i porównane z nimi wnioski deputacyi.

Ścisłe poznanie natury głosek, mechanizm języka, pochodzenie wyrazów, pilny zawsze wzgląd na formy grammatyczne wyczerpnięte z budowy języka, łagodzenie brzmień, wolne jednak od przesady, któraby mowę polską właściwéj jéj mocy i wyrazistości pozbawiać mogła, powaga znakomitych pisarzów były dla nas nieodstępnemi skazówkami. We wszystkich wnioskach tośmy na pierwszym mieli widoku, ażeby przepisy ortografii, jasne, proste wyraźne, nieobciążone mnogością wyjątków, najbliżéj odpowiadały głównéj zasadzie, która nakazuje każde oddzielne brzmienie własną i stale tąż samą postacią alfabetyczną wyrażać. Jeżeli nam z jednéj strony troskliwie należało unikać nowości; nie mogliśmy z drugiéj być obojętnymi na takie poprawy, które chociaż przez nawykłość piszących i długie zaniedbanie najoczewistszéj prawdy, mogą się na pozór wydawać nowemi, w gruncie jednak wypływają koniecznie z natury mowy polskiéj.

Wreszcie w najtrudniejszych wątpliwościach łączyliśmy zdanie nasze z przewagą zwyczaju narodowego, żywo przejęci tą myślą, że ortografia powinna upatrywać w tymże narodowym zwyczaju, dążenie języka od saméj natury mu wskazane, i w tém go popierać. Jakoż pewna część teraźniejszych przepisów, jeżeli będą przyjęte, służyć tylko może na czas ograniczony, szczególniéj co do znamionowania samogłosek. Ściśnione np. *é* było dawniéj daleko częściéj w mowie naszéj używane niż teraz. W stanowieniu zatem prawideł na samogłoski ściśnione musiała deputacya pilnie się radzić obecnego zwyczaju.

Wspomnieć jeszcze winniśmy, jak wielką dla nas w zachowaniu tych trudnych warunków było pomocą znane dzieło Mrozińskiego pod tytułem: Pierwsze zasady języka polskiego, pomnożone zamożnemi wiadomościami w przydatkowém tegoż autora piśmie obejmującem: Odpowiedź na recenzyą. Sam autor tylu uczonych nad językiem badań, tylu gruntownych spostrzeżeń, z równą uprzejmością jak wytrwaniem prace deputacyi podzielał i wspierał.

Oznajmiło już Towarzystwo publicznie, że zbiór przepisów jakie pod względem ortografii wydać zamierza, ma być tylko ze strony jego nowym dowodem troskliwości o język ojczysty, tłumaczem jego w téj mierze mniemania, nie zaś ostatecznym wyrokiem; że pragnie usłyszeć pierwéj głos publiczny, nim własny z powszechniejszym sądem znawców pogodzi. Tą myślą powodowana deputacya, obok przepisów, które za pewne i konieczne uznała, podaje razem i te, które uważa jedynie jako myśli godne dalszego rozbioru, nie przywiązując do nich znaczenia prawideł. Równie w samych rozprawach znajdzie Towarzystwo liczne uwagi członków, bądź różniące się od przyjętego w deputacyi zdania, bądź zawierające nowe pomysły, które w poniższy wykaz nie weszły. Rozwaga Towarzystwa i publiczności wydoskonali dzieło potrzebujące i czasu i umyślnych badań, ażeby objąć mogło wszystkie wątpliwości pisowni i stanowić w ich rozwiązaniu powagę.

Ostatecznie wnioski wynikłe z narad deputacyi są następujące:

I.

Znamionowanie samogłosek.

Zwyczaj powszechny oddawna już odrzucił znamionowanie samogłoski *a*, do rozróżnienia w wymowie prawie niepodobne, dla wdzięku języka niekorzystne (Rozprawa Ks. Szwejkowskiego str. 35—44, Mrozińskiego 48—78, Brodzińskiego 378 i nast.): pozostają więc tylko samogłoski *o*, *e*, których brzmienie ściśnione, to jest pochylające się, w pierwszéj do brzmienia *u*, w drugiéj do brzmienia *y*, *i*, oznacza się w piśmie znamieniem.

Samogłoska *o* ma zwykle brzmienie ściśnione i kréskuje się:

1. Gdy spółgłoska słaba, lub płynna nienosowa, albo też dwie spółgłoski, z których pierwsza jest słaba druga płynna nienosowa * kończąc wyraz, spływają na samogłoskę *o* poprzednio stojącą, np. bób, osób, głód, trzód, głóg, nóg, rów, głów, wóz, nóż, strój, sól, dół, bór, bóbr, dóbr, mógł, wiózł, i t. p., prócz następujących wyjątków:

a) W słowach od, pod, dob, (doba), dzięcioł, gruczoł, kwiczoł, mozoł, pachoł, sokoł, gąsior, jawor, jezior, kaczor, piskorz, por, sikor, węgorz, żywioł, spółgłoski mające moc pochylania poprzedzającéj samogłoski *o*, wcale jéj nie pochylają.

b) Również jéj nie pochylają w wyrazach obcych, np. aktor, fawor, honor, rektor i t. p.

c) Spółgłoska *ż* nie pochyla także samogłoski *o*, gdy jest przyrostkiem, np. toż, jakoż, wszelakoż, trudnoż, mówionoż, byłoż to, i t. p. (Mroziński str. 88—89, 94—98, 102. Szwejkowski 21—27).

W przypadku, który objęty jest powyższém prawidłem I-ém. samogłoska *o*, po rozłączeniu się ze spółgłoską, która brzmienie jéj pochylała, odzyskuje brzmienie otwarte: grób, grobu; osób, osoba; głód, głodu; nóg, noga; trzód, trzoda; strój, stroju.

2. W środku wyrazu samogłoska *o* ma brzmienie ściśnione przed temiż samemi spółgłoskami, gdy po nich następuje zakończenie *ka*, *ko*, bądź dla zdrobniałości, jak np. główka, szkółka, kłódka, słówko, ziółko; bądź w słowach, które tymże samym sposobem nakształt zdrobniałych, chociaż od nieużywanych wyrazów, utworzono, jak

* Spółgłoski słabe są: *b*, *d*, *g*, *w*, *z*, *ż*, *dz*, *dź*, *h*, do których spółgłoskę *j* przydać należy. Spółgłoski płynne nienosowe: *l*, *ł*, *r*, (ob. Pierwsze zasady Grammatyki jęz. pols str. 9. 12. i Rozprawa w témże dziele str. 88.

np. borówka, krzyżówka, dachówka, żydówka, mrówka, złotówka, rozwódka, doróżka itp.

W tym przypadku samogłoska *o* ma brzmienie ściśnione po odłączeniu się nawet od następującéj spółgłoski: słówko, słówek, żydówka, żydówek; zachowuje oraz to samo brzmienie w wyrazach pochodnych: podgłówek, podbródek, przysłówek, podnóżek. (Mroziński str. 96—98, Szwejkowski 25).

Równie w wyrazach zdrobniałych: ogródek, ołówek, wózek, ogórek, chociaż utworzonych od rzeczowników męzkich, głoska *o* ma brzmienie ściśnione. (Mroziński 102).

3. W słowach pół, ów, bój, oraz w słowach liczbowych dwój, trój, czwór, samogłoska *o* zachowuje brzmienie ściśnione, które jéj nadaje wspierająca się na niéj spółgłoska: półtora, półmisek, półsetek, spółka, wspólnik, współczesny, naówczas, zbójca, bratobójca, dwójka, podwójny, w dwójnasób, trójka, trójca, potrójny, trójkąt, trójząb, czwórka, poczwórny, lecz przestaje być w niej ściśnioną, skoro spółgłoska pochylająca jéj brzmienie od niéj się odłącza: połowa, społem, owąd, nabojem, dwojako, podwoje, podwoić, dwoisty, troić, czworo, czworaki, i t. p. (Mroziński str. 95).

4. Wreszcie zwyczaj zachowuje *o* ściśnione w słowach: bóstwo, chór, córa, córka, czółno, dowództwo, dwóch, główny, góra, Jakób, Józef, kłóć, kłócić, król, krótki, który, młócić, mnóstwo, mówić, mózg, ochędóstwo, ogół, pióro, płótno, podróż, pójść, póki, póty, powrósło, późno, próć, próchno, prócz, prószyć, próżny, robótka, równy, róża, rózga, różny, skóra, sobótka, szrót, stróż, szczegół, tchórz, tłómok, twórca, ubóstwo, włóczyć, włókno, wojewódzki, województwo, wójt, wróbel, wrócić, wróżyć, wskórać, wskróś, wtóry, żółć, żółty, żóław',

żóraw', źródło, tudzież w słowach liczbowych szósty, siódmy, ósmy (Mroziń. 103—104).

Co do *e* ściśnionego deputacya pilnie rozważała wniosek Ks. Szwejkowskiego (str. 29), że też same spółgłoski, które pochylają brzmienie *o*, pochylają także samogłoskę *e*. Mniemanie to zdaje się być popartém, przez inne postrzeżenie (str. 31): że samo tylko *e* otwarte ginie w przypadkowaniu rzeczowników, np. ojciec, ojca; sen, snu, poczet, pocztu, i t. p; zkądby wypadało przyznać samogłosce *e* znamię ściśnione w wyrazach, w których ona nie znika, jak pogrzéb, pogrzebu; brzég, brzegu; chmiél, chmielu i t. p.; a następnie prawidło 1-sze przyjęte co do samogłoski *o* rozciągnąćby należało równie do samogłoski o któréj mówić mamy. Ale zastanawiając się jak daleko tu różnym, jak niejednostajnym, jak mało znacznym jest wpływ spółgłosek słabych i płynnych nienosowych; widząc że zwyczaj narodowy coraz więcéj zbliża samogłoskę *e* do brzmienia otwartego; że w tym razie zaledwie już w kilku słowach chwieje się samogłoska *e* pod wpływem spółgłoski słabéj, np. chléb, śniég, śpiéw; śiéw; przeciwnie zaś otwarte jéj brzmienie w wyrazach pogrzeb, brzeg, chmiel i t. d. zda się być powszechnie ustalone; deputacya skłoniła się do wyłączenia téj zasady, podając następujące przepisy:

Samogłoska *e* ma brzmienie ściśnione i kréskuje się:

1. W końcu wyrazu w zakończeniu *éj*, np. oléj, złodziéj i t. p. a przeto w drugim i trzecim przypadku przymiotników w rodzaju żeńskim, np. dobréj, pięknéj, przyjemnéj, w stopniu wyższym i najwyższym wszystkich przysłówków, np. bliżéj, daléj, częściéj, lepiéj, najgłośniéj; tudzież w zakończeniu *éj* w trybie rozkazującym, np. chciéj, chwiéj, miéj, mdléj, i t. p (Szwejk. str. 29—30. Mroziń. 99—100).

2. W szóstym i siódmym przypadku przymiotników w rodzaju nijakim, np. piękném dziełem, rzadkiém zdarzeniem (Szwejk. i Mroziń. tamże).

3. W czasownikach niedokonanych, złączonych z przy-

imkami pochodzących od słów, drzéć, trzéć, wrzéć, mrzéć, przéć, żréć, prać, dziać, grzać, lać, siać, np. odziéram, zaciéram, umiéram, zapieram, pożéram, wyléwam, zaśiéwam i t. p. (Mroziński 103).

4. W pierwszym przypadku rzeczowników chléb, ślédź, śpiéw, śiéw (Szwejk. 30); we wszystkich odmianach czasowników umié, rozumié, wié, powié, dowié się, śmié, jé, (Mr. 103); i w trybie bezokolicznym niektórych czasowników: grzmiéć, brzmiéć, leciéć, pléć, mdléć, ilśniéć, piéć i t. p. (Szwejk. 30, Mroziń. 101).

5. W wyrazach: Agniészka, biéda, biés, céruję, céwka, chléw, ciérpiéć, czépek, cztéry, dopiéro, dziécię, dziéwka, dobrodziéjka, dziérgać, dziéża, gniéw, grzéch, imbiér, Jérzy, jéż, kaléka, karéta, kléj, klészcze, kobiéta, kolébka, kréda, kréska, léció (ogrzewać), léczyć, mlécz, mléko, mléwo, papiér, papiéż, piérwszy, piérze, podchlébiam, rzéka, ściérwo, sér, siéć, śiekiéra, sknéra, śniég, skwiér, śmiéch, stér, świéca, świércz, świérk, świérzba, świéży, szczéry, wiécha, Wiédeń, wiérsz, wiérzba, wiérzch, ziéwać, źrebię, źwierz, żér, żerdź: i w niektórych zakończonych na erz, np. alkiérz, Kazimiérz, kołniérz, kuśniérz, masztalérz, moździérz, pastérz, pérz, talérz, żołniérz.

Ogólnie co do znamionowania samogłosek *oe*, uważa deputacya, że słowa, w których jedni piszą *ó* kréskowane, drudzu *u*, wypada dla ustalenia pisowni pisać przez *u*, jeżeli w grammatycznych odmianach wyrazu nigdzie się nie ukazuje *o* otwarte; i jeżeli bliższe pochodzenie słowa nie wymaga koniecznie *o* ściśnionego. Tym sposobem pisać należy: bankrut, biuro, but, bruzda, całun, chruściel, chrust, dłuto, drut, kłus, krubka, luźny, nucić, nuta, płukać, pułk, pułka, pułkownik, ślusarz, śruba, tłumacz i t. p.

Wyrazy cudzoziemskie mające *u*, a mianowicie zakończone na unek, nie powinny się pisać przez *ó* ściśnione: trunek, werbunek, gatunek, frasunek; przeciwnie polskie podobnego zakończenia mają zawsze *o* otwarte: trzonek, korzonek, i t. p. (Brodziń. 383).

Podobnież co do *é* ściśnionego deputacya radzi pisać, na téj saméj zasadzie badyl, blich, cybuch, cyrkiel, cyrulik, cyrograf, drzymać, gryka, gzyms, gdyrać, mir, pył, rozynek, źbir, zydel, zyz, nie zaś badél, bléch, cébuch, cérkiel i t. p.

Ponieważ zwyczaj narodowy dąży do zamiany *é* ściśnionego na otwarte; powszechnie zatém, gdzie zachodzi wątpliwość powyższémi prawidłami nierozwiązana, pisać raczéj należy *e* otwarte aniżeli ściśnione. (Brodz. 365—366).

II.

Używanie w pisowni liter *i*, *y*, *j*.

Uważając, że głoska *i* pisze się u nas w dwojakim kształcie, według tego, jak od poprzedniéj spływającéj na nią spółgłoski miękkiéj lub twardéj, ton cieńszy *i*, albo też grubszy *y* otrzymuje; że *i* umieszczane po spółgłosce, przed jedną z samogłosek *a*, *ą*, *e*, *ę*, *o*, *u*, nie wydaje bynajmniéj oddzielnego swego tonu, ale służy tylko za znak zmiękczenia poprzedniéj spółgłoski; że teorya dyftongów jest mylną; sądzi deputacya, iż równie pisownia nasza, jak wymawianie i sama grammatyka pozyska większą pewność, jasność i dokładność, gdy przyjęte będą następujące prawidła:

1. Iżbyśmy stale używali postaci *j* wyrażającéj brzmienie spółgłoskowe tam, gdzie dotąd pisownia nasza mieściła literę *i*, *y* jako część mniemanego dyftongu czy w zaczęciu syllaby jabłoń, jądro, jeden, jęk, jodła, już; czy w zakończeniu: maj, réj, kij, słój, wuj, stryj; — przedajny, uprzejmy, zbrojny, bujny, familijny, kommissyjny; równie wtenczas gdy do niéj należy sama, jak w powyższych przykładach, jak łącznie z inną spółgłoską: wjazd, zjazd, objazd, wójt i t. p.

2. Postać rzeczona ma w takiém używaniu brzmienie spółgłoskowe *je*.

3. Ponieważ brzmienie spółgłoski najmiększéj *je* spływając na samogłoskę najcieńszą *i*, w wymawianiu zlewa się w jeden ton i pozornie znika; spółgłoska przeto *j*, ani się wymawiać, ani pisać powinna przed samogłoską *i*, to jest: nie piszemy szy-ji, stojisz, kra-jina, ale szyi, stoi, kraina.

4. Jako spółgłoska należąca do rzędu najmiększych, nigdy na grubsze *y* spływać nie może; przeciwnie gdy na nią spływać może cieńsze *i*, lub grubsze *y*, zarówno po obudwóch się pisze: bij, kij, żyj, stryj.

5. Wyrazy cudzoziemskie: Julia, Fabian, Scypion, Idamia, Niobe, albo komedya, Grecya, Azya, i t. p. takim sposobem, zgodnie z pisownią języków, z których pochodzą, pisać się powinny; nigdy zaś Fabijan, Scypijon Ilamija, Nijobe, Grecyja, komedyja, Azyja; ani Fabiion, scypiią i t. p. ani też przez mylne użycie spółgłoski *j*, i złe wymawianie Azja, Anglja, kurjer, Precjoza i t. d.

6. Kształt alfabetyczny postaci odróżniającéj samogłoskę *i*, od spółgłoski *j*, w drukach i w piśmie małém, jest wyraźny. W początkowych tylko większych literach piśmiennych potrzebuje téj różnicy znanéj i przyjętéj we wszystkich językach mających alfabet łaciński: żeby *J* spółgłoska przechodziła za podstawę liter, *I* samogłoska na niéj się opierała. (Ob. Rozprawę Osińskiego o używaniu liter *i*, *y*, *j*, str. 128).

III.

Końcowa samogłoska *ę* w rzeczownikach rodzaju nijakiego.

Deputacya przyjęła ogólne prawidło następujące:

Należy kończyć na *ę* nietylko rzeczowniki żywotne: cielę, dziécię, dziéwczę, jagnię, lwię, książę, kurczę, prosię, zwierzę; ale i nieżywotne: brzemię, cie-

mię, dymię, imię, plemię, ramię, siemię, wymię, znamię, które w dalszych przypadkach jeszcze jednę zgłoskę przybierają, np. dziécię, dziécięcia; plemię, plemienia, (ob. Rozpr. Mroziń. 105—127).

IV.

Wątpliwość co do zakończeń cechowych *emi*, *imi* w 6-tym przypadku przymiotników męzkich, oraz *émy*, *imy* w 1-széj osobie czasowników liczby mnogiéj.

Zważając, że z odróżnienia przymiotnika męzkiego w 6-tym przypadku liczby mnogiéj sławnymi mężami, wielkimi pisarzami, nie wpływa żadna korsyść ani dla wdzięku mowy, ani dla wyjaśnienia formy przypadkowania; deputacya nie widzi wprawdzie potrzeby takiego odróżniania rodzaju i sądzi, iżby jedno tylko powinno być zakończenie *emi* na przymiotniki każdego rodzaju; trzymała się jednak powszechnie w téj mierze używanéj pisowni (Brodziński 373—378. Mroziński 440—451).

Co do 1-széj osoby w mnogiéj liczbie czasowników, wzgląd na tworzenie się tego zakończenia przez dodanie zgłoski *my* do trzeciéj osoby liczby pojedyńczéj: pali, palimy; nosi, nosimy; uczy, uczymy; kazał jéj być za utrzymaniem tego sposobu pisania, który wypływa z grammatycznego układu mowy naszéj (ob. Brodz. 372. Mroziń. 456).

V.

Znamionowanie spółgłosek.

Podział spółgłosek na twarde i miękkie stanowi ważną zasadę na któréj się opiera, w mowie polskiéj, równie znaczenie wyrazów, jak zmiany ich grammatyczne. Dla wydania zatém takowéj różnicy należy zachować znamiona zmiękczenia nietylko nad spółgłoskami *ć*, *dź*, *ń*, *ś*, *ż*, *ź*, które

i w wymawianiu i w pismie powszechnie są używane, ale i nad spółgłoskami *b'*, *m'*, *p'*, *w'*, których zwyczaj w mowie i w piśmie ściśle nie zachowuje.

Ostatnie te cztery spółgłoski na końcu tylko wyrazów kréskują się jako zmiękczone:

1. W rzeczownikach, które przed zakończeniem drugiego i innych przypadków miękko się wymawiają: drob', drobiu, karm', karmi; drop', dropia; karp', karpia; paw', pawia itp.

2. W trybach rozkazujących czasowników, które się w trzeciéj osobie czasu teraźniejszego lub przyszłego kończyły na *i*, albo przed zakończeniem na *e* miały miękką spółgłoskę, np. robi, rob', łamie, łam'.

Miękczenie to jednak nie jest potrzebném w liczbie mnogiéj trybu rozkazującego łam'my, rób'my itp.; a nawet w liczbie pojedyńczéj ginąć powinno przy zetknięciu z inną spółgłoską: robno, róbże, podobnie jak znika miękkość spółgłoski dziewięć, dziewiętnaście.

Spółgłoska *f*, wchodząca do bardzo małéj liczby wyrazów, nie kréskuje się nigdy. (Porównaj rozprawę Brodzińskiego 387—391).

W tém miejscu należy wspomnieć, że jak się zmniejszą znamiona nad samogłoskami, tak zwyczaj narodowy przestaje zmiękczać i kreskować niektóre spółgłoski.

Są wyrazy, w których niejednostajnie piszemy *s* lub *ś*, *z* lub *ż*, *ź* lub *ż*. To zdarza się najpowszechniéj przed zmiękczonemi głoskami *p*, *m*, *n*. Nie różnimy się nigdy w wyrazach spiąc, spieka, wyspie; jaśnie, właśnie, trzaśnie, śmieszny, taśmie, weźmie. Ale jest niezgoda w mówieniu i pisaniu spi, śpi; spieszy, śpieszy; pasmie, paśmie; ojczyznie, ojczyźnie; przyjaznie (adv.), przyjaźnie (Brodz. 411.)

Zachodzi także podobna niejednostajność w pisaniu wyrazów przez *ś* lub *sz*, np. śkło, szkło; Śląsk, Szląsk; ślachcic, szlachcic itp.

Deputacya, idąc za powszechniejszym zwyczajem, sądzi, iż pisać należy:

Spi, spieszny, pismie, pasmie, nie śpi, śpieszny itp. (porówn. Szwejk. 203, Brodz. 412); ojczyznie, gotowiznie, mieliznie, siwiznie, włoszczyznie, darowiznie, starszyznie, cudzoziemczyznie, przyjaznie, nie ojczyźnie, gotowiźnie i t. p. Brodziński 412-413.

Przeciwnie pisać trzeba: ukośnie, jaśnie, zazdrośni, boleśni, trzaśnie, właśnie, błyśnie, wiośnie, śpiew, wiośle, maśle, pośle; równie ściec, ściek, ściągnąć, ścisnąć, powściągnąć; (Szwejk. 203. Brodz. 412-413; 422).

Zwierzę, nie źwierzę; żmija, nie źmija, szlachcic; Szląsk, szpik, szpital, szpieg, szpinak, szlak, szkło, szklanka, szla, szrót (w mieleniu).

Ślaz, śle, ślub, śluza, śruba, śrubsztak, (porównaj Szwejkow. 203—204. Brodziński 412—422.)

VI.

Jak się pisać powinna głoska g przed i, tudzież e w wyrazach cudzoziemskich.

Gdy w wielu wyrazach cudzoziemskich zgłoski *ge*, *gi*, wymawiamy miękko jak *je*, *ji* (jenerał, jeografia, lojika); gdy oraz w polskich słowach samo *g* nie może poprzedzać samogłoski *e*, ale miękczy się zawsze przydaną głoską *i*, która w tym razie uważana jest za znamię miękczące, n. p. giermek, długie, giełda; znosząc przeto rażącą niejednostajność, przyjąć należy prawidło:

Ażeby we wszystkich słowach obcych, nie tylko w nazwiskach własnych i chrzestnych, jak Gessner, Germania, Genewa, Gerwazy, Gertruda, ale i w imionach pospolitych do języka przyswojonych: geografia, genealogia, algebra, geometrya, ewangelia, generał, regestr, logika i t. p. pisać przez *g* według pisowni języka, z którego pochodzą, nie zamieniając ich ani w zmiękczone nasze *gie*, ani w brzmienie spółgłoski *je*. (Rozprawa Bentkowskiego 164—173.)

VII.

Końcowe spółgłoski trybu bezokolicznego.

Tryb bezokoliczny tworzy się od pierwszéj osoby czasu teraźniejszego lub przyszłego, np. trzęsę. trząść; piję, pić; gryzę, gryźć; wiozę, wieźć, lezę, leźć, mówię, mówić. Wypływają ztąd następujące prawidła:

1. Jak się ma pisać niezmiękczona spółgłoska końcowa niektórych czasowników w trybie bezokolicznym, n. p. piec, módz, tłuc, strzydz, czy przez *c*, czy przez *dz*, okazuje pierwsza osoba czasu teraźniejszego lub przyszłego, pomnąc na mechanizm języka, w którym głoska *k* zamienia się na *c*, głoska zaś *g* zamienia się na *dz*, łaska, łasce, noga, nodze). Ztąd czasowniki wlec, piéc, ciec, tłuc, itp. pochodzące od tłukę, piekę, ciekę, wlokę, mają w trybie bezokolicznym zakończenie *c*. Czasowniki zaś mogę, biegnę, strzegę, strzygę, itp. mają w trybie bezokolicznym *dz*: módz, ledz. biedz, strzedz, strzydz, zaprządz, przysiądz. (Bentk. 271, Mroziń. 296—314. *

2. Czyli zaś w trybie bezokolicznym niektórych czasowników pisać należy *c*, lub *dź*; zważając że spółgłoska *ć* jest u nas charakterystyczném zakończeniem trybu bezokolicznego, pisać je należy wszystkie bez wyjątku przez *ć*: kłaść, paść (od padać), kraść, prząść, siąść, jeść, bość, wieść, iść, dać, być itp. (Bentk. 275, Mroziński 302).

3. Czasowniki leźć, wieźć, znaleźć, gryźć, grząść, dla formowania swego piszą się przez *źć*, nie przez *ść*. (Bentk. tamże).

* Czytelnik porówna w tém miejscu uwagi prezesa deputacyi ks. Szwejkowskiego, nad zakończeniem trybu bezokolicznego słów: biegnę, mogę, strzegę, itp. w których autor podaje myśl kończenia w tym trybie wszystkich słów na *c*, lub *ć*, z wypuszczeniem zupełnie brzmienia *dz*. (str. 287.)

VIII.

Zakończenia trybu rozkazującego.

Między nowościami wprowadzonemi do pisowni polskiéj daje się postrzegać, że kiedy jedni tryb bezokoliczny w kilkunastu czasownikach, zamiast podług Kopczyńskiego przez *dź*, pisać zaczęli przez *ć;* inni, nie objąwszy rzeczy należycie, nie tylko tryb bezokoliczny ale i rozkazujący tym samym sposobem piszą bąć, siąć, zamiast bądź, siądź. Równie sądzą niektórzy, iż według rady Felińskiego tryb rozkazujący czasowników rwiéj, tniéj, drzéj, zwiéj, itp. pisać należy z opuszczeniem *é*, rwij, tnij, drzij, zwij. To było deputacyi ortograficznéj powodem do wznowienia przepisów:

1. Że w słowach, które formują tryb rozkazujący od 3éj osoby liczby pojedyńczéj trybu oznajmującego przez przybranie spółgłoski *j*, tenże tryb rozkazujący pisać się ma przez *é* ściśnione, jeżeli trzecia osoba kończyła się na *e*; np, zawrze, zawrzéj; umrze, umrzéj; rozedrze, rozedrzéj; ssie, ssiéj; umié, umiéj; wstrząśnie, wstrząśniéj; schnie, schniéj; rwie, rwiéj; łże, łżéj; kaszle, kaszléj; i t. d. (Bentk. 322, Mroziń. 325, Brodziński 368).

2. Że w słowach, które formują tryb rozkazujący przez odrzucenie samogłoski *e*, w trzeciéj osobie trybu oznajmującego, pisać się powinno *é* lub *dź*, wedle tego, jaka spółgłoska po odjęciu końcowéj samogłoski, pozostaje: kłuci, kłuć, nuci, nuć; wróci, wróć; kręci, kręć; chodzi

chodź; błądzi, błądź; siedzi, siędź; będzie, bądź. (Bentk. 322).

IX.

O używaniu liter *S*, *Z*, i w ogólności o zmianie brzmienia spółgłoski, przy zbiegu spółgłoski mocnéj ze słabą.

1. Jeżeli spółgłoska słaba nie zlewa się ze spółgłoską mocną, ale się z nią tylko styka; zmiana brzmienia spółgłoski w mowie nie pociąga za sobą zmiany liter w piśmie; np. gałąź, gałązka; związek, związki; Francuz, Francuzka; zagadać, zagadka; Arab, arabski i t. p. oprócz dech, tchu. (Mroziński 233—237, porównaj rozpr. Szwejk. 183).

2. Jeżeli przy łączeniu zakończenia *stwo* lub *ski*, spółgłoska mocna zlewa się w jednę głoskę ze spółgłoską *d*, *dz* lub *dź*, pismo zachowuje ślad głoski słabéj, należącéj do słowa pierwotnego: Żmudź, żmudzki, nie żmucki; lud, ludzki, nie lucki; wojewoda, województwo, nie województwo itp. (tamże 237—240).

3. Jeżeli przy łączeniu zakończenia *stwo* lub *ski*, spółgłoska mocna *s* zlewa się w jednę głoskę ze słabą spółgłoską *z*, *ź*, lub *ż*, wtenczas wyraz pisze się przez *z*, nie przez *s*, n. p. mąż, męzki, męztwo; zwyciężam, zwycięztwo; Francuz, francuzki; papież, papiezki, (tamże 241—246).

4. Jeżeli wyraz traci głoskę *g* przed przybraném zakończeniem *stwo*, *ski*, należy pisać *s*, nie *z*, n. p. Bóg, boski, bóstwo, ubóstwiać; mnogi, mnóstwo; ubogi, ubóstwo, (tamże 246—250).

5. Przyimek *z*, gdy nie jest spojony ze słowem, pisze się zawsze przez *z*, n. p. *z* tobą, *z* Polski, *z* siostrą. Gdy zaś jest spojony ze słowem, pisze się przez *s* przed spółgłoskami mocnemi *c*, *f*, *k*, *p*, *t*, *ch*, *cz*, n. p. ścieśniać, sfałdować, skruszyć, spłynąć, stoczyć, schować, szczarować; przed wszystkiemi innemi głoskami pisze się przez *z*, n. p. zbić, zgubić, zniszczyć i t. d. Przyimki *bez*, *roz*, piszą się zawsze przez *z*, nigdy przez *s*, np. bezprawie, bezpieczny, rozpiąć, roztłuc, roztropny, rozkosz, rozpacz, chociaż wywód tych wyrazów wątpliwości ulega. (Szwejk. 204 — 219, Mroziński 259—267, Brodz. 414).

6. W przysłówkach *ztąd*, *zkąd*, *ztémwszystkiém*, przyimek wyraża się przez *z* i pisze się łącznie.

7. Choćby pierwiastek jakiego wyrazu nie był teraz używanym, np. niż, bliż, bliża; choćby wcale zaginął, albo był wątpliwym, jak tych wyrazów: wązki, ślizki, tedy inne pochodne, a poblizkiego znaczenia, jako to: zniżać, zbliżać, zwężać, pośliznąć się, są dowodem, że wyrazy nizki, blizki, wązki, ślizki, przez *z* pisać należy. (Szwejk. 199).

X.

Użycie litery *ks* lub *x*.

Główniejsze wyrazy, które za polskie uważać należy, a które piszą się często przez *x*, są: xiądz, xiążę, xięga, xiężyc, i od nich pochodne. Powinniśmy je pisać przez *ks*, bo taki sposób pisma więcéj się zbliża do ich etymologii kniaź, kniga (Szwejk. 174 i nast. Brodz. 401).

Wyrazy jedynie obce tak w imionach własnych: Xerxes, Xenofon, Syfax, jak w pospolitych przyswojonych: text, examen, maxyma i t. p. zatrzymują *x* (tamże 186).

XI.

Szczególne postrzeżenia i sprostowania dotyczące się niektórych głosek.

1. Nie można rugować z dwójek *sz*, *cz*, litery *z*, a przeto nie można jéj téż rugować z wyrazu szczęście, szczé-

ry i t. p. pisząc szczęście, szczéry (Szwejkowski 201, Brodz. 417).

2. Piszemy królewicz, w Polszcze, Kasper, ptastwo, trzymając się powszechniejszego zwyczaju, nie zaś królewic, w Polsce, Kacper, ptactwo (Szwejk. 185, Brodz. 391).

3. *Ph* w obcych przyswojonych wyrazach piszemy przez *f* (Brodz. 395).

4. Niektóre wyrazy dotąd przez *f* pisane, a mające przed tą literą głoskę *s*, pisać powinniśmy przez *w*, z przyczyny pochodzenia: swora, sworność, sworzeń, jak piszemy swój, swar. W jednym tylko wyrazie polskim obfitość i w pochodnych z niego, którego nie można zastąpić przez okwitość, utrzymuje się *f* (Brodz. 395).

5. Wyrazy źródło, źrzébię, źrzenica, śrzedni, śrzoda i pochodne, pisać się powinny przez *źr* i *śr*, bez zmiękczenia głoski *r*, źródło, źrebię, źrenica i t. d. Gdy jednak wyraz zaczynający się od głosek *źr*, przybiera przyimek stanowiący osobną syllabę; natenczas *ź* zamieniamy na miękką podręczną spółgłoskę *j*, wejrzenie, dojrzały, a głoska *r* powraca od brzmienia *rz* (Szwejk. 203, Brodz. 406—408).

XII.

O łączeniu i rozłączaniu wyrazów.

1. Wyrazy pojedyńcze piszemy osobno dla wygodnego czytania; wyrazy więc składane pisać powinniśmy w jednym ciągu, aby ich części nie brano za dwa lub trzy oddzielne słowa: wielkomyślny, oddzielny, dobrowolny i t. p.

2. Są wyrazy składane, których części rozkładają się na osobne wyrazy n p. takjest, tojest, nadto, oto, zatém, poco, zaco, naco, dlaczego, dlatego, wtenczas, wówczas, naówczas, natenczas, ztémwszystkiém i t. p. tak jest, to jest, nad

to, o to, w ten czas, z tém wszystkiém i t. d. Kiedy takowe pisać należy łącznie a kiedy rozłącznie, wskazuje i wewnętrzna myśl wyrażenia i odmienny nawet akcent wymawiania, n. p. Czy się co stało? Tāk jĕst. — Jak się stało, tāk jēst. — Stworzenie obdarzone rozumem i mową, tō jĕst człowiek ... — Czegoś żądał, tŏ jēst. — Nietylko sprawiedliwy, ale nadto miłosierny. — Nic lepszego nad to co się stało. — Luboś nie zasłużył, ztémwszystkiém daję ci. — Z tém wszystkiém czegoś dokazał, jeszcześ nie wygrał i t. p.

3. Przyrostki (enclitica), które nigdy osobnych wyrazów nie czynią, piszą się łącznie, n. p. chceszli, dałby, ktokolwiek, gdziekolwiek, dałże, byłże, tenżeto i t. p. Toż mówić i o skróconym zaimku on, doń, przezeń, nadeń.

4. Przysłówok nie, gdy znaczy przeczenie, pisze się, zawsze osobno: nie daj, nie mów', nie rozum, ale głupstwo i t. p. Gdy zaś nie znaczy przeczenia, ale niedostatek, ubycie czego z przedmiotu, lub zmianę własności jakiéj rzeczy; pisze się łącznie, n. p. niemowa, niemoc, nieszczęście, niecnota, niesłusznie, niewinnie i t. p. (Rozpr. Ks. Szwejk. 462).

XIII.

Pisownia imion własnych cudzoziemskich.

Imiona własne cudzoziemskie, należące do narodów, które używają alfabetu łacińskiego, pisać się u nas mają tak, jak je cudzoziemcy piszą w swych własnych językach.

Wyłączają się od tego ogólnego prawidła:

1. Imiona własne starożytne, które zwyczaj powszechnie przyjęty dozwala wyrażać podług polskiéj pisowni: Wirgilii, Tacyt, Babilon, Sydon i t. p. chyba że pisarz dla szczególnych powodów, w nazwiskach starożytnych, w postaci nieprzeistoczonych, chce zachować ich pisownią cudzoziemską.

2. Kilka imion ludzi wielkich z późniejszych nawet wieków, w których powszechny zwyczaj spolszczenie pisowni zatwierdził, n. p. Wolter, Szekspir, Rasyn, Kornel, Kondeusz, (Rozprawa Mrozińskiego, str. 469).

XIV.

Większe początkowe litery.

Większe początkowe litery piszą się:

1. W pierwszem słowie pisma i w pierwszem słowie od ustępu, chociażby ten nie po kropce ale po innym znaku pisarskim następował.
2. W pierwszem słowie okresu po kropce, również po znaku zapytania i po znaku wykrzyknienia, jeżeli po nich nowy zaczyna się okres.
3. Na początku słów obcych, gdy je pisarz przytacza bez wcielenia ich do własnéj mowy.
4. W imionach Bóg, Bóstwo, Pan, Trójca itp. gdy oznaczają Istność najwyższą.
5. W przymiotniku Święty, gdy się odnosi do imienia własnego.
6. W imionach własnych aniołów, ludzi, ludów, bogów, duchów, potworów, zwierząt, części świata, krajów, prowincyj, miast, wiosek i wszelkich siedlisk, rzék, jezior, gór, mostów, okrętów, herbów, świąt, konstellacyj, ciał niebieskich i t. p.

   Zwyczaj teraz upowszechniony nie wymaga, aby pisać większe początkowe litery w imionach pór roku, miesięcy, dni, wyznań i sekt religijnych, zakonów, umiejętności, sztuk, rzemiosł i wyrazów naukowych. Gdy jednak imię nauki może się uważać za tytuł książki, lub rozdziału, należy je pisać przez większą początkową literę.

   Równie w przymiotnikach uformowanych od imion własnych ludów, krajów, miast i t. p. nie piszą się

większe początkowe litery, n. p. francuzki, paryzki; przymiotniki zaś uformowane z imion własnych osób, mają większą literę, n. p. Sapieżyński.

Większe początkowe litery piszą się jeszcze:

7. W imionach pospolitych, użytych zamiast imion własnych, n. p. Cały Wschód mu hołdował.
8. W imionach własnych użytych za imiona pospolite, n. p. Nasz polski Tacyt.
9. W rzeczownikach zmysłowych i umysłowych, gdy obraz wystawiony jest w postaci osoby, n. p. Już na ziemię Jutrzenka pierwszy promień rzuca.
10. W słowach Najjaśniejszy, Jaśnie Oświecony, Jaśnie Wielmożny, Wielmożny, Przewielebny, Wielebny itp. tudzież w słowach Pan, Pani, Panna, Ksiądz, Dobrodziéj i t. p. gdy się dodają do innych imion na znak uszanowania i grzeczności.

    Nie masz powodu pisać większe początkowe litery w imionach godności i urzędów znanych w starożytności, tudzież godności i dostojeństw cudzoziemskich.

    Pisanie większych początkowych liter w imionach krajowych urzędów, dostojeństw i godności osób żyjących, zawisło od osobistych stosunków piszącego, oraz od rodzaju pisma.

Większe początkowe litery piszą się także:

11. W poezyi na początku każdego wiersza.
12. W głównych słowach tytułów książek, w tytułach artykułów w książce zawartych (Rozpr. Mrozińskiego, str. 516).

ROZMAITOŚCI.

(ŻYCIORYSY. — POWIEŚCI. — PARABOLE).

Myśli Oderwane.

O KOPERNIKU.

Pospolitém jest prawie przeznaczeniem wielkich ludzi, że za życia w saméj tylko pracy nagrodę mają, a nad ich grobem dopiéro wznosi się sława zdobiąca ich naród, z całą ludzkością. Kopernik jako Astronom, mniéj w kraju był znanym, niż pierwszy lepszy, kto zbory, lub sejmy za jego życia zaburzał. Późniéj narody, wśród których żył prawie zapomniany, spór wiodły o niego. Przyznawały sobie miasta greckie Homera, w końcu rzekły, iż z boskiego rodu pochodzi i samych Muz był wychowańcem; podobnież Kopernik natchnieniu i własnéj usilności winien swą sławę, i powiedzieć można ze Śniadeckim, że „Hyparch, Philolaus, Appoloniusz i inni wielcy w starożytności ludzie byli przodkami; Gallileusz, Kepler i Newton, potomkami Kopernika“. Jeżeli sława wielkiego człowieka na narody spada, to przyznać ją każe słuszność tym czasom, w których się wychował i żył. Lecz Kopernik należy do całéj ludzkości, sława jego jest na Niebie, gdzie ludzie zasłużeni mniéj sobie zastępują niż tu na ziemi błotnistéj, i tam w granicach niezmiennych, drogiéj puścizny nikt nie zazdrości nikomu.

Mikołaj Kopernik urodził się w Toruniu r. 1473 d. 19. Lutego pod panowaniem Kazimierza Jagiellończyka. Odesłany do akademii krakowskiéj, doskonalił się w matematyce, w starożytnych językach i w medycynie. Szczególniéj jednak oddawał się z zamiłowaniem astronomii, pod Wojciechem Brudzewskim trzymającym pierwsze miejsce, między wskrzesicielami nauk astronomicznych.

Gdy ten sławny nauczyciel do Litwy oddalić się musiał, Kopernik mając tak 23, uczuł chęć niepozbędną, szukania daléj wiadomości od mistrza wskazanych, i powziął myśl udania się do Włoch; w tym celu doskonalił się jeszcze w perspektywie i w malarstwie, które do podróży i powołania swojego za potrzebne uważał. W Bononji wnet zrównał sławie Regiomontana, którego imie najwięcéj go nęciło. Ze słuchacza został wkrótce pomocnikiem, wziętego bardzo astronoma Dominika Maria; we 27 roku, nauczając publicznie matematyki w Rzymie, licznych zwabiał słuchaczów. Zajmował się przytem obserwacyami gwiazd, i uważał zaćmienie księżyca w roku 1500. Nie zaniedbywał przytem nauk medycznych, i w Padwie stopień doktora medycyny otrzymał. Po powrocie do ojczyzny zapisany był w poczet akademików * krakowskich roku 1504; zkąd wkrótce udał się do Torunia, gdzie wuj jego biskup warmiński, zapewnił mu życie swobodniejsze, do rodzaju prac jego stosowne. Tam przeszło 30 lat zajmawał się ciągle w cichości dostrzeganym przez siebie układem świata. Dzieło jego, owoc tylu trudów i cichych starań, które tyle rewolucyi w budowie świata zrobiło **, wyszło właśnie w roku jego śmierci, która nastąpiła dnia 11 Czerwca 1543 r., gdy miał lat 71. Widział je na kilka dni przed śmiercią sobie przyniesione, ale czytać już nie mógł. Umarł jednak z uczuciem godności wielkiego człowieka, iż praca jego nie zginęła, i że lepsza, bo nieśmiertelna część życia jego, między ludźmi zostanie.

Kopernik nie ze snu, nie z chwilowego natchnienia wyczerpał swoją hypotezę o systemacie świata, lecz większą ma chlubę ztąd, iż jasném, porządnem widzeniem, przedarł się przez chmurę błędów, czternastu wiekami uświęconych, że cichą wytrwałością, odgadł tajemnicę w téj księdze świata, którą jego czysty rozum, nad zmysły wyniesiony, wyczytać i wszystkim dostępną uczynić potrafił.

* Akademikami zwali się tylko uczący.

** Nicolai Copernici de revolutionibus orbium coelestium libri VI Norimbergae 1543.

Do czasów Kopernika najdziwaczniejsze było mniemanie o systemacie świata. To mniemanie dowcipne, zawikłane, uświęcone powagą starożytnych i przesądami późniejszych ludów, bezpieczne było od wszelkich zarzutów, a jak teraz na śmiech by się wystawił utrzymujący, przeciwnie systemowi Kopernika; tak wówczas odezwać się z nim było nie tylko dziwactwem, ale występkiem.

Według Ptolomeusza, który żył w II-gim wieku po Chrystusie, wielka, ciężka i bezludna ziemia, była podstawą świata nieruchomego. Około niéj, jako około środka, słońce, księżyc i gwiazdy, codziennie od wschodu na zachód krążyły. Ta fałszywa zasada, któréj nikt naruszyć nie śmiał, prowadziła wszelkich badaczów systematu świata, na bezdroże i sprzeczności.

Zobaczymy, jak Kopernik w przemowie do dzieła swojego o tymże i o swoim systemacie przemawia. Poznamy tu oraz prostotę i przezorność męża, wzniosłą zajętego nauką.

„Co mnie skłoniło, ruchy ciał niebieskich, inaczéj od innych uważać, było to; iż każdy z nich był w sprzeczności z drugiemi i z samym sobą. Co u nich było dobrze z początku, to źle wypadło na końcu. Co większa, nie trzymano się nawet raz przyjętych zasad. Wszystko to podobne było do członków ciała ludziego, należących do osób różnego kształtu, wzrostu i urody. Gdyby kto pozbierawszy te tak różnorodne części, źle do siebie przystające, w proporcyi niezgodne, chciał je w jedno połączyć, wystawiłby raczéj poczwarę, niż postać szykowną człowieka. Któryż malarz lub budowniczy tak czyni? Miałżeby Bóg tak urządzić słońce i księżyc? Gdy więc długo nad niepewnością tych nauk rozmyślałem, bolało mię bardzo, że człowiek, który tyle rzeczy pomyślnie wybadał, tak wątpliwe ma wiadomości o wielkiéj budowie świata, którą najwyższy i najmędrszy Budownik, Twórca samego porządku, przed oczy jego wystawił. Dla tego czytałem pisma starożytnych, ile ich tylko mogłem zgromadzić, aby się przekonać, czy aby jeden z nich, inaczéj niż mędrcy i uczący po szkołach, o tym przedmiocie nie sądził. Pierwsze miejsce,

które mię uderzyło znalazłem w Cyceronie*, a później inne w Plutarchu**. To mi dało powód myślić także o ruchu ziemi. Chociaż ta myśl dziwaczną mi się zdawała, sądziłem przecież, że mnie; tak jak wielu innym przedemną, wolno będzie przypuścić dowolne krążenia i ruchy, aby przez nie zjawiska nieba objaśnić. Kiedym więc zaczął przyznawać ziemi obrót około osi i krążenie około słońca, i gdy to długiemi doświadczeniami sprawdzać zacząłem; ujrzałem taką z fenomenami zgodność, i wszystko tak dobrze z sobą się kojarzyło, że żadna część bez zamieszania myśli i całości, być usuniętą nie mogła."

Ta przedmowa, którą uczeni wzorem stylu i męzkiéj rozwagi nazywają; przypisaną jest z zupełną ufnością Papieżowi Pawłowi III-mu, a o druk dzieła starał się biskup warmiński, są to okoliczności nie mało ważne w wieku XVI. Widzimy ztąd, jaką Kopernik zastał astronomią, i jaką po sobie zostawił. Przed nim były domniemania ścierające się na mylnéj zasadzie, po nim nastąpiła zasada, żadnéj dotąd nie podległa wątpliwości; rozwijająca owszem coraz jaśniejszą budowę świata.

W tem dziele stara się Kopernik nadewszystko kulistą postać świata wykazać; zatém wywodzi obszernie kulistość ziemi; naznacza jéj pewne miejsce zewnątrz ogniska świata, rozstrzyga trudności, które starożytnych zwikłały, i wskazuje system, korzący umysł samém bliższém poznaniem mądrości Twórcy.

„Nie można, mówi Śniadecki, bez zadziwienia i rozkoszy czytać jego wykładu o biegu rocznym ziemi, gdzie nadając położenie ciągle równoległe osi ziemskiéj, tak gruntownie i trafnie odmiany pór roku tłumaczy. W tém tłumaczeniu, do którego nikt mu z dawnych nie pomógł, a wieki późniejsze nic przydać nie mogły, sama natura zdaje się odsłaniać całe wieków cuda swojéj prostoty."

* Nicetas Syrakuzańczyk sądził, że niebo, słońce, księżyc i gwiady stoją cicho, i że prócz ziemi, nic nie jest ruchome, ale że ta obraca się bardzo szybko koło swéj osi i zdaje się, jakoby się niebo obracało, a ziemia stała na miejscu.

** Philolaus Pytagorejczyk nauczał, że ziemia się obraca około ognia w kole ukośnym.

Jak system przez niego objawiony, i dzieło ten system tłumaczące, tak całe życie i charakter Kopernika znamionuje się prostotą, porządkiem, konsekwencyą we wszystkiem, i ciągłą czynnością, dla dobra tego co go otaczało. Jako lekarz, najstaranniéj udzielał porady ubóstwu, jako duchowny i obywatel pełnił obadwa obowiązki za jedno je uważając; i stawał za prawem, w ówczesnych z Krzyżakami zatargach. Wysłany jednomyślnie na sejm w Grudziążu, gdzie mu poruczono, równie jak później Newtonowi urządzenie monety, najgorliwiéj tym przedmiotem się zajął*. Czas wolny od powinności obywatelstwa i ludzkości, poświęcał wyłącznie naukom, i wtedy żył tylko w niebie, w miejscu przyszłego życia swojego. Lub dzieło swoje, lub społeczność za niedojrzałą uważając, krył się i ociągał z objawieniem onego, chociaż dziwne o niém wieści powszechnie głoszone już były. Nawet wystawiono w Elblągu krotofilę wyszydzającą jego hypotezę, na którą jak Sokrates na Aristofana komedyę, spokojnie spoglądał i powtarzał owe dawne wyrazy: „Nie szukałem nigdy pochwały gminu, bo co ja wiem, tego gmin nie poznaje, a co on chwali, tego ja pojąć nie mogę." We Włoszech jednak więcéj był ceniony, szczęśliwszy w tém, iż panowanie Leona X i jego następców więcéj naukom sprzyjało, niżeli za czasów, w których uczeń jego Galileusz cierpiał za prawdę, dziś powszechnie uznaną.

Godna jeszcze uwagi, że Kopernik czynił obserwacye swoje na sto lat przed wynalezieniem lunet astronomicznych, za pomocą nędznych drewnianych narzędzi, mających często podziałki tylko atramenten zrobione.

Źródłem jego pomysłu była zapewne poetyczna imaginacya, połączona z duchem porządku, harmonii i symetryi; z duchem który cudowny układ świata w sobie przeczuć, a przez roz-

* Rozprawa Kopernika o monecie, z tego powodu napisana, umieszczoną jest po polsku w Pamiętniku Warszawskim.

wagę, badanie i wytrwałość, w rzeczywistości zmysłom ludzkim ukrytéj, wynaleść i wskazać potrafił.

Gdy Kolumb nową ziemię, on nowy świat odkrył: bo nowym światem zwać można, nowe, prawdziwe, o nim wyobrażenie. Obadwaj umieli korzystać z wymarłych i zarzuconych wskazówek. Jak pierwszy z burzami morza i gminem okrętowym, tak drugi walczył z świadectwem zmysłów i przesądami kilkunastu wieków. Wiara w geniusz, co niemi władał, doprowadziła obudwu do kresu w umyśle ich naprzód widzianego.

Na czole Kopernika przez artystę wyobrażonym, czytać można owe pogodne niebo, pełne Boga mądrości, zgody i pokoju; w całym wyrazie twarzy, ową wzniosłą prostotę, która jest razem najwyższém piętnem moralnego świata. W oczach widać duszę pełną świata, i nim zajętą. Atlas wyobrażał w starożytności fizyczną siłę świat dźwigającą na barkach, a może był wyobrażeniem mniemań dawnych o Astronomii *, według których ziemia była podstawą świata. Kopernik trzyma w ręku umysłowe wyobrażenie systematu świata, który myśl jego ogarnęła, życie i ruch świata odsłoniła. Przeniknięty mądrością Utwórcy mówić się zdaje: „ziemia należy do rodziny światów, i krąży około słońca, jako ogniska, z którego życie swe czerpa. Dusze do nieśmiertelności stworzone, krążyć powinny w zgodzie, pokoju i jedności, około Boga, drogą palcem jego wskazaną *

* Podania starożytne przypisują Atlasowi mądrość w naukach, szczególniéj astronomicznych.

** Posąg Kopernika wystawionym został w Warszawie w r. 1830 ze składek publicznych, według modelu Torwaldsena, przez p. Norblin z bronzu odlany. Zbyteczną byłoby tu rzeczą mówić o szczegółach tego dzieła, o którem pisma czasowe warszawskie obszerną wiadomość podały. Torwaldsen oddał postać Kopernika według rysunku, który świadectwa historyczne za najpodobniejszy uważać każą. Zdaje się, iż gdyby genjusz artysty nie miał przed sobą żadnego wizerunku z natury wziętego, byłby go takim w swojéj wyobraźni utworzył Objawiciel nowego systemu w świecie fizycznym, zdaje się tu być tylko wyobrażeniem saméj duszy, nad zmysły, namiętności, przesądy

GIMNAZJUM
INTERNATU

PETRARKA.

Petrarka znany jest w całéj Europie jako poeta, ale mało wiadome są jego zasługi, w wydobywaniu nauk z ciemności, w jakich przez wieki pogrążone i zapomniane były.

Franciszek Petrarka urodził się w Arezzo w państwie Florenckiém r. 1304, w miejscu, które poprzednik jego Dante, i współczesny Boccacio wsławili. Ojciec jego prawnik w Florencyi, w skutku wojen domowych zmuszony był schronić się do Francyi. I młody Petrarka miał się oddać prawnictwu, ale milszym mu był Wirgiliusz i Cycero, niż kodeks Justyniana, chociaż tamtych surowy ojciec czytać mu zabraniał. Tak wzrosło w młodzieńcu niepokonane przywiązanie do nauk starożytnych, które późniéj w oświeceńszéj Europie upowszechnić umiał. Od roku 22go życia rozpoczął Petrarka zawód wyłącznie naukowy; wyszukiwał i upowszechniał pisarzów klassycznych, pisał oraz poezye, które imię jego, nie już między uczonymi, ale w całéj powszechności głośném czyniły. On z niesłychaną pilnością wydobywał i zbierał pisma starożytnych, on pierwszy ogłosił listy Cycerona do przyjaciół, szczególniéj zaś spólnie z Bokacyuszem, starał się upowszechnić znajomość greckiego języka. W znajomości i krytyce starożytnych, nad wszystkich współczesnych celował. Biegły w historyi, pierwszy prawie zwrócił uwagę na ważność numizmatyki. Praktyczna filozofia starożytnych również go zajmowała. Przejęty miłością dla smaku starożytnych, pisał poezye łacińskie, te dziś zupełnie zapomniane, za życia najwięcéj go wsławiły; szczególniéj zaś obszerne poema A f r y k a, którego bohatyrem jest S c i p i o. Po tém dziele i sam Petrarka nieśmiertelność sobie obiecywał. Za to poema Uniwersytet paryzki,

i świat starożytny wzniesionéj. Zdaje się przebywać spokojnie w ognisku, około którego świat w porządku krąży. Te rysy idealne oook zachowanego piętna sławiańskiego rodu, i to czoło szlachetne, zdaje się należeć do wyższych krain, których czystości nic ziemskiego dosięgnąć nie mogło.

postanowił po raz pierwszy u siebie publicznie poetę uwieńczyć, i w tym celu bardzo pochlebnym listem do Paryża go zapraszał. Lecz w tymże czasie i w Rzymie podobny zaszczyt go czekał.

Dwunastu młodych Patrycyuszów w szkarłat ubranych, sześciu wysłanników z najpierwszych domów w zielonych aksamitnych szatach z wieńcami kwiatów, w gronie książąt pierwszéj szlachty, prowadzili Petrarka do Kapitolu, gdzie senator hrabia Anguitlar prezydował. Herold obwołał imie Petrarki; poeta wystąpił i miał mowę o Wirgiliuszu, błagał o błogosławieństwo dla Rzymu, uklęknął przed senatorem, i otrzymał wieniec laurowy wśród odgłosu „za zasługę“. Lud okrzykiwał: „Niech żyje Kapitolium i poeta“. Petrarka podziękował sonetem improwizowanym, a otrzymany wieniec, na grobie św. Piotra zawiesił. Pargamin wręczony poecie opiewał, że po upływie 1300 lat wznawia się obrząd uwieńczenia póety, że temuż wolno według wyboru, nosić wieniec z lauru, bluszczu, lub myrtu, ubierać się jako poeta, dysputować i pisać według upodobania. Ten obrząd odbył się w r. 1341, w pierwsze święto Wielkanocne.

Atoli, ani tak głośno uwieńczone poema, ani mnóstwo rękopismów i starożytnych pomników ocalonych, ani wiele pism w łacińskim języku, nie przeniosły imienia Petrarchy do potomności, ale tylko Sonnety, które o chwale nie myśląc, w ojczystym pisał języku, a których treścią była dziewica, przez Petrarkę uwielbiona.

Młody Petrarka wrócił właśnie z uniwersytetu Bolońskiego do Awignionu; tam przypadkiem ujrzał modlącą się Laurę, któréj anielska postać i dusza wiecznie go zniewoliły. Laura umiała cenić hołd sobie oddany i duszę poety; ale przywiązanie jéj było na zawsze ciche, pełne godności dziewiczéj i anielskiéj czystości. Ta skłonność odrywała go od prac mozolnych naukowych, ale za to coraz więcéj wznosiła i prawie uświęcała jego charakter. Na próżno odbywał liczne w Europie podróże, i w zgiełk świata się puszczał, napróżno szukał w samotności pociechy; szczególniéj w Woklusie (Vaucluse) blizko Awignionu, któréj doliny w Rzymie i gaje tkliwemi wsławił

pieśniami. Laura umarła (w r. 1348), lecz poeta nie przestawał poświęcać jéj swojéj czci i pieśni. W późnéj starości usprawiedliwił Petrarka w swych pismach tę tak długo trwającą skłonność, któréj, jak mówi, winien wszystkie czyste i wzniosłe uczucia. Poezye do Laury po jéj śmierci pisane, pełne są natchnień religijnych, słodkiéj otuchy i wiary w błogie życie przyszłości dla dusz czystych, jakie już anielska Laura zaczęła. Jakoż od tego wypadku prowadził życie klasztorne, częścią w Parmie, częścią w Padwie, a raczéj w wiosce Arcqua przy témże mieście, gdzie długo jeszcze żył w samotności. Tam znaleziono go nieżywym w bibliotece, właśnie w dzień 70-éj rocznicy jego urodzin.

Na boku rękopismu Wirgiliusza, którego zawsze czytywał, znaleziono następujące wyrazy:

„Laura błyszcząca cnotami, rymem moim sławiona, pierwszy raz zjawiła się oczom moim w Avignionie 6 kwietnia w kościele św. Klary; młody byłem natenczas. W témże mieście, tegoż dnia, o téjże godzinie roku 1348 gwiazda Laury na zawsze światu przyświecać przestała. Byłem wtedy w Weronie, nie wiedząc o tak strasznym dla mnie wyroku. Ta piękna i czysta niewiasta pochowaną została tegoż dnia po nieszporach w kościele Bernardynów w Avignionie. Wróciła do nieba, które jéj ziemi na krótko użyczyło. Dla smutnego przypomnienia straty tak bolesnéj, zapisałem ją w téj książce z radością połączoną z goryczą. Śmierć Laury upewnia mię, że już długo nie zostanę na ziemi. Skoro to, co mię z życiem łączyło, przerwane zostało, spodziewam się, iż za pomocą Bożą, bez żalu opuszczę świat, w którym tyle znalazłem obłudy, gdzie nadzieje tak są próżne i znikome“.

Osobną formę poezyi lirycznéj, t. j. Sonnetów, przejął Petrarka z dawnych Trubadurów; udoskonalił, a dla Włochów prawie wyłącznie narodową formą poezyi uczynił. Toż samo i tak zwane Canzoni od poetów prowanckich przyjęte. Atoli obie te formy zbyt są przeciwne naturalności i swobodzie lirycznéj; mogą one mieć zaletę pokonania trudności, zewnętrznéj harmonii i dźwięku języka, lecz nie są łatwém serdecznem wylaniem uczucia, gdyż Sonnet nie tylko formą ale

i długością jest ograniczony. Każdą myśl w Sonnecie, mówi jeden Włoch, potrzeba jak na łożu Prokrusta skracać, lub według formy rozciągać. Ztąd w Sonnetach najlepszych nawet poetów włoskich widzimy nie naturalność i owe concetti, czyli affektacyą raczéj do słów, niżeli do rzeczy przywiązaną. I Petrarka wcale wolnym nie jest od tego zarzutu. Mimo to, słodycz, delikatność i religijność uczuć, któremi w ogole jego poezye są przejęte, czynią je skarbem dla wszystkich serc tkliwych.

Szczególną jest sporność sławy Petrarki za życia i po śmierci; dziś znany tylko z Sonnetów, był za życia uważany za człowieka najuczeńszego i jako taki wzięty we wszystkich oświeceńszych narodach. On nadał wyłączny popęd XIVmu wiekowi, tj. poszukiwania nauk starożytności. Czynny, gorliwy, podróżując po całéj Europie, wszystkich poetów, filozofów i uczonych do tego jedynego celu przynaglał. Państwa, szczególniéj Włochy, podzielone były za jego czasów na mnóstwo drobnych wzajem sobie nie znanych krain. Petrarka znajomy i przyjaciel kilkunastu panujących książąt, bywał nawzajem i w politycznych sprawach ich reprezentantem i pełnomocnikiem, a to jedynie z tytułu uczonego: gdyż do żadnego wyłącznie nie należał. Żaden uczony nie odbył więcéj od niego poselstw do Papieża, cesarza, króla Francyi, do Wenecyi itd. Wszędzie oraz przy tylu czynnościach, zaszczepiał miłość nauk i przez nie kraje, dwory, duchowieństwo, i uczących, w jeden węzeł połączał. On był założycielem jednéj w Europie rzeczypospolitéj nauk.

Z tego względu, z wielu pozostałych pism jego, najciekawsze są może listy, których bardzo obszerny zbiór jest ogłoszony. Te listy pisywane niemal do wszystkich krajów tak były sławne za życia Petrarki, że wielu dobijało się zaczczytu być ich posłańcami. Po drodze wstępowali z niémi do dworów, do zgromadzeń duchownych i szkolnych, nawet na rynkach miast publicznie je czytywali. Listy te nie są poufałém wylaniem serca jak Cycerońskie, które Petrarcha ogłosił, widać iż są pisane dla publiczności i dla wrażenia; atoli wiernie malują ducha wieków, w którym nauka starożytności, była tak powszechną i spokojną uprawą.

GALILEUSZ.

Galileo Galilei, jeden z największych geniuszów matematycznych, urodził się roku 1564 w Pisie z ojca, który szczególniéj z gruntownéj znajomości muzyki był znany. Z młodości zaraz równie jak Newton okazywał wielką ciekawość do sztuk mechanicznych; nadto miał talent niepospolity do muzyki i rysunków. Z woli ojca zmuszonym był oddać się sztuce lekarskiéj, do któréj się w uniwersytecie Pizańskim sposobił. Jak dalece z tą nauką wrodzoną skłonność do odkryć i wynalazków połączyć umiał, dowodzi pierwsze jego odkrycie, to jest tak zwany Isochronism (czyli równy czasomiar) w wahaniu się pendulu. Na tę myśl naprowadził go ruch lampy unoszącéj się na dachu kościoła, co długo zastanawiało jego uwagę; wnet uczynił wniosek, iż w tém wynaleźć można wyborny sposób dokładnego oznaczenia stosunku pulsu, i domniemanie swoje stwierdził późniejszém doświadczeniem. To było pierwsze, a na długi czas jedyne zastosowanie, którego się z odkrycia swojego nauczył. Zrobił on różne małe narzędzia do obliczenia uderzeń pulsu, za pomocą wahania się pendułu, które wnet pod nazwiskiem Pulsilogi powszechnie były używane. To odkrycie zachęciło Galileusza tém więcéj do prac matematycznych i puszczenia się w właściwy mu zawód. Prawda geometryi tak go zajęła, że odtąd porzucił księgi lekarskie i od tego przedsięwzięcia wszelkie usiłowania ojca nie mogły go oderwać. Przewertowawszy Euklida i Archimedesa, wydał pierwsze swe dzieło matematyczne o wadze hydrostatycznéj. To pismo dało mu wstęp do najsławniejszego wówczas matematyka włoskiego Guido Ubaldi. Ten zalecił go kardynałowi del Monte, u którego poznał Ferdynanda w. księcia Toskanii. W roku 1589 został w uniwersytecie pizańskim profesorem matematyki, a w krótce rzeczpospolita wenecka zaprosiła go na profesora téjże nauki do Padwy. Tu miał sposobność oddać się zupełnie swoim naukom, mimo że przy szczupłéj płacy zmuszony był utrzymywać się z nauczania prywatnego, cała ówczesna przestrzeń historyi naturalnéj, była jego

badań przedmiotem. Obok tego, czytaniu, doświadczeniom i pisaniu rozpraw w ulubionych przedmiotach, dni i nocy poświęcał. Prelekcye jego coraz więcéj zwabiały słuchaczów; często słuchalnia jego mogąca tysiąc osób pomieścić, nie wystarczała, i zmuszony bywał nauczać pod gołém niebem.

Do ważniejszych zasług Galileusza dla kraju policzyć należy wynalezienie na nowo thermometru, który bez wątpienia niektórym dawnym filozofom był znany, lecz późniéj zupełnie zapomnianym został. Ale najważniejszym dla prac Galileusza był rok 1609, w którym granicę znajomości natury rozszerzył. W tym bowiem roku uczynił wielki swój wynalazek teleskopu. Na to naprowadziła go uwaga, na działanie szkieł powiększających, gdy w Wenecyi uwiadomionym został o cudownem narzędziu, które właśnie z Holandyi do Włoch sprowadzoném zostało. Zdaje się w istocie, że w tymże kraju znano już pewien rodzaj teleskopu, prosto i nie kształtnie zrobionego, lecz Galileusz, który o takowym wynalazku wcale nie wiedział, był niezawodnie prawdziwym autorem tego narzędzia w téj postaci, w jakiéj jedynie do naukowych potrzeb użytym być może. Ten wynalazek obudził zapał w całéj powszechności, jakby cudowne jakie zjawisko. Galileusz przesłał wypróbowany teleskop senatowi, który go natychmiast profesorem dożywotnim mianował, i płacę jego o połowę podwyższył. Wnet sporządził dla siebie drugi teleskop, którego użył do obserwacyi astronomicznych. Cztery trabanty około Jowisza, odkryły się po raz pierwszy oku człowieka, wynalazkiem Galileusza uzbrojonemu. Inne, dotąd nigdy niewidziane gwiazdy, występowały przed niego ze wszystkich stron nieba, gdzie tylko oczy obrócił. Saturn okazał jedyny swój pierścień, księżyc odsłonił swoje morza i góry, słońce nawet wśród blasku, wyjawiło ciemne swe plamy. Wszystkie te cuda objawił w dziele Nuntius Sidereus, które peryodycznie wydawał. W roku 1618 złożył katedrę w Padwie zostawszy wezwanym przez księcia Toskańskiego, na pierwszego matematyka i fizyka w uniwersytecie pizańskim.

Tutaj przez odkrycie zmieniających się postaci światła Wenusa i Marsa, zjednał zupełne zwycięztwo systematowi Kopernika, gdy przez to krążenie tychże planet około słońca, i oświecenie ich przezeń, jasno udowodnione zostało.

Odtąd dzieląc z najżywszém przekonaniem system Kopernika, tém bardziéj iż go w nim, własne wynalazki i odkrycia utwierdzić musiały, nie wahał się publicznie naukę jego wykładać. To co Kopernik w XVI. wieku mógł drukować i papieżowi samemu przypisać, to w wieku następnym na ucznia jego ściągnęło srogie cierpienia. Zazdrośni i nieświadomi, wzniecili wrzawę przeciw mężowi, którego pojąć nie byli zdolni. Systema to miało według nich ubliżać prawdom Pisma ś. które nie nauki astronomiczne, ale samę Boską moralność ma na celu. Jakoż głowa kościoła wzięła prześladowanego w opiekę, z zastrzeżeniem tylko wstrzymania się od ogłoszenia téjże nauki. Późno potém, bo w roku 1632 wydał Galileusz sławną rozmowę o systemie Ptolomeusza i Kopernika, gdzie przedmiot ten gruntownie wyjaśnił i nowemi wsparł dowodami. Uciszeni od dawna nieprzyjaciele z tém żywszą powstali przeciw niemu zawziętością. Uczeń Kopernika stawić się musiał przed inkwizycyą św., która go na odwołanie téjże nauki i na więzienie skazała. Ale więzienie jego krótko trwało, dozwolono mu zamieszkać w Arcetri blizko Florencyi, ale samotnie i bez wolności oddalania się. Tu oddał się cały przez wiele lat dalszym badaniom, i podał do druku ważne swe dzieło: Rozmowy o prawach ruchu. Gdy sława jego coraz się więcéj szerzyła, złagodzono jego przytrzymanie, i dozwolono mu przyjmować i odwiedzać przyjaciół, chociaż z Arcetri nigdzie przenieść się nie mógł. W roku 1639 zupełnie wzrok postradał, przytém śmierć córki, jedynéj jego osłody w troskach i samotności, przyspieszyła zgon starca, który dla dobra nauk dożył lat 78 i umarł właśnie w dzień narodzenia się Newtona.

Pochowany jest w kościele, we Florencyi, gdzie mu obok Michała Anioła, pyszny wystawiono nagrobek.

Lubił obok prac swoich zajmować sią rysunkami, muzyką i poezyą. Ariosta umiał na pamięć, a w wydanych Uwagach o Tassie, przyznaje wyższość pierwszemu. Zresztą mało czytał, mówiąc, iż najlepszą księgą jest natura.

TASSO.

Tasso jest jedynym z poetów, który za życia największą sławą się cieszył, a razem najsrożéj od losu był prześladowany.

Urodził się w Sorento roku 1541 z ojca Bernarda Tasso, także poety, który jednak synowi tylko pamięć swoję w potomności jest winien. Młody Tasso najwięcéj był przywiązany do matki, z którą w dzieciństwie na zawsze pożegnać się musiał. Od 11 roku błąkał się z ojcem, którego polityczne wypadki do Rzymu, potém do Urbino udać się znagliły. Książe Urbino wdzięcznie przyjął Bernarda Tasso, a syn jego, swoim obejściem i talentem tak na siebie zwrócił uwagę, że książe zażądał, aby Torquato spólnie z synem jego nauki pobierał. We dwa lata późniéj Bernardo znowu był zmuszony do Wenecyi się udać, co dało powód, iż syna swego oddał na naukę prawa do Padwy. Lecz ten wkrótce dał poznać, że inne jego jest powołanie. W roku 18 zycia, ogłosił poema w 12 pieśniach Rinaldo, zapowiadające znakomitego poetę, i przeto zyskał wolność oddania się saméj nauce filozofii i literatury. W 19 roku zaczął już myślić o najsławniejszém swojém dziele: Jerozolima wyzwolona. Wkrótce kardynał Ludwik d'Este, któremu Tasso poema swoje Rinaldo poświęcił, przedstawił go bratu swojemu Alfonsowi księciu Ferrary, i to miało wpływ smutny na całe dalsze życie poety. Pozorne, czy prawdziwe stosunki z Eleonorą siostrą księcia, miały być tego przyczyną. W Ferrarze już do roku 1515 najwięcéj Tasso przebywał, gdzie napisał poema pasterskie Amintas i Jerozolimę wyzwoloną dokończył. Odtąd nie więcéj jako poeta był głośny, i tém bardziéj jego życie i losy pokryte są tajemniczą zasłoną. Przez wiele lat ubogi i opuszczony, tęsknotą i niepokojem miotany, od miasta do miasta się błąkał, usiłując powrócić do Ferrary, celu swych życzeń. Zapewne przekroczenie jego musiało być wielkie, gdy z rozkazu dobroczyńcy swojego księcia Ferrary, w roku 1579 w domu obłąkanych zamkniętym został. Siedm lat przeszło strawił Tasso

w tém smutném miejscu, właśnie wtenczas, gdy cała Europa jego arcydzieło czytała, i Tassa za nadzwyczajne uważała zjawisko. W roku dopiero 1586, w kilka lat po śmierci Eleonory, książe Mantui, Vincenzo Gonzaga wyjednał mu uwolnienie. Odtąd błąkał się Tasso po Włoszech, najdziwniejszych przygód doznając. Wnet na książęcych dworach był prawie ubóstwiany, wnet widziano go w najnędzniejszym stanie po drogach publicznych prawie chleba żebrzącym.

Tak przeżywszy lat siedm, przybył do Rzymu r. 1504, gdzie z największém uniesieniem został przyjętym. Papież, Klemens VIII., postanowił uwieńczyć go uroczyście, tak jak tego zaszczytu przed 250 laty doznał Petrarca, uwiadomiając go o tém, rzekł: „Przeznaczam ci wieniec, aby od ciebie tyle miał sławy, ile jéj zjednał tym, którzy go przed tobą otrzymali.“ Ale gdy dzień tryumfu nadchodził, Tasso blizkim był zgonu. Zażądał, aby go przeniesiono do klasztoru św. Onufrego, gdzie przed 20 laty ojciec jego był skonał. Tam w roku życia 52 oddał ostatnie tchnienie na ręku kardynała Aldobrandyni. Gdy mu tenże przyniósł błogosławieństwo papieża, zawołał poeta umierający: „Szczęśliwy, nie wieniec na Kapitolu, ale koronę wiecznego pokoju odbieram.“ W kościele tegoż klasztoru pochowane są zwłoki Tassa, gdzie mu kardynał Bevillacqua pomnik wystawił.

Poema Jerozolima wyzwolona zyskała w swoim wieku nadzwyczajną wziętość, nie tylko jako dzieło sztuki, ale jako zawierające przedmiot całe chrześciaństwo obchodzący. Nietylko bowiem wspomnienia wypraw krzyżowych, ale ciągłe walki z ludami Mahometa zajmowały wówczas powszechność europejską. Kiedy Turcyki Orzechowskiego w Rzymie i Wenecyi upowszechniano, razem i Jerozolima wyzwolona Tassa znalazła z tego szczególniéj powodu tłomacza w Piotrze Kochanowskim, którego naród najwięcéj na walki z Muzułmanami był wystawiony. — Są ślady, iż obadwaj Kochanowscy, Jan i Piotr, osobiście z Tassem się znali i w młodości razem składali hołd w Paryżu Ronsardowi, który, gdy Tasso jeszcze nie był znany, miał imię nowego niedoścignionego Homera.

Poematowi Tassa zarzucić można, iż wiele traci na wła-

ściwości przez zbytnie trzymanie się przepisów o tak zwanéj machinie epopei, tak dalece, że wprzód wydał rozmowy o przepisach wiersza bohatyrskiego i ciągle według tychże dzieło swoje poprawiał. Tasso należy w ogólności do poetów, którzy raczéj siebie i swoje uczucia, aniżeli świat zewnętrzny, pojąć i wyrazić zdołali. Najpiękniejsze miejsca są te, które jako episody osobną całość stanowią i z poematem prawie nie mają związku. Jak Homer przyjaźń, tak Tasso, w duchu wieku, który opiewał, najpiękniéj miłość malował; dowodem tego będą uroki Armidy, piękność Kloryndy i cnoty Sofronii. Te i inne episody upodobał sobie szczególniéj lud włoski, które jak rapsody Homera, jak romanse hiszpańskie, przeszły w tradycyą powszechną.

Jak każde dzieło wyższe, tak Jerozolima wyzwolona miała równie wielbicielów, jak nieprzyjaciół. Dzisiejsza krytyka ocenia je tylko według smaku i ducha wieku, w którym było pisane. Najpiękniejszy pomnik wystawili Tassowi pierwsi naszego wieku poeci: Göthe, w tragedyi tegoż nazwiska i Byron w Dumaniach Tassa.

Mimo wielu zalet Piotra Kochanowskiego, poema to potrzebuje w polskim języku nowego przekładu, które już wykończone przed trzema laty miało wyjść z druku.

MILTON.

John Milton, jeden z największych poetów Anglii, a którego poema, Raj utracony, cały ród ludzki obchodzi, urodził się 6. Grudnia 1603 roku w Londynie. Dzieląc z największymi geniuszami sławę w potomności, ich losu za życia doznawał. Pozbawiony wzroku jak Homer i Ossian, prześladowany jak Dante i Tasso, wystawiony na burze losu i mało ceniony za życia jak Kamoens i inni, po zgonie dopiero poznani, drogo opłacił spółczesnym chwile, które mógł potomnym i nieśmiertelnemu dziełu swojemu poświęcić.

Milton odebrał bardzo staranne wychowanie i sam z dzieciństwa tyle do nauk okazał chęci, iż w 12tym już roku czytaniem po nocach oczy osłabił. Z uniwersytetu Cambridgskiego oddalił się po pięciu latach na wieś do ojca, gdzie go szczególniéj czytanie i poezya w łacińskim języku zajmowała. Zostawił wiele wybornych poezyi w tymże języku wówczas pisanych. W kilka lat potém straciwszy matkę, postanowił odbyć podróż do Włoch. Ta kraina pełna pomników starożytnéj chwały, z którą Milton tyle był obeznany, szczęśliwiéj zaś sława Tassa, którą wówczas brzmiały włoskie krainy, zajęła wyobrażenia Anglika i najżywiéj zapragnął podobnyż pomnik swojemu narodowi zostawić. Zaznajomił się z najznamienitszymi mężami we Włoszech, odwiedził nawet Galileusza siedzącego właśnie w więzieniu. Chciał jeszcze zwiedzić Sycylią i Grecyą, gdy wypadki krajowe do Anglii go powołały. Marzył on długo o poemacie, którego bohatérem miał być król Artur, ale drobny wypadek wyższy daleko wskazał mu przedmiot. — Wracając z Włoch, znajdował się w Medyolanie na widowisku mistyczném, wystawującém upadek Adama. Wielkość tego przedmiotu uderzyła go silnie i zaraz powziął plan Raju utraconego. Anglicy powstają bardzo przeciw temu podaniu, jakoby to oryginalności poematu ubliżać mogło. Nie tylko w powyższéj sztuce, ale wszędzie mógł mieć Milton potrącenia i wskazówki tyle popularnego przedmiotu, gdyż wszędzie o nim w różny sposób pisano. I my w polskim języku mamy z czasów Miltona dwa bardzo obszerne poemata, traktujące razem upadek i wybawienie człowieka, które w jednym zupełnie czasie Gawłowicki i Odymalski pisali, mimo niezgrabności wykonania są w obudwu wielkie obrazy, które sam przedmiot podawał. Ale właśnie zaleta wielkiego poematu nie na wynalazku przedmiotu, ale na poetyczném wykonaniu onego zależy. Im więcéj przedmiot jest popularny, w podaniach ludów rozmaicie urobiony, tém większa zaleta geniuszu, gdy z niego jedną wielką całość wytworzy.

Milton wróciwszy do kraju r. 1640 trafił na okoliczności, w których zamiast poezyi, zmuszonym był puścić się z burzliwym potokiem życia publicznego.

Nie będziemy tu wcale mówili o rozmaitych działaniach i pismach Miltona, które na przemian ściągały nań łaskę i niełaskę możnych, jednały mu stronników i nieprzyjaciół, domowe życie zatruwały, najpiękniejszą część życia w daremnych utrudzeniach zajęły, a w późnéj dopiero starości dozwoliły mu zająć się ulubionym wielkim przedmiotem, który jedynie jego imię potomności miał podać.

Wśród oschłych i drobiazgowych sporów politycznych i puritańskich, w które był zawikłany, przebija się często myśl wielka, która nim ciągle władała. W tych rozprawach czyni niespodziewane ustępy o Homerze, Wirgilim i Tassie, naminiając, że religia może natchnąć czém więcéj, niż ich poemata i uważa to za dług, który jéj winien. „W niewielu latach, mówi, dopełnię ślubu: idzie tu o dzieło, które nie powinno powstać z młodzieńskich uniesień lub z wina. Dzieło, o którém marzę, nie utworzy się na wezwanie Mnemnozyny i zwodniczych jéj córek, ale przez gorące modlitwy i łaskę Ducha Wiecznego, który wszelką nauką i wymową natchnąć nas może i który z świętym promieniem ognia swoich ołtarzy zsyła Serafina, aby się dotknął i oczyścił usta tego, którego wybrał.“ Wszędzie wzdycha do wczasu i spokojności, ażeby téj świętéj missyi, którą czuł w sobie, mógł kiedy dopełnić.

Milton miał już lat 60, kiedy usunąwszy się w wiejskie ustronie, dopiero uczuł się wolnym, to jest zapomnianym od ludzi, gdy już nic złego, ani dobrego od nich się nie spodziewał i nie żądał i gdy cały oddał się krainom wyższego świata i sprawiedliwéj potomności. Nawet utrata wzroku oddzieliła go od świata rzeczywistego. Ubóztwo, nieprzyjaciele, gorycz omylonych nadziei, niełaska publiczna i cierpienia fizyczne, wszystko razem go cisnęło, ale geniusz wszystko w nim przetrwał. Pomysł jego poematu, od dawna żywiony, utwierdził się i zbogacił przez różne wypadki i uniesienia czynnego życia. Należąc już tylko do świata nadzmysłowego, „daj oczy duszy mojéj“, zawołał do wyobraźni, a nauki i wspomnienia niezmierną otworzyły mu przestrzeń. — Biblią, a potém Homera codzień czytywał i prawie na pamięć umiał. Natchnieniem jego byli prorocy, a wzorem Homer, Plato i Eurypides.

Jedyną, ale wszystko zastępującą jego pomocą i osłodą były córki, samotność starca dzielące. Te tkliwe istoty, w najwyższym stopniu umiejące się poświęcać, nauczyły się po grecku i po hebrajsku czytać jedynie dla tego, aby mu przez to pomoc i rozrywkę przyniosły. Jedna z nich długo po śmierci Miltona odmawiała greckie miejsca z Homera, które zatrzymała w pamięci, wcale ich nie rozumiejąc. Codziennie rano czytały mu biblią po hebrajsku, poczém dyktował żonie swoje poema, a znaczną część dnia zajmowała muzyka. W godzinach tak swobodnie płynących, Raj utracony prędko ukończonym został.

Dzieło to z wielką niechęcią nabył księgarz za 1200 złł. i tak mało go cenił, że druk onego dopiero we dwa lata późniéj rozpoczął; i miał słuszność, gdyż poema, z którego teraz tak są dumni Anglicy, najobojętniéj wówczas przyjęte było. Autor był znienawidzony, a przedmiot, który traktował, nie odpowiedział duchowi czasu. Wyższa społeczność zajęta wtedy rozwiązłemi pismami, wzgardziła naturalnie przedmiotem tak poważnym i smutnym. Płochy ateizm, który zajął miejsce szału puritańskiego, modne wówczas ogładzone zepsucie śmiesznością okryły wzniosły przedmiot Miltona. — Johnson tylko i Dryden z nieśmiałością wyznawali, że dzieło to nie jest zupełnie bez zalet, przecież za życia pisarza poszło w zupełne zapomnienie. Późniéj ogłosił jeszcze Milton poema Raj odzyskany, które aż dotąd sprawiedliwie na zapomnienie jest skazane. W ogóle nawet człowiek daleko zdolniejszym jest pojmować cierpienia, niżeli szczęście ludzkie.

Milton umarł w 9 lat po wydaniu Raju utraconego, to jest roku 1674, w roku życia 65.

Adisson dopiero odnowił pamięć tegoż poematu metodyczną krytyką, ogłaszając Miltona geniuszem, któremu tylko języka Homera zbywało; śmiał nawet powiedzieć, że gdyby nie chciano poematu jego za epiczne uważać, trzebaby nazwać je poematem boskiém. Wnet potém Anglia dumną być zaczęła na imię Miltona, tak jak na imię Szekspira.

Przedmiot poematu jest najwznioślejszy, dotyka nie jednego człowieka albo ludu, ale całego rodu ludzkiego. Sceną jego

jest niezmierność miejsca i czasu. Nie jest to historya upiększona fikcyami, ale sama cudowność. Czyli tajemnicze krainy światła, czy ciemności maluje, wszystko czerpane jest z saméj wyobraźni. Geniusz poety podobny jest do lotu szatana, który fantastycznym lotem przestrzenie próżni przebywa. Ale właśnie, że same zaziemskie krainy i duchy głównym są dzieła przedmiotem, przeto może nas zadziwiać, ale po ludzku nie zajmie.

W poezyi człowiek jest dla człowieka najciekawszym światem, piekło i niebo i nadzwyczajne istoty o tyle nas zajmują, o ile z naszemi uczuciami są w związku. Gdzie niema naszych trosków, naszych nadziei, tam dla nas jest próżna lub obojętna tylko igraszka wyobraźni. Dla tego kiedy nas poeta przerażonych po piekle i ukorzonych po krainach światła unosił, tém więcéj nas zniewala, gdy nas przecie między ludzi wprowadzi. Tych ludzi para jest tylko w całym poemacie, ale ci ludzie są rodzicami nas wszystkich, ale w nich jest zaród wzniosłych przeznaczeń i nieszczęść w pokoleniach; oni w poemacie całe niebo i piekło poruszają, oni wreszcie żyją błogo w ogrodzie Edenu, za który człowiek całéj zaludnionéj ziemi nie chciałby mieniać. Dla tego ta część poematu jest prawdziwie ową Oazą w pustyniach, do któréj znużony wędrowiec utęsknia.

Po olbrzymich obrazach stworzenia świata, walki duchów nadprzyrodzonych wystawia nam Adama i Ewę wychodzących z rąk Twórcy. Starannie zdaje się przenosić na obraz widok pierwszych uczuć i niewinności, która wnet zniknie. Smutne rozwiązanie poematu podaje mu jeszcze nie mniéj żywe obrazy słabości i żalu. Nic nie masz tkliwszego nad żal winnéj Ewy i nad wzajemne przebaczenie sobie obojga małżonków.

Wśród najbogatszéj rozmaitości w malowaniu aniołów i duchów piekielnych, szatan jest wydziałem poetyckiego utworu. To obudzenie się dumy strzaskanéj, owa rozpacz nie znająca ani żadnéj zgryzoty sumienia, ani nadziei; obranie złości jako jedynéj pociechy zemsty, nakoniec obłuda, która jest uzupełnieniem duszy piekielnéj, tworzą obraz okropny, do którego same piekło zdawało się pędzel podawać.

Zresztą geniusz Miltona obok najśmielszego lotu wyobraźni obciążył skrzydła zbytkiem erudycyi, za jego czasów modnéj, która niemal gorzéj mu usłużyła, niżeli niewiadomość, jaką powszechnie Szekspirowi zarzucamy.

F Dmóchowski celniejsze tylko wyjątki Raju utraconego przełożył, i ten przekład lepiéj jest wykonany, niż Homera, a nawet Wirgiliusza. Natomiast Jacek Przybylski przełożył Raj utracony i odzyskany Miltona, a ten ze wszystkich złych jego przekładów nazwać można najgorszym.

LAWATER.

Lawater nie tylko należy do najznamienitszych mężów zeszłego wieku, ale oraz podwójną, popularną miał sławę. — W Niemczech i Szwajcaryi czuł lud cały jego nadzwykłą pobożność, miłość ludzi, prostotę, dobroczynność, tudzież poezyą i wymowę, tylko prawdy i pociechy religijne zwiastujące; uczonym i całemu światu polerownemu w Europie znany był przez swoje dzieło o fizyognomii; dzieło, które każdego zająć potrafi i o którém każdy sądzić jest w stanie. Francuzi porównywali Lawatera z czcigodnym Fenelonem; jest to porównanie najzaszczytniejsze tém bardziéj, że między filozofami XVIII wieku tak było trudne I pani Staël przyznaje mu tę zaletę, z dodatkiem jednak, iż był to drugi Fenelon, l e c z n i e c o z S z w a j c a r s k a, to jest w mniéj dobrym tonie.

Urodził się w Zurychu r. 1741. W tém mieście ojczystém sprawował skromny urząd duchowny przy kościele szpitalnym. Znany światu z dzieł swoich, uwielbiany był prawie w miejscu rodzinném. — Natchnione kazania jego zwracały wszystkich ku Bogu i cnotom chrześciańskim; był poradnikiem i pocieszycielem każdéj niemal rodziny; o ile miał nadzwykłą zdolność poznawać charaktery ludzi, o tyle wchodził w ich położenie i każdemu nieść pomoc się starał. Można powiedzieć, iż w całém życiu był sam najpiękniejszym wzorem swych

nauk. Obok tego wydawał wiele dzieł, które mu cześć dla religii, wówczas zachwianéj, i potrzeba czasu dyktowały. — Wiele poematów religijnych, Messyadę (mniej sławną od Klopsztoka), wydał i wiele innych z pisma świętego, z których wszystkich najwięcéj się upowszechniały jego Pobożne Pieśni Szwajcarskie. Wszystkie te pisma, jak wiele innych prozą pisanych, są zapomniane, ale wydały swój owoc, bo wszędzie gdzie doszły, religijne uczucia wzbudziły.

Umarł 2. Stycznia 1801, mając lat 60, śmiercią bolesną i dla jego stanu nieprzewidzianą. Po wejściu wojsk francuzkich do Zurychu, w r. 1799, gdy właśnie Lawater na ulicy zajmował się godzeniem drobnych sporów i niesieniem pomocy strudzonym żołnierzom, grenadyer, nie wiadomo z jakiego powodu, przeszył mu plecy wystrzałem z karabinu. Przez rok ciągle na ranę chorując, jeszcze wydawał pisma, i różne potrzeby, z któremi się do niego udawano, załatwiał.

Zobaczmy bliżéj jego fizyognomiczne postrzeżenia, które go więcéj wsławiły, niż wszystkie jego chrześciańskie cnoty i pisma.

Mając z natury dar postrzegania, obcując wiele z ludźmi od młodości i różnych doświadczając charakterów, nawykał coraz więcéj tworzyć sobie zdanie o człowieku z jego zewnętrznéj postaci; coraz więcéj nabierał przekonania o jéj zgodności z przymiotami duszy. Przywykły szczególne fakta do ogólnéj zasady odnosić, przyszedł na myśl, iż z niejaką pewnością z linii profilu człowieka można o jego charakterze wnioskować; że często bardzo jedynie z portretów trafne dawał zdanie o ludziach nieznajomych, coraz mocniéj utwierdzał się w swém przekonaniu i fizyognomikę, która się dotąd na samych urywkowych i nieśmiałych postrzeżeniach ograniczała chciał podnieść do stopnia gruntownéj nauki.

Główny jednak powód do téj myśli dało mu zajmowanie się od młodości rysunkami, przyczém uważał, że pewne czoło, nosy i usta jednakowy zwiastują charakter. Zrazu długo taił swe wnioski, lecz raz będąc u sławnego lekarza, Zimmermana, miał sposobność utwierdzić się w swém przeświadczeniu. Pomiędzy idącymi przez ulicę postrzegł człowieka, którego pierwszy raz widział i takie o nim dał zdanie, iż Zimmerman, znający tęż osobę, zdziwiony zapytał, na czém tak prędki i prawdziwy sąd swój opiera? „Trzymanie łokcia tego człowieka, odpowiedział Lawater, wszystko wskazuje.“

Odtąd śmielszym być począł i sławne swe dzieło w czterech dużych tomach r. 1775 ogłosił, zawierające mnóstwo najrozmaitszych profilów, wykonanych po większéj części przez sławnych artystów, mianowicie zaś przez Chodowieckiego, Szellenberga i innych.

Lawater zawsze pełny religijnych uczuć, od wszystkich artystów i znajomych swoich zwykł był wymagać, aby mu według własnéj wyobraźni wizerunek Chrystusa odrysowali. O ile według niego wznieść się zdołali do ideału bóstwa w człowieczeństwie, o tyle nabierał wyobrażenia o ich przymiotach moralnych i poetycznych uczuciach.

Dzieło jego obejmuje niezliczone następstwo fizyognomii, z ciekawymi uwagami nad każdą; na każdéj z nich odsłania tajemnice cnót, wad, dobrych i złych przymiotów, które na nosie, czole lub uchu pochwycił; umieszcza głowy sławnych ludzi w różnym rodzaju, wszelkie postawy ciała, odpowiadające poruszeniom duszy; odcienia rozmaitych charakterów i namiętności od najlżejszych i łagodnych uczuć, aż do okropnych namiętności. W uwagach, które dołącza, zajmują postrzeżenia o sztukach nadobnych, o piękności moralnéj i niezliczone szczegóły, każdego zająć mogące.

Nadewszystko dzieło takie obudza ciekawość, gdyż nie ma prawie człowieka, któryby nie sądził, iż także o fizyognomiach sądzić jest w stanie, któryby w niém do siebie lub do znajomych jakowego podobieństwa nie znajdywał, gdyż nakoniec każdemu z czytelników daje powód do własnych postrzeżeń. Nie dziw więc, że pismo takie, którego przedmiot nigdy do pewnych zasad odnieść się nie da, tak wielką wziętość zyskało.

Lawater tak się wsławił, iż modą było o różnych fizyognomiach zdania jego zasięgać, które za niemylne uważano.

Niejaki Fryckt, młodzieniec uderzającéj piękności przybył do Zurychu. Wśród pochwał powszechnych Lawater nie wa-

hał się wyjawić przyjaciołom wcale niepomyślne zdanie o charakterze tego człowieka; w niejaki czas potém rozeszła się wiadomość, że tenże zamordował konduktora dyliżansu dla odebrania mu kilku ludwików.

Mercier, sławny autor dzieła Obraz Paryża, przybywszy do Zurychu, wszedł nagle do Lawatera i rzekł: Przypatrz się dobrze; przybywam umyślnie z Paryża, abyś sądził o mojéj fizyognomii, zgadnij kto jestem? — Zapewne literat, odpowiedział Lawater. — Tak jest, lecz w jakim rodzaju? — „Zdaje mi się, że filozof; widzę oryginalność i wiele dowcipu; ledwobym nie powiedział, że jesteś autorem Obrazu Paryża, który właśnie czytałem.“

Jednakże Lawater nie zawsze był w zdaniu swojém szczęśliwy. Okropny jeden zbrodniarz skazany był na ćwiertowanie. Zimmerman postarał się o jego profil i bez podpisu posłał go Lawaterowi, który właśnie w tym czasie pragnął mocno i spodziewał się otrzymać portret sławnego Herdera, jednego z stronników fizyognomiki; otóż zdało mu się, że portret powyższego zabójcy jest wyobrażeniem Herdera; na czole, na uszach i brodzie znalazł oznaki geniuszu i szlachetnych skłonności. Miał wprawdzie wymówkę, że portret nie był wiernie oddany, bo i w téj nauce, jak w każdéj, nie trudno o wybiegi, ale przeciwnicy jego zawsze tryumf odnieśli.

Jak według rysunków zgadywał charaktery najczęściéj pomyślnie, tak równie z opisu czynów i życia osoby potrafił sobie wyobrazić jéj fizyognomią i wiele podobnych robił profilów. Często w téj mierze tak sobie ufał, że według żywotów Plutarcha dawał zdanie, czyli wizerunki sławnych osób starożytności, jakie nas doszły, są prawdziwe lub nie. Widząc raz portret człowieka modlącego się na klęczkach, oświadczył wręcz, iż ta postawa nie zgadza się z włosami tego człowieka, że więc albo włosy, albo postawa nie są wiernie oddane. W spuszczeniu włosów Miltona, widział geniusz poetyczny, zapewniał oraz, że gdyby Newton ani litery nie był napisał, sam jego portret postawiłby go w rzędzie największych geniuszów, — gdyby więc ludziom szło tylko o sławę, lepiéjby było zamiast naukami się trudzić, dać się tylko odmalować.

obdarzony, ciągle zostawał i jako pierwszy w Księztwie minister r. 1832 dnia 22. Marca mając lat 83, czynne, szczęśliwe i pełne chwały życie zakończył.

Goethe w młodym wieku był nadzwyczaj pięknym, czerstwym i rosłym. Cała postać i rysy twarzy okazywały człowieka niezwyczajnego. Gdy miał lat 25, pisał o nim uczony Heinse z Düsseldorfu. „Był też u nas Goethe; od stóp do głów widać w nim geniusz, moc i śmiałość; serce pełne czucia, umysł pełen ognia z orlemi skrzydłami.“

Szczęściem było dla Goethego i w ogóle dla literatury niemieckiéj, iż osiadł w Wajmarze, które to miasto słusznie odtąd nowemi Atenami nazwano. Dwór wajmarski wsławił się tyle przez nauki, jak inne przez potęgę. Tam Goethe oprócz towarzystwa Herdera, Szyllera, Wielanda, J. P. Rychtera i w. i. miał u dworu wszystko co mógł do naukowego życia zażądać. Pięknie mówi o tém Goethe w jednéj swojéj poezyi:

„Mały wprawdzie jest mój między germańskiemi Książęty, krótki i wązki kraj jego, i nie wiele jest możnym, ale niech każdy działa jak on, a święte będzie życie mych ziomków. Ale wstrzymaj się muzo! aby cześć twoja podejrzaną nie była. On bowiem dał mi to, co rzadko dają możni. Rozwinął skłonność, dał wczasy, zachętę, pole i dom z ogrodem, wiele potrzebowałem, a jemu tylko winienem dzięki, bo jako poeta, źlem się na zarobkach rozumiał. Europa mię chwaląc nic mi nie dała, czas do poezyi drogo musiałem opłacać, Niemcy mię naśladowali, już Francuzi mogli czytać mnie niemca, Anglia gościnną mi była. Ale cóż mi pomogło że nawet Chińczyk na szkle Wertera i Karolinę maluje? Nikt z możnych, i kto mię czytał, nie spytał o mnie, a on był mi Augustem i Mecenasem.“

Nie podobna tu mówić w ogóle o Goethem, który tyle jest rozmaity, ani też pisma jego w szczególności ocenić. Skoro jedném dziełem powszechny entuzjazm i naśladownictwo obudził, wnet jakby laską czarodziejską zupełnie inny nadał im popęd i zdawał się igrać utrudzaniem swych wielbicielów; i tak musiało to być w narodzie, który nie miał jeszcze

w smaku ustalenia i narodowéj jedności, który głęboko czuł i pojmował wszystko, ale na swój punkt jeszcze nie trafił. Każde nowe pismo jego miało stanowić epokę, którą to epokę sam Goethe skończył, jakoby chciał, ażeby nie dzieła jego szczególne, ale on sam w ogólném działaniu swojém, epokę stanowił. Niemcy nazywają czas wychodzenia różnych jego utworów peryodami swojego smaku i literatury.

Największy entuziazm wzbudził Werther, a póki trwał był to peryod sentymentalny. Nie tylko kamizelki Werthera, ale i pistolety stały się modą, Lessing mówił: „Mniemacież, iż młodzieniec grecki lub rzymski za to co Werther życieby sobie odbierał? Utworzyć tak drobno — wielki, tak piękny, a litości godny oryginał, naszym czasom zostawione było, gdzie pożądliwość w piękną duchową doskonałość zamieniać umiemy.“ Po Wertherze nastała powódź czułych romansów które równie prędko, jak łzy i westchnienia minęły. Goethe późniéj sam najlepiéj ten peryod przez siebie utworzony, wyszydził. Goetz z Berlichingen, sprowadził za sobą wojsko dramatycznych rycerzów, którzy równie jak burza i potok wezbrany w zapomnienie przepadli; ale obudził powszechne w Szekspirze zamiłowanie, a w ogóle od sentymentalności Werthera, cofnął wszystkich do naśladowania poczciwéj a rubasznéj prostoty staroświeckiéj. Nagle Ifigenia i Hermann, wywołały Niemców do starożytnéj Grecyi, i pewno że żaden naród w świecie lepiéj greków nie pojął, szkoda tylko iż nie wszyscy pojmowali, że żadna obca literatura powtórzyć się nie da, a Ifigenia która w istocie ma zaletę najstarożytniéjszéj poezyi starożytnéj, jest arcydziełem sztuki Goethego, ale nie płodem geniuszu Niemców do naśladowania. Faust późniéj ale tém głębiéj pojęty został. Jest to najpierwsze narodowe poema Niemców, w którém Goethe najwyższą moc swego geniusza objawił. Większa część jego zalet i filozofii narodową tajemnicą zostanie. Wilhelm Majster, nowy znowu zapał obudził. Nie tylko po nim artyści stali się bohatérami romansów, ale życie artystowskie zdawało się jedynie prawdziwie cenném i godném zabiegów. Dzieło to może najważniejszém ze wszystkich niemieckich romansów, pełne jest ducha

poetycznego, filozofii praktycznéj i znajomości tajemnic serca ludzkiego, Nikt więcéj jak Goethe nie obudził w Niemczech zamiłowania sztuk pięknych, osobliwie malarstwa, którym sam większą część życia poświęcił, i wiele o nich zgłęboką znajomością pisał. Oprócz Tassa, Egmonta i Clavigo, inne poemata jego dramatyczne mniéj uwagę zwróciły, większa też część ich pisaną jest tylko z okoliczności miejscowych. Znaczną liczbę zostawił Goethe pism po jego śmierci wydanych; te o ile do poezyi należą, a mianowicie dalszy ciąg Fausta, żadnego nie uczyniły wrażenia. Goethe oprócz Dichtung und Wahrheit pisał bardzo wiele o swojem życiu i wszelkich stosunkach. Te pamiętniki mało być mogą zajmujące w człowieku wyłącznie w cichości naukom oddanym. Są to najdrobniéjsze szczegóły pism jego dotyczące, i nie radzibyśmy wiedzieć o wszystkich. Oglądając piękne dzieła z pracowni artysty, nie pragniemy, aby nas prowadził do składu swoich materyałów i narzędzi, a témbardziéj nawet do garderoby. Ciekawe są listy Goethego i Szyllera z których widzimy, jak ci dwaj mężowie w cichości działając, ruch powszechny literaturze niemieckiéj dawali. Uderza w nich zawsze piękny i wyniosły charakter Szyllera, obok znajomości świata, czynnéj ciekawości i dowcipu Goethego. Ile tamten dążył wysoko i z zapałem tyle ten spokojnie i przenikliwie przestrzeń obejmował. Od Goethego wiele się można nauczyć, z serca Szyllera wiele przejmować.

SZYLLER.

Szyller jest bezwątpienia najpierwszym poetą Niemców, ze wszystkich tego ludu poetów najlepiéj w całéj Europie pojęty i wszędzie ceniony. To ztąd pochodzi, że jedyném natchnieniem jego były głębokie uczucia prawdy, piękności i gorącéj czci Boga; uczucia, które wszędzie i zawsze szlachetne serca znajdą i na nie zbawiennie wpłyną. Szyllera poprzedziły

znakomite geniusze, które jednak nie mogły mieć tego wpływu, jaki jego szlachetne natchnienia wywarły. Klopsztok wzniosłym jest w Messyadzie; poema to należy do całego świata chrześciańskiego, atoli zupełnie nadziemskie, nadzmysłowe, obudzi cześć, podziw, tęsknotę ku nieskończoności, ale jako więcéj z świata idealnego niżeli z ludzkiéj natury czerpane, mało wpłynie na życie. Trudno o wznioślejszy umysł, o więcéj gojącą miłość ziomków nad te, jakie Klopsztok w odach swoich objawia, ale i te szukają tylko rzadkich serc jemu podobnych i nie mogły stać się popularnemi. Klopsztok, poeta liryczny w epopei o Messyaszu, chciał być epicznym w odach i w nich wprowadził dawną skandynawską mitologią, któréj krwawe przymioty i obrazy dziwnie odbijają się, obok hymnów z ewangelicznéj łagodności czerpanych. Lessyng, ów umysł najjaśniéj widzący, był jak światło szybki, wnikliwy, wszystko złe i dobre wyświecający, ale nie był geniuszem twórczym, ani poetą budzącym wyższe uczucia. Goethemu przewodniczył jedynie duch wielkiego artysty, usiłującemu być naprzemian Eurypidesem, Szekspirem, nawet Homerem, i pragnął obudzać tylko entuzyazm dla saméj sztuki. Szyller pojął w całém znaczeniu i dopełnił powołania poety.

Poezye jego, jak rzadko które, obudzają same poważne, szlachetne uczucia, i wszystkie można określić jednym wyrazem, iż są szlachetne. Przenikniony najżywiéj wszystkiém, co jest wzniosłe i piękne, mając zawsze przed oczyma ideał, którego urzeczywistnienie za cel rodu ludzkiego uważał, nie zdolny był nawet oglądać się na żadne środki mogące jego sławę rozszerzać, był prostym i wiernym tłumaczem swych uczuć i świata, nie jaki jest, ale jak w sobie go widział, lub jakim mieć pragnął. Nie chciał zadziwiać, hołdować modzie, lub żądzom czasowym, ale przelewać uczucia, przez które człowiek czuje moralną swą godność. Poezya jego pełna życia wszędzie życie obudziła. Naśladownictwo, mierność, drobiazgowość, ugodne formy i wszelkie tak zwane sposoby poetów zwłaszcza dramatycznych, poszły w nicość przed jego muzą. Gdy inni Kanta filozofię wykładając wikłali, rozbierając zdrobniali, on przejął jego czystą i prawie świętą duszę, i dał ją uczuć. Ró-

Przytoczyliśmy niektóre śmieszności, jedynie dla okazania, iż podobnéj nauki nie można nigdy za pewną uważać i że taką nigdy nie będzie dla tego samego, iżby wielce szkodliwą być mogła. Natura nie chciała wyraźnie tajemnicy człowieka na twarzy pisać i przysłowie powszechne, że fizyognomie mylą, zawsze będzie prawdziwe, tém bardziéj, im więcéj z cywilizacyą sztuka układności wydoskonalać się będzie. Nikt sobie nie może pochlebiać, iż z fizyognomii zdoła sądzić o ludziach; ostrożność nie radzi każdemu ufać, a sprawiedliwość zakazuje źle sądzić o tych, których natura nie chciała powierzchownością zalecić. Własne i długie wreszcie doświadczenie może nam w tym względzie niejakie podać wskazówki, ale broń Boże opierać się na czyich, choćby najsławniejszych teoryach.

Dzieło Lawatera jak mylném i niedostatecznem być może w szczegółach i w celu, jaki głównie zamierza, tak dla artystów bardzo jest nauczające.

W trzynastu oddziałach widzimy w niém mnóstwo wizerunków systematycznie uporządkowanych. Raz uważa fizyognomie wynurzające rozmaite uczucia i namiętności, drugi raz zwiastujące rozum najwyższy i geniusz aż do ostatniego stopnia głupoty; indziéj przebiega również stopniami przymioty moralne, od cnoty najwznioślejszéj aż do okropnéj zbrodni. Daléj wyraża fizyognomie idealnéj piękności i stosunek piękności fizycznéj z moralną. Czuje głęboko piękność idealnych twarzy, przez największych malarzów zrobionych, uważa jednak, że żadna sztuka nie zdoła wystawić całéj piękności żyjącéj figury.

Przez długi czas zbierał Lawater wizerunki wszelkich osób, z jakiegobądź względu na uwagę zasługujących, i te stosownie do ich rodzaju porządkował i tym sposobem nie trudno mu było pewne ogólne tworzyć przypuszczenia. Nie tylko twarze, ale cała postać człowieka od stóp do głowy, włosy, broda, ramiona i nogi zajmują jego uwagę i są mu wskazówką charakterów. W ogólnych zasadach, w porównaniach, w wykrywaniu związków znamion pomiędzy sobą, jest Lawater dowcipnym, trafnym, nawet głębokim; tam tylko chybia, gdzie o szczegółach bezwarunkowe daje wyroki. Zresztą tam nawet,

gdzie się myli, podoba się zawsze przez szczególną prostotę dobroduszność i szczere zamiary. Jeżeli nie wszędzie prawdę, to szczerą prawdziwość znajdą w nim czytelnicy, a ta rzadka cnota w piszących bardzo jest ważną. Wszystko, co pisze, jest owocem szczerego przekonania.

Cą do sądzenia o fizyognomiach płci pięknéj, Lawater daleko mniéj sobie dowierza, nawet nie umie, czy nie chce być grzecznym. Wyznaje, że postrzeżenia jego w tym względzie są ograniczone. „Rzadko, mówi — widziałem kobietę w téj szczerocie, w któréj jedynie sądzić je można.“ Natomiast, jak może i wszyscy mężczyzni, umie tworzyć najpiękniejsze ideały kobiecych fizyognomii i dla tego podobno tak trudnym był w uznaniu rzeczywistości. W sądzeniu o nich jest nadzwyczaj drobiazgowym i podejrzliwym; w każdym niemal rysie, w każdym przemiennym wdzięku widzi coś podejrzanego, w ogóle jednak widać, że w tym punkcie takim był znawcą, jak my wszyscy. Nie radziłbym nawet damom czytać jego niegrzecznego rozdziału, w którym autor sam mówi, iżby nie śmiał powierzyć papierowi tysiącznéj części postrzeżeń o fizyognomiach kobiet. — I mężczyzna nic się tu nie nauczy, chyba być podejrzliwym i mylnie sądzić, i zdaje się, że na licach płci pięknéj natura wyryła tajemnice, które samo tylko uczucie odsłonić może.

GOETHE.

Goethe należy do najpierwszych geniuszów zeszłego i naszego wieku. Przeszło 60 lat cieszył się sławą, prawie co rok powszechniejszą i zapałem, jaki każdy nowy jego utwór wzniecał między jego ziomkami. Nie masz prawie rodzaju poezyi, w którymby nie celował. Jeżeli jedném pismem powszechne obudził naśladownictwo, wnet drugiém wskazał drogę zupełnie nową i tak następnie, że wszystkich zmordował i na żadnéj doścignąć się nie dał. Ztąd zadziwia w nim naprzód rozmaitość utworów, iż zdaje się, że każdy z nich inna muza, innego człowieka, w innym wieku natchnęła. Człowiek XVIII. wieku w Werterze i w Wilhelmie Maister, w każdym zupełnie odrębnego ducha, dawny Niemiec w Götz z Berlichingen, Grek w Ifigenii, Rzymianin w Elegiach, Włoch w Tassie, Pers w Dywanie, Słowianin w pieśniach, popularny i narodowy filozof w Fauście, ideał homerycznéj patryarchalności w Hermanie i Dorotei itd.

Jeżeli pisarze zeszłego wieku obierali sobie za cel bądź w złych, bądź w dobrych zamiarach, dążenie ku pewnemu celowi, ku czemu sztuka tylko środkiem bywała, Goethego jedyném zajęciem była sztuka i sztuka celem saméj siebie. — Przedmiot z siebie obojętny, najmniejszy szczegół umiał przez artystowskie wykończenie zajmującym uczynić; podobnież z równym pokojem i łatwością oddawał największe burze namiętności, najwznioślejsze przedmioty, tajemnice natury i człowieka. Wznosił rzeczy małe, a wielkie dostępnemi czynił. Był w całém znaczeniu wyrazu artystą i więcéj zasługuje na podziw jako artysta, niżeli jako geniusz. Kraina sztuki była jego jedyną ojczyzną, dla niéj tylko czuł i myślał, jéj znajomość i doskonałość była mu celem; nie zamierzał w szczególności przez swoje utwory wpływać na ten lub ów kierunek społeczności, lecz w ogóle znajomość i zamiłowanie sztuki uważał za mniéj nagły i uderzający, ale pewny sposób uzacnienia ludzi, do którego prowadzi czucie piękności, miary, taktu i przyzwoitości.

Pod tymi względami stoi on zupełnie odosobniony od wszystkich spółczesnych, z tego stanowiska tylko jako artysta zajmuje się światem i życiem społeczném, obojętny i bezwzględny nawet na wszystko, co go jako artysty nie tyczy. Wszystkie dzieła jego zdają się bydź owocem głębokiego pokoju wewnątrz i zewnątrz. Ciekawy do wszystkiego, zawsze zajęty, chciwy plonów dla sztuki, nie widział i nie czuł, w jakiéj burzy wiek jego przepływał, odegrał długo i świetną rolę, do jakiéj natura go przeznaczyła. Kto w nim coś więcéj jak artysty szuka, będzie mu miał wiele powiedzieć, jako człowiek

i moralista, ale pod względem sztuki będzie Goethe dla każdego podziwem i szkołą niewyczerpaną.

W ogóle, jasno i głęboko widzący umysł Goethego byłby się nie równie więcéj przyczynił do ożywienia wyrwanych przez filozofią XVIII wieku zasad i zagasłych uczuć; gdyby był więcéj sztukę za środek ku tym celom szlachetnym uważał, ale właśnie po nim entuzyaści głosić zaczęli, że sztuka a moralność i dążenie, są rzeczą wcale oddzielną, i nigdy nie powinna być środkiem. Ludzie wolą zawsze osobliwość i nowość, niżeli wielkość i to dobrze znał Goethe. Pisma jego więcéj wydały naśladowców sztuki i tak zwanych geniuszków artystowskich niżeli ludzi czynnych i dojrzale myślących.

Polakom mniéj daleko znany jest Goethe, niż Sziller. W przekładzie mamy tylko Werthera, Ballady i pieśni. Nie długo może ogłoszony będzie już wygotowany przekład najznamienitszych jego poematów dramatycznych: Ifigenii i Fausta. Z prozaicznych pism Goethego najprzód może potrzebaby życzyć przekładu pamiętników jego (Dichtung und Warheit) nie tylko pod względem mistrzowskiego stylu, ale dla nauki i wzoru, o ile ten tak bogato od natury uposażony geniusz wszelkiemi środkami usiłować wszechstronnie swój umysł oświecić, jak doświadczeniem i praktyczném wglądaniem w życiu starał się utwierdzać albo prostować swoje wyobrażenia.

Jan Wolfgang Goethe urodził się 1749 roku 28. sierpnia w Frankfurcie nad Menem z dosyć zamożnych rodziców miejskiego stanu. Od urodzenia aż do śmierci, zawsze mu pomyślna gwiazda świeciła. Ojciec jego miłośnik nauk i sztuk, całe łożył usiłowanie ku najlepszéj edukacyi syna od dzieciństwa wiele wróżącego, matka pełna rozsądku i czułości wychowała go starannie i rozwinęła w nim serca przymioty. Należał do najpierwszych odnowicielów smaku w Niemczech i ostatni z nich umarł, kochany za młodu, szanowany na starość, a zawsze cel uwielbienia swych ziomków. Ukończywszy nauki prawa w Frankfurcie udał się do Lipska, do Wetzlar, odbył różne podróże a w roku 1767, zamieszkał w Wajmarze, gdzie przez księcia Karola Augusta, szlachectwem i dostojnościami

jak niektórzy chcą utrzymywać, dowodzi dawniéj wydane jego poema Religia, w którym dowodnie skłonność swoją ku wyznaniu katolickiemu okazał. Gdy po objęciu rządów przez Wilhelma Xięcia Oranii powyższe miejsce utracił; w smutnych zostawał okolicznościach; zmuszonym był pracować tylko dla zarobku; szczęśliwy, iż przekłady Wirgilego i Persyusza, które do lepszych angielskich należą, pokup znalazły; wszelkie inne prace narzucane od księgarzów drukować musiał, kosztem w innym rodzaju nabytéj wziętości. Najsławniejszą z poezyi jego jest oda Uroczystość Aleksandra, na wszystkie języki wiele razy tłumaczona, a do któréj kompozytor niemiecki Haendel wzniosłą muzykę utworzył. Umarł 1 maja r. 1701. Pochowany w Westminster między poetami Chaucer i Covley; na grobowcu jego jest tylko napis „Dryden".

WALTER SCOTT.

Chcącemu mówić o tym najsławniejszym naszego wieku pisarzu, nasuwa się najprzód uwaga, jakim cudownym sposobem potrafił zajmować cały świat cywilizowany ten, którego wyobraźnia żyła prawie wyłącznie w zgasłéj i zapomnianéj Szkocyi; który w tak czynnym samą niepewną przyszłością zajętym wieku, nic z nim prawie nie dzieląc, oddał się z zamiłowaniem czasom i obyczajom, jakie nigdy powrócić nie mogą; który wreszcie najdalszym był od schlebiania jakiéjkolwiek czasowéj namiętności, chociaż ku temu w głębokiéj znajomości ludzi wszelkie miał środki; który wreszcie zupełnie przeciwną od niebezpiecznego rywala Byrona obrał drogę do sławy i spokojnie na starym zamku przodków Szkocyi, wychował sobie niezwiędłe laury za któremi się Byron, wśród burzy w sercu, po burzach morskich upędzał. Byron miotany niepozbędnym duchem, chciał w sobie człowieka odgadnąć, wygorzał szybko, jako nadzwyczajne zjawisko; Walter Scott wyparłszy się swojéj indywidualności, został tylko spokoj-

kojnym malarzem natury, ludzi w każdym stanie i położeniu, tworząc charaktery z historyi, i historycznemi czyniąc utwory imaginacyi. Prawda i wierność w malowaniu łączyć się w nim zdaje dwie przeciwne krainy: fikcyą i rzeczywistość, jak ciało z duszą. Jeżeli tamten wyobraża morze wzburzone, którego widok jest razem wzniosły, okropny i tajemniczy, ten jest tylko czystém zwierciadłem spokojnéj wody, które z wiernością czarujące obrazy nieba i ziemi odbija. Dla tego Byron miał swoich najgłębszych wielbicielów w tych, którzy mocno czując, jego uniesienia dzielili; sława Walter-Scotta była powszechniejszą, bo tenże malował powszechną naturę ludzką, a prawda poetyczna, obyczaje i charaktery, tak są w nim jasne wyraziste i wierne, jak opisy nieżyjącéj natury. Najlepszy malarz widoków, jest oraz jak Rembrandt jedynym w swoim rodzaju charakterów malarzem. Wziętość pism jego dowodzi, że ludziom równie jest drogą spokojna prawda poetyczna, jak i najwyższe uniesienia gwałtownie czującéj duszy.

Pisma jego ciągle wychodzące, żywiły po wszystkich krajach mnóstwo księgarzy, tłumaczów i naśladowców, zajmowały bez różnicy płci i wieku równie salonowe wieczory, jak tych, którzy po pracach przy warsztacie przyjemnie wytchnąć pragnęli.

Syn prawnika urodzony r. 1771 przeznaczonym był do tegoż stanu, bo największéj części poetów i filozofów przeznaczeniem było, przechodzić w młodości przez tę naukę, do któréj rodzice i pomyślna przyszłość, na próżno ich zachęcają. Ale niepozbędna natura gdzieindziéj ich woła. Młody Scott chociaż z korzyścią sposobił się do zawodu ojca swojego, lubił dumać po starych zamkach, zwiedzać pełne historycznych wspomnień okolice, wpajać sobie w pamięć najpiękniejsze położenia, zbierać dawne podania i pieśni ludu, tudzież w starych i zarzuconych księgach czytać przeszłość Szkocyi. Przedmiotom, które jego czucie i wyobraźnią rozwinęły, cały się poświęcał; był do śmierci i coraz z większém zajęciem wdzięcznym niejako synem téj ziemi i téj przeszłości, która go wychowała.

Zebrane przez niego ojczyste ballady, i niektóre własne

początkowe poezye, nie zyskały jeszcze żadnéj wziętości. Więcéj cenione były późniejsze tłumaczenia Leonory Bürgera i dramatu Goethego Gotz von Berlinchen. Później od r. 1802 wydane poemata: Tristram, Mamion, Pani Jeziora, Lord wysp, Pieśni ostatniego Barda i Rokeby, utwierdziły sławę Walter Scotta, nie tylko w własnéj ojczyznie, ale i w całéj Europie. Wmarzenie się w czasy już na pół do podań bajecznych należące, przejęcie się duchem bardów starożytności, i malowanie znikłych czasów, tak jak oni co na nie patrzyli, korzystanie z wszelkich szczegółów, jakie z ojczystéj starożytności wyczerpał, nadewszystko zaś prawda, świeżość i naoczność obrazów, są główną cechą tych poematów. Wszystkie atoli nie wskazują ani cienia indywidualności poety, ani wieku w którym je pisze, maluje jedne tylko wieki, jednakie obyczaje, ztąd przy płodności autora, późniéj wychodzące nie mogły już zajmować nowością, co szczególniéj uczuł Walter Scott po wydaniu ostatniego poematu Rokeby. W tym właśnie czasie zwrócił na siebie powszechną uwagę Byron, który gwałtownie i wcale w nową przestrzeń od Barda szkockiego się rzucił. Ten niknął zupełnie w przedmiotach, których był malarzem, wypierając się wszelkiéj swojéj osobistości, i był w całym znaczeniu najdzielniejszym poetą — malarzem, ale malarzem tylko; tamten przeciwnie, wszystko co go otaczało wpoił w swoję indywidualność, i wewnętrzny swój własny świat skołatany, na jaw wynurzył: ten świat był przerażający jak piekło, pełny niepokoju wątpliwości, bez rzeźwiącego powiewu, bez promyka nadziei, był obrazem duszy z wielkości strąconéj, i boleśnie wielkość upadłą czującéj.

Z takim zdobywcą nowego świata poezyi, nie mógł iść Walter Scott w zapasy; od pięknych łagodnie oświeconych jego krajobrazów, zwrócił na siebie uwagę wszystkich ten, który jak żywioł ognia, sam siebie trawiący, wzniosły i przerażający wystawiał widok.

Walter Scott usunął swoje imię ze świata literackiego i jako nieznajomy, później wielkim nieznajomym nazwany, obrał sobie nowy zawód historycznych romansów,

które dla naszych czasów tém są, czém u starożytnych były epopeje.

Od roku 1814 aż do roku śmierci (d. 21 Września 1832) począwszy od Wawerleja, wychodziły ciągle prawie co pół roku jego romanse, których równie liczba jak niewyczerpana obfitość, nie mogła nasycić ciekawości publicznéj. Największą ich część winien jest dawnym narodowym podaniom i kronikom; i mało kto mógł się spodziewać, że prawnik oddany w pierwszéj młodości poszukiwaniom zbutwiałych przywilejów i herbów, wywoła z nich żyjącą przyszłość. Jego własnością jest przenikająca uwaga na świat zewnętrzny i serce człowieka, zdolność wyszukania w każdym stanie wieku, i położeniu zajmujących rysów natury, artystowska bezstronność w uważaniu śmieszności i zalet, cnót i zbrodni, obłędów i przymiotów wieku, smutnéj i pocieszającéj strony natury ludzkiéj, nadewszystko zaś pewny, mistrzowski pędzel, który najmniejszego śladu drżenia nie zdradza wtedy nawet, gdy największe namiętności maluje. Sam zdał się mieć tylko passyą do okolic, gór, jezior i lasów, które żywo najpiękniéj oświecone wystawia, ale może za często i zbyt szczegółowo. W wystawianiu charakterów on pierwszym po Szekspirze jest mistrzem, z tą zdaje mi się różnicą, że jak tamten w szczególnéj wyższości swojéj na zbrodnie i cnoty, cierpienia i usiłowania ludzkie, z zimną zdaje się patrzeć obojętnością, tak ten jest tylko bezstronnym, wszędzie zarówno w duchu pobłażania patrzącym ich świadkiem.

Walter-Scott obudził mnóstwo naśladowców w tym nowym rodzaju romansów, bo nic nie zdaje się łatwiejszém, jak czynić opisy wszelkich pod oczy wpadających szczegółów, jak niedostatek wynalazku, zastąpić wyjątkami z kronik, i pod godłem romansu, wyzuć się z obowiązku wierności historyi i czynić ją romansem, albo romans historyą. Powszechność czytających, tak już jest włożona w romanse tego rodzaju, iż w nich tylko o poetyczną prawdę się pyta, bynajmniéj się o historyą nie troszcząc. Dzieje są u niéj tylko martwym obojętnym materyałem, do obrobienia przez artystę. Tracić się zdajemy pojęcie tego, że historya sama przez się jest świętém drzewem narodu, którego obstrzygać, wyrabiać z niego figur dla zabawy

wnie jako poeta badał i wyrozumiał życie ludzkie z dziejów, które tak za żywioł poezyi, jak świat idealny uważał.

Szyller urodził się w Marbach w Würtembergu r. 1759. Ojciec jego był lekarzem w służbie wojskowéj księcia Würtembergskiego, przełożonym późniéj nad szkołą rządową hodowania drzew owocowych w pięknym ogrodzie blizko Sztuttgardu. Matka jego pełna czucia i smaku, odznaczała się pisaniem lekkich poezyi. Ojciec nakłaniał go szczególniéj do historyi a z własnego popędu, młody Szyller nawięcéj zajmował się biblią. Pełniąc wolę rodziców, oddał się nauce prawa w Instytucie Sztuttgardskim, ale nie widząc żadnéj do téjże skłonności, zmuszonym był oddać się sztuce lekarskiéj w Instytucie wojskowym. Szczerze poświęcając się temu zawodowi, nie mógł jednak rozstać się z poezyą, i trawił nocy bezsenne marząc o napisaniu poematu epicznego Mojżesz. Ale wnet bliższe poznanie widowisk teatralnych, skłoniło go do poezyi dramatycznéj. W 18 roku wydał pierwsze swe dzieło Zbójcy, poema pełne surowéj i nieuskromionéj siły i nieładu, ale w samych wadach wielkiego poetę wróżące. Ten płód niewczesny, który Szyller sam późniéj najlepiéj osądził, ściągnął nań nieprzyjemności, w skutku których oddalił się na wieś, gdzie dwa dramata Fiesco, tudzież Intryga i Miłość wykończył; i wkrótce potém wezwany był do Monachium, gdzie jako poeta przy teatrze był umieszczony. Jak odtąd poezyą dramatyczną uważał, dowodzi piękna jego mowa, o wpływie sceny na życie. Oddanie się filozofii inny kierunek jego wyobraźni nadało. Owocem tego była najprzód Tragedya Don Karlos, a niektóre jéj sceny zjednały mu przychylność księcia wajmarskiego, który go radcą mianował. Owocem poszukiwań do tego dzieła, jest historya odłączenia Niderlandów od Hiszpanii, która obok porywającego stylu, odznacza się rzadkim badawczym duchem. Tém więcéj oddał się naukom historycznym, gdy r. 1789 do Jeny na profesora historyi wezwanym został. Wnet wyszło klassyczne jego dzieło Historya wojny trzydziestoletniéj, tudzież różne drobniejsze poezye, które wszystkie pełne ducha i mocy, wszędzie na pamięć umiane były. Dla umysłu tak żywo gorejącego, głębokie badania filo-

zoficzne i rozległe poszukiwania na polu historyi sprawiły, iż jego poezya wszelka jest filozoficzną, historya zaś i filozofia ożywiona duchem poetycznym. Ale tak ciężkie i różnorodne prace, którym noce poświęcał, i do których środkami nerwy drażniącemi ożywiać się lubił, wkrótce jego zdrowie zwątliły. Mimo to, ożywiony względami dworu wajmarskiego i w ścisłych stosunkach z Goethem zostając, nie przestał we wszystkich tych trzech rodzajach pracować, i wtedy wydawał najcelniejsze swoje dramata: Wallensztein, Marya Stuart, Dziewica Orleańska, z których każde odznacza się osobnym duchem poetycznym, głębokiém pojęciem sztuki. Pokój, jasność, prawda poetyczna, połączenie rzeczywistości z ideałem, odznacza te płody dojrzałe. Późniejsza tragedya Narzeczona Messińska, mimo wielu w szczegółach piękności, zdaje się raczéj być próbą naśladowania w duchu i formie tragedyj greckich, i przeto po rezygnacyi Maryi Stuard po poświęceniu się Dziewicy Orleańskiéj przykre czyni wrażenie poema, w którém ludzie są tylko igraszką ślepego losu. Ostatniém z wykończonych jego dzieł dramatycznych był Wilhelm Tell, na którego wystawę sam do Berlina się udał. — Mamy prawie wszystkie celniejsze dramata Szyllera po polsku; najpóźniejszy i najlepszy z przekładów jest Wallensztein przez Kamieńskiego we Lwowie wydany.

Filozoficzne rozprawy Szyllera, najwięcéj estetycznych dotyczące przedmiotów, w których trzeźwość Kanta, łączy się z zapałem poety, godne są czujnéj baczności wszystkich, czuć i myśleć umiejących.

Ballady Szyllera są dotąd najcelniejsze ze wszystkich niemieckich. Któż nie zna poezyi jego, tyle do duszy mówiących jakiemi są: Dzwon, Ideały, Rezygnacya, Hymn do radości, Kassandra i wiele innych? Tak żywo czujący i czynny umysł prędko wygorzeć musiał. Szyller zgasł w 46 roku życia (9 Maja 1805 r.) jako ofiara gorejąca dla prawdy i uczuć szlachetnych. Goethe, jedyny jego spółzawodnik, blizko 35 lat żył jeszcze po nim. Tenże poeta w mowie na jego pogrzebie mówi: „Szczęśliwy, że w pełni życia do swoich się uniósł, że nie znał niemocy starości, i nie czuł gasnących sił

GIMNAZJUM
ŚW. ANTONIEGO
w Nowem Mieście n. /

duszy. Pożegnał nas, jako mąż zupełny i ma tę korzyść, że tylko w pełności siły okaże się potomnym; ponieważ człowiek w postaci, w jakiéj ziemię opuścił przestaje z cieniami; tak Achill stoi zawsze przed oczyma naszemi, jako rzeźwy młodzieniec".

Szyller był wysoki, szczupłéj i bladéj twarzy, okazującéj fizyczne cierpienia, która przytém żadnego nie zwiastowała geniuszu. Wtedy dopiero gdy na swoich ludzi, na swój przedmiot natrafił, oczy jego nabierały żywości. Nienawiść fałszu i niesprawiedliwości, były głównym rysem jego charakteru. Znając do gruntu serce ludzkie w ogóle, do wielkich cnót i wielkich zdrożności skłonne, nie miał prawie zmysłu do poznania obłudy, drobiazgowych przebiegłości, i sideł w potocznem życiu najczęstszych, których otwartość i prostota jego nieraz padała ofiarą. Zresztą, nie chcąc, o sobie powiedział, to, co mówi o geniuszu:

Nie znając sił, któremi skłaniasz miliony,
Cichy, spokojny, przejdziesz przez świat zwyciężony.

DRYDEN.

Dryden należy do najobfitszych, ale nie do najcelniejszych poetów angielskich. Więcéj odznaczył się smakiem i poprawnością w stylu, niżeli imaginacyą i wynalazkiem. Więcéj miał zalet nabytych, niżeli przyrodzonych, które z największą usilnością wydoskonalić się starał, a ukształcenie swoje szczególniéj pisarzom starożytnym był winien.

Urodził się roku 1631 w Audwinkle w miasteczku hrabstwa Northamptonshire, nauki odbył w szkole Westminsterskiéj i w uniwersytecie w Cambridge. Odznaczył się najprzód poezyami, do różnych osób w ówczesnych okolicznościach na scenie świata będących, a przez które spodziewał się fortunie swojéj zaradzić. Omylony, zmuszonym się widział pracować

dla sceny, lubo jako sam wyznaje, do poezyi dramatycznéj najmniéj miał powołania. Niepomyślne przyjęcie pierwszéj jego sztuki nie odstraszyło go wcale; napisał 27 sztuk teatralnych, to jest tragedyi, komedyi, oper, które teraz wszystkie są zapomniane. Jednakże, tę ma zaletę, iż można go uważać za utworcę nowego podówczas gatunku poezyi w Anglii, to jest opery. Wprawdzie była już poprzednio opera włoska, lecz on nadał jéj charakter szlachetniejszy i żadnych obcych nie trzymał się wzorów.

Zamierzał on teatrowi angielskiemu inny kształt nadać, któryby postępowi życia społecznego i wyższym żądaniom sztuki więcéj odpowiadał. Nic jednak nie zrobił więcéj nad to, że wiele nieprzyzwoitości, delikatniejsze czucie czasem aż do oburzenia obrażających, z angielskiéj sceny usunął. Nie zdaje się atoli, aby to w zupełności dokonał, gdy w jednéj tragedyi, Oblężenie Meksyku, wystawia przed oczy widza, Montezumę na torturach wyciągniętego. Ale podobne nerwy, wstrząsające sceny, należy raczéj przypisać ludowi, który do nich od dawna tak nawykł, iż od razu być usunięte nie mogły. Żaden może z dawnych i nowych poetów, nie dał przykładu tak żelaznéj wytrwałości, z jaką Dryden przez sztukę i przepisy brak geniuszu zastąpić się starał, i nie rzadko przez nie skutek sceniczny osięgał.

Mało szczęśliwy w utworach poetycznych, Dryden wiele okazał zdolności do krytyki i głębszego badania sztuki, jest to los wszystkich więcéj z głowy, niż serca poezye piszących. Pismo jego o poetach dramatycznych, było pierwszém w Anglii wyższego rzędu krytyczném dziełem, które obok różnych rozpraw i rozbiorow dawnych i nowych pisarzów, zjednały mu tytuł ojca angielskiéj krytyki. Powaga jego była taką, iż poeci, którzy płody jego ganili, prace swoje pod sąd mu oddawali i za szczęście sobie poczytywali, gdy do nich przedmowę jaką napisał. W tymże czasie otrzymał mało przynoszący tytuł poety dworskiego, czyli *poet-laureat.*

Po wstąpieniu na tron Jakóba II-go, Dryden przeszedł na łono kościoła katolickiego, poczém późniéj historykiem królewskim mianowanym został. Że tego nie uczynił z rachuby,

nie wolno. Dzieje bajeczne należą zupełnie do poezyi i w nich tylko niech poeta wyszukuje swą prawdę. Ale dzieje, które już wystąpiły na widnią wieków, stanowiące nierozerwane ogniwo w życiu ludzkości, dziejè samą prawdę uczyć mające, te nie mogą dowolnie być zamieniane w bajeczność, i mężowie w dziejach znakomici, nie powinni występować przed nas jak utwory fikcyi. Herodot jako dziejopis na igrzyskach greckich wystąpił z czytaniem dziejów swoich bajecznych w części, ale zawsze z prawdziwością pisanych, tak zajął spółziomków, jak poeci i artyści, i jednaki z niémi wieniec pozyskał, I odtąd była historya muzą saméj prawdy, w bajkach nawet prawdy szukającą i broniła prawdy ważne, naród zajmujące, w zmyślenia przemieniać.

Ależ z prawdą historyczną, może zawsze łączyć się prawda poezyi, jeżeli pisarz dziejów ma czucie ducha filozoficznego i genjusz artysty. Dla tego, jak z jednéj strony Bard szkocki dał powód do niejakiego znieważania historyi przez romansistów, tak z drugiéj, historyą samą na dawną a zatraconą naprowadził drogę. Skoro właściwe kroniki pisane w duchu prawdziwości i prostoty ustały, pisano dzieje bez względu na ducha ich wieku na charakter i obyczaje ludu. W Paryżu np. łączyła się cała Francya, cały Paryż w Wersalu. Wolter nadał właściwszy kierunek historyi, ale ją uczynił tylko narzędziem do utwierdzenia w czytelnikach własnych swych mniemań. Historycy stali się więcéj sędziami dziejów według czasowych wyobrażeń, niżeli wiernymi świadkami i malarzami. Walter-Scott romansami swojemi zwrócił uwagę, na tę jedną z najważniejszych zalet historyi. Sposób pisania onéj przez panów: Thierry, Barante i Capefigue, zachowujący dawny koloryt obok sztuki kompozycyi, upowszechni pożyteczne zamiłowanie w dziejach przez Walter-Scotta wzniecone, jeżeli jeszcze historycy nie będą poprzestawać na samém malowaniu zwyczajów, ubiorów, form i przesądów dawnych, ale oraz główny cel dziejów mieć zechcą na oku: to jest naukę i pociechę z życia, usiłowań i przeznaczeń narodów wynikającą; i takiéj historyi szczególniéj Sławiańskim ludom życzyć należy.

Oprócz poezyi i romansów Walter-Scott pracował w róż-

nych rodzajach literatury. Wzbogacał ciągle Revue Edimburgską artykułami krytycznemi, objaśnieniami starożytności, wydawał i objaśniał starożytne poezye, i dzieła nowszych niektórych poetów; dzieło O cudowności, O poezyi dramatycznéj i t. p. Publiczność najwięcéj obiecywała sobie po Życiu Napoleona, ale powołaniem Walter-Scotta nie było, obecne czasy, brzemienne w przyszłość, malować.

Walter-Scott zrobił z pism swoich bezprzykładny w dziejach literackich majątek. Na sześć milionów franków liczą dochody, jakie mu jedynie pióro jego przyniosło. Fortuny swojéj, tak pięknie zarobionéj, używał przyzwoicie upiększając zamek swój Abbotsfort, i ulepszając w dobrach swoich rolnictwo. Połączył się r. 1798, związkiem małżeńskim z Miss Carpenter, którą na kilka lat przed śmiercią utracił, a która go czworgiem dzieci uszczęśliwiła.

Upadek wydawcy dzieł jego Constable pociągnął za sobą ruinę Walter-Scotta, i wprawił go w przykre położenie. Zażądał lat 10, do uiszczenia się wierzycielom, a oddawszy się pracy niezmordowanéj, na nowo sobie majątek zapewnił; atoli tenże nie okazał się po śmierci poety dostatecznym do zapłacenia dłużników, i rodzina jego już się zabierała do sprzedania zamku Abbotsfort, gdy czciciele geniuszu, przez składkę w ojczyźnie i w obcych krajach, umyślili ocalić tę historyczną pamiątkę po mężu, który sam tyle historycznych pamiątek ożywił.

Do najzawołańszych uczniów Walter-Scotta mógłby się liczyć Alexander Bronikowski, gdyby wszystkim swym pismom nadał był równą żywość i wykończenie, jakie go w Boratyńskim zalecają.

Lady Morgan rodem z Irlandyi, wzięła także za wyłączny prawie przedmiot swoich romansów, dawne dzieje Irlandyi, i w tém usiłuje równać się z autorem Wawerleja. Ale Irlandya ma dotąd jedynego reprezentanta swojéj poezyi i przeszłości w poecie Tomaszu Moor. — O romansach p. Morgan powiedziano, iż daleko więcéj widać w niéj chęci własnéj sławy, niż miłości kraju, a daleko mniéj dumy narodowéj, niż próżności osobistéj. — Zawsze ona maluje Irlandczyków, ale jest Irlandka, którą nadewszystko z uniesieniem wystawia, a tą Irlandką jest — ona sama.

NEWTON.

Uważano w życiu wielkich ludzi, że nadzwyczajny wypadek, albo drobna okoliczność obudziła w nich nagle wielkie zdolności, o których bynajmniéj nie wiedzieli. Wielkie geniusze nie tak wcześnie się objawiają, jak zwykle mniemamy. Prawda, że pisząc o sławnych mężach, szukamy już w ich dzieciństwie wskazówek tego, czém późniéj zostali, ale te są powszechnie domyślne, albo zupełnie mylne. Mało jest w naturze przykładów wczesnego rozwinięcia się geniuszów i ta wczesność zawodzić zwykła bujne nadzieje. Ale pewniéj daleko i jawniéj rozwijają się w dzieciństwie skłonności, które często tak są stanowcze, że prawdziwe powołanie wyraźnie zapowiadają. Widocznym tego przykładem, jest Newton.

W młodości zaniedbywał obowiązki, do których go zniewalano, a najczynniéj zajmował się tém co nauczyciele jego fraszkami zwali. Trudnił się zawsze robotami mechanicznemi, które zdając się zabawką, były dla niego przedmiotem głębokich badań. Przeto nabył tyle zręczności, iż wystawił młyn według wzoru, którego mechanizm zupełnie pojął. W tym czasie zrobił i zegar wodny. Jeśli należał do zabaw kolegów, to tylko wtedy, gdy przyszło puszczać papierowe latawce. Gdy inni z okrzykami głosili wznoszenie się słabéj machiny, on milczał zadumany tém zjawiskiem, próżno usiłując je odgadnąć.

Do innych nauk nabierał wtenczas ochoty, gdy postrzegał, że rówiennicy w nich bieglejsi, mają nad nim jakową wyższość i wtedy za kilka tygodni potrafił im zrównać.

Zaledwo miał lat 16, gdy matka wzięła go na wieś, by

jéj pomagał w dopilnowaniu żniwa; lecz widząc że się w polu czytaniem tylko zajmował, przekonała się, że niezdolny do gospodarstwa, chyba uczonym będzie mógł zostać. Tak zajęła się postępowaniem jego na téj drodze, tyle wówczas trudnéj i mało znanéj. Oddany do kollegium w Cambridge okazał dopiero swoje zdolności i nadzwykłą wytrwałość.

Pracował w zaciszu i nie udzielał nikomu owocu swych badań, bo zapewne czuł więcéj to, czém być pragnie i może, niżeli to, co już objął i wykonał. Dopiero gdy dla morowéj zarazy r. 1665, dwa lata na wsi strawił, odważył się przemówić o pięknem i wielkiém odkryciu siły przyciągającéj, która zwracając umiejętność do stanowiska prawdy, tylu innych odkryć była powodem.

Wykłady ówczesne o systemie świata, tak były niedokładne jak dzisiejsze jeszcze w Chinach lub w Turcyi; największe umysły błąkały się uwiedzione dowcipnemi błędami, i mimo pracowitych usiłowań, wszystkie te gwiazdy niezmierne, w przestrzeni krążące, pokrywała jeszcze głęboka tajemnica. Newton pierwszy uchylił jéj siłą swojego rozumu. Wiele mówiono o spadnięciu jabłka, które do tego odkrycia było powodem, jakby jabłko spadające mogło odsłonić tajemnice Twórcy. Potrzeba wyjaśnić to zdarzenie, które wielkiem nazwano, jakby chciano trafowi tylko przypisać odkrycie, które sam geniusz zrobić był w stanie.

Newton już się przekonał, że wszystkie systemata uczonych którzy go poprzedzili, były fałszywe; ale nie zdołał jeszcze odkryć zasady głównéj, prawa powszechnego, które powinno być kluczem do poznania prawdziwego systemu nieba. Długie badanie i liczne dostrzeżenia, naprowadzały go zapewne na prawdę, ale tak jeszcze wątpliwie i niewyraźnie, iż jéj nikomu nie objawił, w obawie, ażeby myśl jego nie była jedném z tylu ułudzeń, które uczeni za pewność przyjęli. Rozmyślał więc ciągle, badał niebo, śledził bieg planet w przestrzeni, zastanawiając się przez całe dnie nad zjawiskami powszechnemi i najprostszemi.

Jednego dnia, gdy siedział pod jabłonią zatopiony w zwy-

czajnych myślach, padło mu jabłko na głowę; zadał więc sobie pytanie, czemu to jabłko właśnie na niego spadło? i wnet uczynił uwagę, że wzięło kierunek pionowy. Rozważając potém ową własność ciał wszelkich, iż zostawione same ku ziemi dążą, zapytał się czemuby toż samo prawo nie mogło być rozciągnięte nad ziemską atmosferę, i czemu nie miałby mu księżyc i inne gwiazdy ulegać? Odtąd geniusz Newtona już był na swojéj drodze, i tak powyższe zadanie rozwiązane zostało. Przypadek więc niczem był w tem ważnem odkryciu, i sławna powiastka o jabłku jest rzeczą najobojętniejszą, bo każde inne zdarzenie, byłoby Newtona do tychże samych rozumowań i wniosków doprowadziło.

Newton jednak nie przestał na tém wydarciu tajemnicy świata; chciał nadto uczynić jéj zastosowanie, i przez nowe prace wynalazł narzędzia za pomocą których mógł śledzić ruchy ciał niebieskich, obliczyć rozmaitą ich szybkość, mierzyć objętość i ciężkość. Te badania naprowadziły go na rozkład światła, i przyszedł do tego, że ów niewidzialny i niedotykalny żywioł, niejako widzialnym i dotykalnym uczynił.

Zyskawszy sławę równie piękną jak Kolumb, bo i on światy odkrył, Newton utracił oraz swoją spokojność. Powszechne podziwienie dzieł jego w Europie, wnet obudziło zazdrość, która go w długie i przykre spory wplątała, gdy zmuszonym został, to walczyć o pierwszeństwo swych odkryć, to prawdziwości onych dowodzić. Z tego powodu pisał raz wspominając o swojéj sławie: „Nie raz żałowałem, żem opuścił rzecz tak istotną, jaką jest pokój, ubiegając się za cieniem.“

Pomimo jednak tylu zazdrosnych, a raczéj za ich pomocą, sława Newtona coraz więcéj jaśniała. Kanclerz Hospital uczynił raz zapytanie: „Czy Newton je i pije jak inni ludzie? Ja sobie wystawiam, iż to jest geniusz powietrzny, wolny zupełnie od materyi.“

Newton był przez 25 lat prezesem towarzystwa królewskiego w Londynie, i mianowany był dyrektorem mennicy. Umarł roku 1727, mając lat 85. Biskup Atterbury mówi, iż

fizyognomia jego i powierzchowność, wcale nie zwiastowały geniuszu, jakim dzieła swoje oznaczył.

Godna wspomnienia, że ten mąż wielki był w całem znaczeniu wyrazu chrześcianinem. Ostatnie swoje lata poświęcił dowodzeniu prawdziwości, objawienia Pisma Świętego. Jeżeli geniusz umiejący niebu tajemnice wydzierać, zawsze tak żywą i szczerą religijność okazywał, cóż sądzić o tych, co nawet dzieł jego nie pojmując, z dumą i politowaniem mówią o wierze, która umysły pociesza i wznosi.

LINNEUSZ.

Do najznakomitszych mężów, jakich północne kraje wydały, należy Karol Linneusz, który więcéj jak sto większych i mniejszych pism wydał, lecz głównie zajmował się poznaniem natury roślin.

Był synem wikarego ze wsi Rashult, prowincyi Smaland w Szwecyi, urodzonym r. 1707. Nazwisko Linneusz pochodzić ma od pięknéj lipy, która folwark przodków jego zdobiła. Zamiłowanie w kwiatach i wszelkich roślinach, odziedziczył Linneusz od ojca, który w wybornym ogrodzie swoim, dozwolił mu osobne grzędy uprawiać. Te były najmilszym zajęciem i pierwszą szkołą młodego naturalisty. Ojciec pragnął usposobić go na następcę swojego skromnego urzędu; ale próżne były jego nadzieje. Uczący skarżyli się na brak chęci do nauk i ciekawości w młodzieńcu, i uznali go zupełnie niezdatnym Już więc umyślono oddać go do szewca, gdy szczęściem, uczony doktor Rothmann, poznał w nim wielką skłonność do nauk historyi naturalnéj, i dla tychże ocalić go potrafił. Linneusz przyjęty do domu tegoż lekarza, pracował najgorliwiéj w jego bibliotece, a w roku 20 życia, przeszedł do uniwersytetu w Lund, poświęcając się z zamiłowania roślinom, a dla chleba sztuce lakarskiéj. Ztamtąd udał się do uniwersytetu Upsalskiego, walcząc z pierwszemi do życia potrzeby. Tu przecież

zyskał względy dwóch profesorów, którzy go do pomocy w wydawaniu dzieł i do zastępstwa w prelekcyach użyli; w roku 1731 otrzymał od akademii umiejętności 50 tal. na podróż do Laponii, dla opisania własności ziemi tego kraju, czego po półrocznéj podróży chlubnie dopełnił. Po powrocie czytał licznie uczęszczane kursa, ale wnet udręczony zazdrością jednego z kolegów, odbył w towarzystwie przyjaciół historyi naturalnéj podróż do szwedzkich prowincyi, zatrzymał się na dłuższy czas przy kopalniach w Fahlim, gdzie o górnictwie czytał prelekcye i córkę tamecznego lekarza za żonę pojął. Ztamtąd udał się do holenderskiego uniwersytetu w Harderwyk, gdzie stopień doktora otrzymał.

Chcąc się na praktycznego lekarza tém lepiéj usposobić, udał się do Boërhawa, którego uczniem i wnet poufałym był przyjacielem. Najmilszém wtedy zatrudnieniem było dla niego urządzenie ogrodu w Hartecamp, blizko Harlemu. W tym czasie wydał najznamienitsze swe dzieła. — Wnet odbyta podróż do Francyi i Anglii dała mu sposobność poznać najcelniejszych botaników owego czasu.

W r. 1738 wrócił do Sztokolmu, gdzie jako lekarz otrzymał miejsce w admiralicyi. — Późniéj miał sobie poruczone urządzenie królewskich zbiorów historyi naturalnéj. Mianowany prezydentem akademii umiejętności, był oraz profesorem botaniki. — W r. 1756 otrzymał szlachectwo, płacę o połowę wyższą i dobra od króla Gustawa III. darowane. Sława jego głośną była w całéj Europie, odbierał liczne bardzo korzystne wezwanie, nie chciał jednak swojéj ojczyzny opuścić. Najsławniejsze akademie członkiem go swoim obrały.

Umarł w r. 1778. W r. 1819, na rozkaz króla, wystawiono mu pomnik w mieście jego rodzinném.

SHAKSPEARE.

Jak Homer w epopei starożytnéj, tak Shakspeare (Szekspir) dramatyki nowoczesnéj najbogatszém jest źródłem. Za życia był uwielbieniem ludu angielskiego, który sceny poety do żywego mówiące, prawdę i wierność w oddaniu miejscowości i charakteru polubił, ale bynajmniéj głębokich jego pomysłów pojmować nie umiał. Uczeni ludzie i dobrego tonu mieli go za komedyanta i nic więcéj. Długo po śmierci jego chlubił się naród angielski swoim poetą, na którego krytycy francuzcy bardzo z wysoka poglądali, litując się, iż nie znał Aristotelesa i nie doczekał Boala. Wolter dał go poznać Francyi dla okazania, iżby może Anglik nie źle był pisał, gdyby miał szczęście poznać smak i oddychać fernejskiém powietrzem. Zapragnęli i Francuzi poznać poetę barbarzyńcę, ale nie puścili go na scenę swoją, tylko przebranego po francuzku według formy przepisanéj, i taki tylko znany nam był oraz na scenie polskiéj.

Niemcom dopiero zostawione było pojąć w całéj rozległości geniusz Shakspeara, a nawet samych jego ziomków głębszą na niego zwrócić uwagę. Mimo to ten dziwny geniusz od szczupléj tylko liczby prawdziwie bywa pojęty, nawet w swoim narodzie, gdzie każdy z niego jest dumny. Sztuki jego w saméj Anglii ciągle obcinane i przerabiane bywają. Głębokie przejęcie się jego myślą, poznanie charakteru Hamleta, Leara, Otella, mimo tylu komentarzów i powtarzanych widowisk, rzadkie jest dotąd, jak sami oświeceńsi Anglicy się żalą. Imię jego jest najpopularniejsze, bo lud zawsze zwykł chwalić na słowo innych, bo jego geniusz w rozmaitość obfity zawsze ma coś, co ludzi wszelkiego smaku, charakteru i pojęcia zająć potrafi.

Shakspeare William urodził się roku 1564 w Stratford w hrabstwie Warwick. Anglicy mimo usiłowań mało podali wiadomości o jego latach młodzieńczych. Ojciec jego, John Shakspeare był rękawicznikiem, potém rzeźnikiem, nakoniec handlarzem wełny. Shakspeare uczył się w miejscowéj szkółce,

gdzie liche początki języka łacińskiego mógł powziąść. Już w roku 18 ożenił się z wieśniaczką, Anną Hatvaj, która trojgiem obdarzyła go dzieci. Według świadectwa pisarzów był Shakspeare z młodości pełen odwagi i dowcipu, a przytém bardzo łagodny. Dla uniknienia zemsty jednego barona, w którego lesie nocną porą polował i którego w poezyi napisanéj na śmieszność wystawił, uciekł do Londynu w r. 1586. Lecz do tego była raczéj powodem coraz mocniejsza melancholia, przykre położenie w domu ojca, który jego poezye rozdzierał, niedość szczęśliwe małżeństwo i prace, cierpliwości ani usposobieniu jego nieodpowiednie. — W Londynie, jak mówią, był zrazu zmuszonym w czasie widowisk trzymać pod teatrem konie widzów znakomitszych; w kilka lat późniéj został aktorem, gdzie szczególniéj odznaczał się rolą ducha w Hamlecie. Jako poeta dramatyczny, zajmował się z początku poprawą dawniejszych sztuk teatralnych.

Tak zajęty w Londynie, na krótko tylko udawał się do Stratford i corocznie dwie, albo trzy sztuki wykończał. Pierwszą jego sztuką był Perikles w r. 1590. Liche mając z prac swoich korzyści, ciężkich doznawał frasunków w domowém życiu. Zaczém poezyi dramatycznéj zupełnie się oddał, napisał znaczną ilość sonetów, poemata Lukrecya, Wenus i Adonis, wszystkie pisane w panującym podówczas smaku włoskim, zalecające się oraz bujnością wyobraźni, dowcipem i zwięzłością. Czas, w którym dramatycznym poetą być zaczął, bardzo był sprzyjający, gdy właśnie po krwawych niezgodach domowych, Anglia pod świetném panowaniem Elżbiety wypocząwszy, do zabaw i widowisk smaku nabrała. — Shakspeare świetnie na scenie wystąpił, wystawiając przed oczy Anglików dzieje ich narodu. Te najznamienitsze może dramata jego, malujące żywo charaktery, obyczaje i stan Anglii, przez długi przeciąg czasu zjednały mu powszechny szacunek równie u świetnego dworu Elżbiety jak i ludu. We wszystkich dramatach swoich zarówno przerażający, tkliwy, wzniosły i w najwyższym stopniu humorystyczny. — Mistrz w oznaczaniu charakterów, czy to w tragedyach, czy w komedyach. Nic jego oka nie ujdzie, co w jakibądź sposób za-

jęcie sztuki podwyższyć może. Najgorsze jak najlepsze przymioty zarówno przeniknąć i oddać umiał. Liczne wskazówki filozofom i politykom wiele myśleć dające, fantazya unosząca za ziemskie krainy, a trafność w oddaniu scen najpospolitszych, nęcą ku sobie i głębszą uwagę coraz więcéj zajmują. Równie wielkim jest malarzem charakteru kobiet, jak oburzających zbrodniarzy i bohaterów.

Częsta przesada w dowcipie, igraszki słów i t. p. są nie jego wadami, lecz wieku, w którym żył i którego wiernem jest zwierciadłem. Jedno pismo w naszym języku tak w ogólności mówi o tym największym dramatycznym poecie:

„Szekspir z całą mocą swego geniuszu przejął się na wskroś swoim wiekiem, którego stronę wynaturzoną najnaturalniéj malował i to wynaturzenie, zdaniem mojém, czuł może najmocniéj. Jak tragedye nasze wystawują walkę namiętności z obowiązkiem, tak wszędzie geniusz jego walczy między prawdziwą naturą i poezyą, a między zepsuciem człowieka i fałszywą sztuką. Dowcipny przy prostocie, szorstki i smutny przy wielkości; depczący fantastyczne najmilsze kwiaty, które czarodziejską swą laską sam z pod ziemi wywiedzie, wśród rzewnéj melodyi nagłém uderzeniem o strony disharmonią przerażając, wystawiać się zdaje nie uzupełnioną nigdy tragedyą winnie i niewinnie potępionego rodu ludzkiego, który w gorzkich parodyach i uderzających przeciwieństwach maluje. Dzieląc zawsze swą scenę między świat śmierci i życia, łącząc w niéj kwitnące dziewice i duchy z grobu występujace, wielkość i błazeństwo, uczony bezrozum i gminną prostotę, dręczone zarówno cnoty i przestępstwa, otwierając przyszłość zawsze ciemną i trwożącą, raczéj w nas wzbudzi chęć do nicości, niżeli spokojną rezygnacyą. Reprezentuje istotnie naród skłonny do czarnéj melancholii i obojętnéj pogardy życia.

Kto tego geniuszu nie umie pojąć w jego naturze i prawdzie, kto nie jego twórczą siłę, ale wrażenia powtarzać usiłuje, wystawi tylko zfałszowaną naturę ludzką bez prawdy poetycznéj.“

W r. 1614 Shakspeare mając lat około 50, opuścił Londyn i wrócił na miejsce rodzinne, gdzie po dwóch latach błogiego wypoczynku w ciszy domowéj, mając lat 53, w dzień swoich urodzin r. 1616, a zatém jednego dnia z hiszpańskim poetą Cerwantesem, żyć przestał. Pochowany jest w kościele Stratford, gdzie mu zięć jego nagrobek wystawił.

W niszy widać posąg poety naturalnéj wielkości. Według dziwacznego smaku podówczas ten posąg był malowany. Na nagrobku jest napis następujący, jak mówią, przez samego poetę ułożony.

„Przyjacielu! na Jezusa cię błagam! nie waż się moich popiołów poruszać. Błogosławiony, kto ten grób będzie szanował, przeklęty, kto kości moje z tego miejsca wyruszy.“

Dotąd grób Shakspeara jest celem licznych podróży w Anglii. Niemniéj w poszanowaniu była morwa, według wieści, przez poetę zasadzona, pod którą spoczywać lubił.

Domek Shakspeara, który sobie był kupił za dar 1000 funtów szterlingów, nabył późniéj pleban wiejski, Castrell, który sprzykrzywszy sobie mnóstwo codziennie to drzewo zwiedzających, bezwzględnie ściąć je rozkazał. Robione z tego drzewa tabakierki i inne podobne przedmioty, za znaczne summy były przedawane. Tenże Castrell tak dalece na nieśmiertelnego pisarza był niepamiętny, iż, aby taksy od okien nie płacił, dom jego rozebrał i drzewo przedał. Jednakże dom, w którym Shakspeare się rodził, dotąd się utrzymuje jako przedmiot ciekawości podróżnych, którzy często niezmiernie drogo kupują sprzęty, jakich niby poeta używał. Z żalem wyznać należy, iż dotąd nie mamy drukowanego dzieł Shakspeare przekładu.

HUFELAND.

Hufeland znany jest w Europie nie tylko jako znakomity lekarz, ale jako mąż, który w ogóle dla dobra ludzkości wielkie zasługi położył.

Urodził się r. 1762 w Langensalza w Turyngii, gdzie oj-

ciec jego bardzo był wziętym lekarzem. Tenże przeniósł się później do Wejmaru, gdzie syn jego miał sposobność nabycia dobrych początków nauk w owém mieście słusznie za Ateny Niemiec uważaném. Hufeland pod kierunkiem dobrego nauczyciela doskonalił się nie tylko w znajomości starożytnych pisarzów, ale powziął zamiłowanie w naukach Pisma świętego, które później przez całe życie przewodniczyło czynnemu jego poświęceniu się dla dobra rodu ludzkiego.

Obrawszy sobie zawód ojca, doskonalił się Hufeland w Jenie i w Getyndze, gdzie nie tylko pilnością, ale obyczajami ściągnął na siebie uwagę najznakomitszych mężów w obudwu tych miast uniwersytetach. Otrzymawszy doktorat w r. 1783, chciał jeszcze doskonalić się za granicą, ale słabe zdrowie zmusiło go pozostać i przy ojcu w 24ym roku życia praktyce lekarskiéj się oddać.

Pomijamy tu ściśle naukowe prace tego znakomitego męża, przez które albo się do wzniesienia, albo do zupełnéj reformy w sztuce lekarskiéj przyłożył, i ograniczamy się do dzieł niektórych, jakie w ogóle zbawiennie na ludzkość wpłynęły. Tu należy jedno z pierwszych pism jego: „O najważniejszych punktach fizycznego wychowania.“ Pismo to wszędzie jest rodzicom zalecane. Daléj ważne dzieło: „O niepewności śmierci i ostrożnościach w tym względzie przy chowaniu umarłych.“ Hufeland był jednym z najpierwszych lekarzów, którzy w Niemczech na okropność pogrzebania żywych uwagę zwrócili. W skutku tego wybudowano zaraz w Wejmarze ze składki dom dla umarłych, na wzór podobnych dawno we Francyi zaprowadzonych.

W r. 1793 powołał Hufelanda do Jeny książe Karol August, który go poznał u poety Goethego. Tu Hufeland nie tylko przez prelekcye bardzo uczęszczane, ale i przez prywatne porady, zgromadzając często w domu swym młodzież, znaczny bardzo wpływ wywarł na jéj umysły. W tym czasie wydał dzieło mające sławę europejską, tłomaczone na wszystkie języki: „Makrobiotykę czyli sztukę przedłużenia życia ludzkiego.“ To dzieło przyniosło wielkie korzyści i dotąd zawsze jest użyteczne. Ale błądziłby wielce, ktoby

mniemał, iż tu znajdzie pojedyńcze odkryte tajemnice sztuki lekarskiéj, któreby tym nawet pomocne być mogły, którzy zdrowie nieporządném życiem zniszczywszy, kres życia sobie przyspieszyli. Pismo to w każdym domu powinnoby się znajdować.

Po zaprowadzeniu w końcu zeszłego wieku przez doktora Jenner ospy krowiéj, Hufeland był pierwszy, który się starał to dobroczynne odkrycie w Niemczech zaprowadzić; przeciw czemu, osobliwie w Prusiech, wiele było przesądów. W tym czasie powołanym został Hufeland na nadwornego lekarza przy dworze berlińskim, przez co zyskał obszerniejszy zakres dla dobroczynnych swych działań.

Między innemi utworzył zakład, mający na celu wspieranie w potrzebie będących lekarzów w Prusiech, którego przychód już w pierwszym roku 5000 tal. wynosił.

W Lipcu zeszłego roku obchodził Hufeland 50-letni jubileusz swojego doktoratu, w którym to dniu monarcha i wszystkie stany ubiegały się w okazaniu zasłużonemu starcowi dowodów szacunku. I w Królestwie Polskiém szesnastu doktorów medycyny, uczniów jego, ofiarowali w tym dniu swemu nauczycielowi dar wdzięczności: jest to śliczny puhar srebrny, zrobiony w Warszawie przez JP. Malcza, znanego złotnika. Na puharze są wyryte nazwiska 16-stu ofiarujących, oraz rok, w którym każdy z nich słuchał nauk Hufelanda; najstarszy w r. 1802, najmłodszy 1830. Na pokrywie są następujące wiersze, ułożone przez L. Osińskiego:

Nauce i ludzkości poświęcony cały,
Kończysz, Mistrzu, pół wieku zasługi i chwały.
Dzień ten ileż Ci drogich pamiątek przywodzi!
Wdzięczna ludzkość wraz z nami dziś święto obchodzi;
Przyjm hołd i długo jeszcze świetnym idąc torem,
Bądź naszym przewodnikiem, ozdobą i wzorem.

Puhar ten oddany został dnia 24go Lipca Hufelandowi w Berlinie przez jednego z profesorów uniwersytetu berlińskiego, który urodził i wychował się w Warszawie. Przytém list

przyłączony od jednego z naszych lekarzy, a dawnego ucznia solenizanta.

Wszystkie ważniejsze dzieła Hufelanda mamy przełożone po polsku.

JAN ZAMOJSKI.

Wspaniałą, kolasą dążył ku granicy dóbr swoich hetman Zamojski. Za nim liczne tabory i tłumy dworzan na koniach. Zastępuje mu drogę dziedzic ubogiéj włości, graniczącéj z dobrami wielkiego hetmana. Szabla na ubogim rzemieniu i suknia wytarta, nabierały ceny przy szlachetnéj a Marsowéj postaci. Ale twarz jego okazywała cierpienie największe dla mężnych, uczucie niesprawiedliwości. Zbliża się do kolasy hetmana i mówi: Dzielny mój wodzu i możny sąsiedzie! Za twoją buławą obszedłem w około granice ojczyzny naszéj, lałem krew za jéj całość i twoją sławę. Jak ty zostawiłem w domu żonę i dzieci, aby zbierała kłosy któreśmy przed wrogiem tarczą zasłaniać musieli. Atoli ty wróciłeś ze sławą, zyskałeś liczne włości od króla, który to dar, wszyscy ci bracia, jako zasłużony przyznali. A mnie, gdym się za tobą z domu oddalił, słudzy twoi, większą połowę włości wydarli.

BODUIN.

Brzmiała zbytkami Warszawa, a wśród rozpusty, głuche było jęczenie ubóstwa i sierot, które ich były owocem. Słyszał je tylko ubogi cnotliwy kapłan Boduin, i po raz pierwszy uczuł swój niedostatek, bo widział dzieci bez rodziców którzy nie pomarli, ale w rozpustach zatwardzili swe serce. Dom więc jego był domem sierot, ale zamożność nie odpowiadała cnotliwym chęciom. Wyszedł więc na miasto błagać litości. Mijał bogate pałace, bo tam tylko wesoły głos był słuchany. Żebrał między uboższymi i był przyjmowany według możności. Ale widział, że ci skromnie i z potem czoła własne dziatki żywili. Ci już mówił dopełniają miłą powinność dla dzieci i płacą smutne daniny dla zbytkujących. — Wziąwszy więc Boga na pomoc, chodził po pałacach, znosił pogardę i żarty dowcipnych dworzan.

I widzi przed jednym gmachem pyszne pojazdy, hajduki i złotem strojne pachołki. Goreją w oknach rzęsiste światła, brzmią okrzyki i wesoła muzyka. — Wchodzi, pomija tłumy zabawą zajęte, i widzi na jednéj sali stoliki pełne złota, które los karty z rąk do rąk przeznacza, i rzekł w sercu swojem, o biedne, biedne! sieroty moje. I zbliża się do tego, przed którym najwięcéj złota, ale nie wiedział, że karta nieszczęśliwa, już większą połowę tego złota ujęła. I ze drżeniem przemawia pokorne słowa, ale nie był słyszany. Mówi powtóre, ale widzi, że nie chciano go słyszeć. Małą cząstkę dla sierot, ozwał głośniéj, ale zapamiętały gniew ogarnął grającego, — i policzkiem znieważył cnotliwego kapłana. A on rzekł: to dla mnie, cóż będzie dla biednych sierot? Dopiéro znieważony, był wyższym nad wszystkich, zdumieli się wszyscy i z miejsc powstali: rzuca mu się na szyję ten, co go tak ciężko obraził, i srebrną tacę ze wszystkiem złotem oddaje. Za nim wszyscy dorzucają swe złoto. I ze czcią wyprowadzony kapłan, niesie skarb dla sierot, oblewając go łzami radości.

I był Boduin w wielkiéj czci u wszystkich i znosili mu dary tak liczne, że wystawił wspaniały dom sierot, które dziś co rano za duszę jego, ręce wznoszą do nieba.

LEW SAPIEHA.

Gościnnie w Wilnie podejmował Lew Sapieha weneckich posłów. Opowiadał przy uczcie liczne przygody i dzieła rycerskie, wesele i niedole, położone zasługi i chęci niedokonane. Ale jeszcze się uczta nie zbliżała do końca, gdy rzekł synowi swemu: Czas już nadchodzi, zajmij synu miejsce gospodarza, częstuj jakom ja zaczął, i moje chęci dopełnij. I poszedł do komnaty, a po krótkiéj modlitwie, tak życie skończył jak ucztę.

ORŁOWSKI.

Kogo Bóg dziatkami obdarzy, tego nieopuści, bo go pobudza do przykładu i pracy, przy tych tylko jest ufność w Bogu. Orłowski szczupłe miał dziedzictwo, które z kwitnącą obsiewał małżonką. Co rok przybywała mu nowa w dziatkach pociecha, ale i nowe troski. Ogień i nieurodzaje i źli przyjaciele, daremnym czyniły pot jego czoła. Pod ciężarem trudów widział, że w smutną zapuszczał się przyszłość dla siebie i żony z dziećmi. Goryczą była dla niego żona co go chciała pocieszać, goryczą dziatki, co nieświadome trosk ojca, wesoło przy nim igrały. Coraz więcéj uciekał do samotności, która jest przyjaciółką mądrych, ale wrogiem rozpaczających. Ta wzbudziła w nim okropną żądzę samobójstwa. Z tą myślą chodził i sypiał, z tą całował dzieci, gdy przymileniem jego ranę jątrzyły. Umrzeć postanowił, ale nie obrał jeszcze rodzaju śmierci. Gdy w myślach zatopiony ujrzał wieczór, a na głuchym już polu zawadził nogą o powróz zostawiony po żniwie. Oto mówi narzędzie śmierci, które się samo nastręcza. Spieszy do bliskiego jesionu i łzawem okiem rzucił jeszcze na dom swój, wdowę i sieroty i na słońce, co się już kryło za daleką równiną. Upatruje mocnéj gałęzi, nad nią widzi w gnieździe drobne ptaszęta, podnoszące bez pierza

skrzydła i dziobki takowe, i widzi jak je kolejno matka robaczkiem obdziela. I nie mógł się dosyć temu obrazowi napatrzyć. Oczy dopiero rozpaczą osłupiałe, rzewną się łzą zrosiły. I rzekł: toż ty opatrzny Boże nędznéj ptaszynce chleb obmyśliwasz, którym swe dziatki wyżywi, a ja człowiek miałbym Tobie nieufać? a ja człowiek miałbym na wieki dzieci moje opuścić? o Boże mój! jak ci się wydziękować za tę przestrogę. I upadł na ziemię i tak gorąco się modlił, że westchnienia przeszły do Boga, — i z ufnością wrócił do żony i dziatek.

Tam zastał matkę dzielącą chlebem wesołe dzieci. Ściskał wszystkie koleją z taką radością, jakby im skarb największy przynosił.

Odtąd oszczędność i praca, podwoiły się w domu jego, a pokój i ufność w nim zamieszkały. Z niemi doszedł do tego, że stał się panem, syny i córki bogato posażył, i co ranek wychodził pod jesion dziękować Bogu. W sędziwym wieku majątkiem jak cnotą znamienity, zasiadał w kole senatu i tak był dobrym ojcem narodu, jak swoich dzieci.

A na miejscu, gdzie był pamiętny jesion, wybudował kościół, tam do dziś dnia, nie darmo każdy prosi Boga o ufność i miłość pracy.

UCZONY Z KSIĄŻKI.

Nie znając wcale drogiéj księgi natury, żył samotnie jeden uczony w papierowym swym świecie. Karta znaków niebieskich ciekawszą mu była, niżeli niebo gwiazdziste; dla historyi naturalnéj zapomniał o naturze; teorye o sztukach tyle go zajmowały, że na sztuki wcale nie patrzył. Zdawało mu się że wie wszystko, co być powinno, nie wiedząc co jest.

Raz była mowa o śpiewie słowika. Każdy chwalił śpiewaków swego ogrodu, a jeden mówił iż się przekonał, że pieśni słowika dzielą się na dwadzieścia do trzydziestu wrotek,

i że je literami wypisać można. Aby zdziwionego szkolnika tém pewniéj o tém przekonać, dano mu dzieło Bekształejna tłumaczące mowę słowika. Uradowany wypisał sobie całą pieśń, którąśmy wyżéj umieścili. Ale przeciw nałogowi swojemu, nie przestał teraz na tém zbogaceniu książkowych swych wiadomości, postanowił więc po raz pierwszy posłuchać głosu natury, własnemi uszyma.

Wieczorem samotną ścieżką poszedł do ogrodów sąsiedzkich i pierwszy raz w życiu słuchał z uwagą przenikającego śpiewu słowika. Ale z textem przed oczyma uważał tylko czyli pieśń przepisaną dosłownie śpiewa. I słowik nie podobał się; nie dość elementarnie syllabizował; mięszał tryle, których wcale napisanych nie było. Podobnie nie uczynił zadość trzeci i czwarty słowik.

Jeden ze znajomych uczonego, żartowniś, umiejący głos ptaków naśladować, przyszedł z innemi tajemnie za naszym mędrcem, a ukrywszy się za krzewy, z książką wspomnioną w ręku, odśpiewał text dosłownie.

Uczony niezmiernie uradowany, winszował właścicielowi ogrodu, że ma arcyśpiewaka, koronę wszystkich słowików.

Naprożno w téj właśnie chwili słowik prawdziwy zanucił nie śpiewał tak jak napisano.

DZIEDZIC JODŁOWA.

W pięknéj włości Jodłowa żył sędziwy dziedzic Mirosław. Kochali go włościanie i błogosławili mu wszyscy, bo był miłosierny i sprawiedliwy. Ale niespodziewanie wybiła jego ostatnia chwila, opuścił na wieki jedynego syna i włościan, którzy go tak jako synowie ojca kochali.

Stryjowi oddało prawo opiekę nad Wacławem i rządy nad włością. Ale jako wiatr jesienny przeciw majowéj pogodzie, tak był ten przeciw zmarłemu bratu.

Uciskał włościan, krzywdził sierotę na majątku, a co więcéj na wychowaniu. W pięknych latach błąkał się zapomniany Wacław po włości. Próżniactwem i nieprzystojną zabawą były dni jego. To widząc niewiasty ciężko pracujące pańszczyznę, często mawiały: w co się obróci dziecię dobrego pana naszego.

I zebrali się starsi włości i radzili o krzywdach cierpianych. Ale najstarszy powiedział: Koń urwany póty pustoszy łąkę, póki nie spędzi go ten, kto jéj dziedzicem, nam zaś cierpieć przystoi, bo jeden Bóg co sądzi sprawy nasze, dał nam dobrego i złego Pana. Ale ciężko jest patrzyć na krzywdę sieroty. Źle to jest sąsiedzi! że dziecię pańskie z pasterzami obcuje i pójdzie na łaskę ludzi, gdy nieprawy pan tak będzie nasze dzieci, jak nas wszystkich uciskał.

Do serca wszystkich trafiła mowa wójta i zebrali się powtórnie u niego starsi, i o sierocie radzili.

Aż wójt z najstarszym włości, zaprzęgli wóz kowany i zwabili z pola swawolące dziecię i nakłonili, aby trochę z nimi jechało.

Jadą daleko przez pola i lasy i jeszcze za lasy, aż stanęli przed klasztorem Pijarów. Wpuszczeni do przełożonego tak mu mówili: Oto jest dziecię zmarłego pana naszego, które nie ma opieki, i przez miłość ojca nie chcemy, aby tak jak my prości bez nauk, na niewolnika urosło. Składamy talary od gromady zebrane, i prosimy, nauczcie go wielebni i Bogu służyć i nami rządzić. Niech ma pańskie potrawy i cienkie suknie, damy na wszystko, a niech wam Bóg dopomaga, byście go nauczyli, o swoje się upomnieć i być sprawiedliwym.

Wychowywał się Wacław w bojaźni Boga, kształcąc razem serce i rozum.

Stryj chytry ogłosił zgubę młodzieńca, którą dawno zamierzał, — stał się panem włości, i uciskał dobroczyńców sieroty.

Cierpliwi na wszystko, aby tylko dziedzictwo prawemu panu dochować, chodzili zimą i latem do klasztoru na zwiady. Wacław rosł piękny, błogosławiony od Boga i chwalony od

ludzi. Sciskał ze łzami poddanych swoich, jak ojców, a im daléj postępował w rozumie, tém więcéj myślał, jak być wdzięcznym i sprawiedliwym.

A gdy szkoły ukończył, powieźli go starsi włości do sędziów, i wszystko opowiedzieli. Sąd uznał Wacława prawym Jodłowa dziedzicem i ustąpił ze wsi ten, pod którym tyle cierpieli.

I nie było w powiecie lepszych włościan i lepszego pana, jak był pan i włościanie Jodłowa. Złe i krzywdy poszły w niepamięć. Tak wdzięczność była cnót wszystkich początkiem.

Kochajcie zawsze cnotliwych włościan i żyjcie tak, aby nimi byli. Oni i na waszych rodziców pracują i do szkół oddają, dla was pracują i cierpią.

KŁOSY CZERWONE.

Piękną włość zostawił ojciec w puściznie dwóm synom, która złotą Sandomirską wydawała pszenicę: Podzielcie na połowę posiadłość, niech każdy na części swojéj z Bogiem zasiewa i zbiera, żyjcie skromnie i w zgodzie, na przygody gotowi, wspierajcie się wzajem.

Podzielili się bracia, mieli pokój w domach swoich i miłość u ludzi. Ale starszemu mało było na złotéj pszenicy, którą zbierał z swéj części, mało na trzodzie, którą obok braterskiéj na jednem widział pastwisku.

Niemiły mu był chleb biały, przykry głos brata, smutne dni trawił i nocy niespane.

Słońce się już skryło za lasy, gdy milcząc spiesznym krokiem wyszedł na pole. I widzi za miedzą zatkniętą szablę brata, który zawłóczył świeżo posiane zboże. I duch piekielny szepnął do niego: Jak łatwo zbierać możesz to zboże, które brat sieje.

Noc się zbliżała, wyjął szablę z za miedzy i zdradziecko wtłoczył ją w pierś idącego ku niemu brata, wytrysła krew brata, gorącym potokiem na ziemię, ucichło krótkie jęczenie i noc pokryła zbrodnię; ale chciał, by ją i ziemia wiecznie przykryła. Zakopał więc ciało głęboko w roli zasianéj i zaorał, że śladu żadnego nie bylo, i poszedł do domu, wściekły dziedzic po bracie.

Same konie powróciły do domu, nocą i dniem szukała czeladka pana, a zabójca naśladował jéj żale.

Stał się całéj włości dziedzicem do czasu, bo nie było pewności o śmierci brata. Ale biały chleb nie był mu milszym, nocy jego nie były spokojniejsze, ani noc, ani ziemia zbrodni jego ukryć przed nim nie mogła.

Pięknie zazieleniły się niwy, winszowali sąsiedzi bogatych plonów. Ale tam gdzie leżał brat zakopany, krwawe kłosy wiewały. Dziwił się każdy i trwożył kto je zobaczył, ale dziedzic tylko znał ten cud okropny. W skowronku co się nad krwawemi kłosami unosił, słyszał skarżyciela swojego, i nigdy już na pola nie wyszedł.

Nadeszły bogate żniwa, przepełniła niemi brogi wesoła, niewinna czeladka, ale każdy chleb którego dziedzic do czasu dotknął, krwią cuchnął i krwią był zbroczony. A w nocy gdy snu przyzywał, stawał przed nim skrwawiony duch i krew nań strząsał z czerwonych kłosów.

Ginąc śmiercią okropną bezsenności i głodu, nazwał się przed czeladką, brata zabójcą.

I leży na środku ornego pola mogiła, suchą przywalona ziemią, gdzie zabity z mordercą jest pochowany.

WIZERUNKI. POWIEŚĆ.

Na ludnéj ulicy rozwiesił kupiec mnóstwo wizerunków sławnych ludzi w każdym rodzaju. Byli tam rycerze, uczeni, poeci i artyści. Zbiór taki podobał się myślącym i nie my-

ślącym, bo jedne obrazy przypominały ludzi sławnych tylko z imienia, drugie tych, co żyją wiecznie w prac swych użytku.

Kupował więc każdy ryciny według zamiłowania i rozumienia swego. Jedni rycerzów sławnych ludzkością, drudzy sławnych odwagą; tamci nowych, ci dawnych poetów. I rozkupili wszystko, że kupiec wielce się cieszył. Ale obraz Chrystusa, Zbawiciela naszego, tańszy nad wszystkie inne nie kupiony pozostał. Przechodził więc ślepy żebrak, którego dziecię prowadziło za rękę. A gdy dziecię na długo się zatrzymało przed sklepem, zapytał niewidzący, czemu przed tym domem tak dawno stoisz? Oto! rzekło dziecię, wisi jeszcze przed sklepem obraz Zbawiciela naszego, a inne wszystkie rozkupili już ludzie. Wtedy żebrak kupił obraz Chrystusa i mówił: gdy każdy kupuje co rozumie i ceni, ja obraz wezmę Chrystusa Pana naszego, i dał wszystkie swoje pieniądze; na to rzekł sprzedający do niego: „Na cóż dziadku kupujesz to, czego nie widzisz?“ ale ubogi odpowiedział: „Ja go widzę, ale patrzący nie dojrzeli go.“ I kupiec nierzetelny dał mu złą bardzo rycinę; ale dla tego ślepy nie był oszukany.

ZIEMIAŃSTWO.

Kiedy Lechici wysypali mogiłę Wandzie, która ślubując czystość, nie chciała z obcym się łączyć, rzekli do siebie. Nie będziem odtąd służyć nikomu, ale wybierzmy sobie dwunastu, coby o nas radzili. Ale dwunastu radzących bez przewodnika, nie zgodzili się z sobą, chcieli być Panami najprzód rządzonych, a potém jeden drugiego, i nie było ani pokoju, ani wolności. Wrócili więc do pana jednego, i obrali królem złotnika, bo myśleli że złoto byt i szczęście zapewni. Ale złotnik psuł podłych darami, złotem zastawiał potrzebną mądrość, i był nie ojcem dzieci, ale panem kupionych, i wnet stał się sam narzędziem tych, którzy kupić się dali. Po jego śmierci rzekli sobie Lechici: Szukajmy pana, coby nas do boju prowadził, abyśmy nie gnuśnieli. I okrzyknęli królem Leszka, który najpierwéj stanął u mety dla rycerstwa wytkniętéj. Ale wnet poznali, że zdradą podszedł braci, a sam krętą ścieszką mety dobieżał.

CZŁOWIEK I CIEŃ.

Powiedz! co ty masz do mnie? stajesz to za mną, to przedemną nikczemny cieniu, czczy duchu, i wszędzie mi moje nic pokazujesz.

Czyż za to mi łajesz, że ci twój obraz okazuję, bez tego światła w górze, jabym nie był, i ty bez niego jesteś w około cieniem.

Kiedy słońce stoi przed, ja się za ciebie umykam, ale gdy się od niego odwrócisz, twój cień pójdzie przed tobą.

Słowem twojego życia jest rozum, nie odwracaj się od niego, gdy się od niego odwrócisz, twój cień pójdzie przed tobą.

SŁONECZNIK I WINNE GRONO.

PARABOLE.

Czemu ty się zawsze za słońcem obracasz, mówiło winne grono do słonecznika, ukrywając zielone jeszcze swoje jagody pomiędzy liście, aby go nie spaliło słońce nazbyt gorące.

Alboż nie widzisz, rzekł tamten, że ja sam jestem słońcem, o od słońca niebieskiego potrzebuję tylko blasku i siły, abym się wyniósł nad moje sąsiady.

Ale blask jego wnet zniknął, ogrodnik wyrwał go z korzeniem i ledwo znać miejsce, gdzie niegdyś kwitnął. A winne grono dojrzało w cichości i było ku orzeźwianiu ludzi.

Podobnie dzieje się z prawdą. Ona jest słońcem, które dusze oświeca i razem ogrzewa. Ale jeden używa jéj aby pożyczonym od niéj blaskiem chwałę swoją przed ludźmi wynosił, drugi przestaje na tém, aby zagrzany jéj mocą, w cichości był użytecznym.

CIERPLIWOŚĆ.

Młody kmiotek po raz pierwszy zasiał swą rolę, A licząc wielkie w myśli nadzieje, wychodził co rano oglądać jak zasiew wchodzi. Ale rola jego zdała mu się leniwą; zielone źdźiebełka ledwo co się wydobywały. Zniecierpliwiony winił naturę i chciał swoją pracą jéj opieszałość nagrodzić. I schylając się przez dzień cały aż do znoju, z ziemi zdziebełka na wierzch wyciągał, a gdy był wieczór, radował się, że roli swojéj dał popęd, nie myśląc o tém, że wyciągając zdziebełka, ponadrywał korzonków. Kiedy więc rano przyszedł dzieło swoje zobaczyć, ujrzał cały plon zwiędły.

Pracuj roztropnie, a w tém czego skutek od Boga zawisł, ufnie i cierpliwie zostaw mu resztę.

ASWER

CZYLI

ŻYD BŁĄKAJĄCY SIĘ.

Gdy Jezus Chrystus schylony pod krzyżem chciał nieco spocząć przed domem Aswera, barbarzyniec ten potrącił Go srogo, iż się zatoczył i upadł pod swoim ciężarem, lecz zmilczał. Wtedy Anioł gniewu Pańskiego stanął przed Aswerem i rzekł: „Odmówiłeś wypocznienia Synowi człowieczemu,

czarny duch z piekła puszczony, rózgą z miejsca na miejsce ścigać cię będzie i nie spoczniesz, aż do jego powrotu: nie pocieszy cię ani śmierć cicha, ani pokój grobowy!“

I otóż blisko dwa tysiące lat błąka się Ahasverus po świecie. Patrzcie! oto się wlecze z ciemnéj pieczary góry Karmelu, otrząsa proch swojéj brody, podnosi jednę z rozrzuconych pod nogami swojemi czaszkę ludzką i rzuca się z wierzchołka góry, a czaszka chrząszczy i rozpryska się. „To był mój ojciec!“ mruknął Ahasverus.

Nowa czaszka, siedm nowych czaszek toczy się z trzaskiem ze skały na skałę.

„A te! a te! zawył żyd z wściekłemi oczyma, to były moje żony!“

Inne czaszki jeszcze się toczą.

„A te! a te! pomruknął, to były moje dzieci. — Ach! one mogły umrzeć, a ja przeklęty umrzeć nie mogę, wyrok okropny grzmi nad moją głową występną.

Jeruzalem upadło. Zgniotłem dziecię w kolebce, rzuciłem się w płomienie, wyzywałem Rzymianina, lecz biada! niestrudzone przekleństwo trzymało mię za włosy i nie umarłem.

Rzym upadał, spieszyłem zagrzebać się w jego ruinach; Rzym runął i nie przywalił mię.

Narody powstawały i marły przedemną, a ja sam żyję.

Ze szczytu skały, w obłoki wzniesionéj, rzuciłem się w morze, a wały morskie wytoczyły mię na brzeg i strzała życia zatruta przeszyła mię na nowo.

Na brzegu gorejącéj przepaści Etny przez lat dziesięć łączyłem jęki moje z rykiem olbrzyma, paszcza jego siarczysta zapełniała się wołaniem mojém przez drugie lat dziesięć, ale Etna wybuchła płomieniem i wyrzuciła mię z potokiem lawy. Tarzałem się w popiołach i żyłem.

Las gorzał, pędzony rozpaczą rzuciłem się w pożar. — Wrząca smoła kroplami na moje członki się lała; płomień strawił ciało moje, wysuszył kości moje, a nie pożarł mię.

Rzuciłem się w szeregi walczących, potykałem się z Gallami i Germany, ale oszczepy i dziryty łamały się o ciało

moje. Groty sarmeńskie roztrzaskały się na mojém czole; grady kul padały na mnie, jak groch na pancerz żelazny.

Próżno mię słoń nogą przystąpił, próżno mina prochu zajęła się podemną i wyrzuciła w powietrze; spadłem na ziemię... byłem spalony... Krew, mózg, aż do mlecza w kościach wyschły i wśród okropnie przekształconych ciał moich towarzyszy... jeszcze żyłem.

Żelazna pałka olbrzyma roztrzaskała się o moją głowę, ramię oprawcy omdlało, ząb tygrysa złamał się na mnie, żaden lew głodny nie mógł rozedrzeć mię na rzymskich igrzyskach. —

Spałem śród wężów jadowitych, kładłem rękę w paszczę potwory, ugryzła mię boleśnie, lecz nie uśmierciła.

Obrażałem niewiernych; wynajdywali na mnie męki niesłychane i nie zabili.

Ach! nie módz umrzeć! nie módz spocząć po tylu cierpieniach! przewłóczyć zawsze to brzemię prochu, tę bladość śmiertelną, choroby i zapach grobowy. Przez tysiące lat widzieć tylko przed oczyma potworę jednostajności, widzieć czas łakomy, zgłodniały, rodzący ciągle i pożerający swe dzieci. —

Ach nie módz umrzeć! nie módz umrzeć!

Ty! którego zagniewanie mię ściga, maszże okropniejsze jeszcze wyroki? Niech na mnie padną jak piorun. Niech burza strąci mię ze szczytu Karmelu, niech u jéj stóp zgruchotany padnę, wszystkę krew wyleję, niech umrę nakoniec!"

I Ahasverus upadł. Łoskot okropny obił się o uszy jego, ciemności osiadły jego powieki i Anioł zaniósł go znowu w pieczarę. —

„Śpij teraz, rzekł, snem spokojnym! gniew Boga nie jest wieczny. Gdy się obudzisz, On tu będzie, Ten, którego krew widziałeś na górze Golgotha płynącą i który ci przebaczył. —

GIMNAZJUM INTERNATU

MOC ZASTANOWIENIA.

(Powieść).

Jednego Derwisza spotkało w drodze dwóch kupców. „Wam wielbłąd zginął," odezwał się do nich. „Tak jest, odpowiedzieli. — „Kulawy na lewą nogę, a ślepy na prawe oko?" — „Tak jest!" — „Nie ma zęba przedniego?" — „Tak jest!" — „Miał miód na jednym, a pszenicę na drugim boku?" — „Tak jest, co do słowa, odpowiedzieli kupcy, gdyś go tak dobrze uważał, to nam powiesz gdzie się podział."

— „Moi kochani! odparł Derwisz, jam ani widział waszego wielbłąda, ani o nim słyszałem, prócz tego, coście wy sami teraz mówili."

„Ale gdzie są klejnoty, które były w jednym ładunku?" — „Ani wielbłąda, ani klejnotów nie widziałem," odpowiedział Derwisz. Na to kupcy porwali go i zaprowadzili do Kadego. Ale nie znaleziono nic przy nim i nie można go było równie o kłamstwo, jak o kradzież obwinić. Chciano więc postąpić z nim jako z czarownikiem, gdy Derwisz tak się odezwał: „Przyznaję, że macie słuszne powody do podziwienia i podejrzenia, ale w długiém życiu wiele doświadczyłem, chociaż żyłem samotnie, bo tém więcéj miałem czasu nad wszystkiém się zastanawiać. Poznałem był na drodze ślady wielbłąda i domyśliłem się, że musiał uciec panu swojemu, bo nie postrzegłem żadnych śladów człowieka; domyślałem się, że wielbłąd był ślepy na jedno oko, bo znać było, iż tylko po jednéj stronie drogi trawę objadał; a że był kulawy, łatwo wnieść mógłem, gdyż jednéj nogi ledwo jaki ślad na piasku zostawił. Że nie miał jednego zęba, poznać mógłem po roślinach ugryzionych, których we środku mała część nie tkniętą została. Co się tycze ładunku, nauczyły mię pracowne mrówki, że na jednym boku niósł zboże, a roje much, że na drugim był miodem obciążony."

DYAMENT.

Prosty jeden majtek znalazł kamień na wyspie Borneo: spróbował o krzesiwo, a że nadzwyczaj wiele wydawał iskier i bardzo był twardy, schował go do kieszeni. Gdy na ląd stały powrócił, zobaczył kupca, który długo się mozolił nad skrzesaniem ognia do fajki. Dobył więc swojego kamienia i podał kupcowi od razu zapaloną hubkę. Ten uderzony tak mocném iskrzeniem kamienia, obejrzał go i poznał dyament. Ofiaruje mu znaczną summę, majtek myśli, że z niego żartuje, ale kupiec nie zataił mu wartości kamienia i obiecane pieniądze wyliczył.

Niezmierna była radość, gdy majtek oczekiwany z taką summą do rodziny powrócił.

— „Ale czy też podziękowałeś Bogu, mówiła dobra żona, że tak daleko takim cię kamieniem obdarzył i że ci zesłał Anioła, który ci o wartości jego powiedział?“

— „Ten Anioł, odrzekł, jest to kupiec z Boom. Ale co nam z tego? daj tylko dobrą wieczerzę, bo dawno nie jadłem mięsa!“

Kupiec tymczasem dał kamień oszlifować i miał brylant najpiękniejszy, wkrótce ozdobił nim nowo zaślubioną żonę, a gdy na weselu opowiedział, jakim sposobem go dostał, życzyli sobie wszyscy tego majtka zobaczyć. Przywołany, obojętnie patrzył na klejnot, ale chciwie przyjął dwa dukaty, które mu ofiarowano. Czy poznałeś, spytał go kupiec, jak pięknie teraz twój kamień na głowie panny młodéj wygląda? — Prawda! rzekł, iż teraz się błyszczy i wszyscy na niego patrzą, ale ja bez szlifowania poznałem jego wartość, gdym panu ogień nim skrzesał, wtedy daleko był użyteczniejszy, niż teraz! —

Jeszcze potrzebniejszy byłby szklarzom, na dwadzieścia części podzielony. Mógłby dwudziestu rękom usłużyć; — ale o wartości rzeczy nie trzeba sądzić tylko według zmysłowego pożytku. Człowiek czuje także potrzebę piękności, — alboż

ANTONIEGO
w Nowem Mieście n/P

tylko szyb potrzebujemy? czyż mało mamy krzemieni do krzesania ognia, żeby na to dyamentu używać, którego ozdoby nic nie zastąpi?

Daruj pan, odpowiedział przecież majtek, że mi nie przyszło na myśl, że ten kamień więcéj mi przyniósł w minucie, niżby mi sto tysięcy krzemieni przynieść mogło w dwudziestu latach.“

Podobnie sądzi gmin i o ludzkiéj wartości, który według zmysłowego tylko pożytku sztukę i nauki ocenia, ceni je tylko o tyle, ile na nich sam zyskać może.

SFINX.

HISTORYA ZIEMI I LUDZI.

(Powieść greeka).

Czy widzicie ten ciemny obłok? rzekł Jowisz dnia jednego do bawiących się bogów. Nizko bląka się w powietrzu pod naszemi stopami. — Zróbmy go mieszkaniem żyjących istot, niech będą dla nas nową zabawą. Rzekł, wszyscy bogowie przystali.

Natychmiast wysłała Rhea, matka bogów, kunsztownego Wulkana, dawszy mu do rąk ogień niebieski, który wiecznie tli się na jéj ołtarzu. Żywo bóg zeszedł i na skale (na zarodku tego obłoku) wywinął nogę, od czego jeszcze kuleje. Wszedł w głębią skały z swoim płomieniem i urządził ją na świątynią Westy, wykował w niéj przejścia, gdzie dotąd jeszcze kuje swój kruszec.

Juno, jego nieśmiertelna matka, widząc to, rozpogodziła uśmiechem swojego oka najwyższe sępne powietrze. Neptun wylał swe wody, stały się morza i rzeki. Pallas rzuciła ku ziemi swoją zasłonę i stał się piękny błękit powietrza, złotemi ozdobiony gwiazdami. Appollo krążył koło niéj i wylewał swoje promienie. Czysta jego siostra postępowała za nim i księ-

życ, ozdobę swego czoła, zostawiła nad jéj atmosferą. Ceres wypróżniła róg pełen ziół i nasion, a niebieska Wenus spuściła się, napełniając wszystko życiem i miłością. Kwitnęło nowe mieszkanie, a wszyscy bogowie zgromadzili się, aby utworzyć istotę, coby ten pobyt czuć i używać umiała.

Dał znak Jowisz, a życie na proch się wylało, ruszała się istota w postaci bogów, a boginie pospieszyły, aby ją na ziemi postawić. Pallas dotknęła się jéj czoła, a iskra mądrości zajęła się na jéj głowie. Juno dotknęła się oczu, a człowiek wspaniale patrzył w około. Wenus dotknęła się ust jego, a jéj dar najpiękniejszy, wymowa miłości, spłynął na nie. Jak utworzyły mężczyznę, tak utworzyły kobietę. Bogowie i boginie cieszyły się z swojego dzieła.

W tém nagle przybył bogów posłaniec, który był właśnie do wyroczni posłany i przelękniony przyniósł wiadomość, że potężnych bogów Tartaru gniewa ten nowy utwor. Nie pytając się ich, (powiedział), wydarliście im daleki przestwor ich panowania, na to oburza się Pluton, stare Parki i wściekłe Eryniie. Nemesis oskarżyła was przed Fatum, a matka nieubłagana wysłuchała ich skargi. Oto jéj wyrok:

Krótkie niech będzie życie tych istot na ziemi, gdy ziemia ich ze skały jest utworzona, twardém niech będzie życie śmiertelnych. Kruszec w jéj łonie niech będzie wiecznym ich trudem i wielu zgubą. Bracia będą braci mordować, a pasterze ludu zarzynać ludzi. Przyjaciel na życie i pokój przyjaciela nastawać będzie; a same najsłodsze dary niebian, rozum, wymowa i miłość, będą dla nich wiecznie płynącém źródłem błędów, mamienia i nieszczęść. Tak chce przeznaczenie.

Gdy to mówił Merkury, zbledli wszyscy bogowie, bo ledwo skończył, już weszła sługa przeznaczenia, surowa Nemesis, która zawsze przechodzi po ziemi dobre nagradzając, złe karząc. Niewidziana krąży i sprawy notuje, a niezbłagany wyrok waży według księgi, którą ona podaje.

2.

Smutni byli bogowie, ale bez rady i pomocy. Widzieli, że wyrok nieubłagany ale i sprawiedliwy, nie cofnie swéj woli, lecz da ją złagodzić i zastosować. W sądzie, który Merkuryusz ogłosił, nie powiedziano dokładnie, że nowo stworzeni mają być własnością bogów podziemnych, nawet zmniejszenie boleści, które na nich wyrok wkłada, nie jest zakazane litośnéj istocie. Na nowo więc wysłali Merkurego do wysokości Fatum, z dwojakiém przełożeniem, aby wyrok złagodzić.

Sprawiedliwa bogini! (rzekł Merkury przystąpiwszy przed wieczne tablice), człowiek nie jest winnym bytu swojego, on sam się nie stworzył. Dozwól zatém, aby ci, którzy się nim opiekują, niebezpieczne i krótkie życie jego mogli osładzać.

Wieczna córa potrzeby skinęła głową, a Merkury rzekł daléj:

Sprawiedliwa bogini! miejsce ziemi, zajęte jest bogom piekielnym, niechaj więc zostanie miejscem ich panowania, z którego truciznę i troski śmiertelnym zsyłają. Ale wszystko żyjące na ziemi i nad ziemią, jest dziełem bogów niebieskich, dozwól, aby to przy ich władzy zostało: Niech ciało człowieka w proch się obróci, ale mnie dopuść, abym oddech niebieski w niebieskie odniósł krainy, z których wyszedł.

Za wiele żądasz, rzekła bogini, niech Nemezis mówi.

Nemezis wystąpiła i rzekła: wieczne prawa żądają wynagrodzenia. Kto złe czyni na ziemi, a za nie nie cierpi, niech cierpi w Tartarze, póki duszy nie oczyści, potém prowadź ją gdzie chcesz. Czystych i dobrych możesz środkiem Orku przeprowadzać, drogi nie bronię.

Fatum głowę skłoniło, a Merkury opuścił tron najsprawiedliwszy.

3.

Jakże inna zupełnie postać na ziemi! Niebiescy i piekielni bogowie w nieprzyjazny spór weszli o ród ludzki szczę-

śliwie nieszczęśliwy, albowiem granice jego były przez Fatum rozdzielone, a sprawiedliwa Nemezis była ich strażnicą. Przepaść Tartaru wyzionęła złe na światło, choroba i zarazy, trzęsienie ziemi i ogniste potoki wypłynęły, wyszło zwodnicze złoto i ostre żelazo. Parki nić przędły i ucinały, Erynnije wznosiły swoje pochodnie do serca ludzi, lecz wtenczas tylko, gdy im pozwoliła przebaczająca Nemezis.

Z drugiéj strony, bogowie z litości więcéj czynili dla ludzi, niżby byli dla saméj zabawy zrobili, bo nieszczęśliwi byli ich dziełem. Zstąpił Merkury i dał im dar mowy. Zstąpił Apollo i był młodzieńczym pasterzem, zwabił ich na spokojną dolinę, i zmiękczył serca młodzieży przez pieśni i miłość. Przybył Bachus i okazał ludziom rzeźwiące grona, wycisnął je w kielich gościnności, który różami przyjaźni i Lotos, (kwiatem powolnego zabaczenia) uwieńczył. Tak stokrotnie nieznani, pod wielu postaciami mięszali się bogowie między ludzi, zwiedzali chaty ubogich, a szczególniéj igraszki niewinnéj młodzieży. Gracye i cnoty z orszaku Wenery, trudniły się najpiękniejszym wiekiem człowieka, gdy kwitnie miłością, gdy wszystkie wrażenia przyjmuje. Nakoniec dla lepszéj pieczy każdemu człowiekowi przysłany był w dzień urodzin geniusz niewidzialnie towarzyszący, ale który, ażeby rozum człowieka do własnego działania wzwyczaił, mniéj uczy, niżeli ostrzega, silniéj ratuje, niżeli prowadzi.

4.

Cóż więcéj mogli bogowie nad to, co uczynili? A przecież widzieli daremną pracę swojego dzieła. Chętnieby chcieli byli dozwolić téj małéj dumy ludziom, że to oni sami wszystko wynaleźli, co właściwie geniusze i przebrane Bogi wynalazły; gdyby tylko dary ich najpiękniejszych wynalazków dziecinnemu rodowi pożytek były przyniosły; ale według wyroku Fatum, najlepsze, było dla nich najgorszem. Bachus z wyciśnioną jagodą, Apollo z pieśniami i tańcem, Merkuryusz z wymową, Wenus nakoniec z czarownym napojem rozkoszy i miłości, zobaczyli skutki, które im nigdy na myśl nie przyszły,

i na które nie mieli żadnego lekarstwa. Głupcy i zepsuci ci, zaczęli Boga i w najskrytszéj zasłonie poznawać, od niego uciekać. Cnoty i gracye ze wszystkich zabaw wypędzono, wdzięki i wstyd rumiany uciekły z lica młodzieży, na głos geniuszu każde ucho głuche, każde serce żelazne. „Nie jesteśmy bogami, rzekli, i chcemy żyć pomiędzy sobą Dano nam rozum, a tak niepotrzeba nam głosu natchnienia przykrych nauczycielów!

Parki cięły przędzę, Erynnije sypały iskry, Nemezis zapełniała swą księgę, ziemia pełna nieszczęśliwych, Tartar pełny pokutujących ludzi. Smutni i rozgniewani bogowie na ich niewdzięczność, wrócili do Olimpu, i zostawili im ich zwierzęce mieszkanie.

5.

Tak było, aż Pallada stanęła przed Jowiszem, i przypomniała mu upośledzony ród ludzki. Czy spoczywasz już ojcze? mówiła. Możeszli spoczywać i darować sobie, że nieszczęśliwych stworzyłeś.

„Nie chciałem ich dla nieszczęścia utworzyć, rzekł Jowisz. i zamilkł.“

To cię ojcze zaspokaja, mówiła daléj troskliwa bogini, ale i ciebie nie zupełnie, tém mniéj samychże nieszczęśliwych, a najmniéj wysokie Fatum, które ci wszystkie środki łagodności i poprawy podało.

A którychże nie użyłem? Rzekł Jowisz gniewny. Czyż nie wszystkich próbowano, a owi nieszczęśliwi, sami większych nieszczęść szukają. Nie chcę już słyszeć o niczém.'

Nie bądź gniewny ojcze! ale słucbaj mię łaskawie, tak jak mię dotąd słuchałeś. Środki, któreśmy dotąd używali, były dla nich obcemi. Bóg musiał być przy nich, geniusz musiał ich ostrzegać, wyższy duch czynić za nich wynalazki, cóż dziwnego, że te obce dobrodziejstwa wzięli sobie za zdobycz, i że ich nadużyli? Cóż dziwnego, że im się taka spólność z Bogami sprzykrzyła? Dobre nie wypłynęło z własnego ich serca, nie zrodziło się w własnéj ich duszy,

I cóż ztąd wynikło moja córko?

Że przeto nie mieli rozkoszy początkowania, nie mieli téj najtrwalszéj macierzyńskiéj rozkoszy. Widocznie ojcze! zabaczyliśmy tworząc człowieka, żeśmy za słaby, za delikatny ton wzięli, że oddech ust naszych mało, za mało im się udzielił, ażeby mogli znieść niebezpieczności, które na nich los włożył. Musimy więc bliżéj się z niemi połączyć, wzmocnić siły wewnętrzne, i wynieść ród ludzki przez własny ród ludzki.

Ciemna filozofka długoby jeszcze tak była mówiła, ale dowcipna Wenus przerwała jéj i rzuciła Jowiszowi jabłko miłości.

Umilkła Pallas i spuściła zasłonę, bo niewyraźna jéj rada nie to miała na myśli, ale wykład jéj przez Wenerę zaraz się spodobał, a Jowisz dał przykład bogom. Spuszczał się ku ziemi, wnet jako deszcz złoty, wnet jako łabędź, wnet w inne postaci, gdziekolwiek jaką piękność wynalazł, w któréj iskra Boskiéj duszy mogła się przyjąć. Chętnie szli za nim bogowie i boginie; w szczególności zaś tkliwa matka rodu ludzkiego, która jabłkiem radę podała, mocno się także zajęła wykonaniem téj rady, tak dalece, że nakoniec każdy zachwycony kochanek w swojéj Fillidzie Wenerę albo Gracyą uwielbiać mniemał. Sama skromna Dyanna natchnęła się szlachetną chęcią uświetnić ród ludzki, a nie śmiejąc się łączyć z Endymionem, śpiącém się jego zachwycała okiem. Dwie tylko boginie, Juno i Pallas, dochowały czystość, tamta przez dumę i zazdrość, owa, któréj rada wcale w spak poszła, przez mądrość wstydliwą.

6.

Tak scena rodu ludzkiego odmieniła się wewnątrz. Okazały się półbożki i bohatery, nie przez obce, ale przez własne siły, krew bogów złączyła się z ludzką. Jakże wielkie spełniono dzieła! jak obszerne żądze zajęły szczupłe piersi śmiertelnych! Eskulapiusz, syn Jowisza wskrzeszał umarłych, i zmniejszał panowanie Tartaru, Herkules i wielu jemu podobnych oswobodzili ziemię od potwór i jako zwycięzcy w pie-

kielne nawet mieszkania się wdarli. Łagodniejsi synowie bogów w łagodniejszy sposób przyszli na pomoc uciśnionym wielu dawniejszym Simonidom, Kastorom i Polluxom wyratowanym, chociaż dzieje ich pamięci nie dochowały. Jako opiekuńcze światła krążyli nad masztami okrętów, jako błyszczące gwiazdy nad polem boju, i wspierali walczących. Syn Apolla i Muzy ułagodził powtórnie swą lutnią zwierzęcych ludzi, i za drogą Eurydyką aż w państwo cieniów się dostał. Tak synowie bogów założyli węzeł przyjaźni i wierności aż po za groby. Bohaterowie założyli królestwa, nadali prawa, które jeszcze żyją w sławie wieczystéj. Nie czekali na laskę Merkurego, aby ich środkiem Tartaru przeprowadził, oczyszczeni w płomieniach, sami do niebios wstępowali, a bogowie witali ich jak swoich synów i braci. W niebie i na ziemi jaśnieli bogów synowie, a Wenus uśmiechała się na swoje jabłko miłości.

Ale jakże wnet i ta scena minęła! Starym bogom sprzykrzyło się ich dzieło, powoli zaczął znikać ich duch między śmiertelnikami. Potomkowie bohaterów szczycili się prawda swym rodem, ale była to tylko obca dziedziczna zaleta, któréj na uciśnienie innych śmiertelnych użyli. Leniwo płynęła krew boska w ich żyłach, a za to zdobili się herbami swych przodków. Już chciał Jowisz czynić Palladzie wyrzuty, ile ją jéj mądrość temi lalkami zawiodła, lecz ona nie usprawiedliwiając rady, któréj nigdy nie dała, w cichości zstąpiła na ziemię, i dzieło swoje sama zaczęła.

Pallas bowiem nad wszystkie bogi i boginie to miała pierwszeństwo, że bez zewnętrznego dotknięcia, z głowy Jowisza urodzoną była, a tak bezpośrednio na dusze ludzkie wpływać mogła. Nie potrzebowała przeto żadnego przebrania, aby śmiertelnych nauczać, a tém mniéj zwodzącego mamienia. Rzuciła fletnię, któréj chciał jéj Merkury pożyczyć, a która zawsze więcéj na uszy, niżeli na umysły śmiertelnych działała, lecz za to udzieliła się bezpośrednio chciwym nauki duszom, które jéj wartość poznały, i milczącą jéj postać lubiły. Ona nauczyła Pitagoresa milczeć i myśleć, bez czułych słów odkryła mu prawa świata, i otwarła uszy jego na sfer harmoniją. Natchnionego Platona powiodła w duchów siedliska, uka-

zała mu państwo bogów, a nawet miłość niebieską. Nieprzebitym puklerzem swoim osłoniła Bruta i Scypiona, wlała w nich uczucie miłości nie tylko ku ojczyźnie, ale i ku cnocie, gardzić zazdrością, w wężowych jéj włosach widzieć tylko zachętę do współubiegania się w dziełach wspaniałych. Dla tego położyła głowę Meduzy na swoich piersich, i Furyi piekielnéj niebieską piękność nadała. Dzidą swoją, którą powaliła niegdyś olbrzymy, uderzyła o skałę, a z niéj dobroczynna wystąpiła oliwa. Nie zwycięzców nieprzyjaciół, ale dobroczyńców ludzi tym spokojnym liściem uwieńczyła; najchętniéj zaś tego, kto siebie zwyciężył i sam z sobą żył w pokoju. Wieńczyła równie Epikteta niewolnika, jak dręczonego Marka Aureliusza na burzliwym tronie, wewnątrz ich duszy wlała oliwę niebieskiego pokoju. I płeć niewieścia nie uszła jéj siostrzanéj opieki, nie dla nich, ale w nich wynalazła wszelkie sztuki pracowitości i skrytości domowéj. Tkała z Penelopą jéj skromną zasłonę, a teschniącą pocieszała łzami cierpliwéj nadziei. Niektóre nawet nauczyła śmiercią pogardzać, dała puginał w ręce Arryi, a węgle Porcyi w nektar zmieniła. Najlepszym zaś kochankom swoim, mężczyznom i kobietom, dała swój obraz, Palladium niewinności. Jako zwycięzca ukazała się potém w Olimpie, bez dumy, w skromnéj, milczącéj wielkości. Jowisz oddał jéj jako własność ród ludzki, któremu najwięcéj się zasłużyła, i ona nad wszystkie rozrywki w Olimpie obrała sobie ciche i czynne mieszkanie na ziemi. Najwięcéj przebywa u przezornych i pracowitych mężów, cieszy ją ciche szczęście dobrego wychowania domowego, pracowitego pożycia. Za to wyszydzała wprawdzie Wenus jéj symbolum ciemnéj sowy, lecz Fatum zesłało jéj w nagrodę jako najlepszéj wykonawczyni swych wyroków, szlachetniejsze symbolum Sfinksa, obraz ukrytéj przezornéj mądrości.

Jeszcze wielka bogini! tu i owdzie na ziemi w ciemności jest twoje panowanie, naucz coraz większą część ludzi w cichości i z szlachetném sercem powołanie i szczęście bliźnich pojmować, aby pewne i powszechne światło rozszerzyć się mogło.

TRZEJ PRZYJACIELE.

Nie ufaj żadnemu przyjacielowi póki go nie poznasz. Więcéj ich jest przy obfitym stole, niżeli przy drzwiach więzienia.

Jeden człowiek miał trzech przyjaciół; dwóch bardzo kochał, dla trzeciego był obojętnym, chociaż ten najlepiéj mu sprzyjał. Raz zawołany był do sądu, gdzie niewinnie, ale ciężko był oskarżonym. — „Który z was, mówił, pójdzie ze mną by za mną zaświadczył, bo ciężko jestem obwiniony i król się gniewa.“

Pierwszy przyjaciel wymówił się zaraz że pójść nie może, bo ma inne zatrudnienia, drugi odprowadził go do drzwi sądowych, tu się odwrócił i odszedł, bał się bowiem sędziego. Trzeci, na którego najmniéj rachował, wszedł za nim, mówił, i tak dowiódł jego niewinności, że sędzia nie tylko go puścił, ale i obdarzył.

Trzech przyjaciół ma człowiek na tym świecie. Jakże oni się zachowują w godzinę śmierci, kiedy go Bóg do sądu powoła? Pieniądz jego najlepszy przyjaciel, opuści go najprzód i nie pójdzie za nim do grobu. Przyjaciele i krewni odprowadzą go do bramy śmierci i powrócą do swoich domów. Trzecim przyjacielem, o którym najmniéj pamiętał, są jego dobre czyny. One tylko pójdą za nim do tronu sędziego, one mówić będą za nim, wyproszą mu litość i łaskę.

ŁZY.

Trzy dni już nie żył Izaak dla ojca, bo czwartego dnia miał z woli Boga pójść na ofiarę. Milcząc szedł Abraham na wzgórek Moriah, gdy do samotnego ozwał się głos lubego dziecięcia: „Oto ojcze jest ogień i drzewo, ale nie widzę ofiar-

nego baranka. — Synu mój! rzekł Abraham, tego baranka sam już Bóg wybrał — Milcząc szli oba.

A gdy stanęli na miejscu ofiary, gdy ołtarz i wszystko przygotowali ujął ojciec swojego syna, wziął w rękę nóż, i patrzał ku niebu. Dziecię cierpliwie milczało, i ze łzami patrzyło razem ku niebu.

Cicha łza w oku ojca i syna przeszyła obłoki, i doszła do Boga. — Abrahamie ozwał się z góry głos Anioła: Stój i puść twe dziecię, Bóg niechce więcéj.

Ucieszony ojciec uściskał syna i nazwał to miejsce pamiętne: B ó g p a t r z y. Patrzy na cichą łzę w oku cierpiących, patrzy na smutek serca, który głośniéj mówi, niż wszelkie wołanie.

Trojaka jest modlitwa do Boga; jedna nad drugą mocniejsza. Cicha modlitwa bardzo mu się podoba, widzi ją w sercu, i przyjmuje z ust mówić niemogących, wołanie do Boga przeciwko krzywdzie przebije obłoki, i sprowadzi ogień siarczany na krzywdziciela. Ale mocniejszą nad wszystko jest łza opuszczonego. Ona przebędzie bramy i zamki, i przydzie do Boga.

D A W I D.

Poranne słońce ozłociło arfę Dawida, kiedy śpiewał Panu psalm najpiękniejszy. Gdy skończył, wnet stanął przed nim szatan i serce jego dumą napełnił. „Nie masz Boże! rzekł zaraz, coby cię piękniéj wielbił odemnie.“

W tém skoczył na szatę jego konik polny i zaczął swą pieśń poranną. Mnóstwo innych przybyło za nim, przyleciał i słowik, a wnet wszystkie słowiki, i wyścigały się w śpiewaniu Panu.

Usłyszał król, pieśni ptaków, polnych koników i wszystkiego co żyje, szmery strumyków i szum gajów. Słysząc te dźwięki, jak wszystko bez ustanku Pana wielbiło, zamilkł i poznał, że pieśń jego niższą była od pieśni polnego konika,

co jeszcze dzwonił na kraju szaty. Pokornie wziął za arfę i zaczął śpiewać: C h w a l c i e P a n a w s z y s t k i e s t w o r z e n i a, c h w a l g o i t y, u m i l k ł a d u s z o m o j a.

PRAWO AFRYKAŃSKIE.

Alexander król macedoński przybył raz do dalekich bogatych krajów Afryki. Wyszli ku niemu mieszkańcy, i nieśli w darze złote owoce. „Nie przychodzę tu (rzekł) widzieć wasze bogactwa, ale chce poznać wasze obyczaje.“ — Zaprowadzili go więc na rynek, gdzie ich król sądził.

Właśnie stanął przed królem jeden mieszkaniec i rzekł: Kupiłem od tego człowieka worek zboża, i znalazłem we środku dużo pieniędzy. Moje jest zboże a nie złoto, a ten oto człowiek nie chce go odemnie odebrać.

Rozkaż mu królu! niech odbierze co jego jest.

A na to przeciwnik jego, także tamtejszy mieszkaniec, powiedział: „Ty boisz się zatrzymać co nie jest twoje, a ja śmiałbym wziąć od ciebie to, co do mnie nie należy? Przedałem ci worek ze wszystkiem, co w nim było. Zatrzymaj co jest twoje. Rozkaż mu to o królu!

Król zapytał się pierwszego, czyli ma syna? Odpowiedział tak jest. Spytał drugiego czyli ma córkę? — Tak jest, odpowiedział. „Dobrze więc, rzekł król, cnotliwi jesteście obadwa, połączcie wasze dzieci, dajcie im za posag skarb znaleziony, ten jest mój wyrok.“

To słysząc, zdziwił się Alexander. — „Czy źle osądziłem, rzekł król do niego, że ty się dziwisz? — „Bynajmniéj, odpowiedział Alexander, ale u nas inaczéjby sądzono. — A jakże? pytał król afrykański. — „Skarb ten, rzekł Alexander, nie byłby żadnemu z nich oddany, ale królowi.

Na to król uderzył rękoma i zapytał się: „Czy świeci u was słońce? i czy niebo spuszcza wam deszcze? — Tak jest

— Więc chyba tylko dla niewinnych zwierząt, które u was żyją, bo dla takich ludzi nie powinnoby słońce świecić, ani deszcz padać.“

PASTĘRZ NIEBIESKI.

W północ przed owym dniem wiosny, kiedy bracia Kain i Abel mieli zapalić ofiarę, Twórca przeraził ich matkę snem bardzo cudownym. Białe róże, które jéj syn młodszy przed ołtarzem zasadził, przybrały czerwoną barwę jakiéj dotąd nie widziała. Chciała je zrywać, ale każda rozsypała się pod jéj ręką. Na ołtarzu, na którym dotąd mleko tylko ofiarowano, leżał skrwawiony baranek. Rozpaczające głosy słychać było w około, aż się powoli wszystko w słodkie tony zmieniło, jakich nigdy jeszcze nie słyszała.

I widziała przed sobą piękną dolinę, piękniejszą jeszcze nad ogród rajski, a na niéj pasł trzody w postaci jéj syna, biało ubrany pasterz. Czerwone róże uwieńczały mu głowę a w ręku trzymał lutnię, która te słodkie tony wydawała. Mile odwrócił się do niéj, chciał się przybliżyć — i zniknął, a z nim i sen jéj.

Wstawszy, ujrzała matka zorzę krwawo wschodzącą, i smutna bardzo szła na miejsce ofiary.

Bracia ukończyli ofiarę, rodzice poszli do domu. A gdy już był wieczór, młodszy nie wracał z pola. Tęskna szuka go matka, i znalazła tylko jego smutną. rozproszoną trzodę. Sam leżał zbroczony na ołtarzu, róże krwią jego polane, a jęczenie Kaina rozlegało się z bliskiéj jaskini.

Zemdlona upadła na ciało syna, i widziała powtórnie senne zjawienie. Jéj syn był owym pasterzem, którego w nowym raju widziała. Czerwone róże uwieńczały mu głowę, a miły głos lutni płynął z pod jego ręki. I tak jéj śpiewał: „Patrz w niebo na te gwiazdy płacząca matko! widzisz ten wóz błyszczący, on prowadzi w piękniejsze miejsca, nad te, któreś

w raju widziała. Tam krwawa róża niewinności pełniéj kwitnie, i wszystkie westchnienia w słodkie zmieniają się tony.

Zniknął sen, ukojona matka wstała od bladych zwłok swojego syna. I gdy go rano łzami zroniwszy, różami uwieńczyła, wykopał Adam grób przy boskim ołtarzu, w którym go pochowali przy świcie zorzy. Ale często siedzieli na grobie jego aż do północy, tam upatrywali na niebie woza gwiazdzistego, i tam szukali swojego pasterza.

MŁODOŚĆ ABRAHAMA.

Abraham wychował się w jaskini, bo Nimrod chciał go zamordować. Ale i w niej nie opuściło go światło boskie; myślał więc i rzekł do siebie: „Kto jest mój Twórca?“

Po szesnastu latach wyszedł z tamtąd, a gdy pierwszy raz słońce zobaczył, zdumiał i ucieszył się wielce, i pytał się wszystkich stworzeń: „kto jest wasz Stwórca?“

Zeszło słońce i upadł na twarz, to jest wasz Twórca, bo ma tak piękną wspaniałą postać.

Słońce się wznosiło, zniżało i w wieczór zaszło. Wnet ukazał się księżyc a Abraham rzekł: „Słońce co znikło, nie może być Bogiem, może nim jest to mniejsze światło, bo mu tak wiele gwiazd służy.“

Ale i księżyc i gwiazdy zaszły, i Abraham sam został. Poszedł do ojca i pytał się: kto jest Bogiem nieba i ziemi?“ Tharach pokazał mu swoje bałwany. „Muszę się o tem przekonać, rzekł Abraham do siebie; i gdy sam był, położył przed niemi najlepsze potrawy. „Jeśli jesteście żywemi bogami, weźcież waszą ofiarę. Ale bałwany stoją i nieruszają się z miejsca.

I toż to powiedział, mają być bogi ojca mojego? Muszę go przekonać. — Wziął laskę, potłukł wszystkie bałwany prócz jednego, któremu tę laskę w rękę włożył, pobiegł do ojca i mówił: „Twój pierwszy Bóg, wszystkich braci pozabijał.

Z gniewem pójrzał Tharach na niego i rzekł: dziecie! ty

szydzisz ze mnie. Jak on to mógł uczynić, gdy go moje ręce ulepiły? Nie gniewaj się ojcze! powiedział Abraham, ale rozważ to co rzekłeś! Jeśli nie wierzysz, ażeby twój Bóg uczynić mógł to, co ja mały mogłem wykonać, jakżeby on mógł być tym Bogiem, który stworzył niebo i ziemię. Tharach zamilkł i nie wiedział, co na to mówić.

Ale wkrótce dowiedział się o tem złośliwy Nimrod, kazał go zawołać do siebie i rzekł: Czcij Boga mojego, albo zginiesz w piecu ognistym! Wszyscy albowiem mędrcowie przepowiedzieli królowi, że Abraham bałwany obali, i za to go prześladował.

Kto jest twym Bogiem? rzekł Abraham niezlękniony. Ogień jest moim Bogiem, odpowiedział Nimrod, bo on jest najsilniejszy.

Ogień woda zaleje, rzekł mały, wodę łatwo obłok uniesie, obłok pędzony jest od wiatru, a wiatrowi człowiek dostoi. Zatem człowiek jest najsilniejszem stworzeniem.

A ja, mówił Nimrod, jestem najsilniejszym z ludzi, czcij mię lub zginiesz w piecu ognistym. Abraham skromnie oczy spuścił i rzekł: widziałem jak wczoraj słońce rano wschodziło a wieczór zaszło, rozkaż o królu, ażeby był wschód jego wieczorem, a zachód rano, a wtedy cześć tobie złożę.

Na to Nimrod rozkazał w ogień go wtrącić. Anioł wziął go na łono i odwiewał płomień od niego. I wyszedł z ognia piękniejszy niż był dotąd. Wkrótce wywołał go Bóg z Chaldei, i nazwał go swoim wybranym.

Abraham dał początek prawdziwéj czci, jednego Boga nieba i ziemi.

POWSZECHNICZE WIADOMOŚCI.

Są pisma czasowe, (nie mówiąc wcale o politycznych), przeznaczone dla uczonych, którzy rozmaite nauki zgłębiają, wyjaśniają i wyżéj usiłują posuwać; te zostają w téj sferze, aż wyrobione pewne i jasne przejdą w powszechność i zastosowanie. Są inne, najliczniejsze, które tylko wyobrażają opinię czasu i miejsca, usiłujące ją utwierdzać albo posuwać. — Są inne, których celem sama zabawa. Nie do pojęcia jest mnóstwo pism tego rodzaju w obcych krajach, gdzie mody, plotki dzienne, anektody, powieści o zbójcach, mordercach i złodziejach, drobiazgowe szczegóły kuliss, balów i salonów się mieszczą, którym nakoniec nie wiem do czego się trzeba będzie posunąć, aby znużoną ciekawość i rozdrażnioną imaginacyę nadal zajmować mogły. Te wszystkie możnaby uważać za przeznaczone jedynie dla gminu klasy polerownéj.

Zjawiły się nakoniec pisma najtańsze, przeznaczone dla największéj, ile być może, powszechności, tak zwanéj średniéj klasy, których ryciny nie są, — jak niektórzy chcą mniemać, cackiem wabiącém oczy dziecinne. Ich powołaniem jest: upowszechniać między klasą pracowitą wiadomości, w rozmaitych stosunkach życia potrzebne i takie, które, że tak powiem, zeszły już z warsztatu uczonych, przebyły doświadczenie i z korzyścią w obieg puszczone być mogą. Nie wszyscy mogą i potrzebują przechodzić teoretyczne nauki, ale zdolni są z ich wynikłości korzystać. — Czas już, ażeby owe nieprzeliczone prace myślących stawały się chlebem powszednim dla wszystkich narodów i stanów, o ile fizyczny i moralny byt ich ulepszać mogą.

Powodzenie pism tego rodzaju zyskało wziętość nad wszelkie spodziewanie, a każdy przyjaciel ludzi z pociechą widzi, że szczera dążność ku prawdziwéj oświacie, ku pojęciu stosunków i powinności towarzyskich, ku śledzeniu natury, która nam codzień więcéj tajemnic odgadywać i zdobyczy odnosić pozwala, powszechnie między tą klasą się okazały. Dawniéj powieści o czarownicach, upiorach i zbójcach, tak zwane farsy i krotochwile przeznaczano dla ludu; dziś tenże przeciwnie zajmuje umysł poważnymi i użytecznymi przedmioty, a owe powyższe utwory są teraz nawzajem rozrywką wyższéj społeczności.

Wszystkie prawidła społeczeńskiego życia wychodzą dziś z jednéj zasady, którą jest: należyty kierunek pracy i dla tego dla klasy pracującéj nie ma przedmiotu więcéj zajmują-

cego nad to, co tenże kierunek wyjaśnia. Mniemali niektórzy, że aby się ludowi podobać, potrzeba najgrubszym jego namiętnościom dogadzać; doświadczenie upowszechnieniem pism tanich inaczéj przekonało. — Jeden pisarz angielski w dziele o charakterze dzisiejszych Anglików, przytacza stosowną do tego przedmiotu rozmowę:

„Pewien obywatel przechodząc w Londynie koło kantoru pism peryodycznych, spotkał dwóch znajomych, którzy byli bracia. Jeden z nich żyjący z posług u wielkich panów, drugi fabrykant. Obadwa oglądali łudzące afisze pism nowych i tak mówili:

— Patrz tam! jaka rozmaitość nowin w tym dzienniku, zawołał dworak: Proces nadzwyczajny między lordem i żoną wieśniaka — Awantura p. Jack... (trzeba ci wiedzieć, że to jest modne imię) z wdową... Scena wydarzona na balu... Ach! coś wybornego! słuchaj John! nie masz przy sobie kilku groszy? ja mam tylko złoto; kupmy ten dziennik! Rozmaite nowiny!

— I ty to nazywasz nowinami, zawołał John, a co mnie do lorda, do Jacka, do jakiegoś balu? Ja za pieniądz zapracowany chcę mieć coś użytecznego... Rada dla gospodarzy... Wiadomości o osadnikach nowéj Holandyi. To są przecie nowiny.

— A co mi do nich, zawołał dworak.

Bardzo być może, iż ten próżniak szukać będzie na starość przytułku u brata pracowitego i że mu wyjdą z pamięci wszyscy modni ludzie i bale.

Minęły już czasy, gdy mieszczanin a szlachcic, człowiek salonowy a parafianin, tak się od siebie różnili, jak mieszkańcy dalekich narodów, gdy fortuny i poważanie były rzeczą losu, a nie pracy i zasług. Przyjdzie do tego, że dobry byt, wzajemne poważanie zjednoczą ziemianina z klasą przemysłową i wszyscy będą się za jeden ród w gospodarnym i przemyślnym Piaście uważać. U nas szczególniéj ziemiaństwo jest przemysłem. Rola sama mało przynosi, a hodowanie onéj więcéj wymaga rozmaitych wiadomości, niż w innych ludnych narodach, gdzie mnóstwo zdatnych ludzi do robót szczególnych,

łatwość nabycia wszelkich artykułów potrzebnych do gospodarstwa i sprzedaży płodów po licznych miastach, na żadną trudność rolników nie wystawiają. U nas ziemianin sam musi się zajmować wszystkimi szczegóły, znać się na różnych stycznych rzemiosłach i sam sobie radzić w niezliczonych wypadkach. On musi być przemyślnym, ażeby z gruntu i lokalności swojéj jak najwięcéj wyciągnął korzyści. Nie masz trudniejszego gospodarstwa jak w Polsce, lecz za to nierównie więcéj jest popędu do rozwijania praktycznego rozumu.

Można więc mniemać, że pisma, pożyteczne wiadomości za cel mające, w kraju naszym coraz powszechniejszemi się staną, a w miarę tego, klasa rolnicza coraz więcéj się oświecając, nie tylko pozbawi się wielu zestarzałych przesądów i nałogów, lecz owszem przez nabycie niezbędnych dla niéj i pożytecznych wiadomości podwoi moralne i fizyczne korzyści. — Co powinno bydź jedynym celem i usiłowaniem każdego człowieka, pracującego około niwy pomyślności krajowéj.

NIESZCZĘŚCIE.

Nigdy nieszczęście samo nie przychodzi; prawdziwości tego twierdzenia każdy na sobie doznał. I to jest bardzo słusznie, bo dusza potrzebuje anty-nieszczęścia, tak jak cegła potrzebuje przeciw-cegły, aby się mogła w sklepieniu unosić. Rana raną i choroba przeciw-chorobą się goi. Nowa boleść przytłumia czucie dawniejszéj, nawet sama zmiana cierpień już jest ulgą niejaką. I w moralnych cierpieniach nowa boleść obudza w nas męztwo i wytrwałość, które pod pierwszą uległy. —

Cóżby to było, gdyby się pospolite wyobrażenia o sprawiedliwości uiścić mogły? gdyby zaraz każde nieszczęście odpowiedniém szczęściem wynagradzane bywało? Wtenczas musielibyśmy postępować, jak ów trefniś, który śmiał się idąc na przykrą górę, a płakał z niéj schodząc, bo w pierwszym

razie myślał o tém, że pójdzie z góry, a w drugim, że znowu na górę będzie musiał się trudzić. Wtenczas zimna obojętność byłaby koniecznym skutkiem takiéj kolei losu. Zatwardziałość, kamienne bezczucie, byłoby skutkiem takiego stanu, gdy przeciwnie przez rozmaitość cierpień człowiek przychodzi do spokojnych harmonii, ale równie mocnych i wzniosłych uczuć, co wszędzie i zawsze za moc religii uważano.

PRACA I NUDY.

Bardzo się myli, kto sądzi, iż sobie sprawi ciągłą przyjemność, zmieniając swoje tylko zabawy i roztargnienia. Próżniak i niewieściuch nazwałby to nudném udręczeniem, gdyby ciągle to chodził z fuzyą za zającem, to siadał do kart, to do butelki, to się po ulicach przechodził, to zabierał czas innym odwiedzinami. Taka rozmaitość stanie się nakoniec nudną jednostajnością, próżniak szukający zatrudnienia zazdrości często temu, kto drzewo rąbie lub kopie w ogrodzie.

Nie masz większéj pracy, jak nudy. Niemi udręczywszy się przez dzień, dręczymy się coraz więcéj w spoczynku po pracy żadnéj, że dzień z trudnością przebyty, tylko nam wstyd wewnętrzny przyniósł w zarobku. Przeciwnie, dobroczynnie to urządziła Opatrzność, że każda praca z powołania, albo urzędu ludziom użyteczna, jakkolwiek długa, bez zniechęcenia ciągle odnawianą być może.

Zatrudnienie i rzemiosło, które nas w młodości bawiło, przyjemne jest i na starość, nawet wtedy, gdy już możnaby tylko swobodnie ich owoców używać. Po pracy całodziennéj rzeźwi wstajemy nazajutrz; gdy liczymy przeszły i przyszły pożytek, wszystko w koło nas wesoło rośnie i my ze wszystkiém. Powoli nie owoc pracy, ale praca sama staje nam się potrzebą i niejaką nagrodą. Nie masz do zabaw samych lepszéj zaprawy, jak gdy po pracy do nich przychodzim. Kto tylko ciągle się bawi, ten i w zabawie pracuje, kto jedno

z drugiém rządnie przeplata, ten sieje i zbiera, tego zabawa prawdziwie orzeźwia. Uczęstowanie przyjaciół nigdy nie jest milszém, jak gdy im stawiasz owoc własnéj twéj pracy. To jest najgodziwsza wystawność i duma najszlachetniejsza.

Jonson mieni najszczęśliwszym człowieka, który obok gorliwie pełnionego powołania, dla przyjemności jakąkolwiek nauką lub sztuką się trudni i utrzymuje, że tylko czynny człowiek szczęśliwym i zacnym być może. Na smutek i pewne słabości duszy i ciała nie masz lepszego lekarstwa, jak zatrudnienie. I najbogatszy przez pracę tylko szczęśliwym być może. Nie masz skarbów, któreby bez niéj próżne godziny nieczynnego życia zapełnić zdołały

---

PAMIĘĆ.

Kryjemy się z wszelką niedoskonałością naszego umysłu, ale co do pamięci, każdy wręcz wyzna, że nam jéj natura skąpo udzieliła. Jest to tylko najczęściéj obrona lenistwa. — Kształcenie pamięci równie jest ważne, jak rozumu, przecież je często za zbyteczne uważamy, mimo, że zdanie starożytnych było, że „tyle tylko wiemy, ile zatrzymujemy w pamięci.“ —

Dziś, gdy massa przedmiotów, godnych wiadomości, codzień się zwiększa, potrzebniejsze jest ćwiczenie pamięci, niż kiedykolwiek. Jednakże kształcenie rozumu powinno ją wyprzedzać i jéj ciągle towarzyszyć; bo czego nie rozumiemy, to nie zostaje w pamięci; czegośmy nie pojęli, to się i w pamięci nie utrzyma.

Pamięć, jest to władza w nas będąca, która wyobrażenia łatwo pojmuje, zatrzymuje i szybko przywołuje. Te własności dobréj pamięci stosowne ćwiczenie bardzo może wydoskonalić. W czém się rozpatrujemy, co dobrze rozważymy rozumem, to łatwo przyjęte do pamięci, przechowuje się z zamiłowaniem. Trzeba zaczynać od rzeczy pojedyńczych, a postępować do złożonych. Nazwiska, liczby, trzeba sobie zapisać,

odczytywać, a na zawsze utwierdzą się w pamięci. — Myśli i wyobrażenia roztrząsajmy według ich przyczyn, stosunków i użytku, a łatwo je sobie przypomniemy. Im więcéj mamy ciekawości, zamiłowania w przedmiocie, im więcéj nas uderza, zastanawia i do rozmyślania powoduje, tém pewniéj stanie się własnością pamięci. Często trzeba sobie umyślnie przywo'ać na pamięć to, cośmy widzieli, słyszeli i zwracać dobrowolnie uwagę na to, co ją otacza lub z nią jest w związku; wtedy pamięć w uchwyceniu, zatrzymaniu i przypomnieniu wyobrażeń i przedmiotów nabierze mocy i łatwości, która często zadziwia. —

Pamięć jest spichlerzem dla naszego rozmyślania. Nasza wiadomość jest czczą, rozmyślanie bezowocne, kiedy nie wydobywamy z rozwagą zapasów pamięci. Myśl jest dowcipną i pełną życia, gdy ją bogactwo wiadomości podsyca; zbawienna nauka ożywiona przykładem, zajmująca rozmową, któréj obfita pamięć na rozkaz służy. Dla tego szczególniéj w młodym wieku trzeba kształcić, doskonalić i zaostrzać pamięć, a przy dzisiejszém ułatwieniu nabywania jéj zapasów, przy czułém przeniknieniu się dobrém ludzkości, przy rozwadze, każdy sam z siebie wiele zrobić potrafi. Nie o to starać się trzeba, aby wszystko wiedzieć, ale, aby to co wiemy, wiedzieć należycie i dobrze w pamięci zachować. W czasach, gdy pisma nie znano, w podaniach przechowywały się z pokoleń do pokoleń obszerne dzieje, nauki moralne i tajemnice boskiéj mądrości. —

Nie można zaprzeczyć, że natura sama niektórych ulubieńców nadzwyczajną obdarza pamięcią. Są, którzy kilkadziesiąt słów im powiedzianych natychmiast w tym samym porządku powtórzą. Byli, którzy nie tylko całe księgi Wirgiliusza, ale słowniki napamięć umieli. Wielu jest, którzy całą mowę lub kazanie powtórzyć mogą. Pamięć taka jest darem kosztownym wtedy, gdy przez nią najistotniejszy i najpotrzebniejszy przymiot: rozsądek nie cierpi, co niestety bardzo często się zdarza. Pic de Mirandola* mógł 2000

* Który wydał sławne dzieło pod tytułem: *De omni Scibili.*

słów z początku i od końca odmówić, żadnego nie opuszczając. Magliabechi, który żył w początku zeszłego wieku, przeczytał jedno dzieło w rękopiśmie, pan jego udaje, iż mu to dzieło zginęło, a ten powiedział je z pamięci całe od początku do końca. W Niemczech był młodzieniec, umiejący całą biblią na pamięć.

Ludzie z tak nadzwykłą pamięcią, mówi Kant, są wprawdzie użyteczni, ale tylko, gdy innym są do pomocy, ich zaś własny rozsądek upada zwykle pod tak wielkim ciężarem. Zbytek wiadomości przytłumił w uczonym Sauderson rozsądek do tego stopnia, iż dla zaostrzenia myśli zamierzył pierwiastek kubiczny, 12 licz. w myśli wyciągał. Szczęśliwy, kto z pamięcią łączy rozsądek! Takim był znany filozof Bonnet. On zachował w pamięci 25 stronic i 45 paragrafów dzieła, które napisał. Hugo Grocyusz pamiętał wszystko co czytał. Jedną ra/ą będąc przy oglądzie pułku, zatrzymał w pamięci nazwiska żołnierzy, których z listy czytano. Justus Lipsiusz odmawiał z pamięci roczniki Tacyta. Znany był przed kilku laty zmarły obrońca sądowy w Warszawie, który o każdym domu téj stolicy wiedział, kto był pierwszy onego właściciel i przez jakie ręce przechodził.

RZETELNOŚĆ.

Nic nie ma tak zbawiennego wpływu na nasz charakter, jak mocne postanowienie w dotrzymywaniu słowa, czyli rzetelność. Dla tego jedną z najważniejszych rzeczy wychowania jest od młodości ludzi do tego uzwyczajać. Stawić się w słowie, w każdéj choćby najmniejszéj rzeczy, jest to oprócz zaszczytu, który człowieka najwięcéj zdobi, rozwijać swój charakter i roztropność. Cnotliwy nie da słowa do czynu niecnego, roztropny nie prędko się do niego namyśli, aby nie żałował dotrzymania i niedotrzymania. Zatém dawanie słowa z namysłem, w rzeczach najmniejszych, czyni nas bacznymi

na wszystko i roztropnemi. Pośpiesznie obiecujący przy najlepszych chęciach, często staje się kłamcą. Ściąga na siebie urazę ludzi, jakby im zabrał rzecz którą obiecał. Mała i lekkomyślna wina zrządza wielkie szkody innym, i sobie wielkie przykrości. Pięknie jest być niewolnikiem słowa, zwłaszcza tego, które dajemy z prawdą rozumu i serca.

TAKT.

Nie małą to jest pochwałą, gdy o kim mówimy iż ma dobry takt w obejściu się z ludźmi. Takowy takt, możnaby policzyć do głównych cnót towarzyskich. Na nim polega harmonia życia społecznego od niego często szczęście nasze więcéj zawisło, niżeli od wielu innych cnót istotnych. „Każdy, — mówi Byron, może być roztropnym, umiarkowanym, sprawiedliwym i stałym, ale jeżeli mu do tego zbywa na takcie, łatwo może stać się nieprzyjemnym, a nawet szkodliwym dla innych, i słusznie spodziewać się może odwetu. Uważać można, że ludzie mający takt w najwyższym stopniu najwięcéj mają czucia, a taktu nie mający, są zazwyczaj tępi i niedbali. Chcąc mieć ten przymiot, potrzeba czuć delikatnie; „nie możemy wiedzieć co drugiego boli, jeżeli miary ku temu, w sobie samych nie znajdziem.“

Ztąd to tak często u nas delikatność w obejściu się, jest synonimicznym wyrazem taktu. Przez takt ludzie drażliwi, umieją się miarkować, równie, jak ludzie surowych i gwałtownych obyczajów powściągać i tak wzajem się znoszą i zgadzają, że tak powiem, na ton właściwy.

GIMNAZJUM
ANTONINUM

PRZEWODNIK NAMIĘTNOŚCI.

Każda namiętność która z natury swojéj podobną jest do elektryczności pioruna, ma także w sobie saméj konduktora czyli przewodnika, kiedy tylko skuteczności onego nie przeszkadzamy, a tym jest wygadanie się namiętności, która już raz wybuchnie. Na niego spuszcza się cała niszcząca jéj siła i tam znajduje swoje granice i pokój; podobnie dzieje się z gniewem, boleścią i z żalem. Gniew gwałtownego człowieka szkodliwym jest zdrowiu, gdy wewnątrz tłumiony nie może wybuchnąć; uraza tajona, wzrasta coraz więcéj, kiedy po wywnętrzeniu, mogłaby się w słodkie uczucie zamienić; smutek przechodzi do niszczącéj rozpaczy, jeżeli wewnątrz kryć go potrzeba; gdy przeciwnie użalenie się najlepszym jest przewodnikiem wtenczas, gdy ani słowa pociechy zewnątrz, ani wywody rozumu, wewnątrz przynieść ulgi nie mogą, bo jak mówi Kochanowski.

Próżne to ludzkie wywody
Aby szkodą nie zwać szkody.

ZAROZUMIAŁOSC.

Zarozumiały jest tém samém pod względem umysłowym, co zapamiętały pod względem moralnym; oba działają na oślep. Ale zapamiętały ochłonie i upamiętać się może, zarozumiały wiecznie duszony jest dymem miłości własnéj, i zdaje mu się że to jest obłok z którego jak Jowisz, gromy i wyroki wyrzucać może. Nieznośna to wada w społeczeństwie, a najszkodliwsza temu, kto nią jest zarażony.

Smutno jest razem i pociesznie słyszeć w gronie ludzi mających doświadczenie i zasługi, zarozumialca stanowiącego o wszystkiem, tém więcéj zuchwałego, im więcéj rodzi około siebie skromności, im mniéj zdolny jest domyślać się milczą-

cego politowania. Wyrokuje o pracach i charakterze ludzi tem śmieléj, że sam nic jeszcze nie pracował i charakteru swojego na żadne stanowcze doświadczenie nie miał sposobności wystawić. Gdy niegdyś wiek i zasługi minione, dostateczne były do poszanowania, a przynajmniej jednały względność młodych, teraz same przez się wystarczą, do lekceważenia w zarozumiałych. Jeżeli im się uda wadę lub myłkę jakową w kim spostrzedz, a tylko na to polują, wtenczas sądzą, iż są we wszystkiem nad niego wyższymi; i dla skazy, choćby tylko uwidzianéj, ze wszystkiem go potępią. Najjaśniejsze dowody oślizgną się jak o głazy, bo sobą tylko zajęci, nigdy w cudzy charakter, sposób myślenia i w położenie nie wchodzili, i na nikogo nie zważając, obrażonymi się sądzą, gdy kto mało ich pretensye uważa.

Różne są przyczyny i stopnie zarozumiałości. Człowiek oddany wyłącznie jednéj jakowéj nauce, łatwo ulegnie téj wadzie, bo w saméj rzeczy, daleko postąpić w niéj może, i naturalnie widzi w niéj bardzo wielu niższymi od siebie; chociaż nie ogląda się na ich inne zalety, których dostrzegać i cenić nie umie. Ta zarozumiałość najłatwiéj jest do wybaczenia, bo kto swojego zawodu najwyżéj nie ceni, ten w nim nie postąpi daleko. Dodać atoli wypada, iż to dobre rozumienie mieć można, o swojéj nauce, lecz nie o sobie samym. Jednakże zwykle zarozumiałość i pedantyzm czepiają się tych, którzy oddają się przedmiotom szczegółowym i mało ważnym dla ludzkości; nic tak nie uczy być skromnym, jak głębokie badanie nauk wszelkiego rodzaju, bo im kto daléj w nich dojdzie, tém pewniéj trafi na granice, gdzie rozum ludzki koniecznie zatrzymać i ukorzyć się musi Salomon i Sokrates, dwaj najwięksi mędrcy starożytności, jawnie to wyznanie uczynili, a Chrystus Pan, uważa skromność za obowiązek i szczęście chrześcianina. Z nią można daleko w naukach postąpić, ale zarozumiałość jakby zlodowaciała, zawsze na jednem miejscu zostaje.

Zarozumiałość pospolita jest także w ludziach w odosobnieniu żyjących, którzy powziąwszy, lub utworzywszy sobie zdanie jakowe, nie mieli sposobności porównać go z innemi,

a przeto, z swojem tylko rozumieniem obcując, tak nawykli do niego; iż w niém żadnéj mylności nie widzą, i wszelkiem przeciwnem pogardzają. Bliższe obeznanie się w towarzystwie, wyleczy ich z téj wady, którą zresztą każdy rozsądny wybaczy.

Daléj ulegają téj wadzie ludzie, którym szczęśliwa zkąd inąd fortuna, nigdy nie dozwoliła szczeréj prawdy usłyszeć, w których owszem zarozumiałość, ciągłe pochlebstwa rozwinęły. Lepiéj jest dla człowieka być w zaletach swoich niepoznanym a niżeli nad zasługi chwalonym, bo w pierwszym razie, ma bodziec do dalszego jeszcze postępu, a w drugim tylko tamę, którą już za cel osiągnięty uważa.

Najwięcéj i najnaturalniéj skłonny jest człowiek do niéj w młodości, bo wszystkie pojęcia są mu nowe, a zatém silnie na niego działając, zdają mu się być jedyne, nieomylne, za któremi przeto z wszelką żywością obstaje. Na to jedynem lekarstwem jest czas i roztropne a wczesne prostowanie przez doświadczonych, bo ta wada łatwo się zakorzenia; a nic przykrzejszego, jako gdy od niéj, własne zawstydzające szkody i obcy ludzie, odzwyczajać nas będą. Ale u młodych niezepsutych, bywa to raczéj żywe czucie, przyrodzoną otwartością niż zarozumieniem, która przy względnych osobach, łatwo na korzyść wyjść może. Przeciwnie najnieznośniejszym i politowania godnym jest młody zarozumiały pedant, który wychodząc z pięknéj sfery swojego wieku, zimnym i poważnym tonem wszystkowiedza i wszystkouma udaje. On właściwie mniéj jest zarozumiały, niżeli chce tę nieszczęśliwą rolę udawać. On dobrze rachuje się z sobą, aby się w oczach ludzi nie okazał mniejszym, niż jest przed sobą samym; dla tego najwięcéj z góry daje wyroki. Pierwszego naprowadzać potrzeba, dla drugiego nie ma sposobu, również z góry go karcić wypada.

NOWOŚĆ.

Żądza nowości jest jedną z najpierwszych cech duszy naszéj. Ona skazuje nas na prace i niebezpieczeństwa, ona w żadnym stanie szczęścia i wiedzy, nie dozwala nam długo zostawać, i zawsze nas woła do odmian; ona najwięcéj czuć nam daje dolegliwość nudów: najwyższe szczęście bez nadziei nowości, udręczeniem jest dla nas. Piękność w naturze i sztukach, traci dla nas całą swą wartość, gdy w niej nic już nie ma nowego. Owszem rzucamy się często do tego co jest mniéj piękne, dla tego tylko że nowe. Téj skłonności winniśmy wiele wynalazków i stopniowych udoskonaleń, lecz oraz wiele złego szczególnie w krainie piękności. Często gdy w niéj naród dochodzi punktu pożądanego, żądza nowości prowadzi go do dziwactw i przesady, która się zrazu przez nowość podoba. I tak znowu wszystko przebieżyć musi, całe pole błędów i dziwaczności, która teraz tem silniéj zajmuje, że na czas zapomniana, ma w sobie urok nowości. Tak często po doświadczeniu i poznaniu świata upragnionego, w dawném szczęściu, nowe znachodzimy.

Co do stylu, jest to niewinny sposób nowości, który nietylko z najlepszym smakiem się zgadza, ale na nim polega. Ten na tem zależy, ażeby pisarz nie chronił się nowych słów, zwrotów i wyobrażeń, na miejsce zużywanych. Mówiliśmy że słowa przenośne, piękniejsze są nad właściwe i oderwane, tak jak milsza nam jest moralność na scenie albo w powieści, niżeli w suchem filozoficznem dowodzeniu. Ale jak wszystko tak i piękność przenośni, póty jest taką, póki ma wdzięki nowości. Przenośnie, choćby najpiękniejsze, przez zużywanie przestają być obrazami, i tak są dla nas obojętne, jak same wyrazy abstrakcyjne, to jest nic do wyobraźni nie mówią, jak np. Koło szczęścia, Kwiat wieku, i t. p. były bardzo pięknemi dopóki były nowe, wiele takich przenośni suchszemi się zdają, niżeli same właściwe wyrazy, ponieważ brzmienie ich świadczy, że mają być zmysłowe, a do zmysłów już przemawiać niezdolne. Są one jak wino zwietrzałe, nad które

lepsza świeża woda. To więc zmusza dobrych pisarzów, ażeby wyrażenia zużyte, nowemi zastąpili.

Lecz nowe nie jest koniecznie to, co jeszcze nigdy powiedziane nie było: inaczéj upoważniałyby się wszelkie dziwactwa. Nowość stylu, nie wymaga tworzenia zupełnie nowych wyrazów, ale umieszczenia takich, które jeszcze nie były używane tyle, iżby dla wyobraźni świeżość swoją straciły, lub których samo zastosowanie jest nowém. My pod względem wymowy i poezyi, daleko mniéj potrzebujemy tworzyć nowe wyrazy, niżeli pod względem umiejętności, nasz język poetyczny z czasów Zygmuntów daleko jest bogatszy, niżeli dzisiejszy. Kto miernych nawet pisarzów z owych czasów weźmie do ręki, zobaczy, ile w nich jest skarbów języka, ile szczęśliwych przymiotników, wyrazów składanych, ile szczęśliwie łączących się przedimków, przez które tyle nowości każdemu wyrazowi dodawać można, jak nawet całe frazesa są poetyczne. Te zupełnie zaniedbane wyrażenia, byłyby dla dzisiejszego stylu który nie wiem przez jak dziwaczną skłonność, z suchością francuzką się zbratał, byłyby mowię prawdziwem wynalezieniem skarbców ojczystych. Dotąd umieli z nich tylko korzystać Trembecki i Woronicz. Dla dowodu przytaczam niektóre wyrazy starożytnych naszych pisarzów: naśmiewca, — zaborca, — stawić pole, — nie gościem złe w tym domu, — roznowić rany. Przy dumaniu zorzy dosiadał, — Przy własnym domu została go starość, — Nie żyje już powietrzem, — Kto przepłacze tę boleść, — Kto ci się wydziękuje za łaski, — Nadęta pycha włudzi łakomstwo, — Wygniewało się morze. — Wszystko to są wyrażenia dawne, a przecież dla nas nowe i pożyteczne.

Jeżeli nowych wyrażeń używamy szczególniéj dla imaginacyi, widoczna jest, że słowo nowe powinno być malowniejsze od starego, inaczéj nie jest potrzebne, inaczéj wracając się do powyższego przyrównania, lepsze jest wino stare, niżeli świeże a kwaśne.

Nowość jako ostatnia potrzeba stylu, nie powinna być nabytą kosztem innych onego zalet. Wypływać powinna z du-

cha języka i smaku narodowego, z głębokiego przejęcia i wmarzenia się w przedmiot. A najwięcéj nie powinna być owocem namysłu i usilnego wyszukiwania. Nowe wyrażenia cisną się same pod pióro czującego, a zwodzą zawsze tych, co za niemi polują.

Przekonywając się, ileśmy nasz rozłożysty język obcięli, chcąc go gwałtem zrównać z francuzkim, pełną za to ręką chwytamy nowości Anglików i Niemców. Lecz bierzemy często fałszywe błyskotki za kruszec, lub co w nich samych jest nienaturalne, chcemy w nasz język przeszczepić. Chwytamy z nich najłakomiéj nadzwyczajność i któremi wspaniałą prostotę naszego języka zdziwaczyć chcemy. I tu napomykam, że Grecy i Rzymianie mają w językach swych skarby, które do innych narodów nie przylgną, a mowie słowiańskiéj najwięcéj przystoją. Tego nie zaniedbujmy i prowadźmy świetną budowę naszego języka tak, jak ją ojcowie nasi zaczęli.

PORZĄDEK I PUNKTUALNOŚĆ.

Porządek jestto rząd, jestto rozum; gdzie w domu nie ma porządku, tam nie pytaj o szczęście i błogosławieństwo, bo nie ma głównéj zasady, która wszystko nabywa i utrzymuje. Nieporządek niszczy dzieło pilności, truje czas kłopotliwie i wszystko niemiłém czyni.

Punktualność (zły to znak, że na to nie mamy wyrazu), jest córką porządku, ona zyskuje dobre imię i zaufanie, bo wszystko w czasie swoim i według zamiaru wykona. Ona czyni człowieka słownym, rzetelnym, na którego zawsze spuścić się można. Ona łączy rozum z sumiennością, które razem dobry byt i wziętość domu przysparzają. Doświadczenie uczy, że dzieci nie wszystkie przymioty serca i duszy po rodzicach dziedziczą, że gdy do rozumu przychodzą, unikają wielu wad, które niestety w rodzicach postrzegają, ale porządek i punktualność, które same przez się ani są cnotą, ani

występkiem, te powszechniéj stają się nałogiem, czyli drugą naturą dzieci, jeżeli wzór i baczność rodziców do tego ich nałożyły.

W wielu rzeczach człowiek sam sobie późniéj poradzi, pozbędzie się złych i nabierze dobrych przymiotów pomiędzy ludźmi, ale najtrudniéj jest włożyć się do porządku, gdy się kto w nieładzie domowym wychował. Przez nieład najlepsze kobiety pełne zkądinąd zalet, są klęską familii.

PRAWA DAWNE

WZGLĘDEM ŻENIENIA SIĘ I KREDYTU.

U dawnych Assyryjczyków było prawo, według którego zbierano co rok na placu publicznym dziewice nieżenne, gdzie piękne przedawano, a zapłatę za nie oddawano tym, którzy się z mniéj nadobnemi żenili.

To prawo nazywa Herodot mądrém i wszyscy dotąd je wielbią. — Mogło ono mieć niejakie polityczne korzyści, ale wpływ onego był niemoralny i szkodliwy w najwyższym stopniu. One niszczyło naturalne prawo kobiety, obalało pierwszą podstawę cywilizacyi; potrzebę podobania się przez przymioty moralne: truło życie domowe tak kobiety nieładnéj, jak męża, który zaślubiał towarzyszkę, lepiéj przez ludzi, niżeli przez naturę wyposażoną.

Egipcyanie chcąc u kogo wielkiéj summy pożyczyć, dawali wierzycielowi w zakład zwłoki ojca, które, jako wiadomo, były balsamowane. Jeżeli dłużnik taki zakład dający, w terminie się nie uiścił, tracił na zawsze cześć i wiarę. W średnich wiekach, w południowych krajach Europy pożyczający dawał w zakład swój wąs, a na to proste zabezpieczenie wielkie summy dawano. Dziś dosyć dać swój podpis, to jest znak ugodny, aby się zobowiązać do uiszczenia, tak jak Egipcyanie i ludzie w średnich wiekach. Ztąd można brać miarę, jaki

postęp uczyniło pomiędzy ludźmi zaufanie, gdy prosty podpis, rzecz tyle błaha w porównaniu z ciałem ojca, przedmiotem tak religijnym, wiąże człowieka z człowiekiem na obu końcach ziemi. U dawnych Słowian ręczyć, czyli podać rękę, było, jak sam wyraz zaświadcza, dostatecznym znakiem pewności uiszczenia się.

W późniejszych czasach osłabione zasady religii i moralności, liczne dłużników zawody i bankructwa, dały początek rozmaitym prawnym i ekonomicznym zabezpieczeniom, do których liczyć należy zakład, zastaw, porękę, rozmaite hypoteki i t. d.

ZDANIA CHIŃSKIE.

Dla przychodniów bądź przytuleniem, dla sąsiadów pomocą, dla uczonych wsparciem, dla poczciwych przyjacielem, dla złych i rozpustnych cudzoziemcem.

Gdzie służąca plotki siać lubi, a pani ich słucha, a pan mąż wierzy, tam tysiące niepokojów zagnieżdżą się w domu.

Kto zawsze robi, a nigdy nie myśli, skończy na stracie całéj swéj pracy. Kto zawsze myśli, a nigdy nie robi, skończy na obłąkaniu rozumu. Od prawdy, najdoskonalsze ćwiczenie zawisło na uczeniu się tego, co człowiek powinien czynić i na wykonywaniu tego, co już umie. Ale kiedy kto albo nigdy nie rozmyśla o tém, co czyni, albo nie wykonywa tego, co umie, nauka jego będzie równa nieumiejętności.

Człowiek nie chcący nabywać umiejętności, podobny jest temu, który nosem ścianę podpiera, gdyż ten ani za miejsce, na którém stoi, krokiem nie ruszy, ani krom ściany, do któréj przytarł nic więcéj nie widzi.

PRZYSŁOWIA ARABSKIE.

Często język ucina głowę.

Cierpi gospodarstwo, gdy kot ze szczurem żyją w porozumieniu.

Jeśli wszystkiego nie dopniesz, nie porzucaj wszystkiego.

Gdyś słowo wyrzekł, ono panuje nad tobą; ale nim go wyrzeczesz, tyś panem onego.

Kto nie ma pana, czas go opanuje.

Kto nie rozumie podejrzenia, tém mniéj wyrozumie długie wywody.

Przedał winnicę, kupił prassę.

Pożyczana suknia nie grzeje.

Wiadomość jest zamkiem, a kluczem nauka.

Pytaj najgłupszego i najmędrszego, i z obudwu utworz twe zdanie.

Poszły muły po rogi, wróciły bez uszów.

Ogól brodę, gdy syn twój zarasta.

Słusznie się Szyller lichego poety zapytał: czyż dla tego już się mniemasz poetą, że język bogaty za ciebie śmiałym pędzlem wyobrażenia maluje? Zdaje mi się, że ci, którzy w poezyi saméj poezyi szukają, mniéj będą obrażeni niektóremi wadami stylu w pisarzu oryginalnym narodowym, niż w innych, gdzie treściwy wyraz tu z Tacyta, tu z Cycerona wyjęty, tam kwiaty z Horacego, tam z Wirgilego składają wieniec, oznaczający prawda znawcę starożytności, ale nic więcéj.

Prócz tych wszystkich uwag, czy naśladujem, czy tworzemy w obcym języku, jakże się możem błędów uchronić? Ileż to słów razem z narodem Rzymian wymarło? — Między temi słowami jest różnica godności, użyję jedno za drugie, tak iżby może Rzymianin w najpoważniejszém miejscu rozśmiać się musiał. Cóż mówić dopiero o budowie peryodów, o płynności, dźwięku i prozodyi, którejśmy się tylko z martwych liter wyuczyli.

Z wszystkiego, com powiedział, wynika, że każdy utalentowany pisarz w swoim języku pisać powinien, że dzieło w obcym pisane języku, nie może mieć oryginalności i życia że nakoniec, jeżeli są znakomici pisarze, którzy w obcym języku pisali, jak n. p. Sarbiewski, byliby większymi, gdyby się ojczystéj mowie oddali.

PIEŚŃ LUDOWA.

„Zawitaj ranna Jutrzenko!
„Igrzechów naszych Lekarko!

Jako tradycya niesie, pieśń tę ułożył jeden z kapłanów Pokucia. W krwawych zapasach z Turkami za Jana IIIgo trzydziestu wojowników naszych, odciętych od swojéj chorągwi, musiało wraz z kapłanami szukać uchrony w Karpatach za Prutem. Tam ukryci w jednéj skale, otoczeni wkrótce od przemagających Bisurmanów, dzielny stawiali opór. Ale głód i pragnienie, straszniejsze od miecza Muzułmanów, zaczęły dokuczać mężnym; wówczas kapłan pobożny ułożył tę pieśń pobożną. Ożywiona garstka wojowników jego nadziejami, pełna religijnego zapału, zanuciła ją chórem na cześć Patronki Polskiéj. Zabrzmiały jéj odgłosem skały i góry pobliskie, — a Turcy zdziwieni i ustraszeni pewni będąc, że nadeszły posiłki oblężonym, w nocy uciekli. Odtąd pieśń ta upowszechniła się w kraju i stała się narodową.

O RÓŻNOWIERCACH W POLSCE.

Za Augusta II. Polską rządził Fleming, dyssydent, za Augusta III. także dyssydent Brühl; wielu, którzy wracali do religii katolickiéj, otrzymywali krzesła senatorskie i urzędy pierwsze, w wojsku było mnóstwo wyznania obcego. W Anglii działo się przeciwnie, w Holandyi, szczególniéj w prowincyi Utrecht, gdzie więcéj jest katolików, nie mogą mieć katolicy urzędów i publicznych nabożeństw.

Wielu panów sprowadzało dyssydentów do fabryk, przemysł mieli zupełnie wolny, mieli swobody nad innych mieszkańców miast i wsi, tylko urzędów nie wolno im było posiadać, bo naród chciał mieć jedność, ze względu politycznego mogli kupować dobra. Podburzając cudzoziemców, obudzili sami fanatyzm. Miasta gubiła nie gorliwość o religią katolicką, ale chciwość panów, uciemiężenie, dogadzanie cudzoziemcom, mianowicie żydom, z ucisku rozpostarło się pijaństwo między mieszczanami.

Biskup Sołtyk 11go Paźdz. 1776 wniósł projekt przeciw dyssydentom, który z okrzykiem i jednomyślnie przyjęto, było to nazajutrz, po obchodzie rocznicy zwycięztwa chocimskiego. Sołtyk, wolności i wiary równie gorliwy obrońca, posuwał żarliwość przeciw dyssydentom aż do fanatyzmu. Dyzunici nietylko się do nazwy dyssydentów nie przyznawali, ale owszem dopraszali się o wyjęcie ich z pod téjże nazwy. Odwoływały się dwory w sprawie dyssydentów do traktatu Oliwskiego. — Traktaty te nie były z Rosyą, ani z Prusami, ale z Szwecyą zawarte, w nich tylko warunek był dla dyssydentów w miastach królewskich Prus i w Inflantach.

Unici skłonni byli oddawna do złączenia się z dyzunitami. Dyssydenci i dyzunici dopiero się pod Stanisławem Augustem w jedno połączyli. Wyznania te istotnie były uciemiężane przez duchowieństwo od roku 1717. Wyrzucano dyssydentom rozerwanie na elekcyi Zygmunta III., rokosz pod tymże, burzliwości przy wyborze Władysława IV., tak że Jan Zebrzydowski, miecz. kor. na sejmie kor. r. 1633 rzekł: „Póki dyssydenci

w granicach zgody spokojnie żyli, byli cierpiani, a gdy jawnie nadużywają cierpliwości Rzplitéj, surowością jéj powściągnieni będą.“ Łączyli się przeciw Janowi Kaźmierzowi, Augustowi II., z Karolami XI. i XII., królami szwedzkimi. — Bunt ich w Gdańsku 1525.

Podupadłe familie uważały stan duchowny za sposób dźwignienia się. Często jeszcze dzieciom w kolebce będącym już wyrabiano bogate prebendy.

Za czasów Waltera, obranego biskupa r. 1148, kanonicy i księża w Polsce mieli prawe żony, gdy tak byli to zięciami, to teściami szlachty, wielka między rycerstwem i duchowieństwem kwitnęła zgoda. (Sarnicki Annal.)

Roku 1191—1198 powiodło się Celestynowi III. narzucić duchowieństwu polskiemu karność Kościoła łacińskiego, szczególniéj bezżeństwo.

Akademia krakowska była zupełnie pod rządem duchowieństwa.

Duchowieństwo wiele się do rzeczy politycznych mięszało. Synod zakazał wszelkich schadzek z żydami i kupowania od nich żywności i pożyczania od nich na lichwę, godzenia się za mamki do ich dzieci i oddawania żydówkom dzieci chrześciańskich na wykarmienie.

Ut autem Judei a Christianis valeant evidenter discerni: statuimus et inviolabiliter praecipimus observari, quod omnes et singuli Judei utriusq. sexus, in terris nostrae provinciae portent unum circulum de panno rubro pro signo ascitum sive consutum ante pectus a parte sinistra in veste superiori etc.

Synod piotrkowski roku 1542 wnosił, aby ich liczbę po miastach, mianowicie w Krakowie ograniczyć, aby domów nie kupowali, murowanych synagog nie mieli, aby publicznie nic nie przedawali.

Zygmunt August w Wilnie r. 1554 wydał dekret, iż bez

upoważnienia duchownych żadne dzieło drukowane i przedawane być nie może.

PRZEMYSŁ.

Duchem wieku dzisiejszego jest przemysł i wypływające z niego dążenie do wolności osobistéj. On zrządził upadek reszty feudalizmu, obwołał prawa ludu, wprowadził przewagę ruchomego majątku, wydoskonalił handel, przez co związał ręce arbitralności. Ztąd nadzwykła czynność umysłowa, żądza wszelkich ulepszeń, spory i walki o systemata w miejsce walki i nienawiści narodowych. Ztąd z drugiéj strony egoizm i rachuba zajęła miejsce prawdziwie rycerskich, szlachetnych i poetycznych uczuć. Ztąd niewyczerpana żądza nowości, nieufność i nienawiść do wszelkich rządów, w czémkolwiek wolność osobistą ścieśniać mogących. Jakiekolwiek czekają Europę wynikające ztąd walki, to pewna, że wiek XIX. zadanie względem praw człowieka rozwiązać musi. Zbrojny opór przeciw niemu monarchów ich zgubi i ludy na długie zaburzenia wystawi. Machina usamowolniła człowieka myślącego. Ani obywatel być już nie może machiną wyrabiającą podatki, ani żołnierz narzędziem do niszczenia obudwu. Czy monarchowie, czy ludy, czy państwa, prawo lub samowładność reprezentujące, przewagę wezmą, błagać należy, aby to niezbędne przeznaczenie wieku zrozumieć chciały, aby środkiem do niego nie były spustoszenia i krwi rozlewy, a skutkiem despotyzm lub anarchia, które dziś jedną i tą samą są rzeczą. Tylko religijne pojęcie godności człowieka i powołania rządów, uczucie sprawiedliwości nad wszelką namiętność wzniesione, to zadanie szczęśliwie rozwiążą.

MYŚLI ODERWANE.

Mówić mało i źle, jest nieszczęściem prostaków; mówić wiele i źle, jest zuchwalstwem głupców; mówić wiele i dobrze jest szczęściem dowcipnych; mówić mało i dobrze, jest roztropnością mądrych.

Żyjąc ze złemi, stajemy się ich ofiarami albo uczniami; przeciwnie przestając z dobrymi, kształcimy się na ich wzór, a przynajmniéj coraz więcéj wad naszych się pozbywamy.

Prawie zawsze rozum zwichnięty i serce kazi, i błędy rozumu, w wady serca przechodzą.

Nie zawsze wielkie dzieła, ale całe życie wielkiemi nas czynią.

Jak poznasz siebie samego? Nie przez badanie, ale przez czynność. Sprobuj wypełnić wszelki twój obowiązek, a poznasz coś wart.

Same tylko ogólne pojęcia, równie jak uprzedzenie najwięcéj szkody zrządzają.

O historyi ten najlepiéj sądzi, kto jéj sam dożył na sobie.

Zdrowy rozsądek, jest geniuszem ludzkości.

Mylne mniemanie, fałszywy system, znajdą stronników, a nawet wielbicielów, ale niesłuszność sprawia oburzenie. To dowodzi, że serce ludzkie więcéj warte niż rozum.

O pospolitych tylko umysłach nie sądzą ludzie fałszywie. Kto nie umie znosić nagany, ten się nigdy nie ucieszy pochwałą.

Nieszczęśliwy nie jest nigdy zupełnie bez winy; najłagodniéj można go posądzić, że nie był roztropny.

Ciekawość jest największą pochwałą narodu. Ona jest wyłącznie człowiekowi właściwa. Zwierzęta nie mają o niéj wyobrażenia. Wyrabiaj co chcesz przed stadem owiec, nie zajmiesz ich, jeśli ich nie dotkniesz. Gdy dają jaką oznakę tego, co ciekawością zowiemy, wtenczas okazują tylko, iż są przestraszone. Człowiek ciekawy jest więcéj człowiekiem, niż bez tego przymiotu. Lud ciekawy ma więcéj ludzi nad innych.

Kto o sobie coś trzymać może, ten nie jest zdolnym do pychy.

Rozpatrując się w zwierzętach, trudno się nie zanurzyć w podziwienie nad tajemniczym ich bytem. Jeden poeta nazwał je snem natury, któréj obudzeniem jest człowiek. Na jaki cel są stworzone? Co znaczą ich pojrzenia, które się ciemnym obłokiem osłonione być zdają, z za którego chciałaby się myśl przedrzeć?

Platon nazywał czystość w ubiorze i sprzętach, półcnotą.

Perski jeden poeta mówi, iż łatwiéj jest szpilką górę daléj posunąć, niż dumę z serca ludzkiego wykorzenić. Niechaj nikt się nie chlubi, że od dumy zupełnie jest wolnym; duma bowiem mocniéj jest w sercu ukrytą i więcéj oku niedostępną, niżeli ślad mrówki, która w czarnéj nocy, przez czarny kamień przebiegła.

Niesprawiedliwość jak obłok, słońce wiary zasłania.

Szczęście jest módz wszystko, co chcemy; a wielkość, chcieć wszystko co możemy.

Mało pragnę, mówił S. Franciszek Salezy, a nawet tego mało, ledwo że pragnę; samo zatrudnienie jest mi nagrodą i roskoszą.

Kto ścina drzewo przez ojca sadzone, ten przeda i dom wystawiony przez niego, ten zdolny jest pozbyć się wreszcie wziętości, jaką winien rodzicom.

Cnota, zdrowie, talent, szczęście, są owocem uwagi i cierpliwości. To są zasady naszych moralnych postępków; geniusz nawet od nich zależy.

Milton, który się znał na piekle i raju, mieści piekło w niezmiernéj przestrzeni, a raj w małym obwodzie.

Porządny człowiek postępuje zwolna; nieporządny zawsze się spieszy.

Głupi nie słucha rady przyjaciół, rozumny korzysta z obmowy nieprzyjaciół.

Porządek jest najlepszym sposobem utrzymania niezawisłości, i znakiem wznioślejszéj duszy; bo człowiek rachuje się, z sobą, aby nie był zmuszony rachować się komu innemu.

W kościele łask wszystko jest wielkie, wyjąwszy bramę przez którą chyłkiem wchodzić potrzeba.

Jeden z siedmiu mędrców zapytany co jest szczęście, powiedział: Pozbyć się roboty, którą mamy przed sobą.

Ucz się pilnie wszystkiego, co ma związek z twoim zawodem, a będziesz rozumny; bądź pracowity i oszczędny, a będziesz bogaty; bądź wstrzemięźliwy, a będziesz zdrowy; kochaj sprawiedliwość, a nie ustraszy cię ziemia i niebo.

Szanuj w starcu ojca twojego, syna w dziecięciu, córkę w kobiecie, a siebie w każdym człowieku.

Czcić Boga, jest religią człowieka; czcić prawa, religią obywatela.

Szanuj zaufanie, nie strzelaj do ptaszka siedzącego na ziemi.

Wiele jest wad i zbrodni, którym religia zapobiedz nie może, ale któż poznał te, które ona niewidzialnie wytępia?

Zmysły, mówi jeden ze szkoły Platona, wyobrażają słońce, które ziemię oświeca, ale niebo i gwiazdy zaciemnia.

Mytologia mówi, że u tronu Jowisza zaczepione jest pierwsze ogniwo łańcucha stworzenia.

Uczeni tylko kochają pracę dla saméj pracy.

Kto sądzi, że ślepe posłuszeństwo lepiéj zniewala niżeli oświecony obowiązek, ten utrzymuje, że prowadzony ślepy lepiéj stąpa, nizeli któremu słońce świeci i który oczu używa.

W czasie niezgód kościelnych w XVI. wieku, stała się nabrzmiałość mowy powszechną. Kazania bywały wtedy gwałtowne w celu pociągnienia ludu. Do tego dołączyła się nienawiść i pogarda przeciw scholastykom, którzy mieli styl wcale

przeciwny, nie troszczyli się o ozdoby i dosyć im było myśli swoje w wyszukanéj zwięzłości wyrażać. Chcąc tego uniknąć, wpadli inni w drugą ostateczność i wnet więcéj się o słowa, niż o myśli starali.

Nauki moralne nie wznoszą się z postępem czasu i od razu są wzniosłe i doskonałe, gdy wynalazki n. p. nawigacyi, strzelby, druku z początku niedokładne, późniéj się doskonalą.

Największą przeszkodą do postępu nauk są dwa przeciwieństwa, zbytnia żądza nowości i zbytnia cześć dla starożytnych. Starożytność zazdrości nowych postępów, nowość zaś nie przestaje na tém, żeby coś nowego dodawać, lecz pragnie stare zupełnie zarzucić i wykorzenić.

Rada Proroka być tu powinna wskazówką:

„Wyjdźcie na stare drogi, mówi on, patrzcie które są dobre i niemi się puszczajcie. Godna tego starożytność, aby się ludzie nad nią zatrzymali i patrzyli, która droga najlepsza, aby nią chodzili, a gdy droga znana, wtedy nie trzeba się ociągać, ale iść daléj, by można powiedzieć, że starożytność wieku, jest młodością świata.“

Bo czasy nasze są staremi czasami, gdy się świat zestarzał.

Czas jest podobny rzece, która co lekkie przyniesie, co ciężkie na dnie pogrąży.

Ludzie zanadto ukochali się w swym rozumie, dla tego odłączyli się od natury i doświadczenia, i łudzą się własnemi uwidzeniami.

Najmniejsza część poświęca się naukom z miłości rodu ludzkiego. Owszem w naukach szukamy łoża, na którymby

duch rozgrzany i niespokojny mógł spocząć, albo ganku i miejsca przechadzki, aby się duch wolno przechodził i rozpatrywał, albo zamku i twierdzy do turniejów i walki, albo wysokiéj wieży, z którejby duch dumny daleko widział, albo nakoniec warsztatu do handlu i zysku, gdy przeciwnie one powinny być skarbem i zbrojownią, na chwałę budownika wszech rzeczy, na ulżenie ludzkiego życia.

Atalanta córka Jazona, dla tego w biegu przez Hippomena zwyciężona, że jéj rzucał złote jabłka, które zbierając, spóźniła się do celu.

Nie jestem zdania, jak mówią o Sokratesie, aby filozofię z samego tylko nieba przywoływać, ażeby uwielbiając moralność i politykę, fizykę zarzucać, bo jak niebo i ziemia składają się na utrzymanie ludzkiego życia, tak być powinno celem fizycznych i moralnych nauk, ażeby odłożywszy czcze i niepotrzebne uwidzenia, gruntowne tylko i potrzebne rzeczy hodować, ażeby nauka, nie jak niewiasta do rozkoszy, lub jak sługa do zysku tylko służyła, ale jako zaślubiona, była celem płodzenia, zaszczytnéj pomocy i przyjemności.

Serafin jest aniołem miłości, Cherubin aniołem światła.

Goethe mówi: Artysta powinien znać swoje siły, powinien sobie stworzyć kraj wewnątrz natury, ale przestanie być artystą, jeśli się zechce w naturze rozpłynąć.

Prawie tylko chwilę trwa piękność człowieka (in pubertate) i to właśnie przywiléj sztuki, zatrzymać i uwiecznić tę chwilę. Tak jako sztuka tworzy Centaury, ta może i powinna tworzyć matkę dziewicę. Nioba matka tylu dorosłych

dzieci, ma łono pierwszéj młodości. W mądrem połączeniu tych przeciwieństw, spoczywa wieczna młodość, którą starożytni swoim bogom nadawać umieli.

Miasta i narody najwięcéj do czci bogów przywiązane, były zawsze najtrwalsze i najmędrsze, tak jak wieki najwięcéj religijne, najwięcéj się szczycą geniuszami, mówi Xenofont.

Pewną jest rzeczą, mówi Plato, że jeżeli Bóg nie przewodniczył założeniu miasta i jeżeli ludzki tylko miało początek, nie uniknie nieszczęść.

Człowiek żywo natchniony, nie potrzebuje przepisów, nie potrzebuje lewarów, by wzmocnił swe siły, ani instrumentów, by się wywyższył.

Rozwagę przyrównywa metafizyk do trąby słonia, która zrywa mocne dębu gałęzie i lekkie dźbło z ziemi podnosi.

Imaginacya układa scenę z rzeczy w naszéj imaginacyi złożonych.

Dusza silniejsza jest będąc czułą, niżeli będąc tylko wolną i rozumną.

Próżność jest szczególną pasyą, która się rodzi z urojenia, dymem żyje, a przecież jéj zniszczyć nie można.

Były wieki dla chwały, dla fanatyzmu, teraz są dla próżności.

Człowiek dumny się podnosi, próżny nadyma.—

Trzeba duszę zatrudnić ażeby żyła, wszelkie użycie na świecie nieoddzielnem jest od prawdziwéj czynności.

Uczucia są tém dla duszy, czém postawa dla członków ciała, które długo w jednem położeniu zostać nie mogą.

Ludzie pracujący wzmacniają się przez stowarzyszenie, słabsi są gdy rozłączeni, naśladowaniem sami siebie przewyższają.

W Grecyi jednemu, który ambicyą był miotany, rozkazali kapłani Eskulapiusza, by poszedł zwiedzić ruiny góry Ossy. Uspokoił się rozważając przepaści, w które wtrąceni byli Tytani. Słuchał proroczego szumu wałów Peneja, które z rykiem podnosząc się w powietrze, opadały u stóp góry.

Przekonał się, że spokojnie trzeba znieść przeznaczenie i że niespokojne użycie chwały, nie nagrodzi szczęścia spokojnéj zaciszy.

Rozpatrując się w dawniejszéj literaturze i obyczajach Francyi, zdaje się, że jesteśmy na pensyi panien i paniczów, gdzie mowa tylko o grzecznościach, mitologii, dobrem ułożeniu i t. p.

Nasza literatura tak złączona z historyą, jak roślina z ziemią, przenieść ją z gruntu, to zwiędnie.

Malowanie ludzi w stanie szczęśliwym, spokojnym, w stanie naturalnym, jest najtrudniejsze. Na scenie dwoje kochanków najprędzéj unudzą, jeżeli nie ma między niemi nieporozumień lub interesownéj walki z przeciwnościami; bohater zupełnie doskonały, kiedy nie walczy, zajmować nie może, najprościejsze sytuacye przeto zajmują, jeżeli je wystawiamy koniecznie.

Odyssea jest w moim rozumieniu idyllą, bo choć walczy Ulisses, źródłem i celem jest pokój domowy, więcéj rodzinne życie widzimy niż wszędzie, szczęście jakie widzi w domu Menelassa, ojca Nauzikai, tém więcéj go woła.

Właśnie tego dobrze nie widzimy, na co przez szkło uprzedzenia najwięcéj patrzymy. Wolter ciemnym był zupełnie w rzeczach chrześciaństwa, które było głównym jego myśli przedmiotem.

Religii i poezyi tak mało nauczyć się można, jak miłości z wiersza de arte amandi.

Rzplite zawsze są obyczajniejsze w literaturze, od monarchii. Polska, Anglia etc. W Anglii powszechną krytykę ściągnęły pisma niemieckie, nawet (Kozebuego) które zaczęto tłumaczyć. Francuzi mniemali, że do Rzplitéj drogę torują przez posuwanie wyżéj jeszcze cynizmu pism, jaki pod monarchią miał miejsce.

Niemcy ciągle głoszą, że reformacya obudziła ścieranie się opinii, że ona światło rozszerzyła, lecz reformacya była skutkiem ducha wieku, który do tego dojrzał. Po reformacyi autorowie we Włoszech, Francyi, Hiszpanii, Polsce etc.

Epoka literacka liczy się słusznie odtąd, gdy język jak dojrzał, iż prócz wewnętrznéj wartości, pisarze wzorem są lu i język na długo ustalają. Tę epokę mieli Włochy w XIII. wieku w Hiszpanii pod Karolem V. i Filip II. Anglicy pod Elżbietą, Polacy pod Zygmuntem, Francuzi pod Ludwikiem XIV.

Homera nie można kłaść z innemi epopejami, jest on wyższy nad wszelki rodzaj, jest on nie tylko poetą, jak Rzym nie jest tylko miastem, lecz panem wszelkiéj poezyi.

Homera poezya jest rajem sztuki, bo nie kosztowała owocu złego i dobrego. Bogowie którzy przyjęli naturę ludzką, żyli w jedności jednéj i drugiéj; w niéj tylko jedna istota prawdziwie działa, bóstwo lub fatum.

Szczególni ludzie lub bogowie, są to tylko objawienia jednéj duszy świata tak, jak w mowach epopei; nie sam bohatér, ale poeta mówi. Dla tego epopeja jest najwięcéj w sobie wykończoną. Poezya epiczna jest szlachetną, wyższą nad namiętność, nie ma żadnych szczególnych zatrudnień, zdań i zdolności, wszystko w niéj równe. Dusza i ciało jest w niéj jedno. Przedmiotem jéj jest świat. Ze względu moralnego niewinność jest jéj charakterem. Homer nie zna żadnéj cnoty, pochodzącéj z walk namiętności, bo te nie są jeszcze egoizmem zatrute.

Poezya heroiczna jest dziełem czasu dziecinnéj niewinności, poezya dydaktyczna następuje w epokach prawodawstwa. (Hezyod) i cała literatura czasów Solona. Do niéj łączy się architektura, jako najwięcéj na rozumie i potrzebie zasadzona. Indyjskie poezye więcéj są dydaktyczne.

Egipcyanie nie znali epopei i pieśni, obadwa ludy ze wszystkich sztuk celowały tylko w architekturze. U chrześcian najprzód była architektura bizantyńsko-łacińska, potem gotycka wzniosła za czasów kwitnącego rycerstwa i Trubadurów, upadła zaś, gdy w kościele kazania, a w poezyi dydaktyczne utwory panować zaczęły.

Wiatry co po równinie szalały, — pokorne, ścielą się p gór.

Jako kwiaty pod kościołem, tak kościół pod górą.

Ćma chciała świece zgasić, a spaliła skrzydełko.

Niemcewicz historykiem jest w rymach a poetą w dziejach.

Pies staje się złym na łańcuchu.

Śmieją się po stracie ojczyzny i nadziei. Tak po tragedyi występuje arlekin.

Są dobrzy Polacy, chociaż dziś złych tylko widać, śpią orły i słowiki, bo w nocy sowę tylko i puszczyka słychać.

Jak igła magnesowa na północ, tak umysł zawsze się do ojczyzny zwraca.

Psy gończe których pan rozpuścił, kiedy wilków nie było, rzuciły się na owieczki.

Dają kaganiec owcom, żeby nie beczały.

Robaczek Sto-Jański błyszczy się zdala na łąkach, w ręku jest czarny. Tak rzeczy błyszczą w nadziei, a gdy ją mamy, widzimy tylko jéj ciemną stronę.

Absolutnego ideału nie ma, ale każdy według swego smaku, geniuszu wieku i narodu niech go sobie tworzy, i k będzie ciągłe dążenie ku najlepszości i ciągła rozmaitość.

Co mi po wszystkiem, gdy nie będę Polakiem, gdy muszę martwieć w pokoju, żyć bez imienia.

Pod cenzurą zamilkli starsi, młódź tylko niebaczna, kręci się jak ptaszki wśród burzy.

Włochy naśladowali starożytnych, tylko w literaturze. Francuzi najprzód w literaturze, potem w czynie.

Żyd z ziarna pożywnego dobywa trucizny na rozum, jak na niewolnika przystoi.

Gdy się zbogacamy pomysłem, tracąc uczucia i imie narodowe, jesteśmy jak rozbójnicy morscy pod obcem nazwiskiem bogactwa szukający.

W dni świąteczne tylko dusza moja do czegoś lepszego i uroczystego się wznosiła, coś się w niéj świętego obudziło, ale to było jak lot ptaka długo więzionego, który już skrzydeł i wolności nie umie używać i sam do klatki wraca.

Jeśli będzie co słodkiego w mych pieniach, pomnijcie na niewolnika, który fletnią urobił ze trzciny; porównajcie je z nadwiślańską topolą, która z łez zieloność czerpie.

Do ubogiego. Pracuj na niepodległość, wtedy będziesz w zgodzie z całym światem, nie sarkaj na wyższego, on tobą nie wzgardzi.

GIMNAZJUM
INSTYTUTU
w Nowem Mieście

[illegible] Prusaków i Mazurów, na uroczystość wprowadzenia się [illegible] wego domu, wypuszczano najprzód koguta i kurę, któ[illegible]nie zabijano; potem wrzucano dwa chleby, oznaczające [illegible] i żonę, ten, który się na białą stronę obrócił, znaczył [illegible]rć. Pierwszy gość taczał się wchodząc i mówił: niech się tu szczęście tak samo toczy.

Dziś przez kratę tylko pisarz z publicznością przemawia.

Natura po deszczu tém jest wonniejszą; kochanka podejrzliwa po płaczu weselszą.

Dziennikarze są tém, czém bagaże za wojskiem.

Krytycy jak robak, za życia gryzą.

Poeta był milczący i niepozorny, aż przyszedł czas i pora. Wtedy się ożywił i upięknił, tak stoi z liści obnażona jabłoń, która z czasem wyda owoce.

Ziemia grobowa zawsze mi jest miłym zapachem i chciałbym, gdyby można, czuć rozkosz, być już ziemią zasypanym i ochłodzonym.

Do niecierpliwości mię doprowadzał ten, kto mię chwalił z talentu, ale kto mi powiedział, że mam dobre zamiary, ten mię skusił, żem się sam przed nim pochwałami obsypał.

Nie chciałbym wyższéj zasługi, jak być Dantem po[illegible]n, jeśli Polacy nie będą Włochami.

Herder mię nauczył cnoty autorskiéj, ta, którą koch[illegible], byłaby mię nauczyła cnót społecznych.

Herder tylko jest u mnie pisarz, którego jak przyjaciela kocham i do którego utęschniam w świat przyszły.

Ja już nie myślę żyć, ale powracać z drogi życia, nic nie sprawiwszy.

Zawsze miałem lepszych przyjacioł, niżli sam byłem; a przecież gdybym wiedział, że w moim sercu wszyscy czytać mogą, rozprułbym je dla tych, których obraziłem, aby w niém czytali.

Jeśli wola człowieka nie zawisła od zdrowia, losu i stosunków, wtedy odpowiedzialny za zmarnowanie najpiękniejszego daru, nie obstaję Boże przed Tobą.

O każdym chrześcianinie byłem dobrze uprzedzony, o każdym żydzie źle.

Dwóch tylko przyjaciół bez słabości kochałem.

Gdybym miał śmiałość, byłbym użytecznym.

Prócz La Fontaina i Moliera, nieznośni mi byli poeci francuzcy.

[illegible]uźniłem Boga, bom zawsze sądził, że mię nieszczęśliw[illegible]stworzył, a ile razy upadłem, tyle razy ręką Opatrznoś[illegible]łem dźwignięty.

Ja tylko Ojczyznę kocham nad wszystko, ale nie ziomków.

Jestem zdolny do ciężkiéj żałości nad stratą i nieszczęściem krewnych i przyjaciół; ale imaginacya moja prędko wszystko kwiatami zasypie, tak, że sobie w żalu podobam, i przebudzony gardzę sobą.

Choć ufam Bogu, często jednak chciałbym w taką gdzie przepaść wlecieć, abym zginiony, uniknął wieczności.

Ja wiem, że coś dobrego w grobie z sobą utopię.

Założyłbym się, że Goethe, Herder i Lessing, z krwi słowiańskiéj pochodzą.

Szczęśliwym, gdy mogę zapłakać, ale dni te, już są bardzo rzadkie.

Mnie zawsze prędzéj łzy wyciśnie widok szczęścia, niżeli nieszczęścia. Na operach i komedyach niektórych płakałem, na tragedyach nigdy: ale podczas okrzyków ludzi, pod pałacem monarchów, radbym się wmięszał do psów wyjących.

Kiedy czytam o wojnach, kiedy widzę gniewnych, a najbardziéj kiedy wiatr swiszczy, pewno się gniewam.

W ziemiębym się schował przed krytykiem, k
nie czuje; nie przebaczę temu, kto mówi, że przeb
Russowi, ja je usprawiedliwiam.

Syn z matką, jest dla mnie widokiem raju utrac

Jabym się zgodził, gdyby mi Bóg nic nie dał, prócz dawnych nadziei.

Całą moją smutną korzyścią z podróży jest nauka, aby nie być otwartym.

Kto sobie nic nie umie dodać, to mu ludzie wszystkiego ujmować będą.

Żadna mię mądrość tyle nie dziwi, ile mowa roztropnéj kobiety.

Kocham charakter Francuzów, ale nie obyczaje.

Gdyby żył Herder, na klęczkach bym go zaklinał, aby się uczył języka Słowian.

Nie chcę nic mieć do czynienia z człowiekiem, który mówi, że Henryada jest poematem epicznym, i że religia jest potrzebną dla gminu; przy tém ostatniem słowie głupstwo dosięga najwyższéj dumy.

Gdyby księżne polskie ze swoją słodyczą nie były księżnemi, byłbym dawno zginął za niemi.

Ta jedyna spólność z bliźniemi pociesza mię, żem tylko raz prawdziwie kochał.

Najtrudniejszą cnotą dla mnie, byłoby umrzeć bez chwały dla dobra powszechnego, ale wolałbym umrzeć, niż pracować dla chwały.

Wiele musiałem pisać o polskich poetach, ale prawdziwemi poetami nazywam tylko Kochanowskiego i Woronicza.

Gdybym nie kochał Ojczyzny, byłbym zdolny do wszystkich cnót właściwych Niemcom.

Tylko od prostych żołnierzy można się nauczyć pisać prawdziwą tegoczesną epopeję.

Ktoby chciał Niemców do czynów pobudzić, powinienby najprzód gęsi z ich krajów wypędzić, aby ich pozbawić piór do pisania i pierzyn.

Imie Rzymian przeżyło ducha Rzymu, ale duch Polski przeżył jéj imie.

KONIEC TOMU VIII. I OSTATNIEGO.

99064

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE ÓSMYM.

	Str.
O exaltacyi i entuzyazmie	3
Odpowiedź P. J. B. Ostrowskiemu	40
O powołaniu i obowiązkach młodzieży akademickiéj	43
Myśli o języku polskim	83
O czynnościach delegacyi, wyznaczonéj przez Towarzystwo Przyjaciół Nauk do ustalenia pisowni polskiéj	214
Zdanie sprawy Deputacyi przy złożeniu Towarzystwu Królewsko-Warszawskiemu Przyjaciół Nauk rozpraw i wniosków dotyczących się ustalenia pisowni polskiéj	225
ROZMAITOŚCI	247
O Koperniku	249
Petrarka	255
Galileusz	259
Tasso	262
Milton	264
Lawater	269
Goethe	274
Szyller	279
Dryden	283
Walter-Scott	285
Newton	291
Linneusz	294
Shakspeare	296
Hufeland	299
Jan Zamojski	302
Boduin	—
Lew Sapieha	304
Orłowski	—
Uczony z książki	305

	Str.
Dziedzic Jodłowa	
Kłosy czerwone	
Wizerunki, powieść	
Ziemiaństwo	
Człowiek i Cień	
Słonecznik i winne grono	
Cierpliwość	
Aswer czyli Żyd błąkający się	
Moc zastanowienia	315
Dyament	316
Sfinx	317
Trzéj przyjaciele	325
Łzy	—
Dawid	326
Prawo Afrykańskie	327
Pasterz Niebieski	328
Młodość Abrahama	329
Powszechnicze wiadomości	330
Nieszczęście	333
Praca i nudy	334
Pamięć	335
Rzetelność	637
Takt	338
Przewodnik namiętności	339
Zarozumiałość	—
Nowość	342
Porządek i punktualność	344
Prawa dawne względem żenienia się i kredytu	345
Zdania Chińskie	346
Przysłowia arabskie	347
Pieśń ludowa	348
O różnowiercach w Polsce	349
Przemysł	351
Myśli oderwane	352